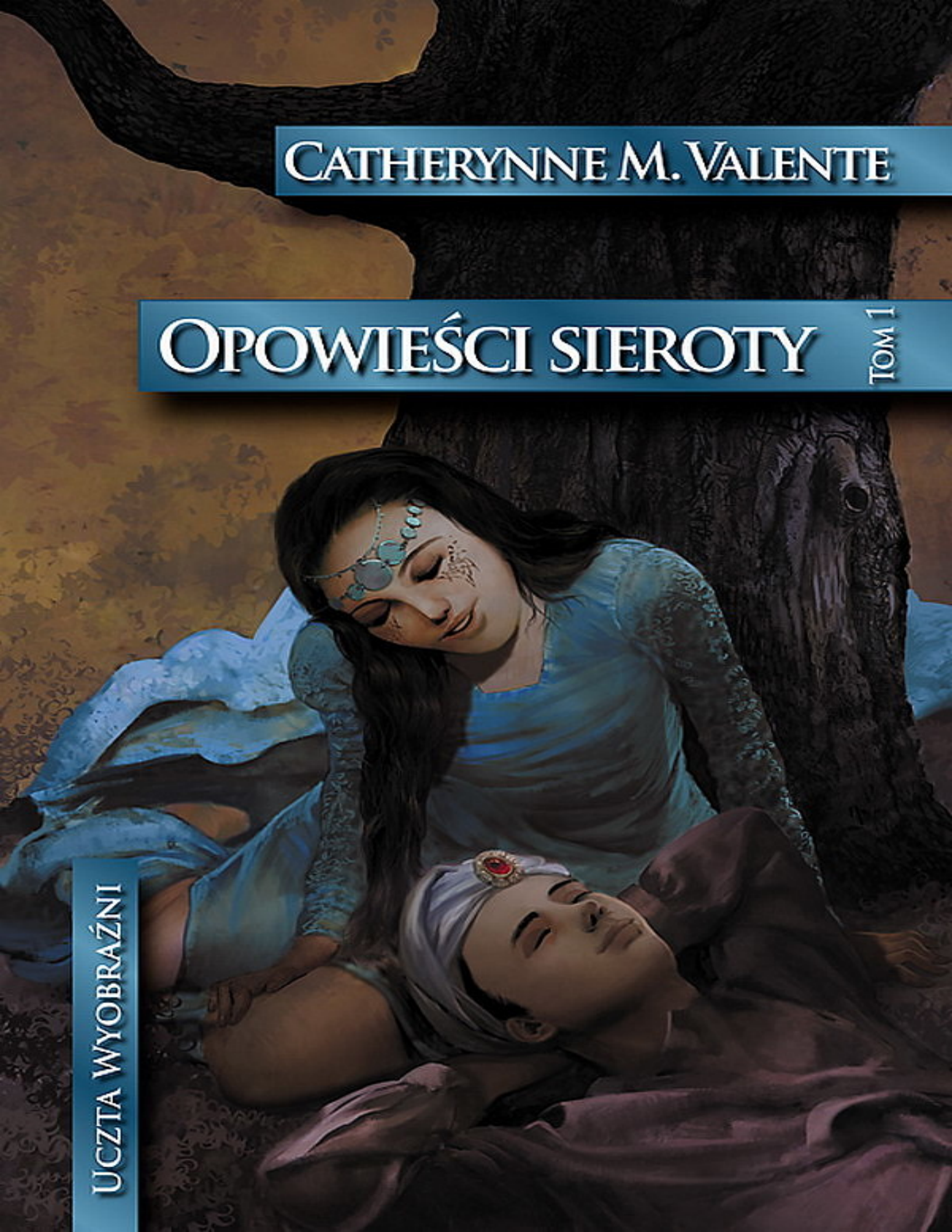


CATHERYNNNE M. VALENTE

OPOWIEŚCI SIEROTY

TOM 1

UCZTA WYOBRAŹNI



CATHERYNNNE M. VALENTE

OPOWIEŚCI SIEROTY

W OGRODZIE NOCY

(THE ORPHAN'S TALES. IN THE NIGHT GARDEN)

TOM I

Przełożyła: Maria Gębicka-Frać



WYDAWNICTWO MAG
WARSZAWA 2009

The Orphan's Tales: In the Night Garden
Copyright ©2006 by Catherynne M. Valente
Copyright for the Polish translation
© 2009 by Wydawnictwo MAG

Redakcja:

Maria Rawska

Korekta:

Magdalena Górnicka

Projekt graficzny serii:

Piotr Chyliński

Ilustracja i opracowanie graficzne okładki:

Damian Bajowski

Projekt typograficzny, skład i łamanie:

Tomek Laisar Fruń

ISBN 978-83-7480-132-4

Wydanie I

Wydawca:

Wydawnictwo MAG

ul. Krypska 21 m. 63, 04-082 Warszawa

tel. /fax (0-22) 813 47 43

e-mail: kurz@mag.com.pl

<http://www.mag.com.pl>

Wyłączny dystrybutor:

Firma Księgarska Jacek Olesiejuk Sp. z o.o.

ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.

tel. (22) 721-30-00

www.olesiejuk.pl

Druk i oprawa:

drukarnia@dd-w.pl

*Dla Sarah,
która, kiedy była bardzo młoda,
chciała mieć ogród.*

Spis treści

Strona tytułowa

Księga Stepu

Preludium

W ogrodzie

W ogrodzie

Poza ogrodem

W ogrodzie

W wieży

W ogrodzie

O świtaniu

Księga Morza

W pałacu

W ogrodzie

W ogrodzie

W ogrodzie

W ogrodzie

W ogrodzie

W ogrodzie

W ogrodzie

Podziękowania

Księga Stepu

Preludium

Pewnego razu żyła sobie dziewczynka, której twarz przypominała księżycową poświatę srebrzącą cyprysy i pióra ptaków. Była dziwnym dzieckiem, tajemniczym. W zimowe noce siadywała samotnie w wielkim pałacowym ogrodzie, kładąc ręce na śniegu i patrząc, jak topi się pod wpływem jej ciepła. Nosila koronę z liści czosnku i glicynii; piła ze srebrnych fontann wyłożonych lapis-lazuli; jadła zimne gruszki pod baldachimem sosen w deszczowe popołudnia.

Na powiekach i wokół oczu miała dziwne i cudowne znamię, barwy głębokiej czerni z odcieniem indygo, jak tusz nalany do porcelanowych filiżanek. Nadawało jej to tajemniczy wygląd milkliwej sowy, która siedzi w krokwiach z kości słoniowej, albo szopa pijącego z wartkiej rzeki. Gdy dorosła, nigdy nie musiała przyciemniać powiek proszkiem antymonowym.

Z powodu tego znaku wzbudzała lęk i od najwcześniejszych dni skazana była na samotne wędrówki po ogrodzie wokół pałacu o wielu wieżach. Rodzice patrzyli na nią z niepokojem i zgrozą, zastanawiając się, czy skaza ta źle świadczy o ich cnocie. Inni wielmoże głęboko wierzyli, że dziewczynka jest demonem, zesłanym w celu zniszczenia olśniewającego dworu. Dzieci, które często krążyły po ogrodzie niczym stado dzikich gęsi, trzymały się od niej z daleka, żeby nie rzuciła na nie klątwy swoimi strasznymi mocami. Sułtan nie mógł rozstrzygnąć — jeśli była demonem, czyż pozbywanie się jej jak skoszonej trawy nie obrazi jej piekielnych krewnych? W końcu wszyscy uznali, że najlepiej będzie, by pozostała cicha i daleka,

wtedy nikt nie będzie musiał zastanawiać się nad tym dylematem.

I tak było przez wiele lat. Trzynaście letnich pór roku rozkwitło i zwiędło jak bujne pomarańczowe róże.

Pewnego dnia do dziewczynki podszedł, aczkolwiek niezbyt blisko, chłopiec płochliwy niczym jelonek, gotów pierzchnąć w cienie. Jego twarz przypominała zimowe słońce, był szczupły jak nadrzeczna trzcina. Stanął przed dziewczynką, która miała na sobie obszarpaną jedwabną sukienkę i wyświechtany płaszcz, niegdyś biały, i dotknął jej powiek słodko pachnącym palcem. Ona, ku swemu zaskoczeniu, zniosła to lekkie dotknięcie, była bowiem samotna i zawsze pełna smutku.

— Naprawdę jesteś duchem? Bardzo złym duchem? Dlaczego masz takie ciemne oczy jak jezioro przed świtem? — Śliczny chłopiec przekrzywił głowę niczym ibis pośrodku strumienia.

Dziewczynka nie odpowiedziała.

— Nie boję się ciebie! — Chłopiec stał dzielnie w miejscu, lecz głos mu się załamał. Wierzby kołysały się na zachodnim wietrze. Gdy dziewczynka przemówiła, jej głos przypominał cichy szmer cykad na zasnutych mgłą wzgórzach.

— Dlaczego?

— Jestem bardzo odważny. Pewnego dnia zostanę wielkim generałem i będę nosić szkarłatny płaszcz.

Dziewczynka omal się uśmiechnęła na te słowa.

— Czy przyszedłeś poskromić wielkiego demona-dziewczyne, który straszy w ogrodzie? — szepnęła.

— O nie, ja... — Chłopiec rozłożył ręce zakłopotany.

— Nikt nie wyrzekł do mnie tylu słów, odkąd ujrzałam zimowy śnieg przez ciepłe okno obwieszane futrami. — Dziewczynka patrzyła na niego nadzwyczaj spokojnie. Nagle maleńkie światełko rozbłysło w jej mrocznych oczach i podjęła decyzję. — Mam zatem powiedzieć ci prawdę? Zdradzić ci swój sekret? Tobie jednemu spośród wszystkich dzieci, które noszą pierścienie z rubinami i pachną oliwkowym mydłem? — Jej głos stał się tak cichy, że płynął niemal bez tchnienia.

— Zapytałem, prawda? Potrafię dochować sekretów. Moja siostra mówi, że jestem w tym bardzo dobry, jak Król Złodziei w bajce dla dzieci.

Zapadła długa chwila ciszy. Chmury przysłoniły słońce. Dziewczynka zaczęła mówić bardzo cicho, niemal jakby się bała słuchać własnego głosu.

— Pewnego wieczora, gdy byłam bardzo mała, do wielkiej srebrnej bramy podeszła stara kobieta i skręcając w rękach korzenie róż, powiedziała mi, co następuje: Nie urodziłam się z tym znakiem. Siódmego dnia siódmego miesiąca mojego życia, gdy moja matka spała w śnieżnobiałym łożu, duch stanął u mojej kołyski, dotknął mojej twarzy i zostawił na niej wiele opowieści i zaklęć, jak tatuaże żeglarzy. Wiersze i pieśni są tak liczne i ściśle napisane, że wyglądają jak nieprzerwana smuga gagatu na moich powiekach. Ale są tam słowa z rzeki i bagna, z jeziora i wiatru. Razem tworzą wielką magię, a gdy wszystkie opowieści zostaną odczytywane i wysłuchane od początku do śpiewanego końca, do ostatniej sylaby, duch wróci i mnie osądzi. Gdy stara kobieta roztopiła się w nocy o granatowym obliczu, codziennie skrywałam się w gąszczu jaśminu i oleandrów, próbując odczytać, ile mogłam, w wykutym z brązu zwierciadle albo w tafli stawów ogrodu. Ale to trudne, muszę

czytać w lustrzanym odbiciu i tylko jednym okiem naraz. — Urwała, a jej ostatnie słowa brzmiały nie głośniejsz niż szmer pająka tkającego opalowe nici. — I nikt nie słuował.

Chłopiec wyteżył wzrok. Przyjrzał się z bliska i dostrzegł kręte linie w litej czerni jej powieki, sugestię alfabetów i liter, których nie potrafił sobie wyobrazić. Im pilniej patrzył, tym więcej kształtów jakby skakało ku niemu, zdawało się go czepiać, aż dostał zawrotu głowy.

Oblizwał usta. Oboje teraz szeptali, jak konspiratorzy i złodzieje. Inne dzieci odeszły i stali samotnie pod warkoczami witek sękatej wierzby.

— Powiesz mi? Opowiedz mi jedną historię ze swoich powiek. Proszę. Tylko jedną. — Bał się, że dziewczynka ofuknie go i czmychnie jak pies, który często jest bity. Ale tylko patrzyła na niego tymi dziwnymi, ciemnymi oczyma.

— Jesteś dla mnie miły, gdy nikogo innego nie ma w pobliżu. A moje opowieści są wszystkim, co mogę ci dać w podzięce. Musimy jednak przejść z otwartego ogrodu do mojej kryjówki, bo nie chcę, żeby wiedział o tym ktoś inny. Z pewnością ty zostałbyś ukarany, mnie zabraliby lusterko i nóż, a jest to wszystko, co posiadam. Zamknęliby mnie pod kluczem, żeby demon nie spustoszył ich pięknego domu.

I tak odeszli chyłkiem od żółknącej wierzby, klucząc wśród niezliczonych rzędów róż. Przemknęli pod łukiem kwiatów kasztanowca i nagle zamknęła się wokół nich altanka białych płatków, których zapach muskał ich niczym dłonie. Czerwone gałęzie utkały coś w rodzaju niskiego daszka, a na miękkiej, zasłanej liśćmi ziemi było dość miejsca, żeby oboje mogli usiąść.

— Opowiem ci pierwszą historię, którą zdołałam odczytać, ze zmarszczki na lewej powiece.

Chłopiec siedział w bezruchu, wytężając słuch jak zając o jedwabistych uszach, przycupnięty głęboko w lesie.

— Kiedyś daleko stąd żył sobie niespokojny książę, któremu ani bogactwa ojca, ani piękno pałacowych kobiet, ani uciechy sali biesiadnej nie sprawiały radości. Zwał się Leander, po płowym lwie, który hasa po stepach niczym groźny wiatr. Pewnej nocy wyruszył z porośniętych winoroślą murów wielkiego zamku jak jastrząb na łowy, by znaleźć spokój i ukoić smutki gryzące go w piersi...

Opowieść o księciu i gęsi

Księżę wymknął się w nocy, cienie okręcały się wokół niego jak śliskie piskorze, jego kroki były czarne i bezdźwięczne na sosnowych igłach. Wędrował przez las, gwiazdy rozlewały się po niebie, jakby pękła jakaś złota tama; wędrował bez szczególnego planu, chcąc tylko jak najdalej odejść od pałacu przed wschodem słońca, zanim psy ojca ruszą jego tropem. Korony drzew tworzyły dach z wielu dachówek nad jego głową, wonną mozaikę na tle błękitnych obłoków. Po raz pierwszy w młodym życiu księżę czuł głębokie szczęście opromienione światłem.

Gdy świt podkradł się jak przebiegły złodziej, księżę oparł się o pień wielkiego baobabu, przytulając głowę do sękatego drewna. Zjadł na śniadanie ser i suszone mięso, które ukradł z kuchni. Słone mięso smakowało lepiej niż wszystko, czego dotąd kosztował, a po posiłku przespał kilka godzin pod niebem, które rozkwitało kolorami glicynii i lilii.

Wędrując dalej, po niedługim czasie natknął się na prześliczną łąkę. Pośrodku stała chata kryta strzechą, z solidnymi drewnianymi drzwiami, na których jeżyły się mocne mosiężne ćwieki. Komin dymił wesoło, rozsiewając woń szałwi i cedru. Wokół domku kręciło się stado szaropióрых gęsi krążących jak pierzaste chmury, eterycznych i dzikich. Były to piękne ptaki, gęgające i stroszące pióra pod zadartymi okapami z drzewa kamforowego i świeżej słomy.

Młody księżę, choć młody i pomysłowy, był niezbyt rozsądny, toteż zabrał z kuchni niewiele jedzenia i tylko parę jabłek z

sadu. Założył, że z łatwością się wyżywi, bo cały świat musiał być równie żyzny jak ziemie ojca, wszystkie drzewa pełne podobnych klejnotom owoców, wszystkie zwierzęta potulne i smakowite, wszyscy wieśniacy mili i szczodrzy. W drodze zaczął rozumieć, że może być inaczej, i głośno burczało mu w brzuchu. Postanowił uzupełnić zapasy w sakwie przed podjęciem wędrówki. Gęsi przecież jest wiele, a mieszkańcy tej pięknej chaty, kimkolwiek są, z pewnością nie zauważą zniknięcia jednego z długoszyich ptaków.

Księżę od wczesnego dzieciństwa uczył się polowania i podchodzenia zwierzyny, więc umięśnione nogi bezgłośnie wyniosły go z kryjówki. Zakradł się za wielki pług i przypadł w wysokiej letniej trawie, czekając na odpowiednią chwilę, panując nad oddechem i spowalniając bicie serca. Przedpołudniowe słońce mocno grzało go w kark. Włosy spłynęły potem, który skapywał na kołnierz, ale Leander trwał w bezruchu. W końcu jedna gęś odbiła od stada i zajrzała za mielesz pługu, wbijając w niego szeroko otwarte czarne oczy. Były bardzo dziwne, bezkresne i dalekie jak jesienny księżyc, pozbawione źrenic i pełne wyrazu.

Ale księżę, szybki jak wilk o lśniącym futrze, uniknął ich spojrzenia. Chwycił za długą szyję i skręcił ptakowi kark — dźwięk nie był głośniejszy niż trzask gałązki pod stopą. Leander podniósł się z zeschniętej trawy i ruszył w kierunku lasu, ale gęsi zauważyły, że brakuje jednej z nich, i wszczęły przeraźliwe larum.

Drzwi się otworzyły i z chaty wypadła przerażająca kobieta, zawierucha siwych włosów i lśnienia ostrza siekiery. Twarz miała szeroką i płaską, pokrytą strasznymi, tajemniczymi znakami; duże czarne tatuaże i blizny cięły jej rysy, więc

niepodobna było powiedzieć, czy kiedyś mogła szczyścić się urodą. Nosiła szeroki skórzany pas nabijany srebrem, na biodrach lśniły dwa długie noże. Jej upiorne wycie wstrząsnęło cyprysami i dębami, wibrując w powietrzu jak ostatnie tony strzaskanego fletu.

— Coś ty zrobił? Co uczynił? Ty wstrętny młokosie! Zbójcu, demonie! Znów wrzasnęła głosem wyższym i bardziej przeraźliwym niż skrzeczenie sowy. Zawtórowały jej gęsi, lamentując i zawodząc. Ich krzyk żłobił powietrze i żyzną czerwoną ziemię, dźwięk potworny i obcy, pełen nieludzkiego, bezdennego żalu, rozdzierający uszy jak szpony.

Wreszcie kobieta uciszyła się i tylko z płaczem kręciła dużą głową. Książę stał oszołomiony, bardziej przygnębiony udaremniwym złodziejstwem niż jej gniewem. Była przecież tylko niewiastą, a on pozbawił życia zwyczajnego ptaka. Niemłoda, skurczona wiekiem, nie stanowiła dlań zagrożenia. Książę wiedział, że nie ma się czego obawiać. Trzymał zabitego ptaka za plecami, mając nadzieję, że szeroki tors i ramiona ukryją go przed jej wzrokiem.

— Dopiero co natknąłem się na twój dom, pani. Nie chciałem nikogo urazić. Nieszczęsna kobieta znów krzyknęła i jej oczy koszmarnie zogromniały. Wcześniej nie dostrzegł ich żółtawego odcienia, który teraz był bardzo wyraźny, dziki i chorobliwy.

— Łżesz, łżesz! Uśmierciłeś moją gęś, mojego pięknego ptaka, moje dziecko! Była moja, a ty skręciłeś jej kark! Moje maleństwo, moje dziecko! — Wybuchła gorzkim płaczem.

Książę nie mógł zrozumieć. Wyciągnął martwą gęś z za pleców, by podać starusze.

Miał w garści nie ptaka, lecz piękną dziewczynę, drobną i delikatną jak żuraw stojący w wodzie. Długie czarne warkocze

niczym węzowe sploty wiły się wokół jego ręki, bo trzymał ją za włosy. Okrywały ją przejrzyste łachmany, ledwo osłaniając połyskliwą skórę. Smukła, gładka szyja była wprawnie złamana.

Wytatuowana kobieta rzuciła się w jego stronę, wymachując siekierą jak kosą w pszenicy, i książę otworzył rękę, a wówczas ciało dziewczyny ze strasznym łoskotem upadło na trawę. Starucha podbiegła i stanęła jak wryta, dysząc mu w twarz, jej oddech cuchnął zgniłymi śliwkami i ciemnym, tajemnym mchem. Podniosła siekierę i opuściła, obcinając dwa palce lewej ręki księcia, i zlizwała mgiełkę krwi ze spękanych ust. Cios był nagły i celny, Leander tylko krzyknął i ścisnął okaleczoną dłoń. Wiedział, że jeśli rzuci się do ucieczki, straci coś więcej niż palec. Obiecał starusze tysiąc tysięcy królestw, skarby stu smoków, paplał przysięgi jak dziecko. Ona jednak nie chciała niczego i powoli przysuwała rękę do jednego z długich noży.

— Zabiłeś moje dziecko, moją jedyną córkę.

Położyła ciężką siekierę na wilgotnej ziemi i z przeciągłym złowieszczym szmerem wysunęła z pochwy jedno długie, jasne ostrze...

Dziewczynka umilkła i spojrzała chłopcu w oczy, podobne głębokim moczarom o zachodzie słońca.

— Nie przerywaj! — wykrztusił. — Powiedz mi! Czy zabiła go na miejscu?

— Jest noc. Musisz iść na kolację, a ja muszę urządzić sobie posłanie w konarach cedru. Każde z nas ma swoje sprawy.

Chłopiec westchnął, gorączkowo szukając pretekstu, żeby zostać i poznać dalsze losy rannego księcia. Wymamrotał w

pośpiechu:

— Zaczekaj, zaczekaj. Pójdę na kolację, ukradnę dla ciebie trochę jedzenia jak dzielny książę Leander, i wrócę tutaj pod osłoną nocy niczym jastrząb na łowach, i zostanę z tobą, tutaj pod gwiazdami, które są jasne jak pióra żurawia w słońcu. Wtedy dokończysz opowieść. — Patrzył na nią z nadzieją bardziej płomienną niż wszystkie pochodnie płonące teraz we dworze.

Dziewczynka milczała przez chwilę, chyląc głowę niczym świątynna postulanka.

Wreszcie przytaknęła, nie patrząc na niego.

— Zgoda.

W ogrodzie

Gdy ostatnie harfie struny szkarłatu westchnęły w milczącej ciemności zachodu, chłopiec wrócił, niosąc wypchane zawiniątko. Wczołgał się w gąszcz i z dumą uszykował ucztę. Dziewczynka siedziała jak wówczas, kiedy ją zostawił, nieruchoma niczym jeden z cichych posągów w ogrodzie. Jej dziwny spokój odbierał mu odwagę, przerażał go. Nie mógł wytrzymać mrocznego spojrzenia jej migdałowych oczu otoczonych dziwnymi znakami.

Zerknął z zakłopotaniem na parujące jedzenie. Na kwadraciku jedwabiu leżał lśniący pieczony gołąb, duże brzoskwinie i zimne gruszki, pół bochenka chleba maślanego z dżemem, gotowana rzepa i ziemniaki, grudka twardego sera i kilka ocukrzonych fiołków, które capnął z przybrania stołu. Wyjął z kieszeni butelkę jasnego rozcieńczonego wina, wielki łup z wyprawy do kuchni.

Dziewczynka nie zrobiła ruchu, nie tknęła gołębia i gruszek. Krucze włosy opadły jej na twarz, poruszone ciepłym podmuchem, i nagle zapłakała z drżeniem. Chłopiec nie wiedział, gdzie podziać oczy, nie chciał jej zawstydząć patrzeniem na łzy. Wbił wzrok w drżące gałęzie dalekiego cyprysa i czekał. Jakiś czas później szlochanie ucichło i dziewczynka się uspokoiła.

Oczywiście rozumiał, że nigdy w życiu tak dobrze nie jadła, gdyż nigdy nie zaproszono jej na kolację do pałacu — przypuszczał, że żywi się jak żebraczka, owocami i orzechami z ogrodu. Nie mógł jednak zrozumieć, dlaczego obfitość pokarmu

może skłaniać kogoś do płaczu. Ręce miał delikatne, pachnące różanym olejkiem, a jego włosy lśniły. Nie znał niczego poza dworem i jego uwielbieniem dla pięknych młodzieńców. Był jednak dzieckiem o szlachetnym sercu, dlatego nie chciał jej peszyć okazywaniem współczucia.

Dziewczynka bez słowa oderwała skrzydełko gołębia i ostrożnie podniosła mięso do ust. Wyjęła ukryty w fałdach prostej sukienki ozdobny srebrny nożyk i przecięła gruszkę na pół. Gdy podała chłopcu jedną bladozieloną połówkę, zastanowił się mimochodem, skąd ma taki piękny nóż. Z pewnością on nie miał czegoś równie pięknego, a przecież sukienkę, jeśli można to nazwać sukienką, nosiła wyświechtaną i miała brudne paznokcie. Nić wonnego soku spłynęła jej po brodzie i po raz pierwszy dziewczynka się uśmiechnęła, i ten uśmiech był jak wschód księżyca nad górskim strumieniem, jak światło pochwycone przez blade poroże jelenia, jak czysta woda płynąca pod nocnym niebem. Kiedy znów przemówiła, chłopiec pochylił się z przejęciem, odgarniając z czoła gęste ciemne włosy, ugryzł dojrzałą brzoskwinię i wepchnął do ust kawałek sera, odruchowo, nie zauważając smaku. Przymknął oczy. Gdy zaczęła mówić, jej powieki również opadły i pokrywająca je mozaika zdawała się pływać niczym czarne lilie po bladym stawie twarzy.

— Dzika kobieta wyjęła z za pasa długi nóż i trzymała go przez chwilę, niemal żartobliwie, przy gładkiej szyi księcia, gotowa do zabójczego ciosu...

Opowieść o księciu i gęsi, ciąg dalszy

— Daruj mi życie, pani — szepnął Leander. — Błagam. Zostanę tutaj i będę twoim sługą. Zajmę miejsce ptasiej panny i będę ci wierny do końca moich dni. Będę twój. Jestem młody i silny. Proszę.

Nie wiedział, co skłoniło go do wysunięcia takiej propozycji, obowiązującej jak prawo. Ale słowa wyrwały się z niego, jakby kobieta włożyła pięść do jego gardła i sama je wyciągnęła.

Jej oczy płonęły jak chmury obsiane tysiącami ziarenek, z których rodzą się błyskawice. Teraz był w nich jednak błysk kalkulacji. W następnej chwili nóż zniknął spod brody księcia.

— Jeśli nawet się zgodzę, to cię nie ocali — syknęła głosem wielkiej ropuchy śpiewającej o świcie. — Ale opowiem ci o mojej córce i jak zyskała skrzydła. Wtedy może zrozumiesz swoją propozycję i przekonamy się, czy nie wolałbyś śmierci.

Zamilkła. Zamiast rozpocząć opowieść, oderwała z kołnierza długi pas nakrapianego futra i obandażowała mu rękę. Ruchy miała wprawne i znacznie delikatniejsze, niż się spodziewał, niemalże, choć nie całkiem, czułe. Z sakiewki u pasa wyjęła zwiędnięte liście, wśród których rozpoznał wawrzyn i jałowiec. Przyłożyła je do zakrwawionych kikutów. Zaciskając opatrunek, przyjrzała się swojemu dziełu i osądziła, że jest wystarczająco dobre.

— Po pierwsze, nie jestem ślepa. Widzę, że jesteś młody i silny, i nie ma wątpliwości, że mogę wykorzystać twoją młodość

i werwę jak źródlaną wodę. Ale nie o to chodzi. Umiesz słuchać? Umiesz się uczyć? Potrafisz zachować milczenie? Ciekawe. Zdaje się, że jesteś zepsutym młokosem, który nie ma uszu.

Księżę spuścił głowę skruszony. Głuche tętnienie w okaleczonej ręce ustało. Nic nie mówił, uznając, że milczenie jest najlepszą tarczą, jaką może się przed nią bronić. Starucha usiadła pod wielkim kamieniem i zmięła w sękatych palcach kilka pachnących piżmem liści...

Opowieść więdźmy

Pochodzę z plemion północy, spośród stepowych kobiet z ich kudłatymi końmi i oblepionymi śniegiem warkoczami. Jestem pewna, że słydziałeś opowieści — byłyśmy potworami, wybrykami natury, i zasłużyłyśmy na to, co w końcu nas spotkało.

Wśród tych nieludzkich potworów ja byłam najbardziej potworna i najbardziej nieludzka. Zwali mnie Nóż. W młodości, gdy moja siła wibrowała niczym napięta cięciwa, jeździłam konno najlepiej ze wszystkich dziewcząt. Miałam wiele naszyjników z jaspisu i wilczych kłów, trzy piękne noże myśliwskie, mocny łuk, który umiałam napiąć w kształt pełni księżyca, kołczan strzał z jastrzębimi piórami i skórę żbika, mojej pierwszej myśliwskiej zdobyczy. Wokół mnie rozciągały się dzikie stepy o barwie miodu, gdzie polowałyśmy na tłuste jelenie i gdzie brykały lśniące, brązowe, pachnące konie, które uwielbiałam. Biegały jak zmarszczki po górskim jeziorze. Biegałam wraz z nimi, jeździłam na nich i spałam przytulona do ich boków.

Byłam szczęśliwa, słońce stało wysoko. Miałam wszystko, czego potrzebowałam.

Moje siostry były starsze ode mnie, moi bracia przebywali daleko, walcząc na granicach naszego kraju. Byłam taka wolna i dzika, że mój śmiech często przypominał warczenie. Pewnego dnia babcia Zgięty Łuk, którą wszyscy nazywali Babcią, ale która naprawdę była moja i miała najbrzydszą twarz, jaką znałam, jak posiekana kora, wezwała mnie do siebie pod

nowym księżycem. Powiedziała mi, że znalazła dla mnie mężczyznę, którego mam poślubić. Bardzo kochałam babcię, ale nie chciałam wychodzić za mąż. Byłam silną, szybką kłaczą i nie potrzebowałam ogiera, który by mnie spowalniał. Ale słowo babci u nas stanowiło prawo. Potwory, wiesz, nie umieją doceniać subtelności przykazań wyrytych w kamieniu.

I tak, choć byłam bardzo młoda, stanęłam w jej spodniach z pięknej jeleniej skóry, z dumnym żbiczym futrem na ramionach, i wyszłam za mężczyznę, którego mi wybrała. Był smagły, miał bardzo błyszczące oczy, i polowaliśmy razem — z początku tnąc mięso obok siebie, ale z czasem staliśmy się jednym myśliwym, skaczącym na grubokościstego jelenia z błyskającymi bliźniaczymi nożami. Śmialiśmy się, warczeliśmy i znów się śmialiśmy pod niebem, na którym gwiazdy jaśniały jak krople mleka rozprysnięte po czarnej skórze.

Kiedy nie polowałam z mężem, ścigałam się z siostrami, Cięciwą i Kołczanem — wśród nas córki zawsze przychodzą trójkami — ćwiczyłam pieśni naszego plemienia i brzdąkający śpiew naszych łuków, a od babci uczyłyśmy się magii. Splatałam jej srebrne włosy, gdy uczyła nas tajemnych rzeczy — potwornych rzeczy, rzeczy sprzecznych z naturą. Pod Gwiazdą Wężem, Gwiazdą Uzdą i Gwiazdą Nożem, moją imienniczką, babcia pokrywała moją twarz delikatnymi tatuażami i zwała mnie swoją najlepszą dziewczynką, zwała mnie uczennicą i prawdziwą koniarką.

Rośliśmy, polowaliśmy, śmialiśmy się. Ale choć tego nie wiedziałam, słońce opadało coraz niżej na niebie.

Pewnego dnia wojska twojego ojca...

Przestań wytrzeszczać oczy, chłopcze. Sądzisz, że nie wiedziałam, kim jesteś, już w chwili, gdy wszedłeś na moją

ziemię?

Pewnego dnia wrzeszczące wojska twojego ojca nadciągnęły z południa jak preriowy pożar. Król chciał zagarnąć nasze tłuste stada i silne konie. Chciał mieć głowy potworów na swojej ścianie. Chciał oczyścić swoje królestwo z odmieńców, z wybryków natury, które wyły, pełzały i przynosiły wstyd cywilizowanemu światu.

Nigdy nie widziałam niczego podobnego do jego żołnierzy. Nosili zbroje jak rybie łuski, na hełmach mieli strzeliste ciemne pióropusze i lśnili niczym tysiąc srebrnych chmur na koniach czarnych niczym demony. Wystrzeliłam w te chmury wszystkie swoje strzały, i wszystkie strzały Cięciwy z lotkami z kruczych piór, gdy jakiś mężczyzna odrąbał jej prawicę. Spod ciemnych, wilgotnych wnętrzości siostry wyciągnęłam jej nóż i próbowałam wbić go w trzewia jednego z chmur, ale nieczęsto używałam ostrzy, niezależnie od mojego imienia, więc pokonał mnie, jeszcze zanim moja ręka zaczęła kreślić łuk.

Był brudnym człowiekiem — a kiedy stworzenie, które spędza noce wciśnięte pomiędzy konie, bez dachu nad głową, zwie ciało brudnym, możesz być pewien, że nie chodzi o smród zwyczajnego brudu. Drapiąc mnie związaną rzemieniami brodą, zawieszoną i zakrwawioną, chwycił mnie w tali i wciągnął na koński grzbiet. By zamknąć moje przeklinające usta, trzasnął mnie w twarz opancerzoną pięścią. Rękawica uniosła się przede mną, srebrna i dziwnie piękna, a potem moje czoło pękło i zalało się czerwienią.

Jaki był ze mnie potwór? Nie zdołałam dotrzymać pola nawet jednemu rycerzowi; nie mogłam wbić miecza nawet w jedną kwiczącą świnię. Spojrzałam przez płachtę łez, krwi i lepkiej gliniastej ziemi i zobaczyłam, że mój młody mąż pędzi za nami

z wyciem ranionego wilka, a za nim gna twój ojciec z kruczym pióropuszem, na rumaku bojowym. Jeździec w czarnych piórach ciął ogromnym mieczem biedną pierś mojego męża, bez jednej myśli czy wysiłku, jakby łapał muchę palcami. Kawałki kości i krwi frunęły do przodu, mój mąż plunął krwią na trawę i ukląkł jakby w modlitwie, a potem runął twarzą w krwawe błoto.

Próbowałam przestać płakać i przytuliłam policzek do boku obcego konia, szukając pociechy — przynajmniej był to koń, przynajmniej potem i skórą nie różnił się od moich długonogich przyjaciół — szukając węchem dobroci mojej rodziny w tym grubym, potężnym tułowiu.

Ruszyliśmy na południe.

Słońce znikło.

Ta pierwsza pięść — pierwsza z wielu — naznaczyła moją twarz, pokryła moje czoło bliznami grubymi jak lina żeglarza. Reszta jednakże jest moim dziełem. Jechaliśmy długi czas. Straciłam rachubę tych dni. Spowijał mnie kwaśny zapach brudnego mężczyzny i przymierającego głodem konia. Brakowało żywności dla rycerzy i kobiet, co dopiero dla tych biednych zwierząt, które powinny być nacierane olejem, kochane i głaskane podczas picia wody.

Po paru dniach Kołczan odebrała sobie życie, skacząc do rzeki; nurt jak tchnienie nocy uniósł ją daleko ode mnie, choć powinnam ją złapać i przytulić jej twarz do mojej. Była najstarsza, jednak ja żyję, a ona jest martwa.

Wiedziałam, zanim przybyliśmy do pałacu, co się ze mną stanie. Nawet potwory nie są głupie. Miałam zostać niewolnicą,

przeznaczoną do sprawiania przyjemności twojemu ojcu i jego unurzonym w brudzie żołnierzom. Miałam chodzić ślicznie ubrana i natarta olejami jak ladacznica. Niewola mnie nie trapiła, ucieczka miała być dość prosta. Ale nie chciałam robić nic dla ich przyjemności i nie chciałam być dla nich piękna. Uznali, że tatuaże zrobione przez moją babcię, te piękne ciemne linie wijące się po mojej twarzy, są egzotyczne.

Moja nienawiść płonęła czarnym, wściekłym ogniem. Pewnej nocy, gdy śmierdzący brudem rycerz, który mnie pojmał, zapadł w pijacki sen, wyjęłam sztylet z pochwy u jego pasa. Była to piękna broń, z prostym, czystym ostrzem, które migotało jak woda grobowca Kołczana. Przyłożyłam je do policzków i pociągnęłam dwa razy, trzy razy, na zawsze niszcząc piękno, jakie mogą posiadać potwory.

Oczywiście mężczyźni wpadli we wściekłość, gdy rankiem ujrzeli moją twarz grubo usmarowaną krwią, jakbym włożyła szkarłatną maskę ze skóry. Zabrali mnie z namiotu i zaciągnęli do kolumny niewolników, żalosnych stworzeń przeznaczonych do pracy w kopalniach i kamieniołomach. Naprawdę wierzyłam, że i ja tam trafię, by ciąć skałę i wybierać metal z gór, i nie posiadałam się z radości — co jest łatwiejsze niż ucieczka, gdy wszędzie wokół wznoszą się zapraszające góry? Miałam wrażenie, że jestem w lisiej skórze, pełna nadziei zwycięstwa. Ale się pomyliłam.

Pałac wzniósł się przed nami jak ogier, ciężki i groźny, i ku memu przerażeniu nie wysłano mnie dalej, na usiane złotem wzgórze albo do wapiennych dolin, lecz wciągnięto do środka. W dół, w dół, w dół, w dół tysiący schodów, przez setki bram powlokły mnie szorstkie ręce i wrzuciły do maleńkiej celi

wilgotnej od potu i lat. Ach, pomyślałam wtedy, to moja kara za zniszczenie żołnierskiego łupu.

Wyłam, wrzeszczałam i skrzeczałam jak stado oszalałych sów, darłam włosy i kamienną podłogę, aż poharatane palce przestały mnie słuchać. Leżałam na kamieniach jak dziecko, skulona i płacząca, ucieczka była niemożliwa, miałam przeżyć życie w tym miejscu, sto nocy od śnieżnych, omiatanych wiatrem stepów. Wtedy z ciemności napłynął chichoczący głos, znajomy i szorstko słodki, pocierający mój policzek jak wilcze futro.

— Opadłaś z sił, dziewczyno? — zapytał cicho.

Spojrzałam w mrok, w kąt pomieszczenia, gdzie spodziewałam się zobaczyć stosy kości i starych włosów, i ujrzałam swoją babcię siedzącą ze skrzyżowanymi nogami, ubraną w łachmany i roześmianą.

— Musiałaś się trochę wykrzyczeć, wiem, ale teraz tylko sobie pobłażasz. Czyżbym niczego cię nie nauczyła? — Otworzyła ramiona, suche jak spękana kora, a ja w nie wpadłam. Nie wiem, jak długo mnie tuliła, ile razy umarłam, wróciłam do życia i znowu umarłam. Ale kiedy spojrzałam w jej twarz, z uśmiechem gładziła mnie po włosach. — Nie jest tak źle, kochanie, mogli przecież cię zabić.

— To jest gorsze — burknęłam.

Babcia uderzyła mnie mocno w pokaleczoną twarz. Policzek zabrzmiał jak kłaśnięcie w koński bok.

— Nie. Żyjesz. Obie twoje siostry umarły. Litujesz się nad sobą, ty zepsute dziecko? Chyba cię rozpuściłam.

Zraniona, patrzyłam jak nieme zwierzę.

— Sprowadzili mnie tutaj, bo myślą, że mogą mnie złamać albo wykorzystać, albo jedno i drugie — mruknęła. — Jestem

przecież wyjątkową niewolnicą. Teraz należę do ich głupiego nadwornego czarodzieja, z kapeluszem i sztuczkami z królikiem. Postanowiłam, że będę z tego rada. Zostawię mnie tutaj na tyle długo, żebym zrozumiała, kto rządzi, a kto nie, po czym postawię przed królem, żeby pokazać, jakim dobrym jestem psem. Będę bliżej niż potrzeba, żeby poderżnąć mu gardło. — Uśmiechnęła się promiennie, pełna radości. — Mamy więc trochę czasu na rozmowy. Powiem ci wszystko, co musisz wiedzieć, żebyś też mogła być szczęśliwa ze swojego losu. — Ściągnęła usta, oglądając moje pokiereszowane policzki. — Dobrze, że oszpeciłaś twarz, bo dzięki temu jesteśmy razem, ale również dlatego, że piękne kobiety rzadko tworzą silne czary.

Słowa babci zbierały się wokół jak sadzawka zimnej wody, kołyszając mnie i chłodząc moją zaczerwienioną skórę. Jej oczy lśniły jak sówie, twarz była spokojna jak księżyc.

— Teraz słuchaj. Zanim nas rozdzielią, muszę ci opowiedzieć historię mojej nauki, żebyś wiedziała, co ja wiem i czego sama byś się nauczyła, i twoje siostry też, gdyby król nie spadł na nas jak kamień rzucony z wysoka. Skoro stało się, jak się stało, musisz wziąć wszystko, co możesz, z moich starych kości.

Dziewczynka przerwała opowieść, zaciskając delikatne usta, patrząc w noc oczami cienia i utkanej sieci.

— Przystajesz i ruszasz dalej jak uparty żółw — powiedział chłopiec głucho — zawsze chowasz głowę, gdy chcę usłyszeć więcej. Robisz mi tak na złość?

Dziewczynka uśmiechnęła się blado, jakby chciała przeprosić. Ostrożnie oblizwała wargi, ze smutkiem smakując resztki pieczonego gołębia.

— Muszę trochę odpocząć. Prześpijmy się godzinę, potem podejmę opowieść. — Urwała, zarumieniona po korzonki włosów. — Możesz położyć się koło mnie, jeśli chcesz; nocami jest tu zimno.

Zrobiła miejsce w długiej trawie i chłopiec niezdarnie położył się przy niej. Przez długi czas oboje nie mogli zasnąć, sztywni i wylęknięci, jakby jedno nie przespało wszystkich nocy w życiu obok brata lub siostry, a drugie nigdy nie nocowało w ukwieconych altankach i dziuplach drzew. On patrzył na nią, jej włosy poruszały się na wietrze jak rzeczne sitowie, aż wreszcie zasnęła, a wtedy, jakby bezwład jej członków stanowił swego rodzaju przyzwolenie, sam także zapadł w sen.

Ale niedługo później potrząsnął ją za ramię, spragniony jej historii jak żebrak wody na bezkresnej pustyni.

Opowieść babci

Opowieść o moich długich latach nauki jest zbyt obszerna, moje dziecko, żeby ci ją przekazać w tym krótkim, mrocznym czasie, który mamy dla siebie. Opowiem ci historię jednej nocy, ostatniej nocy mojego szkolenia, ostatniej nocy mojego dzieciństwa. To dobra historia, by snuć ją tutaj, w mrocznych zakamarkach ziemi, w tym najgłębszym z głębokich miejsc, gdzie nie dociera słońce.

Moja matka została zabita przez wrogie plemię, gdy byłam bardzo mała, a jej matka zmarła w porożu, tak więc nie miał kto mnie uczyć, pokazać mi tajemnych ścieżek, wskazać miejsca w plemienu. Zostałam zapakowana na wóz wraz ze skórą i klejnotami, zapłatą za moje wychowanie, i odesłana do sąsiedniej wioski, gdzie miała mnie uczyć tamtejsza czarownica. Włosy miałam wtedy gęste i czerwone, jasne niczym ogień pędzący po stepie. Moje członki były gładkie i twarde jak kopyta, jazda na podskakującym, brzęczącym wózku przez szerokie pustkowia pomiędzy wioskami wcale mnie nie trzymała.

Kiedy przybyłam na miejsce, nauczycielka wydała mi się dzika, piękna i straszna. Thurayya była bardzo surowa — nie ufała mojej obcości, moim rudym włosom i mojemu prostemu imieniu, a nade wszystko mojemu uporowi. Przez pierwszy rok tylko jej służyłam; zamiatałam izbę, polerowałam broń, nosiłam wodę, szczotkowałam konie. Nic do mnie nie mówiła. Spałam przed chatą, pod gwiazdami, na kobiercu suchej trawy. Dopiero drugiego roku pozwoliła mi spać obok siebie i zaczęła mnie

uczyć. Czy to właściwy sposób wychowywania dziewczyny? Nie wiem. Ja nie mogłabym w ten sposób traktować ciebie, Kołczana czy Cięciwy. Może jednak nie jestem taka silna jak moja dawna nauczycielka.

Pierwszej nocy tego drugiego roku leżałam sztywno obok jej starej piżmowej skóry, jej ostrych kości i strąków białych włosów, które w blasku dogorywającego ognia zyskały prawie mój kolor, gdy nie patrząc na mnie, nagle przemówiła:

— Posłuchaj, Zgięty Łuku, mała kozo. Widzisz, jeśli nie zdołasz nauczyć się czegoś poza dojeniem jaków...

Opowieść koniarki

Otwórz uszy i wpuść niebo. Na początku, zanim stałaś się iskierką we śnie o zapchlonej kudłatej kozie i samotnym parobku, nie istniało nic oprócz nieba. Było czarne i bezkresne, i miało wszelkie inne cechy, jakich się można spodziewać po niebie, na którym nie ma niczego. Ale niebo było niebem tylko wtedy, gdy patrzyło się na nie z ukosa — oglądane wprost, czego oczywiście nikt nie robił, gdyż nie było komu patrzeć, stawało się długim, gładkim bokiem Klaczy.

Klacz była kara i ogromna, i miała wszelkie inne cechy, jakich się można spodziewać po koniu wielkości wszystkiego.

Po długim czasie Klacz wygryzła w sobie dziurkę z powodów, które zachowała dla siebie. Dziurka wypełniła się światłem, jak dziura w tobie lub we mnie wypełniłaby się krwią, i nazwana została Gwiazdą. Takie były pierwsze, prawdziwe dzieci Klaczy, stworzone z jej ciała. Ponieważ lubiła światło i towarzystwo, wygryzała inne dziury, mniej więcej w kształcie Borsuków, Pługów, Jeleni, Noży, Węży, Lisów, Trawy i Wody, aż cała od nich zapłonęła, i wszystkie były Gwiazdami, i niebo przestało być puste.

Dziury wędrowały jak ty czy ja, a jedna, mniej więcej w kształcie Jeźdźca, dosiadła Klacz, która stała się pełna, tak pełna i ogromna jak koń wielkości wszystkiego, aż w końcu się ożrebiła, wydając cały świat w potoku światła, mleka i czarnej, czarnej krwi z najtajniejszych głębin nieba. Trawa, rzeki, kamienie, kobiety, konie, kolejne Gwiazdy, mężczyźni, chmury, ptaki i drzewa tańczyły po łożysku Klaczy, kąpały się radośnie

w mleku i tamowały upływ jej tajemnej krwi, i powstał świat, i oceany omyły brzegi, a Klacz odeszła, by cwałować po zakątkach siebie, ledwo widocznych na płonącym polu Gwiazd, i wylegiwać się na pastwisku, którego ani ty, ani ja nie możemy sobie wyobrazić, i skubać w spokoju swoje ulubione Gwiazdy Trawy.

Dziury, które były Gwiazdami, wciąż były pełne światła i wciąż wędrowały po niebie, niezdarne jak trzynogie psy. Bez Klaczy czerń była tylko czernią, nie bokiem, nie skórą, nie istotą z zapachem, solą i sierścią. Naturalnie, to przerażało dziury, gdyż do tej pory zawsze miały w nozdrzach zapach Klaczy i czuły ją za plecami. Kilka dziur spojrzało w dół na wszystkie istoty i rzeczy, które wyszły z Klaczy, i uznało, że wydają się one mniej straszne i ciemne niż niebo — a poza tym widziały istoty i rzeczy podobne do siebie: borsuki, pługi, jelenie, noże, ślimaki, lisy, trawę i wodę. I nawet konie, podobne do Klaczy, tylko znacznie mniejsze i wiele z nich innej maści.

I, moja parchata kózko, zaczęły żyć jak ty i ja, podczas gdy mniej dzielni spośród ich braci i sióstr zostali na niebie, żeby oświetlać im drogę. Gwiazdy były nauczycielami i uczniami, matkami i córkami, braćmi i wujami, i zrędliwymi starcami. I nie mogły nic na to poradzić: wszędzie, gdzie szły, niosły swoje światło, światło, które, jak pamiętasz, nie było naprawdę światłem, ale krwią Klaczy z pierwszych dni świata.

Na początku były tak pełne tej krwi-światła, że wszystko, czego dotknęły, srebrzyło się i bielalo — wypływała z nich jak pot i moczyła wszystko, na co spadała. Z biegiem czasu ubywało światła do wylania i dziury zaczęły się bać, że stracą ostatnią rzecz, którą dała im ich matka Klacz. Ale jeszcze bardziej się lękały wielkiego czarnego nieba bez matki, dlatego nie chciały

opuścić świata. Odchodziły w małych gromadach, jak kwiaty rosnące na skałach, do jaskiń i na wzgórza, do rzek i w doliny, daleko od wszystkich innych, i dotykały tylko siebie, bo pomiędzy nimi światło zbierało się w kałuże i falowało, nie wyciekając z ciał.

Ale choć Gwiazdy się ukryły, dotykane przez nie istoty i rzeczy pozostały, pełne światła, światła, które było krwią, i jarzyły się jego srebrem i bielą. Wszystkie te istoty i rzeczy były wyjątkowe, moja zapchlona kozo — będąc kamieniami albo roślinami, przekazywały swoje światło głębszym kamieniom i nasionom, a będąc ludźmi, przekazywały je swoim dzieciom. Światła ubywało z pokolenia na pokolenie, jak w Gwiazdach, gdy po raz pierwszy dotknęły świata i ich krew zaczęła wyciekać. Niedługo później nikt nie mógł powiedzieć, co było dotknięte w pierwszych dniach, a co nie. Światło zostało pogrzebane i utajone.

Ale nie zgaśło. W wielu rzeczach, stworzeniach i w wielu ludziach wciąż płonie, głęboko w trzewiach, i tym, moje chuderlawe koźlątko z brzuchem pełnym mleka, jest magia.

Opowieść babci, ciąg dalszy

Słuchałam jej historii i w głębi serca myślałam, że Thurayya pachnie potem, krwią, mlekiem i skórą jak sama Klacz, i przysunęłam się do niej powoli. Tej nocy nie powiedziała nic więcej.

Przez wiele lat roślam jak lśniący żrebak pod jej chmurnym spojrzeniem, ucząc się znajdować światło płonące w moich trzewiach, panować nad jego blaskiem i siłą, być jego uzdą i wędzidłem. Świat poruszał się pode mną niczym pole płynące pod bursztynowymi kopytami i czułam pulsującą we mnie krew-światło, żyjącą w moim ciele jak dziecko — a wiele ich odebrałam, moja dziewczyno, pod okiem Thurayyi i sama.

Radowałam się tym gromadzeniem światła w moim sercu. Uczylałam się wykorzystywać je w leczeniu, czarach i urokach, uczylałam się wypychać je z siebie i nadawać mu kształty. Wiele nocy spędziłam z nią pod błyskawicami i czarnymi chmurami, gdy jej włosy wiły się jak oszalałe węże, a chude ramiona sięgały ku rozgniewanemu niebu. Uczylałam się też bez światła: poznawałam zwyczaje zwierząt, zwyczaje stepów. Nauczyłam się odbierać żrebaka, który dusi się w łonie matki, a także chwytać i doić kudłate krowy żujące trawę na stepie. Czas płynął szybko, kiedy byłam młoda, i kochałam swoją nauczycielkę, i tyle jeszcze musiałam się nauczyć.

Ale pewnej nocy Thurayya przyszła do mnie, ukoronowana przez księżyc srebrem i czernią.

— Zgięty Łuku — syknęła — kozo mojego serca. Musisz pójść ze mną. Choć raz w życiu nie pytaj.

Otworzyłam i po namyśle zamknęłam moje wiecznie gadające usta. Wzięłam tobolek i poszłam za chudą wiedźmą na długą łąkę, która graniczyła z wioską. Thurayya kołysała się przede mną niewyraźna, gdy przemierzane mile niosły mnie w półsen, a niebo i gryzące zimowe powietrze omywało moje policzki.

Po jakimś czasie zbliżyliśmy się do urwiska, które pięło się przed nami niczym ogromny niedźwiedź. Thurayya przyciągnęła mnie do siebie i objęła, czego nigdy dotąd nie zrobiła. Kiedy się odsunęła, jej pobrużdżona twarz mokra była od łez.

— Byłaś moją najlepszą uczennicą. Jestem z ciebie dumna. Ale nie mogę pójść z tobą tej nocy. Nigdy tego nie zrobiłam, to nie moje prawo. To należy tylko do ciebie. Gdyby w twojej rodzinie zostały kobiety, żeby cię tutaj przyprowadzić, nigdy byśmy się nie poznały. Po tej nocy wrócisz do wioski i na tym się skończy twój czas spędzony ze mną. Będziesz pełną studnią. Masz w sobie dość srebrnej wody, żeby wrócić do swojego ludu i jej nie szczędzić, gdy będziesz ich prowadzić i nauczać. Reszta twojej edukacji będzie polegać na samodzielnym przyswajaniu wiedzy, na uczeniu się do końca swoich dni, kiedy będziesz nauczycielką i uczennicą, mistrzem i czeladnikiem. Wrócisz brzemienna wiedzą, którą zaniesiesz swojemu plemieniu, i twoja moc będzie rosła jak dziecko, i do końca życia będziesz rodzić w bólach. Najpierw jednak musisz przetrwać tę noc i wrócić. Wtedy będziesz gotowa, moja piękna córko. Moja piękna kózko.

Uśmiechnęła się promiennie, wyginając wargi w kształt kosy, i wskazała dziurę ziejącą w ścianie urwiska. Niezdarnie ucałowałam jej policzek. Byłam zdecydowana nie okazać lęku; chciałam go osiąść i wciągnąć w siebie, aby zamieszkał we mnie, dopóki nie rozpuści się w moim spokojnym, cichym brzuchu. Odwróciłam się od Thurayyi, od mojego życia u jej boku i od swojej młodości, i weszłam w paszczę jaskini.

Niebawem nic nie widziałam; ciemność przycisnęła się do mnie jak ręce. Zrobiłam sobie miejsce na chłodnej, zbitej ziemi i siedziałam, słuchając powolnego, leniwego szelestu nietoperzy nad głową. I czekałam, otoczona czernią.

Opowieść o księciu i gęsi, ciąg dalszy

Czerwieniejące słońce oświetlało twarz Noża, jej oczy były głębokie i nieprzeniknione jak zaśnieżone góry. Studzienna woda połyskiwała szkarłatem i szafranem w cebrzykach, które stały wokół domu rozproszone jak polne kwiaty, odbijając płonące niebo. Książę przysiadł na piętach, przegarnął palcami gęste czarne włosy lepkie od potu. Drgnął, jakby ktoś zdjął z niego zaklęcie, i ostro popatrzył na starą wiedźmę.

— I co? — zapytał. — Co się stało potem?

Kobieta zachichotała chrapliwie.

— Potem śliczny książę wszedł do chaty, bo zapadała noc, i zagniół ciasto na chleb dla okropnej, brzydkiej wiedźmy.

Było to dla prawie za wiele dla księcia, który dotąd bardzo się starał zachować godność. Miał pracować w kuchni tej poczwary niczym podkuchenna? Leander Ośmiu Królestw, Pan Pogranicza Podwójnej Krwi, Syn Helii Promienistej pod żadnym pozorem nie upiecze brudnego, cienkiego chłopskiego chleba w tej żalosnej chacie. Obiecał służyć wiedźmie, tak, ale zamierzał robić to w jakiś męski sposób, obejmujący zabijanie jednych stworzeń i ratowanie innych. Chleba nie trzeba zabijać ani ratować.

Otworzył arystokratyczne usta, żeby to powiedzieć, ale lodowate spojrzenie wiedźmy powstrzymało słowa jak pętla zaciśnięta na szyi. Jej zęby błysnęły straszliwie jasno pod spękanyimi wargami, jakby się wydłużyły w szczękające noże z

kości słoniowej. Po chwili wizja znikła, lecz książę był teraz przekonany, że pieczenie chleba jest najbardziej chwalebna i przyjemną pracą, a zagniatanie zbytnio się nie różni od zabijania.

Choć musiał schylić głowę, żeby wejść do chaty, wewnątrz okazało się nadspodziewanie wygodne i bardziej przestronne, w kącie ogień lizał sękate kłody, ściany zastawione były półkami pełnymi oprawnych ksiąg. Nóż odwróciła się, gdy zdjął piękne skórzane buty.

— Wybacz niskie drzwi. Mój lud zawsze był niewysoki.

Pęki suszonych ziół i niegdyś kolorowych kwiatów zwisały jak stalaktyty z haczyków pod sufitem, szare, czerwone, brązowe. Leander rozpoznał zwiędłe kwiecie brzoskwini, zakurzony łubin, róże i pęczki grzybów podobnych do róży, arcydzięgiel i bobrek, morszczyn, podbiał, rutę i ślaz a potem zawiodła go wiedza botaniczna z jej książęcymi niedostatkami. Lśniące czarne futra zaścielały podłogę jak jesienne liście. Pod ścianami szerokiej izby stały wielkie dzbany z terakoty, tajemnicze skrzynie z miedzianymi i srebrnymi zamkami, niezliczone kostury z wszelkiego drewna i bele dziwnych tkanin w głębokich odcieniach. W pobliżu kominka królował masywny migotliwy stół. Razem wzięwszy, było tu wszystko, co spodziewałby się zobaczyć w domu czarownicy.

Na stole obok bryły nieokreślonego ciasta stały ceramiczne dzbanki z wonnymi przyprawami. Wiedźma wskazała mu stół i niskie krzesło. Odwróciła się do wielkiego żelaznego pieca, jej muskularne plecy zasłoniły to, co czekało na parującej płycie. Zapadła długa cisza, mącona miękkim szmerem, gdy książę jedną ręką powoli miesił ciasto — ranną dłoń trzymał u boku, żeby sącząca się krew nie splamiła bochenka. Ból prawie

ustąpił z kikutów palców. Po jakimś czasie Nóż oderwała oczy od pracy, potrząsając siwą głową jak źrebie, i przemówiła do grubo ciosanej ściany.

— Masz włosy swojej matki, wiesz, długie loki podobne pasom kory. Nie chodzi o ich kolor, oczywiście, ale ciężar. — Głos miała szorstki i zbolący. Przerwała pracę i podeszła do stołu z dwoma glinianymi kubkami parującej zielonkawożółtej herbaty. — Kora wierzby i dzika mięta — mruknęła, gładząc słojuwaty blat, z twarzą obrysowaną przez blask ognia. — I odrobinę jej oczu, choć jest tam też twój ojciec, czarny, niczego nie odbija.

Książę wstrzymał oddech i słowa, które cisnęły mu się na usta, umarły, zduszone na języku. Zdawało się, że jego całe ciało walczy samo z sobą, aż nagle jego młodymi ramionami wstrząsnęło drzenie i zapłakał cicho, soląc chleb łzami.

— Skąd możesz wiedzieć cokolwiek o mojej matce? Nie, nie mów mi, nie mów o niej. Nigdy o niej nie mów. — Osuszył oczy brudnym mankietem. — Powiedz mi, co się stało z twoją babką w jaskini, snuj stare opowieści o Gwiazdach, w które już nikt nie wierzy, ale nie proś mnie, żebym wspominał matkę.

Wiedźma napiła się herbaty z mięty i kory wierzbowej.

— W lochu babcia potarła skronie i wypła trochę brudnej wody, zostawionej dla nas w poobijanym żelaznym dzbanku. Czekałam cierpliwie, wciąż będąc pilną uczennicą. Wreszcie znowu zaczęła...

Opowieść babci, ciąg dalszy

Oczywiście, było ciemno. Rzeczy tego rodzaju zawsze zaczynają się w ciemności. Siedziałam oparta plecami o kamienną ścianę, czując lekką wilgoć, gęste powietrze kamiennego łona, które jest czarniejsze od czerni.

Minęły wieki. Albo minuty.

Patrzyłam w cienie, wyczuwając ich substancję, ich kończyny, ich ciężar. Chwilami ogarniał mnie spokój, jakbym siedziała na ogromnym płatku kruczoczarnej lilii, mięsistym, uginającym się pode mną, tak doskonałym, że żadna część mnie nie mogłaby być jego częścią, i moje ciało było odmienione, przeobrażone w ciemną szarość i zmierzch. Innym razem czułam się samotna i bardzo mała i marzłam. Wiedziałam, że tli się we mnie maleńkie światełko, ciepłe jak ogień u moich stóp. Przenikało przeze mnie jak przez jedwabne sito, oczyszczając mnie w tej milczącej jaskini. Siedziałam z dłońmi zwróconymi ku górze, próbując chwycić krzywiznę ciemności jak wielki obwisły brzuch, ciemności czarnej jak niebo przed burzą i zapisanej mrocznymi symbolami, żywej, oddychającej i wirującej w fiolecie długo po zachodzie słońca.

Chyba przysnęłam, gdy nagle przebiegły mnie iskry i drzenie, i coś zaczęło się zestalać z hematytowego powietrza. Z początku nic nie widziałam, tylko pas głębszej czerni wśród czerni. Skraje jakby migotały światłem, bezgłośnie błyskawice podpiekały kontury, żarząc się jak obraz wypalony po

wewnętrznej stronie powieki. Bałam się, wnuczko, oczywiście, że się bałam. Skuliłam się przy ścianie jaskini, drżąc jak nowo narodzone źrebię.

W końcu rozróżniłam wydłużoną głowę i długie włosy, błyszczące oczy okrągłe jak księżyce. Istota zdawała się częścią kamienia, częścią nocy, częścią czegoś, czego nie poznałam i nigdy nie poznam. Oczy obróciły mi się w głowie i oblał mnie pot. Moje serce trzepotało się tak szybko, jakbym zamiast niego miała w piersi kolibra.

Wreszcie zarys, obrzeżony białym ogniem, stał się czysty i wyraźny.

W jednej chwili rozpoznałam znajomą, długą krzywiznę czarnej szyi, gładki zad i aksamitną sierść, gruby ogon zapleciony w sto warkoczy, muskający podłogę jaskini, i rozdęte chrapy buchające oddechem jak fajka kłębami dymu. Ten koń wyrastał nad najśmielsze fantazje o koniach, nad marzenia o wielkości i nadzieje piękna. Ruchliwe uszy muskały strop niczym sztywne pióra, rzeźbiąc jakiś tajemny wiersz na skale, wokół kopyt leżały zwęglone kości — żuchwy, łopatki i mostki jak berła.

Klacz patrzyła na mnie spokojnie, parszając od czasu do czasu i mrużąc żarzące się oczy. Cisza panowała przez czas, który wydawał się długi jak tysiące połączonych zim na granicy wiecznego śniegu.

Wciąż nie umiem powiedzieć, skąd się wzięła moja odwaga, z jakiego ukrytego miejsca trysnęła wysoko i zabulgotała śmiało. Stałam na drżących nogach i wyciągnęłam rękę do tej istoty, unikając ochronnego pierścienia grzechoczących kości. Pogładziłam chrapy i boki jej bezświatlnej głowy... wnuczko, brak mi słów, żeby opisać miękkość jej ciała, gdy moja dłoń

łagodnie sunęła po gęstej, lśniącej sierści. Skóra miała konsystencję świeżej śmietany i odcień kruka latającego wysoko w bezksiężycową noc. Klacz była piękna i straszna, sroga i czysta. Jej oczy obracały się jak słońca, jej wielkie serce dudniło tuż przy mnie. Wtuliłam twarz w jej grzywę, wdychałam zapach dzikiej ziemi i płonącego nieba. Nie było nic na świecie prócz niej.

Nagle, bez ostrzeżenia, wielka głowa obróciła się jak otwierane drzwi i kara Klacz skubnęła moje ramię płonącymi zębami, odrywając mięsień od kości. Daremnie krzyczałam, budząc echa, gdy krew rwała z rany jak rzeka w czerwonym kanionie, zalewając ciepłem moje piersi i ręce. Poderwałam pięści, okładałam klacz po boku, ale wgryzła się głębiej. Chyba musiałam zemdleć, a gdy opadałam na jej ciało, nie spodziewałam się niczego prócz śmierci.

Kiedy doszłam do siebie, leżałam pod skalną ścianą, skąpana we własnej krwi, przemoczona, jakby złapała mnie nawałnica. Klacz znikła. Zapłakałam gorzko — choć zatopiła we mnie zęby, brakowało mi jej, czułam się pusta bez płonącego we mnie światła. Nie zrobiła nic więcej nad to, co robiła zawsze — wygryzła dziurę w ciele. I skraje dziury tęskniły do niej, gdy odeszła.

Jej miejsce zajęło znacznie mniejsze stworzenie, ani majestatyczne, ani straszne, siedzące na zadzie. Piękny rudy lis ze wspaniałą puszystą kitą. Jego oczy skrzyły się w ciemnościach, które znów panowały w jaskini. Kiedy zobaczył, że się ocknęłam, przydreptał po ubitej ziemi i stanął wprost przed moją twarzą. Pachniał spaloną trawą i miedzianymi opiłkami, a w jego futrze strzelały złowrogie rdzawe iskry.

Ku mojemu zaskoczeniu, Lis schylił głowę i zaczął zlizywać krew z mojej rany. Mrużył lśniące ślepia, długie pociągnięcia różowego języka były szorstkie i strasznie bolesne. Zagryzłam wargę i nawet nie pisnęłam, choć tarcie futra o moje umęczone ciało sprawiało ból. Powoli szkarłat zniknął z bladej skóry, ale mały Lis jeszcze nie skończył. Otworzył pysk i przemówił całkiem wyraźnie.

— Przyłóż do rany trochę gorzknika i korzenia mleczu ze swojej torby, a potem zrób gorący okład z liści wawrzynu. Pomoże. Ale nie wolno ci zupełnie zatrzymać krwawienia. Moja matka cię przygotowała, będziesz jednak potrzebować krwi z własnego ciała.

Posłuchałam go w odrętwieniu. Kiedy opatrzyłam ukąszenie, Lis pochylił się, żeby obwąchać ranę i sprawdzić moją pracę. Obserwowałam go uważnie i gdy spuścił głowę, chwyciłam za nastroszone gardło. Gdy walczył w moich silnych rękach i próbował dosięgnąć mnie kłapiącym pyskiem, syknęłam przez własne ostre zęby:

— Powiedz mi, co się tu dzieje, bo inaczej obedrę cię ze skóry i zapakuję do torby z wawrzynem i mleczem szybciej, niż lew połyka mysz.

Lis parskął i prychał jak nadąsane dziecko, i po paru prychnięciach i parsknięciach, gdy zrozumiał, że go nie puszczę, odparł tonem zranionej godności:

— Nie powinnaś mnie dotykać, nie powinnaś na mnie napadać ani mnie wypytywać. Tak się nie robi. Ale dotknęłaś Klaczy, co też jest zakazane. Mogę tylko mieć nadzieję, że ugryzienie sprawiło ci ogromny ból. Że też zniosła dotyk twoich rąk! Brudnych! Są takie brudne, ty jesteś taka brudna i mroczna, i śmiałaś jej dotknąć, dotknęłaś mnie!

Puściłam go ostrożnie i odsunęłam się, gdy z wściekłością pocierał nos i gardło, i mył futro pociągnięciami różowego języka. Wykrzywiłam usta w uśmiechu, który uważałam za wyzywający, i pokiwałam głową w sposób, jak sobie wyobrażałam, nonszalancki.

— Lisie, myślę, że byłam dzielna i wycierpiałam dość, by móc wiedzieć, co się tu ze mną dzieje.

Drwiący ryk brzmiał dziwnie, płynąc z delikatnego rdzawego pyska.

— Och, myślisz, że byłaś dzielna? Myślisz, że cierpiałaś? Nic nie wiesz, jesteś głupia jak koza. — Usadowił się na zadzie. — Jestem sługą karej Klaczy. Głaskałaś moją matkę, podłe dziecko. Ją, która wymyśliła słowa, a jednak nie mówi; ją, która sprowadza sny i wizje, a jednak nie sypia; ją, która połyka burze, a jednak nie wie nic o deszczu i wietrze. Ja mówię za nią, ja jej służę. Nie na tym miała polegać twoja próba, ludzkie dziecko; sprawdzian dopiero cię czeka. Ból nie jest próbą. Według mnie już zawiodłaś, bo ośmieliłaś się dotknąć tej, która nosi Księżyc w swoim Brzuchu, która urodziła Gwiazdy na Początku Świata. Ale pozwoliła ci położyć na sobie te nieczyste ręce i pobłogosławiła cię swoimi świętymi zębami, musisz więc mieć w sobie coś, co się z niej narodziło.

Drapał łapą ziemię, patrząc na mnie z niepokojem.

— Dlaczego to zrobiłaś? Dlaczego pogłaskałaś ją, jakby była twoim wierzchowcem, ty małe stworzenie? Och chciałaś na niej jeździć? Nawet... nawet mnie nigdy nie było wolno jej dotknąć, przez wszystkie lata mojej służby, ani razu... Okropne dziecko, dlaczego nie trzymałaś rąk przy sobie?

Znów do mnie podszedł. W szkarłatnym błysku rozorał pazurami moją lewą pierś, rozdzierając ciało jak dojrzałą

śliwkę. Mogłabym przysiąc, że łyzy zalsniły w jego czarnych ślepiach, spływając w złociste futro i na wąsy.

— Masz — warknął — na pamiątkę, mój znak za bezczelność. Jestem sługą! Służę Klaczy, piłem jej mleko i wraz z nią polowałem! U jej boku przeżulem setki, tysiące maleńkich Gwiazd Traw! Nie ulecę tej rany dla ciebie!

Oddychałam ciężko, teraz naprawdę bojąc się małego nastroszonego zwierzęcia, oboje posapywaliśmy w ciemności. Zacisnęłam rękę na nowej ranie, krew ściekała przez sito moich palców. Lis jakby odzyskał panowanie nad sobą; jego futro na powrót stało się gładkie.

— Już zmarnowałam ci połowę czasu, głupia dziewczyno. — Jego oczy zaszklily się, gdy powrócił do rytuału. — Ale nie przejdiesz swoich prób, więc to nie ma większego znaczenia. Idź, brudne dziecko, do drugiej komory, która jest Grotą Wilka, i dalej do Groty Siedmiu Śpiących. Tam czeka cię próba. Przejdź przez te komory i wyjdź jako kobieta albo umrzyj. Pamiętaj, ból nie jest próbą. Wiedza nie wystarczy. Wielu było przed tobą, mała, i nikt nie opowiedział o swoich próbach. To zakazane. Nie wolno ci zabrać niczego prócz własnego ciała, twoja torba musi zostać tutaj. Idź, z błogosławieństwem Klaczy, i spisz się na tyle dobrze, na ile to możliwe w przypadku takiego dzieciaka.

To rzekłszy, Lis kłapnął w moją stronę ostrymi zębami, ruszył w kierunku dalekiego końca jaskini, prosto na kamienną ścianę, i zniknął, jakby go nigdy nie było. Wciąż krwawiłam. Choć parę liści i trochę proszku z mojej torby pomogło. Na sukni miałam ciemną plamę. Przyglądałam włosy i wstałam, teraz pewniejsza, wypatrując wejścia do drugiej pieczary. I oczywiście, tam gdzie Lis zniknął z zamaszystym ruchem pięknego ogona, nisko w skale znalazłam niewielki otwór

koloru świeżej krwi, ledwo dość duży, żebym się mogła wcisnąć. Przykucnęłam, próbując wmówić sobie, że jestem spokojna, pogodna jak księżyc na piórach żurawia.

Dziewczynka zamknęła oczy w trakcie opowieści, powieki i pokrywająca je mozaika zdawały się pływać niczym czarne lilie po bladym stawie twarzy. W powietrzu unosiły się szmaragdowe nuty pieśni żab, a sowy snuły lśniące pasma dźwięków, odpoczywając na czarnych gałęziach, spowite woalem fiołkowego tchnienia kwiatów jakarandy. Opowieść brzmiała jak pieśń do akompaniamentu tej melodii nocy. Dziewczynka napiła się wina, gładząc palcami ozdobną butelkę. Wiatr poruszał jej włosami jak płatkami na jeziorze.

Choć odpoczęli, chłopiec znów zapadł w płytki sen i słowa opowieści przemykały przez jego umysł jak igła ciągnąca jedwabną nitkę. Wspierał głowę na kolanach dziewczynki, która gładziła jego miękkie czarne włosy z początku nieśmiało, potem z rosnącą czułością. Gwiazdy na niebie płonęły jak świece w pałacowych salach. Księżyc stał wysoko, pełny niczym wydęty żagiel, płynąc powoli przez rozfalowane morze niebieskich chmur, tnąc szafirową pianę rozjarzonym dziobem. Długie minarety cieni padały na ogrody, dziedzińce, drzewa cytrynowe i oliwne, akacje i pnącą się winorośl, kościanobiałe lilie i śpiący pałac. Głos dziewczynki wędrował krętymi brukowanymi ścieżkami, szemrząc jak rzeczne sitowie, które kołysze się na ciepłym wietrze.

Opowieść babci, ciąg dalszy

Kucnęłam i wcisnęłam się w dziurę, w litą skałę, która przeszła w błoto równie szybko, jak lód topi się w wodę. Pełzłam na brzuchu niczym dżdżownica w głąb ziemi — ledwo mogłam oddychać w ociekającym błocie, gdy z trudem sunęłam w śliskim korytarzu. Powtarzałam sobie, że nie boję się ziemi, ziemia to ziemia, a tunel zawsze dokądś prowadzi. Powtarzałam to sobie, podczas gdy ziemia, która była tylko ziemią, wciskała się w moje usta, nos i oczy, i czułam jej smak, i nic nie widziałam.

Ale wyszłam — zawsze się w końcu wychodzi — po drugiej stronie, na ubitą ziemię drugiej groty. Było zbyt ciemno, żeby zobaczyć jej przeciwległe krańce, skalne ściany zwężyły się ku górze w wąską szczelinę, przez którą wpływała kaskada księżycowego światła i delikatny szum dalekiego deszczu.

Powinnam wiedzieć, powinnam wiedzieć od chwili, gdy moja stopa stanęła w jaskini. Słyszałam burzę gdzieś strasznie daleko, wodę ściekającą z grubych sosnowych igieł i pijącej trawy, ssących grzybów, przemoczonego mchu. Kapanie dzwoniło mi w uszach jak dzwonki przy końskim siodle, niemal widziałam srebrne lśnienie deszczu na grubych zielonych liściach, niemal czułam oślizłą woń mokrych, butwiejących kwiatów. Ale kłęb nieba, który widziałam przez otwór w stropie jaskini, był czysty, pełen twardego, jasnego światła gwiazd.

Deszcz padał gdzieś daleko, nie nade mną. Ale moje uszy i nos kierowały się ku niemu jak ostrze, które strzela iskrami pod młotem. Ruszyłam szybkim krokiem wokół mrocznej komory, sprawdzając i badając, próbując zwęszyć próbę, zanim mnie zaskoczy. Powinnam wiedzieć — ale wciskanie wilgotnego nosa w zakamarki skały, podskakiwanie, straszenie się i kłapanie szczękami w ciemności wydawało się całkiem naturalne.

Daremnie szukałam drugich drzwi, znalazłam tylko dziwnie wypolerowany fragment lica skały, głęboki kolor bursztynu odbijał grootę, księżycową poświatę — i mnie. Gdy mijałam skalne zwierciadło, mignął w nim błysk szarości i bieli, i zatrzymałam się nagle, serce skoczyło mi do gardła. Ujrzałam swoje odbicie w kamieniu.

Z lśniącej ściany jaskini spoglądał na mnie w osłupieniu okazały szary wilk. Strzygł wielkimi kudłatymi uszami, zwieszając język spomiędzy przerażających zębów. Moje oczy skrzyły się czernią, a futro miało odcień blasku księżyca na wodzie, gwiazdziście biały i srebrny — wszystkie tony srebra od kamienia po śnieg — lśniące futro jaśniało nad potężnymi łapami do końca wyjątkowo długiego, dumnego ogona, którym zamasyście omiatałam ziemię.

Razem wzięwszy, moja wnuczko, wyglądałam pięknie. Zawylałam, żeby usłyszeć swój głos, który odbił się od ścian jak strzała z zielonego drewna. Był taki donośny, że aż podskoczyłam. A jednak wciąż byłam sama w podziemnej komnacie. Truchtałam tam i z powrotem, jakbym nigdy wcześniej nie musiała radzić sobie tylko z dwiema nogami. Nic nie mogło być bardziej naturalne niż mój nowy sprężysty chód, równowaga ogona, zgrzyt pazurów na ukrytych korzeniach i kamieniach. Stąpałam lekko na swoich nowych łapach,

rytmiczny tupot szybko zagłuszał myśl, że kiedyś byłam dziewczyną i spałam w miękkim łóżku. Moje myśli stały się wilcze, pragnęłam wyrwać się w noc, by polować i biegać po lesie na tych silnych łapach. Moje serce zalały wspomnienia — bieg ze stadem po puszystym śniegu, opiekowanie się pięknymi szarymi szczeniakami w ciepłej jamie, tropienie zajęcy i jeleni po zielonych górach, zakradanie się do zagród pełnych tłustych świń i bezradnych wiosennych jagniąt; byłam niema i groźna, wolna od niekończącego się zamykania chat i palenisk. Chwilę później zadałam sobie pytanie: Co to jest chata? Co to jest palenisko? Miałam wielki kłopot z przypomnieniem sobie, jak mam na imię, a zaraz potem, co to jest imię. Chciałam położyć się spać, okryć ciepłym kocem, który był ciałem, i czułam zmęczenie, wiesz, wielkie zmęczenie.

Musisz zrozumieć, Nożu serce moje, że stworzenie, które mnie odmieniło, prócz ciała zabrało również rozum, wchłonęło w siebie mnie całą.

Gdy noc upływała powoli i nic się nie wydarzyło, zwinęłam się w kulę lśniącego futra pośrodku jaskini i zasnąłam. Zatraciłam się w czerni bezkresnej nocy i w snach o polowaniu i o jedzeniu, zawsze o jedzeniu.

Patrząc wstecz, myślę, że w zasadzie nie spałam — wilki nie potrzebują pełnego worka nocnego snu. Zbudziłam się, choć nie zaniepokoił mnie żaden dźwięk, i zobaczyłam trzy wysokie postacie stojące w grzecznej odległości.

Pierwszą była biała wilczyca ze stulonymi uszami i łagodnymi oczami koloru deszczu, jej futro lśniło niemalże błękitem, jak nowy księżyc na ośnieżonych gałęziach. Jej ogon poruszał się powoli — strumień lodu kreślący wzory na ziemi.

Druga była w odcieniach złota, jak ja w tonach srebra, od jasnej żółci ognia po głęboki brąz, płynnych i splatających się jak płomień. Jej oczy miały tę samą migotliwą barwę, skaczącą i roziskrzoną.

Trzeci wilk był czarny jak noc środka zimy, jego oczy przypominały burzowe chmury przecięte błyskawicą, a futro miał gęste i ciemne jak toń górskiego jeziora.

Strasznie zaschło mi w pysku i nie mogłam przełknąć śliny. Musiałam zebrać moje nowe wilcze siły, żeby nie uciec przed ich strasznymi obliczami. Z trudem zachowałam rozsądek, świadomość dawnej siebie pod skórą i w kościach wilka. Wtedy przemówili razem, ich paszcze dziwnie, acz pięknie formowały słowa, które płynęły z warkliwą delikatnością.

— Witaj, piesku. Które z nas wybierzesz?

Próbowałam przemówić, lecz okazało się to niemożliwe. Jąkałam się, sapałam i skamlałam, usiłując kształtować słowa jedwabistym pyskiem i sztyletami zębów. Moje srebrne czoło zmarszczyło się z wysiłku.

— Dziecko musisz dokonać wyboru — powiedziała biała wilczyca. Jej głos był wiatrem z gór, ciepłym i słodkim. Jeśli nie możesz mówić, po prostu podejź do któregoś z nas i dotknij nosem futra. Wszak jesteśmy wilkami; mowy nie cenimy wysoko.

— Ona nie rozumie, siostró — przerwał jej czarny wilk, słowa padały jak młode drzewka pod siekierami z brązu. Zwrócił na mnie ostre, dumne ślepia i mówił powoli, jak do głupiego, narowistego konia. — Przewodnik, piesku. Musisz wybrać jednego z nas na przewodnika. Musisz wiedzieć, jak to się odbywa. — Parsknął, wyraźnie zbyt znudzony, by dodać coś więcej.

Popatrzyłam na nich oboje, wysokich i strasznych, na białą wilczycę i czarnego wilka. I na drugą wilczycę, tę złotą, która dotąd się nie odezwała, tylko leniwie kołysała ogonem, mrużąc spokojne oczy podobne księżycom usianym klejnotami. Podeszłam do niej i wtuliłam wilgotny nos w jej kark jak w pole żonkili. Jej miękkie futro miało zapach dobry i słodki, i tylko o tym mogłam myśleć — że pachnie właściwie, a przecież zapach jest wszystkim. Mogłabym przysiąc, że uśmiechnęła się do mnie. A kiedy odsunęłam się od jej pachnącego ciepłem ciała, tamte dwa wilki zniknęły. Poparzyła na mnie oczami słodkimi jak plaster miodu.

— Zagubiliśmy się — szepnęła.

Nie zrozumiałam — czy mogłabym choćby zgadywać? — więc tylko wsunęłam pysk pod jej paszczę, próbując ją pocieszyć, i zamknęłam oczy, omyta jej zapachem. W jej gardle wezbrało warczenie, nie groźne, miękkie, szczenięce, które wstrząsnęło mną do szpiku kości.

— Nie chcieliśmy tak się zagubić...

Opowieść Wilczycy

W pierwsze dni, gdy chodziliśmy po pierwszej trawie, podpalaliśmy ją, choć staraliśmy się stąpać lekko. Trawa stawała w długich rzędach płomieni i nawet my się ich baliśmy, baliśmy się, jakie szkody możemy zrobić światu. Próbowaliśmy chodzić tylko po kamieniach — po niemych, martwym kamieniu, rozumiesz, i niemej, martwej trawie, nie po żywych źdźbłach i skałach, które... och, mniejsza z tym. Nasze łapy zabijały, czego tylko dotknęły, i kuliliśmy się w strachu przed ogniem, którego nie mogliśmy powstrzymać.

Ale czy trawa stała się silniejsza, czy my osłabiliśmy, niedługo później zostawialiśmy tylko ślady spalenizny. Były czarne i brzydkie, tak, ale nasz trop już nie budził płomieni, i zaczęliśmy badać świat, który Klacz zostawiła dla nas, gdy opuściła niebo.

Byłam młoda jak my wszyscy. Nazywaliśmy wszystko; nazwaliśmy siebie. Gwiazda Pszczoła, jasna, mała i szczęśliwsza niż reszta — ta żółta jak słońce drobina, która nigdy nie zabiła trawy czy kamienia, przenosząc się z miejsca na miejsce — nazwała mnie Liulfr i ilekroć brzęczała przy moich uszach, słyszałam w jej skrzydłach furkot mojego imienia.

W naszych sercach panował zamęt większy, niż możesz sobie wyobrazić. Było nas wielu — ale ich znacznie więcej. Prawdziwe dzieci Klaczy były dziksze i liczniejsze od nas, te, które wyfrunęły z jej ciała oblepione księżycowym tłuszczem i śliną nieba. My przecież byliśmy tylko dziurami, dziurami wypełnionymi światłem, i w głębi naszych tajemnych serc martwiliśmy się, że powstaliśmy przypadkiem, że nie jesteśmy

niczym więcej jak kałużami, które ożyły i nadały sobie imiona, że bezświatlne istoty umiejące chodzić (tak lekko! tak łatwo!) są jedynymi, które się miały narodzić.

Obserwowaliśmy je, wędrowaliśmy za nimi i próbowaliśmy naśladować. Niektóre wyglądały jak niektórzy z nas — dziury w kształcie ludzi i dziury w kształcie zwierząt, dziury w kształcie roślin, narzędzi i kamieni — więc naturalnie lgnęliśmy do tych, które wydawały się nam najbliższe. Przede wszystkim jednak próbowaliśmy naśladować mężczyzn i kobiety, te spośród wszystkich dzieci Klaczy, których powstanie wydawało się najbardziej zamierzone, i którzy po wyjściu z niej mówili i nazywali, ranili dokładnie jak my.

Lecz oni się nas bali, bo płonęliśmy i stawialiśmy w płomieniach wszystko, co uważali za dobre i piękne. Nazywali nas duchami i gorzej, my jednak nie mogliśmy ich zostawić, bo w przeciwieństwie do nas byli wewnątrz Klaczy i widzieli, jak wygląda spod żebra i serca. Chcieliśmy się tego dowiedzieć; chcieliśmy — gdy jej nie było — kochać to, co było jej częścią.

Tak, widzieliśmy, jak przechodzi w nich nasze światło, w ludzi, rośliny, narzędzia i kamienie, i wielu z nas wtedy odeszło, odeszło z podobnymi sobie, Gwiazdy Róże z Gwiazdami Pszczołami, Gwiazdy Dżdżownice z Gwiazdami Ślimakami, w trosce o własne bezpieczeństwo i zdrowie.

Ale niektórzy, jak zbite psy ciągnące za okrutnym panem, pozostali w pobliżu ludzi i próbowali się do nich upodobnić. Odkryliśmy — tak jak oni nauczyli się obsiewać pola i jedną część zostawiać odłogiem — że choć powstaliśmy w określonej postaci, wcale nie musimy jej zachować. Wyzwolenie się od kształtu, jaki dała nam matka, za pierwszym razem zawsze boli, lecz potem jest znacznie łatwiej. Była to najważniejsza rzecz,

którą nauczyliśmy się robić, ale nauka jeszcze nie dobiegła końca.

Byliśmy tylko dziećmi, bawiliśmy się światem jak klockami i lalkami, lecz nasze rodzeństwo nie chciało dołączyć do zabawy.

I tak się stało, że Manikarnika spotkały swoje przeznaczenie, a my się dowiedzieliśmy, że możemy robić coś, co jest znacznie ważniejsze i straszniejsze niż zmiana skóry.

Chciałabym powiedzieć, że je znałam, i znałam w tym sensie, w jakim znają się dalecy kuzyni w licznej rodzinie. Różniły się ode mnie — były Gwiazdami Kamieniami, ja zaś byłam Gwiazdą Wilkiem; one zmieniły się w kobiety, podczas gdy ja po kilku eksperymentach nadal miałam pazury i ogon, który dała mi matka.

Nie ma wśród nas nikogo, kto nie znałby tej historii.

Manikarnika były siedmioma siostrami, które po wygryzieniu z ciała Klaczy stały się Kamieniami. Nefryt i Granit, Opal i Granat, Łupek i Ruda Żelaza, i mały Diament, blady jak łapa umoczona w mleku.

Były przerażone, gdy tocząc się z grzechotem po martwym kamieniu paliły go, topiły, rozpuszczały w lśniące, płynne rzeki. Kiedy nauczyły się chodzić na dwóch nogach, unikały gór jak choroby, nie chcąc krzywdzić niczego, co było podobne do ich pierwotnych ciał. Mówię ci to, żebyś wiedziała, że były łagodne, że żadne z nas nie chciało wzniecać pożogi — ale wypadek rodzi wypadek, wiesz. Nie mogliśmy temu zaradzić. Nie mogliśmy pomóc.

Gdy pierwsi z nas zaczęli przygasać i pierwsi z nas udali się na wygnanie za bagna i wzgórza, Manikarnika zostały. Nie były zazdrosne o swoje światło i chciały nam pokazać, że możemy

żyć w świecie stworzonym przez Klacz, przeznaczonym tak dla nas, jak dla jej prawdziwych dzieci.

Aby nam tego dowieść, poszły do wioski ludzi i poprosiły o gościnę, odziane w łachmany jak żebraczki i biedne jak puste talerze. Były pewne, że spotkają się z miłym przyjęciem, że drugi miot Klaczy nazwie nas siostrami i braćmi, a nawet żonami, że pierwsi i ostatni staną się rodziną. Oczywiście, wokół nich wciąż skrzyło się światło, ale kto odmówi pomocy pięknej dziewczynie, która, choć dziwnie jaśnieje, ma tylko suknię na grzbiecie? Kto odmówi siedmiu?

Pierwszym domem, do którego się udały, był pałac króla — w owych czasach była to duża chata z błota na wzgórzu, górująca nad mniejszymi lepiankami. Król wysłał ludzi, by sprawdzili przyczynę zamieszania u jego drzwi, a oni znaleźli obdarte Manikarnika: Nefryt, Granit i Opal o wielobarwnej, nakrapianej skórze, Granat czerwony jak rumieniec, Łupek i Rudę Żelaza lśniące srebrem i jasne jak woda, i mały Diament, mały, blady i delikatny jak najcieńsza nić pajęczej sieci. Kuląc się żałośnie, siostry poprosiły o wpuszczenie w mury z błotnych cegieł, bo chciały dostać jedzenie i ubranie, bo chciały być kochane.

Ludzie króla zadrżeli, widząc ich dziwne światło, i zatrzasnęli przed nimi drewniane wrota.

Niezrażone, poszły następnie do skupiska lepianek i zapukały do drzwi biednej wdowy. Uznały, że skoro jej mąż nie żyje, a dzieci dorosły, z pewnością przyjmie je i nazwie córkami. Stara wdowa otworzyła obite skórą drzwi i zobaczyła Manikarnika: Nefryt, Granit i Opal z gładkimi, polerowanymi ramionami, Granat o ostrych łokciach, Łupek i Rudę Żelaza z mrocznym połyskiem, i mały Diament, czysty jak poranek. Siostry zbiły się w żalną gromadkę, prosząc o wpuszczenie do

cieplej izby, o odrobinę ciepłej zupy, o ciepłe ramiona i o ciepłe słowa.

Wdowa zadrżała na widok ich dziwnego światła i zapłakała nad wszystkimi, których utraciła, i w tym płaczu puściła obite skórą drzwi, które zamknęły się przed siostrami.

One jednak się nie poddały. Poszły za skupisko lepierek do ludzi o ubłoconych włosach, którzy z wozami, końmi i saniami wędrowali z miejsca na miejsce po szerokich stepach. Podeszły do jednego z namiotów, skromnego jak wszystkie inne, i zawołały do młodej dziewczyny, która mieszkała tam z noworodkiem. Dziewczyna uchyliła skrzydło namiotu i zobaczyła Manikarnika: Nefryt, Granit i Opal chłodne jak wygładzony wiatrem śnieg, Granat gorący jak spieczony słońcem piasek, Łupek i Rudę Żelaza przemarznięte tak bardzo, że poczerniały im palce stóp, i mały Diament, lekki i słodki jak deszcz. Siostry słaśniały się na nogach, wyczerpane powiedziały, że im zimno na tym pustkowiu, i poprosiły o wpuszczenie do namiotu, o okrycie futrami i podanie mleka.

Dziewczyna odparła, że chętnie się z nimi tym wszystkim podzieli. Siostry uśmiechnęły się jak siedem świtów, triumfalnie, i skuliły z koczowniczką na podłodze w skromnym namiocie. I były szczęśliwe, a ciężar ich światła tylko odrobinę przyciemnił ziemię pod nimi.

Rankiem wszystkie nie żyły.

Opowieść wiedźmy, ciąg dalszy

Do lochu, gdzie kamienie pokryte były kurzem i słomą, nie wpełzał ani jeden skośny promyk słońca. Ciszę mąciło tylko kapanie wody z wilgotnego stropu na wilgotną podłogę. Ktoś wsunął pod drzwiami jakieś ochłapy i garnczek brązowej bagiennej wody — nie słyszałam kiedy, zasłuchana w słowa mojej babci. Zgięty Łuk położyła pomarszczoną rękę na mojej głowie, gładziła moje gęste włosy z delikatnością wyćwiczoną na tuzinach dzieci. Spojrzałam na jej spękane usta, na pobrużdżoną twarz. W głębokim cieniu skuliłam się przy jej kolanach, próbując okryć skromną, złachmanioną suknią jej boleśnie chude nogi. Uśmiechnęła się do mnie i odrzuciła materiał, jakby ciepło nic dla niej nie znaczyło, i choć wargi miała spękane i pokryte skorupą zaschniętej krwi, jej twarz jaśniała niczym święteczna latarnia. Żałowałam, że nie mogę być tak dzielna jak ona, i że siła, którą otrzymała w jaskini, nie przypadła mi w udziale.

Przyniosłam spod drzwi poobijany garnek z brudną wodą, próbując czerpać radość ze służenia jej, jak dawniej. Ale nie chciała pić i rękami poranionymi przez tych, którzy ją tu przywlekli, rozwiązała skórzane troczki sukni, żeby zedrzeć z ramienia brudny materiał. Zobaczyłam ciało pokaleczone i poszarpane, i długą, krętą bliznę. Wlepiłam w nią oczy.

— Ażebyś wiedziała, że mówiłam prawdę. — Zaśmiała się, zawiązując suknię.

— Nie... nie wątpiłam...

Babcia lekko dotknęła mojego policzka.

— Nie, nie, oczywiście, że nie. Zawsze byłaś dobrym dzieckiem. I tak oto, widzisz, złamałam obietnicę. Nie posłuchałam Lisa i powiedziałam ci, co miało pozostać w sekrecie jak zielonookie niemowlę w domu mężczyzny o brązowych oczach. Ale nigdy zbytnio się nie przejmowałam tą starą rudą bestią. I wiesz co? Teraz Klacz przychodzi do mnie w snach i jeżdżę na niej, jeżdżę na niej po spłowiałych stepach, a złote słońce grzeje nasze grzbiety.

Nie musiała tego mówić — czułam, głęboko w brzuchu, że Klacz nigdy do mnie nie przyjdzie, że ja nigdy nie poczuję jej skóry pomiędzy łydkami.

Babcia Zgięty Łuk zadrżała, kaszląc, jak strzała wbita w drzewo.

— Wybacz mi, mały Nożu, że nie kołyszę cię w ramionach i nie śpiewam ci pieśni naszych matek. Musisz jednak wiedzieć, przez co przeszłam w jaskini; obie wiemy, że sama nigdy nie zostaniesz poddana tym próbom. Nie ma nikogo, kto poprowadziłby cię do wylotu groty, nikogo, kto by cię pocałował i nazwał swoją najlepszą, najpiękniejszą kozą. Nikt nie zabierze cię do domu po zakończonych próbach, drżącą i roztrzęśioną w szorstkich kocach, nikt nie robi tego dla ciebie i dla dziecka, które nosisz, maleńkiego jak jętka nad powoli toczącą się rzeką. Zamiast słodczy spotkania twoja stara babka da ci lekcję, a ty pilnie słuchaj i weź ją sobie do serca.

Wstrzymałam oddech, powietrze jak kłębek nowej przędzy uwięzło w moim suchym gardle. Nie miałam pojęcia, że noszę w brzuchu dziecko z ciała mojego męża. Ale od razu babci

uwierzyłam. Próbowałam zachować spokój, siedząc u jej boku. Drżącym głosem szepnęłam:

— Słucham, babciu. Postaram się iść z tobą i uczyć się twoich kroków.

Jej pomarszczone powieki opadły i gdy mówiła, drżały, jakby pod nimi hasały maleńkie wilczki.

Opowieść więdźmy, ciąg dalszy

Dziewczyna krzykiem zbudziła obóz. Mężczyźni przybiegli — otworzyli jej namiot i zobaczyli, jak tuli się do dziecka, szlochając, zalana światłem.

Światło ściekało z jej włosów, spływało po nosie, skapywało z płatków uszu, sączyło się z ust. Ochlapało czoło dziecka, zebrało się w kałuży pomiędzy jej piersiami. Blade i jasne jak białka oczu, przemoczyło przód jej skórzanej sukni, zbryzgało ściany i przemieniło ziemię w namiocie w rozżarzone błoto.

Wokół niej leżało siedem kamiennych ciał, które się nie jarzyły, nie migotały, nie błyszczały. Nefryt, Granit i Opal, ciemne i puste jak pień starego drzewa, Granat wybielony i wydrążony, Łupek i Ruda Żelaza blade jak papier, i Diament, mały Diament — po niej została tylko skorupka cykady, krystaliczna, przejrzysta, bez śladu jednej martwej kości.

Przyszli, powiedziała z płaczem dziewczyna, przyszli w nocy. Ludzie króla, którzy widzieli, kto zebrał u ich drzwi, którzy widzieli i nazwali siostry potwornymi dziwolągami. Jeden wykręcił jej ręce za plecami, a inni otwierali nożami gardła Gwiazd, które nawet nie krzyczały, gdy opuszczało je światło — tryskało jak krew i smakowało jak krew, gdy zalewało jej twarz, powiedziała, i smakowało jak słodka woda i koniczyna. Po odejściu morderców próbowała zaciskać rany rękami, lecz było ich zbyt wiele, miała za mało siły, a poza tym kto wiedział, jak

pomóc istocie tonącej we własnym świetle, które jest krwią, która jest światłem?

Członkowie plemienia, przestraszyli się, nie wiedzieli, co począć, ale zmyli światło z biednej dziewczyny, a siedem kamiennych ciał zabrali na wielkie pole rozkołysane makami i odprawili swoje obrzędy pogrzebowe.

W ten oto sposób dowiedzieliśmy się, że możemy umrzeć, i jest to najważniejsza rzecz, jaką możemy zrobić. Po tym zdarzeniu wszystkie pozostałe Gwiazdy odeszły ze świata w rozpadliny i sekretne miejsca ziemi, przerażone niczym króliki.

*

Niedługo później dziewczyna i jej czarnookie dziecko spojrzeli w niebo przez szczeliny we wciąż mokrym dachu namiotu, i ujrzeli tam nowe gwiazdy — siedem gwiazd, trzymających się razem jak siostry.

Opowieść babci, ciąg dalszy

Liulfr, Gwiazda Wilk, nie poruszyła jednym złotym mięśnieniem w trakcie opowieści. Jej głos nie wznosił się ani nie opadał. Patrzyła prosto przed siebie.

— Nie wiemy, dokąd odchodzą ci, którzy umarli. Nie wiemy, dokąd my pójdziemy. Ich ciała zostały tutaj, a nowe gwiazdy rozbłysły na niebie, lecz gdzie są oni?

Co miałam powiedzieć, żeby ją pocieszyć?

— Ta dziewczyna, ta biedna koczowniczką, omal nie utonęła w świetle, w świetle siedmiu ciał. Dławiła się nim, jej dziecko się krztusiło — nic więcej nie wiadomo. Jej dzieci i dzieci jej dzieci nieomal od tego oszalały, lecz potem zaczęły nas szukać, choć każde kolejne dziecko miało w sobie coraz mniej lśnienia Manikarnika. Gdy ludzie stoją w szeregu i jeden drugiemu podaje wiadro z wodą, za każdym razem trochę się ulewa i wody ubywa. Dzieci przychodziły i przychodziły, przewidywalne jak przypływ, a teraz przyszłaś ty — wnuczka na końcu łańcucha wielu wnuczek. — Potrząsnęła wielką kudłatą głową. — Już nie mamy nic przeciwko. Jest niemal tak, jakbyśmy odzyskali naszych kuzynów.

Polerowana kwarcowa ściana, w której pierwszy raz ujrzałam swe wilcze oblicze, powoli roztopiła się w nicość, odsłaniając długi tunel w głąb czarnej ziemi. Liulfr westchnęła z rezygnacją i lekko trąciła mnie pyskiem, jak matka

popychająca szczeniaka do świeżej wody. Splątane światła naszych futer zniknęły w ścianie.

Liulfr stąpała bezgłośnie przede mną, pewnie stawiając mocne łapy. Migotała jak mosiężna lampa. Tunel był dłuższy niż poprzedni, tak czarny, że musiałam dusić skomlenie rozpaczy, kiedy się czołgałam. Pełzłyśmy na brzuchach przez skałę, posuwając się boleśnie powoli jak kawałek chleba w długim przełyku, nasze przednie łapy drapały ziemię, zadnie szukały oparcia.

Gardziel otworzyła się na komnatę, gdzie kąty i krokwie omyte były światłem, wyszorowane nim, jaśniejsze od dnia. Światło pienilo się tutaj jak mydło gorączkowo obracane w ręce. Oślepiło mnie, gdy wyszłam z czerni tunelu. W samym środku oślepiającej jasności moja wilcza towarzyszka płonęła jak łagodne słońce.

Jaskinia nie była pusta. Siedem katafalków stało w zakrzywionym rzędzie, na każdym spoczywała kobieta, śpiąca albo martwa, czternaście smukłych rąk zamykało się na czternastu zamarznionych piersiach. Włosy tych kobiet spływały z katafalków jakby rosły od tysiąca lat; nogi zasypane były kamieniami spiętrzonymi jak jabłka po zbiorach. Były tam stosy nefrytów, granitu i opali, granatów jasnych jak krew, łupka i rudy żelaza, i diamentów, maleńkich diamentów skrzących się niczym śnieg.

W ogrodzie

Rozbudzony teraz chłopiec powoli gryzł jabłko, siedząc jak zahipnotyzowany. Wilki skakały wdzięcznie w jego wyobraźni, węsząc wiatr. Wreszcie przeciągnął się, ziewnął i wyjął z torby gruby czerwony koc obsyty złotą nicią i haftowany w lilie. Zarzucił go na ramiona i ostrożnie przysunął się do dziewczynki, jak człowiek podchodzący do płochliwego żrebaka. Skulili się razem pod szkarłatnym namiotem, dziewczynka opuściła rzęsy, gdy jego ręka musnęła jej kolano, sięgając po butelkę z wodą. Siedzieli bardzo blisko, chłopiec czuł piżmową woń jej włosów, zapach cedru i jaśminu.

Pierwsze światło brzasku, jasne i niebieskie, przesączało się przez delikatną tkaninę liści, rysując różowe i srebrne kreski na ich skórze.

Świat o świcie jest bardzo spokojny pod lśniąca siecią rosy. W małym gąszczu dwoje dzieci, które prawie miały dzieciństwo za sobą, siedziało pod suchym, ciepłym kocem. Głos dziewczynki ścichł do szmeru kocich łap na sosnowym igliwiu. Wschodzące słońce pogładziło włosy chłopca rozmigotaną cherubinkową ręką. Nie odsunął się od dziewczynki, ale już dniało i wiedział, że jego siostra niebawem wstanie z łóżka i bardzo się nachmurzy, gdy zobaczy jego puste pośłanie.

— Muszę iść — szepnął w końcu. — Muszę wrócić, póki domownicy śpią.

Dziewczynka skinęła głową, nagle zawstydzona, przytomniejąc po długiej nocy przedzenia serca jak len, splatania słomy w złoto.

— Ale wróćę — zapewnił ją — jak stado rzecznych ptaków, o zachodzie słońca. Przyniosę kolację, a ty dokończysz opowieść o babci w jaskini.

Musnął jej twarz, jego dłoń na jej policzku była miękka jak zajęcza łapka. Dziewczynka uśmiechnęła się w jego palce i skinęła głową. Uniosła świetliste oczy i na chwilę spuściła rzęsy, ujawniając wirującą czerń na powiekach, atramentową i głęboką niczym bezgwiezdna noc. Chłopiec stwierdził, że teraz, gdy trochę ją poznał nie uważa znamion za brzydkie. Lekko skłonił potarganą złotą głowę, żeby spojrzeć jej w oczy, gdy znów się otworzyły.

— Będę przychodził co noc, żeby słuchać twoich historii. Co noc obiecał i pobiegł w pasma mgły zasnuwające ogrody, wijące się wokół jaśminów, astrów, jabłoni.

Dziewczyna pochyliła się nad resztkami wieczornego posiłku, odstawiła butelki i zebrała okruszki chleba, żeby nakarmić wrony i mewy. Potem wyszła z altanki, strząsając z włosów deszcz zbłąkanych płatków, które wirowały w gorących słonecznych promieniach.

Gdy słońce ułożyło się do snu na zachodzie i okryło długimi błękitnymi kocami, dziewczynka siedziała ze skrzyżowanymi nogami pod srebrno-lawendowymi gałęzmi jaśminu. Ujrzała szybki cień mknący po gęstym szmaragdowym trawniku. Chłopiec wpadł do altanki, pospiesznie rozłożył kolację. Była pewna, że nie przyjdzie.

Przyniósł ciemny chleb i blade sery, plaster pieczonej jagnięciny i garść jagód nabrzmiąłych sokiem, kilka małych

pieczonych ziemniaków, zimne zielone jabłko i kawałek czekolady, cennej jak mirra.

— Pomyślałem, że dziś nie zabiorę wina, żebym znowu nie zapadł w sen — wyznał wstydliwie, wyjmując butelkę z wodą.

— Nic nie szkodzi, wystarczy to, co przyniosłeś — zapewniła go z nerwowym śmiechem. Zajęli się jedzeniem i nie rozmawiali, choć chłopiec czekał na ciąg dalszy opowieści niecierpliwie jak niedźwiedź, który wypatruje łososi w nurcie spienionej rzeki. W trakcie posiłku jej twarz pojaśniała, jakby przemieniła się w małe słońce, wschodzące jak to wielkie i złote, które niedawno zaszło.

— Jak przeżyłaś wszystkie te lata w ogrodzie? — zapytał chłopiec, gryząc jabłko.

Dziewczynka się rozejrzała.

— Sułtan ma aż nadto drzew owocowych, by wykarmiło się jedno dziecko, a woda w fontannach jest krystalicznie czysta. Mam więcej, niż potrzeba. Pałac wyrzuca więcej, niż mogłabym wykorzystać. Raz na jakiś czas znajduję nawet starą suknię amiry na stosie odpadków. A kiedy zimy są srogie, ptaki przynoszą mi myszy i króliki. Mam dobrą opiekę. Ogród mnie wychował; jest moją matką i moim ojcem, a matki i ojcowie zawsze znajdą sposób, żeby nakarmić i ubrać swoje dzieci.

— Ptaki...? — Chłopiec nie skrywał niedowierzania.

Wzruszyła ramionami.

— Wszystkie stworzenia są samotne. Ciągną do mnie, a ja ciągnę do nich i ogrzewamy się w śniegu. Czy ty też nie zostałeś przyciągnięty? Karmię cię swoimi opowieściami jak kęsami mięsa pieczonego w ogniu.

Chłopiec zarumienił się mocno, odwrócił oczy. Dokończyli posiłek w milczeniu.

Wreszcie, gdy zjedli jagnięcinę z owocami i wypili słodką wodę, umościli sobie wygodne miejsca w gąszczu kwiatów, kładąc się na bokach i zbliżając głowy jak spiskowcy. Dziewczynka zaczęła mówić, a jej głos wypełnił uszy chłopca słodczą śmietany ubijanej w srebrnej misie.

Opowieść babci, ciąg dalszy

Z długich, nieporuszonych cieni za ostatnim z siedmiu ciał dobiegł cichy szelest, gdy moja przewodniczka machnęła pięknym ogonem.

— Przynieśliśmy je tutaj, z pola maków i starej, przesiąkniętej wilgocią pszenicy. Nic nie ważyły, jakbyśmy nieśli ćmy. I trzymamy je tutaj, w kryjówce mojego ciemnego brata i jasnej siostry, i jeszcze paru innych. Co innego mogliśmy zrobić? Dla nas nie ma cmentarzy, nie ma obrzędów, pieśni i ognia. Nie wiedzieliśmy co począć z ich pustymi skorupami, po prostu nie wiedzieliśmy. — Liulfr trąciła nosem twarz tej pogrzebanej w diamentach. Jej głos był szeptem gęstym niczym wełna. — Nowe gwiazdy płoną na firmamencie, gwiazdy rozbłyskują, kiedy umieramy, ale są tylko znakami. To nie one. Nie są nimi. Nie wiemy, gdzie one są. Spójrz w nocne niebo, dziewczynko: to mauzoleum, te nowe, jasne światła są grobami, lecz ich tam nie ma. Tutaj też nie.

Wilczyca wbiła we mnie żółte ślepie. Podreptałam cicho przez komnatę i usiadłam ciężko przed dziewczyną-klejnotem, bladą i martwą. Nie miałam pewności, czego się po mnie spodziewa moja przewodniczka. Było bardzo ciepło, światło tarło mój grzbiet i leniwie muskało sierść. Szklista rana na gardle diamentowej kobiety wydawała się rosnać w moich oczach, jak drugie usta rozdziawiające się strasznie. Trąciłam ją

nosem, nie była ani ciepła, ani zimna, tylko twarda, niepodobna do ciała.

Pod moim srebrnym futrem pulsowała rana zadana przez Klacz, a niżej mniejsze skaleczenie Lisa piekło jak użądlenie osy. Liulfr tylko na mnie patrzyła, nie oferując pomocy. A zatem to była próba. Podniosłam się na łapach i na wpół ległam na biednej dziewczynie, na wpół uklęłam na śliskiej zaspie klejnotów. Przycisnęłam pysk do swej piersi i zębami rozdarłam ciało pomiędzy ranami, strupy pękły i ukąszenia zlały się bez przeszkód, tworząc jedną, długą i głęboką ranę: dziura wygryziona w ciele, pierwszy kęs świata.

Krew, z początku ciemna i brzydka — miałam zawroty głowy i dusiłam się z gorąca w tej ciasnej, ciemnej grocie! — bryznęła na puste zwłoki jak atrament na tafle zwierciadła. Po długiej chwili zaczęła płynąć czysta, a potem wypełniło ją łagodne światło, miękkie i pachnące jak słodzone gruszki w miedzianym naczyniu, ale zimne, takie zimne, koloru księżyca. Na wpół omdlała, ze znużeniem przycisnęłam krwawiącą pierś do przeciętego gardła kobiety.

Myślałam, że się zbudzi. Naprawdę tak myślałam. Myślałam, że raptem nabierze powietrza i krzyknie, jej plecy wygną się jak napięty łuk, oczy otworzą nagle, i będzie kaszlała. Wciągnie następny urywany oddech i wszystkie te diamenty z brzękiem posypią się na podłogę, gdy usiądzie prosto, z twarzą promienną jak ranek.

Nie poruszyła się. Światło sączyło się ze mnie w nią, a ja patrzyłam, jak pieni się na jej piersi niczym kubek wody wlane do głębokiej wanny. Cienie spowiły grocie, a krew, która była światłem, spowolniła swój bieg i w końcu przestała płynąć.

Delikatnie, z siłą tchnienia, martwa kobieta zamknęła palce na mojej łapie.

To było wszystko — nie otworzyła oczu, nie usiadła, nie poprosiła o wodę. Cztery palce podniosły się i opadły, zamykając się w uścisku, jakiego mógłby pozazdrościć kamień.

Gwiazda Wilk pochyliła się nad nami.

— Zawsze mamy nadzieję, taka w każdym razie miała być odpowiedź. Ale nigdy się nie budzą. Minęło już tyle czasu, byłoby dziwne, gdyby się zbudziły. — Liulfr zamknęła oczy i zaczęła mnie myć, czyścić moją ranę w wilczy sposób, długim językiem, szorstkim jak piasek z bagien. Z każdym pociągnięciem moje ciało tętniło, wibrowało niczym trącona struna harfy. Widziałam tylko jej złote futro migoczące na podobieństwo świecy, a na łapie czułam palce Gwiazdy Kamienia, ciemne i pozbawione życia. Wilczyca chłeptała światło jak mleko, siorbała, wysysała je z rany Manikarika, zbierała co do kropelki.

Wreszcie zamknęła długi, jedwabisty pysk nad moją kudłatą pierś, chwyciła mnie szczękami za sierść i przyciągnęła do diamentowej dziewczyny, ściskając zębami poszarpaną skórę.

Czułam światło i krew pędzące we mnie jak wino z pękniętej beczki; światło i krew wylewały się z jej pyska, przepływały przeze mnie, zawracały jaśniejsze, bardziej surowe i straszniejsze niż wcześniej, wzbierające falami, by wedrzeć się w moje kości i brzuch; wielkie, toczące się fale mnie wypełniały. Zalewało mnie światło z paszczy Wilczycy i z ciała klejnotu, z ciała klejnotu i z mojego, światło stare i nieopisane jak niebo. Dławiłam się, jęczałam, wrzeszczałam, gdy parło przeze mnie — przemiana światła jest bowiem pracą, wnuczko, jak toczenie głazu pod górę albo dźwiganie góry na górę. Ona otworzyła

mnie, wypełniła, zaszyła i znowu otwarła. Nie umiem powiedzieć, ile godzin leżałam bezradna i drżąca pomiędzy Gwiazdami. Zabrały nikłe, zubożone światło, które miałam w sobie, i zwróciły mi je, płonące nie do opisanía.

Kiedy wreszcie poczułam, że puszczają mnie szczęki Wilczycy, drgnęłam jak zbudzona ze snu, całe moje ciało tętniło, otwarte i drżące. Znów byłam kobietą, czułam to: pięć palców u każdej ręki, zęby płaskie i grube, długie włosy muskające mnie w talii jak pędzel.

Liulfr dotknęła mojej twarzy wilgotnym nosem.

— To, co ci dałyśmy, jest twoje, ale nie należy do ciebie. Nie mamy nic przeciwko, nigdy nie mieliśmy, lecz światło nie jest niewyczerpane. Musisz zrozumieć, gdy Gwiazda je daje, przygasa. — Zamknęła oczy przy moim policzku. — Byłam tu dla ciebie i twoich matek przez długi czas, jestem źródłem twojego przyjscia, jestem studnią, z której pijesz.

Po raz pierwszy Gwiazda wydała się mniej jasna niż ściany jaskini. Była tylko starą wilczycą, sierść miała wyliniałą, oczy mleczne i przymglone, pysk poszarzały. Ale potem się uśmiechnęła, o ile wilk może się uśmiechnąć, i znów otoczyło mnie jej światło i ciepło, które było... było... nie umiem powiedzieć — tylko odrobinę słabsze niż wcześniej.

— Zmieniłaś się, gdy weszłaś do jaskini. Zrobiliśmy to dla ciebie. To wielka magia. Urwała, rzucając ukradkowe spojrzenie na kobietę o bezbarwnych lokach. — Prawie największa ze wszystkich. Przeobrażenie jest najbardziej gruntownym ze wszystkich aktów. Kiedy światło pochodzi z naszych rąk, a nie od twoich dziadków i dziadków i ich dziadków, daleko w przeszłość aż do tej biednej dziewczyny, która w namiocie tuliła dziecko do piersi, możesz być podobna

do nas, przynajmniej trochę, i zmiana konturów dziury będzie łatwa. — Gwiazda głośno przełknęła ślinę. — Ostatecznie dziura jest tylko przestrzenią.

Po chwili milczenia głębszego niż loch wstała, wyprężyła grzbiet i spojrzała na mnie, starannie wypowiadając słowa jedwabistym pyskiem.

— Ale nie jesteś jedną z nas. Dlatego nic z wyjątkiem śmierci nie może odwrócić przemiany, i nie tylko ciało się zmienia. Jedynie najsilniejsi z was potrafią zapobiec dopasowaniu duszy do zewnętrznej powłoki; umysł jest leniwy, w naturalny sposób naśladuje ciało. Nie znałam nikogo, kto pozostałby człowiekiem, nosząc inną skórę. Ale możesz dokonać przemiany, jeśli będziesz miała takie życzenie.

Zimna, czysta ręka dziewczyny-klejnotu puściła moją, obdarzona życiem skrawka papieru niesionego wiatrem po pustej ulicy. Stara złota wilczyca bez słowa poprowadziła mnie przez dwoje drzwi do wielkiej pierwszej jaskini. Wydawało się, że sto lat temu zgłębiłam się tutaj pod zębami Klaczy, która zrobiła we mnie dziurę.

— Idź, Gwiazdo-córko. Czeka cię wiele pracy.

Wiedziałam, że nie powinnam tego robić, ale nie mogłam się powstrzymać. Uklęłam i objęłam wielki kudłaty kark, chowając twarz w jej zapachu, w woni cedru, wilgotnej skały, świeżo spadłego śniegu.

— Nigdy nie wiadomo — szepnęłam — może nowe Gwiazdy są nie tylko znakami. Może są Manikarnika. Może wróciły do domu.

Liulfr potrząsnęła głową, ocierając się o moją skórę. Wilcze futro trzaskało jak bezgłośnie błyskawice.

— Nikt nie wraca do domu. — Jej głos był słaby i cichy. — Dziura nie jest niczym innym jak pustką. Powstaliśmy przypadkiem i nie ma dla nas łaski.

Odsunęła się i koniuszkiem języka musnęła mnie po policzku. Potem odeszła cicho i znikła, zanim dotarła do dalekiej ściany.

Gdy chwiejnym krokiem wyszłam na świat, pierwsze promienie słońca zapiekły mnie w oczy. Usiadłam ciężko w trawie, wyczerpanie runęło na mnie jak kamienna ściana.

Lis stał parę kroków przede mną, obserwując mnie zimnymi oczami.

— Niektórzy, choć zasługują na porażkę, nie ponoszą jej — parsknął. Niektórzy, choć nie zasługują na nic, dostają cały świat. Oto więc kobieto, jest świat. Idź do niego, lecz nigdy nikomu nie mów, przez co tutaj przeszłaś. To zakazane dla wszystkich, którzy mają języki i umieją mówić. Pragniemy pozostać w ukryciu; wybraliśmy to miejsce i nie chcemy, żeby utraciło swoją moc. Nie myśl, że widzisz mnie po raz ostatni ani że teraz jesteś mi równa. Liulfr jest bezsilna i stara. Wypełniona dziura nie jest pustą przestrzenią i wszyscy byliśmy pełni, tacy pełni światła. Jesteś złodziejem i wampirem, i gdyby to ode mnie zależało, ty i twoje córki nie dostałybyście więcej naszej krwi.

Słońce pełznące na lwich łapach po zielonych wzgórzach oświetliło jego futro, włosy po włosku, aż stał się taki jasny, że nie mogłam patrzeć. A potem zniknął, światło płynęło bez przeszkód przez miejsce w przestrzeni, gdzie był jeszcze przed chwilą.

Poza ogrodem

Kiedy północ rozpostarła się nad dziećmi jak granatowe ramię serafina, chłopiec ostrożnie ułożył głowę na kolanach dziewczynki, pozwalając, by ukołysał go jej głos. Udawał, że nie słyszy jej wstrzymywanego oddechu, kiedy się poruszał, ani drżenia w jej głosie, ledwo zauważalnego, jak jedna źle poprowadzona nitka w ozdobionej paciorkami szacie.

Ale gdy tylko jego głowa dotknęła szorstkiego płótna jej sukni, rozległ się okropny chrzęst: obce stopy tratowały ziemię przed ich altanką. Dziewczynka krzyknęła — był to straszny, wysoki dźwięk, jak lament żurawia trafionego srebrną strzałą. Chłopiec zerwał się, wyciągając żaloszny sztylecik, zdecydowany chronić swoją cenną zdobycz. Ale gdy upiorne ręce rozdarły słodko pachnącą zasłonę dzikich róż, zrozumiał, że zagraża im coś gorszego niż wiedźma czy tajemne zaklęcie.

Ujrzał gniewną twarz siostry, okoloną gałęzmi jaśminu jak płomienną mandalą, i oczy pełne oskarżeń niczym zwój sędziego.

— Przyłapałam cię, wstrętny szcurku! — wrzasnęła Dinarzad triumfalnie. — Kara cię nie minie! Zadajesz się z dziewczyną demonem!

— Ona nie jest demonem! — wybuchnął, wcale tego nie zamierzając, bo siostra Dinarzad była straszna niczym lew w ukropie. Dziewczynka oddychała szybko i chrapliwie. — Nie jest demonem! Zostaw nas w spokoju!

Coś z wilka i jaskini musiało się w niego wsączyć jak rozlany atrament, bo nigdy wcześniej nie miał odwagi powiedzieć jej

czegoś takiego. Dinarzad wpadła w gąszcz jak oszalała harpia — chłopiec mógł niemal wyobrazić sobie pióra stroszące się na jej skórze — chwyciła go za włosy i powlokła, odciągając od płaczącej dziewczynki, choć wierzgał i kłął z zawziętością dorosłego mężczyzny.

W jego oczach dziewczynka uciekła jak księżyc, który chowa się za lamowane kobaltem chmury. Światło wyciekało z jego świata; widział tylko jej oczy, wielkie i ciemne jak u leśnej sowy, patrzące w ślad za nim.

U bramy ogrodu chłopiec mocno ugryzł siostrę w uperfumowane ramię. Dinarzad zatrzymała się i uderzyła go w twarz — z taką siłą, że warga mu pękła jak sosnowa gałązka. Wypluł krew na ziemię.

— Możesz teraz uważać się za mężczyznę, braciszku, ale mężczyźni omijają z daleka takie przebrzydłe diablice. Czy chcesz ściągnąć klątwę na całą rodzinę? Ty zepsuty szczeniaku! Rano cię za to wychłoszczę!

Wyzywający jak kogut o wschodzie słońca, chłopiec wrzasnął:

— Tak! Tak! Jestem szczeniakiem! Jestem wilkiem z zębami ostrymi jak pirackie miecze i rozedrę cię na tyle kawałków, ile jest klejnotów w skarbnicach sułtana! Ona nie jest demonem, chcę do niej powrócić. W tej chwili. — Skrzyżował ręce na młodej piersi i poczuł, że duma wzbiera w nim niczym krew Gwiazdy.

Dinarzad zapłonęła gniewem. Z oczyma ciemnymi jak zapleśniałe lochy chwyciła go za ramię, powoli zaciskając palce.

— Nie, braciszku. Nigdzie nie pójdziesz.

Chłopiec zbudził się w mrocznym, brzydko pachnącym więzieniu.

Dinarzad trzymała w ramionach bliźnięta, a one wrzeszczały, jakby chciały wypluć z siebie identyczne serca. Chłopiec został uwięziony w królewskim żłobku, wśród udręczonych krzyków tuzinów niemowląt, dzieci straszliwszych niż rogate demony w swoich czarnych kuźniach.

Dinarzad, prawie dorosła, gotowa wyjść za mąż, wieczorami zajmowała się pałacowymi dziećmi i rządziła nimi pięścią twardszą niż żelazo, które wytapiają śmiertelnicy. Była mściwą boginią sprawującą władzę absolutną. Tego dnia opiekowała się najmłodszymi, a chłopiec za swoje przewiny został skazany na pobyt w tym strasznym pokoju z niemowlętami. Był pewien, że jest tu gorzej niż w starych lochach królewskiego zamku, i nie mógł liczyć na ucieczkę, bo oczy siostry wbijały się w niego jak szczypcy skorpiona.

Ale bogowie nie zawsze są Niemili dla małych chłopców i los interweniował w postaci różowego książątka ze skłonnością do kolki. Jeszcze nie rozumiejąc swoich królewskich obowiązków, biedactwo po prostu się uparło, że chce być w ramionach matki. Tak oto Dinarzad zmuszona była zanieść kwilące dziecko do odpowiedniej sypialni.

— Jeśli przesuniesz choć palec stopy z jednej kamiennej płyty na drugą — ostrzegła — zamknę cię tutaj, dopóki nie zgnijesz. Nikt nie zauważy zniknięcia jednego spośród tuzinów braci.

To rzekłszy, wyszła za drzwi, wlokąc za sobą jedwabie w różanym kolorze.

Oczywiście, chłopiec zniknął za oknem w czasie, jaki serce potrzebuje na trzy uderzenia.

Altanka wyglądała tak, jakby stoczono w niej bitwę, jakby lano smołę z murów na oddział żołnierzy, którzy stratowali wszystko pod nogami. Strzępy białych kwiatów zwisały z połamanych gałęzi jak wieśniacze łachmany, kolacja była rozrzucona. Chłopiec zobaczył, że zgniótł flaszkę z wodą na sękatym korzeniu, gdy Dinarzad go wlokła. Zniszczenie kwiatów dotknęło go najbardziej, zerwane płatki oleandra wały się po ziemi. Miejsce, gdzie słuchał opowieści, które wciąż płonęły w nim jak lampa oliwna, zostało zdewastowane, splądrowane jak piękny dom przez rabusiów.

A dziewczynki nigdzie nie było widać.

Przeszukał wszystkie znane sobie kryjówki w rozległym ogrodzie, zaglądał za żywopłoty i drzewa różane, okrążał sadzawki z liliami i lamentującymi żabami, zbadał gaje oliwne i granice sadów. Odeszła, zniknęła, a wraz z nią przepadły wszystkie opowieści.

Usiadł ciężko na zrębie fontanny, gdzie woda cicho sączyła się w noc. Złożył na rękach złotą głowę, robiąc sobie wyrzuty za brak ostrożności, za to, że dał się złapać, że pozwolił odkryć, iż nie ma go w pałacu. Był niewydarzonym złodziejem i jeszcze bardziej beznadziejnym obrońcą. Ale z drugiej strony, pomyślał, księżę Leander też został złapany, więc może jednak zdoła sobie wybaczyć.

Rozglądał się z rozpaczą, a księżyc płynął przed jego oczami jak wielki papierowy lampion. Gdy chmury się odsunęły, dzika gęś przecięła szerokie oblicze miesiąca, kreśląc pełną gracji

ścieżkę na tle nocy. Chłopiec usłyszał jej wołanie, samotne i obce, podobne tonom nefrytowego fletu, i westchnął głęboko.

Gęś znów zakrzyczała, tym razem bardzo blisko, i nagle chłopiec zrozumiał, że nie ptak go woła, lecz ciemnooka dziewczynka, która skrywała się za smukłym młodym cedrem. Serce skoczyło mu w piersi jak kaczka wzbijająca się do lotu z nieruchomego stawu. Pobiegł do dziewczynki z wyciągniętymi rękami. W ostatniej chwili powstrzymał się przed zamknięciem jej w ramionach. Dziewczynka z nieśmiałą, zakłopotaną miną spuściła czarne oczy.

— Skąd się nauczyłaś wołania dzikiego ptactwa? — zapytał z przejęciem.

— Mówiłam ci. Karmię je i rozmawiam z nimi od dziecka... nie miałam nikogo innego. One... czasami rozpościerają nade mną skrzydła w zimowe noce, gdy jest bardzo zimno, i odpoczywamy razem pod twardymi gwiazdami.

Chłopiec znów powstrzymał się od uściskania dziewczynki i tylko poklepał ją po ramieniu, jak jego ojciec poklepywał swoich towarzyszy.

— Mówiłaś, ale czy mogłem ci wierzyć? Pewnego dnia musisz mnie tego nauczyć! — oświadczył. — Ale najpierw opowieść. Mów, co było dalej! Muszę wiedzieć, co się stało z księciem, gdy wiedźma skończyła opowiadać!

Ukradkiem oddalili się od fontanny, która nie dawała im osłony. Schowali się w gaju słodko pachnących cedrów, dziewczynka usiadła i posłała mu dziwny, koci uśmiech.

— Mylisz się. Wiedźma dopiero zaczęła...

Opowieść wiedźmy, ciąg dalszy

Babcia splotła ręce, suche jak stary patyczak, i z lekkim uśmiechem gładziła moje włosy. Wciąż pamiętam jej głos, jak wił się po ciemnej piwnicy, drapiąc ściany i liżąc masywne zamki, jednocześnie łagodząc mój strach jak prządka, która zwilża nić pomiędzy wargami.

— Więc możesz się zmienić nawet teraz? W tej chwili?

— Tak, mogłabym.

— A ja?

— Ty, kochanie, nigdy nie wejdiesz do jaskini. Nigdy nie dotkniesz światła we wnętrzu Liulfr ani we wnętrzu martwej Gwiazdy. W najlepszym razie zostaniesz wiedźmą liści i traw, będziesz warzyć eliksiry miłosne, dekokty na katar i na podagrę dla tych, którzy będą ci mogli zapłacić, będziesz spoglądać w niebo i mówić młodej dziewczynie, czy jej przyszły mąż ma jasne, czy może ciemne włosy, we właściwym czasie odbierzesz jej dziecko i pochowasz ją, kiedy nadejdzie pora, ale to wszystko.

Przełknęłam jej słowa, żując je jak pas skóry. W końcu uznałam, że słaba wiedźma jest lepsza niż żadna.

— Mogłabyś przemienić kogoś? — zapytałam nagle.

Babcia ściągnęła brwi, jakby próbowała rozwikłać zagadkę dziwnego tropu kopyt.

— Nie wiem. Myślę, że mogłabym... Przypuszczam, że jest na to sposób. Ale nie chciałbym być tą, która podejmie próbę.

— Więc zmień się sama! — krzyknęłam, chwytając jej kościste ręce. Przemień się w mysz i wysmyknij przez szparę pod drzwiami albo w postaci ptaka wyleć przez kraty w oknie. Przynieś klucz i uwolnij mnie, a razem wrócimy na stepy, będziemy jeść jeleninę i już nigdy nie pomyślimy o tym przeklętym lochu.

— Biedny mały Nożu, czasami bywasz bezmyślna jak skała — powiedziała życzliwie. — Jeśli stanę się myszą, ucieknę i nie będę myślała o niczym więcej, jak o wypchaniu serem mojego szarego brzuszka. Zapomnę o tobie i już nigdy razem nie skosztujemy jeleniego mięsa. Poza tym muszę zabić, zanim pomyślę o myszach czy ptakach. A ty musisz urodzić.

Opowieść o księciu i gęsi, ciąg dalszy

Wiedźma umilkła. Noc wpłynęła przez okna jej chaty jak jedwab odwijany z beli. Gęsta i czarna spowiła ich oboje. Księżę czuł się nieswojo, był zmarznięty i miał umęczone ręce, ale nie śmiał się skarżyć.

Już jej nie słyszał, a jego rana znów zaczęła krwawić. Krew wsączała się w chleb, lecz on tego nie widział. Trzaskający ogień skakał jak pstrąg, wypełniając wnętrze chaty zapachem zielonej szałwi i słodkiej trawy. Księżciu łzawiły oczy, choć nie umiał powiedzieć, co jest tego przyczyną: gryzący dym czy może pogrzebane głęboko wspomnienie, zbudzone przez rzuconą mimochodem wzmiankę o jego matce. Wspomnienie od wielu godzin kołatało się w jego głowie — błysk pszenicznych włosów i trzepot skrzydeł w zakamarku pamięci.

Wszystko stawało się dziwne i trudne do prześledzenia: leśna ścieżka, która przywiodła go do tego domu, warkocze słów lejących się jak atrament z ust sędziwej kobiety, pulsujący w nim strach, że gdy opowieść dobiegnie końca, będzie musiał ponieść karę za zabicie gęsi — i wspomnienie, wspomnienie muskające jego serce strasznymi szarymi skrzydłami.

Prawdę mówiąc, zatracony w opowieści wiedźmy niemal zapomniał o istnieniu ptaka o perłowych piórach, któremu skręcił kark w promieniach poranka. Ale przypomniał sobie, gdy spojrzał na ręce oprószone mąką, skąpane w blasku ognia i cieniu; przypomniał sobie, gdy zobaczył krople ciemnej krwi

wśród miałkiej bieli i na wilgotnej ranie. Ledwie przed chwilą — czyż nie? — opuścił zamek ojca jak zbieg, zdecydowany nigdy tam nie powrócić. A teraz był więźniem tylko parę mil za granicami królestwa, pasmo jego przygody zostało ucięte, zanim się rozwinęło. Był bezradny jak zając we wnykach, zagubiony na grzędawisku tego sykliwego głosu, w chacie cieni i ognia, ze zwłokami dziewczyny-gęsi ułożonymi pod ścianą, blisko paleniska, żeby nie straciły ciepła.

A wiedźma nagle wyrzekła imię jego matki i te stare, zakazane sylaby nałożyły się na jej opowieść. Oczywiście historia ta nie miała z nim nic wspólnego, ale nie wiedzieć czemu wspomnienie matki stało się twardym łodem, którym wiedźma powoli rozkuła jego serce. Ledwo słyszał ostatni fragment długiej opowieści, po szyję pogrążony w smutku, którego fale omywały mu podbródek.

Wiedźma przekrzywiła głowę, obserwując księcia z umiarkowanym zaciekawieniem. Bez słowa ujęła jego rękę i przycisnęła dłoń do czerwonych kikutów, tamując krwawienie. Natarła rany jakimś słodko pachnącym korzeniem, który szczypał zimnem.

— Trawa i liście — parsknęła.

Księżę bez powodzenia próbował się uśmiechnąć. Wiedźma spojrzała na niego, mrużąc dzikie oczy.

— Co to znaczy, chłopcze? Jesteś moim sługą, a jednak nie możesz słuchać mnie przez jeden wieczór? Zamiast tego spowijasz się we własne kłopoty jak w belę wełny i marzysz, że zdejmę je z twoich ramion.

— Moja matka — wymamrotał księżę. — Powiedziałaś, że znałaś moją matkę.

— A ty powiedziałaś, żebym o niej nie mówiła — przypomniała gderliwie. — Doskonale, mam zatem zamilknąć i słuchać, jak morderca bije się w piersi i wypluwa swą żalność na moją podłogę? Twoja matka nie żyje, a ojciec wymazał ją z pamięci świata. Czy trzeba wiedzieć coś więcej o biednej kobiecie?

Jej głos trzasnął groźnie na końcu pytania i książkę drgnął, zdumiony, jakie sprawy bez jego wiedzy musiały rozgrywać się w królestwie, skoro głęboko w lesie spotkał wygnaną kobietę, która znała zmarłą królową. Och, imię jego matki zostało starannie zapisane w genealogicznych zwojach i niosło się po kraju w pieśniach, z których większość sławiła jej długie pszeniczne włosy — ale zakazane było w pokojach władzy i w każdym innym pokoju, do którego mógł wejść jego ojciec. A jednak wiedźma ją znała.

Potarła długie kościste palce z chrzęstem, jakby gałęzie ocierały się na wietrze, i obdarzyła go uśmiechem spod zasłony brudnych siwych włosów.

— Myślisz, że jestem niegodziwa, prawda? Potwór, wybryk natury. Jakże jestem okrutna, trzymam cię tutaj i gładzę o zmarłej babce, która cię nic nie obchodzi. Łudzę cię, odsuwając los, jaki ci zgotowałam, i dręcę przypominaniem o matce. Wiedz, że mówię ci to wszystko nie bez powodu, dzieciaku z twarogiem miast mózgu. Czy nigdy nie miałeś guwenera? Nauczam martwej, nudnej historii, żebyś pojął, dlaczego nogi przyniosły cię tutaj, nie do chaty jakiejś innej złamanej staruszki, i co zakończyłeś, skręciwszy kark mojej córce. Przestań się na mnie gapić jak głupiec. Słuchaj, bo inaczej niczego nie zrozumiesz, nawet swojej matki. A może mam cię po prostu zabić i dokonać zemsty? Z pewnością zaoszczędziłoby

mi to tchu, a w moim wieku każdy dech jest nazwany i porachowany. Zabawiam cię kosztem wielu liczb w zwoju oddechów, chłopcze; nie wódź mnie na pokuszenie. — Urwała, krzywiąc się, jakby naprawdę obliczała siłę swoich płuc. — I nigdy nie przypisuj niegodziwości kobiecie tylko dlatego, że jest szpetna i nieprzymilna. Taka postawa nie przystoi księciu.

Głośno siorbnęła herbatę. Kiedy znów się odezwała, jej głos złagodniał ze szpica sztyletu do gładkiej, rozgrzanej przez dłoń rękojeści.

— Ale widzę, że cierpisz, a to domena potworów. Wleczesz za sobą trupa matki, który zostawia wielką bruzdę w ziemi. Jeśli wygrzebywanie tych starych kości jest dla ciebie na tyle ważne, żeby niegrzecznie przerywać kobiecie, która od rana zdążyła wzbogacić się o dwa palce, chętnie posłucham. Wszystko mi jedno. Wierz mi, nie będzie ci lżej, gdy przepełnią cię ciepłe uczucia do mnie, bo mogłeś zrzucić ciężar z serca. Mamy przed sobą wszystkie noce świata. Mów o zmarłej w ciemnościach, chłopcze, a ja zabiorę jej ciało, jeśli chcesz się go pozbyć.

Księżę spojrział na nią, skulony jak wychłostany pies, żebra w nim trzaskały, jakby łupane tysiącami maleńkich oskardów. Nie mógł oddychać, serce tłukło mu się w klatce piersiowej, gardło stało w ogniu. Chciał jej powiedzieć, co wiedział, wysiłek palił mu duszę, lecz nie mógł wykrztusić słowa.

A wiedźma go wyśmiała.

Nie był to jednak śmiech złośliwy, tylko starczy chichot, smutny, łagodny i przepojony współczuciem.

Pochyliła się, jej ruch przywodził na myśl zamykające się wrota.

— Powiesz mu jej imię. Powiesz mu, gdy znów go zobaczysz.

Położyła twardą jak rzemień dłoń na jego czole, a drugą na ustach, obejmując jego głowę jak ukochaną lalkę. Leander chciał jej nienawidzić, splunąć na nią, ale gdy tylko poczuł suchą skórę, spokój spłynął na niego jak falująca rzeka, mięśnie się odprężyły i znów mógł oddychać. Jej ręce, silne i chłodne, przypominały łapy niedźwiedzicy, która ma pod opieką młode. Kiedy go puściła, wyprostował ramiona, szeroko otwierając oczy.

— Trawa i liście? — szepnął.

— No właśnie — odparła.

I z ust księcia popłynęły słowa, które od dawna w nim rdzewiały:

— Mój ojciec ją zabił. — Pokręcił głową. — Zdaje się, że teraz łatwo to wyznać, nikt jednak o tym nie mówi. Nikt. Byłem niemowlęciem, gdy zmarła, ale piastunka opowiadała mi o niej setki razy, jakby śpiewała kołysankę. Chciała, żeby wspomnienia stały się we mnie czymś podobnym do serca, nieusuwalnym i stałym. Chciała ją dla mnie zatrzymać i szeptała tę samą historię, powtarzaną bez końca. Pamiętam jej włosy, otaczające mnie jak las prostych, białych brzoź, i jej ciemne oczy nade mną...

Opowieść piastunki

Twoja matka była piękniejsza niż letnie słońce, maleńki. Będą ci mówić, że nie, że była szpetna jak żabi przełyk, ale to kłamstwo. Yaya mówi prawdę swoim chłopcom, zawsze i wciąż.

Była cała złota, miała złote włosy, skórę, nawet oczy, jak lwica. Nazywała się Helia, to imię dobre jak każde inne, które słyszałam.

Twój ojciec jej strzegł, zazdrosny niczym szakal, i trzymał ją zamkniętą w komnacie w wieży, ale sława jej niesłychanej piękności rozeszła się po kraju. Urodziłeś się niedługo po ślubie — zwykle tak bywa, gdy żona przypomina słońce albo lwicę — i gdy wyskoczyłeś z jej łona, łatwo jak nic na świecie, szaleńczo cię pokochała. Byłeś tak ciemny, jak ona jasna, maleńki księżyc przy słońcu. Służyłam jej wówczas jako pokojowa, a ona jaśniała światłem. Mówię ci, kochany kaczorku, czasami patrzenie na nią sprawiało ból, gdy stała w oknie wieży, trzymając cię przy piersi. Jej włosy płonęły żywym ogniem. Zachodziłam w głowę, czy karmi cię mlekiem, czy może słońce spływa przez nią prosto w twoje usta.

Ale pewnej nocy wymknęła się z wieży. Już prawie wyrosłeś z pieluch, ale miałeś jeszcze dziecinny tłuszczyczek na pucołowatych policzkach. Dreptałeś po pustym pokoju — twój ojciec nie dał jej nawet krzesła, przysięgam. Przez cały dzień stała, a nocą kładła się na zimnych kamieniach, lecz nigdy nie słyszałam jej skargi. I nie mogę ci powiedzieć, bo nie wiem, co robiła tamtej dziwnej nocy (możni nie mówią nam, jak lubią mieć zawiązane wstążki i zaparzoną herbatę, i Yaya nie ma im

tego za złe, już taka ich natura), ale gniew twojego ojca zachmurzył niebo o złotym poranku i wstrząsnął strzechą na dachu.

Obaj ze starym wróżbitą szaleli w zamku jak niszczycielska wichura, obwiniając mnie, że ją wypuściłam, jakby królowa nie mogła robić, co sobie zażyczy. Król ścisnął moją rękę w palcach silnych jak żelazne kajdany i powlókł mnie po skrzypiących schodach do wieży, gdzie stała twoja matka, uosobienie spokoju, a ty spałeś w jej ramionach bez jednej troski w głowie. Patrzyła na twojego ojca wzrokiem nasyconej tygrysicy, jej złote oczy płonęły z nienawiści i szczęścia.

Nie zapomnę tego spojrzenia, za wszystkie jabłka z największego sadu. Helia nienawidziła króla i taka jest prawda; zapytasz go, kiedy dorośniesz, i zobaczysz, czy nazwie Yayę kłamczynią. Zbudziłeś się z krzykiem, gdy ojciec wyrwał cię z jej ramion i wepchnął w moje, a potem uderzył twoją matkę tak mocno, że wypluła ząb na podłogę — jak ci się to podoba? Lecz ona nawet nie mrugnęła i ten straszny ogień ani na chwilę nie przygasł w jej oczach. On syknął na nią, mówiąc dziwne, mroczne, czarne słowa:

— Kobieto, nigdy więcej nie zrobisz ze mnie głupca. Powinienem poderżnąć ci gardło, gdy tylko cię zobaczyłem.

— Zapewne masz rację — wymruczała twoja matka.

Wtedy król pokazał zęby w uśmiechu, a ja zaczęłam się bać, że w sercu mojego pana tai się jakaś zgnilizna, nic jednak nie powiedziałam. Sługa nie odzywa się bez pytania, a kto pytał Yayę o cośkolwiek poza tym, kiedy podana zostanie kolacja?

— Pamiętasz? — splunął. — Twoja śmierć będzie nauką dla twojego syna.

Uśmiechnęła się strasznie do jego purpurowej twarzy i szepnęła głosem słodkim jak śmietanka:

— Mój syn się nauczy, mój mąż. Nauczy.

Zabili ją nazajutrz rano. Nie mogłam zgadnąć, dlaczego ani za jaką zbrodnię, ale została stracona jak złodziej przyłapany z oselką masła. Byłam tam, na dziedzińcu, i miałam cię przy sobie, i jako dobra piastunka odwróciłam twoją twarz w ostatniej chwili.

Przed świtem, w sennej szarości, twój ojciec wywlókł z zamku Helię, ubraną w prostą białą koszulę, z włosami płonącymi we mgle niczym ogień. Był tam ten pomyłony stary kuglarz w pięknych niebieskich szatach, ale nie wyrzekł słowa — sługa nigdy nie odzywa się niepytany i przez cały czas tylko uśmiechał się łagodnie. Król rzucił twą biedną rodzicielkę na stos świeżo zrąbanych kłód i przywiązał ją szorstkimi linami. Nie szamotała się, nawet gdy ściągnął sznury tak mocno, że przeguby spłynęły krwią. Kiedy jednak zobaczyła ciebie... Ha, żadna matka nie ma w sobie dość siły, by robić obojętną minę, gdy dziecko patrzy na jej śmierć na stosie. Zapłakała wtedy i krzyknęła, próbując wyciągnąć ręce do ciebie, do swojego patrzącego ciekawie kurczaczka, choć nie błagała o życie, nie, ani razu.

Chciałam jej pomóc, Yaya bardzo chciała, lecz spłonęłabym wraz z nią, a wówczas zostałbyś sam, bez nikogo, kto by cię kochał i stanął pomiędzy tobą a zgnilizną w twoim ojcu.

Król wyjął długi nóż, obciął jej wspaniałe włosy i podał je głupiemu czarodziejowi. Obaj stali nad nią przez chwilę, a twarz twego ojca ciemna była jak brud. Potem król wielką trzaskającą pochodnią podpalił gałęzie jesionu i dębu. Helia wciąż krzyczała, i było to straszne, straszne zawodzenie, jak

pieśń, przerażająca pieśń śmierci płynąca ze szpiku kości, a ty płakałeś coraz głośniejszym, przerażonym, wysokim, śpiewnym lamentem. Ogień liznął jej stopy i zaczął pożerać suknię; rozświetlił jej głowę jak czoło anioła.

Teraz posłuchaj, twoja Yaya nie kłamie, bez względu na to, co mówią ci przy kolacji, więc słuchaj, kiedy mówię, co widziałam na własne oczy. Gdy czerwień ognia spowiła ją całą, przez tańczące płomienie ujrzałam, że twoja matka się zmienia. Jej włosy ze złotych zrobiły się czarne, kształt jej ciała falował w gorącu, raz wyglądała jak znana mi Helia, a raz jak ktoś inny, ktoś brzydki, straszny i mroczny jak nic innego pod słońcem.

Powiedzą ci, że Yaya straciła rozum, że pije za dużo podłego czerwonego piwa, ale myślę, że czarnoksiężnik też to zobaczył, bo jego oczy zrobiły się złe. Przegnał nas wszystkich z zimna, mówiąc, że ktoś przyjdzie uprzątnąć kości, że dziecko nie powinno patrzeć — powiedziałam mu od razu, że gdyby tego nie chciał, nie kazałby wywlekać cię z łóżka, lecz wyleniały stary marabut zlekceważył mnie, jak zawsze.

Ale, moja kochana kluseczko, jej krzyk płynął za mną, drapał moje plecy, a w tle, przysięgam, słyszałam szelest, łopot, trzepotanie, głośnie, coraz głośniejsze, aż w końcu zakryłam uszy, gdy uciekałam od niej, od twojej matki płonącej jak kawał mięsa.

Opowieść o księciu i gęsi, ciąg dalszy

— To wszystko? — zapytała wiedźma znudzonym tonem.

Księżę drętwo pokiwał głową, choć drobna, wyrachowana myśl załęgła się w jego sercu, jakby wpadł w krzakach na trop jelenia, którego, czego był pewien, zdoła upolować, jeśli tylko podkradnie się w ciszy.

Nóż poprawiła się na okrytym futrem stołku i podjęła swoją opowieść.

Opowieść więdźmy, ciąg dalszy

Czas w lochach pędził jak ósmionogi lampart — nie mogliśmy go zobaczyć, nie słyszałyśmy, jak przechodzi, lecz mimo to podkradał się na cętkowanych łapach i nas pożerał w całości. Zrobiłam się okrągła niczym księżyc w pełni, choć ręce miałam suche jak gałązki brzozy, a policzki zapadnięte. Głód i ciemność nie odstępowały nas jak zatroskane niańki.

I pewnej nocy ległam na spleśniałej słomie, wśród szybkich, piszczących szczurów, żeby urodzić dziecko. Babcia trzymała mnie w gnieździe swoich rąk i nóg, obejmowała mnie pod kamienną ścianą, przyciskała swą twarz do mojej, szeptała, podczas gdy ja jęczałam i ocierałam czarne od brudu łzy. Pomarszczoną dłonią gładziła mój brzuch, koliście, na wzór krążących przed odlotem ptaków.

Ból tworzył swój własny świat, własny pejzaż wymalowany czerwienią, czernią i błyskami rozchwianej bieli. Krzyczałam — ale wszyscy krzyczą w więzieniu. Przeklinałam wszystko, co przyszło mi na myśl — ale w więzieniu klątwy powszechne są jak gangrena. Pot zlepił mi włosy, moje bose stopy ślizgały się po podłodze, gdy wierzgałam i miotałam się jak chora ropucha. Moje ciało rozdzierało się żywcem. Krzyczałam i krzyczałam. Uczepiłam się babci, a ona odwzajemniała uścisk, próbując mnie uspokoić, poszturchując mnie lekko jak wilczyca swoje szczenię w śniegu.

Nie czułam jej dotyku, czułam tylko, że rozpadam się na kawałki.

Ale moja córka przyszła na świat cała i zdrowa, ze strzechą czarnych włosów i spokojnymi czarnymi oczami. Trzymałam ją w ramionach, mokre, trzęsące się ciało zrodzone w ciemnościach daleko od naszego domu. Kołysałam ją bez jednego słowa, w tej chwili wolna od rozpacz.

A potem głos mojej babci wśliznął się we mnie niczym igła w płótno.

— Nie możemy jej zatrzymać, Nożu, musisz wiedzieć, że nie możemy jej zatrzymać.

Skuliłam się i mocno przytuliłam córkę. Babcia uciszyła mnie i znów zaczęła głaskać jak dziecko ze stłuczonym palcem.

— Nie przeżyje. Król każe zabić maleństwo, o ile nie umrze tu z głodu. Nie może zostać z nami. Wiesz o tym, po prostu nie chcesz wiedzieć żadna matka nie pragnie takiej wiedzy.

Wstydzę się łez wylanych tamtej nocy, gorących i gęstych, kapiących jak wosk ze świec w tysiącu świątyń, ciekących bez końca.

— Nie, nie, ona jest moja! Już ją kocham. Gdybyś ty ją kochała, nie prosiłabyś, żebym się jej wyrzekła. Nie oddam jej, nie oddam! — Spojrzałam na nią bezradnie. — Nawet nie ma imienia!

Babcia była pomarszczona z bólu — jej twarz przypominała księgę czytaną zbyt często, wertowaną przez niedelikatne ręce. Ona wzruszyła ramionami, wiedząc, że potrafię być uparta, i po raz pierwszy odeszła ode mnie w głęboki mrok, skuliła się w dalekim kącie celi, przycisnęła kolana do piersi na stosie zapleśniałych kości. Po chwili usłyszałam jej pochrapywanie.

Nastąpiły tygodnie milczenia. Byłam jak wrzucona do zimnej wody bez odrobiny powietrza w płucach. Babcia nie chciała ze mną rozmawiać, a ja po raz pierwszy poczułam się naprawdę uwięziona. Kucaliśmy w osobnych kątach lochu jak zapaśnicy przed walką. Opiekowałam się córeczką najlepiej, jak umiałam, jej głodne usteczka szarpały moje piersi, jej głodne krzyki szarpały moje uszy. Zmęczyła mnie, och, jak ona mnie zmęczyła! Mogłam tylko drzemać jak chory kot — kamienie nie są kołyską, nie są łóżkiem, a ja nie miałam końskiego mleka, żeby nauczyć ją jego smaku, ani stepowej trawy, żeby nauczyć ją jej miękkości. Wiedziałam, że nigdy nie pozna tego, co ja znałam.

Jej czarne oczy zawsze były otwarte w ciemności, jej skóra zawsze była blada i lepka. Drżała, tak bardzo drżała w wilgoci, chuda i zmarznięta, chuda jak patyczek. Karmiłam ją z płaczem, kołysząc się pod oślizgłą ścianą. Nigdy nie płakała, tylko patrzyła na mnie tymi pustymi czarnymi oczami.

— Orle Gniazdo — wyszlochałam pewnej nocy w cieniu, gdzie kucala babcia. — Nazwę ją Orle Gniazdo.

— Pełne nadziei imię dla dziewczyny, która prawdopodobnie nigdy nie zobaczy światła dnia, a co dopiero wysokiego gniazda wśród ośnieżonych szczytów.

Pogładziłam miękki policzek córeczki, zupełnie bez koloru, tylko z płytką szarością pod skórą. Sięgnęła ustami do mojego palca, a ja po raz tysięczny zaczęłam płakać. Wtedy byłam tak bardzo zmęczona płaczem. Mleko i łzy wypływały ze mnie codziennie i codziennie myślałam, że nie została już we mnie kropelka wilgoci, ale codziennie znów płakałam i dawałam jej pokarm.

— Nie mogę, babciu, nie mogę. Chcesz, żebym uśmierciła ją jak konia ze strzaskaną nogą. Nie mogę. Nawet gdyby tak byłoby dla niej lepiej, nie mogę, nie mogłabym nawet nie podejść do niej, gdy płacze. Jej płacz jest hakiem, który chwytam mnie za gardło i ciągnie.

— Maleńka, o coś takiego nigdy bym nie poprosiła. Jak możesz tak myśleć? Słuchaj mnie, choć klekoczę niby skorupa żółwia rzucona z kamienia na kamień. Możemy jej dać coś lepszego niż śmierć, i z pewnością lepszego od tego, co możemy zrobić dla siebie. Nożu, daj mi ją; uwierz, moja opowieść nie była bez sensu. Chcesz nazwać ją Orlim Gniazdem? Dobrze. Zobaczymy, co możemy zrobić, żeby miała własne gniazdo.

Musiała wyrwać córkę z moich ramion jak klejnot z oprawy i uśmiechnęła się ze smutkiem, do lekkiej jak piórko prawnuczki, dotykając jej po raz pierwszy od chwili, gdy wyjęła ją z mojego ciała. Położyła dziecko na łachmanach, jakie zdołałyśmy zebrać, żeby chronić je przed zimnem podłogi. Orle Gniazdo zaniosła się płaczem, wciągając potężne hausty lodowatego powietrza i szlochając do stropu.

Babcia zaczęła przygotowania — do czego, nie umiałam zgadnąć — zamykając oczy jak kurtyny w drzwiach i każąc mi zrobić to samo.

Nie widziałam w tym sensu. Znałam się tylko na zabijaniu jeleni i ujeżdżaniu konia, na opatrywaniu gnijących ran i nastawianiu kości. Skoro nie zamierzałyśmy zabić mojego dziecka, nie mogłam służyć pomocą. Babcia powiedziała mi, co nam pozostało. Trawa i liście. Moja maleńka córeczka głośno zawodziła, płosząc karaluchy i pająki, które radośnie pełzały po naszej celi. Pragnęłam utulić ją i przystawić do piersi, mimo że wyschła i bardzo wymęczona była ta pierś.

Babcia opuściła palce nad poważną twarzą Orlego Gniazda.

— Nie... nie jestem pewna, czy się uda. — Chrząknęła. — Nigdy tego nie robiłam, a Wilczyca mi nie powiedziała, czy wolno. Dziura nie jest niczym więcej, jak pustą przestrzenią, ale wypełniona dziura jest Gwiazdą. Ja jestem pełna, ona zaś jest pusta. To powinno wystarczyć.

Nigdy nie słyszałam, by babcia wątpiła w cośkolwiek pod czerwonym słońcem. Gdyby powiedziała, że jeden królik wystarczy do nakarmienia świata, skinęłabym głową i zajęła się zdejmowaniem skóry.

Babcia schyliła głowę do podłogi jak gdyby w modlitwie i powoli uderzyła w nią czołem, potem drugi raz i trzeci, coraz mocniej. Próbowalam ją złapać i powstrzymać, ale odepchnęła mnie na bok i robiła swoje, bijąc twarzą w kamienie. Rosła pod nią ciemna, wilgotna plama, a trzask kości o kamień stał się głośny i brzydki, zanim w końcu przestała i podniosła głowę.

Twarz miała zakrwawioną, tak, ale wśród smug krwi widniały smugi srebra, srebrnego światła, jak pasma siwizny we włosach młodej kobiety. Światło pokrywało jej policzki, spływało z oczu, kapało z podbródka. Dotknęła dłonią czoła, które zmieniło się w miazgę i widząc światło na palcach, skłoniła głowę nad ustami mojej córki.

Orle Gniazdo z początku chyba było zdezorientowane, ale srebro przemieszane z czernią ściekało do jej ust, a jej nigdy nie trzeba było namawiać do ssania. Przycisnęła wargi do czoła babci i klepała drobnymi piąstkami jej włosy z uciechą głodnego niemowlęcia. Wpłynęło w nią światło i krew, wszystko razem, i moja córka zajaśniała w ciemnościach.

Babcia odsunęła się i wytarła jej buzię jak każdemu innemu dziecku. Położyła ręce na biednym, bladym ciałku i mocno zacisnęła powieki, oddychając ciężko i chrapliwie, ugniatając palcami moje dziecko, jakby formowała je niczym glinę.

Orle Gniazdo powoli się zmieniała. Jej stopy spowite księżycowym światłem zdawały się roztopiać, jej ręce spłaszczyły się jak arkusze papieru bez śladu atramentu. Pióra porosły ją jak jedwabiste włosy, pierwsze delikatne, zawinięte w dół, a potem silne szare lotki, wykończone czernią na skrajach, barwy srebrnej nici uprzedzonej na kryształowym kole. Jej usta, milczące jak gdyby w zdumieniu, wydłużyły się we wdzięczny dziób.

Tylko jej oczy pozostały takie same, czujne, koloru głązów na dnie jeziora.

Podskoczyła — moja córka, teraz śliczna gaska — i puszystym łebkiem trąciła moją rękę. Wciąż była taka maleńka. Pochyliłam się i pocałowałam jej pióra, czując, jak moje serce usycha niczym martwy głóg.

Zaniosłyśmy Orle Gniazdo do zakratowanego okna i stojąc chwiejnie na stosie kości, precyzyjnie jej drobne ciało za pręty.

— W tym kraju są setki stad gęsi, Nożu. Dopóki nie dorosnie, każde się nią zajmie. Tak będzie najlepiej. Nasz los będzie znacznie gorszy. Leć, ptaszyno.

Orle Gniazdo patrzyła na mnie długą chwilę, jej czarne oczy lśniły w lodowatym wietrze. Potem odwróciła się i skoczyła z na wpół pogrzebanego okna w wysoką trawę. Było ciemno i gwiazdy wypalały dziurki w czerni. Patrzyłam, jak moja córka z jednej ciemności wkracza w drugą ciemność.

Trzy dni po odejściu Orlego Gniazda wielkie żelazne drzwi, oddzielające wilgotne lochy od komnat zalanych blaskiem świec, otworzyły się z impetem, który wstrząsnął kamiennymi posadami zamku. Silne ręce pochwyciły babcię i mnie, siniacząc nas i drapiąc, i powlokły po spiralnych schodach, którymi zostałam zniesiona na dół tak dawno temu, że wydawałam się już inną kobietą. Nasze oczy nie mogły przywyknąć do światła, wszystko skąpane było w bieli i żółciach.

Gdy stanęliśmy przed królem, z początku nie mogłyśmy na niego patrzeć, bo raziło nas słońce lśniące na złotej koronie i na wysadzonym klejnotami kaftanie. Oczywiście, taki właśnie miał zamiar. Później się dowiedziałam, że rzadko nosił regalia w czasie audiencji. Głos zabrał wysoki mężczyzna o falistych, splątanych włosach, szarych jak łupki i spadających do bioder. Nosił szeroką, skręconą śrubami obrozę, która muskała tkaninę jego niebiesko-brązowej szaty.

— Zostałyście przywiedzione na sąd przed oblicze Jego Wysokości, Króla Ośmiu Królestw i Zarządcy Wschodnich Krain, Autokraty Zjednoczonych Plemion, Pana Tysiąca Jaskiń, Święte Naczynie, które posiada wszystko ponad i pod ziemią. Oto wasz sędzia.

Wtedy dostrzegłam w blasku chłód oczu króla, lodowaty chłód. Herold miał okrutne usta; zwrócił je ku mnie, ściągając grube wargi, gdy przyglądał się mojemu wyniszczonemu ciału. Babcia stała obok mnie sztywno jak najeżony pies; rozpoznała w nim swego potencjalnego pana — Omira, nadwornego czarnoksiężnika, który stał zawsze przy uchu króla. Jeszcze zanim zwleczono mnie po kamiennych schodach, spróbował,

bez powodzenia, nagiąć babcie w kształt zgodny ze swoim życzeniem, jakby była upartą deską z jesionu.

— Dopuściłyście się... — Jego głos przy pominął olej spływający po jedwabiu, i budził mdłości. — Dopuściłyście się zdrady, moje bystre dziewczęta. Dla zamkniętych pod ziemią to nie byle jaki wyczyn, ale wyście dopięły swego. Uknułyście intrygę, która pozbawiła króla jego prawowitej własności. Co więcej, rzeczona własność nie była łupem wojennym, ale przyszła na świat w granicach Jego Wysokości — w jego murach! — więc wchodziła w skład jego majątku.

Czarnoksiężnik potarł długie palce, jakby tętnił w nich jakiś sekretny ból. Babcia odpowiedziała spokojnie, jej głos był pusty jak wydmuszka, wolny od strachu.

— Może podejdiesz do mnie, Omirze Douliosie, i wytłumaczysz mi, jakim prawem moja prawnuczka miałaby być własnością tej unurzanej w błocie świni?

Czarnoksiężnik się wzdrygnął, ale szybko opanował.

— Jak blisko, kobieto? Na tyle blisko, żebyś mogła wsunąć mi nóż pod zebra? Nie sądzę. Nie potrzebuję dowodów, wystarczą twoje słowa, że masz prawnuczkę. — Skierował na mnie palące spojrzenie, które przywarło do mojej skóry i pozbawiło mnie sił. — Ta klacz się ożrebiła. Gdzie źrebie?

Chciałam się odezwać, zaprotestować, lecz babcia mnie uciszyła, ściskając moją rękę.

— W ten sposób też nie dostaniesz tego, czego pragniesz. Ona nie jest dla ciebie — syknęła.

I wtedy czarodziej zbliżył się o krok.

— Dostanę, ty zasuszona stara kości na zupę. Dostanę.

Jeden krok wystarczył. Z krzykiem niedźwiedzia przesytego włócznią babcia roześmiała mu się w twarz, wyciągając srebrny

nóż z kościaną rękojeścią, ukryty w fałdach złachmanionej sukni. Nóż trafił w cel i wyrysował czerwoną kresę na gardle czarnoksiężnika.

Opowieść o księciu i gęsi, ciąg dalszy

Ogień wygasł i książę siedział w ciemności, patrząc na dłonie, których nie widział. Wiedźma delikatnie dotknęła zmarszczonej blizny na czole, która wiła się w pętłach jak wąż morski. Uśmiechnęła się ponuro, jej usta wykrzywiły się w podobnej linii.

Oskarżenie leżało pomiędzy nimi na stole, tłuste i okropne, najeżone czarnymi kolcami i gęste od dymu. Wiedźma nic nie mówiła, a Leander starał się nie patrzeć na zwłoki pokryte sadzą i rosą, oparte o kominek jak świeżo ścięte drzewo.

— Nie wiedziałem — szepnął. — Nie mogłem wiedzieć. Bo skąd? Była tylko ptakiem. Nie chciałem... — Zniszczył jedyną wartościową rzecz, jaką zobaczył w czasie swej wyprawy.

Wiedźma nakryła dłońmi jego drżącą rękę. Jej głos brzmiał łagodnie i życzliwie — na tyle łagodnie i życzliwie, na ile to możliwe u wiedźmy.

— Gdybyś popełnił mord z rozmysłem, mój piękny chłopcze, zjadłabym twoją wątrobę i uśmiechała się w czasie posiłku.

Książę Leander popatrzył na Nóż z nagłym żarem w oczach.

— Ale musi być jakiś sposób, żeby ją ożywić! Musi być. Jesteś wiedźmą. Ja jestem księciem. We wszystkich książkach, w których pojawia się wiedźma i książę, zawsze jest jakiś sposób. — Chwycił brzeg stołu i pochylił się w stronę staruchy. — Powiedz mi, jak to zrobić, a ja ją ocalę. To właśnie powinien robić książę, ratować panny. Błagam cię, wyślij mnie na

najdalszą czapę lodu albo na najszersze moczary, a pójdę bez wahania, jeśli to wróci jej życie.

Wiedźma uśmiechnęła się szczerze, czule, jak dorosły wilk do szczenięcia.

— Może. Jak powiadasz, to najważniejsza rzecz, do jakiej nadają się książęta.

Umilkła. Zabrała ciasto ze stołu, zagniecione z mąki, krwi i łez, i wsunęła do wielkiego pieca.

— Jak uciekłaś z zamku? — zapytał książę nagle, czujny jak kot.

— Zostałam wypędzona — odparła krótko, przesuwając niekształtny bochenek po żelaznej kracie.

Leander dostrzegł w głębi oczu Noża resztę opowieści, piętrzącą się jak grube zwoje pergaminu. Ale równie wyraźnie zobaczył, że powiedziała mu wszystko, co chciała powiedzieć.

— Nie musisz wiedzieć nic więcej tylko, jakie zło twoja rodzina wyrządziła mojej. Ona była z nas ostatnia, ostatnie dziecko tej biednej dziewczyny, która kuliła się w swoim namiocie, gdy mężczyźni zarzynali gwiazdy. Teraz nie żyje i już nigdy nas więcej nie będzie. Tak wygląda prawda, którą możesz trzymać w ręce niczym suszoną na słońcu cegłę. Ma ciężar, ma kształt. Nie potrzebujesz wiedzieć nic więcej, żeby ocalić moją córkę.

— A więc jest sposób. Co muszę zrobić? — Książę przeszył ją tym szczerym spojrzeniem, które mają wszyscy książęta.

Wiedźma chrząknęła, patrząc na niego w skąpym świetle.

— Trzeba owinąć ją w skórę leukrotty pod nowym księżycem. Istnieje możliwość, choć nie ma pewności, że to ją ożywi. — Na próżno czekała na odpowiedź. — No nie, chłopcze. Czyś ty naprawdę nigdy nie widział, co jest za murami zamku?

Leukrotta to straszna bestia, która mieszka na Ponurych Moczarach. Barwy skrzepniętej krwi, jest w połowie jeleniem, w połowie koniem, wielkości przyćmiewającej ich obu, z paszczą, która rozciąga się od ucha do ucha, i zamiast zębów ma dwa rzędy litej kości. Jest przerażająca, możesz mi wierzyć.

— Nie boję się! — krzyknął książę, niemal się potykając, przepełniony chęcią podjęcia każdego wyzwania dla ocalenia pięknej ptasiej panny i wybielenia imienia rodziny.

— Czekaj, chłopcze. Nie rozumiesz. Opowiem ci o innym księciu, który poszedł się zmierzyć z leukrottą...

Opowieść o innym księciu

Dawno temu przystojny książę ruszył ratować niewinną siostrę przed straszliwą bestią.

Leukrotta jednym kłapnięciem strzaskał mu kręgosłup i przez dwa tygodnie świętował, nosząc jego głowę i ręce na rogach.

*

Wiedźma usiadła z satysfakcją.

W ogrodzie

Chłopiec chichotał. Siedział sztywno naprzeciwko dziewczynki, nie mając śmiałości ponownie jej dotknąć. Ona też się śmiała, błędząc wzrokiem po konarach cedru. Czarne jastrzębie przyskakiwały do chłopca i znów się odsuwały. Nerwowe i płochliwe, bały się grzmiących kroków Dinarzad, które w każdej chwili mogły się przybliżyć. Dziś nie było kolacji, która przyciągnęłaby uwagę ptaków, tylko tych dwoje dzieci, jedne chętne opowiadać i drugie słuchać, niezgrabnych i niepewnych, lękających się odkrycia.

W nocy, która cwałowała ku porankowi jak ochocza klaczka, chłopiec przysunął się do dziewczynki i poprosił, żeby mówiła bez przerywania.

Dziewczynka odetchnęła głęboko i podjęła opowieść głosem wierzb kołyszących się wokół ciemnego jeziora.

Opowieść o księciu i gęsi, ciąg dalszy

Kiedy Leander wyszedł z chaty o nikłym brzasku, wiedźma pocałowała go w policzek twardymi jak skóra ustami. Zrobiła to niezdarnie i książę nie spojrział jej w oczy. Uniosła jego dłoń, odwinęła liście z kikutów. Nie był zbyt zaskoczony, gdy ujrzał, że rany zupełnie się zagoiły, nowa skóra była różowa i ciepła na palcach odciętych równo przy knykciach, bez krwi czy widocznych blizn.

— Trawa i liście — powiedział z uśmiechem.

Wiedźma mrugnęła.

Tak oto książę, w końcu znalazł cel swojej wyprawy. Ścigał jej ogon po wysokich górach, pokrytych śniegiem białym niczym brody mędrców, a potem dotarł nad morze, które rozpostarło się przed nim gładko jak jedwabna suknia. Nie miał nic przeciwko trudom wędrówki, bo przecież był żołnierzem, choć wyprawa okazała się bardzo znojna.

Nie przypuszczał, że będzie musiał iść tak daleko. Szedł, aż zdarł trzy pary butów, i przeklinał, że nie ma wierzchowca. Napotykał wszelkie rodzaje krajobrazów, trzęsawiska, górskie lodowce i miłe dla oka tereny rolnicze. Nikt jednak nie witał go w wioskach, przez które przechodził. Nikt nie krzyczał z wielkiej radości, że książę pobłogosławił sioło swoją obecnością — jakież to zaszczyt, panie! — nikt nie zapraszał go na ucztę do stołu — dla ciebie, panie, tylko najlepsze owoce z naszych

zbiorów! — nikt nie błagał o pieśń o jego przygodach — och, panie, opowiedz nam o strasznej wiedźmie!

W rzeczywistości nikt nie zwracał na niego uwagi — karczmarze byli gburowaci, kobiety w oberżach małowówne i raczej leciwe, dójki nieprzyjazne, z grubymi łydkami, nieodstępujące boków swoich krów. Po jakimś czasie niewiele się różnił od najbiedniejszych wieśniaków — brudny, skrzywiony jak ksiądz we wtorek i do tego bosy. Razem wzięwszy, nic nie było takie, jak się spodziewał.

Pewnego wieczora, gdy słońce liczyło na zachodzie dzienny urobek złota, Leander wszedł do nadmorskiej tawerny w północnej części kraju, z dziwnym szyldem nad drzwiami — była tam wielka pięść dusząca rybę. Położył kilka monet na szynkwasiu i wsparł palące stopy na wilgotnej podłodze. Wypił gorzkie, rozwodnione piwo, które smakowało skórą i ciepłą żółcią. W tawernie było brudno, tuzin ciemnych, zakapturzonych twarzy wyzierały z kątów, których zdawało się znacznie więcej niż cztery. Przynajmniej pod tym względem opowieści nie kłamały: wszędzie roiło się od podejrzanych nieznajomych, licznych jak grzywacze na morzu.

Szynkarz wyglądał tak, jakby olbrzym rzucił naręcze kończyn na stertę. Potrząsał grubą ścierką jak mieczem. Zardzewiałe żelazo jego oczu wzywało każdego do zamówienia napitku. Jego włosy miały barwę piaszczystych ławic, które więżą kadłuby statków, a ręce dorównywały wielkością porządny baryłkom. Pachniał olejem do lamp i wodą morską.

Patrzył na Leandra spod ciężkich powiek. Młody książę skrzywił się nad kuflem. Nie chciał kręcić nosem na warzone w domu piwo, lecz miało smak tak paskudny, że twarz krzywiła się niezależnie od woli. Szynkarz zrobił gniewną minę i splunął.

Leander miał już powyżej uszu szorstkiego przyjmowania w tych nędznych mieścinach. Łypnął na oberżystę.

— Wiesz, kim jestem?

Wielkolud wbił wzrok w słoje drewna na blacie szynkwasu.

— Tak — burknął — ale nie masz co liczyć na lepsze piwo.

Książę przewrócił oczami.

— Nie dlatego pytałem, dobry panie. Jest... — z trudem znalazł odpowiednie słowo — smakowite jak woda ze studni w moim domu. Ale przyjmowano mnie po grubiańsku, odkąd wyruszyłem na Ponure Moczary, a mam niewiele czasu na znalezienie tego, czego szukam. Gdyby tylko mieszczanie chcieli być dla mnie milsi, gdyby się uśmiechali, kłaniali w pas i wskazywali drogę jak znaki na pylistym trakcie... Ale nie chcą być milsi i nigdy nie będą. Odgadłem, że mnie znasz, choć nie zdradziłeś się słowem ani nie zaproponowałeś pomocy. Dlaczego?

Karczmarz wzruszył ramionami, jego ciało zatrzęśło się jak wędrujące kontynenty.

— Wiem to i owo. Wiem, o czym nie wie pospólstwo. Motłoch nie ma pojęcia, że pochodzisz z królewskiego stada. A gdyby wiedzieli... — Jego oczy błysnęły jak kadłub statku w porannym świetle. — Twój ojciec nie jest tu zbyt kochany. Gdyby to było możliwe, ludzie zdarliby z ciebie podatki razem z twoją skórą. Odebraliby dzieci, które zniknęły w wieży tego czarnoksiężnika. Nie mogąc tego uczynić, najpewniej zabiliby cię z zemsty. Sam bym ich nie powstrzymał. Lepiej nie zdradzaj, kim jesteś. Odszedłeś bardzo daleko od domu. Co tutaj znaczy twoje nazwisko, poza tym, że należy do cudzoziemskiego tyrana? Nie zapominaj też, że wieśniacy nie zwykli pomagać obcym podróżnym. Wolałbym mieć psa z twoim rodowodem,

rozumiesz, o co mi chodzi? Rzekłem ci więcej słów niż innemu klientowi od miesiąca, więc weź je do serca i ruszaj w swoją stronę.

Speszony książę podniósł kufel. Przywykał do upokorzeń, do pokazywania mu, że jest głupcem. To go trwożyło, oczywiście, tutaj jednak nie mógł się chwalić swoją odwagą i pochodzeniem.

— Powiesz mi chociaż, jak trafić na Ponure Moczary? Boję się, że zbłądziłem. I... — zassał powietrze jak złowiony pstrąg — czy znasz może szewca z parą mocnych butów na sprzedaż?

Karczmarz spojrział znad szynkwasu na książęce palce, które wystawały ze zdartych książęcych butów jak robaki z worka z przynętą. Chrząknął.

— Raz, kiedy byłem młody, poszedłem na Ponure Moczary. Coś ci opowiem, jeśli dzięki temu w końcu się ciebie pozbędę.

Wyprostował się jak dziecko recytujące lekcję i przemówił głosem głębokim niczym szum morza na skałach, a słowa zabrzmiały wyraźnie.

Książę zastygł w bezruchu, bo już nauczył się być pilnym słuchaczem.

— Nazywam się Eyvind. Nie ma powodu, żebyś o tym słyszał...

Opowieść oberżysty

W młodości byłem niedźwiedziem.

Nie masz co wytrzeszczać oczu. Niedźwiedzie są dość pospolite w moim kraju, który leży tak daleko na Północy, jak pustynie na Południu. Całą moją ziemię pokrywał śnieg, a zaludniało ją dumne plemię niedźwiedzi o jasnym futrze, władających dobrze i mądrze. Kiedy szliśmy po lodzie, przypominaliśmy falę, która znika, zanim piana zetknie się z brzegiem.

Byłem jednym z białych niedźwiedzi, i byłem bardzo szczęśliwy. Kochałem pewną niedźwiedzicę, najpiękniejszą ze wszystkich naszych rybaczek. Zanurzała jedwabistą łapę w wodzie płynącej z topniejącego lodowca i chwytła dwadzieścia łososi naraz, trzymając je jak bukiet polnych kwiatów. Oczy miała duże i ciemne, roztańczone niczym światła, które często barwią nocne niebo. Dopiero się uczyła astrologii, ale już czytała w Gwiazdach jak w książce. Kiedy stawała na zadnich łapach, była wyższa ode mnie.

W Kraju, gdzie Śnieg nie Topnieje, godziny naszych dni wypełnione były prostymi zajęciami, łowieniem ryb i polowaniem, wychowywaniem młodych, obserwowaniem Gwiazd. Wśród mojego ludu zawsze byli wielcy astrologowie, choć twoi pobratymcy rzadko zasięgali u nas rady. Raz na jakiś czas odbywało się wielkie zgromadzenie, *Versammlung* — Kongres Niedźwiedzi.

I tak zwołano *Versammlung* dnia, gdy ja i kilka innych młodych niedźwiedzi mieliśmy się oświadczyć naszym

wybrankom. Tak ważne sprawy zależne są od ruchu Gwiazd i należy poradzić się Kongresu. Rozłożono płaty foczego sadła, i przybrano je wielkimi plastrami łososi, różowszymi niż łapka niedźwiedziątka w pierwszej godzinie życia. Na cześć bogów Gwiazd zabito setki białych lisów, a ja złożyłem w ofierze płaszczy uszyty z ich futra.

Versammlung jest czymś, co warto zobaczyć. Niedźwiedzie schodzą z lodowców jak bloki żywego lodu, ich oczy błyskają jaśniej niż focza skóra w zimnej wodzie. Gdy wszystkie się zgromadziły, Gwiazdy już lśniły na kurtynie nieba. Ukłoniłem się przed dostojnym gronem. Zawsze warto być uprzejmym, gdy się prosi o łaskę. Poza tym byłem pewien, że pochwałą mój wybór — przecież moja wybranka była chlubą Kraju, gdzie Śnieg nie Topnieje.

— Gwiazdy szepczą na krze nieba — zaczął jeden z niedźwiedzi.

— Błogosławione w swym chmurnym polowaniu — odparłem. To rytuał, na zgromadzeniu nikt nie mówi słowa, które nie zostało wyrzeczone tysiące razy wcześniej, tysiąc tysięcy razy, i nawet pierwsze z nich były powtórzeniem słów, które padły wcześniej.

Po tym zagajeniu reszta się usadowiła i z wielkim zadowoleniem wgryzła w focze mięso.

Gdy wszyscy się najedli i legli na śniegu, wystąpił wielki kudłaty niedźwiedź. Znałem go; zwał się Gunde i był wśród nas najzacieklejszy.

— Gwiazdy szepczą, bracie. W dalekich lasach na Południu zdarzyła się rzecz straszna. Powiedział mi o tym czerwony letni ogień, zwany Gwiazdą Harpunem. Jedna z jego sióstr została zamordowana. Gwiazda Wąż, piękna i zielona, nie żyje.

Niedźwiedzie wszczęły wielki lament, przesywający jak kościana igła.

Zadrzałem.

— Opłakujemy naszą niebiańską ciotkę; obchodzimy żałobę po ciele, które znika. To zły omen. Kształt Gwiazd jest pomieszany, znaki Czarnej Foki i Karibu osaczonego przez wilki są w koniunkcji. Wielka Łapa porusza się wstecz. Musimy odprawić wróżby. Nie możecie wziąć towarzyszek życia w tym mrocznym czasie, w czasie żałoby dla wszystkich, którzy wciąż kochają Gwiazdy. Wybaczcie, bracia.

Zawyłem, długo i nisko niczym pogrzebany róg. Jakim prawem śmierć w lesie mogła odmówić mi lubej na lodzie? Darłem śnieg pazurami.

— Może w przyszłym roku, gdy konstelacje zdejmą woal czerni i szarości... — Gunde chciał mnie pocieszyć, ja jednak słyszałem kłamstwo w jego czułym warczeniu. Wiedziałem, że Gwiazdy nigdy nie zakończą żałoby. Odmówiły mi żony raz na zawsze. Nigdy nie zmienią osądu. Jak nauczyliśmy się dawno temu, Gwiazdy nie mogą powrócić na dawne orbity.

— Nie obchodzi mnie śmierć boga węża. — Zgromadzeni sapnęli, słysząc moje bluźnierstwo. Nikt poza mną, zaślepionym gniewem, nie śmiał podnieść stwardniałej łapy w swojej obronie. — Jeśli nie dacie mi towarzyszki, zabiorę ją i razem ruszymy na inne morze, gdzie nie rządzą węże i Gwiazdy.

Usłyszałem za plecami ciche kroki i poczułem jej lodowe futro, zanim ją zobaczyłem. Jej czyste czarne oczy patrzyły na mnie z litością.

— Nie — szepnęła i jej głos szemrał jak brzuszek młodego, które się ślizga po lodzie. — Czy myślałeś, że spędziłam wszystkie moje dni, patrząc na lód? Widzę niebo jak każdy inny

niedźwiedź, i lepiej niż większość. Znak Lisa, którego Trudno Schwycić, opadł za horyzont w niewłaściwym czasie, a Księżyc pociemniał jak krew wieloryba na lodowcu. Potem, gdy Nóż Myśliwego wzniósł się na południu, zrozumiałam, że chmury są ciężkie od żalu. Nie tak miało być, Eyvindzie. I co więcej, zrzucone Poroże jest w trzeciej konstelacji, więc nie będziesz miał żony, nigdy. Ani mnie, ani żadnej innej. Tego, co jest w Gwiazdach zapisane, nie można wymazać. Zdobądź się na uśmiech, poluj ze mną i łów ze mną ryby, lecz nie zapraszaj mnie do swego legowiska. Ty możesz przeklinać Gwiazdy, ja tego nie uczynię.

— Piękna bestio, wybranko mojego serca! — Zapłakałem jawnie na oczach wszystkich wojowników, nie mogąc uwierzyć, że jest mi odmówiona rzecz tak oczywista. — Nie! — krzyknąłem zapalczywie. — Nie będę się uśmiechał. Ruszę do południowych lasów i pomszczę śmierć siostry Gwiazdy, boga węża. Naprawię zło wyrządzone jej świętemu ciału i zyskam łaskę Gwiazdy Harpuna, Tego, którego Światło Przenika Podszerstek. On da mi żonę. Stoczyłem tysiące bitew z dzikimi plemionami wilków. Tę bitwę też wygram i okrzyknę cię swoją nagrodą.

Moja ukochana potrząsnęła wielką białą głową i odeszła ciężkim krokiem przez śnieg.

Zostawiłem zgromadzenie wiercących się na lodzie niedźwiedzi. Wyruszyłem bez chwili zwłoki. Niczego nie zabrałem. Ani razu nie spojrzałem w Gwiazdy, nie szukałem ich rady. Nie słyszałem protestów swoich braci ani moich niedźwiedzich łez padających jak pierwszy śnieg na zamarznąętą ziemię. Myślałem wtedy, że znam właściwą ścieżkę, która biegła przede mną pewnie, tak pewnie i prosto, że

po prostu musiałem nią podążyć. Moje łapy odnajdą ją z łatwością, skoro to wszystko zostało zapisane dawno temu. Dlaczego inaczej bóg wąż miałby umierać, jeśli nie po to, żeby zostać przeze mnie pomszczony?

Jak widzisz, byłem bardzo głupim niedźwiedziem.

*

Wędrowałem na południe od lodowców, których nigdy nie opuścił nikt z mojego plemienia. Jadłem łososie złowione w potokach, bandażowałem łapy, gdy krwawiły od nieustannego marszu, z nikim nie rozmawiałem, gdyż nie miałem nic do powiedzenia. W głębokie noce patrzyłem, jak Mleko Matki lśni bielą na niebie, wijąc się wśród Gwiazd niczym nić rozwinięta ze szpulki.

Świat jest większy, niż niedźwiedź sobie wyobraża, pożera odległość jak głodny niedźwiadek. Po pełnym cyklu księżyca nie mogłem zrozumieć, dlaczego jeszcze nie dotarłem do płonących dżungli Południowych Królestw, dlaczego słońce nie żarzy się czerwienią, dlaczego Gwiazdy nie tworzą konstelacji, które znałem tylko z zasłyszanych legend: Skorpion, Lew, Wąż. Wciąż szedłem w zimnym wietrze, przez góry podobne połamanym zębom. W takim tempie moja luba, posiwieje w futrze, zanim będę mógł pojąć ją za żonę.

Kiedy księżyc po raz trzeci zajaśniał w pełni od czasu, gdy wyruszyłem w drogę, i płynął po niebie jak wielki wieloryb, płetwiasty i lśniący, ziemia nagle się odmieniła. Stała się wilgotna i pozieleniała; tutaj woda płynęła swobodnie w leniwych strumieniach, miała kolor trawy usianej bursztynem. Nie pasowałem do tego świata. Moje białe futro wyróżniało się jak rozdarcie na zielonych wzgórzach. Wszędzie rosły wysokie

trzciny, smukłe i złote, a w wodzie wiły się długie węgorze. Mijałem wielkie kępy tamaryndowców, dzikiej róży i jeżyn długich jak włosy ludzkiej kobiety. Ptactwo wodne zanurzało dzioby w bystrych strugach, ich pióra lśniły bielą dziewiczego śniegu.

Znałem tylko czystą, nieprzerwaną biel mojego domu i bladość bezkresnego horyzontu. Moje serce nie знаło Ponurych Moczarów. Czułem gęste powietrze, wilgotną woń roślin rodzących się z ziemi, miękkość deszczu i owoce na drzewach. Moje futro jeżyło się z zaskoczenia i ze strachu.

Gdy stanąłem z łapami w błocie, jeden z dużych ptaków wodnych oderwał się od stada i skoczył ku mnie, na wpół lecąc, na wpół krocząc na patykowatych nogach. Był jasnozielony, koloru otaczającej go trawy; niektóre pióra miały taki głęboki odcień, że prawie wpadały w czern. Zdawał się odziany w barwy nieba po ucieczce Słońca, lamowane światłem. Jego oczy były błyskami nagłej nawałnicy, dziób krzywił się ku ziemi niczym kosa, równie jak ona ostry.

Ptak zatrzymał się tuż przy mnie, rozkładając wielkie skrzydła i tupiąc nogami. Czułem jego zapach, woń słonych ryb i bagna.

— Ha, powiem jedno — zaczął ciekim głosem — to ci dopiero odmieniec. Muszę natychmiast powiadomić Bestię! Takich wieści nikt nie chowa dla siebie, bo to jest niegrzeczne. Chodź zatem, nie gap się jak pisklę! Możemy sięść przy obiedzie i zastanowić się, co z tobą począć.

Charcząc, biegłem za nim, po kolana ochlapany mułem i zieloną wodą, on zaś pędził, ni to frunąc, ni biegnąc przez moczary.

— Zaczekaj! — krzyknąłem, a mój głos zadudnił nad trzęsawiskiem, płosząc cykady i zimorodki.

— Czekaście, czekaście, panie i panowie, czekaście na wodę i zmierzcie się z suszą! — rzucił śpiewnie przez szmaragdowe ramię i pobiegł jeszcze szybciej. Rozmył się w smugę zieleni i błękitu, nie mogłem dotrzymać mu kroku.

Gdy wreszcie się zatrzymałem, zasapany, z futrem zlanym potem, ujrzałem wielki sękaty dwór z tamaryndowców, które wyginały się łukiem, tworząc w górze liściastą strzechę. Ptak oparł się o pień framugi.

— Jak możesz upolować bodaj najmniejszą mysz, Eyvindzie? Wierzyć się nie chce! — I wskoczył do środka, zostawiając mnie, oszołomionego brzmieniem własnego imienia w dziobie dziwnego ptaka.

Zastawa z pałek wodnych i korzeni wierzby stała na stoliku w pokoju, który każdy z dumą nazwałby swoim. Splecione gałęzie tamaryndowców tworzyły trzy krzesła, szafki, stoły i kręcone schody, które nikły w zwiewnej mgiełce wiszącej w górze jak nieważki sufit. Nie mogłem uwierzyć, że zmieszczę się w tej sali, ale wydawała się skrojona dokładnie na moją miarę. Na moich oczach, czerwone gałęzie przesunęły się z szelestem, by utworzyć długą ławę, na której mogłem spocząć.

— Moje tamarysie są takie uprzejme — powiedział czule ptak, zanurzył długi dziób w kubku i napił się z lubością.

Z ciężkim westchnieniem opadłem na wonne łoże, moje mięśnie płonęły jak lampa oliwna. Dopiero wtedy spostrzegłem, że nie jesteśmy sami.

W kącie stało spokojnie wielkie stworzenie koloru zaschniętej krwi, pijąc z wielkiej misy z dębowych liści. Tył sali podwyższył się i poszerzył, żeby zrobić dla niego miejsce. Jego

czerwone poroże było strasznie splecione, a gdy siorbał herbatkę, mogłem zobaczyć, że zamiast zębów ma jasną krawędź litej kości.

— Bestio! To ten, o którym mówił nasz brat! Czyż to nie ekscytujące, że przybył prosto na moje moczary?

— Tak, Wasza Wysokość — odparła Bestia melodyjnym głosem. Jego oczy skrzyły się od śmiechu jak oszronione liście na wodzie. — Rzadko miewamy takich... znamienitych gości.

— Wasza Wysokość? — zapytałem niepewny, jakim królestwem może władać czapla.

— Oczywiście. Jestem królem bagna. A to Bestia, będący, jak można by rzec, swego rodzaju dworzaninem. To smutne, gdy król ma tylko jednego dworzanina, ale ten sprawia się całkiem nieźle.

— Jakże to miłe z twojej strony, eminencjo — zaintonował Bestia z nutką łagodnej drwiny w głosie.

— Nie ma o czym mówić, mój drogi przyjacielu! A teraz musimy przejść do interesów, gdyż czasu jest niewiele.

W tym momencie oszołomienie odjęło mi mowę, ale zmusiłem język do pracy w suchej jaskini mej paszczy.

— Skąd znasz moje imię? Kim jest brat, o którym wspomniałeś? Nie rozumiem.

— Och, nikt nie spodziewa się, że zrozumiesz, drogi kolego! — zapewnił mnie król bagna lekko protekcyjnym tonem. Bestia mrugnął do mnie jednym szkarłatnym okiem. Czapla kontynuował: — Ty masz swoje zdanie, bogowie mają swoje. Mój brat, Gwiazda Harpun, zajrzał do nas parę miesięcy temu i uprzedził, że się zjawisz. Siedź spokojnie, a opowiem ci o jego wizycie.

Opowieść o Harpunie i czapli

Laakea, Gwiazda Harpun, spalił na czarno bagienną trawę, gdy przybył. Woń przypalonego chleba i opiłków miedzi zapowiedziała go na długo, zanim jego światło pojawiło się nad wzgórzem. Jego blask wypalał wielkie skwierczące kręgi. Każdy krok wzbijał syki pary, gdy szedł przez Wielkie Bagno, żaby i węgorze krzyczały w niemej grozie, gdy ogień jego podeszew skakał po ich tłustych ciałach. Poczułem pieśń parującej trawy, zanim go zobaczyłem — minęło wiele lat, odkąd mój brat opuścił swoją pustelnię, gdzie polował na księżyce jak szybkie blade jelenie.

Wybaczysz mi kwiecistą mowę, prawda? Członkowie naszej rodziny uwielbiają, gdy sławi się ich piękno. Próżność jest starą i czcigodną cnotą.

Był biały, rzecz prosta; Gwiazdy jego rodzaju — małe i gorące — zawsze są białe. Jego włosy spływały do pasa jak świeżo uprane płótno, długie i płaskie, a skóra, jaśniejąca jak przymglony horyzont, miała odcień spopielonego papieru. Wielka włócznia wisiała na jego ramieniu w pętli ze skóry białego węża, złote oczy płonęły pod bezbarwnymi rzęsami. Był bosy; prawdę mówiąc, nie miał ubrania poza wybieloną przepaską na kanciastych biodrach. Jego uda pokrywały tajemne tatuaże, symbole języka Słońca. A jednak nawet tusz tych znaków był dziwnie srebrny, widoczny tylko wtedy, gdy muskały go pasma bagiennej mgły.

Niezgrabnie objąłem brata, kiedy wszedł do mojej siedziby, wzniecając maleńkie pożary w gałązkach. Rzecz prosta nie

chciałem, żeby spalił moje tamarysie, ale wizytującej rodzinie zawsze należy okazać stosowne uczucie. Zacząłem prawić zwykle uprzejmości i zaproponowałem coś do picia, on jednak odmówił.

— Przynoszę wieści. Nie mogą czekać. Czy choć raz bez przerywania pozwolisz mi powiedzieć, co mam do powiedzenia?

Zarumieniłem się z wielką godnością i speszonym wdziękiem. Sadowiąc się wygodnie, żeby go wysłuchać, pomyślałem z zadowoleniem, że na szczęście Bestia jest nieobecny — walczył z jednym z książąt, którzy od czasu do czasu odwiedzają nasze królestwo — więc nie przeszkodzi w opowieści. Laakea nie przepadał za Bestią; Gwiazdy dbają tylko o swoich. Poza tym są okropnie formalne i Bestia by się znudził.

Zdejmując włócznię z ramion, Laakea westchnął ciężko. Jego głos popłynął echem wśród drzew jak chmury przez tarczę księżyca.

— Stała się rzecz straszna. Człowiek zabił naszą siostrę, Gwiazdę Wąż z Południa.

Czekał na moją reakcję, ale ja już słyszałem wieści. Czarny emir Ibis poszybował na północ i powiadomił mnie o jej śmierci, roniąc wielkie szafirowe łzy na moje ręce. Widząc, że nie okazuję zaskoczenia, Laakea podjął:

— Nie zdawałem sobie sprawy, że zatrzymała się na długi czas w tych przeklętych królestwach, na tej zarazonej ziemi jątrzących wichrów i wież, które siniaczą niebo żelaznymi iglicami...

Opowieść Gwiazdy

Wyznam, że byłem wielce zajęty polowaniem, ścigałem bowiem wielką rzadkość — ognistego ptaka na prezent ślubny dla mojej biednej, nieszczęsnej siostry — tropiąc go po niezliczonych wzgórzach i wyciętych przez rzeki dolinach. Wiesz, jak przepadamy za wszystkim, co skrzy się i błyszczy. Wyobrażamy sobie, że rzeczy te przywrócą nam coś, co zostało stracone.

Ptaki ogniste uwielbiają czerwone owoce i miałem nadzieję, że moją ofiarę znęcę szkarłatnymi nasionami ixory, drzewa-pochodni z pustyni. Trudno je zebrać, ale są ulubionym przysmakiem ptaków ognistych, jasnym i miękkim jak wiśnia, z pestką z krzemienia i żelaza, która zapala nowe drzewo. Podobno niektóre ogniste ptaki nawet gnieźdzą się w tych drzewach i wracają do nich, by składać jaja w popiołach, jak łosoś wraca do rzeki.

Czekałem na słonych równinach okalających Pustynię Krzesiwa i las drzew ixora, które płoną nocą, żeby ogrzewać niebo, gdy słońce chowa się pod ziemią. O zmierzchu widziałem, jak ich pomarańczowe gałęzie migoczą, trzaskają, strzelają iskrami niczym obozowisko tysiąca żołnierzy. Nie dostrzegłem ognistych ptaków, ale się nie martwiłem. Są ostrożne i skryte, a las drzew-pochodni jest rozległy. Przez kilka tygodni przeszukiwałem dogorywające drzewa i zbierałem pełne soku rubiny, gdy spadały. Przeczesalem popioły, lecz nie znalazłem płonących jaj.

Wreszcie obsiałem sól nasionami jasnymi jak krople krwi; z pewnością ognisty ptak sfrunie w dół, żeby porwać je swoim

brązowym dziobem.

Czekałem przez trzy noce, a ptak ognisty nie przybył. Trzeciej nocy zupełnie o nim zapomniałem. Zatrważające widziadła zjawily się na równinach i myśli o polowaniu bezpowrotnie przepadły.

Trzy służki naszej siostry — znasz je, oczywiście, słodkie małe węzowe panny, z włosami ukwieconymi nefrytowymi zaskrońcami i szmaragdowymi żmijami — szły chwiejnym krokiem przez piasek, podtrzymując się wzajemnie, żeby nie upaść. Ich święte szaty, podarte wielkim szponem, zwisały z ich szczupłych ciał jak serpentyny z nowego papieru. Odwróciłem głowę, mając na względzie ich poczucie przyzwoitości, gdyż były niemal nagie, a pustynia spaliła na szkarłat ich jasną, cienką jak listek skórę. Jęczały i zawodziły żałośnie — chór cierpienia niósł się echem po wąwozach pustyni. Zrazu wziąłem go za zwykły krzyk bólu, lecz był to lament, lament i requiem. Chwyciły moją twarz i obróciły ku sobie, zmusiły mnie do patrzenia na swoje pohańbienie.

Bracie, wyglądały tak strasznie, że ledwo mogę powiedzieć ci o ich twarzach — rany tworzyły krwawy gobelin. A jednak nawet to nie zaspokoilo mężczyzn, którzy śmieli położyć ręce na ciałach świętych służek. Wycięli im języki chropawymi nożami i zostały tylko poszarpane kikuty, by kształtować słowa. Jedna wzięła coś dziwnego od siostry i wcisnęła żałośnie w wysuszone usta.

— Bracie Włócznie — syknęła — nasza pani zabita, martwa, martwa, już po niej. To zrobili nam ludzie, którzy ją zabrali. Byli demonami świniami, pokiereszowali nasze ciała rozszczepionymi kopytami. Przeszłyśmy całą drogę od jej grobu, szukając kogoś z rodziny. Błagamy, zadaj nam śmierć,

żebyśmy nie cierpiały dłużej, niż potrzeba na przekazanie wieści.

Patrzyłem, jak druga ze służek wyjmując coś z ust siostry i wpycha do swoich.

— Przebyłyśmy długą drogę, żeby znaleźć jednego z naszych krewnych, aby zdjął z nas brzemień wiedzy. Nie jesteśmy samobójczyniami, musisz więc nam pomóc. Ale w zamian my pomożemy tobie. Jesteśmy jasnowidzące, wiemy, co się stanie, widzimy rzekę czasu jak wodę przelewaną z kubka do kubka. Musisz iść na Północ i dopilnować, żeby zemsta nie wpadła w ręce tego, który wypaczy to, co nasza pani już zrobiła we własnym imieniu, by nie zniweczył jej świętego dzieła, nie zaształ go swoim. Ona zmarła; ona powstała — nieudolny morderca nie ograbi jej, z tego, co może posiadać cień. — Wyjęła z ust kawałek różowego mięsa i podała ostatniej z sióstr.

— Święte jasnowidzące, co przekazujecie sobie z ust do ust? — zapytałem z drzeniem. Działała tam tak straszna magia, że ledwo śmiałem się odezwać. Gwiazdy zostawiły wróżenie tym, którzy są związani z ziemią; my nie bawimy się w przepowiadanie przyszłości. Dlaczego moja siostra złamała tradycję?

— Sskradłyśmy to bazyliškowi — szepnęła żałośnie trzecia wyrocznia to jest język, żebyśmy mogły przekazać ci ostrzeżenie. Miałyśmy upolować trzy potwory? Jesteśmy siostrami, dzielimy się między sobą.

Trzecia siostra, widocznie najstarsza, była powierniczką najwyrazistszej wizji. Zamknęła jedyne oko, które jej zostało, i po przebyciu długiej drogi wreszcie wygłosiła bezdźwięcznie proroctwo.

— Musisz zobaczyć się z Królem Bagna. Przybędzie do niego stworzenie śniegów i pazura, chcąc pomścić naszą panią, żeby w ten sposób zyskać twoje łaski. Nie wolno mu na to pozwolić. Węże same potrafią zatroszczyć się o swoich; ona nie potrzebuje pomocy tego zwierzęcia. Jeśli ją zastąpi, jej śmierć pójdzie na marne — trzeba zmienić bieg jego ścieżki, żeby do tego nie doszło. On tylko sprawi, że jej śmierć pójdzie na marne. Jej zwoje wciąż są w ruchu, wyprawa tego stworzenia zniweczy jej plany. Czy rozumiesz, bracie Włócznie?

Przytaknąłem i wyraziłem zgodę w tradycyjny sposób, przyciskając czoło do jej czoła i przejmując brzemię sióstr. Wszystkie trzy w jednej chwili padły na niemy piasek, bezgłośnie jak skóra węża na wydmach. Były wycieńczone, głód, słońce i płonące lasy sprawiły, że została w nich tylko odrobina światła. Język bazyliuszka wytoczył się z ust trzeciej siostry na gorące złoto ziemi. Ich oczy patrzyły błędnie, ich usta formowały błagania, których nie mogłem usłyszeć, lecz dość dobrze je rozumiałem.

Nie mogłem jednak spełnić tych prośb — nawet ptak musi to wiedzieć. Śmierć jest murem, za który nie ośmielamy się spojrzeć, i żadna Gwiazda nigdy nie zabiła drugiej Gwiazdy. Nie chciałem być pierwszym mordercą swojego plemienia.

Pozbierałem z piasku krwawe krople owoców ixory. Po co mi one teraz? Moja siostra nie zachwyci się kolorem i światłem ognistego ptaka. Zaniosem służki, a potem owoce na prawdziwą Pustynię Krzesiwa i złożyłem je pod drzewami-pochodniami. W ich oślepiającym blasku węzowe panny zdawały się jarzyć; zapewne tak wyglądały wówczas, gdy moja siostra przyjęła je do służby.

Głęboko ciąłem harpunem popielate pnie drzew-pochodni. Kora jest zupełnie czarna i twarda, utwardzona w żelazo przez nieustanny ogień. Ale wewnątrz nie ma nic prócz popiołu i cienkiej żyły wrzącego soku, gdyż ogień trawi drzewo od środka. Dopiero wypalone w nicość, rozpada się w biały popiół i zrzuca nasiona, cenne nasiona, które bystry ogrodnik chwytą w locie, żeby nie wybuchły i nie spłonęły w chwili, gdy pękną na twardych kamieniach pustyni.

Oczywiście, miałem pękaty worek tych łatwopalnych nasion i nie było potrzeby czekać na śmierć ixory. Ostrożnie obrałem wilgotny, słodki miąższ i wyłuskałem krzemienne pestki w przeprosinach dla wysokiego drzewa, żeby, gdy naprawdę umrze, na jego miejscu wyrosła istna dżungla. Z równą pieczołowitością przerwałem żyłę głęboko w popiele i woskowatym, parzącym sokiem skropiłem rozgnieciony czerwony miąższ wiśni.

Wszystkim tym posmarowałem usta trzech wyroczeni, a potem — wybac mi arogancję, bracie Czaplo — naciąłem własne ramię i pozwoliłem, by blade światło mojego ciała spłynęło wraz z palącym lekiem. Nie znamy większego sakramentu, a ja nie wiedziałem, co innego mógłbym dla nich uczynić.

Minęły godziny, zanim mogły usiąść, a ja wówczas byłem już prawie uleczony. Nie podziękowały mi, wciąż czarne w swojej niedoli, ale węże ich włosów syczały słodko i pocieszająco w moją stronę. Pograżone w smutku, chwiejnym krokiem pijaka odeszły na pustynię, mijając drzewa, trzymając się jedna drugiej.

Gdy przechodziły obok kopca moich nasion, najmłodsza go kopnęła i wszystkie trzy znikły w snopie iskier i kłębach gęstego

dymu.

Opowieść o Harpunie i czapli, ciąg dalszy

Skończył opowieść.

— Och — wtrąciłem — biedny bazyliszek! Czy teraz wcale nie ma języka? Marny los! Śpiewał tak pięknie w zeszłe zrównanie dnia z nocą, gdy odwiedziłem jego jaskinie!

Laakea łypnął na mnie surowo, jasno dając do zrozumienia, że los mojego przyjaciela bazyliszka wcale go nie obchodzi.

— Więc rozumiesz, Bracie Ptaku. Kiedy to stworzenie przybędzie, musisz je powstrzymać.

— Jak powstrzymać stworzenie, które podjęło wyprawę? Czego się po mnie spodziewasz? Czy mam zbrukać gościnne progi mej siedziby?

Laakea parsknął.

— Nie dbam o to. Zabij go. Zamknij w pniu drzewa. Wierzę w twoją mądrość. A teraz muszę się pożegnać. Wiele spraw zaniedbałem, ruszając w podróż na bagna — muszę wziąć udział w obrzędach pogrzebowych mojej siostry.

— Nie do nas należy wtrącanie się w wyprawy ludzi. Uparcie zmierzają do celu i cenią wyprawy równie mocno jak własne serca.

— A kto mówi, że to będzie człowiek? — zapytał Laakea, znudzony jak małe dziecko.

Odziany w biel Gwiazda opuścił moją salę i ruszył na południe, znów przypalając trawę. Wzbite przez niego woale

mgły rozproszyły się jak wspomnienie, gdy zniknął i ucichły
nawet jego kroki.

Opowieść oberżysty, ciąg dalszy

— Rozumiesz więc dylemat, mój drogi chłopcze. — Król Bagna z osobliwą afektacją skrzyżował chude jak trzcina nogi. — Pod żadnym pozorem nie pozwolę ci zrobić tego, co zamierzasz. Osobiście nic do ciebie nie mam, musisz mi wierzyć. W końcu najlepiej pozwolić, żeby kobiety same dopełniły zemsty. Ci, którzy się wtrącają, rzadko dostają podziękowania — weź za przykład historię mojego drogiego Harpuna! Ale nie sądzę, że zdołam cię przekonać, byś czym prędzej pomknął do domu i od tej chwili był grzecznym niedźwiedziem?

Poruszyłem się niespokojnie i zamordowałem łąy, zanim się urodziły.

— Nie mogę tak po prostu się poddać! Pójdę dalej, choć nie wiem, czy mówisz mi prawdę. Skoro ona może wyrzucić zemstę z grobu, może nagrodi mnie drobnostką, o którą proszę.

— W istocie jest to drobiazg — rzekł łagodnie Król Bagna. — Bogowie nie spiskują. Same wypadki tasują światem niczym talią kart, a ty czy ja niewiele możemy zrobić, żeby zmienić rozdanie. Musimy uczyć się z wdziękiem przyjmować osobiste straty. Ostatecznie obowiązek jest szlachetnym słowem.

Sfrustrowany, przestąpiłem z łapy na łapę i gałęzie dworu zatrzęsły się dziko.

— Musi być jakiś sposób! Zacząłem wyprawę! Wyprawy tak nie kończą się. Wygrywa się albo przegrywa, nie ma końca w połowie.

— Zdaje się, że musisz, jak to się mówi, mieć ostatnie słowo. Wyraźnie nie możesz pogodzić się z faktem, że tym razem przegrywasz. To dlatego, że wyprawa nie jest naturalną rzeczą dla twojego plemienia — ani dla mojego, skoro o tym mowa. Wyprawy są dla ludzi. To ich wymysł, ich nałóg. Oni po wieczne czasy posiadają wszelkie prawa. Każdym swoim krokiem, mój drogi Eyvindzie, okradasz ludzi z ich drogo okupionego skarbu. To smutne, że ludzi napędza tylko maszyneria wypraw. Ale są smutną rasą. Płaczemy nad nimi, aczkolwiek niezbyt często. I zdecydowanie nie wolno nam przejąć ich śmiesznej skłonności do samounicestwienia. Dlatego obmyśliłem sposób, żeby powstrzymać cię od dotarcia na ziemię mojej zmarłej siostry, a zarazem dać ci małą szansę na osiągnięcie upragnionego celu. Dopasuję cię do modelu wypraw — uczynię cię człowiekiem.

Szczęka mi opadła. Groza zjeżyła moje futro, pot zwilżył białe policzki.

— Człowiekiem? Dlaczego chcesz mnie w ten sposób ukarać?

— To nie kara, żalosny zwierzaku — parsknął drwiąco Król Bagna. Podjąłeś wyprawę, co jest domeną ludzi, zwykle tych wyjątkowo głupich. Musisz więc stać się człowiekiem, jeśli chcesz podążać tą zgubną ścieżką. Wszystko jest naprawdę bardzo proste i pięknie symetryczne, gdy się o tym pomyśli. A postać człowieka wcale nie jest taka okropna, gdy już się ją przybierze.

— Ale jeśli zostanę człowiekiem, Gwiazda Wąż mnie nie wysłucha; Gwiazdy stronią od ludzi, ukrywają się przed ich słodyczą i smrodem. Może już nigdy nie zobaczę mojej ukochanej! Ucieknie przede mną, uzna za myśliwego. Nie zniósłbym, gdyby ode mnie uciekła, i...

— Och, uspokój się. Nie powiedziałem, że przemienię cię na zawsze. Poza tym z czasem możesz dojść do wniosku, że połowica nie jest niezbędnie konieczna do życia. Spójrz na Bestię i na mnie! Żyjemy dość szczęśliwie w błogosławionym stanie kawalerskim, ani trochę niestrapieni brakiem w domu wielkich, rozkołysanych niedźwiedzi.

Na te słowa Bestia podniósł głowę znad kawałków kory, którymi grał w tryktraka sam z sobą.

— Mmm? O tak, całkiem szczęśliwie. Z wyjątkiem much, wiesz. Jego Wysokość ma upodobanie do dość eklektycznej diety, samo patrzeć przyprawia o mdłości. — Wrócił do tryktraka. Grał z całą powagą, ale zdecydowanie przegrywał.

— W każdym razie... — Król Bagna uprzejmie zasznurował dziób — twoje człowieczeństwo będzie trwać względnie krótko. Już przedyskutowałem to szczegółowo z kilkoma niższymi Gwiazdami, z białymi karłami i im podobnymi. Będziesz tkwił w ludzkiej skórze jak w ciasnej rękawiczce, dopóki... — i tutaj chrząknął dramatycznie, aż zafalowała długa niebieska szyja — Dziewica nie zostanie pożarta, morze nie przemieni się w złoto, a święci nie wyruszą na zachód na skrzydłach jaj bez kury.

— Na Gwiazdy, co to oznacza? — wysapałem.

— Nie mam bladego pojęcia! Czy to nie cudowne? Wyrocznie zawsze tworzą najlepszą poezję! Ja tylko powtarzam, co słyszałem — to dość niegrzeczne z twojej strony spodziewać się magii, proroctwa i interpretacji. Zbyt wiele żądasz, nawet od króla. — Wydawał się podenerwowany, jego pióra przybrały fioletową barwę oburzenia. — No wiesz, po prostu wypatruj takich rzeczy. Łatwizna! Morze obrócone w złoto. Trudno nie zauważyć, powiedziałbym. Szczęście mieć takie oczywiste

znaki. Powinieneś się cieszyć. A teraz stój spokojnie i pozwól nam zrobić swoje.

— Zaczekaj! Nie zgodziłem się na nic... — Chciałem protestować dalej, ale język przestał mnie słuchać; zrobił się krótki, kłocowaty i przywierał do podniebienia.

Przerażony spojrzałem na moje potężne, piękne łapy i zobaczyłem paskudne, ziemiste stopy porośnięte rzadkim puchem, tkwiące na końcu niedorzecznie chudych nóg. Jednym muśnięciem skrzydła Król Bagna przemienił mnie w okropnego, lecz niewątpliwie człowieka.

A jednak sam suweren też się zmienił. Już nie był wysokim i królewskim ptakiem ze stosownie imponującą rozpiętością skrzydeł. Stał się zgarbionym staruszkiem z długą brodą, w której błyskały wszystkie kolory mokradeł, zielony i brązowy, i słonawoszary. Wydawał się trochę podobny do ryby, z bladą, wilgotną skórą i szerokimi, bezkrwistymi ustami.

— Co jest? — wymamrotałem najlepiej jak mogłem swoim niewiele wartym językiem.

— Hę? Co? Rzecz prosta, przepraszam, powinienem wyjaśnić. Kiedy byłeś zwierzęciem, widziałeś mnie w postaci szlachetnego ptaka. Teraz, gdy jesteś człowiekiem, jawię ci się jako stary dziadek, który ma wzbudzać należyty szacunek w sercach twojego nowego plemienia. To kolejna uprzejmość. Nie ma o czym mówić.

— A Bestia? — zapytałem bezradnie, bo stwór o szkarłatnych kopytach wcale się nie zmienił.

— Bestia jest po prostu Bestią — padła znudzona, acz pełna czułości odpowiedź monarchy.

Słyszając swoje imię, dworzanin łobuzersko poderwał szkarłatną głowę.

— Po prostu Bestią — zapewnił mnie.

Król Bagna wstał i wyprowadził mnie za drzwi z miną gospodarza, któremu właśnie przyszło na myśl, że obecność jednego gościa dzieli go od smacznej drzemki.

— Ruszaj zatem, Eyvindzie, mój chłopcze... Ha, teraz naprawdę jesteś chłopcem! Wspaniale. Zobaczymy się znowu, nie wątpię. Biegnij! Żegnaj i trzymaj się ciepło!

Opowieść o księciu i gęsi, ciąg dalszy

Eyvind usadowił wielkie cielsko na stołku i westchnął.

— Od tej pory jestem człowiekiem. Zestarzałem się i tak obrosłem tłuszczem, że znów trochę przypominam niedźwiedzia brzuchem i kudłami. Tyle że nie jestem niedźwiedziem. Staram się, ale nie jestem. Wciąż czekam, że morze się zmieni. Nie zmienia się. Trzymam się blisko mokradeł w nadziei, że królowie nie kłamią. Nie mam wielkich nadziei, bo przecież twój ojciec jest królem. Bagna leżą nie więcej niż tydzień drogi stąd. Tutaj już do mnie przywykli. Może po prostu umrę, podając piwo zasmarkanym młokosom w tej brudnej tawernie.

Książę wbił oczy w blat szynkwasu, w pętle i wiry drewna podobne odciskom palców.

— Współczuję ci — wymamrotał.

Eyvind spurpurowiał.

— Nie potrzebuję twojej litości, chłopcze. To bezużyteczny ciężar. Dam ci parę butów do marszu bez obietnicy, że będą pasować, jeśli zanieśiesz wiadomość. Zapytasz tego nicponia ptaka, kiedy znów stanę się sobą. Mam dość czekania.

— Chodzi ci o... o Króla Bagna?

— Na Gwiazdy, chłopcze, jesteś głupi jak młode, które wciąż ssie cycek matki. Tak, o Króla Bagna. Tydzień marszu na północ, a będziesz brnął po — kolana w błocie i węgorzach. A teraz zabieraj się, zanim każę ci płacić czynsz za stołek, który

niszczysz. — Rzucił na szynkwias parę ubłoconych, wysmarowanych sadłem czarnych butów, kilka numerów za dużych na młodego księcia, i z ostatnim chrząknięciem zniknął w izbie za szynkwasem.

Leander ostrożnie wziął buty i wymknął się z tawerny, twarz go paliła od spojrzeń obszarpanych klientów.

Ruszył na północ, jak kazał Eyvind, i rzeczywiście, niedługo później dotarł do Ponurych Moczarów z wyraźnymi, soczyście zielonymi granicami. Śmierdziało tu gnijącą trawą i kośćmi. Bez trudu podchwycił zapach samego leukrotty, rzeczywiście podobny do krwi, miedziany i ostry. Bagna były szerokie, koloru dymu, nefrytu na polerowanym drewnie, pocięte grząskimi ścieżkami, pełne grzechoczących pałek i upozowanych czapli. Woda migotała jak naszyjniki nałożone jeden na drugi, a pod wodą widział tłuste węgorze i błyski ryb.

Uznał, że moczary są piękne, choć przy każdym kroku błoto zasysało jego nazbyt duże buty. Wędrówka stała się powolna, myślał, iż utknie tu na dobre, lecz wiedział, że musi wrócić do wiedzy przed nowym księżycem, żeby spełnić dane jej słowo. Dlatego brnął przez mokradła, błoto mlaskało mu pod butami i chwytalo pochwę miecza w oślizłe kleszcze. Za każdym razem, gdy podnosił nogę, ogromny bucior chciał pozostać w błocie, ale w ostatniej chwili podrywał się z chlupotem.

Pośrodku bagna rosła kępa tamaryndowców, ich czerwona kora lśniła, jakby wewnątrz płonęły węgle. Leander zastanawiał się przez chwilę, przyciągany ich barwą. Ale miał dość magii i bał się dalszego opóźnienia, które mogła spowodować mieszkająca tam poczwara, obojętnie jakiego pokroju. Ominął kępę szerokim łukiem, choć oznaczało to zmoczenie spodni do pasa.

Gdy oddalał się od zagajnika, coś zmaterializowało się jak gdyby z wody i trawy, tarasując mu drogę.

— Czy aby mnie nie obrażasz, przechodząc przez moją ziemię bez składania mi wizyty?

Kształt zestalił się w staruszkę z brodą, która opadała niczym wasy suma, i z bujną czupryną splątanego mchu. Jego oczy miały odcień bagiennej wody, skrzący się na przemian zielenią i brązem. Rzeczne trzciny oplatały mu ręce, a jego płaszcz był uszyty ze spadłych liści i miseczek żołądzi.

Stał spokojnie dwa łokcie nad najbliższą kępą trawy, stopy opatrzone pięknymi błonami pomiędzy palcami wisiały w powietrzu. Z roztargnieniem pykając fajkę uplecioną z wierzbowych witek, zapytał:

— I jak?

Książę nie zachłysnął się, nie szukał słów jak schnący pstrąg wody, która nie napłynie. Zamrugał powoli, raz, drugi, i usiadł ciężko na omszałym głazie.

Duch zaśmiał się z całego serca.

— Biedne pisklątko. Przez chwilę wszystko musi wydawać się trochę oszalamiające, przyznaję. Jestem Królem Bagna — uklonił się lekko — a ty przychodzisz od Wiedźmy z Wąwozu, żeby zabić Bestię, mojego przyjaciela. Rzecz prosta nie mogę ci na to pozwolić, ale chętnie z tobą porozmawiam, jeśli nie masz nic przeciwko dyspucie na ten temat.

— Dysputa? Na temat, czy zabiję leukrottę, czy nie zabiję? — zapytał Leander z konsternacją.

Kudłata głowa Króla Bagna podskoczyła wesoło.

— Och, nie zależy mi na ceremoniach. Woli, gdy zwą go Bestią.

— Czy zatem ją zabiję, czy też jej nie zabiję?

— Och, obawiam się, że wciąż nie rozumiesz, chłopcze. Tego Bestię. Jest rodzaju męskiego. Bestia to równy gość.

— Zatem tego bestię.

— Po prostu Bestię.

— I czy mam go zabić.

— Dysputa to piękna rzecz. — Król Bagna westchnął z rozmarzeniem. Pamiętam jedną taką, sprzed pięćdziesięciu laty. Jakieś inne szlachetne, gorliwe piskłę napastowało Bestię... Ostatnio ściągają tu jeden za drugim. Odbędziemy dysputę?

Oczy Króla Bagna błysnęły jak skóra węgorza w płytkiej wodzie, radośnie i proroczo.

Dysputa Króla Bagna

Ostatni młody człowiek okazał się wielce nieokrzesany, nadzwyczaj impertynencki w swoich złotych frędzlach i szkarłatnej pelerynie. Też mnie nie odwiedził, ale kiedy się pojawiłem, był dość przyjazny. Rozłożył pelerynę na tej skale i siadł, krzyżując nogi, równie chętny do dysputy ze mną, jak do ścięcia głowy biednej Bestii.

— Dlaczego — zacząłem od najprostszego pytania, jak sam się przekonasz — dlaczego chcesz zabić Bestię? Nie pożyczył od ciebie miecza i nie zapomniał go oddać, nie zepsuł ulubionej lektyki twojego ojca, niczym ci nie dokuczył!

— Jestem księciem — odparł, był raczej tępawy. — To funkcja księcia (wartość A) zabijać potwory (wartość B) w celu zaprowadzenia porządku (wartość C) i zachowania stałego zapasu dziewic (wartość D). Jeśli wprowadzi się pochodną wartości A (Książę) do równania y równa się BC plus CD do kwadratu, i sprowadzi się ją do zera, uzyskując wierzchołek paraboli, a mianowicie punkt przecięcia pomiędzy A (Książę) i B (Potwór), wyznaczy się wartość E — stabilne królestwo. To wszystko jest bardzo skomplikowane, lecz jeśli masz kartkę pod ręką, narysuję ci wykres.

— Ach, mój chłopcze — rzekłem, gdy zapaskudził jedną z moich map topograficznych nagryzmołonymi równaniami — lecz Bestia nie jest potworem. Nie pożera dziewic jak kanapki z ogórkiem. Trzyma się na uboczu jak każda cywilizowana bestia.

— Ale jest szpetny? — zapytał książę.

— Uważam, że jest wspaniałym kumplem, ale tak, niektórzy mogliby uznać go za brzydkiego.

— I wstrętnie cuchnie?

— Cóż, w tej kwestii nie mogę z tobą dyskutować. Każdy powinien stawać po odwiertnej!

— I ma straszną kościaną szczękę i wielkie wysokie rogi?

— Tak, tak, wypisz wymaluj Bestia, zgadza się!

— W takim razie jest potworem! — Książę zapiał z zachwytem.
— Muszę zaraz go zabić. Wzór działa!

— Twój wzór musi dać w wyniku wielką bijatykę — mruknąłem.

— O tak, kiedy jest zastosowany właściwie, wynikają wielkie i szlachetne bitwy! Oczywiście zawsze wygrywam — wartość X Księcia jest stała. Nie może być mniejsza niż wartość Y Potwora, to Hipoteza Wyższości Moralnej rozślawniona pięćset lat temu przez mojego przodka Ethelreda, króla matematyka. Przez wszystkie te stulecia nie widzieliśmy nikogo, kto mógłby się z nim równać.

— W to nie wątpię.

— Jeśli to wszystko, muszę się zająć dowodem — powiedział książę, na próbę wymachując mieczem. — Nazywamy to zgładzaniem — wyjaśnił, robiąc wielki zamach nad głową. — Za każdym razem, gdy ginie potwór, hipoteza zyskuje dowód.

— Cieszę się, że nadajesz zbrodni taką... cywilizowaną nazwę. Nie mogę jednak na to pozwolić.

— Ale... ale... — zająknął się oburzony — ale wzór!

— Pomimo wszystko. To moje królestwo i póki mogę temu zaradzić, w moich granicach nie dojdzie do aktu przemocy. Tyle przynajmniej powinienes rozumieć. Tutaj moje słowo jest prawem.

— No tak. — Skinął głową. — Uniwersalny Algorytm Monarchiczny zajmuje centralne miejsce w twierdzeniu.

— W twierdzeniu?

— O właściwym zachowaniu.

— Aha.

— Napisałem pracę naukową na temat Algorytmu Monarchicznego. — Młodzieniec naburmuszył się, zajmując pozycję obronną. — Skoro nie zezwalasz na przemoc w swoich granicach... chwileczkę, wykonam pewne obliczenia. — Znów bazgrał po mojej pięknej mapie. — Wyzwę go na udeptaną ziemię. Jeśli jest prawdziwym potworem, nie odrzuci wyzwania szlachcica.

Westchnąłem, godząc się z nieuniknionym.

— Nie, nie odrzuci.

— Zatem dobrze! — Księżę odmaszerował, nucąc sobie mnemoniczną melodię.

Opowieść o księciu i gęsi, ciąg dalszy

— Cóż, mój piękny chłopcze, pozwól, że coś ci powiem. Tamten młodzieniec próbował skoczyć z urwiska na Bestię na miejscu pojedynku — wielce niesportowo — i jego kończyny wplątały się w poroże biedaka. Usunięcie go zabrało nam długie tygodnie i była to praca bardzo nieprzyjemna. Może ty wykażesz się większym rozsądkiem. — Król Bagna łypnął na niego znad okularów z muszelek. — Czy znasz jakiś wzór albo twierdzenie?

Księżę bez słowa pokręcił głową.

— Chwała za to szerokoskrzydłemu kapeluszowi nieba! Może ten styl rządzenia wyszedł z mody. Jednak obawiam się, że wciąż będziesz nalegał na niepokojenie Bestii o tej niehumanitarnej porze.

— Muszę.

— A dlaczego? Przytaczając tę wielce przyjemną drugorzędną dysputę, ustaliliśmy, że Bestia nie jest potworem. — Król Bagna ze zdziwieniem skrzywił pomarszczony nos.

— Wiem. — Leander westchnął. — Ale tego nie można uniknąć. I mam do ciebie pytanie, zanim ujawnię swój cel.

— Do mnie? — Król Bagna znacznie pojaśniał, jego wąsy podniosły się z zadowolenia. — Prawie wszyscy ludzie przychodzą do Bestii! Od dawna nie miałem gościa. O co chodzi, mój piękny, uroczy, doskonały młody człowieku?

— Eyvind chce wiedzieć, jak długo musi czekać, żeby morze przemieniło się w złoto.

Król Bagna zmarszczył szerokie czoło i zerknął w niebo.

— Nie mogę powiedzieć, że znam jegomościa o takim imieniu — wyznał ze smutkiem.

— On... on kiedyś był niedźwiedziem. Uczyniłeś go człowiekiem. — Księżę nie krył zakłopotania. Historia wydawała się solidna jak kamienna tabliczka, gdy słuchał jej z ust karczmarza. A jednak sędziwy monarcha wciąż pomrukiwał i chrząkał pod nosem. Wreszcie jego twarz rozbłysła jak święteczna latarnia.

— Aha! — krzyknął. — Niedźwiedź astrolog! Oczywiście! No tak, wiesz, już niedługo, jak sobie wyobrażam. Może stanie się to zanim wrócisz do domu do swojej wiedźmy. Może nie. W zasadzie nie prowadzę almanachu, rozumiesz. I czemu miałbym prowadzić? Sam sobie jestem panem. A teraz, gdy usłyszałeś odpowiedź, powiedz mi, czego, u licha, chcesz od mojego drogiego przyjaciela, Bestii?

— Muszę... muszę mieć jego skórę. Aby przywrócić dziewczynę do życia. Ja ją zabiłem, więc winny jej jestem zadośćuczynienie.

— Och — mruknął król z niesmakiem — co za podłość z twojej strony. Proponujesz odrażającą operację. Absolutnie nie wchodzi w rachubę.

— Mój drogi przyjacielu... — nad bagnem poniósł się głos głęboki jak miechy ściśnięte rękami olbrzyma — nie powinienes mówić o mnie pod moją nieobecność. To bardzo nieuprzejme.

Nad rozległym trzęsawiskiem ukazała się szkarłatna postać leukrotty, z porożem jasnym jak krew na tle nieba. Jego zapach wypełnił sakwy wiatru — woń nieruchomych kałuż krwi lśniących w promieniach słońca, woń krwi w studziennych

cebrach i beczkach na wino, w porcelanowych wazonach i trzciniowych koszach, gorący, ciężki miedziany zapach, rozchodzący się powoli.

Ale jego skóra była przedziwnie piękna, barwy ciemnych, tajemnych rubinów i granatów rozrzuconych po śniegu. A poroże piętrzyło się niczym wieżyczki obsadzone krzepkimi łucznicami, rozwidlone jak konary stojącego w płomieniach drzewa. Wielka żuchwa wisiała lekko uchylona, warga odsłaniała płat białej kości. Na sprężystych nogach zbliżył się do księcia. Jego oczy, same źrenice, skrzyły się jak krzemień w nieskończonej czerni.

— Nie sądzisz, mój drogi monarcho, że sam potrafię się zająć własnymi sprawami? — zapytał śpiewnie.

— Oczywiście, Bestio. Bez urazy. Wyślij go na tamten świat w dogodnej dla siebie chwili.

— Och, nie ma sprawy, stary. I nie śmiałybym marzyć o podeptaniu twojej jurysdykcji. Masz pierwszeństwo.

— Nie, nie, ty pierwszy. — Król Bagna skłonił się w pasie.

Leukrotta przez długą chwilę szacował Leandra wzrokiem.

— Moja skóra, powiadasz? Nie słyszałem, że ma wartość leczniczą, ale jeśli wiedźma jej potrzebuje, jako istota dobrze wychowana i potwór muszę ci ją oddać.

Księżę i król drgnęli, zaskoczeni tymi słowy.

— Musimy stoczyć pojedynek — upierał się księżę.

— Nie bądź śmieszny, chłopcze. Wypatroszyłbym cię w okamgnieniu. Po prostu zabierz skórę i zmykaj.

Król Bagna zacharczał z konsternacji.

— Mój drogi chłopcze! Muszę zaprotestować! Zrobisz bałagan na moich mokradłach! I skóra nie jest zegarkiem kieszonkowym, nie można jej dać tak po prostu! — Zatupał

omszałymi stopami, oczywiście nie czyniąc dźwięku, gdyż wciąż wisiał nad wodą.

Leukrotta wzruszył barkami.

— Spodziewam się, że w ciągu miesiąca wyhoduję nową.

To rzekłszy, opuścił na pierś wielką szkarłatną głowę i jął zrywać skórę z ciała jak dziecko, które jednym długim, spiralnym pociągnięciem nożyka obiera dojrzałe jabłko.

— Wiesz — odezwał się z zadumą, gdy obok niego rósł stos skóry — kiedy wiedźma była młoda, żyliśmy na dość przyjaznej stopie. Jak mógłbym odmówić tej zachwycającej istocie? W swoim czasie olśniewała urodą, muszę ci powiedzieć — jej pokiereszowana twarz z bliznami i tatuażami wyglądała wręcz bosko. Jej zniekształcone rysy były dla mnie piękne jak pierwsze owoce lata, czerwone i idealne na jasnej od rosy gałęzi. — Bestia westchnął z rozmarzeniem. — Cóż, to, co nazwałbyś brzydota, jest taką rzadkością, że nieczęsto można ujrzeć ją w całej krasie. — Spojrzał znacząco na Króla Bagna, który, choć podstarzały, wciąż był przystojny w stateczny sposób. — Jej tatuaże odzwierciedlały blizny w cudownej symetrii czarnego tuszu i nakłutej białej skóry... — gdybym był trubadurem, ułożyłbym pieśni sławiące jej piękno. A jak błyskały jej włosy! Jak moja skóra płonąca w słońcu.

Bestia zdarł resztki skóry z kopyt i rzucił je na stos, ogromny i ciemnoszkarłatny jak zapas surowca w zakładzie mistrza garbarza. Usadowił się wygodnie, jeszcze czerwieńszy niż wcześniej, jego mięśnie lśniły od strumyczków krwi, która ściekała niczym farba na bagienną trawę. Wiatr smagał odsłonięte ciało, on jednak zdawał się cieszyć dotykiem widmowych palców na szerokim zadzie.

— Bez obawy, mój mały faunie — zapewnił księcia — to wcale nie boli. Wręcz orzeźwia. Obaj powinniście spróbować, to działa jak wzmacniająca mikstura, szkoda tylko, że wasza anatomia jest... powiedzmy, niedostosowana.

Księżę popatrzył z konsternacją na odartego ze skóry leukrotę, który siedział z zadowolonym uśmiechem, brocząc krwią z potężnej muskulatury. Zaczął pakować skórę do worka.

— Nie zostaniesz, żeby posłuchać, jak poznałem wiedźmę! — krzyknął Bestia, boleść wypełniła jego głos jak wino bukłak. — Przecież zrobiłem dokładnie to, o co prosiłeś! Czy matka nie nauczyła cię być miłym dla potworów, które nie chciały cię pożreć?

Twarz Leandra spąsowiała. Zapadło krępujące milczenie, wełnisty cień ciszy spowił całą trójkę.

— Może i nie — ustąpił Bestia — ale siądź przy mnie i słuchaj, a wszystko będzie dobrze, zobaczysz.

Słońce wciąż świeciło wysoko wśród targanych wiatrem obłoków, księżę miał więc dość czasu, zanim godziny staną się jego wrogiem. Nie chcąc, by Król Bagna przemienił go w coś nieprzewidzianego, z westchnieniem wyraził zgodę.

Opowieść leukrotty

Uratowała mnie, mała szelma. Walczyłem, jak często zrzędał los, z synem księcia ze Wschodnich Księstw, młokosem w ozdobnej zbroi ze srebra i kości słoniowej. Okropnie niepraktyczny przyrodziewek, rzecz jasna, ale synowie księcia zawsze byli fircykami. Już ubodłem go lewą stroną mojego poroża, niestety nie trafiłem w ważne dla życia organy, a on walczył zaciekle jak dwanaście wilczków o mleko jednej matki. Był zdesperowany, biedaczysko. I w desperacji zdołał wsunąć ostrze pod moje żebra niemalże po rękojęść.

Szlachetnie urodzony gałgan powinien staranniej zebrać informacje. Moje serce nie leży blisko żeber, jak u ludzi — ledwo by się zmieściło! — ale głęboko w brzuchu, więc spragnione ostrze księcia nawet się doń nie zbliżyło. Mimo to znalazłem się w poważnych tarapatach, przeszyty groteskowym mieczem, o krok od utraty głowy.

Ale w chwili, gdy słodycz triumfu zalała jego młode usta, strzała wyfrunęła spomiędzy drzew z prędkością czapli chwytającej rybę i ugrzęzła mu w ramieniu z impetem, który odrzucił go od mojego skręcającego się ciała. Olśniewająca istota wyskoczyła z gęstwy, odziana w wyliniałe, cudownie zapchlone futra, z włosami zbitymi w najeżony kołtun. Uda miała silne i dość gładkie, jak mniemam, ale twarz przepięknie poharataną, posiekaną na kawałki przez jakiegoś mistrza artystę, pokrytą grubymi czarnymi znakami. Jej zapach, metaliczny i ostry, mógłby zabić stado antylop, gdyby przypadkiem znalazło się w pobliżu. Zjełczały pot, żylaste

mięso i fetor głodu tworzyły rozkoszne perfumy, które wdychałem z lubością jak parę ze stygnącego ciasta.

Bajeczna zjawa rzuciła się na grubiańskiego książęcego syna, przyszpilając go do omszałej ziemi. Wylądowała na nim okrakiem i sapała chrapliwie, obwąchując jego zbroję jak dziki zwierz. Tęsknie wyobrażałem sobie smród jej oddechu — byłem pewien, że jest tą szczególną mieszanką zgniłego szpinaku i gotowanych jaj, z nutką robaczywego drewna, o której często marzyłem.

— Co ty wyprawiasz? — wychrypiała, szczerząc zęby. — W moim lesie nie zabija się zwierząt. To moje prawo, znają je wszyscy ludzie w tym królestwie.

Byłem zaskoczony, słysząc, że mówi tak dobrze — może robiłem sobie zbyt wielką nadzieję, rojąc o chrząknięciach i sykach. Mimo wszystko ogromną przyjemność sprawił mi widok księcia, który wił się ze strachu jak prosię.

— Ja... przepraszam! Wybacz mi! Nie wiedziałem! Nie jestem stąd!

Na próżno się tłumaczył. Moja wybawicielka nacisnęła mocniej, aż śliczna zbroja pękła i pokaleczyła mu skórę. Młodzieniec zawył w wielce satysfakcjonujący sposób.

— Ciemniaku! — szepnęła z bólem, który sznurował jej głos jak tasiemki suknię. — Zwierzę ma duszę. Niekiedy nawet w duszy nie zawsze bywa potworem. Kimże ty jesteś, żeby zabijać, zanim dowiesz się więcej o swojej ofierze?

— Nikim! Nikim! Jestem nikim! — Rozplakał się nie na żarty, wielkie łzy ściekały po jego delikatnej twarzy. Dziwne, przede mną nie czuł strachu, ale rozciągnięty pod tą ludzką kobietą nagle stał się słaby i kwiczał tak głośno, że zawstydziłby prosiaka.

Ona przewróciła oczami.

— Tutaj nikogo nie wolno zabijać. Ale przysięgnij mi, że zrezygnujesz z wyprawy i poświęcisz życie księżniczce, którą bez wątpienia zostawiłeś w domu bez żadnego zajęcia.

— Przysięgam, przysięgam!

Słyszając to, kobieta wstała, zostawiając załóżnie płaczącego syna księcia na trawie, która zaczynała moczyć mu kaftan.

— Och, nie zabijesz go chociaż troszeczkę? — zasugerowałem swoim najlepszym, najbardziej dwornym tonem.

Zwróciła na mnie oczy, jaskinie o niezmierzonej głębi.

— To moje prawo — odparła bezdźwięcznie. — Nie znam cię. Co robisz w moim lesie?

— Dlaczego uważasz las za swój? Masz akt notarialny?

— Nie. Po prostu uznałam, że mam do niego prawo. Ludzie są za mądrzy, żeby je kwestionować.

Zadrzałem z podniecenia, słysząc zgrzyt żwiru w jej głosie.

— Nie jestem człowiekiem, jak widzisz. Jestem Bestią, nazwa gatunkowa *Leucrotta furialis*. Ten szczeniak mnie wyzwał. Dziękuję ci za pomoc, to było bardzo miłe.

— Zrobiłabym to samo dla każdego zwierzęcia w potrzebie. — Zarzuciła na ramię łuk, piękny jesionowy łuk, który zapewne sama wycięła z jakiegoś szczęśliwego młodego drzewka. — Jestem Wiedźmą z Wąwozu. Wszystkie stworzenia, które oddychają w moim lesie, podlegają mojej ochronie. Nie uważaj tego za osobistą przysługę. Jeśli obaj dobrze mnie rozumiecie, odejdę.

— Czekaj! — Podbiegłem do niej, żeby mogła w pełni ogarnąć moją barwę i wzrost. — Muszę ci się odwdziżyć za ten dzielny wyczyn. Zrobię, co tylko zechcesz, piękna pani.

Nie zważając na beczącego książęcego syna, który teraz siedział, żałośnie obmacując ramię przeszyte strzałą, spojrzała na mnie szacującym wzrokiem spod uniesionej krzaczastej brwi.

— Zabiłbyś dla mnie króla? — zapytała cicho.

— Oczywiście, moja owieczko. — Skłoniłem się lekko, wyciągając przednie nogi. — Widzę tylko jeden szkopuł. Ani nie jestem na tyle niepozorny, żeby niepostrzeżenie wejść do zamku, ani nie jestem wyekwipowany w broń, żeby spowodować szkody większe niż, cóż, pożarcie go żywcem, co jak miemam byłoby dla ciebie mało satysfakcjonujące, gdyż skutkuje szokującym brakiem ciała. Chyba nie jestem potworem odpowiednim do tego zadania. — Łypnąłem znacząco na nieszczęsnego księcia, który po raz pierwszy oglądał własną krew i wyglądał tak, jakby miał zemdleć.

Uśmiech przeciął jej twarz jak rapier bok przeciwnika. Był cudownie paskudny. Zwróciła się do biednego księcia.

— Jak myślisz chłopcze? Zabiłbyś króla w zamian za to, że daruję ci życie?

— O tak — wyszlochał piskliwie — jeśli sprawi ci to przyjemność. Tylko nie szpikuj mnie więcej swoimi strzałami! Boję się ostrych przedmiotów! Ruszyłem na wyprawę tylko dlatego, że ojciec nazwał mnie tchórzem i wysłał po sławnego leukrottę! Chce mieć skórę, rozumiesz. Do skrytobójczych mordów.

Zgodziłem się z nim całym sercem.

— W istocie, moja słodka brzoskwinko, z mojej skóry i za jej pomocą można zrobić wiele plugawych rzeczy. Słyszałem, że osiąga wysokie ceny na każdym szanującym się czarnym rynku.

— Ale zrobisz to dla mnie? — Wiedźma nie chciała zboczyć z obranego kursu. — Pójdiesz do pałacu i wbijesz nóż w serce króla?

— Tak! Tak! — Syn księcia dźwignął się na kolano, żeby złożyć ręce w tradycyjnym geście wierności. — Tylko którego?

— Króla, chłopcze. Kogóż by innego? W pałacu.

Była niecierpliwa, rzecz jasna. Dla wiedźm jest tylko jeden król — ten, który je skrzywdził — i tylko jeden pałac — dom, który ten król zamieszkuje.

Trzeba przyznać, królowie często są tępi, ogłaszając się świętymi naczyniami i panami wszystkich rzeczy ponad i poniżej, podczas gdy w rzeczywistości rządzą splachetkiem nędznej ziemi ze stojącymi na nim jeszcze nędzniejszymi chałupami.

— Będiesz wiedział — podsunąłem uprzejmie — bo jest ograniczony przez dwie rzeki, jedną białą i jedną czarną.

— Tak, tak, pani, pójdę i wypełnię zadanie. Ale... wyruszyłem nie tylko zabić leukrotkę. W wieży jest dziewica...

Wiedźma splunęła, słysząc te słowa, i znów przewróciła cudnymi oczami.

— Te odrażające stworzenia zawsze dają się zamknąć. Gdyby tylko na tym poprzestały! — warknęła.

Syn księcia spłoszył się jak dziewczę przyłapano nago.

— Została uwięziona przez strasznego czarnoksiężnika z tych stron, a ja mam obowiązek ją ratować. Jeśli spełnię twoją misję, kto zajmie się moją?

Wiedźma schyliła się, wyjęła drzewce strzały i bez słowa opatrzyła mu ranę. Zadowolona ze swojej pracy, przemówiła głosem najeżonym kolcami rozkosznej irytacji.

— Nie cierpię tego zwyczaju, przysługa za przysługę. Pomysł bezsensowny i wyświechtany jak przechodzona korona. Ale wiele zrobiłabym w zamian za śmierć króla, a może jeszcze bardziej czarnoksiężnika, o którym mówisz. Sama spełnię twoją misję i uwolnię pannicę z chałupy.

Wymruczała coś do konia i nakarmiła go kawałkiem jabłka, które miała schowane w tobołku.

— Idź — rozkazała chłopakowi — i nie zabijaj żadnego stworzenia prócz króla. A potem przybądź do Wąwozu.

Syn księcia czmychnął. Znacznie później doszły mnie słuchy, że wywołał wielki skandal, uśmiercając jakiegoś biednego, bogu ducha winnego monarchę w zupełnie innej części świata.

Ja jednak zostałem z niespłaconym długiem, biedak przed królową w klejnotach.

— Co do mnie — wymruczałem — wciąż jestem twoją Bestią. Zrób ze mną, co chcesz.

Zastanawiała się przez chwilę.

— Czy twoja skóra naprawdę jest narzędziem mordu?

— Niezaprzeczalnie, mój mały placuszku. Stanowi dość wyjątkowy dodatek do mojej osoby. — Co miesiąc wyrasta nowa, rodzi się ze mnie jak owoce z drzewa. Pocięta na pasy, połączona z pewnymi maściami z wilczej jagody i hyzopu, może spowodować paraliż u ludzi urodzonych pod znakiem Kozy. Namoczona w naparze z krwawnika i fenkułu z odrobiną krwi mantrykory sprawi, że kobieta, która poczęła w czasie nowiu, poroni albo serce dziecka zatrzyma się we śnie w wieku siedmiu lat. Jednak to samo dziecko, owinięte w koc z mojej skóry, będzie żyło dopóty, dopóki moja skóra będzie dotykała jego ciała. To nadzwyczaj dobra sztuczka, bo gdy dziecko padnie trupem, traci skórę, jeśli nawet dzięki niej powinno

przeżyć lat sto i siedem. Zmielona na proszek z garścią mrówek z pospolitego wzgórza i z miarką peklowanej wątroby salamandry sprawi, że mężczyzna uwielbiający publiczne przemowy połknie własny język na biesiadzie wyprawionej na jego cześć. Skóra ma mnóstwo indywidualnych zastosowań, w zależności od tego, kogo zamierza się skrzywdzić.

Słyszałem, że nijak nie można wykorzystać jej do szlachetnych celów, ale nie przeprowadziłem odpowiednich badań, więc nie będę się wypowiadać. Rzecz jasna, jest poszukiwana ze względu na wyżej wymienione cechy, nie daje ciepła czy ochrony. — Skóra napawa mnie uzasadnioną dumą, gdyż dzięki niej jestem zwierzęciem egzotycznym, nie jakimś tam przeciętniakiem.

Wiedźma zmarszczyła swe wspaniałe czoło, grudkowate jak zwarzona śmietana.

— W takim razie podwajam cenę. Pewnego dnia zażądam twej skóry. Musisz mi ją dać bez pytania i bez chwili zwłoki. Zgoda?

— To zaszczyt, mój racuszku, moja śliweczko. Będę czekać na twoje wezwanie. A tymczasem rozślawię twoje piękno po najdalszych zakątkach świata, żeby wszyscy wiedzieli, czego ja właśnie się dowiedziałem: że klejnot mieszka w Wąwozie, piękniejszy nad wszystkie rubiny, które może zrodzić ziemia.

Wiedźma parsknęła śmiechem, który przywodził na myśl zgrzyt piły tnącej zardzewiałe żelazo.

— Po drugie, musisz mi pomóc uwolnić dziewczynę. To głupie zadanie, ale chcę je jak najprędzej wykonać i mieć z głowy. Pójdiesz ze mną?

Zduśłem nagle pragnienie zatańczenia z radości.

— Z ogromną przyjemnością, mój plasterku miodu. Prawdę mówiąc, sprawimy się szybciej, jeśli raczysz... — ledwo hamowałem entuzjazm pojechać na moim grzbiecie.

— Czy zawsze jest takie koleżeństwo pomiędzy potworami?

— Musimy się troszczyć jeden o drugiego — odparłem miękko — tworzymy bowiem niewielką i kurczącą się bandę. Nie wiedziałaś?

— Nie zawsze byłem potworem — szepnęła.

Wspięła się na mój grzbiet z lekkością szeptu, jakby jeździła na mnie od dziesięciolecia. Na chwilę oddech uwiązł jej w gardle, jakby nagle rozpoznała we mnie utraconą miłość lub dawno zmarłe dziecko. Z wielką czułością wplotła ręce w moją grzywę i jeśli się nie mylę, naprawdę wtuliła w nią twarz i wdychała mój zapach.

— Minęły lata, odkąd dosiadałam konia — rzekła ze zdumieniem.

Oświadczyłem, że nie jestem koniem, lecz chyba nie usłyszała. — Miejsce, do którego trafia większość uprowadzonych dziewczyc, leży na północny zachód stąd. To bezimienna wieża pośrodku bezimiennego lasu.

W czasie trwającej niespełna dzień podróży upajałem się, co dziwne, obecnością jeźdźca na moim grzbiecie, jej lekkością — ważyła tyle co gałązka ostrokrzewu — i jej burkliwym towarzystwem. Przyjemnie jest być poskromionym, słuchać szorstkiego głosu. Może znowu to się zdarzy.

Wieża, potężna i czarna, wyciosana z jednego wielkiego bloku obsydianu, odbijała otaczający ją las w ciemnej, falującej parodii zielonego piękna. Niebo było jednolicie szare, jak metaliczne cielsko armaty, i ponure chmury wlokły się na zachód. Wieża stała pośrodku czegoś, co niegdyś musiało być

łąką, ale przemieniło się w szeroki krąg martwej, wybielonej trawy wśród wonnych sosen i brzoź. Zwężona ku górze, jak to zwykle wieże, zwieńczona ostrym szpicem, przypominała wielki grot strzały wystający z ziemi. Nawet jako twór magii wyglądała nienaturalnie i czułem zapach krwi dziecięcej w trawie u jej podstawy. Było to straszne miejsce, ale wiedźma nie wydawała się przejęta. Zsiadła ze mnie, podeszła do stóp wieży i zawołała w stronę złowrogięgo szczytu:

— Kobięto! Wyjdź! Przybyłam... — Zakłopotana, spuściła oczy na barwną trawę. — Przybyłam ci na ratunek — dokończyła wreszcie takim tonem, jakby się przyznawała, że ma czyraki. Rozmarzyłem się, zauroczony rozkosznym wyobrażeniem czyraków na jej skórze. Nagle na szczycie wieży ukazała się głowa, brutalnie przerywając moje zamyślenie.

Szkaradne złote włosy spadały z blanków w długich warkoczach, oczy były błękitne jak utopiony węgorz, a policzki gładkie i różowe jak zaraźliwa wysypka. Piersi dziewicy unosiły się w wielce nieprzystojny sposób, ściśnięte zbyt mocno przez stanik białej sukni. Ta dziewica czyniła z siebie istne widowisko. Mocno niesmaczne widowisko. Może sama zamknęła się w wieży, żeby oszczędzić światu widoku swej szpetoty? W porównaniu z moją uroczą wiedźmą bezsprzecznie była ropuchą, brodawką, pryszczem.

Istota dziwnie ściągnęła usta i przemówiła głosem słodkim jak zepsute mleko:

— Niewątpliwie. Chodź na górę.

Czarny łuk pojawił się bezgłośnie w licu wieży, bezświelna kurtyna rozsunięła się na boki, ujawniając dalszy i głębszy mrok. Wiedźma rzuciła mi znaczące spojrzenie i weszła w szczelinę, a ja potruchtałem za nią.

— Dobrze znam ciemność, szybko się zaprzyjaźniłyśmy. Jeśli starzec w ten sposób chce mnie odstraszyć, jest wielkim głupcem — szepnęła.

Wchodziliśmy spiesznie, płynny kamień schodów ślizgał się pod nami. Szedłem w nieprzeniknionym mroku tropem jej zapachu, szlak ciepła jej ciała oświetlał mi drogę. Przez długi czas słyszałem tylko nasze oddechy i stopy na skale, szemrzące jak deszcz w lesie. Nie było to nieprzyjemne.

Równie nagle, jak weszliśmy w te podobne łonu cienie, tak je opuściliśmy, wchodząc do okrągłej komnaty na szczycie wieży. Pośrodku, niczym klejnot w żelaznym pierścieniu, stała dziewczica.

— Witajcie — wygłosiła śpiewnym głosem. — Nazywam się Magadin.

Jej głos odbił się echem od ścian komnaty jak strzała, która chybia celu.

Z początku nie mogliśmy odpowiedzieć, zbyt oszołomieni wyglądem dziewczyny. Głowa, którą widzieliśmy z dołu, była okolonym perłami obrazem godności królewskiej, złocista i chłodnolica, dla mnie odrażająca, ale piękna wedle standardów śmiertelnych. Reszta jej ciała jednakże wzbudziła mój zachwyty — ręce, porośnięte gęstym rdzawym futrem, zwężyły się w chorobliwie żółte szpony, biodra przechodziły w delikatny zadłani, a z łopatek boleśnie kielkowały turkusowe skrzydła, rozszczepiając skórę i puszczając obficie krew. Stopy skrzyły się zielenią podwodnych opali, błoniaste i obciążone oślizłą skórą jak żabie łapki, a nogi pod zwiewną suknią połyskiwał srebrem ryby, gładko pokryte przejrzystymi łuskami. Z pięt wyrastały płetwy delikatne jak piórka. Piersi, które z dołu wydawały się mleczne i nieskazitelne, w rzeczywistości były pręgowane jak

futro białego tygrysa; ciemne pasy zaczynały się na delikatnym obojczyku. Za jej plecami smutno zwisał wilczy ogon, przedarłszy się przez naszywane paciorkami płótno. Końce warkoczy niespiesznie trzepotały, we włosach lśniły pożyłkowane błony skrzydeł ważki.

Co gorsza, wokół niej ze ścian sterczały głowy, niegdyś należące do dziewczyc, wszystkie na różnych etapach przemiany: jedna była na wpół pokryta węzową skórą, jej włosy syczały dziko; druga straciła usta na rzecz zakrzywionego dziobu; oczy kolejnej strasznie się skurczyły, a ciemne włosy przysłaniały rysy nietoperza. Komnatę otaczała menażeria księżniczek-bestii, patrzących na nas oczyma, które wydawały się niezupełnie martwe.

— Sami widzicie — rzekła cicho dziewczica — dlaczego jeszcze nie zostałam uratowana. Dlaczego nic nie strzeże wejścia. Piękni rycerze, przychodzą tuzinami i uciekają jak spłoszone wiewiórki, gdy tylko mnie zobaczą.

Z litością malującą się na twarzy wiedźma czule wzięła dziewczynę w ramiona. Magadin zapłakała wielkimi czerwonymi łzami, które spadały na suknię niczym krople jakiegoś nieziemskiego wina.

— Powiedz mi, co on ci zrobił — poprosiła cicho wiedźma, gładząc pokryte żyłkami włosy.

— Chce mnie przemienić — pisnęła Magadin głosem rannego jastrzębia — jak wcześniej je wszystkie. Zabrał mnie z domu ojca...

Opowieść panny-bestii

Urodziłam się daleko, daleko stąd w noc przesilenia zimowego, w środku burzy, która zdzierała dachówki z dachu i zalewała niebo chmurami czarniejszymi niż sadze w kominie. Pierwszy oddech nabrałam w wysokiej wieży oplecionej bluszczem i liliami białymi jak przybierające księżycy, całej z szarego kamienia usianego kwarcem. Wiatr tłukł w okna, niebo gotowało się grzmotem. Akuszerka ułożyła mnie w ramionach matki, która szeroko otworzyła oczy z zachwyty. Zmarła z uśmiechem na znużonej i białej, pełnej smutku twarzy, z palcem zaciśniętym w mojej drobnej piąstce.

Gdy dzikie mleczne drzewa i kasztanowce zakwitły dwanaście razy, mój ojciec ożenił się powtórnie z kobietą o promiennym licu, z włosami jak rzeka ognia, oczami jak żywe słońce wchodzące do naszego dworu. Nazywała się Jolanda. Była młodą posażną wdową i miała dwie rodzone córki, Izaurę i Imoginę, nieco starsze ode mnie, każdą dumniejszą i piękniejszą od drugiej.

Widzę twój uśmiech, więdźmo. Myślisz, że znasz takie historie.

Ale siostry nie przypominały egzotycznej matki; nadzwyczaj głupie, mogły się szczyścić jedynie złotym odcieniem i siłą skręconych loków. Były złotymi ptaszkami, szczebioczącymi i pustogłowymi, nierozłącznymi, zawsze trzymającymi się za różowe łapki. Ja, pojętna i bystra, szybko zostałam ulubienicą macochy. Była władcą kobietą, a mój ojciec słuchał jej najcichszego szeptu gorliwie jak żreback swego pana.

Uwielbiałam ją.

Oczywiście, nowe siostry mnie znienawidziły.

Matkę znałam tylko z historii snuty przez ojca, z opowieści o tym ostatnim uśmiechu, łagodnym i smutnym. Moje wyobrażenia stapały się jak para herbaty z pięknym obliczem Jolandy, której śmiech zapalał kandelabry, której obszerne ciemne szaty majestatycznie omiatały korytarze, która zastąpiła ducha mojej matki.

Z czasem stało się jasne, że przedkłada mnie nad własne dzieci, a one siniały z nienawiści i zazdrości. Ja nie dbałam o te mizdrzące się ptasie mózdzki. Macocha była moim światem, jej urok całkowicie podbił moje serce. Przejęłam jej maniery, stałam się wyniosła i porywcza, ale czarująca dla wszystkich. Byłam cudem pałacu, dumą mego ojca. Coraz starsza, coraz piękniejsza i mądrzejsza, z rozkoszą pochłaniałam książki z naszej biblioteki. Ja byłam ciemnowłosa i blada jak zimowy wiatr, moja macocha zaś jasna i różowa jak zmierzch w środku lata.

W moje szesnaste urodziny — zwykle wtedy dzieją się takie rzeczy herold ogłosił u wszystkich drzwi w kraju, że królewski czarnoksiężnik szuka godnej panny na ucznia i że wszystkie rody szlachtetnej krwi mają przedstawić córki wyznaczonego dnia o wyznaczonej porze. Oczywiście, wszystkie byłyśmy wniebowzięte jak owce z brzuchem wypchanym lucerną — każda z nas pewna, że zostanie wybrana, że jej dni wypełni dostatek i władza.

Jolanda usłyszała wezwanie i jej twarz pociemniała. Była wówczas brzemienna, jej brzuch pęczniał, czarna suknia zwisała w luźnych fałdach za plecami. Zamknęła drzwi za pełnym dobrych intencji heroldem i zakazała nam wszystkim

starać się o przyjęcie do terminu. Poprowadziła mnie kamiennymi schodami do wysokiej wieży, otulonej bluszczem i liliami białymi jak przybierające księżycy. Napała na ciężkie drzwi, które otworzyły się ze zgrzytem, wpuszczając nas do komnaty pełnej rozpadających się ksiąg i starożytnych zwojów. Pozostało w niej łożo moich narodzin i śmierci mojej matki, stojące naprzeciwko wysokiego okna, gładkie i śnieżnobiałe, jakby nigdy nie poznało smaku naszej krwi.

— Moja córko — zaczęła macocha głosem wody na rzecznych kamieniach — bo mam nadzieję, iż mogę zwać cię córką, jakbym dała ci życie w tej komnacie, gdzie zmarła twoja prawdziwa matka. Żałuję, że nie mogłam zaoszczędzić ci tych lat samotności. Moja własna krew, jak wiesz, nie dała wiele dobrego. — Wzruszyła ramionami, ze złością podnosząc oczy ku sufitowi. — Są śliczne i wychowałam je najlepiej, jak umiałam. Może byłam zbyt dla nich pobłażliwa. Dobrze wyjdą za mąż, żeby powiększyć nasze włości, ale choć będą dziedziczkami twojego ojca, nigdy nie zostaną moimi. To jednak nie znaczy, że chcę je ujrzeć w żelaznych obrożach, w drodze do brudnego czarnoksiężnika.

Furia zapłonęła w jej oczach jak ogniska w zimową noc. Nie napinając mięśni, nie wstając z krzesła, szybkim ruchem wskazała jedną z półek i ciężki, oprawny w szkarłat tom spłynął posłusznie do jej smukłej białej dłoni. Wstrzymałam oddech i wytrzeszczyłam oczy, gdy jej niewesoły, melodyjny śmiech wypełnił komnatę.

— Nie wiedziałaś? Wszystkie macochy są czarownicami. To nasze wynagrodzenie za to, że zawsze jesteśmy intruzami w domach innych kobiet. Żyjemy, córko moja, w nieopisanej samotności. Nawet on... — czułym gestem dotknęła brzucha —

nie zapewni mi spokoju. Zrodzę syna do uprawy roli i walki z niewiernymi, ale panią domu pozostanie twoja matka, ja zaś będę tu tylko komornicą. Cień twojej rodzicielki wszędzie mnie przyćmiewa. Zwę cię swoją córką i słowo to zamarza w powietrzu, złości ją nie do zniesienia. Lecz co może zrobić, nieszczęsna? Od dawna nie żyje, ja zaś cieszę się życiem. Cóрко, cóрко, cóрко — wyśpiewała gardłowo, jak gdyby rzucając wyzwanie w zatęchłe powietrze. — Przynajmniej pod tym względem możesz być moim prawdziwym i oddanym dzieckiem. Jeśli chcesz poznać czary, nauczę cię, nauczę bez obroży. Możesz poznać sekrety, które kryją się w tych księgach i w mojej piersi. Gdy zostaniesz niewolnicą w mężowskim domu, to pozwoli ci zabić czas.

— Ale dlaczego sprzeciwiasz się czarnoksiężnikowi? Czy magia, której uczą, nie jest tak dobra jak twoja?

Jolanda zgrzytnęła zębami.

— Myślałam, Magadin, że jesteś mądrzejsza. Czy nigdy nie wydało ci się dziwne, że czarnoksiężnikowi zależy na dziewczynie, podczas gdy inni biorą uczniów swojej płci, dziewczęta idą do kobiet, a chłopcy do mężczyzn? Albo że w ogóle chce ucznia, będąc niewolnikiem, douliosem, naznaczonym obrożą jako ktoś, czyja moc jest sprzedawana z ojca na syna, dopóki bodaj jej odrobina pozostanie we krwi? Nie może kiwnąć palcem bez przyzwolenia króla; są z sobą związani. Nie przehandluję mu żadnej z moich dziewcząt.

— A ty nie jesteś niewolnicą? Nie jesteś douliosem?

— Nie, moje dziecko, nie jestem.

I tak oto, przez tygodnie poprzedzające wyznaczony dzień, gdy jabłoniowe sady rodziły piżmowe jabłka winne, uczyłam się od niej powoli i kulawo. Głównie czytałam jej księgi. Rzadko

widywałam ojca czy przyrodnie siostry, odosobniona w wieży moich narodzin, z palcami poplamionymi inkaustem jak skryba, w sukniach coraz skromniejszych i mniej kolorowych, gdyż szybko mnie zmęczyły brokaty i wstążki, którymi zachwycaly się przyrodnie siostry. Kiedy urodził się mój brat, zostałam w wieży, rozczochrana i oprószona kurzem. Nazwali go Ismail; mnie to nie obchodziło. Po połogu macocha i ja razem spędzałyśmy długie godziny, chyląc głowy nad miksturami i przyjemnymi, drobnymi czarami. Byłam szczęśliwa. Wierzyłam, że prawdziwa wiedza przyjdzie z czasem.

W głębi zimy o niebieskich jęzorach nadszedł dzień czarnoksiężnika, dzień zapłaty za przeżyte szczęście.

Ukryłam się pod schodami, jak kazała Jolanda, a Imogena i Izaura znalazły kryjówkę w wysokiej szafie. Siostry obejmowały się ze strachu, tuliły do siebie jak drobne sarenki zostawione w gąszczu przez łanię. Nie wyciągnęły do mnie ręki, tylko gwałtownie zatrzęsły drzwi. Skuliłam się pod schodami. Miałyśmy nie piszczeć ani nie kichać, a Jolanda miała powiedzieć wysłannikowi, że jej córki przeziębily się i zmarły od mrozu. Zerkałam przez szczeliny w drewnie i słuchałam, jak macocha kłamie dla naszego dobra.

Przybył nie posłaniec, lecz sam czarnoksiężnik, wlokąc za sobą niebiesko-brązową szatę. Miał długie włosy, skręcone i szare, a na szyi żelazną obrozę, ciężką jak biżuteria szlachcianki. Zdawał się jej nie zauważać i trzymał drugą, podobną z ciężaru i barwy, w żylastej ręce.

— Trzy dziewczęta są w tym domu, tak? — zapytał władczo, patrząc znad ostrego nosa na moją macochę. Ona w rozpaczy skłoniła lśniącą głowę.

— Moje córki zmarły w czasie pierwszych śniegów. Choroba z zimna zagościła pod tym dachem, mam szczęście, że zachowałam najmłodsze dziecko, tylu zmarło...

— Och, zamilcz! — Jego głos ciął jej słowa jak statek pianistą falę. — Nie mam na to czasu. W tym domu są trzy córki i jeśli ich nie przedstawiś, sam je wywlokę z kątów. Słyszę dwie, chroboczą w wielkiej szafie jak wygłodniałe myszki. Chcecie wyjść, głodne myszy? Nie zrobię wam krzywdy, a gdy będziecie grzeczne, może dostaniecie smacznego sera.

Drzwi szafy otworzyły się z poskrzypywaniem. Niewiele można powiedzieć o moich siostrach ponad to, że były ciekawskie i głupie. Krygując się wyszły z kryjówki. Przytuliły się do siebie, wstydliwie wbijając oczy w podłogę.

Jolanda skłoniła głowę jeszcze niżej, niemal bijąc pokłony przed wysokim mężczyzną.

— Nie chciałam być nieuczciwa, musisz mi uwierzyć. — Zapłakała i szczerę łzy rozprysły się na kamiennych płytach. — Powiedziałam ci prawdę, mróz zabrał moją najstarszą córkę, która była wielce kochana w tym domu. Nie zniosłabym, gdyby te dwie, które mi pozostały, równie mądre, przyciągnęły twoją zaszczytną uwagę, nie mogę ich także utracić! — Macocha padła mu do nóg i czepiła się butów, z żalnym płaczem błagając o łaskę. Mogłabym się roześmiać, ale nie byłam tak głupia jak siostry.

Czarnoksiężnik chyba uwierzył, bo podniósł ją z podłogi i wytarł łzy z jej twarzy.

— Już dobrze, dobrze. Jesteś bardzo brzydka, gdy płaczesz, staraj się tego unikać. Pokaż te swoje owieczki. — Podniósł żelazną obrozę i Jolanda wzdrygnęła się lekko. — To prosta próba. Każda przymierzy obrozę i jeśli dopisze jej szczęście,

pójdzie ze mną, nauczy się wszelkich cudowności i będzie wieść życie, którego pozazdrości jej nawet królowa. Brzmi miło, prawda, dziewczęta?

Moje siostry pokiwały głowami, ale drżały ze strachu jak liście niesione po pustej ulicy. On podszedł do nich jak ujeżdżacz, który chce okiełznać konia, i długimi, bladymi palcami dotknął najpierw szyi Imogeny.

— Proszę, panie — szepnęła Imogena — nie chcę.

— Cóż, małe dziewczynki muszą robić to, czego nie chcą. Tak to już jest na tym świecie — powiedział krzepiąco czarnoksiężnik. Otworzył zatrask i założył jej szarą obrozę na szyję.

Obroża zwisała luźno na obojczyku, wiotka jak zwiędły liść kapusty.

— Widzisz? Nie było tak strasznie. Jesteś o wiele za słaba, żebym miał z ciebie pożytek. Następna!

Izaura omal nie zwymiotowała mu pod nogi.

— Błagam, panie — poprosiła. — Nie chcę.

Czarnoksiężnik tylko się zaśmiał i nie tracił tchu na odpowiedź. Zatrzasnął obrozę na jej smukłej szyi, miękkiej jak u łabędzia.

Obroża była tak ciasna, że Izaura ledwo mogła oddychać. Wtedy zrozumiałam, że wybiera żelazo, nie on. Obroża ścisnęła szyję jak pięść, aż moja siostra krzyknęła i zaczęła w rozpacz targać ją palcami.

Z sapnięciem irytacji, czarnoksiężnik zdjął obrozę jednym szybkim ruchem.

— Niech to będzie dla ciebie nauczką, kobieto. Kłamstwem niczego nie zyskasz, tak jak łyżką nie złowisz ryby.

Odwrócił się do odejścia i zobaczyłam, że Jolanda niemal słania się z ulgi. Ale moja siostra — och, Imogeno, ty mała zmijo! — moja siostra krzyknęła za nim:

— Zaczekaj!

Spojrzała na Izaurę, szukając poparcia, i zdawało się, że przez chwilę ma lepsze zdanie o sobie.

— Tak? Co masz do powiedzenia, skarbie?

Imogena pisnęła i nie mogła mówić. Izaura puściła jej rękę i wystąpiła do przodu, jakby chciała wyrecytować lekcję.

— Matka skłamała. Magadin nie umarła. Siedzi pod schodami, chowa się jak szczur.

Wierzę, że w tej chwili Jolanda mogłaby własnoręcznie udusić rodzone dziecko. Ale nie zaprotestowała; co mogła powiedzieć?

Izaura w radosnych podskokach przebiegła przez pokój i otworzyła drewniane drzwiczki komórki pod schodami.

— Halo. — zapiała.

— Jak mogłaś? — syknęłam.

— Mamy dość twoich fochów, twoich czarnych palców, twoich głupich sekretów. Nikt nie chce cię tu dłużej.

— Tak! — krzyknęła Imogena piskliwie. — Mamy nadzieję, że ta straszna obroża będzie na ciebie pasować, że odejdiesz stąd i nigdy, przenigdy nie wrócisz! Zasłużyłaś na to.

— Dlaczego? — zapytałam, wciąż skulona w kryjówce.

— Ukradłaś ją nam! — zawołała Imogena żalonym głosem nieopierzonego pisklęcia, które wypadło z gniazda. — Ona jest naszą matką, nie twoją, a ty ją nam zabrałaś! Byłyśmy szczęśliwe, zanim przybyliśmy do tego okropnego domu! A teraz ona ma następne dziecko zupełnie o nas zapomni!

Płakała gorzko, ale Izaura nie uroniła łzy. Chwyliła mnie za rękę i wyciągnęła z ciemności, rzuciła do stóp czarnoksiężnika. Dopiero wtedy obie z Imogeną ujrzały oczy matki, zimne jak szubienica. Imogena rozplakała się głośniej i błagalnie dotknęła mojego rękawa.

— Przykro mi, wybacz, spróbuj zrozumieć... — szepnęła.

Izaura pociągnęła ją na bok.

— Przymierz. Przymierz i zgnij, Magadin! — syknęła.

Wyprostowałam się przed czarnoksiężnikiem szczerzącym zęby jak kot z dżungli, który właśnie zjadł wyjątkowo tłustą nornicę. Podniósł obrożę, ale ja, czując na skórze palące oczy matki, odmówiłam pochylecia głowy.

Ściągnął suche wargi, podszedł, zatrzasnął żelazo na moim gardle z zatrważającą prędkością.

Obroża pasowała tak idealnie, że prawie nie czułam ciężaru. W sali zapadła cisza. Widziałam, jak Izaura uśmiecha się w rękaw. Czarnoksiężnik sprawdził zawiasy obroży i przekazał mnie swoim ludziom, wciskając Jolandzie w dłoń trzy srebrne monety.

Gdy wypchnięto mnie z domu, usłyszałam cichy łoskot — gdy moja macocha upadła na podłogę.

Opowieść leukrotty, ciąg dalszy

— Wiecie, jak to się odbywa — powiedziała panna-bestia. — Nie było żadnej nauki. Wcale nie zabrał mnie do pałacu, tylko zamknął tutaj i więzi już ponad pięćdziesiąt lat. Przychodzi co dwa tygodnie i zmusza mnie do picia wstrętnych mikstur, naciera maściami moje ciało, sprawia, że błyskawice palą moje żyły. Dzięki niemu wciąż jestem młoda i silna, nie chce oddać mnie w szpony starości. Przetrwałam dłużej niż inne, a on nigdy nie miał tak obiecującego materiału badań. Ale jego wysiłki nie przynoszą rezultatu i niebawem zawisnę na ścianie jak pozostałe, a on zacznie na nowo z jakąś inną panną. Będę zmuszona patrzeć na jej śmierć, jak one na moją.

Wiedźma ujęła podbródek bezradnej dziewczyny i starła jej łzy, jakby wymazywała obraz namalowany na płótnie. Uśmiechnęła się do niej, jej twarz zapłonęła jak ognisko w noc letniego przesilenia.

— Kiedyś mnie więził, chcąc odkryć te same sekrety, ma na ich punkcie obsesję. Uciekłam. Ty też uciekniesz. Nigdy nie pokładaj wiary w księciu. Kiedy potrzebujesz cudu, zdaj się na wiedźmę.

— Nie możesz nic zrobić — sprzeciwiłem się. — Jej już dawno nie ma; nawet ja to czuję. Zrzuć ją ze szczytu wieży i połącz kres jej niedoli.

Wiedźma tylko zachichotała, w głębi jej gardła wezbrał gulgot setki górskich potoków.

— Udaremnianie czarów tego człowieka, Bestio, jest moją specjalnością. Dorosłam od czasu naszego ostatniego spotkania, on zaś tylko tarzał się w brudzie i usiłował doskonalić swoje nieliczne umiejętności. — Urwała i jej oczy posmutniały, gdy zwróciła się do Magadin: — Obawiam się jednak, że nie zdołam wymazać z ciebie bestii. Nie mogę uczynić cię dziewczyną, jaką kiedyś byłaś. Nie można tego odczynić, gdyż przemiany zaszły za daleko. W dawnych czasach byłoby to możliwe, każda z moich matek dokonałaby tego bez trudu. Niestety, wiele się wydarzyło. Nie mogę umożliwić ci powrotu do plemienia dziewic, lecz możesz wstąpić do plemienia potworów. Będziesz żyć, będziesz ocalona.

Oczy panny-bestii zogromniały, przepełnione gorzkimi łzami.

— Ale cóż pocznę bez swojej urody? W takiej postaci nie wyjdę za mąż, a mój ojciec i macocha z pewnością już nie żyją. Jestem głupia jak w dniu, kiedy ją opuściłam; przez pięćdziesiąt lat nie nauczyłam się niczego, czym mogłabym się chlubić. Jestem dziewczicą zamkniętą w wieży, a dla tej smutnej rasy nie ma innego ratunku, jak czekać na księcia i zawisnąć na jego szyi niczym kotwica. Co innego mi pozostało?

— Nic — warknął głos z cieni. Usta jednej z głów ułożyły się w duże O nienawiści. — Jesteś teraz szkaradna, nikt cię nie zechce.

— Zostaniesz z nami, psia córko! — Dziobata głowa zakrakała śmiechem, mlaskając dziąsłami.

— Nadajesz się tylko do cyrku!

— Może na żonę dla wiejskiego kozła żrącego odpadki!

— Królowa much z kupy gnoju!

— Cesarzowa małp!

Głowy rechotały, pluły i warczały. Tylko kilka płakało bez słowa.

Wiedźma zmarszczyła brwi.

— Nie słuchaj. One już są martwe. Czarnoksiężnik dał im głos, żeby cię dręczyły, ale ich dusze dawno temu uciekły z tego świata.

— Nie jesteśmy martwe, mała wiedźmo! Wypróbuj gdzie indziej te salonowe sztuczki! Ona jest nasza! — Głowy znów zanosły się śmiechem.

— Dokąd mogłabym pójść? — zapytała Magadin żałośnie. — Jak mogłabym żyć?

— Bestia jest moim dłużnikiem — odparła wiedźma. — Zabierze cię nad morze, będziesz mogła pracować na kotwiczących tam statkach. A może popłyniesz do dalekich krajów, gdzie nikt za tobą nie trafi. Jeśli się nie mylę, Bestia uważa cię za bardzo piękną. — Uśmiechnęła się do mnie porozumiewawczo.

— Bezsprzecznie, moja gołąbko — odparłem z godnością — okrywająca cię sierść znacznie poprawia to, co widziałem spod wieży. Mam przyjaciół w portach Muireannu. Ze mną u boku nikt ci nie odmówi. Jesteś jedną z nas, a my jesteśmy dla siebie miłsi niż to żalosne plemię dziewczyc. Będę nad tobą czuwał.

Dziewczyna chyba przystała na ten pomysł. Jej oczy zapłonęły niczym żółte świece.

— Ale — zaczęła wiedźma — nie pójdziesz nigdzie w takim stanie, krwawiąca i połamana jak ptak, który spadł z drzewa.

Ujęła w dłonie twarz Magadin, wplatając palce we włosy barwy miodu o zmierzchu, i delikatnie przycisnęła wargi do jej ust.

Wszystkie mięśnie udręczonego ciała jakby się rozluźniły. Rany zadane przez kielkujące skrzydła zasklepiły się w okamgnieniu, pióra porosły rozdarte ciało. Ogon stał się zdrowy i puszysty, dzikie pazury trochę się skróciły, do cywilizowanej długości. Trzepoczące skrzydełka na końcach warkoczy stopiły się z resztą włosów, przyciemniając je do polerowanego brązu i zagęszczając w kaskadę lwiej grzywy. Nogi wyprostowały się lekko, dzięki czemu znów mogła chodzić, choć zachowały kształt zadnich kończyn łani, a rybie łuski nie zniknęły z łydek. Jej skóra przybrała bogaty, jednolity ton, pręgi na ciele pociemniały, stały się bardziej żywe. Razem wzięwszy, Magadin była teraz precudowną bestią, jej przemiana dobiegła końca, jednak na zawsze pozostać miała nieukończona. Nie posiadałem się z zachwytu.

Głowy zawyły z nienawiści i grozy, ich drwiny zlały się w tryskający śliną jazgot. Wiedźma odsunęła się od dziewczyny i obie spojrzały na siebie triumfalnie. Podeszły do mnie ramię w ramię, nie zwracając najmniejszej uwagi na szalejące głowy. Jeleni trucht zawsze miał wyglądać dziwnie, jak cudzoziemski taniec, ale Magadin się uśmiechała. Opuściliśmy wieżę szybko niczym lisy. Stanęliśmy na martwej jak śnieg trawie, gdy wieża zaczęła się trząść od narastających w jej wnętrzu wrzasków.

Nie oglądając się za siebie, wiedźma jakby od niechcenia machnęła lewą ręką w kierunku czarnego monolitu, gdy razem z Magadin wspięły się na mój grzbiet. Wieża zadygotała jak kaszląca starucha i runęła na ziemię.

W wieży

Z wizjami zdartej skóry i dziewic-potworów wirującymi w głowie jak odaliski z haremu, chłopiec zostawił cedrowy gaj i dziewczynkę, która teraz spała na sosnowych szpilkach, wyczerpana opowiadaniem długiej historii. Pomyślał, że widzi w gałęziach jasne oczy dzikich ptaków, jak perły nanizane na nici ciemności, czekających na jego odejście, żeby się nią zaopiekować.

Gdy bezszelestnie zakradł się z powrotem do pałacu, był przekonany, że dobrze się spisał — nawet książę nie mógłby być równie cichy. Ale gdy zamknął drzwi swojej sypialni, kosz z węglami rozbłysnął, bursztynowe światło bryznęło na ściany jak sok roztraskanego owocu.

Dinarzad siedziała wśród futer na jego łożu, obracając w palcach długie źdźbło słomy. Trzymała je wysoko, wciąż tłące się jak pochodnia.

— Ha! — zachichotała. — Nie miej do mnie pretensji. Ostrzegłam cię uczciwie. — Ruszyła szybko, jak pająk do muchy, chwyciła brata za rękę i powlokła po długich schodach. Bez jednego słowa wepchnęła go do małego pokoju w wieży i przekręciła klucz w wielkim zamku. Pokój był pusty, stało tu tylko maleńkie łóżko na kamiennych płytach omywanych wiatrem i muskanych szafirowymi palcami jutrzeńki, które wsuwały się przez okno.

Chłopiec krzyknął, zdjęty poczuciem niemocy, i ze złością kopnął nędzne łóżko. Pozwolił, by kilka wściekłych łez spadło jak ciosy na zimną podłogę. Teraz naprawdę utracił wszelką

nadzieję — na łóżku nie było nawet pościeli, z której mógłby ukręcić linę. Wyszło na to, że jest głupim dzieciakiem, uwięzionym w wieży jak oszpecona dziewczica, podczas gdy powinien wędrować po moczarach jak księżę. Wszystko było nie takie, jak trzeba, postawione do góry nogami, nienormalne. Chłopiec w niemym gniewie trzasnął pięścią w kamienną ścianę i natychmiast tego pożałował, pocierając posiniaczone kłykcie i walcząc ze łzami bólu.

Za drzwiami pokoju w wieży Dinarzad zamknęła migdałowe oczy i wzięła głęboki, urywany oddech, chrapliwy jak zgrzyt miecza przeciąganego po grubym łańcuchu. Wiedziała, że zostanie okrutnie ukarana za to, iż nie dopilnowała brata. Pręgi na jej plecach jeszcze się nie zagoiły po ostatnim razie, gdy dziecko uciekło z jej żłobka. Była jednak córką sułtana, a żadna amira o takiej pozycji nie pozwala, żeby ktoś zobaczył jej strach albo rany. Przepędziła łzy, schodząc po polerowanych stopniach z kluczem w fałdach szaty. Ale kiedy wsunęła się do swojego łóżka, zaczęła płakać bezgłośnie pod wilczymi futrami. Jej łzy wsiąkały w poduszkę niczym deszcz na śniegu. Nie pragnęła niczego, jak tylko przespać karę i zbudzić się w pałacu bez dzieci do pilnowania, bez biczów z kulkami ołowiu na końcach rzemieni, bez braci, którzy z niej szydzą i jej nienawidzą.

Kiedy dziewczynka się zbudziła i wielkie skrzydła odsunęły się od jej bladego ciała, zobaczyła, że ciemnowłosy chłopiec zniknął, a wówczas jej gorące, skryte łzy spłynęły na czarną ziemię.

Ta noc była pełna płaczu.

Nazajutrz wieczorem, gdy róża i płomień jęły dzielić się władzą na niebie, Dinarzad zaniosiła bratu kolację do wieży. Nic nie powiedziała, wyszła powoli przekręcając żelazny klucz w zamku. Chłopiec nie tknął jedzenia, choć był wygłodniały. Odłożył na bok trochę ciężkiego słodkiego chleba i cebuli, w próżnej nadziei schował jabłka jak złote ozdoby.

Wrząc gniewem, oparł się o ścianę. Próbował w myślach odtworzyć historię, ale wciąż się plątała, zlewała niczym akwarele. Zdawało mu się, że Orle Gniazdo ma dziwne oczy dziewczynki, i nie mógł przypomnieć sobie czegoś tak prostego, jak kolor skóry Bestii.

Stojąc na palcach, wyprężył się, żeby dosięgnąć parapetu okna i popatrzeć na ogród w dole, dojrzeć przynajmniej czub cyprysa, pod którym mogła leżeć dziewczynka. Wysokie drzewa stały przed nim jak gęsie pióra w kałamarzach, kołysząc się powoli na nocnym wietrze. I były piękne, ponieważ ona mogła odpoczywać pod jednym z nich.

Lecz nie odpoczywała. Stała w przystrzyżonej trawie u stóp wielkiej szarej wieży, patrząc na bezradnego chłopca oczyma ciemnymi niczym gardło sowy.

Dziewczynka patrzyła na niego w milczeniu. Wspinaczka po nierównych kamieniach i bluszczu nie wykraczała poza granice jej możliwości, choć na pewno nigdy dotąd nie słyszała o podobnym wyczynie. Przez chwilę rozgrzewała się świadomością, że chłopiec jej wypatrywał.

Kiedy zrobiło się zupełnie ciemno, wsunęła palce stóp w szczelinę pomiędzy kamieniami i zaczęła się wspinać.

Chłopiec usłyszał szuranie w bluszczu i pokrzywach, które otulały wieżę. Był podekscytowany, wiedząc, że dziewczynka się zbliża, ale też zawstydzony, że to znowu ona go wytropiła. Zdecydował, że powinien skoczyć. Złamana noga to nie taka tragedia.

Oczywiście, nie to miało znaczenie. Dziewczynka przybyła, co znaczyło, że musi trochę go lubić. Nie tylko chciała snuć swoje opowieści; najwyraźniej też za nim tęskniła. Ta myśl zapłonęła w nim jak oślepiające słońce. Zakłopotany, zgasił ją, pokazując dziewczynie zadowolone, a jednak pełne godności oblicze.

Kiedy wciągnęła się na parapet, lśniąc od potu, nie chciała wejść do środka, tylko przycupnęła w oknie jak na wpół oswojona papuga. Bała się — może jego, a na pewno przyłapania. On już został ukarany, ale gdyby ją znaleziono w pałacu, najpewniej zostałaby zabita. Oddech uwiązł mu w gardle, gdy to zrozumiał, i zdjął go podziw dla jej odwagi. Znowu okazała się lepsza od niego.

— Wiem... wiem, że chciałeś wysłuchać resztę opowieści... — szepnęła.

Po raz pierwszy chłopiec poczuł wstyd, jakby zabierał jej coś cennego i nie dbał o nic poza blaskiem łupu.

Mimo wszystko dziewczynka znowu zaczęła mówić i jej głos wypełnił pokój jak dźwięk miedzianego dzwonka. Chłopiec zamknął oczy.

Opowieść o księciu i gęsi, ciąg dalszy

— Dotrzymałem słowa — powiedział Bestia. — Gdy wiedźma zostawiła nas w Wąwozie, zabrałem Magadin do wioski Muireann i załatwiłem jej pracę żaglomistrza na wielkim statku. Wszyscy mówili, że sprawia się dość dobrze. W ten oto sposób została mi do spłacenia ostatnia część podwójnej ceny, którą wiedźma wyznaczyła za moje życie. Już chyba rozumiesz, że słowo honoru wiąże mnie do oddania skóry. Teraz mój dług jest spłacony.

Król Bagna splunął i parsknął głośno na swojej powietrznej grzędzie.

— Uważam to wszystko za ogromnie niesmaczne! — Oskarżył Bestię oczami, które błyszczały jak węgorze polujące na własne ogony. — Polubiłeś tę okropną ludzką kobietę! Uznałeś, że jest piękna! To wbrew naturze! Myślę, że ją kochałeś! Odrażające! Wiesz, że inne potwory nigdy się z tym nie pogodzą. Dziewica-bestia to jedno, ale ludzka kobieta? Myślę, że lubisz ją bardziej niż mnie. Nie przypominam sobie, żebyś kiedy zaproponował mi swoją skórę, nawet gdy chciałem ukatrupić tę wredną salamandrę, która dokuczała mi zeszłej wiosny.

Bestia z miejsca uderzył w pojednawczą nutę, trącając monarchę łbem i przy okazji smarując gęstą krwią jego szorstką brodę.

— Kurdupłu! Wiesz, że ciebie lubię najbardziej ze wszystkich. Postanowiłem zostać twoim dworzaninem, a

przecież mogłem wybrać kogoś innego. Ona była dla mnie niczym, przelotną miłością... — nawet nie miłością. Trafiła w mój smak estetyczny, to wszystko! Nie złość się. Nie bądź o nią zazdrosny, są poważniejsze zmartwienia.

Król Bagna trochę poweselał, lekko pociągając nosem. Nagle drgnął i szybko odsunął się od księcia.

— Cóż, chłopcze, proponuję, żebyś zabrał swoją zdobycz i, ujmując to grzecznie, zmiatał stąd czym prędzej. Sprawy stanu czekają, rozumiesz. Razem z leukrottą odeszli.

Leander został sam pośrodku bagna w przemoczonych spodniach i ze skórą, która zaczynała cuchnąć, jak gdyby od początku tego nie robiła.

Zbliżał się wieczór. Księżę, aczkolwiek z poczuciem winy, zdecydował, że skoro Eyvind i tak niebawem rozpocznie przygodę, jaką los ma dla niego w zapasie, w zasadzie nie musi wracać do tawerny, żeby mu o tym mówić. Co więcej, cokolwiek miało się stać, najpewniej już się stało. Postanowił, że wyśle gońca, gdy wyprawa się skończy.

To prawie uspiło jego sumienie.

I tak oto ruszył w powrotną drogę, odkrywając drugą prawdę o wyprawie: w tajemniczy sposób ścieżka do domu jest o wiele krótsza niż ta ku bohaterskim wyczynom. Słońce sunie po niebie jak po złotej poręczy, a ziemia wręcz skacze pod nogami. Przygody rzadko się zdarzają, jakby los chciał, żeby wierny, zwycięski księżę jak najszybciej trafił do łóżka po wykonaniu zadania. Wędrówka do chaty wiedźmy byłaby niemal przyjemna, gdyby nie wyrzuty sumienia i strach, który gryzł go w dołku jak stado wygłodzonych myszy.

Tak więc książę wrócił do chaty wiedźmy cały roztrzęsiony, ale miał przynajmniej te same ciężkie buty, które dał mu karczmarz. Wytrzymały trudy podróży; może nawet wymiana była uczciwa. Zapadła ostatnia noc pełni księżyca i ciemność leżała nad małą zagrodą Noża jak dłoń o grubych palcach. Wrzaskliwe gęsi ucichły, pług stał w półświetle gwiazd niby szkielet. Drzwi chaty były uchylone. Leander, ze zwiniętą skórą leukrotty pod pachą, schylił ciemną głowę i przestąpił próg.

Nie zastał Noża w przestronnej kuchni, gdzie węgle w palenisku żarzyły się uparcie, choć od dawna nikt ich nie doglądał. Znalazł ją za drugimi drzwiami. Leżała skulona na wielkim łożu, otoczona przez siwe gęsi, które tworzyły koc w kolorze fal na jej sękatym ciele.

Leander ukląkł cicho u jej boku i wcisnął w jej rękę czerwony tobołek.

Wiedźma chrapnęła i spojrzała na niego z grymasem.

— Wróciłeś. — Westchnęła, podnosząc się na swoim dziwnym puchowym łożku. Ptaki zrobiły jej miejsce, świdrując go tuzinami oczu. — Przypuszczam, że to czyni cię dobrym księciem, jak na księcia. Ale wcześniej przybyłeś. Księżyc wstaje dopiero godzinę przed świtem, jeszcze nie pora na ponowne narodziny mojej córki. I jest jeszcze jedna historia do opowiedzenia.

Przesunęła się, a gęsi wraz z nią, wyciągając długie szyje, tuląc się do niej na wszelkie sposoby. Srebrne skrzydła jak skrzyżowane ramiona okryły jej pierś.

— Pierwszą część opowiedziałam dla siebie, żebyś wiedział, co było. Drugą powiem dla ciebie, żebyś wiedział, co będzie.

Opowieść wiedźmy, ciąg dalszy

Nóż trafił celnie, ale nie głęboko. Czarnoksiężnik nawet nie podniósł ręki, by zatamować krew z rany. Cienka szkarłatna linia biegła pod jego brodą, nad krawędzią żelaznej obroży, lecz była tylko jedną z wielu na odsłoniętej skórze, grubej jak u wołu. Czarnoksiężnik jednym płynnym ruchem, jak podmuch wiatru pomiędzy wierzbami, chwycił rękę mojej babci, wykręcił nadgarstek i wbił nóż w jej brzuch.

Babcia stała bez ruchu, zaskoczona, patrząc na kościaną rękojeść sterczącą z jej ciała jak nowa kończyzna. Nagle się zakrztusiła i jasna krew trysnęła z jej pobielających ust. Osunęła się w moje ramiona. Czarnoksiężnik z orszakiem sług zniknął w małym pokoju za tronem, żeby opatrzyć płytką ranę.

Przez cały ten czas król nie odezwał się słowem, nawet nie drgnął, tylko patrzył z ciekawością sokoła. Ani na chwilę nie oderwał ode mnie swoich chłodnych oczu. Babcia leżała w moich ramionach jak dziecko. Uśmiechała się blado, a krew wciąż z niej płynęła, ciemna krew z głębi ciała, najpierw gęsta i czarna, potem srebrna i jasna, ciekąc po moich rękach, po moich kolanach jak strumyk słodkiej wody, aż przemoczyła mnie całą. Babcia podniosła rękę, rękę ociekającą światłem, i przyłożyła palce do moich ust, i światło spłynęło mi do gardła.

Wcale nie miało smaku.

— Widzisz? A jednak mogę cię napełnić. Jesteś teraz wszystkim, wszystkim, co z nas pozostało, skąpana w krwi i

świetle jak nasza dawno zmarła babka w tym strasznym namiocie. Jesteś dość silna, żeby nas pomścić. Niech moja śmierć będzie dla ciebie nauką.

Uśmiechnęła się, a był to tylko nikły cień uśmiechu, i wydała ostatnie tchnienie, które zagrzecotało w jej gardle jak suche fasolki w tykwie. Nic w niej nie pozostało; krew-światło wsączyło się we mnie, a ona była skorupą, dziurą, pustą przestrzenią.

Nie zapłakałam, nie chciałam, żeby widzieli moje łzy. Ujęłam grubą kościaną rękojeść, wyjęłam nóż z jej ciała i zacisnęłam go mocno w zakrwawionej garści.

A gdy spojrzałam na króla całego w klejnotach, przez chwilę widziałam za nim niewyraźną sylwetkę — parę czarnych oczu błyszczących wśród nastroszonego rudego futra.

Był to Lis. Śmiał się.

*

Nigdy się nie dowiedziałam, co zrobili ze zwłokami mojej babci. Uprzątnięto je z sali jak kuchenne odpadki, jak stos ogryzków i świńskiego sadła. Służba zdążyła wyszorować podłogę, zanim wrócił czarnoksiężnik z obandażowaną szyją.

Król nie odrywał ode mnie nieruchomego spojrzenia. Stałam przed nim w łachmanach, które niegdyś śniły, że są białe, unurzana w ciemnej krwi babci, z twarzą pokrytą smugami, jakbym szykowałam się do wojny albo zamążpójścia. Czarnoksiężnik odgarnął splecione siwe włosy z pomarszczonego czoła i zwrócił się do króla:

— W ten sposób została tylko dziewczyna, panie. Zabiorę ją do swojej wieży, jeśli wyrazisz zgodę.

Król uniósł jedwabistą rękę, odrzucając prośbę. Patrzyłam na niego twardo, gdy jego oczy błędziły po moim ciele, drapały mnie, próbując znaleźć wejście. Straszna żądza zbudziła się w jego sercu i widziałam, jak rośnie niczym najeżony dzik w głębi jego oczu.

— Masz swoją wieżę, Omirze. A ja mam swoją.

Jego głos, cichy i zupełnie zimny, był cuchnącym wiatrem w piórach martwej wrony. Zobaczyłam, że zrozumienie świta w bladych oczach czarnoksiężnika, coś, co ja chwyciłam w lot niby nowe ostrze, gdy tylko poczułam na sobie spojrzenie króla. Zapadła gęsta cisza, wszyscy troje rozmyślaliśmy gorączkowo, każde nad osiągnięciem własnego celu.

Wreszcie czarnoksiężnik przemógł się i przemówił szorstkim tonem, który uderzył mnie jak pięść.

— Panie, czy mogę pomówić z tobą na osobności?

Obaj odeszli w daleki koniec sali. Ale uszy mojego ludu są wprawne, więc słyszałam ich głosy wyraźnie jak parskanie konia na łące.

— Królu, możemy osiągnąć wszystkie nasze cele. Ty pragniesz wiedźmy. Ja pragnę mocy, którą przekazała jej babka. Dlaczego tylko zaspokajać żądze? Dlaczego nie miałbyś poślubić tego stworzenia?

Król milczał — niemal było słyhać echo tykania w krokwiach, gdy przeprowadzał swoje kalkulacje.

— Ale jest barbarzynką — rzekł wreszcie. — Wartą mojego łoża, nie korony.

— Panie, biorąc ją za żonę, pokażesz podbitym plemionom, że można ci zaufać, że jesteś dobrym i sprawiedliwym władcą — przekonywał czarnoksiężnik. — Zdobycie zaufania jest jedynym sposobem na uciszenie band tych dzikusów. Uczyń ją

królową, a będą cię za to wielbić. Nowy król traktuje uczciwie nawet potwory, będą szeptać. I wszyscy wiedzą, że kobiety z tych plemion są płodne jak krowy. Zasypie cię synami. Pokornie proszę tylko o jedno: w noc, których nie będzie spędzać z tobą, daj ją mnie, żebym mógł wyłuskać z niej, co mogę, zanim umrze za twoim czy moim staraniem. Pozwól, a opowiem ci coś, co wyklaruje znaczenie moich słów...

Opowieść czarnoksiężnika

Kiedys w dalekim królestwie — oczywiście nie dorównującym wspaniałością twojemu, panie — żył radża imieniem Indradžit. Był pięknym władcą, silnym i sprawiedliwym jak strzała w sercu złodzieja. Jego zwycięska ręka unosiła się nad polami i zagrodami niczym chmura, która przynosi błogosławiony deszcz. Nikt nie sprzeciwił się jego panowaniu i żaden głos nie podniósł się przeciwko rządóm tej najświętszej ręki.

On jednak pragnął zanieść światło i chwałę swoich prawych rządów do dalekich zakątków kraju, a ta ambicja jest ci nieobca, mój panie. Spoglądał za wielką rzekę, płynącą jak pas jedwabiu przez żyzne ziemie królestwa. I tak pewnego dnia ruszył na czele swej słynnej straży przybocznej, która, jak mówi legenda, wyrosła z ziemi, gdy w głębi lądu zabił gigantycznego odyńca i kły wypadły mu z ryja. Powstało wówczas stu czterdziestu czterech wojowników, odtąd zwanych Dentas Varaahasind, czyli Zęby Dzika. Bezgranicznie oddani Indradžitowi, który dał im życie, zabijając potwora, byli zaciekli i straszni, a ich wierność dorównywała nieskazitelnej bieli śniegu na zwłokach ofiary. Mieli tarcze z szerokich łopatek górskich dzikich świń, w owych czasach wielkich jak komnaty skarbcza radży, obciążali pancerze krwistoczerwoną skórą i nosili naszyjniki z długich, zakrzywionych kłów, z których się narodzili. Malowali twarze smołą i ostrzyli zęby kowalskimi narzędziami, żeby sam ich widok budził lęk równy temu, który wywołuje horda demonów krążących pod księżycem. Poddani uwielbiali radżę, jak być

powinno, ale żyli w śmiertelnym strachu przed Varaahasindami.

Pewnego lata Indradžit powiódł swoją wierną straż za skrzącą się rzekę do małego klasztoru, który pragnął zdobyć i wykorzystać jako przyczółek do rozszerzenia swych sprawiedliwych rządów daleko na południe. W świątyni stojącej w klejnoty pogańskiego boga węża służyły, co ciekawe, wyłącznie kobiety. Gdy ujrzały nadciągających Varaahasindów i usłyszały ich upiorny okrzyk bojowy, podobny kwikowi dzika przesytego włócznią, nie uciekły z piskiem, lecz skupiły się wokół wizerunku boga, osłaniając zielono-brązowy metal spowitymi w woale ciałami. Niektóre wprawdzie omdlały, zdjęte przemożnym lękiem, ale inne dzielnie podtrzymały je za ramiona.

Indradžit, wzruszony tym poświęceniem, nie rozplątał niewdzięcznych piersi i nie rzucił ciał swoim ludziom. Odciągnął kapłanki na bok i roztrzaskał posąg głowicą masywnego miecza, słynnego we wszystkich częściach świata jako niezwyciężony. Kobiety wciąż nie płakały, choć powinny, jak wypada czynić kobietom. Jedna z nich, o oczach czarnych jak bezświecna gardziel węża, spojrzała na wielkiego króla i rzekła:

— Źle uczyniłeś. Teraz do końca swoich dni będziesz chodzić z Jej klątwą, która rozsnuje się po ziemi niczym upiorna nić.

Indradžit był wzruszony ich oddaniem, jednak nie na tyle, żeby puścić płazem ten objaw braku szacunku. Rozkazał wyprowadzić kapłanki do lasu, obciąć im języki, żeby nigdy więcej nie mówiły do lepszych od siebie, i tam je zostawić, skazując na włóczęgę i żebry. Ale zaintrygowała go ta, która zachowała się tak zuchwale, a zwała się Zmieja. Jak każdy król,

pragnął pokazać krnąbrnej dziewczce należne jej miejsce w świecie.

A nadto w jego sercu wezbrała potężna żądza. Zmieja olśniewała urodą w swych białych woalach, jej czarne oczy były tak głębokie, że wydawały się wcale nie mieć źrenic. Jej włosy spadały poniżej talii w długich czarnych lokach i lśniły osobliwie w promieniach letniego słońca, jak gładka skóra salamandry. Była piękna bez skazy, najdrobniejszy rys ciała sięgał ideału. Nie spuściła tych niepokojących oczu z radzy, nawet gdy związał jej rękę i stopę. Zawiózł ją, przerzuconą przez nabijane miedzią siodło, do pałacu, żeby uczynić królową.

Była tylko jedną z tysiąca żon, oczywiście, i jeszcze liczniejszych nałożnic. Zaślubiając ją, Indradžit miał nadzieję na zaspokojenie żądzy i zjednanie przychylności jej boga, dlatego była dlań cenniejsza niż każda z tych nieszczęsnych klaczek, które spędzał do pałacu z całego kraju. Nie mógł jej ulokować w uperfumowanym haremie, żeby nie podbuntowała stada zniewolonych kobiet, dlatego wyznaczył dla niej osobny pokój, do którego można było wejść tylko przez jego sypialnię. Zanim Zmieja weszła do tej zamkniętej komnaty przemówiła do radzy po raz drugi.

— Zgodzę się na dobrowolne małżeństwo i przysięgnę nie walczyć z tobą w twoich murach. Urodzę ci siedmiu synów i siedem córek, którzy wyrosną na wielkich wojowników i piękności sławne w całym świecie. Odwrócę od ciebie gniew boga węża i ochronię twój dom. Ale musisz przystać na jeden warunek.

Indradžit płonął żądzą do tej kobiety o dziwnych włosach i drobnych stopach. Zdecydował, że spełni jej prośbę, jeśli dzięki temu będzie mógł osiąść ją bez walki.

— Trzeciego dnia każdego nowego księżyca będę mogła robić, co zechcę, a ty musisz przysiąc na ciało dzika, z którego wyrosli twoi wierni wojownicy, że nie spróbujesz mnie podglądać ani się do mnie zbliżyć. Nie obawiaj się, nie opuścę zamku ani nie podejmę próby ucieczki. Oto mój warunek i nie można go zmienić.

Radza wyraził zgodę głosem szkarłatnego aksamitu, a Zmieja nie odezwała się więcej.

Lata przemykały jak stada kosów w nocy, i rzeczywiście, dziwnowłosa kobieta urodziła siedmiu synów i siedem córek, wszystkich z tymi samymi czarnymi oczami i gęstymi lokami matki. Co więcej, zdawało się, że nie mają w sobie nic z ojca, że w ich żyłach płynie wyłącznie krew Zmiei, która się nie starzała ani nie traciła urody. Nawet gdy dzieci dorosły zdrowe, dorodne, urodziwe wyróżniała się pośród nich jak słońce w otoczeniu świeczek.

A król dotrzymywał słowa. Zajmował się ujarzmianiem kontynentu i sprawami stanu. Ale gdy każde z dzieci stawało się coraz mniej podobne do niego, narosło w nim podejrzenie, że żona spędza noce nowego księżyca na zdradzie i grzechu. Ostatecznie była poganką, zupełną dzikuską. Nie powinien jej ufać. Siniał ze strachu, chorował ze strachu, aż w końcu dłużej nie mógł się powstrzymać i postanowił, że w czasie następnego nowiu będzie szpiegował swoją barbarzyńską żonę i przyłapie ją na gorącym uczynku.

I tak zrobił. Nie było to trudne, bo przecież jej komnata sąsiadowała z jego sypialnią. Zakradł się korytarzem bezgłośnie

jak doświadczony skrytobójca i przyłożył oko do szczeliny w drewnianych drzwiach.

Zobaczył wizję ze snu demona. Pokój, skąpany w chorobliwym świetle umierającego księżyca, był pełen wijących się węży, czternastu węży o dziwacznej skórze, pobłyskującej purpurą, błękitem i zielenią. Ich sploty, grube jak męskie ciało, mieniły się kolorami tęczy, opalizowały niczym skrzydło ważki. Sycząc w jakimś niedającym się nazwać języku, węże sięgały wysoko w górę po kamiennych ścianach. Zdawały się karmić martwym światłem nocnego nieba, gdy pląsały w tym strasznym tańcu.

A pośrodku tańczyła królowa węży tak wielka, że pozostałe wyglądały przy niej jak przynęta na wędce dziecka. Grubości kolumny pałacu, błyskała wszystkimi barwami strumienia o zachodzie słońca, jarząc się białym ogniem. Jej pozbawione źrenic oczy lśniły nieskończoną czernią. Gdy dostrzegła w szczelinie ciekawskie oko Indradżita, drzenie przebiegło przez jej długie ciało, a z gardła wyrwał się wrzask podobny zgrzytowi ostrza po bryle granitu.

— Zdrajca!

Zamigotała, jakby przysłoniła ją fala gorącego powietrza, i znów stała się długowłosą Zmieją, a mniejsze węże odzyskały postacie siedmiu synów i siedmiu córek. Wszyscy patrzyli oskarżycielsko na radzę, w ich oczach płonął zimny ogień nienawiści.

— Przysięgłeś! — krzyknęła Zmieja, otwierając drzwi z siłą, która wstrząsnęła murami. — Przysięgłeś, że czas ten należy do mnie. Teraz wszystko dla ciebie stracone, przeklęty Indradżicie. Wdarłeś się do mojej świątyni i obróciłeś ją w niwecz, rozpasany jak żarłok, który ma dla siebie całego piezonego

byka. Zabrałeś mnie w szorstkich więzach do tego pałacu z mrocznymi pokojami. Nie prosiłam o nic więcej tylko o jeden dzień w miesiącu bez twojego cuchnącego świńskiego oddechu na karku. Dałam ci dzieci...

— Demony! — ryknął przepęnliony grozą.

— Dzieci! Moje dzieci, moje piękne pisklęta. Nie poświęciłeś chwili na zbadanie charakteru naszego zakonu, zanim nas zniszczyłeś. Ja nie czczę boga węża — ja jestem bogiem wężem! Zamieszkiwałam w niebie, kiedy ziemia była tylko powietrzem. Raz w miesiącu wracam do dawnej postaci, by kąpać się w tym nikłym, dalekim świetle, a moje dzieci czynią to wraz ze mną, bo dotykasz mnie i dotykasz, zabierając mnie ze mnie, i nie zostało mi nic, czym mogłabym je karmić. Dałam ci lęg półbogów, — Indradżicie, którzy zapełniliby tysiąc ksiąg swoimi czynami. Teraz są niczym, a ty jesteś przeklęty.

Rzeczywiście, dzieci jakby płowiały, gdy łzy spływały po ich policzkach. Ich ciała stawały się coraz przejrzystsze, aż w końcu całkiem znikły, jakby uniósł je podmuch okrutnego wiatru.

Zmieja patrzyła za nimi ze straszliwym żalem.

— W tym wieku są delikatne niczym pajęczyny w kątach sali biesiadnej. Tak rzadko miewamy dzieci, że prawie nie wiemy, jak utrzymać je przy życiu. Bardzo się starałam, ty zaś zostawiasz mnie z niczym. Giną tak łatwo, jak bańki mydlane pękające w słońcu. Dziura jest tylko pustą przestrzenią, a ja nie mogłam ich napełnić, nie mogłam tego zrobić. Gdy karmienie zostaje przerwane, gdy są trzymane z dala od światła niebamatki, rozwiewają się jak poranna mgła nad rzeką. Zabiłeś wszystkich swoich najlepszych dziedziców, radzo. I ściągnąłeś zgubę na własną głowę jak dziecko żółty latawiec.

To rzekłszy, rzuciła się na niego, wracając do wężowej postaci. Ale Indradżit dał znak swoim ludziom i dwunastu Varaahasindów stanęło u jego boku. Kapitan ściął ciężką głowę węża czystym uderzeniem miecza.

Z rozkazu radży tej nocy wyprawiono wielką ucztę dla straży przybocznej. Ciało ogromnego węża odarto ze skóry, pocięto na dzwona i posłano do gwarnych kuchni. Każdy z ludzi zjadł kawałek soczystego mięsa, żeby Zmieja nigdy nie mogła powrócić, wlokąc za sobą zgubne przeznaczenie. Indradżit wybrał dla siebie jej spuchnięte serce, żeby wchłonąć siłę boga węża i objąć swą władzę zamorskie kraje.

Opowieść wiedźmy, ciąg dalszy

— Widzisz — rzekł przymilnie czarnoksiężnik — ponieważ Indradzit pojął wroga za żonę, mógł w końcu przejąć moc węża. Uczyń ją królową i odstępuj mi raz w miesiącu, jak Zmieję, a obaj będziemy zajadać się do syta wszystkim, co tylko w sobie mieści.

Znów zapadła długa, pełna kalkulacji cisza. W końcu zapadki i bębny w głowie króla przestały się obracać, wyliczywszy możliwe do przyjęcia równania. Król już się przychylił do propozycji Omira.

— Ale nie mogę poślubić jej z twarzą zeszpeconą farbą i bliznami rzekł. — Nie przystoi, żeby taka maskara udzielała ze mną audiencji.

— Rozumiem. Mnie też pociąga jej moc, nie ciało. Dzicy ludzie są, oględnie mówiąc — pociągnął nosem — zbyt wonni i niezgrabni. Ale to żaden kłopot, zmienię ją w taki sposób, że dla wszystkich, nawet dla ciebie, będzie piękna niczym wschodzące słońce. Przynajmniej tyle się nauczyłem.

Król popatrzył na mnie przez długą salę z kości słoniowej.

*

Świtało, gdy znowu mnie przenieśli, tym razem do komnat czarnoksiężnika, który związał mi rękę i stopę krzyżującymi się linami i wcisnął knebel w moje usta. Leżałam na zimnej podłodze, patrząc na stoły pełne ksiąg i świec, które pogasły

dawno temu, zalewając woskową krwią stronice. Omir przygotowywał jakiś cuchnący wywar w szklanym kociołku, niewątpliwie chcąc przeobrazić mnie w jakąś sprzeczną z naturą bestię. Próżno się zastanawiałam, czy babcia czuła lęk, gdy zaszła w niej przemiana. Nie mogę powiedzieć, czy ja się bałam — moja krew się burzyła, ale byłam spokojna jak podziemne jezioro.

— To dla mnie piękna pora, Nożu. Głupi król chce się z tobą parzyć niech mu będzie. Wątpię, czy sprawi ci to przyjemność. Ale jeszcze mniej spodobają ci się moje karesy. Ubiłem lepszy targ.

Ściągnął wąskie wargi, gdy głęboka czerwień wezbrała w kociołku.

— Po tak długim czasie i po tylu bezużytecznych kobietach kalających moją piękną wieżę spadłaś mi prosto z nieba z wiedzą, jakiej potrzebuję do ukończenia pracy. Coś takiego sprawia, że człowiek wierzy w opatrność. Prawie. — Postukał w fiolkę z wrzącą gęstą miksturą, pachnącą gnijącymi polami tytoniu. — Zmiana, moja mała barbarzynko, jest naturą wszechświata. Ten, kto kontroluje proces przemiany, jest bliski bogom w swej potędze i chwale. Metamorfoza jest najważniejszym z aktów. Bez niej nic nie wyrośnie, nic się nie rozwinie ani nie rozszerzy. Ale czy mam biernie czekać, aż natura obierze swój żałośnie powolny kurs, naginając mnie swojej woli? Niedorzeczne. Odkąd pobrałem nauki w Południowych Królestwach, pragnąłem zapanować nad własnymi zmianami. Zachowałem życie i siłę, choć służyłem staremu królowi przed obecnym panem, a wcześniej samemu radzy. Przez wszystkie te lata próbowałem odkryć tajemnicę, czy mogę się zmienić wedle własnych planów. Umysł,

rozumiesz, musi panować nad ciałem. Kształtowanie postaci wedle własnej woli jest domeną bogów, a ja dzięki tobie, moja mała wilczyco, stanę się jasny jak każda Gwiazda. Wszystko sprowadza się do władzy. Kto ją ma, a kto jej nie posiada. Czarnoksiężnik wrzucił garść zmiętych ziół do wrzącej mikstury i odwrócił się, żeby spojrzeć na mnie z zimnym blaskiem w bezdennej głębi oczu.

— Oczywiście, gdy ktoś nie zdradza naturalnych chęci, trzeba uciec się do sposobów mniej... eleganckich. — Złapał szczura drepczącego po podłodze, wyrwał cztery zęby z wijącego się ciała i wrzucił je do kociołka, gdzie zatonęły z sykiem. — Król na przykład chce wierzyć, że jest potężny i panuje nad swoim przeznaczeniem — w końcu to pragnienie wszystkich istot. Ale ja rządę jego poczynaniami, jakby był lalką w rękach cherubinka. Pamiętasz historię, którą mu opowiedziałem? Poznał tylko — połowę — połowę, której potrzebował, żeby przekonać się do zatrzymania ciebie. Chciałem, żebyś znalazła się tutaj, dlatego powiedziałem mu tyle, żeby go pchnąć do działania. Chcesz posłuchać, co było dalej?

Skuliłam się żałośnie i jęknęłam przez brudną szmatę, która kneblowała moje usta.

— Oczywiście, że chcesz. Wysłuchasz, co mam do powiedzenia, prawda? Na czym to stanęliśmy? Aha, tak, martwa Zmieja spoczywała wygodnie w stu czterdziestu pięciu żołądkach...

Opowieść czarnoksiężnika, ciąg dalszy

Pałac Indradżita Straszego spał spokojnie tej nocy, śniąc przesiąknięte krwią sny o szlachetnych mordercach. Kiedy jednak brzask pękł niczym szyba w oknie nad stalowozębnymi górami, stała się rzecz dziwna.

Varaahasindowie, siewcy śmierci, jęli popadać w obłęd.

Zrazu nikt niczego nie spostrzegł. Żołnierze zawsze zachowywali się po barbarzyńsku, zdobiąc swoje chaty kończynami zarżniętych dziewczic, malując twarze dziczą krwią. Ich szaleństwo musiało być silne jak para wołów, żeby się odróżnić od zwyczajów codziennych.

I tak się stało, że tego ranka znaleziono porucznika w kąpielni, spokojnie golącego bogato zdobioną brodę, która zakrzywiała się ku obojczykom jak szable wielkiej świni. Ciął ją starannie ostrzem miecza, unicestwiając symbol swojej wspaniałej męskości. Golenie dumnej brody, sprzeczne z kodeksem Varaahasindów, karane było śmiercią przez wypędzenie na bezludzie — a jednak ten mężczyzna usuwał zarost do czysta, przemieniając ową twarz w buzię dziecka, gładką jak księżyc.

W następnym tygodniu kapitan śpiewał dziwny psalm bez słów, pełen okropnych głosek, siedząc w wannie z kości słoniowej pełnej węży po złocone zręby, oplatających go w gadziej ekstazie.

Wreszcie trzeciego dnia nowego roku zastępca dowódcy straszliwych żołnierzy utracił zdolność mowy. Pluł i syczał

obleśnie, jego ciało prężyło się z wysiłku wypowiedzenia choćby jednej najmniej syczącej sylaby. Kiedy nadworny medyk uspokoił biedaka na tyle, żeby otworzyć mu usta, ujrano rozwidlony język.

Po tym zdarzeniu król i wódz Varaahasindów zaczęli lękać się o własny rozum. Przywołali do siebie pewnego maga, każąc mu ujawnić źródło zagadkowej choroby.

Byłem wówczas młody. Dopiero co włożyłem obrożę pod Indradżitem. Po raz pierwszy byłem nie tylko Omirem ryjącym ziemię na polu w poszukiwaniu korzeni. Stałem się Omirem Douliosem i jeśli inni pluli tym słowem jak przekleństwem, ja chlubiłem się nim niby złotą koroną. Oznaczało, że jestem więcej niż kartoflem, rzepą czy żukiem w powalonym błocie. Nawet niewolnik jest lepszy, nawet niewolnik przechodzący z pana na pana, dopóki nie wyzionie ducha. Nosilem żelazną obrożę jak lekki naszyjnik. Ścisnęła moją szyję od brody do piersi, symbol mojego poddaństwa, polerowany co rano na wysoki połysk, lśniący jak miecz przyłożony do gardła. Nie wolno mi było parać się czarami inaczej, jak tylko w służbie Indradżitowi, i nawet wtedy nie bez nadzoru innych mistrzów magii, jakbym był pospolitym szewcem. To jednak było lepsze niż rozmiękczony pasternak i rozmamlana żona. I tak, gdy pierwszy raz stanąłem przed Tronem Zębów, podniecenie szumiało mi we krwi po długich miesiącach nudy i marnotrawienia talentu.

— Omirze Douliosie, najniższy z niewolników, stoisz przed nami, żeby rozwiązać zagadkę obłądu, który nęka moich ludzi. Prędkość, z jaką wywiążesz się z zadania, bezpośrednio zadecyduje o długości twojego żywota, gdy odejdziesz sprzed

naszego majestatu — oznajmił Indradžit stanowczo, nie czekając na mowę wstępną, którą skrupulatnie przygotowałem.

Korona z szabel dzika błyskała i strzelała iskrami w blasku pochodni, aż ćmiło mi się w oczach. Może to i lepiej, pomyślałem. Bo oczywiście już się domyśliłem przyczyn choroby, wszak byłem najmądrzejszy spośród wszystkich moich braci i sióstr w niewoli. Miałem smaczny kąsek, mogłem pomachać nim pod świńskim nosem radży i zyskać to, czego pragnąłem najbardziej.

— Wielce szlachetny królu — zacząłem szybko — mogę już teraz odgadnąć zagadkę, nie szukając rady księgi czy wyroczni, jeśli nagrodzisz mnie tym, o co poproszę.

Widziałem, że gniew monarchy szykuje się do wybuchu z gwałtownością równą mojemu zuchwalstwu, ale strach wygrał bitwę w jego piersi. Król skinął głową na znak zgody, która nie mogła być cofnięta.

— Rozwiązanie jest proste. Zabiłeś i zjadłeś Gwiazdę, jedną z tych, które pospólstwo nazywa bogami. Obecna w tobie i w twoich ludziach, próbuje odzyskać utracone prawa, z powrotem przybrać kształt Wielkiego Węża.

— I o co prosisz w zamian za to proste rozwiązanie?

— O wolność, królu, o cóż by innego?

Czoło Indradžita zmarszczyło się jak pole po burzy, a gdy odpowiedział, jego głos zgrubiał ze złości.

— Daliśmy słowo i nikt go nie złamie. Ale za taką nagrodę musisz dać nam również lekarstwo na raka, który nas toczy, musisz położyć kres złościwości naszej byłej małżonki.

Zadrzałem, nie mogłem bowiem wyznać, że ta przekracza moje możliwości. Głupi król popełnił zbrodnię i nie mógł uniknąć kary. Gdyby naradził się ze mną przed zjedzeniem

swojej żony, zaleciłbym mu znacznie bardziej wymyślne tortury, za które nikt by go nie winił. Karanie zawsze było moją specjalnością.

Przeprowadziłem szybkie kalkulacje. Najważniejsze w tej chwili wydawało się dać mu coś, cokolwiek, wskazać ścieżkę do podążenia. Mój pan Indradżit nie wiedział, co począć bez jasnego planu, bez rozkazów skreślonych na pergaminie inkaustem z oleju i zmielonych szafirów. Nigdy nie cechowało go oryginalne myślenie i jedyne plany, które miały dla niego sens, dotyczyły wielkiego rozlewu krwi, nigdy własnej. Mając na uwadze te zmienne, wpadłem na pomysł, który miał pewne szanse powodzenia, a co ważniejsze, mógł przemówić do jego serca, opitego jak zawsze najczarniejszym winem wyciśniętym ze zgniłych winogron.

— Mój wielce szlachetny panie, Zmieja ukryta w waszych wnętrzach wpadła w ślełą furję i chce ukarać kanibali, a fragmenty jej dawnego ciała oddzielone są tylko przez cienkie powłoki mięsa. Jeśli jednak skażesz na śmierć swoją wierną bandę, strzęp Zmiei, który masz w sobie, z pewnością uśnie, pogrzeży się w hibernacji, a wówczas twoje potężne i sprawiedliwe rządy trwać będą bez żadnych przeszkód.

Radza milczał przez długi czas, jakby zapadając się na swoim wielkim emaliowanym tronie wysadzonym zębami licznych stworzeń i klejnotami ciemnymi jak krew podbitych ludów. Jego szeroka twarz zmieniała wyraz w dryfie tektonicznym rysów, gdy rozmyślał nad zamordowaniem tylu ludzi. Byłem pewien, że trapi go nie liczba, ale pytanie, czy poddadzą się doraźnej egzekucji. Nie byli wieśniakami i tylko on wiedział, za sprawą jakiej podziemnej alchemii powołani zostali do życia.

Wreszcie przemówił, a jego głos kojarzył się z trzaskiem zamykanego marmurowego grobowca.

— Pchnij posłańców, Omirze Douliosie, niech ludzie zbiorą się w Sali Głosów. Przemówię do nich o zachodzie słońca.

Na tym zakończyło się posłuchanie. Miałem wolność niemalże pod ręką. Nie wyglądałem nocy tak niecierpliwie od czasu, gdy jako dziecko w ramionach matki czekałem na zimowe święta, z trudem hamując radość na myśl o drzewach obwieszonych złotymi lampionami.

Noc nadciągnęła jak wszystkie inne noce. Stu czterdziestu czterech żołnierzy posłusznie zgromadziło się w ogromnej Sali Głosów, gdzie szepty były wzmacniane do ścinających szpik wrzasków. Przyszli w rynsztunku bojowym, może przeczuwając, że to będzie pamiętny wieczór. Dzicze kły kołysały się swobodnie na ich muskularnych karkach i skórzanych napierśnikach, niektórzy nawet przebili nimi nosy i uszy. Każdy miał pelerynę ze świńskiej skóry, wygotowanej i wygarbowanej na brzydki odcień sparzonego różu. Pomalowali twarze łojem i smołą, wczesali krew we włosy. Utworzyli równe szeregi przed Indradżitem, który siedział przed nimi na podwyższeniu — ja stałem tuż za nim — spokojnie i łaskawie patrząc na ich grubo ciosane rysy.

— Nasi najwierniejsi słudzy, zawsze najbardziej umiłowani wśród naszych niewolników — zaczął, w ojcowskim geście wyciągając ku nim ramiona — strach podązał naszym tropem jak zwinny ogier. Ale znaleziono antidotum na szaleństwo, które was opadło, i przybyliśmy tutaj tej nocy, żeby lek zaordynować.

Nie jestem pewien, co zamierzał zrobić, i nigdy się nie dowiedziałem, albowiem jego ludzie nagle zamarli, jakby

przeszyci czarną błyskawicą, ich mięśnie stężały, twarze wykrzywiły się w grymasie okropnego przerażenia, które mogło graniczyć z ekstazą. Stu czterdziestu czterech żołnierzy jak jeden mąż rozdziawiło usta szerzej, niż może zrobić to człowiek.

Rozbrzmiała straszna symfonia, gdy szczęki pękły, a głowy zadarły się do tyłu. Stu czterdziestu czterech ludzi przemówiło jednym głosem, jednym strasliwym głosem, który wydarł się spod ziemi, wlokąc za sobą góry, i tłukł po sali jak wypuszczona strzała.

— TYLKO ŻYWI MOGĄ ZOSTAĆ ULECZENI. JA JESTEM MARTWA. SPÓJRZ NA MNIE TERAZ, MAŁŻONKU. CZYŻ NIE JESTEM PIĘKNA? CZYŻ NIE JESTEM SILNA?

Indradżit z początku nie pojął, zbladł jak niewiasta i ze zgrozą poderwał się z tronu.

— Co to za czary, czarnoksiężniku? Co zrobiłeś?

— To nie ja, Wasza Wysokość — wydukałem, pomagając mu utrzymać się na nogach.

Strasliwy głos wybuchł ponownie z rozdartych ust:

— NIEMĄDRY CHŁOPCZE NA BLASZANYM TRONIE! JA JESTEM WSZYSTKIM, CO TYLKO MOŻLIWE. MYŚLISZ, ŻE STRAWIĄ MNIE PŁOMIENIE ALBO BRZUCHY LUDZI? ALE CIEBIE UNICESTWIĘ Z ŁATWOŚCIĄ.

Nagle ciała żołnierzy okropnie się zatrzęsły, ich kości zagrzechotały jak bębny. Z poszarpanych szczęk buchnęły snopy światła nie do opisanego, czarne, blade i zielone, jakby płonęło powietrze. Snopy splotły się, skręciły w potworną kolumnę. Gdy ostatni strzęp blasku opuszczał Varaahasinda, ciało dygotało i umierało, znikając w zębie, z którego się

zrodziło. Klekot kłów spadających na mozaikową podłogę odbijał się echem od ścian sali, a kolumna rosła.

Indradżit zadrżał. Bezradnie trzymał się za brzuch, wiedząc, że są w nim szczątki małżonki, że nie ma przed nią ucieczki. Wąż ze światła piętrzył się nad jego głową ślepy, ale świadomy. Radża padł przed nim na twarz, bezmyślny głupiec, i błagał o łaskę. Zmieja znów przemówiła i tym razem jej głos, jako że był nie zawarty w licznych ciałach, stał się miękkim sykiem wiatru i gasnącego płomienia.

— Dałabym ci świat cały, gdybyś tylko był lepszym człowiekiem.

Światło spowilo radzę i wniknęło w jego ciało, rozpuszczając kości w krew, a kiedy je opuściło, została tylko korona obracająca się niemo na tronie, wszystkie jej żółte kły spalone były na czarno.

Samo światło jak gdyby przystanęło i spojrzało na mnie, cała jego pusta groźba skupiła się na moim sercu. Przez chwilę się bałem, że nie zostanę oszczędzony, choć nie brałem udziału w tej koszarnej uczcie. Stałem jak zamrożony przed tą na wpół kobietą, przepełniony wrażeniem, że ona wpatruje się we mnie przez tysiące nocy.

Nagle w Sali Głosów rozbłysło drugie światło i pierwsze natychmiast o mnie zapomniało. Białe macki wsunęły się przez malowane okna jak kolumny złota i to nowe światło było tak potężne, że nie mogłem na nie patrzeć. Wypełniło salę zasłaną kobiercem połamanych zębów, jakby miało ciężar, niczym woda powoli wlewana przez szyby. Ale zgasło równie nagle, jak się pojawiło, i przed węzłem z białego dymu stał mężczyzna w bieli, dzierżąc jasną włócznię, z bezbarwnymi włosami spływającymi na plecy. Z czułą miną otworzył alabastrowe usta,

a wówczas pomiędzy nim a węzową kobietą przemknął mały, tajemny promyk blasku, miękki jak gwiazdy na wiosnę.

Kiedy mężczyzna zamknął bezkrwiste wargi, wąż zniknął. W jego miejscu stała Zmieja, choć zupełnie inna. Była twarda i czysta, jak gdyby wycięta ze szkła. Wielkie onyksowe bransolety w kształcie niespokojnych węży otaczały jej ręce od ramion po przeguby. Miała na sobie tylko tę ciężką biżuterię i diadem: jej głowę otaczał smukły wąż, którego skóra miała zbyt wiele barw, żeby je zliczyć — a jednak barwy te były blade i stonowane, jak malowidło zbryzgane wodą.

Nie mówiąc do mnie ani słowa, blady mężczyzna podniósł jej sztywne ciało i wyniósł z sali.

Opowieść wiedźmy, ciąg dalszy

— Rozumiesz? — zapytał czarnoksiężnik. — Ktoś cichy i cierpliwy, w końcu może wyrzucić zemstę. Król jest równie głupi, jak nieokrzesany, i kiedy będę miał to, czego chcę od ciebie, zastanowię się, czy wyświadczyć ci łaskę i pozwolić, żebyś go zabiła, uwalniając mnie ze służby jak śmierć Indradżita. Knuj swoje plany w ciemności, bo ciemność jest wszystkim, co posiadasz.

Odwrócił się od stołu z kubkiem gęstej cieczy, teraz zielonej i czarnej jak spleśniałe mięso. Uśmiechał się, a ten uśmiech mógłby być czuły lub dumny, gdyby widniał na twarzy kogoś innego. Czarnoksiężnik chwycił mnie za włosy i wyrwał knebel z moich ust. Wlał mi miksturę do gardła. Smakowała żółcią i zgniłymi kwiatami — może różami — i miała mroczny, stęchły posmak, który mógł być potem jakiegoś nienazwanego zwierzęcia.

Gdy tylko spłynęła we mnie, kotłując się w żołądku, rzucił mnie na podłogę i patrzył z ciekawością kota, który obserwuje mysz świadomą, że zaraz zostanie pożarta. Z krzykiem poderwałam rękę — straszna złota chmura przysłoniła mi oczy, a moja skóra rozpadała się jak stronice jego plugawych ksiąg. Uklękałam na podłodze i zwymiotowałam dwa razy, wciąż wrzeszcząc w kamienie. Nie wyciągnął pomocnej dłoni, tylko patrzył, jak coś kradnie moją skórę.

W końcu zemdlałam. Kiedy wróciła mi przytomność, trzymał wielkie zwierciadło z okrutnym uśmiechem zwycięstwa na wąskich wargach.

W rzeźbionym lustrze stała wysoka kobieta. Włosy koloru młodej pszenicy spadały w lśniącej kaskadzie, sięgając poniżej talii, wielkie szare oczy przypominały kałuże czystego deszczu, mleczna skóra nie miała najmniejszej skazy. Byłam smukłą, moje piersi wznosiły się wysoko, strzeliste i pełne, i nigdzie nie dostrzegłam węzła ani liny mięśni — byłam słaba i miękka jak jagnię przy cycku.

— A teraz — wymruczał czarnoksiężnik jedwabistym głosem — nazwiemy cię królową. — Widząc moją minę, wybuchnął śmiechem. — Nie chciałem, aby mój król legł z barbarzynką! Jestem mistrzem przemiany! Teraz ciebie taką piękną, można pokazać tłumom. Teraz nie możesz wrócić do swojego ludu, bo nikt cię nie rozpozna. Należysz do nas. Będziemy zwać cię Helia po wielkim słońcu, które wędruje po niebie i błogosławi panowanie naszego króla.

— Nie możesz odebrać mi imienia, niewolniku — powiedziałam cicho, dotykając włosów. Nigdy takich nie widziałam, może tylko w grzywach złotych koni mojej młodości.

— Królowo, zabrałem je.

*

Spędzałam noce z królem i jego bezdźwięcznymi okrucieństwami — bo rzadko odzywał się do mnie po naszych spiesnych zaślubinach w świątyni, której nie umiem nazwać, kiedy to zamiast włożyć mi obrączkę na palec, otoczył moją

talię pasem ze złota i jaspisu; wydawał się zdumiony, że idealnie pasuje.

W inne noce Omir wiązał mnie w swojej komnacie i puszczał mi krew, chcąc spuścić z moich żył moc, którą dała mi babcia. Otwierał mnie srebrnymi i złotymi igłami, nawet groteskowymi cierniami wielkości umięsnionego ramienia. Ale nie sięgnął dość głęboko, bo srebrna krew nie spłynęła.

Nie dość głęboko — a może jednak jej w sobie nie miałam. Może byłam pusta jak dziura w powietrzu.

Nie chciał słuchać, gdy mówiłam, że jestem nikim, tylko uczniem, który nigdy nie będzie kimś więcej. Zabrał mi księżyc i dał w zamian słońce, a ono paliło bez końca.

Dnie spędzałam w swojej więziennej wieży. Czarnoksiężnik nie dawał mi wytchnienia, nawet gdy byłam brzemienna, i leżałam na kamiennych płytach jak martwa, słuchając krwi ściekającej w szczeliny.

A jednak wszystkie królestwa uradowały się, gdy powiłam syna, nazwanego po lwach z dzikich stepów. Dopiero gdy wydałam na świat dziedzica, pozwolono mi na godzinę swobody dziennie. Mogłam wtedy trzymać go w wolnych ramionach i pozwalać, by moje łzy spadały na jego gładkie czoło.

Opowieść o księciu i gęsi, ciąg dalszy

Leander wytrzeszczał oczy, drżały mu ręce, czuł suchość w ustach. Ptaki obserwowały go jak wyjątkowo powolne dziecko, które właśnie się nauczyło rzucać piłkę w powietrze i łapać ją bez upuszczania.

— Helia? — szepnął.

— Sądziłam, że domyślisz się wcześniej. A jednak wszystkie rewelacje w końcu sprawiają zawód. Myślałeś, że twoja przygoda przypadkiem skierowała cię do mnie? Ledwo skręciłeś za róg, a ja już tam czekałam. Z pewnością spodziewałeś się dłuższej wędrówki, zanim napotkasz wiedźmę. Czekałam, tuż poza zasięgiem twojego ojca, przez wszystkie te lata. Wiedziałam, że mój syn nie da się zamknąć w pałacu na całe życie i kiedyś spróbuje się uwolnić. Oddałam tej myśli całe serce, jakbym rzeźbiła łuk, żeby wypuścić strzały, które poszybują do ciebie. Jednak nie przypuszczałam, że twoim pierwszym czynem będzie zamordowanie siostry.

Może dopiero wtedy Leander w pełni pojął sens opowieści wiedźmy i jego oczy pękły jak pajęczyny na wietrze. Zapłakał nad siostrą i swoją matką, i nad ojcem, którego nigdy nie podejrzewał o zbrodnię.

— Ale mogę ją ożywić... dzięki skórze mogę...

— Tak, tak, mój synu, lecz jeszcze nie pora. Poza tym mam więcej do powiedzenia. — Nóż niezdarnie wyciągnęła ręce, żeby go przytulić. Jej — uścisk był dziwny i niewprawny, jakby

tygrys obejmował fokę. Szeptala mu do ucha głosem grzechoczącym niczym pałki wodne: — Twój ojciec ogłosił wielkie święto w rocznicę twoich narodzin. W ramach obchodów opróżniono lochy. Pozostali przy życiu więźniowie, głodni jak jelen u schyłku zimy, mieli zostać straceni — wszyscy ci biedni ludzie, niedobitki mojego plemienia.

Mnie oczywiście nie zaproszono ani na święto, ani na egzekucję...

Opowieść wiedźmy, ciąg dalszy

Dwór lśnił jak wielkie lukrowane ciastko, ty byłeś podrzucany przez setki ramion, całowany przez tysiące ust, podczas gdy ja leżałam w wieży związana złotymi sznurami. Ale kiedy noc wydeła się niczym żagiel i wszyscy opili się winem jak kozy mlekiem brodatej babuni, przecięłam więzy ostrym kamieniem, schowałam prymitywne ostrze w fałdy sukni, wykradłam się z wieży i zbiegłam po starych znajomych schodach, ostatni raz w cienie więzienia, gdzie przyszła na świat Orle Gniazdo.

Patrzyli na mnie, przerażeni, ze swoich cel. Byłam dla nich obca, straszna jak upiór w tych wszystkich odcieniach złota. Mówiąc cicho, tłumaczyłam, że wcale nie jestem królową, tylko ich własnym Nożem, i jako nóż ich uwolnię. Nie uwierzyli. To obszarpane dziecko, które żuło surowe mięso i dreptało za wronami, by zbierać ich pióra, nie mogło być odziane w jedwabie i pachnieć fiołkami rosnącymi w miękkim mchu. Zapytali mnie, jak odróżnić tropy łani od tropów jelenia i ile żbików zabiłam przed zamążpójściem, i jak brzmiało imię mojej babki i obu moich sióstr.

Odpowiedziałam na wszystkie pytania. I jeden po drugim wyłamałam zamki. Skupili się drżąco wokół mnie niczym stado dzikich ptaków. Zostało ledwo czterdziestu z setek naszych wojowników.

— Nie pozwolę, żebyście jutro padli pod toporem króla jak bydło. Mogę kupić wasze życie za lepszą cenę. Tylko... nie

jestem pewna, czy zdołam. Czarnoksiężnik ciął mnie i ciął, i niczego nie znalazł. Nie wiem, ale spróbuję. Spróbuję. Podejdźcie bliżej, muszę was dotknąć...

Naparli na mnie mocno; zapach ich potu i umierania przenikał mnie jak powoli działająca trucizna. Te twarze z ostro zarysowanymi, wysokimi kośćmi policzkowymi, te oczy, te chwytające mnie kościste palce! Nie wiedzieli, po co sięgają — sięgali do mnie, do swojego Noża, i po ratunek.

Zamknęłam oczy i przemówiłam w sercu do Karej Klaczy, która zrodziła Gwiazdy na początku świata. Błagałam ją o moc, do której nie miałam prawa, o światło, które nie było moje.

Powoli wyjęłam ostry kamień i wbiłam go w pierś, przecinając skórę i mięśnie. I popłynęła krew, czerwona, coraz ciemniejsza, ale nie srebrna, nie srebrna.

Cięłam głębiej, wbijając w siebie kamień, aż usłyszałam zgrzyt kości. Krzyknęłam i mój głos odbił się echem w ciemnościach, echo ech wszystkich moich krzyków, gdy powiłam córkę, wszystkich moich krzyków, gdy pozwoliłam jej odejść.

Coś bladego sączyło się ze mnie, kropelki małe jak perły. W niczym nie przypominały powodzi światła mojej babci, ale były tam, na dnie mego ciała.

Z ludźmi skupionymi dokoła, jak gdyby moje ciało mogło ich ogrzać, pochyliłam się nisko i pokazałam im, że muszą posmakować, że muszą mnie ssać jak kobieta, która na pustyni ssie krew swojego wierzchowca, by nie umrzeć z pragnienia.

Jeden po drugim brali po kilka kropel, ja zaś stawałam się coraz słabsza, bo czterdziestu mężczyzn i kobiet może wypić wiele, gdy są przerażeni. Słaniając się na nogach, kuciałam wśród nich, kolejno brałam w dłonie ich wychudzone ciała i

urabiałam je jak moja babcia, formowałam jak glinę na kamiennym stole.

Zmieniali się, wolniej niż Orle Gniazdo, ponieważ byłam bardzo słaba, ponieważ nie miałam światła z jaskini i Gwiazd. Ale wyrosły im wielkie srebrne skrzydła, usta wydłużyły się w dzioby, nogi zniknęły pod jasnym puchem. Jeden po drugim prostowali się i przeciskali pomiędzy kratami okna w noc pachnącą świątecznymi fajerwerkami, z księżycem pod skrzydłami, gęgając pod gwiazdami.

A ja siedziałam na wilgotnych kamieniach lochu, śmiejąc się i szlochając, moja skóra płonęła światłem, wyciągałam do nich moje ramiona, gdy zataczali coraz wyższe kręgi.

Opowieść o księciu i gęsi, ciąg dalszy

Leander czuł ciepło i ciężar spoczywających na nim tuzinów czarnych oczu. Dzikie gęsi, które tworzyły łóżko jego matki, patrzyły na niego z niepokojącym światłem, pełnym zawoalowanych sekretów. Nóż gładziła je po długich szyjach.

— Znasz resztę. Zostałam ukarana; odebrano mi ciebie i przekazano służce. Ale ona uciekła, gdy zapłonął mój stos, i nic nie widziała. Kiedy zostawiono mnie na pewną śmierć, przybyło moje stado i stawilo czoło płomieniom, żeby zwrócić mi wolność i unieść do lasu. Biedactwa, przecież nie mogły zachować ni cząstki dawnej duszy w tych opierzonych ciałach. Nie wiedziały, co czynią, dlaczego muszą wlatywać w żywy ogień niektóre zginęły — a jednak to robiły. Wiedziały tylko, że mnie kochają, że nie możemy zostać rozłączone. Tak oto znowu staliśmy się plemieniem.

Leander zamknął oczy w obronie przed spojrzzeniami długoszyich ptaków.

— A teraz doszliśmy do tego, mój synu — powiedziała Nóż, krzyżując ramiona na szerokiej piersi. — Mówiłam ci, że możesz woleć śmierć niż ocalenie, jakie mogę ci zaoferować. Nie mogłam kupić zemsty moich ludzi, tylko ich życie. Ty musisz zadbać o lepszy koniec tej sprawy. Kiedy nóż ugrzęźnie w piersi twojego ojca, ja będę mieć satysfakcję, a ty zyskasz wybaczenie. Musisz mi to przysiąc.

Myślał, że jej cena będzie bardziej straszna, że nie zapłonie w nim chęć pomszczenia ptaków z tej chaty. Nie czuł wahania, tylko ulgę, że wreszcie będzie mógł coś dla nich zrobić. Objął matkę, wdychając jej dziki, ostry zapach i czując jej grube kości pod rękami. Po wszystkim, czego wysłuchał, nie mógł przysiąc niczego innego, więc mruknął na zgodę.

Wiedźma chwyciła jego ręce i odepchnęła go od siebie.

— Księżyc już chyba wzeszedł, możesz owinąć w skórę swoją biedną siostrę, żeby została uzdrowiona. Nie zapomnij przyciskać do niej skóry i mocno okręcić, inaczej wszystko na próżno. Owiń ciasno, a ona albo uwolni się o własnych siłach, albo wcale.

— To magia. Ty powinnaś to zrobić, nie ja.

Wiedźma zakaszlała chrapliwie i splunęła.

— Zrobię. Jestem jej matką. Ty zajmiesz się trawą i liśćmi, chłopcze, a ja zajmę się krwią.

W ogrodzie

Chłopiec wpatrywał się w dziewczynkę, w jej twarz okoloną przez eksplozję białych gwiazd, które płynęły po niebie niczym morska piana. Oczy miała zamknięte; zaczarował ją własny głos, muskający skórę chłopca jak smyczek struny skrzypiec. Gdyby go poprosiła, żeby rozpostarł skrzydła Orlego Gniazda i odleciał z wieży, wyskoczyłby przez okno, byle tylko nie przestała mówić.

Zahipnotyzowany widokiem jej skrytych oczu i wodospadem cienistych włosów, ośmielił się położyć przy niej na szerokim kamiennym parapecie i wesprzeć głowę na jej udach, jak młody lew wprowadzony w trans przez pogromcę.

Opowieść o księciu i gęsi, ciąg dalszy

Leander spojrział na zwłoki siostry, które pomimo jego długich podróży wcale się nie zmieniły, nie zaczęły gnić — wciąż miała bladą cerę i lśniące czarne włosy, nieskazitelne i piękne. Kiedy położył na niej ręce, ciało okazało się chłodne, lecz jeszcze nawet nie zeszywniało.

Książę owinął ją w szkarłatną skórę, jak kazała mu matka. Dopilnował, żeby ręce złożone były na piersi, a włosy odsunięte od lepkiej skóry Bestii. Otulił jej stopy. Kiedy zatknął ostatni róg czerwonej skóry, cały mięsisty toból stał się twardy i okrągły jak jajo, lśniący jak złowroga gwiazda na letniej trawie. Usiadł pod sękatym dębem, spocony.

Nóż uklękła na ciemnej darni, kładąc przy sobie niewielkie zawiniątko. Jej kości trzaskały niczym okna siłą otwierane w zimę. Pogładziła jajo nucąc cicho. Zamknęła oczy i książę przez chwilę myślał, że płacze — ale nie płakała, na pewno nie.

Wyciągnęła długi nóż z jednej z pochew u pasa i położyła go na kolanach. Wbiła oczy w księżycową poświatę na metalu.

— Ta skóra jest dobra, mój chłopcze, dobrze się spisalesz. Ale nie ona ją zabiła, dlatego nie wystarczy owinąć ciała i czekać, aż się zbudzi. Nie wystarczy. Niewolnik nie ciął dość głęboko, a ja tylko raz zdołałam rozplatać się odpowiednio mocno. Nastąpiła decydująca chwila... dość głęboko, żeby ją ożywić, dość głęboko, żeby napęlić jej jajo złotkiem gwiazdowego światła, dość głęboko, żeby moja dziewczyna wróciła do domu.

Leander z początku nie rozumiał, niechętny, jak większość książąt, widzieć rzeczy, które nie są wypisane wyraźnie trzema rodzajami tuszu. Dopiero gdy podniosła ostrze, pojął jej zamiary i rzucił się ją powstrzymać.

Była znacznie szybsza i zatopiła nóż w piersi, zanim zdążył odciągnąć jej rękę.

— Dość głęboko — warknęła i strasznym piłującym ruchem otworzyła serce nad szkarłatnym jajem. Krew spłynęła na skórę Bestii, ciemna jak lochy, ciemna jak oczy gęsi. A potem pojawiło się światło, zrazu w kropelkach, potem wątlą strużką, wsiąkając w jajo jak śmietana zlewana do szklanki. Jajo pobiełało od krwi-swiatła i zapłonęło jasno jak latarnia. Nóż opadła na śliską skorupę i zsunęła się na trawę, jej ciało było puste jak dziura na niebie.

Niebawem całe światło wsiąkło w skórę, która znów pociemniała, czerwona na tle cienistej trawy. Po dłuższej chwili straszny dźwięk popłynął ze skórzastego jaja, skrobanie i płacz, i stłumiony oddech, który stawał się coraz słabszy. Leander chciał rozerwać jajo, chciał paść na trawę i opłakiwać matkę. Rozdarty, nic nie zrobił, tylko patrzył bezradnie, jak wrośnięty w ziemię.

Z wielkim trzaskiem, jakby pękła kolumna pałacu, biała ręka wysunęła się z jaja, szukając oparcia na śliskiej powierzchni. Za ręką ukazała się dziewczyna z włosami upstrzonymi kawałkami szkarłatnej skorupy, mokrymi i jasnymi od płynu jaja. Stała z wysiłkiem na szczupłych nogach. Kiedy wyszła na trawę, ujrzała swoją smukłą stopę i zamarła. Podniosła ręce, patrząc na nie w osłupieniu. Potem spostrzegła Leandra stojącego pod drzewem.

Orle Gniazdo po raz pierwszy otworzyła swoje ludzkie usta i krzyknęła tak głośno i tak strasznie, że słowiki spadły martwe z gałęzi.

*

Nie mogła przestać krzyczeć. Jej pierś wznosiła się i opadała szybko, jej krzyki przepełniały noc. Leander podbiegł, a ona osunęła się w jego ramiona, wciąż patrząc na swoje ręce. Nie sądził, by umiała mówić, bo jaki mogła znać język? Szeptał do niej łagodnie — już dobrze, jesteś bezpieczna, jestem twoim bratem, już dobrze — a gdy zaczęła z nim walczyć, resztkami skóry okręcił jej smukłą kibić jak szarfą. Cięła go paznokciami, bełkocząc i wrzeszcząc. Ucichła dopiero, gdy zobaczyła zwłoki wiedzmy, i rzuciła się w ich stronę. Księżę pomógł jej podejść do skulonej staruchy.

Orle Gniazdo brnęła do Noża na nogach, których ledwo umiała używać, wykrzykując jedno słowo. Słowo to powiedziało księciu, że dziewczyna zna język, a co więcej, na przekór zaklęciu zachowała w ptasim ciele świadomość od pierwszego dnia życia.

Wzięła Nóż w ramiona, szlochając niskim, zgrzytliwym głosem:

— Mama, mama, mama...

Razem leżały na ziemi. Nóż się nie zbudziła.

A jednak Orle Gniazdo nie chciała się ruszyć, zastygła z palcami wplecionymi we włosy matki, z palcami Leandra w swych włosach. Dzikie gęsi jedna po drugiej wyskakiwały z drzwi starej chaty, szły rozkołysanym krokiem do Noża i rozbitego od środka skórzanego jaja. Jedna po drugiej kładły perłowe dzioby na jej ciele, na wciąż ciepłej skórze. Jedna po

drugiej zamykały oczy, nie chcąc się rozstać ze swoją panią do samego końca. Nóż zdawała się unosić na morzu skrzydeł, a milcząca śmierć kolejnych ptaków zabierała ją coraz dalej od dzieci.

Leander puścił rękę siostry i rozpakował zawiniątko leżące obok ciała starej wiedźmy. Znalazł bochenek chleba, brylasy i źle uformowany, z brzydkim czerwonym kolorem wpieczonym w skórkę. Nie był miękki, nie wyglądał na smaczny, ale książę zrozumiał — był to jego chleb, urobiony okaleczoną ręką, z jego krwią i łzami zagniatanymi bez końca. Od początku przeznaczony był na ten poranek. Przełamał go na pół, wziął w ramiona Orle Gniazdo, roztrzęsioną, patrzącą szeroko otwartymi oczami, i powoli wsuwał okruszki w jej drżące usta. Krzywiła się, ale przełykała, i on też zjadł parę kawałków tego dziwnego chleba, czując cierpki smak na języku.

Po długiej chwili odeszli od matki w księżycową poświatę.

*

Orle Gniazdo stała przy studni, myjąc nowe ręce, aż spłynęły krwią.

Brat podszedł do niej powoli i ujął jej dłonie śliskie od czerwieni. Jej oczy spoglądały dziko.

— Orle Gniazdo, Orle Gniazdo, ranisz się. Musimy ruszać do zamku. Przy odrobinie szczęścia wślizniemy się dziś wieczorem.

Gwałtownie potrząsnęła głową, jej ciemne włosy wciąż zbryzgane były srebrnym światłem, więc wyglądała jak staruszka z siwizną w czarnych pasmach. Jej głos brzmiał niczym pęknięty kamerton, prochy harfy roztrzaskanej na odludnym brzegu.

— Ja. Nie pójdę. Nie tam. Nie do gniazda narodzin.
— Nóż kazała nam...
— Matka!
— Matka nas prosiła, kazała nam przysiąc.
— Tobie.
— Zgoda. Kazała mi przysiąc. Ja idę. Wyrzekasz się jej teraz, gdy nie żyje? To mój ojciec, nie twój. O co chodzi?
— Wyrzekam się jej? Wyrzekam? — Uderzyła pięścią w pierś.
— Moja matka! Moje stado!
— Tak, ale moje stado postępuje inaczej. Stado książąt. Ruszamy na wyprawy. Składamy przysięgi. I czasami zabijamy królów. To nasz obowiązek.
— Nie mój. Nie jesteś z mojego łęgu. Nie mój obowiązek. — Wypluła ostatnie słowo, jakby wyrwane zostało z dna brzucha, gęste od szlamu. Popatrzyła na brata, wrogo, obco. Trochę ochłonęła, zebrała myśli. — Jesteś sam — szepnęła. — Ja jestem sama. Matka była sama. To nigdy się nie zmieni. Powiem ci, powiem ci dlaczego. Kiedy nie byłam sobą. Kiedy fruwałam...

Opowieść gąski

Pierwszy sierp księżyca mnie wygłodził. Nie miałam stada. Pamiętałam matkę, wiedziałam, że nie jestem ptakiem. Ale wciąż byłam głodna i z głodu nie mogłam myśleć. W pobliżu gniazda narodzin były sokoły. Łowcy niewolników. Frunęłam za nimi, jadłam resztki z ich dziobów. Kłapały na mnie spod skórzanych kapturów, puszczały krew z moich skrzydeł, drapały mnie po oczach. Nie należałam do nich. Nie ich obowiązek. Jeszcze nie umiałam dobrze latać, ale się nauczyłam. Obserwowałam mewy, szpaki, dzięcioły i warzęchy. Uczyłam się pikować, szybować, przyspieszać i lądować.

Żadnych słów, tylko latanie, i wiatr jak matka.

Pofrunęłam do wron, które mnie nie chciały.

Pofrunęłam do wróbli, które mnie nie chciały.

Pofrunęłam do jastrzębi, które mnie nie chciały.

Pofrunęłam do orłów, które mnie nie chciały.

Byłam sama. Gęsi odleciały na południe i żadna nie czekała, żeby mnie z sobą zabrać. Bez stada, bez jedzenia. Wciąż byłam mała. Wędrowałam daleko od gniazda narodzin. Spałam w szczelinach drzew, na wietrze od wschodniego księżyca, zmarznięta i przerażona, bojąc się sokołów, bojąc się cieni gniazda. Płakałam we śnie i moje łzy były ciche.

Pewnego ranka, gdy miałam... Rok? Dwa? Dla gęsi czas jest inny. Ptak większy od innych, większy od sokoła, znalazł mnie w drzewie, z łebkiem wtulonym pod skrzydło. Ciepłym dziobem rozdzielił moje pióra. Podniosłam głowę, spojrzałam mu w oczy. Były czerwone, pomarańczowe, białe — barwy ognia.

— Dlaczego płaczesz, maleńka? — zapytał, a jego głos przypominał światło słońca na skrzydle.

— Jestem sama — odparłam i zadrżałam, bojąc się jego wielkich szponów z brązu.

— Ja też jestem sam — powiedział. Pióra miał takie same jak oczy, barwy bursztynu, płomieni liżących zielone gałęzie, a jego ogon był fontanną złota. — Jeśli chcesz pójść ze mną, żadne z nas nie będzie już samo. Nauczę cię łapać krety, gdy wyzierają z ziemi, żeby ujrzeć słońce, i kraść wiśnie z sadów, tak żeby cię nie zestrzelili, i powiem, gdzie są źródła, których nie strzegą psy.

Powąchałam zimne powietrze — ale ptak był ciepły i trzaskał jak ogień, i czułam dotyk drżących chmur na swoich piórach. Byłam głodna; nie miałam pojęcia, co to jest wiśnia. Moja błoniasta łapka wsparła się o korę i wyszłam z drzewa na wiatr.

Nie miałam nic do powiedzenia. Znałam się tylko na robakach i skrawkach mięsa upuszczonych przez sokoły; wiedziałam, że w niektórych drzewach już mieszkają ptaki, ale na tym koniec.

— Czy jesteś nie tylko zagubiona, ale także sama? — zapytał Ognisty ptak uprzejmie.

— Chyba... chyba tak. Myślę, że kiedyś miałam matkę, i że mnie odesłała, lecz ledwo ją pamiętam. Szukam kogoś, kto wygląda jak ja. Sokoły mnie dziobią. Wrony mnie wyzywają. Nie mogę znaleźć nikogo z szarymi piórami, długą szyją i błoniastymi łapami.

— Zatem nauka złodziejstwa jest podwójnie ważna — zaczął z powagą — bo nie wypada, żebyś zmarła z głodu, zanim znajdziesz szare pióra, błoniaste łapy i długie szyje. Masz szczęście, bo dołączysz do Żar-Pticy, ognistego ptaka. Ogniste

ptaki są najlepsze ze wszystkich ptaków, a ja jestem najlepszy ze wszystkich ognistych. Jesteś tylko dzieckiem, trzeba o ciebie zadbać, przynajmniej do nadejścia lata, gdy powrócą gęsi. Jesteś bowiem, pisklątko, gęsią. Tak myślę. Nigdy dotąd nie znałem gęsi. Ale nie martw się, mały siwoskrzydły skarbie, powiem ci wszystko, co musisz wiedzieć. Powiem ci o swoim najlepszym złodziejstwie...

Opowieść ognistego ptaka

Zwij mnie Latarnią — i nie śmiej się. Zawsze byłem łagodny i moja matka uznała, że lepiej mnie nazwać po słodkim płomyku w szkle niż po ogniu, który pożera drzewa, dzieci i spichlerze. Ogniste ptaki zwykle nie są stworzeniami szczególnie towarzyskimi, ja jednak zawsze przywiązany byłem do rodziny i trzymałem się gniazda znacznie dłużej niż inne dumne szkarłatne kaczory.

Byłem łagodny — ale byłem również najlepszym złodziejem w stadzie. Mógłbym wyłuskać najmniejsze ziarnko gorczycy z ręki księżniczki, a ona nie wiedziałaby, że zniknęło, dopóki nie poszłaby posiać go w ogrodzie. Tak więc, kiedy moja kuzynka w gnieździe popiołów wysiadywała osiem pomarańczowych jaj — zapowiadał się niezły łęg! — i naszła ją wielka chęćka na wiśnie, im dojrzałe, tym lepsze, wszyscy mnie poprosili, żebym przyniósł jej kilka, zanim siostry zadziobią ją na śmierć, aby w ten sposób zyskać trochę ciszy. Wiśnie! Nie byle jakie wiśnie, tylko te najbardziej słodkie i lśniące, żeby nasycić matkę ośmiorga dzieci.

Kochałem swoją kuzynkę, nawet kiedy wrzaski rozdzierały mi uszy — która kwoka nie ma prawa mieć dziwnych apetytów, gdy wysiadyje jajka? Pofrunąłem po owoce.

W kraju dalekim od naszego, leżącym na pustyni, żyła w owych czasach sahiba zwana Ravhidżą, a sława jej sadów dorównywała urodzie. Codziennie o zmierzchu pielęgnowała swoje drzewa, które dawały owoce bez jednej brunatnej plamki, każde słodsze niż inne, lśniące i ciężkie. Mówiłem ci, że jestem

pierwszorzędnym złodziejem, ale jeszcze nikomu nie udało się okraść Ravhidzy, której przebiegłość była równie słynna jak sady. Tam właśnie rosły najbardziej słodkie i lśniące wiśnie, a ja postanowiłem być pierwszym, który okradnie Ravhidzę.

Nie jestem małym ptaszkiem, a moje kolory raczej rzucają się w oczy. To przeszkoda w mojej profesji, ale staram się znajdować dobre strony. Bez trudu przeskoczyłem przez niski ceglany mur, gdy słońce zamykało swoje ciemnoniebieskie szpony i ostatni wierny błysk światła skrywał moje pióra przed błędzącym okiem. Mój ogon włókł się po miękkiej czerwonej glebie, gdy się skradałem, podfruwając pomiędzy rzędami, wypatrując drzewa na tyle jasnego, żeby mogło mnie ukryć. Widziałem persymony, jabłka, cytryny i orzechy, granaty, figi i pomarańcze, mandarynki, gruszki i morele, awokado jak tłuste szmaragdy i śliwki jak fioletowe pięści. Wtulone w szmaragdowe liście, były dojrzałe i nabrzmięte od soku, choć przecież nie powinny dojrzewać wszystkie razem i jedno przy drugich, bo niektóre lubią przymrozek, a inne płonące niebo. I wiśnie, były tam wiśnie wielkie jak kciuki olbrzyma i czerwiejsze niż moja dusza. Zrywałem pęki w marszu, chowając je w gardle jak bocianica ryby dla swoich pisklątek. Podfruwałem wysoko, żeby zerwać najlepsze owoce bez przebijania stropu liści, bo to groziło przyłapaniem. Byłem migotaniem złota wśród zieleni, szybszym niż mrugnięcie okiem. Łatwo wyćwiczyć taką umiejętność i daję słowo, mój ubłocony skarbie, pokażę ci, jak to się robi.

Musiałem znaleźć kryjówkę i czekać do zmroku, by przeleźć przez mur bez ryzyka, że Ravhidza mnie wyszpieguje. Niewiele drzew może nam zapewnić bezpieczne schronienie — pod względem naturalnego kamuflażu ptaki ogniste są mocno

poszkodowane. Ale zrzędzeniem losu w samym środku sadu rosło najniezwyklejsze drzewo, jakie dotąd widziałem. Wprost stworzone dla mnie, dopasowane odcieniem i owocem, jakby wyhodowało mnie w gałęziach i rzuciło na wiatr dawno zapomnianej jesieni.

Było to drzewo dyniowe.

Przynajmniej tak myślałem, choć wszystkie inne znane mi dynie wyrastają z pędów płożących się po ziemi. Pień był ciemnopomarańczową tykwą skręconą wokół siebie, zwężoną od grubej podstawy z plataniną rozłożystych złotych korzeni w smukły czub, który wznosił się w pełnej wdzięku spirali. Tu i ówdzie wyrastały gałęzie żółte i jasnozielone na końcach. Całość okręcały pnącza w barwach czerwieni i złota, z których zwisały masywne dynie, jarzące się niczym lampiony, jakby rozświetlały je od środka niewielkie płomyki. Całe drzewo jaśniało i skrzyło się pośrodku bajecznego ogrodu jak tancerka wśród szarej gawiedzi, która może tylko przytupywać.

Pofrunąłem do niego jak kochanek. To drzewo mnie ukryje, to drzewo zapewni mi bezpieczeństwo — to drzewo było tak jaskrawe, że na nim przypominałbym małego burego wróbla. Wydawało się płonąć jak płonące drzewa z mojej pustyni, a jednak światło było łagodne, dobre i nie trawiło drzewa. Uznałem, że żaden ogrodnik nie zdoła mnie znaleźć w jego złocie. Zachwycony, okrążyłem pień, a potem podskoczyłem do papkowatego czuba, gdy nagle przeszył mnie ból, straszne szarpnięcie strąciło mnie z tych idealnych gałęzi. Koziołkowałem w powietrzu, zdjęty lękiem, że wysypię się sam z siebie, że zostałem rozplątany jakimś potwornym trójzębem. Upadłem — taka hańba dla ognistego ptaka! — upadłem w

plątaninę lśniących korzeni, a kiedy mgła ustąpiła sprzed moich oczu, ujrzałem przed sobą idealne stopy, zielone niczym kielki.

Ravhidza pochyliła się nade mną, obracając w smukłych palcach długie rubinowe pióro z zakrwawioną dudką.

— Śliczna papużko, jak myślisz, co robisz z moimi wiśniami?
— zapytała słodko.

Wyglądała dokładnie jak drzewo dyniowe. Jej włosy spadały do kostek w splecionych sznurach wilgotnego, pulchnego oranżu, jej ciało okrywały szerokie, zakurzone liście, które przywierały do każdego skrawka skóry i otaczały szyję szeroką kryzą. Twarz miała rumianą, lśniącą jak przecięta dynia.

— Czemu zadajesz sobie tyle trudu dla paru wisienek? Wiśnie można kupić wszędzie. Dlaczego przychodzisz kraść do mojego sadu?

Spąsowiałem, na ile to możliwe u ognistego ptaka, bo przecież z natury jesteśmy na poły pąsowi.

— Moja kuzynka ma chętkę na wiśnie — siedzi w gnieździe, wysiaduje osiem jaj, jeśli dasz wiarę — a twoje owoce są sławne. Oczywiście mógłbym je kupić, wtedy jednak nie mógłbym powiedzieć, że skradłem.

Zmarszczyła elfie czoło i wyprostowała się, wciąż trzymając moje pióro przy biodrze. Podniosłem się niezdarnie, podczas gdy ona patrzyła spod zielonych rzęs na drzewo. Stała tak długi czas, jak gdyby odbywała z nim prywatną naradę. Wreszcie przemówiła, a jej głos, korzenny, miodowy i słodki, przypominał gęsty sok.

— Rozumiem, że skoro wyrwałam ci pióro z ogona, jesteś na moje rozkazy. Czyż nie?

Oczywiście, wiedziała. Moje szczęście się odwróciło.

— Niestety tak.

— Co zatem powiesz, mój dziki kaczorze, jeśli wspaniałomyślnie zaproponuję wymianę, zamiast do czegoś cię przymuszać?

— Dlaczego, skoro wiesz, że nie mogę ci odmówić? — zapytałem, wciąż zmartwiony utratą pióra.

Pokazała w uśmiechu jasnozielone zęby, koloru skórki gruszki.

— Nazwij to manierami, galanterią. Wyszukaną grzecznością. Nazwij to faktem, że w przeciwieństwie do niektórych wolę zdobywać towary na drodze uczciwej wymiany niż niegodziwości. Chwast bierze, co do niego nie należy, i nie daje nic w zamian poza kolejnymi chwastami; jabłoń bierze to, czego ma pod dostatkiem, i odwzajemnia się cydrem, szarlotkami, plackami i dżemem.

Chciałem powiedzieć, że trudno winić chwast, jeśli wiatr przyniesie nasiona do sadu, a poza tym niektóre rośliny są dobre bez względu na to, czy przydają się w kuchni. Ale po namyśle zmieniłem zdanie.

— Hm — mruknąłem, wyskubując drobiny ziemi ze skrzydeł — o jakiej wymianie mówisz?

— Weźmiesz sobie dowolne owoce z mojego sadu w zamian za te, których nie posiadam.

Słowa te podbechtały moją ambicję i wszystkie moje pióra zapłonęły z zaciekawienia.

— Czy będę musiał je ukraść?

Roześmiała się, a jej suknia z liści zaszeleściła.

— Obawiam się, że tak. Ale, ponieważ w zasadzie do nikogo nie należą, złodziejstwo będzie co najwyżej formalne — pozostanie złodziejstwem w tym sensie, że zbiór jakichkolwiek owoców jest okradaniem drzewa. Potrzebne mi nasiona ixory,

które przypominają wiśnie, więc nie będę żałować, jeśli weźmiesz kilka moich dla swojej kuzynki. Ixory rosną na Pustyni Krzesiwa, a ich gałęzie płoną przez cały dzień i noc. To ci chyba nie przeszkadza?

— Nie, moja pani — zachichotałem. — Jeszcze nie rozniecono ognia, który mógłby mnie sparzyć. — Nie chciałem jej mówić, że dobrze znam — ixory, że urodziłem się w ich sprazonym cieniu, że w zgliszczach jednego z nich moja kuzynka w tej chwili na mnie czeka.

— Zatem umowa stoi?

— Stoi. Czy teraz oddasz mi pióro, skoro jesteśmy tak dobrymi przyjaciółmi?

Popatrzyła na długie czerwone pióro i znowu na drzewo.

— Nie — odparła powoli — lubię uczciwą wymianę, ale nikt nigdy nie powinien do końca ufać złodziejowi. Dostaniesz je, gdy ja dostanę owoce.

Jednym szponem drapałem ziemię wokół złotych korzeni. Wpadłem po uszy, bez dwóch zdań.

— W takim razie lepiej już pójdę. Pustynia leży daleko. Ale chyba powinienem powiedzieć ci przed odejściem, że nigdy nie słyszałem o dyniowym drzewie, w żadnym zakątku świata, a skoro, jak powszechnie wiadomo, dynie lubią się płożyć, podejrzewam, że zrobiłaś coś nikczemnego, by splotły się w drzewo, i że ja też nie powinienem ci ufać.

Szerokim uśmiechem oparła się o sprzeczne z naturą, ale śliczne drzewo. Na moich oczach — nie okłamałbym cię, gąsko — opierała się coraz mocniej i mocniej, aż została w całości połknięta przez pomarańczowy pień, i na zewnątrz zostały tylko zielone, ruchliwe palce stóp.

— Kolekcjonuję rzadkości — dobiegł mnie jej głos, tylko trochę stłumiony przez drzewo — i to wpędziło mnie w kłopoty.

Jej głowa zajaśniała wśród wysokich gałęzi, długie sznury włosów jeden za drugim wyskakiwały z czuba i spadały prawie do ziemi. Ravhidza wyłaniała się kawałek po kawałku, aż usiadła wygodnie na gałęzi pomiędzy dwiema jeszcze maleńkimi dyniami.

— Widzisz — zaczęła z westchnieniem — gdy stajesz się znany z bogactwa swoich płodów, najrozmaitsi ludzie bieżą do twoich bram i żądają, żebyś zaspokoił ich apetyty, jakkolwiek mogą być obrzydliwe...

Opowieść ogrodniczki

Jestem drzewem.

Ale można też powiedzieć, że drzewo jest mną. Urodziłam się razem z nim, zanim zrzuciło łuskę nasienia; otworzyłam oczy pod ziemią i jadłam glebę, glebę jak ciasto z dżemem, i piłam cudowną wodę sączącą się wśród jej ziaren niczym miód przez sito. Zawsze byłam spragniona.

I pewnego dnia wyrosłam z ziemi jako zielony kiełek. Otworzyłam go tak łatwo jak drzwi i wyszłam w słońce, dziecko jak każde inne. Ale wciąż co noc spałam w drzewie. Ono rosło i ja rosłam. Kochałam je jak własną rękę, a ono kochało mnie jak tułów, i razem byliśmy szczęśliwi.

Pewnego razu przez ceglany mur przelazł handlarz z workiem pełnym cudów na sprzedaż. Pobiegłam do niego, gdyż nigdy wcześniej nie widziałam innej osoby, i zapytałam go o imię, o miasto i zawód, czy ma braci i siostry, wszystko o co podekscytowane dziecko pyta nieznajomego. Był bardzo miły i zaprosił mnie, żebym przeszła przez mur i zobaczyła, co ma do sprzedania — a miał na sprzedaż nasiona.

Jabłka, persymony, orzechy, cytryny, migdały, daktyle i wiśnie, wszystko, co możesz nazwać, a ja wielu nie mogłam. Pragnęłam przejść przez mur, jak niektórzy mężczyźni chcą pójść na wojnę, a inni do kobiet. Ale nie miałam pieniędzy, przecież byłam tylko drzewem, które niedawno wyrosło. Handlarz ulitował się nade mną, nad brudną, pomarańczowowłosą dziewczynką z zielonymi zębami, niemającą niczego poza płachciem pustego błota. Powiedział, że

powinnam pójść z nim i handlować, drutować garnki, wymieniać się, jak to robią wędrujący ludzie, że da mi miedziaka na miesiąc i kupi prawdziwą sukienkę, że będę mogła mieć wszystkie nasiona, jakie tylko zechcę.

Pomyślałam, że to wspaniały pomysł. Przeskoczyłam przez mur z wdziękiem kawki — i padłam martwa.

Albo tak bliska śmierci, że nie czyniło to większej różnicy. Kiedy się ocknęłam, panowała głęboka noc. Handlarz przeniósł mnie przez mur, położył na trawie i zostawił w mojej dłoni pękaty woreczek z nasionami.

Nie mogłam wyjść za mur, jak drzewo nie może wyciągnąć korzeni z ziemi i przejechać powozem do innego lasu. Ta myśl mnie otrzeźwiła. Byłam ciekawa świata jak każde dziecko, lecz wtedy zrozumiałam, że nigdy go nie zobaczę.

Tak więc wysiałam nasiona. Jabłka, persymony, cytryny, migdały, daktyle i wiśnie. Wszystko, co ty możesz nazwać, a ja nie mogłam. Miałam cały czas świata; drzewo długo żyje. Opanowałam sztukę nawadniania i przycinania, uprawy trójpolowej i zostawiania ziemi odłogiem, użyźniania i spulchniania, a także kunszt szczepienia. Drzewo dyniowe przez cały czas rosło i wydawało owoce, a gdy wgniatałam ich miąższ w korzenie nowych drzew, owocowały jak rok długi. Płacheć błota stał się lasem drzew owocowych, sadem najpiękniejszym ze wszystkich, a pośrodku rosło drzewo, które jest mną, która jestem drzewem, i wszyscy rośliśmy razem i byliśmy szczęśliwi.

W końcu zjawili się ludzie, i nie byli to życzliwi handlarze z workami pełnymi nasion dla umorusanej dziewczynki. Och, niektórzy byli dość mili, chcieli kupić kosz gruszek czy buszel fig z takiego czy innego powodu — ale po co mi pieniądze, skoro

piję deszcz i pożywiam się glebą? Przymuszona przez ich wyciągnięte ręce, zaczęłam handlować. Owoce za nasiona — jeśli przyniosą mi takie, jakich nie mam, dostaną wszystko, co zechcą. W ten sposób mój sad stał się jeszcze dzikszymi i bardziej cudowny, a ludzi przybywało. Z ich ust uczyłam się świata i byłam pilnym uczniem.

Wreszcie, sześć tygodni temu, pod murem stanął pewien człowiek. Nie spodobała mi się jego powierzchowność, lecz kim jest drzewo, żeby osądzać ludzi za wygląd? Wszak dąb, choć sękaty, może mieć dobre, ciężkie od soku serce. Ten przybysz miał żelazne włosy, skórę jak kora leszczyny, a ubranie jasnoczerwone, jaskrawe jak drozdy, które szczebioczą na moich jabłoniach. Jego szyja jednak... szyja była blada, niemal niebieska, jak gdyby nie widziała słonecznego światła od czasu, gdy wysliznął się z łona matki.

— Dzień dobry, Ravhidzo — powiedział z ukłonem. Od dawna już mnie nie dziwiło, że wszelkie rodzaje stworzeń znają moje imię. — Przyszedłem z długą listą.

Wsparałam rękę na biodrze, które dawno temu wyhodowało własną piękną suknię, choć przyznam, że wciąż marzę o muślinie, jaki mógł mi kupić tamten handlarz.

— O ile masz dobry towar na wymianę, zrobię co w mojej mocy, żeby dać ci wszystko, czego potrzebujesz.

— W tym problem. Widzisz, ja nie handluję. Taką mam zasadę. Czemu tracić idealnie dobre rzeczy, kiedy równie łatwo można wziąć, co się chce? — Pstryknął palcami i nad jego dłonią rozbłysnął niebieski płomynek, trzeszczący i syczący. — Sądzę, że drzewo nie potrzebuje dalszego wyjaśnienia. Każda żyjąca istota wolałaby uniknąć złożenia w ofierze całopalnej. Wpuść mnie.

Cóż, jaki miałam wybór? Albo spali wszystko do gołej ziemi, albo, jeśli znał moją naturę, wywlecze mnie za mur i bezkarnie wszystko splądruje. Przeszłam z nim rzędami, jakby był gospodarzem, choć nikt poza mną nigdy nie postawił stopy w ogrodzie. Próbowałam wykonać jego zamówienie, mimo że lista była bardzo dziwna, pełna tyleż owoców, co ziół, kory, soku i okruchów gleby. Miałam prawie wszystko; jestem sławna nie bez powodu.

Ale ostatnia pozycja, och, ostatnia...

— Powinno być jasne, że nie mam ixory — szepnęłam, nie chcąc spojrzeć mu w oczy, spłoszona widokiem płomienia, który wciąż tańczył na jego dłoni. — Widziałbyś dym, gdybym miała.

— Słyszałem, że masz wszystko, co rośnie pod słońcem. Muszę mieć owoc ixory; bez tego reszta jest bezużyteczna.

— Po co ci to wszystko? — zapytałam żałośnie, z trudem powstrzymując łzy.

— Moja droga pani, jestem czarnoksiężnikiem. Wystarczy powiedzieć, że czegoś potrzebuję. Niektórzy rodzą się z magią wirującą w nich jak mucha pochwycona w szklaną. Inni z nas nie mają takiego szczęścia...

Opowieść o chłopcu, który znalazł śmierć

Dawno temu uznałem, że lepiej być czarnoksiężnikiem niż nie być. Lepiej zamknąć się w pokoju podobnym do kuchni i warzyć świat w szklanym rondlu, niż ryc w ziemi, szukając nędznych korzeni, nosić mleko kościstych krów i drapać się po policzkach, aż spłyną krwią niczym twarz rzeźnika.

Rozumiesz, nie mogłem przestać się drapać.

Od urodzenia moja skóra łuszczyła się i bladła, liniejąc, jakby nie mogła się doczekać, kiedy wreszcie ją zrzucę, i swędziała, och, jak swędziała, i drapanie tak naprawdę wcale nie pomagało, lecz musiałem się drapać, darłem paznokciami ramiona, pierś i szyję, policzki, a nawet powieki — każdy skrawek skóry palił mnie żywym ogniem.

Ludzie uciekali na mój widok, na widok maleńkiego dziecka zdecydowanego wyleźć z własnej skóry, wąskie skrawki mięsa falowały na moim ciele jak paski papieru na porywistym wietrze. Przybywali medycy, znachorzy i nawet czarodzieje, nikt jednak nie zdołał ostudzić mego płonącego ciała. Wreszcie matka okręciła mnie w powijaki i przywiązała moje ręce do desek, żebym nie mógł się drapać, i oparła o wilgotną kamienną ścianę. Tam siedziałem i rosłem, karmiony pogiętą łyżką: zupa marchewkowa i ciasto marchewkowe, marchew duszona i pieczona, marchew surowa, tłuczona i parzona, herbata z kwiatu marchwi i chleb z marchwią. Na naszych polach rosła tylko marchew i wszystkie moje dni pełne były

pomarańczowych korzeni, nakładanych łyżką w moje łuszczące się usta przez przerażoną matkę.

Wisiałem na moich deskach i skóra mnie mrowiła. Mój oddech stał się płytki i szybki, jakby zawsze brakowało mi powietrza. Gdy wyrosłem z niemowlęctwa, moja skóra stwardniała na podobieństwo łusek i wypadły mi włosy, ale ciało nie przestało swędzieć i parzyć, a ja nie mogłem się drapać. Wpadający przez okno najłżejszy marchewkowy powiew sprawiał mi katusze, kradł oddech i przebijał się przez bandażę, by palić moją skórę.

— Śmierć stoi za oknem — szeptał mój ojciec do matki po posiłku złożonym z bulionu z marchwi i surówki z marchwi. Spojrzałem, ale w brudnym oknie nie dostrzegłem niczego poza rachitycznym księżycem, wątlym jak nasienie w czarnej bruździe.

— On stoi u drzwi śmierci — szeptała moja matka do ojca, gdy mój oddech stał się rzadki i szeleszczący jak chwasty wśród korzeni. A przecież ja leżałem związany w sypialni, daleko od naszych grubych drzwi ze spaczonych desek.

Kiedy byłem bardzo chory i marchewkowe wymiociny spływały strużką z moich ust, tworzyły kałużę na podłodze, moi rodzice potrząsali głowami i mówili:

— Śmierć stoi u jego boku.

Wykręcałem szyję, żeby ją zobaczyć, ujrzeć bodaj cień, ale nic nie było.

Wreszcie, gdy miałem niewiele więcej niż dwanaście lat, swędzenie ustało. Jakby dziwny stwór w środku nocy przesunął nade mną rękę, moja łuskowata, schodząca płatami skóra nagle się wygładziła, mój oddech nabrał siły i z czasem nawet odrosły mi włosy. Było tak, jakbym nigdy nie chorował. Z radością

wielką jak dwa związane buszle moja matka zdjęła powijaki i odczepiła moje ręce od desek, odsłaniając podrostka, którego widywała tylko wtedy, gdy zmieniała bandaż: ciemne włosy i oczy, skóra jak porażone suszą pole, już blednące blizny i spojrzenie, którego unikała.

Chcieli, żebym obrabiał ziemię, gdyż minęło mnie wiele lat gospodarskich obowiązków, ale nie po to przestałem drapać własne ciało, żeby teraz drapać ziemię.

— Przez wszystkie te lata mówiliście, że Śmierć jest w pobliżu, ja jednak go nie widziałem. Zanim poświęcę życie marchwi i krowom, znajdę go i zapytam, czemu mnie nie chciał, skoro przez tyle lat mieszkał w moim domu i dzielił moją deskę.

Rodzice popatrzyli po sobie ze strachem, że choroba odjęła mi rozum.

— Nie możesz znaleźć śmierci — odparli. — Śmierć znajdzie ciebie. Bądź rad, że nas pominęła, i ucz się wyciągać korzenie z ziemi w taki sposób, żeby nie pękały.

Ale rozumowałem po swojemu i dla mnie Śmierć była wysokim mężczyzną w czerni, który może jeździ, a może nie jeździ na czarnym lwie nie mogłem się zdecydować — i skoro był przy mnie tak blisko, widział moje męki i znał mnie tak dobrze, musieliśmy być w przyjaźni. Chciałem zapytać, dlaczego, jeśli był moim przyjacielem, pozwolił mi płonąć i nie wziął mnie do siebie.

Zakazali mi szukać, a ja zrobiłem to, co dyktował rozsądek: wykradłem się przez okno w mrok świata i pomknąłem chyłkiem przez kielkujące pola. Może za mną tęsknili, może płakali. Nie wiem, bo nigdy nie wróciłem.

Ściagałem swój cel w najbardziej logiczny sposób — przeszukiwałem miejsca, w których Śmierć często bywa.

Widziałem chorych ludzi i martwe noworodki, suchotnice, domy nawiedzone przez zarazę i domy dla konających, bitwy, gdy tylko mogłem je znaleźć i iść za szeregami w taborze, wypatrując najciężej rannych żołnierzy. Zaprzyjaźniłem się nawet z trucicielami, żeby być w pobliżu ich ofiar w ostatniej chwili życia. Tryskalem pomysłami, a moje młode ciało jak gdyby chciało nadrobić czas spędzony w stanie zawieszenia. Byłem silny w nogach i łatwo wymyślałem kłamstwa, żeby pozwolono dziecku stać przy konających. W pewnym sensie odbierałem edukację, a okaleczone, rozkładające się ciała bezsprzecznie nauczyły mnie więcej niż marchew i deszczówka.

Ale nie mogłem znaleźć Śmierci.

Pytałem doktorów i akuszerki, żołnierzy i zabójców. Wszyscy zaś odpowiadali to samo:

— Nie znajdziesz śmierci, to śmierć znajdzie ciebie.

Wreszcie dotarłem w swoich wędrówkach do królestwa, którego słońce płonęło niewyobrażalną czerwienią, którego dżungle były wilgotne i grzaskie, którego król budził postrach, którego drogi były błotnistymi szlakami przez zieloną gęstwę. Szedłem do stolicy, zmoczony po biodra przez szerokolistne krzaki i bryzgi mulistej złotej wody. Droga była niewiele lepsza od lasu, ja zaś byłem w paskudnym humorze, gdy spotkałem nieznanego. Był to karzeł w kolorowych szatach, z misternie splecionymi włosami, w szerokiej żelaznej obroży z ryglami, która zasłaniała całą szyję i górę barków. Policzki miał okrągłe, a głos szorstki jak stare słupki ogrodzenia. Skinął mi głową na powitanie.

— Witaj, chłopcze. Odbywałeś pielgrzymkę?
— Jasne, że nie, dlaczego tak sądzisz? — burknąłem.
— Tylko pielgrzymi wybierają tę drogę. Myślę, że dzięki temu czują, jakby walczyli z przeciwnościami, gdy dusza zмага się z ciałem, albo coś w tym stylu.

— Jesteś zatem pielgrzymem?

— Swego rodzaju.

— Cóż, nie wiedziałem, że jest inna droga — nadąsałem się.

— Wiele jest dróg, różnorodnych. I może pewnego dnia nie będzie na świecie drogi, która nie wiodłaby do naszych przystani, naszych wież i kaplic. Trzeba mieć nadzieję. Ale jeśli nie jesteś pielgrzymem, dlaczego stopy niosą cię do Varaahasindu, Miasta Dzików, gdzie Indradżit zasiada na tronie?

Z westchnieniem zacząłem litanie, wówczas znajomą mi jak własny język w ustach.

— Szukam Śmierci. Stałem u jego drzwi, on stał przy moim oknie i za moim ramieniem, lecz nie mogłem go dostrzec. Od lat jest celem mego serca i przemierzyłem pół świata, szukając go daremnie. Nie każ mi czekać, póki sam mnie nie znajdzie, ani nie mów, że taki miły chłopiec powinien zmykać do zabawy.

Zamyślił się, jego obroża lśniła w słońcu, odbijając wilgotną zieloną drogę.

— Nie, nie powiem ci tego, nie to.

Szliśmy jakiś czas w błocie, aż w gąszczu drzew ukazały się pierwsze wieże miasta z odbarwionej cegły. Wreszcie rzekł:

— A gdybym zamiast tego powiedział, że wiem, gdzie można znaleźć Śmierć, i zawiódł cię tam z radością?

Aż mnie ścisnęło w gardle.

— Zapytałbym, czego żądasz w zamian za taką przysługę.

— Dopiero gdy wysłuchasz wszystkiego, co Śmierć ma do powiedzenia, poświęcisz mi chwilę uwagi i zobaczysz, który z nas jest mądrzejszy.

Inni twierdzili, że wiedzą, po czym prowadzili mnie w wilgotne, ciemne uliczki, a tam rabowali i bili, i zostawiali twarzą w dół w niezliczonych kałużach. Ale wypełniając tak dziwne zadanie, nie mogłem sobie pozwolić, żeby komukolwiek odmówić. Dlatego wzruszyłem ramionami i podążyłem z nim do miasta, gdzie zadaszenia ze świńskiej skóry ocieniały wąskie, kręte ulice, a wiatr pachniał gotującą się kaszą jęczmienną. Przemierzyliśmy razem niezliczone tarasy z czerwonej cegły i rozciągnięte na nich ryżowiska, spiętrzone jedno nad drugim na zielonych zboczach, wciśnięte pomiędzy wieże i baraki koszar, wszędzie tam, gdzie mogła stanąć kałuża wody.

Niedaleko wierzchołka stał dom podobny mrowisku, tuż pod wielkim murem, który oddzielał potężny, nieforemny, lśniący ciemno pałac od pól ryżowych i pylistych tarasów. Dom był duży i mógłby uchodzić za ładny, gdyby nie przypominał ludzkiej głowy na wpół pogrzebanej w ziemi. Strzecha spływała jak włosy, okna zdawały się nas obserwować, powieki okiennic otwierały się i zamykały kapryśnie w gorące popołudnie.

— To dom Śmierci — oznajmił mój towarzysz, jakby mówił o domu piekarza czy akuszerki.

Weszliśmy do wielkiego pokoju podobnemu kuchni, gdzie różne rzeczy gotowały się, suszyły, parzyły i kipiały. Karzeł jakby zapomniał o mojej obecności, zajmując się wszystkim, co buchało parą i słało zapachy w powietrze. W końcu chrząknąłem i on spojrzał na mnie przestraszony jak wróbel.

— Aha. Śmierć, prawda? Tak, tutaj. — Przez chwilę grzebał w wielkiej szafie, aż ruchem jarmarcznego sztukmistrza wyjął

zakurzony przedmiot.

Był to wielki szklany słoć, po brzegi napełniony ziemią.

— Zmarnowałeś mój czas, staruszkule — westchnąłem.

— Wcale nie, chłopcze. Szukałeś Śmierci? Oto ona. Ziemia i rozkład, nic więcej. Śmierć przemienia nas wszystkich w ziemię. — Łypnął na mnie, lekko wydymając policzki. — Czujesz się zawiedziony? Chciałeś zobaczyć człowieka w czarnych szatach? Z pewnością mam gdzieś taki komplet.

Posępne, chude oblicze i kościste ręce? W tym domu jest więcej kości, niż mógłbyś zrachować. Wałęsałeś się po połowie świata, szukając śmierci, jakby to słowo oznaczało tylko zimne ciała i grzyby wyrastające z oczodołów pięknej dziewczyny. Co za wyjątkowo głupie dziecko! — Nagle poruszył się bardzo szybko, jak żółw za pająkiem, nadspodziewanie szybko jak na kogoś tak powolnego i okrąglego. Złapał mnie ręką za gardło i ścisnął, aż straciłem dech jak w te straszne dni, gdy wisiałem na ścianie i łaknąłem powietrza. Z charkotem i poświstywaniami biłem go po piersi, a ćma gęsta jak krew zasnuwała mi oczy. — Chcesz Śmierci? — syknął. — Ja jestem Śmiercią. Skręcę ci kark i obsypię moim słojem ziemi. Kiedy raz zabijesz, sam stajesz się Śmiercią, i tak oto Śmierć ma tysiące twarzy, tysiące szat, tysiące spojrzeń. — Puścił mnie. — Ale ty też możesz być Śmiercią. Możesz — przybrać tę twarz i to spojrzenie. Chciałbyś być Śmiercią? Chciałbyś żyć w jego domu i nauczyć się jego rzemiosła?

Potarłem gardło z trudem chwytając powietrze.

— Jesteś taki sam jak inni — wychrypiałem. — Zwabiłeś mnie do swego domu obietnicą mądrości i nie dałeś niczego prócz pięści.

— O nie, nie jestem jak inni. Jestem czarnoksiężnikiem, człowiekiem Indradžita i nie znajdziesz Śmierci prawdziwszej ode mnie. Ścigaj dalej swoje mrzonki, jeśli chcesz. W końcu ktoś udusi cię dla resztki jedzenia, a wtedy moje lekcje o naturze śmiertelności okażą się, delikatnie mówiąc, zbyt cenne. Albo zostań ze mną i ucz się, zostań ze mną, a pewnego dnia staniesz nad człowiekiem, jak ja stanąłem nad tobą, i wówczas on będzie wiedział, że ty jesteś Śmiercią, czarny w oku i rękawie. Może jesteś głupi, ale nie każdy tak bardzo pragnie zostać cudownym dzieckiem Śmierci. Dam ci, czego chcesz, jeśli jesteś dość mądry, żeby nie odtrącić daru.

Wbiłem oczy w podłogę.

— Czy będę musiał nosić taką obrozę? — wymamrotałem w końcu.

— Zawsze jest wybór — rzekł cicho — i ja wybrałem. Magia jest wielobocznym szkłem...

— Moja matka mówi, że magia pochodzi z Gwiazd, a ja mam w sobie tyle światła co nasza krowa.

— Niektórzy w to wierzą. Niektórzy z nas, którzy znaleźli magię w rzeczach, w kamieniach i słowach, w trawie i liściach, dawno temu zrozumieli, że ważne jest nie to, skąd liście biorą swoją moc, lecz że w ogóle ją mają. A spośród nich niektórzy, mężczyźni, kobiety i potwory, dawno temu postanowili wymienić swą wolność na władzę. Włożyli obrozę, włożyli jarzmo monarchy. Jeśli chcesz władzy, zrobisz to samo.

— Magia to władza — zaprotestowałem.

— Magia jest magią. Jeśli chcesz warzyć tynktury na kaszel dla bachorów i powstrzymać włosy od siwienia, wolna droga, nie potrzebujesz niczego poza żelaznym kociołkiem. Ale władza, władza nad własnym losem i nad losem innych,

prawdziwa władza, a już na pewno moc stania się Śmiercią, Śmiercią wypisaną dużymi literami w oczach przegranych cóż, ochrona monarchów bywa użyteczna, a ich bogactwa wykraczają daleko poza trawę i liście.

Spojrzałem na słoń ziemi i oblizałem usta. Wreszcie Śmierć znowu stał u mojego okna i przy moim ramieniu, a ja stałem u jego drzwi, i tym razem mogłem zobaczyć wszystko, co miał do zaoferowania.

Opowieść ogrodniczki, ciąg dalszy

Zerknęłam ukradkiem na jego bladą szyję. Gardło miałam suche jak brzozowa kora.

— Ale nie masz obroży.

Pochylił się w moją stronę. Jego oddech był mdlący i słodki, jak woń zbyt wielu kwiatów okrywających trupa.

— Spędziłem w tamtym pałacu wiele lat i plaga mojej skóry nigdy nie wróciła. Uczyłem się lekcji najlepiej jak umiałem, choć nie byłem cudownym dzieckiem. Wszystko, co wiem, zdobyłem z wielkim trudem, i pieszczę wiedzę z namiętnością, jakiej często brakuje kochankowi. Potem, pewnego dnia... — nagły rumieniec zapalił jego policzki — pewnego dnia coś wyjątkowego zdarzyło się w tym mrocznym i lśniącym pałacu, coś, czego nie mógłbym zapomnieć, choć próbowałem, próbowałem. Odzyskałem wolność, dziecko-drzewo, i teraz żaden król nie zwie mnie douliosem. Wykorzystałem swoje wyzwolenie, szukając sposobu na powtórzenie tego cudu, i jestem bliski celu — potrzebuję ixory, żeby posunąć dalej moją pracę. Ale jestem zmęczony, Ravhidzo, jestem zmęczony tratowaniem ziemi stopami. Mam już dość przetrząsania nędznych ogrodów za najmniejszym nasionkiem, i to mi nie przystoi. Nie masz nasion ixory? Więc musisz je dla mnie zdobyć.

— Panie! — krzyknęłam. — Jeśli mnie znasz, wiesz, że nie mogę opuścić ogrodu! Jak mam dotrzeć do drzewa, które rośnie

na pustyni?

— To już nie moja sprawa. Ja byłem pomysłowy, postaraj się mi dorównać. Zdobędziesz dla mnie nasiona, inaczej spalę twój sad do gołej ziemi. — Podrapał się z roztargnieniem po bladej szyi. — Przemienię wszystkie twoje drzewa w płonące ixory, a ty sczeźniesz wraz z nimi. Wątpię, czy długo pożyjesz, gdy rozwieją się popioły twojego złotego drzewa. Znajdzie cię Śmierć, a jego spojrzenie będzie bardzo czarne.

Zabrał sześć koszy moich najcenniejszych owoców i zostawił obietnicę, że jesienią powróci z tańczącym niebieskim płomieniem. Odszedł, a ja stałam bezradnie przy murze.

Opowieść ognistego ptaka, ciąg dalszy

— Okrutny człowiek — szepnąłem.

Ravhidza żałośnie pokiwała głową, zeskakując z gałęzi.

— Lato prawie się kończy, a ja nie mam ixory. Nic dziwnego, naprawdę. Prosiłam o nasiona, lecz żaden człowiek nie jest dość śmiały, żeby sięgnąć do serca płonącego drzewa i wyłuskać dla mnie mały owoc.

— Żaden człowiek — powiedziałem, poruszony jak kamień wyturlany z jaskini — ale ptak może to zrobić, a nie ma ptaka odpowiedniejszego do tego zadania niż ja. Nie masz pojęcia, jakie to proste! Drzewa-pochodnie są moim domem i zdobycie kilku krzemienistych owoców będzie łatwe jak wyjęcie kukurydzy z kosza! Nawet gdybyś nie trzymała mojego pióra, piękna pani dyń, dla ciebie chętnie i z radością udałbym się na pustynię.

Z zielonymi łzami połyskującymi w oczach, Ravhidza ucałowała mój puszysty policzek i przypomniała mi, żebym czekał, aż drzewo prawie umrze, zanim rozgrzebię popioły. Potrzebowała co najmniej trzech nasion, ale w zamian miałem dostać owoce, jakie tylko zechcę. Gdakała za mną jak matka posyłająca synka do szkoły, zwracając uwagę na to i na tamto, przestrzegając, żebym się nie poparzył, choć to ostatnie raczej nie było potrzebne. Skubnąłem na pożegnanie jej skręcone niczym liny włosy — to wyraz uczucia, siwolica dziewczyno.

Smakowały zupełnie jak dynia.

*

Lot na pustynię był długi. Trzeba przelecieć nad wieloma krajami, a ich barwy są różne jak łaty na kapocie trefnisia. Patrzyłem, jak rozwijają się pode mną i znikają. Jeden po drugim, spragnione i coraz bardziej puste, obracały się w piasek. Ale nawet gdy przetnie się linię, która oddziela zielen od pustyni, jest jeszcze daleka droga do białych piasków i słonych równin, gdzie rosną ixory.

Dobrze znam tę krainę.

Gdy zostawiłem za sobą ostatnie zielone ziemie, zrozumiałem, że jestem śledzony. Mała gąsko, tego też cię nauczę. Wykrywanie nieproszonego towarzystwa jest cichą, subtelną sztuką, ale równie ważną dla ptaka jak wiedza, który wiatr zanieśie go w chmury, a który do wody. Nigdy wcześniej nikt mnie w ten sposób nie tropił. Kroki myśliwego były lżejsze niż tchnienie i choć czasami myślałem, że go widzę, plamkę na ziemi pode mną, częściej czułem go obok siebie w powietrzu i to targało mi nerwy.

Świadom, że jestem tropiony, nie mogłem lecieć do gniazda kuzynki. Musiałem najpierw zebrać wiśnie dla Ravhidzy. Nie wiedziałem, w jakiej innej części lasu mogą być nasiona gotowe do siewu. Krążyłem wiele dni, z dziwnym myśliwym blisko za plecami, unikając miejsc, gdzie, jak wiedziałem, gnieźdzą się ogniste ptaki. Krętą, splątaną ścieżką przemierzałem płomieniste gaje, tracąc wiele dni. Wreszcie, gdy zawracałem na słone równiny, zobaczyłem to, czego szukałem, rozłożone jak uczta na białej ziemi.

Nie jestem głupim ptakiem. Myśliwy zastawił na mnie pułapkę. Gdybym nawet nie został wysłany przez piękną dziewczynę-dynię, trudno byłoby mi się oprzeć — bo czy

dziecko lubi coś bardziej niż potrawę matki? Patrzyłem z góry na owoce, tuziny wisien, które mogły zapłodnić cały las, i czułem się rozdzierany na dwoje, bo chciałem i nie chciałem od nich odlecieć. Ale odleciałem.

Co dziwne, wrażenie, że jestem tropiony, nie podążyło za mną do lasu. Znikło, rozwiało się jak powiew w burzy. W pobliżu mnie nie było nikogo, może myśliwy zgubił mój zapach, może się poddał, zrezygnował z polowania. Najważniejsze, że mogłem wreszcie ruszyć do kuzynki. Wysypałem na werandę jej gniazda kilka wisien, które trzymałem w przełyku, jak bocian wypluwający rybę. Skubała je, ale poczęstunek był gorzki.

Płakała i płakała, i nie mogła się uspokoić, lzy jak płonący olej przyczerniały piasek pod jej gniazdem z popiołu.

— Latarnio, piskłeta! — wykrztusiła, nie przestając szlochać.
— Piskłeta! Zabrał je wszystkie.

— Kto! — krzyknąłem. — Kto je zabrał? O czym ty mówisz, kuzynko?

Twoje jaja wciąż leżą w gnieździe, widzę ich barwy pod puchem! Przestań płakać i powiedz mi, co się wydarzyło!

Pociągając nosem, szepnęła ze zgrozą:

— Ktoś przybył na pustynię, cały biały, pachnący spalonym chlebem i opiłkami miedzi, wchodził do każdego umierającego drzewa, gdzie mogło być gniazdo, wyciągał sok i wyciągał nasiona. — Zakrztusiłem się z przerażenia. — I jakby tego było mało, nakarmił miąższem swoje kobiety, a pestki rzucił na kupę jak śmieci. — Wybuchła burzą szlochu i jej pierś trzęsa się tak mocno, że lękałem się o jaja. — Kobiety je rozkopały — wymamrotała tak cicho, że ledwo słyszałem. — Rozkopały

pestki jak szklane kulki, a nie było tam żadnych jaj do krzesania. Miną lata, zanim jakaś kwoka założy gniazdo.

Obejmując zrozpaczoną kuzynkę, pograżyłem się we własnej rozpacz.

Oczywiście, nie rozumiesz, biedne siwe serce. To nasz największy sekret i zdradzę ci go teraz, żebyś mi zaufała i nigdy nie tała wiedzy, którą się można podzielić. Jaja mojej kuzynki nie znają koguta; zapładnia je umierające drzewo. Krzemienne nasiona krzeszą nowe drzewo, tak, ale również nowego ptaka. Pierwsze korzenie nowej ixory rodzą się z jaja z pisklęciem. Krzemień musi mieć krzesiwo — musi mieć pióro i korę. Potrzebujemy się wzajemnie, rozumiesz. Kaczory Żar-Ptica tylko chronią gniazdo. Nie możemy się parzyć z naszymi kurami. Słyszałem, że w dawnych czasach paru ptakom udało się wyjąć jaja z drzewa i zapalić je własną skórą, ale teraz nawet ich imiona obróciły się w popiół. Cała moja rodzina to matki, bracia, siostry, kuzynki, ciotki i wujowie — nie ma ojców. Nigdy nie będę miał własnych piskląt. Ixora jest naszą drugą połową.

Pojmujesz teraz, dlaczego tak chętnie posłuchałem Ravhidży, choć oznaczało to oddanie trzech nasion, z których mogły powstać trzy ogniste ptaki. Nawet bez pióra spełniłbym jej prośbę. Myślałem, miałem nadzieję, że jeśli moja kuzynka może wysiedzieć jaja drzewa, to może drzewo... ale teraz to nie ma znaczenia.

Nic nie mogłem zrobić. Musiałem czekać. Lęg się wykluł i nie ma nic piękniejszego niż osiem nowych ognistych ptaków rozbijających skorupki, ale one także musiały czekać. I tak czekaliśmy razem, aż spopieli się następne pokolenie drzew ixora, żeby czarne ciała piskląt mogły wybuchnąć płomieniem,

żeby inne kwoki mogły zapłodnić swoje jaja w powodzi soku, żeby można było zaoszczędzić nasiona dla Ravhidzy.

Minęło pięć lat, zanim je zdobyłem. Przepełniony lękiem jak ul złocistym miodem, szykowałem nad krajami, które zmieniały się przede mną ze złotych w zielone. Powtarzałem sobie, że na pewno znalazła jakieś inne źródło, że pewnego ranka pod murem ogrodu stanął ten dziwny myśliwy i z radością dał jej małe czerwone nasionka. Ktoś z pewnością ją poratował, mówiłem sobie. Ravhidza pomacha do mnie wesoło ze swojego drzewa, jej pomarańczowe włosy lśnić będą w promieniach słońca, i powie mi: Nic się nie stało, nie bądź głuptasem, wszystko się dobrze skończyło.

Ale wiedziałem, że się okłamuję. Sad był czarny jak sadze w kominie, gdy wreszcie go znalazłem. Mur leżał w gruzach. Szkielety drzew rysowały się surowo na tle szarego, ponurego nieba — nic nie rosło, nie było owoców, tylko papka martwej słodyczy, która kiedyś użyźniała ziemię. Wszystko znikło, wszystko przepadło. Leciałem nad pogorzeliem i ledwo mogłem utrzymać się na niebie, tak wielki był ciężar winy, ściągający mnie w dół jak kotwica.

Ale niezupełnie wszystko przepadło. Pośrodku ogrodu, gdzie kiedyś rosło to przepiękne drzewo, które dało mi sekretną nadzieję, teraz kiwała się smukła zielona witka, tak blada, że ledwo było ją widać, gdy słońce stało z tyłu.

Obok siedziała dziewczynka, bawiła się na spalonej ziemi.

— Och! — krzyknęła na mój widok. — Jaki śliczny ptak!

Wylądowałem przy niej, wlokąc gorejący ogon przez popioły starego drzewa.

— Ravhidza? — zapytałem, obwąchując ją niepewnie.

— Och nie, jestem Ravhi! — zawołała, podskakując, żeby pogłodzić moje pióra jak każde inne zachwycone dziecko. Patrzyła na mnie promiennie spod zielonych rzęs, włosy miała krótkie, ale już skręcone w pulchne pomarańczowe sznury.

Oczywiście zrozumiałem. Żadne dziecko ixory nie może tego nie pojąć — drzewo zrzuciło nasiona na ziemię, a nie ma gleby żyzniejszej niż leśna po przejściu pożaru. Zrodziło się nowe drzewo i nowa pani ogrodu.

Dałem jej nasiona. To wszystko, co mogłem zrobić.

Uznała, że są prześliczne.

Opowieść gąski, ciąg dalszy

— A twoje pióro? — szepnęłam, gdy zimna, śnieżna kraina jezior przemykała pod nami niczym wielkie białe stado.

Latarnia potrząsnął lśniąca głową.

— Ravhi go nie miała, a dopytywanie, co się z nim stało, nie miało sensu. Nie pamiętała starego drzewa ani dawnej ogrodniczki. Myślę, że czarnoksiężnik je zabrał, gdy bawił się w Śmierć. Wciąż je czuję, jak zgubione oko czy ucho. Nie spłonęły, lecz nie ma ich w pobliżu i nikt mnie nie wezwał.

Podfrunęłam trochę bliżej ognistego ptaka, pławiąc się w jego ciepłe. Śnieg stopił się na moim dziobie.

— Przykro mi, że nie mogła uwić z tobą gniazda, jak chciałeś — powiedziałam nieśmiało.

Uśmiechnął się i skrzywił w wirujących płatkach.

— Kaczory nie są stworzone do zakładania gniazd. To była głupia nadzieja. I gdyby uwiła, nie spotkałbym ciebie, mała błonołapko, i to byłoby bardzo smutne.

*

Latał ze mną przez całą zimę i wiosnę, karmił mnie trawą, myszami i główkami mleczków, aż urosłam i moja szyja zrobiła się długa. Kiedy gęsi wróciły, nie chciałam odejść z nimi, a on mnie nie zmuszał. Fruwałam pod jego skrzydłami, które były szerokie jak chmury o zachodzie słońca, jak drzwi kaplicy albo cienie cedrów, i chroniły mnie przed sokołami. Razem

przefrunęliśmy szerokie purpurowe morze i zawróciliśmy, i odpoczęliśmy w liściach drzew palmowych. Nauczył mnie wielu pieśni i języka szpaków, i bocianów, i mew. I nauczył mnie kraść tak dobrze jak włamywacz. Nigdy nie chciałam wiśni.

Czas dla nas nie istniał, był tylko lot i chmury w naszych dziobach. Byłam szczęśliwa. Nie potrzebowaliśmy nikogo innego. Nie płakałam. Ale po dwóch latach zobaczyłam drzewa, które wyglądały znajomo, i na horyzoncie zamajaczyły cienie mego rodzinnego gniazda. Zadrżałam ze strachu.

— Sprowadziłem cię do domu, maleńka — oznajmił Latarnia — jest bowiem nowe stado, które woła do księżyca i słońca, żeby cię odnaleźć.

— Chcę zostać z tobą. — Zapłakałam, a on trzymał mnie w skrzydłach, które były jak zamykające się nade mną wieczorne niebo.

Żałośnie przestąpił z nogi na nogę.

— Nie jesteśmy tacy sami, siwe serce. Tylko ci, którzy dzielą pióro i dziób, mogą zawsze trzymać się razem. Nie powinienem brać cię pod opiekę, ale byłaś taka biedna i taka kochana, a ja nigdy nie miałem pisklęcia do kochania. Będzie ci teraz dobrze, wiem. Powinnaś mieć stado i gniazdo, ja zaś mógłbym ci dać tylko płonące drzewo i zimne owoce. I... i coś mnie ciągnie, tutaj, jak palec zahaczony o mostek. Moje pióro mnie wzywa, nie mogę odmówić.

— Ale ja nie chcę nowego stada! A ty możesz odmówić, możesz odwrócić się i lecieć w drugą stronę szybko, co sił.

Westchnął i nawet jego jaskrawe kolory, oranże i złoto, które oświetlały mój świat, jakby przygasły i zmatowiały.

— To nie tak, moje kochanie. Kiedy pióro wzywa, muszę iść. Nie mogę lecieć w inną stronę, tak jak nie mogę fruwać pod

wodą.

Powstrzymałam się od płaczu, choć było to bardzo trudne. Siedzieliśmy na krzywym pniaku dębu przed wielkim dziedzińcem, gdzie na bruku piętrzyło się coś, co pachniało jak wspomnienie. Wzniósł się z tego kłęb dymu, a potem jasny ogień strzelił iskrami we mgle poranka.

— Nie jesteśmy tacy sami — powtórzył Latarnia. — Ale tam jest ogień, a ty możesz iść ku niemu bez strachu i narodzić się na nowo ze swoimi ptakami, narodzić się w ogniu jak ja. Będzie w tobie odrobina tego, co mnie stworzyło.

Zapach wabił mnie — znałam go, znałam, i powietrze nad stosem było teraz pełne ptaków, z tym denerwującym, cudownym zapachem na skrzydłach. Przywodził mi na myśl konie, konie i mleko, i wilgotne ciemne pokoje.

Był to zapach mojej matki. Latarnia przyłożył ciepłą jak palenisko głowę do mojego grzbietu i pchnął mnie w tamtą stronę. Powoli zatrzepotałam skrzydłami i poszybowałam w mgłę. Nie obejrzałam się; wiedziałam, że on tego nie chce, a przede mną była matka, matka, której już nie miałam nadziei odnaleźć. Ale czułam, jakby ktoś wydzierał ze mnie pióra, każde ociekające ciemną krwią.

Nie bałam się, gdy moja matka płonęła. Przecięłam dziobem jej więzy i pocałowałam płonące usta. Otaczały mnie ptaki, które wyglądały dokładnie jak ja, ptaki z długimi szyjami, siwymi piórami i błoniastymi łapkami. Były moim stadem, uznały mnie za swoją, i ona była moim stadem, a ja ją kochałam. Nie czułam ognia, tylko ścieżkę do niej, i pomogłam jej powstać z popiołów, jak musiał powstać Latarnia, gdy był małym czarnym pisklęciem; pomogłam ją podnieść i wykraść w noc.

Opowieść o księciu i gęsi, ciąg dalszy

— Należałam do nich. Nie jestem twoja. Tylko stado troszczy się o stado. — Orle Gniazdo patrzyła na niego dużymi ciemnymi oczami przepełnionymi rozpaczą i nieufnością.

— Ale jesteśmy rodziną, pochodzimy z tego samego... lęgu — zaprotestował Leander cicho.

— Nie jesteśmy tacy sami. Chcesz przyszpilić szponem swojego ojca. On nie jest moim ojcem.

Policzki Leandra pociemniały. Oczyma duszy ujrzał ojca i nie czuł do niego miłości.

— Skrzywdził naszą matkę. I cały jej lud. On wszystko niszczy.

— Dlaczego miałoby mnie obchodzić, co się dzieje na ziemi? To nie mój żywioł. Należę do powietrza. Należę do wszystkich tych duchów.

— Orle Gniazdo, jesteś teraz kobietą, obunóż stoisz na ziemi. Nie możesz ignorować tego faktu tylko dlatego, że pamiętasz swoje dawne skrzydła.

— On nie jest moim ojcem, to nie mój obowiązek — powtórzyła z uporem, patrząc na osrebrzoną przez księżyc murawę.

— Nie. Ale to była nasza matka, ona dała cię wiatrowi i chmurom, żebyś mogła żyć. Wyrzuciłam wiele złego, Orle Gniazdo. Wyprawa była wszystkim, czego pragnąłem, i wyprawa doprowadziła mnie z powrotem do zamku, z którego

chciałem uciec. Ale tak było pisane. I jest pisane, że — musimy wrócić razem, choć odeszliśmy osobno. W zamku jest czarnoksiężnik, który zabił naszą prababcie i zbezczescił jej kości. Wszystko to jest nasze, gniazdo, które nas stworzyło. Masz teraz mnie. Ty jesteś moim obowiązkiem. Chodź ze mną.

Leander wyciągnął do niej rękę, lśniąca w ciemności, a ona powoli zamknęła ją w swojej dłoni, wciąż poplamionej krwią.

— Prababcia — szepnęła — i stado, które kiedyś nie miało skrzydeł.

*

W drodze do zamku Leander zdumiewał się lekkim, bezszelestnym krokiem Orlego Gniazda. Jej stopy ledwo muskały ziemię, gdy biegli z Wąwozu Wiedźmy w kierunku miejsca swoich narodzin.

Oczywiście strażnicy wpuścili Leandra — zaginął, lecz przecież nie został wypędzony — a Orle Gniazdo wzięli za zwykłą dziewczkę, którą sprowadził sobie do domu. To było proste jak zabawa drewnianymi klockami. Oboje przekradali się przez górne komnaty, mijając kolejne drzwi opatrzone wielkimi mosiężnymi zamkami. Nagle książę się zatrzymał.

— Czekaj — szepnął i zniknął za ciężkimi drzwiami. Stał we własnej sypialni i patrzył, jakby jej dotąd nie widział. Nie był człowiekiem, który tutaj sypiał, a z tym, co wiedział, nie mógłby znów zamieszkać w tych obitych aksamitem ścianach. Potrząsnął głową, próbując trzymać się wytyczonego celu.

— Funkcją księcia — powiedział sobie w duchu — jest zabijanie potworów. Jeśli pochodna księcia równa się zero, królestwo przetrwa.

Wyprężył ramiona i otworzył szufladę w rzeźbionym tekowym stole przy krytym brokatem łożu. Po to przyszedł. Z szuflady wyjął długi srebrny nóż z wygiętą kościaną rękojeścią. Ostrze lśniło teraz czystym światłem, migotało w jego umyśle, brzemienne znaczeniem. Jako dziecko wybrał ten nóż do zabawy ze sterty noży, kordów i sztyletów w lochach. Teraz nóż wołał do niego, a ostrze śpiewało, że nie ma żadnego wpływu na historię tej nocy, że zmierzał do niej przez całe swoje życie i nigdy z własnej woli.

— Chodź — rzekł do siostry, w której oczach zaczynało błyszczeć podniecenie polowania — najpierw pójdziemy do czarnoksiężnika.

Chyłkiem wśliznęli się przed drzwi, które wiodły do komnat czarnoksiężnika — otworzyli zamek wytrychem i weszli bez trudu. Nie powinno być tak łatwo, pomyślał Leander. Zabijanie powinno być ciężką i potworną pracą, wymagającą większego wysiłku niż czerpanie wody ze studni. Musiało być łoskotem, krwią i głośnym krzykiem. Ale panowała cisza, maćcona tylko ciężkim oddechem Orlego Gniazda za jego plecami.

Dziewczyna dostrzegła nóż lśniący u pasa brata i już postanowiła, że go ukradnie. Ale mogła zaczekać.

Czarnoksiężnik Omir spał spokojnie w białych futrach, wyciągnięty na plecach jak dziecko. Jego usta wciąż były pełne i jędrne, ale reszta ciała dawno temu osunęła się w starość z szybkością noża, który wnika między żebra. Leander widywał tego człowieka prawie każdego dnia swojego życia, lecz dopiero teraz zobaczył, jak głęboko biegną zmarszczki i bruzdy, jak straszne były rany zadane ciału przez tajemne eksperymenty. Wspomnił obserwujące go mętne, rybnie oczy; wspomnił też opowieść matki, jak Omir zabił prababcię Zgięty Łuk,

poświęcając zbrodni tyle myśli co rybak, który nadziewa przynętę na haczyk. Sięgnął po nóż, pewny, że dokona dzieła.

Ale ostrze znikło.

Orle Gniazdo siedziała na jednym z wysokich stołów z sękatego drewna. Oddychała płytko, urywanie. W pobladłej garści ścisnęła kościaną rękojeść. Musiała rozpoznać nóż w chwili, gdy go zobaczyła — wiedziała, że należy do niej, jak kiedyś do jej prababki. Musiał przyzywać ją jak pióro i teraz byli razem, nóż i kobieta, i Leander nie mógł stanąć między nimi.

Z cichym krzykiem, jakby wołaniem gąski na widok dalekiego stada, rzuciła się na śpiącego czarnoksiężnika i przebiła go nożem. Starzec otworzył kaprawe oczy i ujrzał ją z rozwianym włosiem, zarumienioną z wściekłości i triumfu. Pochyliła się nad nim, jakby chciała ucałować charczące usta, i wysyczała do zwiędłego ucha:

— Śmierć cię znalazła.

Omir zobaczył ją, pannę-ptaka, przyczajoną nad nim jak sokół rodem z koszmaru, z płonącymi oczyma w czaszce.

— Wiedziałem! — wydyszał, krztusząc się, gdy wkręcała w niego ostrze noża. — Wiedziałem, że wiedźma może to zrobić! Kłamała, ale ja wiedziałem!

Orle Gniazdo powoli musnęła dłonią jego twarz, delikatnie, jakby gładziła dziecko. Skóra niczym woda rozstąpiła się pod jej paznokciami. Podniosła palce do ust i chciwie wessała krew czarnoksiężnika.

— Niewolniku — syknęła — wieczny niewolniku, szepczący w ciemności, kradnący to, co nie twoje.

— Może... może nie należy go winić — mruknął Leander. — Ostatecznie rządził nim mój ojciec.

Orle Gniazdo go nie słyszała. Omir zachichotał i krew bryznęła mu na brodę.

— Twój ojciec jest głupcem wśród głupców. A dziewczyna wie, wie, wie. Matka opowiedziała jej o wieży, wie, że robiłem wiele, co nie było rozkazem. Ale ona mnie nie zabije. Wie, że ja też słyszałem opowieści, że wiem o jej ognistym ptaku i jak ją zostawił; wie, że miałem jego pióro. Trzymałem go w tym pokoju, w klatce z kości słoniowej.

Oczy Orlego Gniazda zwęziły się w srebrne szczeliny. Omir chciał usiąść, ale był przygwożdżony ostrzem. Opadł na łożę z kolejnym atakiem kaszlu.

— Tak, dziewczyno, tam, w kącie.

Oparła się na kościanej rękojeści i Omir po raz pierwszy naprawdę krzyknął z bólu, unosząc białe brwi i odsłaniając zęby.

— Gdzie on jest? — warknęła.

— Nie... nie mam go. Przysięgam. Sprzedałem go wraz z piórem i klatką człowiekowi z miasta Adżanabh, sprzedałem go, sprzedałem, przysięgam. Proszę. — Ręce czarnoksiężnika trzepotały, próżno sięgając do noża. — Ale posłuchaj mnie, posłuchaj! Po wszystkich tych latach mam sekret: Mogę uczynić cię ognistym ptakiem, mogę dla ciebie każdą wierzbę przemienić w ixorę, mogę zapalić twoje skrzydła i posłać cię do niego. Mogę nawet zmienić cię w taki sposób, że on roznieci twoje gniazdo i nie będziesz potrzebować drzewa. Ale jeśli mnie zabijesz, pozostaniesz zwykłą dziewczyną, nigdy nie wzlecisz w powietrze i beze mnie nigdy go nie odnajdziesz. Zostaniesz w tym okropnym ciele, mając do towarzystwa tylko swego braciszka — a zapewniam cię, jest koszmarnym towarzyszem.

Orle Gniazdo płakała, jej łzy spadały na słabe ręce czarnoksiężnika, jej ramiona drżały jak nagie gałęzie. Patrzyła na starca z rozpaczliwą nadzieją płonąca w ciemnych oczach. Pochyliła się bardzo nisko i objęła go. Choć rzeził i kaszłał, a na jego brzuchu rosła ciemne plama, spróbował po ojcowsku poklepać ją po plecach. Zdołał tylko lekko podnieść lewą rękę, która zaraz opadła bezwładnie na łóżko. Wciąż jednak mógł mówić, a jego głos był jak ssanie pijawek.

— Już dobrze, dobrze, twój wujek wszystko naprawi, zobaczysz. Nie musisz nic mówić, wiem, czego pragniesz, skarbie. Wszystko będzie dobrze.

Dziewczyna podniosła srebrną głowę i szepnęła do jego ucha:

— Matka.

A potem Orle Gniazdo, która nie miała rąk niemal od pierwszego oddechu, wprawnie chwyciła go za głowę, wyrwała nóż z brzucha i poderżnęła mu gardło. Gorąca, gęsta krew płynęła jej przez palce jak błoto, ale Orle Gniazdo nie puściła noża. Leander nie mógł go wyrwać z jej dłoni. W końcu odciągnął ją od trupa i wywłókł na korytarz — jej oczy lśniły jasno, ekstatycznie, dziko.

*

Nocą nie zostaliby wpuszczeni do królewskich komnat, więc skradali się po kamiennych gzymsach, po wyłożonych kością słoniową schodach, po nierównym granitowym murze. Wreszcie kucnęli pod oknem króla i Leander spojrział znacząco na siostrę, a potem wskoczył do komnaty. Ona miała czekać.

Oczywiście wśliznęła się za nim, bezdźwięczna jak przestrzeń pomiędzy oddechami.

Król leżał w łóżu, sam, wciąż silny i zdrowy. Nie spał. Zwrócił się do syna:

— Czyżbym cię nie nauczył, że należy używać drzwi?

Leander w tym momencie niczego gorszego nie mógłby się spodziewać, ale zamaskował strach obojętną miną.

— Ten plan wydawał się najlepszy.

— A teraz co o nim sądzisz? Widzę, że sprowadziłeś z sobą tę biedną ptaszynę. Zatem wszystkie maski opadły? — Król nie mrugnął okiem, ani razu nie spojrzął na Orle Gniazdo. Była dla niego nikim, nie miała znaczenia.

— Jeśli pochodna księcia równa będzie zeru, królestwo przetrwa — szepnął Leander.

— Co za bzdury pleciesz, chłopcze. Czyżby w końcu znalazła cię ta cuchnąca wiedźma? Nigdy nie była warta ceny swej pościeli. Szkoda, że ogień stosu nie mógł płonąć w nieskończoność. Egzekucje trzeba przeprowadzać osobiście; pamiętaj o tym, synu, gdy zostaniesz królem.

— Nie będę królem. Zabiję cię tu, gdzie leżysz, za krzywdy wyrządzone ludowi mojej matki, za okrucieństwa, których na twój rozkaz dopuściłem się wobec niezliczonych innych, podobnych do niej, choć wyjeżdżali pod białymi flagami.

Król wybuchnął śmiechem, długim i tubalnym.

— Synu mój, synu. Jak myślisz, w jaki sposób ja zostałem królem? Ja też wyciąłem serce ojcu, gdy leżał pogrążony we śnie...

Opowieść króla

Jego twarz ze spuchniętym nosem była taka tłusta na poduszce jak plaster mięsa na białym obrusie, pokryta pajęczą siecią czerwonych żyłek. Od lat nie spał w jednym łóżu z moją matką — ale przecież nikt tego nie robił. Chyba naprawdę wolałbym, żeby miała kochanka. To by znaczyło, że zna ludzkie uczucia. Nigdy nie wpuściła nikogo między swoje nogi; spała co noc w nędznym starym wyrku w nędznej starej wieży, a mój ojciec wylegiwał się w wielkim hebanowym łóżu z baldachimem, przeznaczonym dla dziedzica i jego małżonki.

Nie wiedziałeś? Mój ojciec nie był królem.

W najlepszym wypadku wiejskim baronem — w niektóre zimy świnie i krowy spały w wielkiej Sali biesiadnej, żeby nie zdechły od razu. Ich smród sięgał krokwi i wisiał tam jak zbryzgany łajnem kandelabr. Moja matka zasługiwała na coś lepszego. Ja zasługiwałem na coś lepszego. Często patrzyłem na jej profil na tle okna i zastanawiałem się, jak mogła wyjść za ten worek cebuli i świńskich ryjów, zwany przeze mnie ojcem. Słyszałem od sług, że nie zawsze był taki nic niewart. Zanim matka zamknęła usta z rozpaczy, dwór był bogaty i krowy spały na trawie, gdzie ich miejsce.

Ale stało się, jak się stało. Matka nic nie mówiła. Nigdy nie wyrzekła słowa. Milczała jak mniszka od pierwszego dnia, gdy zabrano moją siostrę.

Byłem oseskiem, gdy znikła, i nigdy jej nie poznałem. Ale jej nieobecność krążyła po domu niczym głodny pies. Dziura zajęła jej miejsce przy naszym stole, zapadnięta i pochylona w

zatechłym powietrzu; jadła, piła i patrzyła nam wszystkim na ręce.

Moje siostry wyszły za mąż zanim nauczyłem się arytmetyki. Dorastałem samotnie w tym milczącym domu, nie mając niczego poza śmierdzącymi krowami, niemą matką i dziurą. Nawet mój ojciec nie chciał spędzać dni we dworze; przebywał na polach, kierując koszeniem siana i rozmnażaniem kóz, aż robiło się na tyle ciemno, że mógł wrócić przez nikogo nie niepokoiony. Ale mimo to dziura odpowiadała na dzwonek, gdy dzwonił, i musiał czmychać do łóżka ze spuszczoną głową, żeby nie spojrzeć jej w oko.

Uznałem, że nikomu nie będzie go brakowało. Był głupcem, słabym jak owca po stryżeniu, a ja wkroczyłem w wiek męski, gotów zostać baronem, łaknąc tytułu, zmęczony walącym się wokół nas domem, podpartym tylko przez dziurę w powietrzu, przez pustą przestrzeń. Chudopacholek w rodzaju mojego ojca zawsze cieszy się dobrym zdrowiem, więc wiedziałem, że jeśli chcę objąć baronię, to muszę ją zdobyć.

Nie byłem nawet zbyt cichy, idąc po schodach do jego pokoju. Tupiałem jak słoń — kogo w tym martwym domu będzie obchodziło, jeśli o świcie kolejne martwe stworzenie obróci się brzuchem do góry? Ale dziura tam była. Czuję ją, szarpiącą mnie za rękawy z siostrzaną dezaprobatą. Gdybym ja tu była, westchnęła dziura ze smutkiem, w domu nie byłoby ciszy i nie musiałabyś zmuszać ojca do krzyku tylko po to, by wiedzieć, że żyjesz.

Ojciec jednak nie krzyknął. To było łatwe jak cięcie mięsa na pieczeń. Bez jednej myśli wbiłem nóż w jego serce, wielkie jak u wołu. Po prostu to zrobiłem i wydawało się to najbardziej naturalną rzeczą w świecie. Zabijanie powinno być trudniejsze

pomyślałem. Otworzył oczy i zacharczał, nie głośniej niż cielę, gdy wali się je w czaszkę przed letnią biesiadą. Nie wrzasnął; nie byłem żywy.

Ale byłem baronem.

Matka patrzyła, jak schodzę po schodach, wycierając krew na spodniach. Patrzyła, jej usta były wąskie i bezbarwne, ale nie powiedziała słowa. Nigdy nic nie mówiła.

*

Baronia rozkwitła pod moimi rządami, jak się spodziewałem. Pola dały ziarno, drzewa dały cydr, świnie spały w błocie w kojcu i obrastały tłuszczem. Kurz został wymieciony ze wszystkich kątów wielkiej sali i długie białe proporce zwisały z wyszorowanych krokwi. Ludzie wrócili do zamku, była muzyka i tańce, gdy lato okiełznało wiosnę.

Dziura nie powróciła.

Wreszcie nadszedł czas, bym wybrał sobie żonę. Naprawdę o to nie dbałem, ale słyszałem, że ożenek to wielkopańska sprawa, a ja już się zastanawiałem, jak sięgnąć po koronę, tak jak inni rozważają przeprowadzkę do większego domu nad morzem. Król musi mieć królową. Baron musi mieć baronową. Zajrzałem do rodzinnych ksiąg, zatłuszczonych i brudnych, i dowiedziałem się, jak moja matka poślubiła ten worek cebuli i świńskich ryjów.

W naszej ciemnej, żłopiącej piwo rodzinie żonę zdobywa się w konkursie, nie w konkurach. Mamy pas ze złota i jaspisu, przekazywany z babki na wnuczkę, i następna pani domu musi pasować do pasa, w przeciwnym razie nie będzie mogła spać w wieży i ignorować męża przez dwadzieścia lat. Żółtookie przesady i głupota zawsze żyją dłużej niż ród, który je stworzył.

Zdjąłem pas z kibici matki. Nic nie powiedziała. Nigdy nic nie mówiła.

Kiedy rozesłałem wezwania do młodych kobiet, żeby przybyły i przymierzyły pas na biodra, matka zamknęła się w wieży i nie chciała wyjść, choć wiele słodkoliczych panien błagało, żeby odryglowała drzwi. Zamknięta, nic nie mówiła.

Procedura ciągnęła się tygodniami. Przychodziły panny, tańczyły pod moimi drzwiami, jasno — i ciemnowłose, w sukniach wszelkiego wyobraźnego koloru i kroju: łańchmany i turniury, aksamity, muśliny i prosta bawełna przewiązana sznurkiem. Zakładałem złoto i jaspis na tuziny kibici, zapinałem pas pod tuzinami pąsowych policzków. Zsuwał się z ich bioder albo ścisnął je, aż nie mogły oddychać — żadna nie pasowała do pasa; odpowiednia kobieta nie mieszkała w mojej okolicy.

Zrobiłem, co dyktowała logika. Wszedłem po długich kręconych schodach do wieży matki, muskając pas ręką, patrząc, jak nagle światło pełga po zmatowiałych klejnotach. Stałem przed grubymi dębowymi drzwiami okutymi brązem i zapukałem grzecznie jak zalotnik.

— Matko — rzekłem. — Pas nie pasuje na żadną.

Odpowiedziała mi cisza.

— Matko — rzekłem. — Muszę się ożenić.

— Odpowiedziała mi cisza.

— Matko — rzekłem — pas pasuje na ciebie. — Och, nie rób takiej zszokowanej miny. Moralność ustępuje przed królem, a cnota brudnych hodowców bywała mnie nie interesuje.

Zza drzwi dobiegło szuranie i szelest. W końcu położyłem kres tym bzdurom, jej dziecinnyemu napadom złości, chowaniem się jak krab w szkarłatnej skorupie. Przyłożyłem ramię do

zawiasów — nigdy nie byłem słabeuszem i brąz ustąpił po ledwie dwóch ciosach. Wygiął się ze zgrzytem i pękł. Moja matka siedziała na łóżku pośrodku zakurzonego pokoju, okręcona prześcieradłami, ubrana w podartą i za małą fioletowo-czarną suknię, ze splątanymi, zbitymi włosami, które spadały na zapadnięty materac.

Na jej kolanach leżała dziura.

Skraje dziury trzeszczały i zawijały się w sposób, jakiego nigdy nie widziałem, dziwne srebrne światło obrzeżało sylwetkę długowłosej dziewczyny, która leżała na kolanach matki. Nie było tam nic, jakby dziewczyna została wydarta z powietrza, pozostawiając tylko sugestię dawnego wyglądu, dawnej postury. Do tego ranka wszystkim, co widziałem z dziury, była jej nieobecność; to coś tutaj miało ciężar i substancję. Ciężar, substancję i światło. Nic tam nie było, ale to nic lśniło matowo, a matka gładziła kontury niczego.

— Ja ją stworzyłam — powiedziała chrapliwym, poskrzypującym głosem, jak wyważane siłą zaklinowane drzwi. — Stworzyłam ją, gdy on zabrał twoją siostrę. To były moje ostatnie czary.

— Czary! — parsknąłem drwiąco.

— Kazałam jej chodzić po domu jak ona, by jadła, spała i śmiała się jak ona. Ale, jak ona, wciąż przychodziła tutaj i schodziła na dół tylko po to, by oglądać, jak rośniesz, by patrzeć, jak się bawisz, marszczysz brwi i śpisz.

— To nic, matko. Mniej niż powietrze.

Jęknęła żałośnie.

— To nie ona, wiem, nie jestem obłąkana, ale kiedy śpię, obejmuje mnie lekkimi jak powietrze rękami i wtedy niemal

czuję zapach jej skóry. Tęsknię za nią. Tak bardzo za nią tęsknię. A gdy zabiłeś ojca, pozwoliłam jej zostać tutaj.

Wzruszyłem ramionami.

— Chciałem być baronem. Nie będę za to przepraszał. Ojciec pozwolił, by ten dom popadł w ruinę, zaniedbał też ciebie. A ty poślubiłaś go tylko z powodu złotego pasa.

Spojrzała na mnie gniewnie spod zmierzwionych loków.

— Będiesz wierzył, w co zechcesz, Ismailu. Pasy, obroże są tylko pretekstem, żeby wziąć kobietę, której się pragnie od samego początku, bez proszenia ją o zgodę.

Spuściłem oczy, wbiłem je w spaczony przez wilgoć deski. Nie ze wstydu, zauważ, ale ponieważ uznałem, że tak powinien postąpić dobry syn w tej sytuacji.

— Pas nie pasuje na żadną inną.

Matka wsparła rękę na biodrze dziury. Jej twarz obwisła, coś uciekło z niej bezpowrotnie jak ślimak morski, który wysycha na piasek i pozostaje tylko pusta muszla.

— Jeśli nie możesz wymyślić powodu do wyłamywania drzwi, żeby zaproponować coś, na co nawet król by się nie poważył...

— Byłoby lepiej, gdybym był królem, matko? — wybuchłem, przepychając się przez dziurę na łóżko i chwytając ją za spowite fioletem ramiona. Jakże była chuda! — Gdybym był królem, czy dygnęłabyś, włożyła gronostaje i zatańczyła na naszym weselu? Znasz prawo rodziny. Lepiej zwiąż się ze mną niż z tym odrażającym tworem kuglarskich sztuczek, zamknięta z nim w dzień i w nocy! Nie będę przepraszał za ojca i nie będę przepraszał za ciebie. Na tym świecie wszystko zdobywa się siłą, nauczyło mnie tego życie w martwym domu, gdzie nic się nie dzieje, bo tu mieszkają martwi!

Zaczęła się śmiać, histerycznie, rozchwiana jak wysadzone z zawiasu drzwi swego pokoju.

— Tak, tak, gdybyś był królem, ożenek byłby zgodny z prawem. Królowie robią, na co mają ochotę, królowie i czarnoksiężnicy, ich nie obowiązują prawa! Biorą i biorą, i jakie to ma znaczenie? Nikt nie pyta o zabranych, popadają w niepamięć, znikają bez śladu i wszyscy zapominają, po prostu zapominają. — Popatrzyła na mnie, jej oczy nagle stały się chytre jak ślepia lisa na widok myszy. — Wezmę udział w twojej grze, mój Ismailu, ale będziesz musiał dokonać honorowego czynu. Tak robią młodzi ludzie, gdy się zalecają, jeśli dobrze pamiętam.

Puściłem ją delikatnie. To wszystko? Wystarczy przynieść jej róże albo smoczą łuskę z najdalszych wysp, a ona zrezygnuje z walki?

— Co mam zrobić? Miejmy to za sobą jak najszybciej.

— Przynieś mi głowę i obrożę, i jakiegokolwiek chcesz części ciała czarnoksiężnika, który zabrał twoją siostrę.

Cóż, zabijanie to łatwa robota. Podniosłem się z łóżka i dziura znów zestaliła się w miejscu, które przed chwilą zajmowałem. Skłoniłem się matce w najbardziej dworny sposób.

— Do usług, pani Jolando.

*

Nie marzyłem o poślubieniu matki, rozumiesz. Gdyby inna dziewczyna pasowała do pasa, wziąłbym ją z wielką chęcią. Ale gdy człowiek zajmuje pewną pozycję, musi przestrzegać protokołu, i wiedziałem, że uczestniczenie w ceremoniach i tańczenie na balach nie będzie dla niej zbyt straszne. Na pewno mniej straszne niż dzielenia łoża z ostatnim mężem co było

konieczne do spłodzenia dziedzica. Nie byłem szczęśliwy, że muszę ruszyć w drogę i zabić czarnoksiężnika — wszak nie wyrządził mi żadnej krzywdy, tyle że uprawiał niemiłe mi rzemiosło — ale czymże jest szczęście? Na pewno nigdy go nie spotkałem.

Oczywiście wiedzieliśmy, gdzie mieszka czarnoksiężnik, który zabrał moją siostrę — najmarniejsza dusza w okolicy wiedziała, gdzie Omir trzyma swoją laskę i retortę. Nikt jednak nie żąda zwrotu córki od człowieka takiego pokroju, zwłaszcza gdy jest on związany z królem, który władał nami w owych czasach.

Pałac królewski otaczały głębokie lasy, w których pnie stały gęsto i trzeszczały jak grzbiety staruszek. Opływały go dwie rzeki o dziwnej wodzie, jedna czarna i jedna biała. Idąc przez mosty, spojrzałem w nurt czarny odbijał moją twarz jak zbocze martwego wulkanu, lśniąca w płaszczyznach pomiędzy zmarszczkami. Widziałem dość przystojne oblicze młodego człowieka, który nie był księciem, ale w wyjątkowo słoneczny dzień mógł zostać wzięty za księcia.

Biała rzeka niczego nie pokazywała, czysta i matowa jak mleko.

Niewiele wiedząc o zabijaniu, gdy nie sprowadzało się do prostej kwestii sypialni i noża, poprosiłem o audiencję. Co było do przewidzenia, kazano mi czekać. Zająłem się sobą najlepiej, jak potrafiłem, i korzystałem z nowego dla mnie życia: sypiałem w odpowiednich pokojach, jadałem przy odpowiednich stołach, odziewałem się w odpowiednie stroje.

Codziennie chodziłem popatrzeć na rzeki.

Wreszcie wezwano mnie do wysokiej komnaty audiencyjnej, zapowiedziano jako Ismaila z baronii Baqarah — dziwnie było

słyszeć własne imię z ust znudzonego herolda! — po czym stanąłem przed królem i jego ulubionym niewolnikiem. Król spożywał południowy posiłek, śliniąc się do siana w złotym żłobie, oburącz napychając usta trawą.

Potworne. Sprzeczne z naturą. Ludźmi władało zwierzę! Zdusiłem pragnienie zwymiotowania na wyłożoną srebrnymi płytami podłogę.

Cisawy, centaur król Ośmiu Królestw, popatrzył na mnie, uginając przednie nogi, żeby móc jeść do syta. Kasztanowy ogon smagnął powietrze. Żdźbła siana wciąż tkwiły w brązowej brodzie.

— Och — chrząknął — to ty.

Za nim stał czarnoksiężnik w źle dopasowanej niebiesko-brązowej szacie i ciężkiej żelaznej obroży, która ciążyła mu jak pokuta. Przenosił niepewne spojrzenie z człowieka-konia na mnie.

— To on, prawda, Omirze? — rzekł centaur, z niejakim trudem podnosząc znad żłobu wielkie końskie ciało. Kopyta stuknęły po posadzce, gdy szedł, zwrócony do mnie prawym bokiem, z lewym pogrążonym w cieniu. Jego brązowa sierść przechodziła w bladą skórę, która chyba rzadko widywała słońce, i nie miał nic na sobie, jak możesz się spodziewać. W sali audiencyjnej brakowało tronu — co miałyby tutaj robić? — i Cisawy spoczął na stosie różowych poduszek. Przypuszczam, że dla konia były równie dobre jak tron dla człowieka.

— Tak, panie, chyba tak.

— Przepraszam, a kim miałem być? — zapytałem, kompletnie zbity z tropu. Zabijanie powinno odbywać się w ciemności, w ciszy, ja zaś stałem w komnacie, która nie mogłaby

być jaśniejsza, gdyby jej posady tkwiły w samym słońcu, i co gorsza, nie przybyłem niespodziewanie.

Ze znudzoną miną na szerokiej jak księżyc twarzy Cisawy podrapał się po grzywce.

— Omir powiedział mi, że się zjawisz, ty, który mnie zastąpisz...

Opowieść o sercu z ośmioma komorami

Zanim mój dziadek wyszedł na pastwisko, ktoś mądrzejszy ode mnie zdecydował, że Osiem Królestw, różnorodnych pod względem mieszkańców jak łąka dziesięciu tysięcy źdźbeł trawy, nie może być rządzone przez mężczyzn i kobiety. Nadawali się na szlachtę, z całą pewnością, do liczenia rzeczy i rozdzielania rzeczy, ale czy można im powierzyć mówienie i działanie za nas, za drugi naród, naród potworów?

Oczywiście, nie można.

Wybór padł na centaury, gdyż stały pomiędzy łóżkiem a stajnią, pomiędzy ludźmi i zwierzętami, pomiędzy dziczą a cywilizowanym światem. Poza tym, jakby zrządzeniem opatrności, nasze wielkie serca, konieczne do służenia takim wielkim ciałom, mają po osiem komór, po jednej na każde królestwo. I tak przez wiele pokoleń centaury sprawowały władzę, jedne źle jak niewyszkolone ogiery, inne dobrze jak poczciwe wałachy. Tak to już jest z władcami; nigdy nie byliśmy wolni od przywar. Ale patrząc na ludzkich królów przed nami, nauczyliśmy się, że przekazywanie korony synom i córkom jest głupie jak karmienie wilka wodorostami. My wybieraliśmy naszych władców w sposób bardziej odpowiedni do naszej siły: w wyścigu.

O rześkim poranku usianej jabłkami jesieni zająłem miejsce przy linii startowej. Moim rywalem była Jabłkowita, wysoka, przystojna klacz z piersią tak szeroką, że nie mógłbym jej objąć

rękami, nawet gdyby zrobiły się dwa razy dłuższe. Trochę się martwiłem, bo choć rączy, nie byłem najsilniejszy w stadzie, a moja pierś wyglądała chuderlawo w porównaniu z tym muskularnym blokiem oddechu i kości.

— Idealny dzień na wyścig — zadudniła Jabłkowita z aprobatą, grzebiąc ziemię jasnymi jak perły kopytami. — Mam nadzieję, że zamierzasz walczyć na poważnie; nie chciałabym zostać królową tylko dlatego, że dostałeś kataru. — Uśmiechnęła się do mnie promiennie; był to zwycięski uśmiech ujęty w grzywę srebrnych włosów. Lubilem ją, pomimo naszej sytuacji. Dobrze pachniała, jak liście brzozy, lucerna i wartkie strumienie.

Zasady były następujące: ci, którzy pragnęli władać, stawiali się na linii startu — a chciało niewielu, gdyż centaury są powściągliwe, stronią od innych i mają za nic przywileje władzy, co było kolejnym powodem uznania nas za odpowiednich do rządzenia — i każdego z nich zaprzęgano do pług. Obok stawiano inny pług i miejscowy mag albo wybrany do tego wróż czarował lemiesz, żeby sam się ciągnął. Koń, który pokonał samodzielny pług i rywali, zdobywał koronę; ci, którzy najlepiej orzą ziemię i sprawiają, że zakwitnie, doprowadzą również królestwa do rozkwitu.

Było nas tylko dwoje, gdy tego jesiennego ranka stanąłem obok Jabłkowitej, żeby spróbować sił w wyścigu o panowanie. Za każdym razem, gdy odbywał się wyścig, niewielu z nas stawiało się na linii startu. Koniec końców, centaury wolą pastwisko i zabawę, brykanie i tarzanie się w trawie. Ja jednak nie byłem powściągliwy ani nie gardziłem władzą. Nie należałem do najmądrzejszych koni, które kiedykolwiek ścigały się z wiatrem, ale byłem bardzo głodny — w owych czasach

byłem taki głodny. Korona wydawała się śpiewać, szeptać i nęcić mnie ze swych wyżyn, zawieszona na gałęzi drzewa po drugiej stronie pola. Migotała, połyskiwała i wzdychała, że pragnie spocząć wyłącznie na mojej głowie. Też mi się podobała; zasługiwała na mnie.

Pomruk tłumu i bicie kopyt przerwało moje rozmyślenia. Na pole przybył czarnoksiężnik, wlokąc pług skrzący się jak oczy żrebca w słońcu. Jego długie czerwone szaty błyskały i łopotały na porannym wietrze.

Nie miał obroży.

Był w nieokreślonym wieku i zadzierał nosa, wyraźnie obznajomiony z krzesłami i ołówkami, dobrze odziany i porządnie obuty — ale nie miał obroży. Nie wiedzieliśmy, jak na niego patrzeć, jak się do niego zwracać, jak on do nas pasuje.

Wyczytał to wszystko z naszych spojrzeń, idąc dziarskim krokiem. Gdy się zatrzymał, zaczął nacierać lśniący pług proszkami i olejami, mrużąc do niego jak do ulubionego psa, muskając lemiesz długimi palcami o zgrubiałych kłykciach. Kiedy skończył, pług nie lśnił, ale ociekał złowrogimi kolorami, ochrą, onyksiem, brunatną czerwienią. Czarnoksiężnik przywołał mnie z pozycji startowej, żebym sprawdził wynik jego pracy, jakby chodziło o wyjątkowo skomplikowane zadanie arytmetyczne. Potruchtalem, mając zamiar jak najszybciej obwąchać obrzydliwe mazidła i oznajmić dobrą robotę. Wciąż byłem prostym koniem — co wiedziałem o magii poza tym, że brzydko pachniała?

Kiedy pochyliłem się nad pługiem, odganiając muchy ogonem i drapiąc się po potylicy w wielce mądry sposób, czarnoksiężnik podniósł znad lemiesza i odkładnicy ciemnookie, ściągnięte oblicze i tak cicho, że wziąłem szept za brzęczenie pszczoły w

moim uchu, tak cicho, żeby nikt prócz mnie nie usłyszał, zaproponował:

— Mogę ci dać, czego pragniesz.

— Co? — spytałem o wiele za głośno. Jabłkowita spojrzała na mnie przez tłum impertynenckich źrebaków, które próbowały zmierzyć jej wysokość i szerokość. Jej naga końska pierś była gładka i wydęta, gdy brykała, jej dumne kobiece piersi połyskiwały w szarości. Parsknęła i uniosła srebrzystą brew. Zakaszlałem teatralnie i uśmiechnąłem się do niej, pociągając nosem — parsknęła śmiechem potężnym i szerokim jak jej pierś, śmiechem bliskim hukowi pękających beczek.

— Dam ci, czego pragniesz: zwycięstwo w wyścigu, koronę — znów usłyszałem ten głos, cichszy niż bzyczenie muchy w ogonie roczniaka. Jesteś dość szybki, żeby przegonić pług, to pewne jak deszcz w zimie, lecz jej nigdy nie pokonasz. Spójrz na te barki, są jak nakrapiane głązy! Jest lepszym koniem od ciebie, lepszym biegaczem; prawdopodobnie byłaby lepszym monarchą. Ona jednak nie da mi tego, czego chcę; widzę to w jej kłębie, kopytach, włosach, wysuniętej szczęce. Należy do tych, którzy myślą, że cnota z łatwością zasiądzie na tronie. Ale ty wiesz, jak naprawdę świat jest urządony.

— Czego chcesz? — Tym razem byłem cichy jak mysz pod miotłą, uważnie przyglądając się przygotowaniu pługa.

— Ha, ciebie, mój drogi Cisawy! Jesteś cenny wśród stworzeń, musisz o tym wiedzieć... — Udał, że zacieśnia złącza, i odgarnął spocony kosmyk włosów z twarzy.

— Nie byłem tego szczególnie świadom — odparłem.

— Stoisz w połowie drogi pomiędzy człowiekiem a zwierzem, wskutek czego idealnie odpowiadasz moim celom. Pozwól mi w spokoju i bez przeszkadzania uprawiać moją sztukę. Pomagaj

mi od czasu do czasu w drobnych sprawach, a wygram dla ciebie ten wyścig.

Myślałem szybko jak królik ścigany przez lisa.

— Nie masz obroży.

Zacisnął szczęki.

— Nie. Dobry los mnie uwolnił, upajam się jej brakiem. Niewolnictwo jest grzechem.

Myślałem tak szybko, jak tylko potrafię. Zaproponował dobry targ, ale wiedziałem, że będzie chciał więcej, niż twierdził teraz. Wytarłem spocone ręce o sierść.

— Jeśli zostanę królem i przyjmę do służby czarnoksiężnika, układ będzie uczciwy tylko wtedy, gdy on zwiąże się ze mną, gdy zostanie moim douliosem. W innym wypadku jak miałbym mu zaufać? Co go powstrzyma od pocięcia mnie na kawałki, gdy mu się sprzeciwię? Cnota nie może zasiadać na tronie, powiadasz? Cóż, w takim razie grzech może się tam wygodnie umościć.

Skrzywił się i mogłem zobaczyć, że zgrzyta zębami pod cienką jak welin skórą. Błagalnie popatrzył w niebo i spuścił oczy na swoje ręce, które otwierały się i zamykały jak parzone żelazem do wypalania piętna. Ramiona drżały pod szkarłatną szatą, nagle jakby mniej jasną i wesołą. Przyłożył palce do szyi, niemalże z roztargnieniem gładząc bladą, lepką skórę.

— Tak — wychrypiał — doskonale. Tak. Włożę ponownie obrożę, jeśli oddasz mi siebie. To uczciwa cena. Damy się sobie wzajemnie.

Uderzyłem w ziemię kopytem.

— Co... co z nią zrobisz? To nie będzie zbyt straszne, prawda?

W mniej czasu, niż jętka potrzebuje na machnięcie skrzydełkami, smutek zniknął z jego oczu, ustępując

wygłodniałej radości gorąckrwistego ogiera.

— Niezbyt straszne, nie. Sprawię, że serce wybuchnie jej w piersi, jedna komora po drugiej.

Spojrzałem na Jabłkowitą, piękną w jesiennym świetle, rozkoszującą się grudką cukru w czerwonych ustach. Jej długie włosy skrzyły się jak wiosenna ulewa, a brzuch połyskiwał najdelikatniejszą bielą. Lubilem ją, bardzo ją lubilem. Ale przed nią lśniła korona i śpiewała, jakże powabnie śpiewała!

— Nie. — Ledwo mogłem mówić. — Niezbyt straszne.

*

Jabłkowita żartobliwie trąciła mnie nosem, gdy wróciłem na przybraną girlandami pozycję startową.

— Obiecuję, że pozwolę ci zostać w roli mego małżonka — powiedziała przekornie. Jej gładkie, rozebrane do wyścigu ciało lśniło niczym zbroja. — Jestem słodsza niż jabłka, cukier i żółdzie po deszczu, to też ci obiecuję.

Skwitowałem jej brawurę szerokim uśmiechem, jak wypadało, i po przyjacielsku poklepałem ją po zadzie. Moje palce usmarowane były cuchnącym szarym mazidłem, które dał mi czarnoksiężnik. Nie będzie go widać na skórze, powiedział, i nikt nie będzie mądrzejszy. Jabłkowita zarumieniła się z przyjemności — a rumieniec pod srebrną skórą to widok nie byle jaki.

Ryknęły kościane rogi i ruszyliśmy, pędząc szybciej niż jakikolwiek koń pod jeźdźcem, a samociągający się pług podskakiwał obok nas, rysując długą, równą bruzdę w żyznej glebie, która odkładała się w pomarańczowych skibach.

Przez parę sekund myślałem, że wygram o własnych siłach — jestem rączy, najszybszy z całej mojej kasztanowatej rodziny, a czasami smuklejszy koń zwycięża kolosa. Moje kopyta tętniły szybko na kamykach, ale Jabłkowita tylko oszczędzała siły. Przyspieszyła ze śmiechem, który wstrząsnął wiązami i świerkami, i klepnęła mój zad z życzliwą uciechą, gdy mnie wyprzedzała.

Serce wezbrało w mojej piersi, jakby harmonizowało z jej sercem — czy czarnoksiężnik dotrzyma słowa? Była tak daleko przede mną, że widziałem tylko jej siwo-biały ogon. A potem się potknęła.

Poczułem to we własnej piersi, maleńkie echo tego, co w jej piersi musiało być wstrząsającym niebiosami grzmotem. Czułem, jak kolejne komory jedna po drugiej kurczą się niczym ręka nagle zaciśnięta w pięść. Jeden, dwa, trzy, cztery. Pięć, sześć. Siedem. Osiem. Jabłkowita runęła na tor wyścigowy ze strasznym głuchym łoskotem i kamyki wzniosły się wokół niej niczym fala.

Pędziłem przed siebie. Wyprzedzałem pług o całą końską długość. Nie patrzyłem na Jabłkowitą, gdy mijałem ciało, już otoczone przez zatroskanych przyszłych żałobników. Przeciąłem linię mety. Korona śpiewała tak głośno, tak głośno. Chwyciłem ją oburącz, jej głos był czysty jak cukier i jabłka, i jak żołądzie po deszczu.

*

Kiedy spaliliśmy zwłoki Jabłkowitej, jak centaury mają we zwyczaju, wygłosiłem płynącą z serca długą mowę pogrzebową — byłem królem, opłakiwanie poległych należało do moich obowiązków. Próbowałem nie krztusić się w powietrzu

przepełnionym zapachem jej mięsa. Czarnoksiężnik Omir przyszedł do mnie, gdy zagrabiono popioły, i popatrzył na zwęglone kości.

— Będziesz ostatnim królem centaurem. Uznałem, że powinienem o tym wspomnieć. Może gdybyś nie był bestią, do której śpiewa korona, byłoby po tobie więcej królów z waszego plemienia. Korona nie śpiewała do Jabłkowitej, lecz gdyby śpiewała, nie wybrałbym ciebie, a to musiałeś być ty, bo tobie jest pisane smutne miejsce ostatniego w długiej linii końskich władców. Pomożesz mi i podbijesz ludzi, którzy będą mi pomagać. Po tobie nastaną ludzcy królowie, a ja już wiem, z jakiej gliny ulepieni są ludzie. Będziesz w kwiecie wieku, gdy przyjdzie do ciebie młody, wygłodniały człowiek, który wyruszył spełnić niesłychaną misję, wbije nóż w osiem komór twego serca i obejmie rządy po tobie.

Z nieba zaczęły powoli spadać duże krople deszczu, gasząc ostatnie żarzące się węgielki Jabłkowitej.

— Idziemy? — zapytał czarnoksiężnik z szerokim uśmiechem.

Opowieść króla, ciąg dalszy

Król centaur pogrążył się w zadumie.

— Chciałem być dobrym królem — mruknął — naprawdę chciałem. Ale musiałem stłumić bunty, zbierać podatki, odpierać wrogów na granicach. Obowiązki stały się zbyt liczne, żeby dźwigać je na grzbiecie wraz z cnotą. Cnota ciąży w siodle, rozumiesz.

Wstał ze stosu poduszek i po raz pierwszy ujrzałem go całego, zobaczyłem jego lewy bok, dotychczas ukryty w cieniach i różowym jedwabiu. Był mapą blizn, szram i brakującego ciała, stare i nowe skaleczenia krzyżowały się na zadzie tak gęsto, że nie zostało nic skóry, tylko powęźlone ciało. Brakowało długich pasów mięsa, po prostu znikły, zebrane z niego do czysta jak śmietanka z miski. Wszystkie żebra miał połamane. Jedno kopyto było kruche i dziurawe jak plaster miodu, pęcinę pokrywały strupy licznych ran. Oszczędzał okaleczoną nogę i strasznie utykał. Przykuśtykał do mnie i skłonił głowę, odgarniając rzadkie brązowe włosy z pobrużdżonego czoła.

— Powiedz mi... jesteś Ismail, prawda? Powiedz mi, Ismailu, jak cnota pasuje do zadania, które niesiesz w sakwach?

— Lepiej — szepnąłem — niż do sprzecznego z naturą stworzenia, które pozwala krajać się niewolnikowi, aż traci władzę w nogach.

Spojrzał w dół, jakby do tej chwili nie zauważył skatowanego boku.

— O tak. Taki ma ze mnie pożytek. Zauważ, bierze ciało tylko z końskiej części albo, jeśli mam szczęście, z miejsca, gdzie styka się koń i człowiek. Nie przypuszczam, żebyś ty podobnie się przydał. Rad jestem, że przyszedłeś, aby się dokonało. Ostatecznie następcy są następcami. Jestem pewien, że obaj znajdziecie w sobie coś pożytecznego, bo ja, szczerze mówiąc, mam dość bycia użytecznym.

Zerknąłem na Omira. Zwarliśmy się wzrokiem, kamień stał się ze stalą, żaden z nas nie był speszony ani zawstydzony. W tej chwili znaleźliśmy wzajemne zrozumienie i wszelkie myśli o matce wywietrzały mi z głowy jak para, która wznosi się z obrzeżonego przez śniegi jeziora. Niech zgnije w swojej wieży z po trzykroć przekłętą dziurą. Nie potrzebowałem jej; potrzebowałem jego.

Omira sięgnął w fałdy ciemnej szaty, wyjął długi nóż i mi podał. Ostrze zalśniło w świetle, które wpływało przez rżnięte szyby okna. Nie wiedziałem, że można w ten sposób zabijać — jawnie, za przyzwoleniem wszystkich. Przypominało to niemal uczestnictwo w kościelnym nabożeństwie i byłem przejęty jak dziecko, które służy przy swoim pierwszym ołtarzu.

Podniecenie śpiewało we mnie jak korona.

Podszedłem do króla centaury, poklepałem go po łopatkę jak jeździec nerwowego wierzchowca. Nie odsunął się, napotkał moje spojrzenie, twarde jak jądro pnia i żelazo.

— Potwór — syknąłem i wbiłem nóż po rękojeść, trafiając prosto w serce. Wyrwałem ostrze i uderzyłem znowu. Jeden, dwa, trzy, cztery. Pięć, sześć. Siedem. Osiem.

Cisawy uśmiechnął się i padł na podium z głuchym łoskotem, ciężkie kości zagrzechotały na marmurze.

Opowieść o księciu i gęsi, ciąg dalszy

Leander patrzył na ojca leżącego w wielkim pustym łożu, posiwiąłego na skroniach, z twarzą porytą zmarszczkami, których z pewnością nie zrodził śmiech. Jego oczy migotały w przyćmionym świetle.

— Omir i ja uznaliśmy, że możemy się sobie przydać. On nie zdjął obroży, ja nie kazałem go spalić. Jemu zależało na koniarzach i ich wiedźmie, mnie na czarnoksiężniku, żeby sprowadzał deszcz i suszę, gdy tego chciałem, żeby truł, kogo chciałem, i żeby niszczył, co chciałem. Dokonaliśmy wielkich czynów, razem podbiliśmy lud koniarzy, z pewnością równie sprzecznych z naturą jak centaury. Nigdy nie lubiłem magii, ale jego tolerowałem, i tym go sobie kupiłem. To uczciwy targ, skoro żaden z nas nie był zainteresowany krojeniem mnie jak polcia wołowiny — równie uczciwy jak targ ubity z krajem, który nagiął się mojej woli na ile tylko możliwe. Zasiadłem na tronie nie po to, by być kochanym i sprawiedliwym, lecz silnym.

— Król może być lepszy — powiedział książę.

— Tak wszyscy zaczynamy, zdecydowani poprawić dokonania naszych ojców, przekonani, że możemy zmienić samą naturę ludzkości, polepszyć ją, uczynić czystsza. Ale potem sztylety uderzają w nocy i chłopci się buntują, a wówczas popełnianie największych okropności staje się chlebem powszednim. Tylko książęta wierzą w większe dobro. Królowie wiedzą, — że liczy się jedynie władza, w jej święte imię można

dopuszczać się różnorodnych zbrodni. A teraz powiedz, zamierzasz poderżnąć mi gardło czy wolisz bardziej intymną metodę, jak uduszenie? Może mam garotę w szufladzie.

— Nie — odparł Leander. — Nie zabiję cię jak złodziej, który zakrada się w nocy.

Król znów wybuchnął śmiechem, cichym i życzliwym, jak gdyby czytał synowi historię przy blasku ognia.

— Nie, Lenadrze. Złodzieje nie są tacy źli, a zabójcy noszą wszelkie możliwe kostiumy. Nie ma śmierci, nie ma mordy, który byłby lepszy od innych. Jeśli zamierzasz mnie zabić, metoda nie ma większego znaczenia. Chcesz zamordować rodzzonego ojca i myślisz, że przez następnych siedemdziesiąt lat będziesz mógł spać spokojnie, gdy sobie powiesz, że zrobiłeś to honorowo. Ale twój honor będzie splamiony przez ojcobójstwo i żadne górnotłone frazesy nigdy go nie wybielą. Czekasz na spowiedź, żeby twoja dusza pozostała czysta? Dobrze. Wszystko, co powiedziała dziewczyna, jest prawdą, a o wielu sprawach nie słyszałeś. Mam więcej krwi na rękach niż ty przelejesz przez całe życie. Noszę ją z dumą. To moja korona i moje berło. Gdybyś tylko ty miał taki cel, taki zapal. Ale nauczysz się, jak my wszyscy. — To rzekłszy, dystyngowanym ruchem odrzucił różowe okrycie. Leżał w łóżku w pełnym stroju, odziany w skórzany pancerz i spodnie, brązowy od stóp do głów jak koń cisawej maści. — Potrzebujesz broni? Czyżbyś naprawdę przybył nieprzygotowany? Ojcowska praca nigdy nie ma końca. Ale przynajmniej tutaj nie ma żadnych braków. — Wyciągnął sztylet spod materaca, światło ognia skoczyło wzdłuż długiego ostrza.

Leander wziął broń w odrętwieniu, ledwo widząc rękojeść wsuwającą się w palce. Pomyślał, że odkąd opuścił pałac tamtej

dawnej nocy, nic nie działo się zgodnie z jego przewidywaniami. Usiadł blisko ojca, tak blisko, że czuł zapach jego suchej skóry, podobny woni spalonego piasku.

— Prze... przepraszam.

Ismail z Ośmiu Królestw przewrócił oczami i wyjął z pochwy własny sztylet. Przyłożył go do szyi księcia.

— Jeśli nie stać cię na zadanie jednej błahej śmierci, jak możesz zostać królem? Tak to się robi, mój synu.

Zanim zdołał wbić ostrze w gardło Leandra, zapomniana przez obu Orle Gniazdo poderwała głowę, jej czarne włosy spadły na podłogę. Wrzasnęła głośniejsz niż wtedy, gdy wyłoniła się z jaja. Przerażliwy głos rozbił szyby w oknach i szklane bibeloty, i strącił ptaki z nieba. Wrony, wróble, zięby — jedno po drugim spadały za oknem jak wielobarwny deszcz. Gniew wzbierał w krzyku niczym wiosenna powódź, gdy patrzyła, jak ten ojciec, który nie był ojcem, szykuje się do zamordowania syna. Kiedy sztylet dotknął szyi chłopca, jej wrzask strzaskał ostrze i jeden z odłamków wniknął głęboko w oko króla.

Leander wahał się tylko przez sekundę, a potem z całej siły wbił swój nóż w pierś ojca i padł na rękojeść, gdy ostrze ugrzęzło celnie i głęboko.

Ale król nie przestawał się śmiać nawet gdy krwawa piana wystąpiła mu na usta.

— Pamiętaj, synu — wychrypiał, konając — niech moja śmierć będzie dla ciebie nauką. Oto co znaczy dzierżyć władzę. W końcu nóż zawsze jest w twoich własnych rękach.

*

Orle Gniazdo stała w połyskliwej białej szacie na balkonie zamku. Patrzyła na wzgórza i góry za nimi.

— Zawsze pragnąłem opuścić to miejsce — powiedział Leander, podchodząc i kładąc rękę na jej ramieniu. — Chciałem być wolny. A on ostatecznie dopadł ostatniego z nas, zamknął mnie tutaj na zawsze. Od samego początku byłem równy zeru, skazany na powrót do punktu wyjścia.

— Ale gniazdo przetrwa, braciszku — odparła głosem, który z dnia na dzień stawał się bardziej melodyjny.

Księżę przytulił ją mocno.

— Przynajmniej jesteś tutaj ze mną, Orle Gniazdo. Przynajmniej jesteśmy razem.

Odsunęła się od niego i spojrzała ze smutkiem w jego zmęczone oczy.

— Nie. — Westchnęła. — Odchodzę. Muszę odejść. Spoczywa na mnie obowiązek, jak na tobie. Ocaliłeś królestwo swego ojca. Ja muszę zająć się krajem naszej matki. — Dalekie wzgórza znów przyciągnęły jej spojrzenie, jak sznur tropiących ją cieni. — Kiedy fruwałam, wiedziałam, kim jestem; wiedziałam, że skrzydła są... użyczone, ale to było dawno. Nie wiem, dlaczego zachowałam ludzki umysł w ptasim ciele, nie tak miała podzielać magia. Ale kochałam wiatr i księżyc, i matkę. Nie miałam ku temu powodów, po prostu ją kochałam. Teraz jest mnóstwo powodów i punkt końcowy ich wszystkich jest taki, że gdzieś w tych wzgórzach kryje się jaskinia, ja zaś jestem jedyną, która pozostała, żeby do niej wkroczyć. Ty urodziłeś się do sprawowania władzy — nazwą cię Okaleczonym Królem, który stracił błogosławione palce. Zrodzą się opowieści i w końcu legendy. Nie możesz przed tym uciec, nie bardziej niż ja przed wspomnieniem prądów powietrza pod brzuchem. Może nauczysz się używać władzy inaczej; może zdołasz pozostać księciem, choć zostałeś obwołany królem przez wszystkich,

którzy mają głos, ażeby to powiedzieć. Może się nie nauczysz. Ja jednak nie mogę zostać, żeby być twoim nauczycielem. Straciłam wszystko, co miałam. Muszę znów to odszukać wraz z biednymi, zagubionymi Gwiazdami. Każde z nas musi znaleźć własną drogę do władzy i nauczyć się, jak utrzymać ją w rękach. Twoje gniazdo nie może być moim.

Leander walczył ze łzami, bo nie chciał, żeby spadły na szczupłe ramię siostry.

— Ale nie odejdziesz od razu, prawda? — zapytał zdławionym głosem. Nie zniósłbym tego. Tu jestem taki samotny. Z czasem nauczę się dzierżyć władzę jak węgle i nie poparzę sobie ręki. Ale musisz zostać ze mną przez chwilę, dla mnie. Musimy być rodziną, choćby tylko przez krótką chwilę.

Orle Gniazdo odwróciła się w jego stronę i błysnęła uśmiechem oślepiającym, jak tuzin słońc w południe.

— Oczywiście, zostanę z tobą, mój jedyny bracie, mój własny.

*

Rankiem zniknęła, jakby jej nigdy nie było, i król stał sam w wielkiej sali z kości słoniowej.

O świtaniu

Jutrzenka zaczęła się stroić w błękity i złoto, zdobiąc włosy czerwonymi klejnotami. Wyciągnęła ręce do dwojga dzieci, prawie zasypiających w oknie wieży. Dziewczynka trzymała głowę chłopca na kolanach, gładząc jego włosy, gdy wypowiadała ostatnie słowa swojej opowieści. Wiatr zbudził się w ogrodzie i białe płatki skoczyły w powietrze, unoszone przez chłodne prądy i wiry. Dzikie ptaki krążyły nad głowami dzieci, śpiewając z taką pasją, że niemal umierały w śpiewie.

Chłopiec popatrzył na dziewczynkę, na twarz podświetloną przez nowe słońce, które płonęło wokół jej głowy jak korona płynnego złota. Jej przyciemnione oczy lśniły ciepłym blaskiem, jak polerowane przez rzekę kamienie.

— To cudowna historia! — krzyknął, obejmując ją z wielkim przejęciem.

Gdy zsunęła się po bluszczu i wyszczerbionych kamieniach, uśmiechnęła się tajemniczo do jego rozpromienionej twarzy omytej przez czułe ręce słońca.

— Opowiem ci jeszcze dziwniejszą i cudowniejszą jutro, jeśli w nocy wrócisz do ogrodu i do mnie...

Śmiejąc się, zeskoczyła na trawę i odbiegła od wieży. Zniknęła wśród drzew, a jej włosy płynęły za nią niczym obietnica.

Księga Morza

W pałacu

— Ależ ojcze! — krzyknęła Dinarzad głosem łamiącym się jak zielona gałąź. W jej fiołkowych oczach błysnęło oburzenie, na policzkach rozkwitł głęboki rumieniec. — On był z demonem! Widziałam ich!

— Wierzę ci, córko. — Sułtan zachichotał, potrząsając brodą, która spadała na piersi w lokach skręconych jak gałązki jeżyny. — Naprawdę nie powinnaś tak bardzo się przejmować opieką nad dziećmi. Dzieciom, zwłaszcza młodym chłopcom o pozycji twojego brata, należy pozwalać na pewne uchybienia. Kiedy widzę te drobne bunty poprawia mi się trawienie. To powstrzymuje młokosów od buntowania innych.

Dinarzad zmarszczyła brwi, biorąc się pod boki. Sułtan przypuszczał, że często widziała ten gest u swoich opiekunek.

— Ojcze, trudno to uznać za drobiazg. Może ściągnąć na nas wszystkich klątwę tego straszego dziecka! Nie rozumiem, dlaczego nie przepędzisz jej raz na zawsze. Niech zgnije na zboczu jakiegoś dalekiego wzgórza!

— Masz okrutne serce, moje dziecko. Tkwi w twojej piersi jak tłące się ostrze, syczące na mnie parą. Dopóki ta mała nie przestąpi progu pałacu, nie możemy jej prowokować do wyrządzenia szkody. Gdy przeżyjesz tyle co ja, nauczysz się trochę więcej o dyplomatycznym postępowaniu z demonami. Wypędzenie jej na pustkowie ściągnęłoby zemstę stworzeń, które ją zrodziły. Dlaczego mielibyśmy się jej obawiać? Nawet — nie podchodzi do srebrnych bram czy narożników domu. A chłopiec obiecał, że więcej się z nią nie spotka. Ale na

ośnieżonym wierzchołku wszystkich tych spraw spoczywa fakt, że po prostu nie możesz zamykać rodzeństwa w wieży, gdy źle się zachowuje. To niestosowne i świadczy o smutnym braku pomysłowości. Wymyśl inny sposób, Dinarzad. To wszystko.

Sułtan odprawił córkę ruchem upierścienionej dłoni. Dinarzad zrobiła się czerwona niby jedwab z haremu i wyszła z sali tronowej ze sztywnymi plecami, wysoko unosząc ciemną głowę.

— Ta dziewczyna jest małą autokratką. Szkoda, że nie jest synem. Byłaby doskonałym sułtanem — mruknął monarcha, wracając do kolacji.

Oczywiście Dinarzad była zobowiązana posłuchać słowa ojca. Ale gdy pomykała przez kręte korytarze jak szybkie czółenko tkackie, jej oczy zaszyły łzami i potarła ramiona zbite przez jedną z matek za to, że pozwoliła na taką zdradę w ich domu. Tak, była okrutna, ale sułtan nie dbał o nią na tyle, by się dowiedzieć, że kobiety z haremu karzą ją za nieposłuszeństwo dzieci. Fioletowe i żółte siniaki rozpostarły się na jej skórze jak skrzydła. Już obmyślała nową karę, gdy wchodziła po ciasno skręconej spirali schodów w wieży, i pomysł rósł w niej jak smukłe źdźbło pszenicy.

Przekręciła ciężki klucz w zamku i weszła do wysokiego pokoju, gdzie zostawiła brata. Była przekonana, że uciekł, że pokój będzie pusty jak wysuszona ściana. Przygotowała się na ciosy, które na nią spadną.

Ale chłopiec spał na parapecie, jego potargana głowa spoczywała na omiecionym przez wiatr kamieniu, oczy skakały pod zamkniętymi powiekami, gdy śnił sny gęste jak grzane

wino. Słońce prześwitywało przez jego włosy, przemieniając je w węgle na żelaznym ruszcie, w płomienie obrzeżone czernią. Dinarzad pozwoliła sobie na łagodny uśmiech, zadowolona z jego opornego posłuszeństwa. A jednak, gdy go zbudziła, jej głos był szorstki jak skóra krokodyla.

— Wstawaj, ty urwisie. Spałeś o wiele za długo. Dzisiaj popracujesz w kuchni. Skoro lubisz włóczyć się po ogrodzie jak pies, równie dobrze możesz zebrać o ochłapy. Pod koniec dnia będziesz taki wykończony, że nie będziesz nawet śnić o swojej małej demonicznej przyjaciółce.

Chłopiec oprzytomniał szybko — był za mądry, żeby pokazać senność czy piasek w niewyspanych oczach. W ponurym nastroju zszedł za Dinarzad z wieży do trzewi pałacu. W kuchni panował harmider jak w stadzie spłoszonych wołów, ognie trzaskały w piecach i para buchala z miedzianych garnków, jakby warzył się w nich jakiś magiczny dekokt. Kucharze i służący wymachiwali rękami i ryczeli do siebie z równą furią, ubrani w fartuchy poplamione sosami, syropami i przyprawami o najróżniejszych kolorach. Dinarzad brutalnie wepchnęła chłopca do kuchni.

— Kuchmistrzynie się tobą zajmie. Będziesz jej słuchać. Nie mam ochoty wracać dziś do tego piekła. Każdy woli widzieć jedzenie, gdy leży ładnie ułożone na talerzu. Miłego dnia, braciszku. — Zniknęła w wirze białych spódnic i ciemnych, powiewających włosów.

Kucharka stanęła nad nim, wielka, gruba krowa ze świńskim podgardlem i brzuchem, który wylewał się zza paska fartucha ogromną falą. Jej oczy miały blady, rybi odcień błękitu, prawie

było trochę kaprawe, więc kiedy na niego patrzyła, jej spojrzenie zdawało się ślizgać po jego skórze jak ślimak. Oszacowała go wzrokiem jak generał żołnierza.

— Hm — chrząknęła, aż zatrząsał się jej brzuch — taki mięczak jak ty nie nadaje się do przyrządzenia najmniejszej grzanki, więc lepiej idź zmywać posadzkę. Nie kręć mi się pod nogami i nie kradnij, słyszysz? Machnęła ręką w stronę cebra z szarą, śmierdzącą ługiem wodą i z szybkością hipopotama, który rzuca się za bezbronną rzeczną łodzią, skoczyła ku grupce kuchennych, wrzeszcząc na jedną z bezradnych pomocnic.

Chłopiec szorował kamienne płyty, aż pocierane palce pomarszczyły się jak masa papierowa, ale w głębi ducha przepełniała go radość, skryta w nim jak złoto złodzieja. Wieczorem wyda dziewczynce wielką ucztę, da jej wszystko, czego mogłaby zapragnąć z wielkich kuchni. Kucharze szykowali bankiet dla straży królewskiej, która tak rzadko koszarowała w murach pałacu, że z każdym jej przybyciem święta rozkwitały jak mleczce na dworskiej glebie. Wcześniej tego dnia zabito ogromnego dzika, który teraz rozpierał się na centralnym stole jak potężny pan, połyskując od tłuszczu. Chłopiec musiał tylko poczekać, aż wyjdą służące, czmychając niczym piżmaki, by usłużyć w sali biesiadnej, a kucharze pójdą przekazać listę dań zarządcom. Wtedy wielki dzik nie będzie strzeżony.

I rzeczywiście, gdy noc wsunęła się na niebo jak obcisły gorset, sznurując go ostatnimi promieniami słońca, kuchnie opustoszały i chłopiec został sam. Kucharka najpewniej już zupełnie zapomniała o jego istnieniu.

Chłopiec nakroił sztylcikiem grubych plastrów dziczyzny, przestawił śliski zielony garnirunek, żeby zamaskować brak mięsa i rzucił się na dalsze skarby. Za pazuchą przemycił słodzone bochenki, gomółkę sera, wędzoną rybę i kilka małych orzesznic, które sułtan uwielbiał w zalewie z pieprzu i miodu. Uciekając, spojrzął przez ramię na żalosne więzienie, jakie obmyśliła dlań siostra, i z szerokim uśmiechem porwał z dziczego pyska lśniące czerwone jabłko. Wymknął się za drzwi na najcichszych stopach i przekradł za połyskliwą srebrną bramę do ogrodu, przyciskając łupy do piersi, w której serce waliło jak młot w dzwon z kości słoniowej.

W ogrodzie

Ale chłopiec nie znalazł dziewczynki tej nocy.

Siedział na cokole jednego z wielkich marmurowych posągów, wspierając stopy na kamiennym ogonie tańczącej syreny, i samotnie jadł dziczyznę i jabłko. Nie rozumiał, dlaczego złamała słowo, dlaczego nie zjawiała się jak zawsze, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, żeby snuć historie przyobleczone w jedwabie i srebro. Gryząc w ciemności słodkie jak miód mięsiwo, spojrzął w fontannę gwiazd i wyobraził sobie dziewczynkę, jej skrytą twarz, której widokiem się radował, gdy snuła opowieści, z oczami błędzącymi pod opuszczonymi czarnymi powiekami. Nagle w jego sercu załęgł się okropny strach — może jednak wcale go nie lubiła i tylko chciała snuć swoje opowieści, żeby przełamać klątwę, żeby dziwny cud, który mieszkał w jej ciemnych oczach, uwolnił ją z ogrodu. Może był dla niej tylko uchem. Zadrżał na tę myśl, podstępne zimno wgryzło się w jego kości. Porzuciła go, zostawiając drażniący ciężar smutku i ciszy, jej nieobecność piętrzyła się nad nim jak posąg w gniewnym blasku księżyca.

Tej nocy bez przeszkód wrócił do pałacu i naciągnął pościel na kolana, gdy niebo zaczęło rumienić się lodowatym złotem.

W ostatnią noc pełnego księżyca wędrował po zachodnim skrzydle ogrodu, gdzie w chłodzie nocy lśniło jeziorko pełne złotookich ryb. Nie zabrał jedzenia, bo stracił nadzieję, że znajdzie dziewczynkę. Gdy kara się zakończyła, znów jadał posiłki z braćmi i wynoszenie żywności znacznie się skomplikowało. Dinarzad utrudniała sprawę, co wieczór

posilając się z powagą u jego boku, ignorując spojrzenia innych synów sułtana. Nienawidził jej, jej smukłych palców zdzierających skórę z pieczonej przepiórki, trzymających nóż z takim wdziękiem, jakby nie wymagało to wysiłku ani lat nauki i bolesnych uderzeń po kłykciach.

Kucnął na trawiastym brzegu czystej wody, patrząc w rzadką mgłę i skubiąc kamyki pod nogami. Jego usta zastygły w grymasie podobnym do sierpa, małego księżycy z rogami ściąganyymi w stronę czarnej ziemi. Puszczął kaczki po spokojnej wodzie, słuchając przyjemnego plusku, gdy nagle błysk gwiazdy i cienia przykuł jego oko. Serce skoczyło mu do gardła jak wygłodzona ryba za ważką.

Dziewczynka stała po pas w wodzie, jej długie grafitowe włosy przewiązane witkami wierzby tworzyły wilgotne gniazdo na karku, jezioro perliło się na jej brzuchu, jej drobnych piersiach, jej ramionach, wyciągniętych, jakby próbowała chwycić w nie księżyc jak dziecko. Oczy miała zamknięte, jeszcze go nie widziała. A on patrzył na nią bezwstydnie, niezdolny się ruszyć ani jej zawołać, zakorzeniony w omszałą glebę, zahipnotyzowany jej widokiem, bladej jak tchnienie gwiazdy, z tajemniczymi plamami czerni na widmowej twarzy.

Dziewczynka powoli otworzyła oczy — choć wyglądało tak, jakby je zamknęła, bo skryła ciemne plamy powiek za zimnym światłem spojrzenia. Spojrzała prosto na niego, a on spurpurowiał, pewien, że się rozzłości, ucieknie przed nim ze wstydu. Ona jednak patrzyła na niego spokojnie. Księżyc i woda wciąż omywały jej ciało, i nie uczyniła ruchu, by się ukryć. Stali tak naprzeciwko siebie przez jakiś czas, a szerokolistne drzewa szeptały do nich z wysoka. Wreszcie dziewczynka dobrnęła do brzegu i ściągnęła obszarpaną koszulę przez głowę. Chłopiec

podbiegł do niej, siedzącej na kępie gęstej trawy, i niewiele myśląc, chwycił ją za ramiona.

— Gdzie byłaś? — wykrztusił. — Szukałem cię przez siedem nocy!

Przekrzywiła głowę jak wróbel przyglądający się garści nasionek.

— Powiedziałaś... powiedziałaś, że opowiesz mi inną historię... jeszcze dziwniejszą i cudowniejszą... myślałem... — Bezradnie wbił oczy w ręce. Myślałem, że chciałaś opowiadać mi swoje historie. Myślałem, że opowiesz mi wszystkie — dokończył kulawo.

— Opowiem ci następną, jeśli chcesz — odparła spokojnie.

— Co się stało?! Dlaczego skrywałaś się przede mną?! — krzyknął.

— Odgarnęła za ucho zbłąkany kosmyk włosów.

— Nie ukrywałam się, przynajmniej nie chciałam się ukrywać. Po prostu nie mogłeś mnie znaleźć. Ogród jest rozległy. Przepraszam. Ludzie przychodzili, odkąd ostatni raz słyszałeś mój głos, i nie chciałam, żeby ktoś mnie zobaczył. — Znów spojrzała na niego w ten dziwny ptasi sposób, światełko zapłonęło głęboko w jej oczach. — Chciałbyś posłuchać kolejnej opowieści z fałdów moich oczu, opowieści o okrętach i świętych, o dzieciach, bestiach i śniącym mieście?

Chłopiec zagryzł wargę. Czuł, że wypada zapytać, jak sobie radziła, czy trudno było ujść uwagi jednego czy drugiego wielmożnego pana, czy jadała dobrze bez niego — ale nie słyszał opowieści o fantastycznych stworach tak długo i tak bardzo ich pragnął, że nie potrafił być grzeczny.

— Opowiedz mi, proszę! — szepnął.

Dziewczyna usadowiła się na trawie, pod wonnymi cynamonowcami i gwiazdami jak wiszące ogrody, i przemówiła głosem znów ciepłym i miękkim niczym futro leśnego kota.

— Żyła kiedyś dziewczyna o imieniu Śnieg. Nie miała na świecie nikogo, kto by ją kochał.

Opowieść o bladej dziewczynie

Nie zawsze była tak zwana. Kiedyś mieszkała w mieście Adżanabh, ciepłym, bogatym i ładnie zbudowanym na złotym mule delty szerokiej rzeki; tam szkarłatne proporce powiewały dumnie, a ulice wiły się cudownie przez jego wysadzone klejnotami serce. Dziewczyna była kochana i bezpieczna w domu matki, i spodziewała się, że takie życie będzie trwać wiecznie, że nocami zawsze cynamonowy wiatr będzie muskał jej skórę.

Ale Adżanabh upadło, jak to bywa z miastami, i nadszedł dzień, gdy łowiska opustoszały, a kupcy mniej chętnie przyplýwali mulistą rzeką do lśniących przystani. Ludzie opuszczali bielone wapnem domy. Porzucali żyzne pola, które już nie były tak pięknie i pewnie zalewane przez czyste, zielone wody.

Śnieg, niczym się niewyróżniająca wśród wielu innych, którzy już nigdy nie mieli nazwać ciepłych południowych krain swoim domem, stała z rodzicami na pokładzie statku, gdy miasto o perłowych kopułach malowało w dali, aż nie zostało nic prócz jarzącej się linii daleko na morzu. Całymi dniami patrzyła nad relingiem, aż jej włosy zrobiły się słone i splątane na wietrze, choć rodzice błagali, żeby zeszła na dół. Żaglowiec płynął ku skutej lodami Północy, do innych portów wielkich i małych, gdzie wielorybie mięso i focze sadło miały przywrócić fortuny wszystkim zagubionym dzieciom Adżanabh. Dopłynęli do miasta Muireann, które leżało nad szarymi wodami

sztormowej zatoki jak dziecko u piersi matki, goszcząc każdy statek, którzy przeciął zwieńczone diamentami fale.

Ale przeprawa okazała się ciężka dla rodziców, którzy źle znosili srogie mrozy. Jeszcze gorzej przygotowani byli do życia w Muireannie, gdzie zimy zdawały się nie mieć końca, gdzie ludzie byli lodowaci i nieustępliwi jak śnieg na płaskim dachu. Wieczne zimno zagnieździło się w ich kościach i niespełna po roku życia w słonym wietrze nad morzem rodzice Śniegu zmarli.

Dziewczyna rosła szybko jak topola i żyła na krawędzi zebraniny bez przymierania głodem. Naprawiała sieci rybakom, gdy chcieli podzielić się z nią pracą, i biegała po nabrzeżach z dziwnymi zadaniami, by zdobyć bitą monetę na chleb i focze sadło do posmarowania.

Śnieg była zaradna, ale na pewno nie piękna. Jej twarz, pospolita i nijaka, niczym się nie wyróżniała. Jej oczy miały wodnisty odcień zieleni, jak zatrute jeziora w czasie bezświatlnej zimy. Usta miała małe i wiecznie spierzchnięte, jej skóra nie była ani mlecznie gładka jak u dziewcząt, które jedzą na śniadanie pomarańcze i truskawki na srebrnych talerzach, ani stwardniała i brązowa jak u córek dokerów. Choć osiągnęła wiek panien, które spędzają dni na przyjmowaniu zalotników w salonach pełnych brokatów i perlistego śmiechu, uważano ją za dziecko. Nie miała długich nóg ani pięknych bioder tych czarujących istot — co więcej, nikt nie zwróciłby na nią najmniejszej uwagi, gdyby nie włosy.

Od dnia, gdy pochowała matkę i ojca, jej włosy były białe jak u staruszki. Spływały dziewczynie po jej chudych ramionach we wszystkich kolorach spienionej przez burzę fali: łupek i srebro, lód i chmura, dym i mgła, popiół i żelazo. Proces

siwienia nie sprawił bólu — po prostu się zbudziła, wciąż z ziemią mogiły pod paznokciami, i zobaczyła w lustrze, że barwy jej stron rodzinnych, kiedyś lśniące jak blask lampy w gęstych kędziorach, bezpowrotnie przepadły. Była teraz bezbarwna jak oceaniczna piana, bijąca o drżące deski wraku.

I tak się stało, że dziewczyna zapuściła korzenie wśród rybaków, którzy pracowali na nabrzeżu, wiążąc sieci i latając żagle, i którzy z powodu włosów nazwali ją Śniegiem. Muireañczycy może nie kochali Śniegu, ale pogodzili się z jej obecnością, dawali jej pracę — zarobki wystarczały, żeby stłumić, jeśli nie zupełnie uciszyć skargi głodnego brzucha — i patrzyli w inną stronę, gdy spała w przepastnych hangarach szkutników, skulona w szkieletach na wpół zbudowanych kliprów. Szukała pociechy cieni, nisko chyląc głowę i idąc przez życie ze smutkiem nie większym od tego, który już gnieździł się w jej wątlej piersi.

Pewnego wieczora, gdy siedziała z tęgą kobietą, wiążąc ostatnią tego dnia srebrną sieć zwinnymi palcami, zauważyła, że kobieta wsuwa pomarańczę w żółte fałdy jej spódnicy. Podniosła wzrok na swoją dobrodziejkę — pierścionki brązowych włosów otaczały twarz, która mogłaby należeć do dobrze odżywionego gnoma, tak była pulchna i rumiana. Tkaczka sieci ciało miała potężne jak mors, jej mięśnie pęczniały jedwabiście pod warstwami tłuszczu. Mrugnęła do dziewczyny, nie zatrzymując szybkich, mięsistych palców wiążących lniane supelki.

— Nie można pozwolić, kochana, żeby wypadły ci te śliczne ząbki. Pomarańcze są tutaj jak rubiny, uwielbiane jak złoto i dwa razy cenniejsze. Moja stara przyjaciółka z Południa

przysła mi skrzynkę co zimę. A ktoś taki jak ty zasługuje na parę rubinów od czasu do czasu.

Śnieg obróciła w rękach płomienisty owoc. Kiedy przemówiła, jej głos, cichy i chrapliwy, poskrzypywał jak dawno nieużywana mosiężna brama, bo rzadko się odzywała.

— Tam, gdzie się urodziłam, setkami rosną na drzewach, jak krople ognia. Moja matka doprawiała placki ich skórkami.

— Więc skądś pochodzisz! — Tkaczka sieci parsknęła śmiechem, jej tłuście ciało zatrzęsało się jak skóra na ryczącym niedźwiedziu. — Nie narodziłaś się z fal, w pełni ukształtowana, stojąc na wielkiej muszli? Ha, co za ulga! Nie chciałabym myśleć, że spędziłam połowę wachty, siedząc udo w udo z najadą.

Śnieg zamrugnęła, rumieniąc się po rzęsy blade jak zaśnieżone żagle.

— Niektórzy, rzecz jasna, uwielbiają gadać — ciągnęła tęga kobieta. Ale nikt nie mówi wiele o tobie. Nie masz widoków na przyszłość, a to znaczy, że będziesz siedziała w tych dokach, aż zadek przymarznie ci do desek. Takie życie nie inspiruje plotkarzy.

Śnieg nie skrzywiła się gniewnie, co mogłaby uczynić inna dziewczyna, tylko jakby sięgnęła ku niej drobnymi wrażliwymi czułkami. Tkaczka sieci położyła na jej ramieniu tłuścą dłoń przybraną topornymi pierścieniami z żelaza.

— Rzecz jasna, kochana, nie chciałam być okrutna, i mało prawdopodobne, że pewnego lata zostanę koronowana na Królową Pieśni Wieloryba. Już dobrze, dobrze. Język Sigridy często klepie bez pytania o pozwolenie.

— Nie martw się — powiedziała Śnieg nagle, strząsając jej rękę. — Nie będę płakać. To, co powiedziałaś, jest dość

prawdziwe, wiem.

Sigrida obrzuciła siwowłose dziecko długim spojrzeniem, powolnym i szacującym, jak jubiler, który ogląda poczerniały ze starości szafir.

— Zobaczymy. Myślałam, że wiem, co jest prawdą, gdy byłam młoda i piękna. Myślałam, że zawsze będę mogła biegać tak szybko, jak zechcę, i czerpać przyjemność z prostych posiłków z foczego boczku i jaj pelikana. A potem świat się zmienił, przestałam być dziewczyną i już nic nie wiedziałam. — Sigrida wyprostowała się, z powrotem zanurzając w sieci szerokie dłonie. — Opowiem ci o mojej młodości, jeśli chcesz. Szybciej czas upłynie.

Śnieg pokiwała głową, pragnąc usłyszeć cokolwiek, co oderwie jej myśli od zimna zamrażającego palce w stalaktyty i od lodowatej nocy, która zastanie ją skuloną i zmarzniętą w brzuchu pustego statku.

Opowieść tkaczki sieci

Kiedy stałam się kobietą, a czerwona, szybka krew wciąż rumieniła moje policzki, pragnęłam porzucić zamarznęte pustkowia moich stron rodzinnych. Nic mnie już tam nie trzymało. Moi bracia i siostry dorośli, odeszli do świątyni albo zajęli się gospodarowaniem, a matka nie mogła na mnie patrzeć — miała nadzieję, że ja też znajdę drogę wychodzącą z domu. Ale zwlekałam, bo w śniegu wciąż były rzeczy, które kochałam, i trochę się bałam iść w świat.

Pewnej wiosny, kiedy zieleniły się sprężyste porosty, do naszej wioski przyszła grupa mnichów. Wszyscy obcy są dla nas święci, więc przyjęliśmy ich bez jednego pytania. Moja matka zaprosiła przybyszy do swojego domu, i tak się stało, że trzech braci jadło, rozmawiało i spało pod naszą zaśnieżoną strzechą.

Z początku mieli na głowach głębokie szkarłatne kaptury, gdy mruzcili podziękowania i kłaniali się sztywno nad kolacją złożoną z niemal surowego lisa i bujnych porostów. Byłam ogromnie ciekawa, jak wszystkie dziewczęta w tym wieku, i przez całą kolację zaglądałam pod kaptury, próbując dostrzec twarze. Wreszcie średni brat wyprostował plecy, zrzucił szkarłatny płaszcz i wbił we mnie mleczone żółte oczy.

— To chciałaś zobaczyć, maleńka? — burknął, a w zasadzie warknął, bo choć mnisi mieli ciała mężczyzn o silnych łydkach, zamiast głów mieli psie łby. Języki zwisały ze szczęk jak serca dzwonów. Sierść spadała na ramiona, gęsta i długa, nierówno przycięta jak brody górskich mędrców. Jeden brat miał futro

niebieskawo-białe, drugi w czarne i brązowe łaty, a ostatni w głębokim odcieniu czerwonego złota, jak włosy dziewczyny.

Ale oczy każdego z nich były zimne i twarde, barwy starego mchu, szare i jednocześnie złote. Nie mogłam się powstrzymać i sapnęłam głośno, ale moje zdziwienie tylko pobudziło średniego brata do śmiechu, który przypominał zgrzyt ścierających się gładów.

— Nie jesteśmy wilkołakami, skarbie, chociaż może tak myślisz — zaśmiał się czerwony pies. — Kynokefaloi, psiogłowi. To wielka różnica.

— Wegetarianie, po pierwsze — dodał biały, wskazując talerz, na którym różowe mięso lisa leżało nietknięte.

Moja matka przeprosiła ich z całego serca, śmiertelnie przerażona, że im uchybiła — wiele moich sióstr wstąpiło do stanu kapłańskiego, więc zawsze była czuła na religijne niuanse. Średni brat, wyraźnie najważniejszy w tej grupie, podniósł czyste jak kryształ oczy i zapewnił:

— Nie, mięso nas nie obraża, po prostu wolimy go unikać. Odkładanie na bok pożywienia, które kiedyś żyło, przemawia do wyższej natury jaźni. Sam nie uważam się za jedzenie, dlatego więc miałbym wymagać tego od wszelkich innych stworzeń? Nasza reguła jest jednak dość surowa. Oczywiście nie żądamy, żeby nasi gospodarze znali naszą świętą księgę — a już na pewno nie wtedy, gdy jesteśmy na tyle niegrzeczni, by jeść bez dzielenia się sobą. Ale my pilnujemy, żeby nie pogwałcić duchowej... etykiety. To ziemia wielu wierzeń. Niektórzy nie pozwalają świętemu gościowi mówić o sobie. Inni nie pozwalają mu wcale mówić. Jeszcze inni wymawiać imion przed ukończeniem posiłku. Skoro prawie zjedliśmy wszystko, co wolno nam spożywać, dokonam prezentacji. Jestem Bartłomiej,

a to moi bracia. Baltazar — powiedział, wskazując niebiesko-białego kynokefalosa — i Bagdemagus — wskazał czerwonego. Zwracając się do mnie, dodał żartobliwym tonem: — Ale możesz mówić mu Bags. My tak robimy. Należymy do zakonu Szkarłatnego Kaptura, bo pod kapturem jesteśmy jednacy. — Na te słowa wszyscy trzej uczynili nieznaczny gest rękami i szepnęli jakąś modlitwę.

Baltazar podjął nić rozmowy, zgrzytając długimi zębami.

— Wracamy do domu, do Al-a-Nur, Miasta Światła, i do Wieży Chryzantemy. Zostaliśmy wysłani jako rozjemcy w wielkim sporze dotyczącym naszej wiary i teraz, po wykonaniu zadania, wolno nam wrócić do wieży, która nas zrodziła.

Musiałam wyglądać jak dziecko, siedząc u ich stóp z oczami wielkimi jak spodki i z otwartymi ustami, smakując językiem cudzoziemski smak słowa niczym korzenne ciasto: Al-a-Nur. Matka patrzyła na mnie podejrzliwie, ale nie zwracałam na nią uwagi. Błagałam, żeby opowiedzieli o mieście, które, jak wiedziałam w sercu, musiało być najświętsze na ziemi.

— Zaprawdę, dziewczyno, nigdy nie słyszałaś o Mieście Dwunastu Wież? — Bartłomiej pogładził futro, jakby było brodą, i zerknął na mnie. — O stolicy papieżycy, Tej, która Urodziła się w Purpurze, o Namaszczonej Mieście, które lśni jak gwiazda na letnim niebie?

— Nigdy! — krzyknęłam bez tchu.

— Doskonale — zaśmiał się, prostując plecy jak nauczyciel, który zaraz poprowadzi lekcję — za przyzwoleniem twojej wspaniałomyślnej matki opowiem ci o Śniącym Mieście, zamkniętym w seraficznych sferach...

Opowieść o mieście

Posłuchaj, dziecko, a opowiem ci o Al-a-Nur, siedzibie Dwunastu Wież, o Mieście Namaszczonym. Zostało założone tysiące lat temu w roku siedemset i pięćdziesiątym trzecim drugiego kalifatu. Wzniesiono wieże na posadach usypanych z agatu i porfiru, zwężające się ku górze, z oknami wyciętymi w pełne wdzięku łuki. W żyznej gliniastej glebie wykopano czyste zielone stawy, posadzono tamaryndowce i palmy, wierzby i brzozy o białej korze. Słodka woda popłynęła akweduktami, bełkotała w fontannach ze srebra i szkła. Drogi wytyczono w koncentrycznych kręgach, zgodnie z tablicą La Shen, naszej świętej gry, nazwanej po bogini rzeki, której wody okrążają błogosławione miasto. Drogi wybrukowano lapis-lazuli i turkusami, kamieniami obficie występującymi w okolicznych górach — nawet dzisiaj bruk zachował ciemnoniebieski połysk.

Targowiska budziły się do życia jak grzyby po deszczu, napełniając zaułki i baszty wonią szafranu i gotowanego mięsa; handlarze przybywali, by sprzedawać lalki i szafy, smukłe czerwone konie i miłosne talizmany — I zostawali, żeby podziwiać bóstwo rezydujące w cudownych wieżach, które zawierały wiele serc miasta.

Same wieże stoją w konfiguracji *Chang-O*, w idealnym układzie obronnym pionów La Shen. Na zewnętrznym pierścieniu wznosi się Wieża Słońca i Księżycy, której dach wieńczą wielki diament i topaz, stopione w jedność w niewyobrażalnym piecu. Tworząc jeden kamień, odbijają światło niebios i zalewają miasto deszczem barw. Jest tam

Wieża Ojacobójców, jasna od krwi, która sączy się pomiędzy polerowanymi kamieniami cienką, stałą strugą i zbiera w złowrogo szkarłatnej fosie u podstawy; jest Wieża Lodu i Żelaza, jej skręcona metaliczna iglica siniaczy chmury. Na drugim pierścieniu stoi Wieża Koralowa, głęboki róż przystrojony anemonami podlewanymi przez pełnych miłości nowicjuszy; Wieża Hermafrodytów, obwieszona woalami i pokryta świętymi ideogramami wypisanymi srebrnym tuszem na złotej ścianie; Wieża Chryzantemy, żywy kamień stojący w płomieniach kwiatów o szesnastu płatkach, błyskających złotem i szkarłatem w południowym słońcu; Wieża Świętej Sigridy, najeżona dziobami okrętów, kołami i masztami. W najbardziej wewnętrznym kręgu zbudowano Wieżę Słowika, w której murach gwizdże wiatr, śpiewając słodko jak ten mały brązowy ptaszek; i Wieżę Dziewięciu Łodyg Krwawnika, której wszystkie powierzchnie są narzędziem wróżenia, pomalowane na tysiące odcieni, i gdzie mieszkańcy codziennie interpretują wzór słońca i cienia na murach. Są tam również Wieże Żywych i Martwych, kiedyś proste i wysokie, jedna w piórach jastrzębi i sokołów, z kępkami futra kryjącymi dach jak strzecha i z drzwiami z węzowej skóry, druga czarna, podziurawiona katakumbami i niszami. Obie w ciągu stuleci przechylały się coraz dalej na swoich podstawach, aż prawie się zetknęły. Teraz górne komnaty tych dwu wież łączy mostek z jedwabiu i hebanu, służący wtajemniczonym.

Wreszcie w samym środku Al-a-Nur wzniesiono smukłą, prostą wieżę z drewna kamforowego i korzeni drzew różanych, ze srebrnymi łebkami gwoździ lśniącymi jak konstelacje osadzone w polerowanych murach. Jej dach jest utkany z witek

wierzby, okna ocienia delikatna skóra jelenia i jest to Wieża Papieżycy, najświętsze miejsce tego świętego miasta.

Albowiem Al-a-Nur jest siedzibą tuzina wyznań skupionych pod przewodem papieżycy, której mądrość kieruje nami od naszych najwcześniejszych dni. Każda wieża stanowi niezależną sferę duchową, każda ma swoje liturgie, posty i księgi święte. Każda wierzy w inne bóstwo i czci je na różne sposoby, ale wszystkie uznają zwierzchność papieżycy, co zapewnia nam pokój. Kalif, który włada okolicznymi ziemiami, zezwala Al-a-Nur na całkowitą suwerenność i miasto od wielu lat rozwija się spokojnie. Ze wszystkich stron przybywają młodzi mężczyźni i kobiety, pragnący spędzić życie w kontemplacji, i tam, pod światłem Słońca i Księżyca, znajdują ścieżkę, która im odpowiada. Al-a-Nur jest rzeźbioną skrzynią, która zawiera mądrość świata, wiedzę utraconą dla wszystkich spoza naszych smukłych Wież. To raj pobożnych i mądrych.

Były oczywiście przerwy w latach naszego pokoju. Kiedy zmarła Ghyfrana Wybaczająca, kalif wprowadził cudzoziemkę, Ragnildę, Pierwszą swego Imienia, na tron papieski i umieścił ją w Szadukiamie, mieście leżącym na wschodzie. W ten sposób podjął próbę przyciągnięcia do siebie bogactw Al-a-Nur i przeniesienia władzy religijnej, która zawsze rezydowała w Dwunastu Wieżach, do tego odstępczego miasta, gdzie nie przypadkiem mieścił się skarbiec kalifatu. Obwołanie tej fałszywej papieżycy, zwanej Czarną, spowodowało wielki kryzys w Wieżach. Ghyfrana zmarła nagłą śmiercią i jeszcze nie zatwierdzono następczyni, bo proces wyboru nowej papieżycy jest skomplikowany, wymaga rywalizacji wszystkich sekt miasta i Domu Papieskiego.

Wreszcie kandydatka wyłoniła się z Wieży Hermafrodytów. Podczas gdy Czarna Papieżyca umacniała rządy w Szadukiamie i w umysłach ludzi, w Al-a-Nur panował chaos, jakby rozpętała się zimowa burza z błyskawicami. Wszyscy się zgadzali, że prezbiter Cveti jest wysoce kwalifikowana i umiłowana, że każde słowo i wdzięczny ruch odzwierciedlają czystość jej duszy. Mimo to Wieże nie mogły dojść do porozumienia w sprawie powołania jej na urząd.

Musi być jasne nawet dla ciebie, moje dziecko, że wyznawcy z Wieży Hermafrodytów nie są ani mężczyznami, ani kobietami. Nie ma w tym żadnego wstydu; po prostu taka jest ich natura i natura kosmosu, jak oni go pojmują. Choć każde z nich urodziło się córką albo synem, ubierają się skromnie, wiążą włosy i nikomu nie zdradzają tajemnicy swojej płci. Dla nich stapianie się przeciwieństw — światła i ciemności, *sacrum* i *profanum*, pierwiastka męskiego i żeńskiego — jest rzeczą najbardziej boską ze wszystkich. Wierzą, że będą błogosławieni, dopóki zachowają równowagę, wisząc jak ludzkie wahadło pomiędzy dwoma stanami, w wyjątkowy sposób zdolni do doświadczenia świata jako mężczyzna i kobieta, i jako żadne z nich. Ale papieństwo ma charakter matriarchalny, od zawsze, i dla niektórych wyniesienie hermafrodyty Cveti byłoby profanacją świętego urzędu. Jeśli prezbiter był mężczyzną, ubieganie się o najwyższą godność nie wchodziło w rachubę. Jeśli był kobietą, musiałby oznajmić to wszem wobec, by uszanować prawo miasta. Pożar tej debaty spowił Al-a-Nur w czerwonych płomieniach.

Oczywiście nikt z wieży Cveti nie piastował dotąd tego najwyższego z urzędów i teraz hermafrodyci uważali, że odrzucenie tak znamienitego kandydata jest jawną obrazą ich

zakonu. Było wiadomo, że wielu innych — na przykład Ojcobójcy, sekta skupiająca wyłącznie mężczyzn, czy Draghi Celesti z Wieży Lodu i Żelaza, kapłani-wojownicy ślepo wierni tradycjom miasta, skrywający twarze za identycznymi węzowymi maskami z kości słoniowej — nie poprze żadnego odstępstwa od praw sukcesji, po części ze strachu, że ich własne wewnętrzne zwyczaje też mogą się zmienić. Nikt nie śmiał ustanowić precedensu.

Cveti, która kochała Al-a-Nur nade wszystko inne, bała się, że w tym wielkim zamęcie papieżstwo zginie z rąk Ragnhildy i kalifatu, zanim zapadnie decyzja, dlatego wycofała swoją kandydaturę. Jednakże nikt inny nie był godny, równie zdolny do bitwy czy do medytacji ani tak dobrze znany wśród wież jak Cveti o głębokim jak dzwon głosie. Uzgodniono, że w czasie kryzysu jedynie Cveti może poprowadzić wojska przeciwko Szadukiamowi. Kwestionowano tylko kształt biodra i krzywiznę rzęs, nigdy świętość ani szczerść wiary prezbitera. Całe miasto znalazło się w impasie, a Ragnhilda przez cały czas umacniała władzę na wschodzie, porastając tłuszczem jak obżarty pająk.

I tak się stało, że pewnego ranka Cveti pojawiła się w Pawilonie Nefrytu, który przylegał do Wieży Papieskiej, migocąc zielenią i bielą pod cienkimi zimowymi chmurami. Zdjęła rytualny strój swojej wieży i przywdziała suknię, która ściśle opinała jej kibić i spływała po nogach, a ciemny aksamit trenu włókł się po nefrytowym bruku dziedzińca. Z haftowanego stanika wyzierały jej piersi, które nigdy nie widziały słońca, gładkie jak nowy papier. Rozwiązała siedem tradycyjnych węzłów i pozwoliła, by włosy spadły jej na ramiona, proste niczym cnota. Włożyła pierścienie na palce i natarła się pachnidłami, pomalowała usta i wzięła pantofelki.

Nie musiała tego robić — wystarczyłoby jej słowo w kwestii płci — ale strój ten miał podkreślić ogrom jej pokory, pokazując wszystkim, jak daleko może się posunąć, żeby spełnić wymagania miasta.

Stała przed wieżą jak pod szubienicą, łzy spływały po jej dumnych policzkach — a jednak jej usta nie zdrżały, gdy uklękła przed Domem Papieskim i wyrzekła się zasad swojej wiary, i przysięgła, że nigdy więcej nie ukryje swojej natury, a we wszystkich rzeczach będzie służyć wyższym potrzebom miasta, naśladując wcześniejsze papieżyce. Ze łzami oszołomienia w oczach Dom Papieski przyjął jej przyrzeczenie, a Wieże, pełne podziwu i pokory, uznały ją za siedemnastą papieżyce Al-a-Nur. W dzień wstąpienia na urząd Cveti poszła do mauzoleum pod Wieżą Papieską i z wielką czułością pocałowała trumnę swojej poprzedniczki. Oświadczyła wszystkim w tych cienistych komnatach, że przybierze imię Ghyfrany, zmarłej papieżyce.

Ghyfrana Druga poprowadziła wielką armię Draghi Celesti w tysiącu jednakowych masek przeciwko Szadukiamowi, po czym posłała kalifowi srebrną szkatułę z językiem i piersiami Czarnej Papieżyce. W czasie kampanii generałowie zauważyli, że przed ruszeniem w bój zawsze wiązała włosy w siedem węzłów. To, co zostało z Ragnhildy, oddała sędziom Draghi, a oni zostawili skutą złotymi łańcuchami odstępczynię dokładnie w połowie drogi pomiędzy Al-a-Nur i Szadukiamem.

Przez pięćset lat kalifat pielęgnował pragnienie ponownego wtrącenia się w sukcesję świętego tronu.

Opowieść tkaczki sieci, ciąg dalszy

Zasnęłam, wspierając głowę na szorstkich deskach stołu, a głos Bartłomieja przepływał nade mną jak delikatne fale po kamieniach. Ale Al-a-Nur rozkwitło we mnie we wszystkich swych kolorach i czułam, jak tęsknota do niego rośnie i grzeje mnie w brzuchu. Wszyscy moi bracia i siostry odeszli, byłam gotowa — dlaczego nie zostawić tej nieszczęsnej chaty, gdzie oczy matki parzyły mnie w plecy przy każdym moim kroku?

— Zabierzcie mnie z sobą — szepnęłam, siadając nagle z oczami jasnymi i wyrachowanymi jak ślepka głodnego kotka w śniegu. — Zabierzcie mnie do Al-a-Nur, do Wieży Chryzantemy i zielonych stawów pod wierzwą. Stanę się tam mądra jak wy, zobaczcie! — Kurczowo ścisnęłam rękę Bagdemagusa, ale widząc jego zdziwienie, pozwoliłam stwardniałym palcom opaść na stół.

Bags — bo tak już go zwałam w sercu — przyjrzał mi się uważnie, mrużąc oczy w szczeliny wąskie jak sierp księżycy w czerwonym krwotoku futra. Spojrzał na Bartłomieja i szepnął:

— I wilk powiedzie ją na manowce...

— Co? — zapytałam, wytyżając słuch, żeby ułoić ich nagle ściszone głosy.

Bartłomiej uśmiechnął się szeroko, jego pysk ze zwisającym językiem miał wyraz wielce przyjazny.

— Nic, moja droga — wtrącił Baltazar, wstrząsając futrem o barwie lodu — tylko fragment Pisma. *Księga Ścierwa*, rozdział

dwudziesty ósmy, wers dziesiąty. Jeśli pójdiesz z nami, nauczysz się tego i znacznie więcej. Oczywiście zabierzemy cię, prawo Wieży zabrania nam odprawienia poszukiwacza. Ale może to nie tylko nasza decyzja...?

Moja matka stała zwrócona do nas szerokimi plecami, którymi wstrząsnęło drżenie płaczu — ze smutku czy z ulgi, nie wiedziałam — ale przeminęło tak szybko, jak śnieg zsuwa się z gałęzi sosny na zamarznąłą ziemię. Podeszłam do niej, położyłam ręce na jej ramionach, przytuliłam głowę do jej ciepłej skóry.

— Idź — szepnęła gardłowo. — Po prostu odejdz. Jeśli Gwiazdy chcą, żebyśmy znów się spotkały, ułożą ścieżkę pod twoimi stopami. — Strząsnęła moje ręce i wyszła z izby ciężkim krokiem. Zaczęłam pakować żywność dla siebie i moich nowych braci — potrzebowaliśmy chleba na podróż na południe.

Opowieść o bladej dziewczynie, ciąg dalszy

— Nie znudziłam cię aby, kochana? — Sigrida poprawiła się na ławie, sieci błyskały na jej palcach jak srebrne pierścienie. Dawno minęło południe i chorobliwe światło północnego lata rozlewało się po nieruchomej wodzie przy nabrzeżu, rzadkie jak mleko.

— O nie — szepnęła Śnieg, jej bezbarwne usta ułożyły się w grymas podobny do uśmiechu. — Nie przestawaj! Widziałś Dwanaście Wież? Spotkałaś papieżycę? Czy była bardzo piękna?

— Nie chce mi się wierzyć, dziewczyno, że słyszę tyle słów wyrzeczonych przez ciebie w jednym miejscu. Jeśli nie będziesz uważna, połączą się i spłodzą dzieci, a wtedy nigdy nie umilknie.

Śnieg przez chwilę siedziała niczym porażona, potem oderwała oczy od Sigridy, jak przyłapana na gapieniu się w okno sklepu pełne ciastek, i gorączkowo jęła splatać sieć drżącymi palcami. Twarz tęgiej kobiety stała się delikatna we wszystkich miejscach, które były twarde. Szorstkie uczucie wygładziło jej policzki.

— Kochana, nigdy nie byłam matką; nie wiem, jak rozmawiać z młodym czy starym. Ale nie przestawaj się uśmiechać tylko dlatego, że kłapię dziobem i mówię coś, co nie jest wyrównane na brzegach jak koronkowa serweta. Okrzepnij, a jakoś się dogadamy.

Milczały przez jakiś czas, słuchając poskrzypywania statków kołuszających się w porcie, naprężających mokre cumy, które wiązały je z nabrzeżem. Mewy skrzeczały piskliwymi głosami wiedźm, pikując nad płyciznami po tłuste różowe ryby. Srebrzyste włosy Śniegu, ściemniałe od wilgoci, zwijały się na sukni. Wreszcie Sigrida zaczęła mówić, nie przerywając ani nie zwalniając pracy w trakcie opowieści.

— Ruszyłam do wielkiego miasta daleko na południu, za białymi pustkowiami, za porośniętą krzakami pustynią, gdzie nie było wody, i przez doliny, gdzie rosły winogrona wielkie jak śliwki. Ludzie-psy nigdy nie wydawali się zmęczeni, a czerwone kaptury chroniły ich przed burzami i poparzeniami od słońca, podczas gdy ja miałam tylko kusą suknię i obszarpany stary futrzany płaszcz...

Opowieść tkaczki sieci, ciąg dalszy

Szybko zaprzyjaźniłam się z trzema braćmi — którzy, jak się okazało, byli dosłownie braćmi, nie tylko zakonnymi. Często rozmawiali o domu i innych członkach swojego stada, którzy w pokoju obrabiali pola i nie myśleli o teologii. Baltazar miał najszybszy język, często dopowiadał nasze zdania, jakby niecierpliwie pragnął usłyszeć ich koniec. Bartłomiej był najbardziej pobożny i życzliwy; prowadził mnie jak ulubione jagnię, ucząc z *Księgi Konaru* i *Księgi Ścierwa* (choć nie wyjaśnił znaczenia dziwnego powiedzenia, które padło przy stole w moim starym domu), ale zachęcał mnie do wybrania dowolnej wieży, gdy staniemy u celu — obiecał, że wyłożona przede mną różnorodność religii przypominać będzie stół jęczący pod ciężarem potraw. Bags był naszym wesołkiem — łaskotał mnie i uczył zapasów, i żartobliwie szczypał zębami, gdy nie miałam się na baczności. Nie minęło wiele czasu, a bracia stali się jedynymi gwiazdami na moim małym niebie.

Trzymaliśmy się dróg, gdy tylko się wiły przed nami, i mieliśmy jedzenie, gdy go nie brakowało — winogrona, jabłka, czasami miękki ser z przejeżdżającego wozu, choć oczywiście nie mięso. Kynokefalołi zapewnili mnie, że są doskonałymi myśliwymi: mając silne, smukłe ludzkie nogi i szczęki, mogli capnąć ptaka w locie, zanim pieśń ucichnie w swiergoczącym gardle, ale nigdy tego nie czynili. Było strasznie smutno, gdy pewnego wieczora Bags przyniósł mi chudego zająca z pustyni,

która rozpostarła się wokół nas jak zrzucona suknia, haftowana bylicą i naszyta zakurzonymi kamykami. Biedne stworzenie padło trupem z gorąca; Bags nie chciał marnować mięsa, a ja konałam z głodu. Wychowałam się na lisich szynkach i foczym sadle, pustynia była nieprzyjazna dla moich młodych kończyn. Ze łzami w żółtych oczach Bags położył zająca na moich kolanach i zamknął mu ślepia, jakby uważał zwierzątko za swojego brata.

— Śmierć — szepnął. Słowa sączyły się ze ściśniętego gardła jak krew z głębokiej rany. — Tak często wdzieliśmy śmierć w czasie tego pielgrzymowania, śmierć pospolitą jak płaszcze powieszony w sieni. Czterech nas wyszło z Wieży Chryzantemy i czworo nas powraca, ale nie ci sami! Czy bogowie szydą z nas liczbami, rzucając je w nasze serca niczym piłki błazna? Wiesz, dokąd dotarliśmy przed wejściem do twojej wioski? Na czym polegała nasza misja? Al-a-Nur jest Miastem Światła, o tak, i widok księżycy na tuzinie jego wież jest dla mnie jak woda na języku po latach pragnienia! Ale wiele od nas żąda, wiele wymaga, żeby nie zgasło światło płonące złotem i błękitem! — Objął rękami kudłatą głowę, kształt pyska wypaczał jego szloch; strasznie było słuchać tej warczącej, prychającej rozpacz. — Wciąż czuję zapach krwi, zapach jego krwi na moich rękach!

Odłożyłam zająca i próbowałam go pocieszyć — Bagsa, który zawsze był wesoły i sypał jak z rękawa takimi żartami, że matka wychłostałaby mnie, gdybym je powtórzyła. Bags, którego spośród trzech kynokefalołi polubiłam najbardziej, płakał w moich ramionach jak osieroczone dziecko. Widziałam ponure świetliki oczu jego braci lśniące parę kroków dalej, ale nie sądziłam, by podeszli bliżej. *Księga Konaru* powiada: „Rozpacz jest prywatnym sakramentem. Nie dawaj go innym, jakby to był

prezent". Nie powinien płakać w moich ramionach, ale skoro już płakał, bracia nie chcieli go zawstydzić, świadkując chwili słabości.

Bags spojrział mi w oczy i pogryzł łyżę na kawałki.

— Wszystko, co się stało, było koniecznością, siostrzyczko, ażeby Miasto Światła przetrwało. Ale czułem w szczękach smak uległego gardła i nie mogę powiedzieć, nie mogę: Gdy grzeszy się w celu zachowania cnoty, czy jest to grzech? Wybacz, dziewczyno, nie jesteś jedną z nas, więc mój smutek cię nie splami, nie zostaniesz przezeń zbrukana. Pozwól, podzielę się z tobą swoim żalem, z tobą, która jesteś niewinna wszystkich tych okropności, wolna od mrocznego ciężaru. Powiem ci, co moi bracia i ja zrobiliśmy dla Al-a-Nur, Miasta Namaszczonego. Powiem ci o czwartym, którego miejsce zajęłaś...

Opowieść zabójcy

Od Bartłomieja usłyszałaś historię o Ragnhildzie Czarnej, która pięć stuleci temu nazwała się papieżycą i została zabita przez Ghyfranę Bezinteresowną. Znamy tę opowieść lepiej niż inne, gdyż jej ciąg dalszy leżał przed nami, gdy wyruszyliśmy z Bramy Łososa — bramy wzywającej nas do domu od pierwszych kroków w głuszę i przypominającej nam o rzece, która dała nam życie i do której wrócimy, gdy nasze pyski wylinieją.

Kalifat, obecnie czwarty, zawsze był zazdrosny o naszą autonomię i nienawidził spękanego skrawka pergaminu z odciskiem kopyta pierwszego kalifa, gwarantującego nam wolność po koniec dni. Bogactwo naszego miasta wyrasta nad sny kwestora, nie musimy płacić dziesięciny, nie obowiązuje nas prawo poboru, nie jesteśmy związani żadnym ziemskim prawem. Po śmierci Ragnhildy mieliśmy nadzieję, że czas ingerencji dobiegł końca, że nauczka wryła się w krew kalifatu na tyle głęboko, by żadne z dzieci naszych dzieci nie musiało się bać kolejnej apostazji.

Było wryte głęboko, jak się wydawało, przez pięćset lat, lecz nie dłużej.

Po śmierci Ghyfrany Dwunastej — Ghyfrana stała się ulubionym imieniem linii papieżyc, choć wilk mego serca oplakuje te utracone z długiej linii czystookich kapłanek zwanych Cveti — nasza obecna błogosławiona papieżycą, Jaszna Mądra, została zatwierdzona bez większych oporów i z należnym ceremoniałem. Wieża Papieska lśniła głębokimi

odcieniami jak zawsze i jej srebro migotało jak w dniu, gdy pierwsze gwoździe poczuły smak drewna. Sukcesja nie budziła kontrowersji. Ghyfrana wywodzi się z Wieży Umarłych, która dała nam wiele poważnych, powściągliwych papieżyc. Nadają się na ten urząd, bo nic tak jak obcowanie z martwymi nie zapewnia równie wielkiej i dobrej perspektywy. A jednak kalifat wybrał to krótkie interregnum, żeby wtrącić się po raz drugi i pod Różaną Kopułą Szadukiamu znów narodziła się odstępczyni jak cielę o czarnym pysku.

Co gorsza, przybrała imię swojej poprzedniczki — znów pojawiła się Ragnhilda z diademem na czole. Wysłała ludzi po złote kajdany, które przykuwały pierwszą fałszywą papieżycę do ziemi pomiędzy miastami i zostały tam ku pamięci, żeby przypominać kalifatowi, iż metropolia brudnych bankierów nigdy więcej nie zagrozi Al-a-Nur. Powiadano, że nowa Ragnhilda we dnie i w nocy nosi okowy, że zerwane łańcuchy kołyszają się łagodnie na jej smukłych nadgarstkach, starożytne złoto jaśnieje na tle skóry. Powiadano, że jej włosy mają dokładnie ten sam odcień co złoto, że jej oczy są tak czarne, iż wydają się nie mieć źrenic. Powiadano, że nie chciała nazwać się Ragnhilda Drugą, bo wierzy, iż jest odrodzoną zamordowaną papieżycą. Powiadano, że zawsze nosi ciemnofioletową suknię, w której pochowano tamte nieszczęsne kości, że przez grobowe łańcuchy w wielu miejscach prześwituje skóra — a na taką nieprzyzwoitość nie pozwoliłaby sobie żadna prawdziwa papieżycą z Wieży.

Późnym wieczorem zeszłego lata, kiedy błękit nieba był głębszy niż morze, moi bracia i ja zostaliśmy wezwani z okrytej kwieciami Wieży Chryzantemy na audiencję do Jaszny. Poszliśmy, ja i moi trzej bracia bo Barnaba był z nami. Miał

futro idealnie czarne, bez łąt brązu, które Bartłomiej odziedziczył po naszej matce o mocnych biodrach. Był z nas najmłodszy i najsilniejszy.

Stanęliśmy przed Jasną i wysłuchaliśmy jej śpiewnego głosu. Obecność papieżycy w prostych szarych szatach i skromnym diademie przepędziła obraz zjawy-papieżycy z naszych zatroskanych serc. Nasza matka Jasna nie jest młoda; ma ciemnobrązową skórę pomarszczoną i pomietą jak ukochana książka. Kiedy wyciągnęła rękę, żeby dotknąć naszych nabożnie pochylonych głów, jej dłoń była ciepła i sucha jak pustynny kamień po zmroku.

— Moi synowie, wysłuchajcie mnie dobrze, albowiem nasze miasto znów jest zagrożone. Nie jestem Ghyfraną... — zmęczony uśmiech wygiął kąciki jej ust w rogi sierpa księżycy — nie jestem nawet Cveti. Nie mam w swoim ciele niczego, co mogłabym dać Al-a-Nur. Jestem staruchą, pogodziłam się z tym. Nie mogę poprowadzić armii przeciwko Szadukiamowi, a nawet gdybym mogła ruszyć na jej czele, obawiam się, że wskutek długiego życia w pokoju Draghi nie są tacy jak dawniej. Ćwiczą, modlą się i nic nie wiedzą o prawdziwej wojnie. Nie, tym razem nie możemy zmiażdżyć fałszywej papieżycy samym ciężarem naszych Wież. Czas na działanie ukradkowe i przebiegłe, a w tym jestem wprawna. Wybrałam was, ponieważ będziecie poza wszelkim podejrzeniem; Szkarłatne Kaptury od zawsze zabraniają przemocy i nikomu nie przyjdzie na myśl kwestionować cichość waszego ducha. A jednak muszę was prosić o złamanie przysięg, jak ongiś uczyniła niepokalana Cveti w wiernej służbie Dwunastu Wieżom. Odsyłam was od rzeki i znajomych wód, odsyłam was od chryzantemy o

szesnastu płatkach. Musicie pójść na wschód i zabić Czarną Papieżycę.

Och, siostró, chciałbym ci powiedzieć, że byliśmy wstrząśnięci, że zgodziliśmy się tylko z obowiązku — ale prawda jest taka, że słowo „zabić” miało niewielkie znaczenie dla nas, którzy dorastaliśmy w cyklach otwierania się i zamykania kwiatów, którzy nigdy nie jedliśmy mięsa zwierząt ani nie uderzyliśmy w gniewie innego stworzenia. Zgodziliśmy się, bo prosiła nas Jaszna; zgodziliśmy się, bo to ona powiedziała, że zbrodnia będzie nam wybaczona; zgodziliśmy się, bo chcieliśmy nosić wyszyte na piersi święte tajemne imię Cveti, bo chcieliśmy być zbawcami naszego miasta, najgłębszego serca naszych serc. Nie myśleliśmy o Ragnhildzie i o zadaniu. Zaprzysięgliśmy się chętnie i ucałowaliśmy pomarszczoną rękę, która tak słodko pachniała drewnem sandałowym i szeleszczącymi zwojami. Nie było w nas cienia winy, gdy odeszliśmy, słysząc sopranowe echa zamykającej się za nami Bramy Łososia.

Z Al-a-Nur do Szadukiamu nie jest tak daleko, jak sobie wyobrażaliśmy — gdy spoczywasz w ramionach Śniącego Miasta, odnosisz wrażenie, że wszystko za jego murami należy do innego świata, że nie można tam dotrzeć, stawiając po prostu jedną stopę przed drugą.

Ziemie rozciągające się pomiędzy miastami są wielce przyjazne.

Jakże żartowaliśmy, skacząc po żyznych polach! Jak opychaliśmy się poziomkami i pomarańczami, które błyskały niczym płomyki w porannej mgle! Barnaba szczególnie cieszył się otwartą przestrzenią, hasając przed nami na chyżych płaskich stopach.

— Chodźcie! — wołał. — Nie ma powodu nie cieszyć się po drodze, jeśli nawet czekające nas zadanie jest straszne i ponure. Konar mówi: „Nie zważaj na ciemność przed, za i obok; mieszkać zawsze w świetle otwartego serca”. A jagody są takie słodkie o pierwszym brzasku w drodze!

Bartłomiej był taki jak zawsze, niespokojnie popatrywał w gwiazdy. Baltazar dał się Barnabie rozweselić; obaj bawili się i mocowali przy nocnych ogniskach.

Jak serdecznie przyjęto nas w cętkowanych słońcem murach Szadukiamu! Jak jasno lśniły diamentowe iglice na tle wielkiej wiklinowej kopuły, która rozpina się nad miastem — jej gładką powierzchnię pokrywa żywa, gruba koronka róż, nieprzyzwoicie czerwona, usiana najdelikatniejszym różem i bielą. Straż wpuściła nas bez pytania, a nasza prośba o spotkanie z papieżycą (strasznie trudno było odgryzać pierwszy człon tytułu, do którego przywykliśmy, i nie zwać jej czarną, fałszywą albo apostatką ale pędziliśmy słowa jak owce w należnym porządku) została spełniona z wielką uprzejmością. Oczywiście, zapewnili z promiennym obliczem. Papieżycą przytula do piersi wszystkich swoich synów i córki. Pragnie zjednoczyć rodzinę pod Różaną Kopułą i zażegnać wszelkie konflikty, powiedzieli. Jej jedyną troską jest dobro ich duszy. Ukłonili się i odstąpili, bijąc pokłony.

Jak łatwo było jej nienawidzić, siostrzyczko.

Musieliśmy przemycić broń do jej sklepionej sali; sztylety nosiliśmy na widoku, ostre zęby naszego łowieckiego dziedzictwa, nieznające smaku mięsa, tylko miąższ jabłek i brzoskwiń. Zdawało się, że ledwie po chwili hasania przez sady byliśmy u celu, w jej prywatnej komnacie, klęcząc przed dziwnym tronem, na pozór zrobionym z tych samych róż, które

pokrywały kopułę miasta, ale żywych, wijących się wokół jej ciała z lubieżną poufałością.

Jej twarz przysłaniały włosy, gdy uklękliśmy — nie powitała nas ani nie kazała nam powstać — długie, białozłote włosy spadające na policzki jak welon zakonnicy. Na rękach miała złote kajdany, łańcuchy leniwie muskały jej nagie kolana; jasna skóra pobłyskiwała w dziurach sławetnej fioletowej szaty, dolny skraj prawej piersi był nagi, fragmenty bioder i brzucha wyzierały złowrogo spod starożytnej tkaniny.

Zastanawiam się, siostrze, czy było łatwiej, bo wyglądała dokładnie jak upiór, przed którym nas ostrzegano. A gdyby pojawiła się bez tego znanego z pogłosek stroju, czy wzruszyliby nas jej piękno, czy moglibyśmy się wahać? Ale była wiernym obrazem siebie, jednoznacznym i czystym.

— Witajcie w domu, błędzący synowie — rzekła głosem głębokim i lepkiem jak wielopiętrowy plaster miodu. Nie podniosła głowy. — Dom zawsze staje się mocniejszy, gdy wszystkie jego dzieci wracają do ogniska. Wasz powrót mnie rozgrzewa.

— Jesteśmy zaszczytzeni, matko. — Barnaba wycedził uprzejme słowa, które z pewnością zostawiły gorzki smak wapna w jego ustach. — Jaszna przysłała nas z posłaniem pokoju...

Nagle uniosła oczy, ich czarne światło trysnęło niczym skry ze starożytnego kowadła.

— Jaszna przysłała was, żebyście mnie zabili, uwolnili swoje morowe miasto od niewygodnej kobiety. Jeśli moi słudzy są głupcami i łudzą się, że Al-a-Nur nas zaakceptuje, nie popełnijcie błędu, spodziewając się, że podzielam ich złudzenia. Jestem Ragnhilda, już kiedyś czułam nacisk ręki Al-a-Nur.

Wymieniliśmy nerwowe spojrzenia, Bartłomiej oblizał ciemną szczękę. Jeśli naprawdę była dość szalona, by wierzyć, że jest odrodzoną martwą odstępczynią, może śmierć będzie dla niej miłosierdziem. Spróbowałem wysondować głębię jej urojeń, mrużąc:

— Wiem, że twoja poprzedniczka po wojnie ucierpiała srodze...

— Nie, mój synu. Nie ona. Ja. Ja leżałam na skałach i słońce kąsało moje ciało. Błagałam o życie bezużytecznym kikutem języka. Patrzyłam, jak wasza najdroższa Cveti zamyka moje odcięte piersi w srebrnej szkatule. Słuchałam żołnierzy sławiących jej fałszywe imię — Ghyfrana! Ghyfrana! Dziwka, która zdradziła swego boga dla władzy. Mam nowe ciało, ale jestem Ragnhildą, pierwszą tego imienia, i jestem zarazą, która przepali szpik Namaszczonego Miasta. Tłumy zwrócą się na wschód ku Szadukiamowi, by spojrzeć w twarze bogów; w zdumieniu i trwodze ukłonią się przed Różaną Kopułą. Ruiny waszych zepsutych wież staną się osobliwością, gdzie rodzice będą przyprowadzać dzieci, żeby posłuchały opowieści o zgrai gnuśnych, nikomu niepotrzebnych bliskowzrocznych mnichów i o tym, jak moja oczyszczająca zemsta rzuciła ich na kolana. Nie spowolnią mnie nawet wasze kluchowate, wykoślawione ciała chrześzczące pod moimi nogami. Jaszna jest zniedołężniałą, śliniącą się służebną dziewczką, a jej salonowe pieski są dla mnie niczym.

— Musisz wiedzieć — zaczął Bartłomiej powoli — że oczyszczająca zemsta nie należy do ciebie, tylko do kalifa. Wykorzystuje cię, żeby zagarnąć dla siebie bogactwa naszego miasta. Jak myślisz, dlaczego ulokował cię tak blisko skarbcza? Czy Szadukiam kiedykolwiek zbudował coś poza skarbcem,

talerzem dla kalifa? Jeśli jesteś prawdziwą Ragnhildą, jeśli masz taką moc, musisz wiedzieć, że wina leży po stronie kalifatu i jego — chciwości — dlaczego nie wypuścisz swojej nienawiści na tego, kto prowadzi cię jak cielaka do rzeźni? Jakie przestępstwo popełniło Al-a-Nur? Wszak żyjemy w pokoju i dostatku, szczerze czcimy naszych bogów, zbudowaliśmy piękno w jałowym świecie. A jednak kalif wykorzystał cię jak malowaną dziewczynę, oblekając w ubranie trupa i sięgając twoją ręką po garście nuryjskiego złota.

— Kalif jest psem liżącym się pod ogonem — warknęła. — Za pierwszym razem byłam głupia, gdy szeptał mi do ucha, że mogę być święta, że mogę myć skórę sproszkowanymi szafirami; całował mnie po szyi i obiecywał, że uczyni mnie Królową Nieba. Tym razem przyszedłem do Szadukiamu, prowadząc go na jedwabnej smyczy...

Opowieść Czarnej Papieżycy

Zostałam kochanką kalifa w szesnastym roku życia — gdy pierwszy raz byłam Ragnhildą i kochałam pierwszego kalifa. Poszłam do niego z radością. Miał ciemne oko i smagłą nogę, i pachniał korzeniami, których nazw nie umiałabym odgadnąć. Uwielbiał moją skórę, bo siniaki odbijają się na niej tak ślicznie, uwielbiał moje włosy, bo mają barwę bogactwa. I pewnego wieczora, kiedy wojna z Południowymi Królestwami wzniecała na pustyni metaliczną kakofonię śmierci, pocałował pieprzyk na mojej łydce i zapytał, czy chcę zostać bogiem.

Byłam głupia. Wszystko, co dawał mi kalif, brałam z drzeniem wdzięczności i uwielbienia. On pogładził moje usta i powiedział, że potrzebuje złota Al-a-Nur, żeby kontynuować wojnę, i że sukcesja jest niepewna. Zarzucił na moje ramiona futrzany płaszcz, przyozdobił mi ręce lśniącym brązem i włożył diadem na głowę. Obiecał mi miasto — mnie, która w dzieciństwie pasalam kozy na żalonym spłachetku ziemi porośniętym suchymi krzakami! Obiecał mi diamentowe iglice Szadukiamu, jeśli obwołam się papieżycą i przejmę na własność świętość Śniącego Miasta.

Nie znałam się na polityce, ale wysoko ceniłam każdy obfity posiłek i miękkie suknie. Zaniesiono mnie w lektyce do mojego nowego domu i setki kastratów wyśpiewywały moje imię, gdy weszłam pod Kopułę Róż, w różowy i płomieniście czerwony blask słońca przesianego przez płatki. Co takiego mogło mieć Al-a-Nur w porównaniu z pięknem, jakie ujrzałam tego pierwszego dnia? Zostałam zamknięta w domu wspanialszym

niż pałac i złożyłam śluby, oszołomiona słodkim czarnym winem. Stawiałam swój znak na listach rekwizycyjnych, werbunkowych i podatkowych, którymi mieli się zająć ludzie kalifa w Al-a-Nur — co wieczór bolały mnie ręce. Nie wiedziałam nic o mieście, którego bogactwa rozdzielałam, ani czy żądania zostały spełnione; znałam tylko dni pełne szelestu papieru i noce, kiedy kalif wracał ze stolicy i wciskał twarz w moją szyję.

Do dnia, gdy mi powiedziano, że jest druga papieżycą, że poniosła jakąś wielką ofiarę dla Dwunastu Wież, choć nawet wtedy wiedziałam tylko, że skazała się na potępienie dla kapelusza i miecza. Nazwała mnie odstępczynią, mówili. Nazwała mnie Czarną Papieżycą i wiodła wojska w brudnych nagolenicach do mego pięknego nowego domu. Płakałam i błagałam, żeby pozwolono mi zobaczyć się z kochankiem, gdyż rozpaczliwie pragnęłam ukryć się przed tym mściwym demonem. Nie wiedziałam nic o papieństwie, byłam tylko dzieckiem stawiającym znaczki na skrawkach papieru. Co zrobi ze mną ta bestia walcząca o przejęcie tytułu, który ja nosiłam lekko jak skrzącą się broszę w dzień święta?

Ale kalif zniknął — podstęp mu się nie udał. Nie zdołał zmusić do odwrotu armii nowej Ghyfrany i utrzymać linii na pustyni; porzucił mnie w moim filigranowym pałacu ze stosami zignorowanych wezwań do obrony mojej osoby. Nie wierzę, by kiedykolwiek poważnie myślał o zdobyciu papieństwa — nie był poważnym człowiekiem. Mnie traktował jak zabawkę, błahostkę spisaną na straty. Jeśli zdołam zachować tron, to dobrze; jeśli stracę — cóż, tron kosztował go mniej niż skromna uczta.

Schowałam się w komnacie, chora ze strachu, i kołysałam się, aż włosy spadły mi na ręce. Każde skrzypnięcie podłogi ścisnęło moje serce i wyrywało krzyki z moich ust. Nie jadłam, spałam z nożem zaciśniętym w garści. Codziennie o świcie roiałam, że słyszę kościane trąby nuryjskiej czeredy, a o zmroku przed moimi oczami widniał niezmienny obraz śliniących się twarzy — każdy wiedział, że w Namaszczonym Mieście mieszkają najdziwniejsze bestie i ich groteskowe wizerunki nawiedzały mnie we śnie co noc.

Kiedy powiedziano mi, że armia, Draghi Celesti — ledwo mogłam wymówić te słowa — stanęła obozem ledwie dzień marszu od bram miasta, przyszedł do mnie chłopiec. Znalazł mnie drżącą za tronem i pogładził moje włosy, jakbym była jego zaginioną córką, choć przecież sam był dzieckiem, rumianym i rudowłosym.

— A jeśli ci powiem — szepnął — że przeżyjesz?

Patrzyłam jak ranny jelonek na jego różowe policzki.

— Chyba nie zamierzasz być moim obrońcą? Sam jesteś nie większy od wyrosniętego kota! Papieżyca mnie zabije i wykąpie się w mojej krwi. Wiesz, że tak będzie.

Chłopiec zmarszczył czoło.

— Cóż, może „przeżyjesz” to zwrot stylistyczny. Ale jestem niezupełnie tym, na kogo wyglądam. Ciała, rozumiesz, są tanie jak żonkile na targu. Ten chłopiec zmarł z gorączki nie więcej niż tydzień temu — a lubię być dzieckiem. Nazywam się Marsili. Handluję umarłymi, pustymi ciałami. Formalnie rzecz biorąc, nie mogę uchronić cię przed losem, który zdradziecka papieżyca zgotuje ci swoimi ślicznymi rękami, ale mogę zachować twój duch w bezpiecznym miejscu, aż obrócą się

koła świata i będziesz miała szansę na zemstę. Albo, jeśli wolisz, możesz wieść bezimienne życie wśród kóz. Co mi odpowiesz?

Jego zielone oczy zdawały się wwiercać we mnie jak bliźniacze węże, które szukają chłodnej skóry matki.

— Zrobiłbyś to dla mnie? — wydyszałam.

— Cóż, nie bez zapłaty, oczywiście! Tu jest Szadukiam, kantor wymiany obwieszony festonami zielska! Czego nie można tu kupić, czego nie można tu sprzedać za garść miedzi i srebra, za dłoń pełną błękitnych kamieni; czego nie można mieć, jeśli posiadanie warte jest ceny? Wszelka boskość i niegodziwość wiszą na rzemieniach na naszych targowiskach jak martwe gęsi w zimie, stopy tych niezliczonych pragnień wskazują ku niebu, omyte krzykami tych, którzy się targują, krzykami rozpacz! To miasto zawsze było moim domem, daje mi wszystko, czego potrzebuję codziennie gładkolicy młodzian umiera z miłości do bogatej dziewczyny albo kona z głodu, zgrawszy się do czysta na wyścigach biegaczy! A kiedy odchodzą, ich piękne ciała są moje, gotowe do przywdziania jak świeżo uprasowane koszule. To, o co cię proszę, jest drobiazgiem w porównaniu z magią, jaką mogę czynić. Nigdy nie było lepszego ode mnie mistrza sztuki umarłych.

Ciekawość walczyła we mnie ze strachem.

— Jak zdobyłeś tę moc? Nawet kapłani umarłych w Al-a-Nur nie znają takich czarów.

Popatrzył na mnie dziwnie, smukłą ręką gładząc zarost, którego nie posiadał. Potem zaczął mówić, a miasto wokół nas płonęło.

Opowieść nekromanty

Gdy się urodziłem, byłem nie większy niż odcięty pługiem kciuk wieśniaka.

Moja matka nie kryła gorzkiego zawodu — oboje z ojcem tak długo czekali na syna, a ona w końcu powiła odmieńca. Moi czcigodni rodzice próbowali sprzedać mnie każdemu przejeżdżającemu cyrkowi, ale słonie się płoszyły i lwy dostawały drżączki, gdy stawiano w pobliżu moją maleńką kołyskę. Cyganie robili znaki przeciwko złemu oku i w nocy kładli talizmany na naszym progu, żeby się strzec przed diabłami. Nie chciały mnie ani wieże, ani świątynie — jakim byłbym duchownym, nie mając nadziei na udźwignięcie gęsiego pióra? Nie mogłem uprawiać roli, nie mogłem sprzedawać towarów.

Mój ojciec zaczął wierzyć, że jestem nie tylko karzełkiem, lecz również demonem.

Codziennie chodził na targ i oferował mnie każdemu, kto wysupła monetę za moje nieszczęsne ciało. Matka nie chciała karmić mnie piersią. Dawała mi skrawki przeżutego mięsa i kleik nędzarza. Sugerowała przechodniom, że mogę się przydać do tresowania węży, do szpiegowania krewnych lub jako egzotyczna przynęta na ryby. Cóż wprawdzie byłem skurczony i niekształtny, ale umysł miałem jasny i chwytliwy jak kowalskie szczypce, i nauczyłem się mówić, zanim skończyłem trzy dni. Po niespełna tygodniu władałem również dialektem Cyganów. Przed upływem miesiąca trudno byłoby znaleźć na targu słowo, którego nie rozumiałem. Ale przyciskałem język do

podniebienia i nie pisałem słowa — gdyby matka wiedziała o moich zdolnościach, tylko podniosłaby cenę, a ja nie chciałem przysporzyć jej grosza.

W końcu, gdy miałem dwanaście tygodni i wcale nie urosłem, nadarzył się kupiec. Był bardzo wysoki i chudy jak kartka papieru. Jego skóra i płaszcz miały barwę księżyca — nie romantycznej luny kochanków, ale tego prawdziwego, o którym szeptali nuryjczycy z Wieży Słońca i Księżyca, przychodzący kupować dziwne przyrządy do szpiegowania nieba, księżyca; szarego i dziobatego, pełnego tajemnych kraterów, lodowatych szczytów i spalonych przestrzeni. Oczy nie miały koloru, wyjąwszy punkciki źrenic, jak rany po ukłuciu wrzecionem — reszta była czystą, mleczną bielą. Włożył w dłoń mojej matki trzy sztuki złota, a ona zadrżała z odrazy, gdy pieniądze przechodziły z ręki do ręki. Oddała mnie chętnie, obwąchując monety jak tłusta świnia pomyje, które gospodarz dał jej na kolację. Od tej pory byłem własnością Człowieka Odzianego w Księżyc, a moja matka bez wątpienia nabyła w zamian piękną brązową krowę albo parę wołów.

Człowiek Odziany w Księżyc ostrożnie trzymał mnie w ręku, gdy szliśmy przez rynek. Dłoń miał chłodną i suchą, pachnącą surową skórą i gardeniami. Kiedy dotarliśmy do jego drzwi, spostrzegłem, że dom ma barwy jego stroju, jest szary i podziobany, jakby jakiś niebiański kartacz trafił prosto w fasadę. Drzwi były wypaloną dziurą przysłoniętą ceratą, zza której buchały rozmaite wonie, szept lodu i uschniętego mięsa.

— Cóż, młody człowieku — powiedział głosem gromkim jak dudnienie głazu, który stacza się po lunarnym zboczach — wiem, że umiesz mówić, zaprzestańmy tej żalösnej maskarady, w

której ja udaję, że nie znam twojej wartości, a ty udajesz, że nie cieszysz się z uwolnienia od rodziny.

Obojętnie wzruszyłem ramionami.

— Uważam, że homunkulus w domu nie na wiele się przyda — podjął. — Sam utrzymuję izby we względnej czystości i nie mam kłopotliwych krewnych, których musiałbym szpiegować, żeby nie uciekli z moim majątkiem. Ale twoja postura jest cenna — to nowość, nigdy dotąd nie widziałem czegoś podobnego. Moją specjalnością są ciała. Jak ci się podoba myśl o pozbyciu się swego?

Spojrzałem na swoje ręce, nie większe niż żołądź, na drobne stópki, na maleńkie ciało, które nigdy nie mogłoby chodzić po ulicy bez ryzyka, że nie zostanie połknięte przez przelatującego wróbla.

— To niemożliwe, panie, choć bardzo tego pragnę.

Po raz pierwszy Człowiek Odziany w Księżyc uśmiechnął się i jego twarz pękła jak rozłupany owoc granatu.

— Przeciwnie, mój maleńki przyjacielu. I zwij mnie ojcem. Myślę, że tak będzie najlepiej, zważywszy na okoliczności, nieprawdaż?

Znów wziął mnie w chłodną, bezbarwną dłoń; razem weszliśmy przez grube drzwi i w dół po długich spiralnych schodach, które zawracały i zakręcały, więc wchodzenie wydawało się zarazem schodzeniem. Nie umiem powiedzieć, dokąd doszliśmy, wiem tylko, że ściany zrobiły się skaliste i wilgotne, i miałem wrażenie, że jesteśmy głęboko pod ziemią. Wreszcie stanęliśmy w komorze pełnej ludzi wszelkich kształtów, płci i koloru. Oczy mieli spokojnie zamknięte. Opierali się o ściany jak zrolowane dywany, jasnowłose dziewczę obok siwego dziadka i dziecka o delikatnej skórze. I

wśród ludzkich piękności znajdowały się dziwne stworzenia: bazyliuszki, leukrotty i jednonogi z jedną wielką, koślawą stopą sterczącą niezgrabnie w lodowatym powietrzu — bo było tu zimno jak w palenisku czarownicy i szron skrzył się na suficie.

Człowiek Odziany w Księżyc szerokim gestem wskazał swą kolekcję.

— Wybieraj! Jest tu reprezentowana każda możliwa kombinacja cech. Chcesz mieć piersi czy brodę? Chcesz mieć ciemną skórę wschodniego książątka? Chcesz mieć szczupłe ramiona dziecka? Wystarczy, że oddasz tę małą żalną powłokę, a ja odzieję cię w nową, uszytą na miarę jak gorset oblubienicy! Dla mnie trud to nie większy niż przestawienie lampy z jednego stołu na drugi. Musimy tylko cię zabić, zgasić twój mały oddech, a wszystko będzie dobrze. Powiem ci, jak to się robi...

Opowieść Człowieka Odzianego w Księżyc

Mój lud zawsze miał władzę nad ciałami ludzi. Narodził się, gdy pierwsze promienie Matki Księżyc zaślniły na licu pierwszego oceanu i z wód pierwotnych powstało plemię Yi. Ssaliśmy brzeg tarczy matki, która w owych czasach stykała się z morzem, ze wzburzonymi słonymi falami.

Księżyc nauczyła nas, jak umierać. Musieliśmy opanować tę sztukę na pamięć i ćwiczyć, a rzecz to dla nas niełatwa. Inni, dzieci słońca, mrą w zgodzie z naturą i robią to z wdziękiem; dla nas zgon przypomina rozwiązywanie trudnego równania bez pióra czy papieru.

Matka Księżyc nauczyła nas, że mamy prawo zabierać ciała umarłych my należeliśmy do niej, pani nocy, a zimno i zmarli należeli do nas. Był to jej dar, rozumiesz, żebyśmy mogli poznać smak każdego rodzaju żywota, od najpodlejszego po najbardziej wysławiane. W pierwszych dniach świata pokazała nam wszystkie sekrety bezkrwistego ciała. Pokazała nam, że możemy przepływać przez nie jak ryba przez rafę koralu; śmierć robi dla nas miejsce. Ale nie można pływać w morzu, które żyje — pływak i woda muszą być jednako martwi. Dlatego, chcąc przechodzić z ciała do ciała, musieliśmy nauczyć się umierać.

Pierwszym z nas się nie powiodło — schodzili pod fale i oddychali z łatwością, instynktownie. Wchodzili w ogień i tylko się rozżarzali. Rzucali się z urwiska, a ich łopatki rozkładały się

w skrzydła niczym origami. Otwierali żyły kościanymi nożami i stwierdzali, że z braku krwi stają się tylko lżejsi i przejrzysti jak diamenty. Zaczęliśmy rozpaczać. Dzieci słońca miały wyjątkowy talent. Marły wokół nas bez trudu, jak stokrotki na wietrze.

Ja pierwszy odkryłem sposób. Siedziałem pod Księżycem z ustami na jej lodowatych palcach, dumając nad problemem. Przyszło mi na myśl, że jesteśmy rasą samobójców — biczowaliśmy tylko nasze ciała, zdejmowaliśmy własną skórę jak ubranie. Jeśli zamiast tego pomożemy jeden drugiemu umrzeć, jeśli uczynimy ze śmierci sakrament, wtedy może się uda.

Poszedłem do jednej z sióstr i ukląknęłem przed nią, błagając, żeby mnie udusiła, wyjęła moje oczy i spaliła serce w glinianym piecu. Moja teoria wylewała się ze mnie jak strumień spływający z góry, tak chętny byłem stać się pierwszym z mego ludu, który opanuje sztukę umierania. Ona, też chętna i ciekawa, położyła na moim gardle smukłe, niebiesko-białe palce i ścisnęła, aż ległem u jej stóp bezwładnie jak wyrzucony koc.

Było to pierwsze morderstwo popełnione wśród Yi. Świętowaliśmy przez siedem dni i nocy; srebrne lampiony kołysały się w takt słodkich melodii granych na fletach z chalcedonu. Nasz usiany gwiazdami świat nagle stał się kakofonią śmierci, gdy wyskakiwaliśmy z ciał, wnikając w jasne powłoki dzieci słońca. Oczywiście, kiedy umarliśmy po raz pierwszy, straciliśmy niezniszczalne księżycowe ciała, przysługujące nam z prawa urodzenia. Ale stwierdziliśmy, że im dłużej przebywamy w naszych nowych ciałach, tym bardziej upodobniają się one do dawnych; kolor wyciekał z oczu, skóra bladła jak kraterzy bez cienia. Po paru latach spędzonych w ciele dójki wyglądaliliśmy prawie jak dawniej, Dzieci słońca i ludzie, i

potwory, były przerażone tą mocą. Nie umiem powiedzieć dlaczego — przecież opuszczały ciała, traciły do nich prawo, a Księżyc przyznała je nam mocą słusznego prawa najmu. Oni jednak odwrócili się od nas ze zgrozą i zmusili nas do noszenia szarych, dziobatych płaszczy, żeby mogli nas odróżnić od swoich umiłowanych zmarłych, zanim przemienimy ich ciała z powrotem we własne. Raz pojмали chłopca niedawno zmarłego, gdy Yi w nim był słaby i nie znał nowych mięśni na tyle, by stawić opór dręczycielom. Trzymali go w ciemnej studni, z dala od oczu Matki Księżyc, i torturowali wrzącym olejem, narzędziami do miażdżenia kciuków i podstępными truciznami, aż wyjawiał im część naszych sekretów — choć oczywiście nie metodę przenoszenia się w zimne ciało. Oprawcy poszli do Al-a-Nur i wylali fundamenty Wieży Umarłych, gdzie praktykują okaleczoną formę naszej sztuki.

W trakcie naszego ekstatycznego tańca z trupa do trupa Księżyc zeszła do nas, gdy spaliśmy, i przemówiła do muszli ucha każdego Yi. Obiecała, że kiedy jeden z nas — tylko jeden — zasmakuje każdego rodzaju życia, jakie przygotował dla nas ogród świata słońca, wrócimy do niej i zamieszkamy w morzu światła, kołysani na zawsze w jej mlecznych ramionach.

Tak więc skaczemy wysoko, rozświetlone gwiazdami palce naszych stóp muskają różne formy, ludzkie i potworne; szukamy każdego rodzaju pazura i oka, żeby kiedyś powrócić do nocy i pierwotnej bladości Księżycyca.

Opowieść nekromanty, ciąg dalszy

Człowiek Odziany w Księżyc spojrzał na mnie wybielonymi oczami i uśmiechnął się, rzadkie włosy na jego szczęce zadrżały.

— Jestem wielkim kolekcjonerem, rozumiesz. Przechowuję wszystkie te ciała dla moich braci i sióstr, żeby mogli mieć zapas w pogotowiu, gdy znudzą się obecnymi. Yi napływają i odpływają jak rzeka, która toczy swe wody pod księżycem — przychodzi stara jędza, a wychodzi młodzieniec, przychodzi mieszkaniac Północy o lodowych włosach, a wychodzi południowiec o cynamonowej skórze. Porzucone ciała... cóż, wszystkie istoty muszą jeść i co dwa tygodnie odbywa się tutaj uczta. Ale ty! Nie widzieliśmy nikogo takiego! Musimy dodać twoje ciało do naszego skarbca, a w zamian będziesz mógł wybrać nowe.

Pewnie powinienem być zszokowany, lecz mogłem myśleć tylko o długich, gibkich kończynach i wzroście, który przerastałby ojca. Zgodziłem się tak chętnie, jakby oferował mi drewniane koło za parę kurczaków.

Podnosił mnie do rzędów twarzy w wielce uprzejmy sposób, a ja przyglądałem się wszystkim po kolei. Wreszcie zdecydowałem się na młodzieńca o skórze barwy dojrzałej brandy, z brwiami wygiętymi w arystokratyczny, pełen rozbawienia sposób nad oczyma o ciemnych rzęsach.

— Doskonały wybór, mój synu! To Marsili, dawno temu był synem sułtana zaręczonym z panną nieziemskiego piękna, która miała oczy żółte jak wilk. Ale w taki czy inny sposób rozzłościł ojca, najpewniej uprawiając hazard albo się łajdacząc; młodzi ludzie mają skłonność do takich słabostek. Sułtan w swojej mądrości sprzedał mi chłopaka i sam poślubił dziewczynę. Słyszałem, że gdzieś na Wschodzie jest cała dynastia wilczookich sułtanów. Dając go tobie, nie poniesiemy straty. Możesz mi wierzyć, dawno temu poznaliśmy tanie doświadczenia zepsutego księcia. — Podciągnął szare rękawy. — Zaczynamy?

Zamrugalem dwa razy, moje serce łomotało jak przeciążone miechy.

— Ale... nie mogę cię udusić, ojcze. Nie mam takiej siły.

Jego twarz wykrzywiła się w życzliwym uśmiechu.

— Och, nie muszę być martwy, nie zamierzam przejmować twojego ciała. Yi stanowią jednię. Wyjdzie na to samo, gdy skorzysta z niego inny członek mojej rasy. Prosty proces i chłód tego pomieszczenia pozwalają zachować ciała w nienaruszonym stanie, dopóki nie stają się potrzebne. Tylko ty musisz umrzeć. To będzie mała śmierć, obiecuję. Poczujesz, jakby za duży kęs chleba utknął ci w przełyku gdzieś pomiędzy ustami i brzuchem. Oczywiście, łyk wody spłukałby chleb w dół, gdzie powinien trafić, ale doznasz ciekawego uczucia naciągania, pęcznienia. Tak wygląda mała śmierć.

Nie wydawało się to zbyt straszne. Wyciągnąłem się na całą wysokość — nie większą niż konik polny — i wyprężyłem ramiona, przyjmując postawę, jak sobie wyobrażałem, dzielnego żołnierza na wojnie.

— Jestem gotów, ojcze. Możesz mnie teraz zabić.

— Nie wolno zniszczyć ciała! — ćwierknął radośnie i zacisnął wielką lepką rękę na moim nosie i ustach. Trzymał ją, rozsiewając mdły zapach gardenii, gdy szamotałem się i ssąłem skórę, szukając powietrza. Wreszcie zwiotczałem i osunąłem się na jego kciuk.

Miał rację, to było jak zadławienie się chlebem. Najpierw trwoga i panika, potem ciekawe naciąganie, potem ulga, jakby chleb ześliznął się do brzucha. Nie unosiłem się nad ciałem, jak niektórzy powiadają — stałem obok, bardzo spokojny, jakbym po prostu się podwoił. Patrzyłem, jak Człowiek Odziany w Księżyc omywa moje ciało strugą dziwnej, kleistej cieczy o barwie kosztownego tuszu. Potem wyciągnął z szeregów obwisłą formę Marsilego, namaścił jego czoło piżmowym olejem. Na koniec wsunął podłużny biały kamyk w usta trupa i szepnął parę słów, których nie mogłem usłyszeć.

Było tak, jakbym mrugnął, i kiedy znowu otworzyłem oczy, były to oczy Marsilego. Kiedy wyprężyłem ręce, były to ręce Marsilego. Kiedy przemówiłem, był to słodki jak wino z miodem głos Marsilego, latami szkolony przez guwernerów. Kamień zniknął z moich ust.

— Jestem... jestem nim! — krzyknąłem, patrząc prosto w oczy Człowiekowi Odzianemu w Księżyc. Głupio powiedzieć, ale niemal płakałem z radości, gdy dotknąłem palcami chłodnego sufitu.

Od tego dnia błagałem, żeby wziął mnie na ucznia i nauczył tej magii, bym nigdy nie musiał umrzeć wielką śmiercią. Nie widział sensu, gdyż Księżyc nie był moją matką. Mogłem tylko stać u stóp wiodącej do niej długiej drabiny Yi. Ale po jakimś czasie ustąpił, wiedziony współczuciem lub ciekawością, a może jednym i drugim, i rozpocząłem długą edukację. Zawsze

powtarzał, że niewierzący mogą przyjmować każdy sakrament, zwykle nie jest to nic więcej jak jedzenie i picie. Ja mogłem pić wszystko, co chciałem, i nic, co trafiało do moich ust, nie mogło się stać Księżycem — ale picie jest dość przyjemne bez obietnic, które daje wiara. I zawsze byłem dla niego uprzejmy.

Zachowałem imię swojego pierwszego innego ciała. Bawiło mnie, gdyż nie wydawało się ani męskie, ani kobiece, a mogłem przybierać postać obu płci. Nie jestem Yi. Ciała nie marszczą się na mnie. Po prostu zmieniam cielesne kostiumy, kiedy mi się znudzą. Nie do końca rozumiem, co takiego jest w duchu Yi, że psuje otaczające go ciało, ale sam nigdy nie zaznałem takiego rozpadu. Byłem dobrym uczniem, w końcu nawet pomogłem Człowiekowi Odzianemu w Księżyc przejść do następnego ciała. Ukląknęłam ze czią, otworzyłem mu brzuch i przygotowałem następne ciało do przejścia. Umieściłem biały kamyczek na nowym języku; byłem pierwszą twarzą, którą ujrzał nowymi oczyma — były duże i liliowe jak pole bzu, oczy wciąż pięknej wdowy, która zmarła z przeziębienia.

W tym ciele Człowiek Odziany w Księżyc został moim kochankiem. Yi w istocie rzeczy nie są mężczyznami ani kobietami, ale spełniają pragnienia ciał swoich gospodarzy — a czy była kiedyś wdowa, która nie chciałaby młodego księcia za lubego? Przeżyliśmy razem wiele lat i nawet gdy ciało wdowy poszarzało i pokryły je dzioby kraterów, całowałem łuszczące się, dziobate kończyny, słodkie dla mnie, słodkie jak zapach suszonych gardenii. Żyliśmy w ten sposób, dopóki nie zmęczyliśmy się sobą — bo czy była kiedyś wdowa, która nie znudziłaby się swoim towarzyszem zabaw z mlekiem pod wąsem? — i wtedy ruszyłem w świat.

Wszystkiego tego się nauczyłem; wszystkiego tego dokonałem. Gdy opuściłem jego dom, posiadałem wiedzę, do jakiej żadna nuryjska badaczka trupów nie mogła się nawet zbliżyć, choćby płonęła z żądzy niczym zimowa kłoda. Kiedy zmarli moi rodzice, przejąłem ich ciała — ach, jakiej rozpusty zaznały te członki! Zostali ukarani w swojej własnej skórze.

Ale nie jestem Yi. Nie biorę ciała, żeby osiągnąć jakąś mistyczną jedność z mityczną Matką Księżyc. Robię to dla przyjemności i dla zysku, i jest to dość przyjemne. Nie wiążą mnie prawa Yi, nie muszę nosić księżycowego płaszcza i chodzić wśród ludzi Szadukiamu nieznany i nienapiętnowany — i tylko raz czy dwa razy byłem zbyt niecierpliwy, żeby czekać na śmierć stworzenia.

Nie jestem bowiem Yi; mogę brać ciała, gdy jeszcze oddychają.

Nie jestem Yi; zawsze będę chodzić w takim ciele, jakie sobie wybiorę, i Księżyc nigdy mnie nie zabierze.

Opowieść Czarnej Papieżycy, ciąg dalszy

— Więc postaw swój drobny znaczek na jednym z tych słynnych pergaminów — mówił rudowłosy chłopiec. — To prawda, że władza marionetki leży tylko w złotej pieczęci; nikt nie dba, co mówisz, ale wszystkich obchodzi, co podpisujesz. Daj mi dostęp do zabarwionego różem złota kalifa, daj mi znak otwierający drzwi wielkiego skarbcza, a ja sprawię, że twój duch będzie bezpieczny, dopóki nie nadejdzie czas, byś mogła wrócić w ciele zachwycającym lub zdeformowanym, wybranym wedle życzenia, gdy twoje imię zostanie zapomniane przez wszystkich prócz najbardziej zdziecinniałych bibliotekarzy w Śniącym Mieście i nikt nigdy nie ruszy na ciebie z wojskami.

— Nie chcesz...? — spojrzałam w dół, zarumieniona.

— Czego? Twojego pierworodnego? Twoich gibkich kończyn? Nie jestem potworem z opowieści do straszenia dzieci. Niepotrzebne mi żywe ciała, a dzieci są kosztowniejsze i bardziej kłopotliwe niż dwakroć od nich większe zwierzęta. Myślisz, że jest jakaś rozkosz cielesna, jakiej nie zaznałem? Nie potrzebuję śmieci po kalifie. Jestem magiem — to zawód jak każdy inny, i jak każdy inny rzemieślnik wymagam zapłaty za swoje usługi. Spróbowałabyś płacić za mąkę nienarodzonymi dziećmi? Nie sądzę. Nie obrażaj mnie, jestem nie mniej wprawny niż młynarz, który miele ziarno.

— Pokornie skinęłam głową, a wtedy nekromanta pocałował moje drżące usta, moje czoło, moje włosy, mój podbródek. Nie

w żądy jego wargi muskały moją twarz; było to dziwne przypieczętowanie umowy, gdy gorliwie napisałam jego żądanie na zużytym, pomiętym kawałku papieru — z jednej strony, żeby kupcy-mnisi z Wieży Koralowej otworzyli swoje skarbcze przed kalifem, a z drugiej, żeby skarbcze kalifa otwarte zostały dla Marsilego.

— Co mam teraz zrobić? Skąd mam wiedzieć, że dotrzymasz obietnicy? — zapytałam, przyciskając łokcie do boków.

— Będiesz wiedziała, bo przysiągłem, a ty jesteś ufna. Może zechcesz popracować nad tym, gdy następnym razem ujrzysz to miasto od środka. Koniec końców to Szadukiam. Tutaj ufnych co ranka znajduje się w tym czy innym rynsztoku. Nie musisz robić nic więcej, słodka Raghildo, mała łachmaniarko, daj sobie spokój ze wszystkim. — Wyciągnął ręce i okręcił na palcach pasemko moich włosów, potem ostrym ruchem nadgarstka wyrwał je z mojej głowy. — Czekaj na śmierć. — Z tymi słowy wyszedł z komnaty, kłaniając się z wdzięcznością.

I umarłam. Nuryjska papieżycą zwlokła mnie z tronu za ucho, jak niegrzeczne dziecko, i rzuciła na kolana przed swoim ołtarzem. Dziwnym, zakrzywionym srebrnym nożem wycięła mi język i smak krwi, mięsny, metaliczny smak krwi zalał moje usta. Krzyczałam, krzyczałam — myślałam, że mój krzyk nie będzie miał końca. A ona z namysłem poruszyła nożem w powietrzu; w osobliwym skupieniu chłonełam wzrokiem sierpowaty kształt, rękojeść, piękny grawerunek. W bólu, który wybuchał we mnie jak pękające kamienie, nóż stał się całym moim światem. Myślałam wtedy, że następny będzie mój nos albo oczy. Nie rozumiałam jeszcze głębi fanatyzmu.

Ghyfrana, zbawczyni Al-a-Nur, rozdarła moją suknię od szyi po talię i odcięła mi piersi, jakby kroiliła pieczonego ptaka na

kolację. Gdy spadły na podłogę z mdlącym, mokrym westchnieniem, pochyliła się ku mnie. Jej oddech muskał moje ucho.

— Ocaliłam cię, biedny, nieszczęsny pionku. — Jej oddech muskał moje ucho. — Teraz możesz odejść w ciemność jako święty obojnak i żadne drzwi z alabastru czy diamentu nie będą przed tobą zamknięte.

Taka była wasza bohaterska kapłanka, ta kłamliwa suka, która wyparła się swojego boga, żeby zabić niewinną, a potem złamała przysięgi urzędu, wracając do swej obłąkańczej wiary. Czym jest Al-a-Nur, jeśli nie sypialnią, gdzie możecie rozkoszować się kłamstwami i świętokradztwem, wmawiając sobie, że są to cnoty?

Przywiązali mnie na mokrym, trawiastym wzgórzu, naciskającym na moje plecy jak kości księżycy, i żołnierze kołysali łańcuchami przed moją twarzą, szydząc ze mnie — to jedyne złoto, powiadali, jakie dostanę z Al-a-Nur.

Reszta jest prosta, by nie rzec banalna. Słońce wzięło moje ciało w ramiona, a księżyc wybielił moje kości na proch. Spadłam w jakąś głęboką studnię snu — nie pamiętam nic od ostatniego tchnienia do chwili, gdy się przebudziłam, omyta szarym światłem. Nekromanta Marsili uwięził mnie bezcielesną w jakimś dziwnym szklanym flakonie, skąd mogłam go obserwować, gdy lata ulatywały jak kawki — czasami był kobietą, czasami mężczyzną, czasami dzieckiem jak wtedy, kiedy do mnie przyszedł. Ale nauczyłam się rozpoznawać go w każdym ciele po zwracanym ku górze oku, po okrutnie wykrzywionych ustach, po ruchach rąk. Nauczyłam się tego i więcej. Nekromanta robił wiele strasznych rzeczy w swojej pracowni, a ja uczyłam się od niego całej magii, której on uczył

się od swoich ciał. Ostatecznie tylko jego widziałam przez wszystkie te lata. Nie miałam nic do roboty, więc stałam się adeptem, śledziłam każde jego westchnienie i gest.

A jednak czekał, czekał bardzo długo. Myślałam, że zapomniał o mnie, że będę na zawsze tkwić w butelce jak nagryzmołony list. Ale pewnej nocy, gdy niemal nie pamiętałam, jak to jest mieć własne ciało, podniósł mój flakonik i zaniósł do długiego stołu, na którym leżały sztywne, nieruchome złotowłose zwłoki.

— Jesteś już tylko legendą, Ragnhildo. Możesz żyć bezpiecznie. Świat pamięta cię tylko jako ducha w szafie, martwą niewiastę na trawiastym wzgórzu. — Wskazał szkliste oczy zwłok na stole z sękatego wiązu. — Dotrzymałem słowa, jak każdy kupiec. Ona kochała młodzieńca, którego nie akceptowali jej rodzice, i zagłodziła się na śmierć z tęsknoty. Okropnie romantyczne. Jesteś gotowa? Czy ona ci wystarczy?

W jakiś sposób wyczuł moją zgodę, a kiedy znów przemówiłam, moje powieki były ocienione rzęsami jasnymi jak surowy len, ciężar ciała znów naciskał na me kości, a ostatni posmak białego kamyka wciąż rozpuszczał się na moim języku.

Opowieść zabójcy, ciąg dalszy

Ragnhilda spojrzała na nas z góry, gniew buchał z niej jak z umierającej gwiazdy.

— Tym razem nie poszłam do łóżka żadnego mężczyzny. Miałam czas, cały ocean czasu, żeby się zastanowić, jak wykorzystać swoje nowe ciało — i postanowiłam naprawdę zostać tym, kim wcześniej byłam dla żartu. Będę waszą Czarną Papieżycą i zagarnę Al-a-Nur dla siebie. Za złoto Marsilego kupiłam błogosławieństwo kalifa i przybyłam do Szadukiamu. Nie w lektyce, jak jakieś rozpieszczone dziecko, ale idąc po kamienistej ziemi. I nie spuściłam oczu, gdy znów ujrzałam Kopułę Róż.

Z trudem przełknąłem ślinę.

— A Marsili? Oddał ci swoje bogactwo, żebyś mogła wrócić do tej komnaty?

Czarna Papieżycą skrzywiona w uśmiechu zadowolenia wstała z ukwieconego krzesła. Minęła nas powoli, bez lęku, i odciągnęła grubą kremową kotarę przysłaniającą wnękę za naszymi plecami.

Na ciemnozielonej poduszce lamowanej srebrem spoczywała głowa młodej ciemnowłosej piękności, o wyraźnie szlachetnej linii nosa i wykroju ust sugerującym niewymowne wyrafinowanie. Kolory śmierci siały sine spustoszenie na jej skórze, a zaschnięta krew skrzepła wokół odciętej szyi.

Ragnhilda ostrożnie obróciła głowę, jakby oceniała kunszt posągu.

— Patrzyłam na niego przez pięćset lat, uwięziona w szkle jak mrówka w bursztynie. Nienawidziłam go. Była to pierwsza prawdziwa nienawiść, jaką poznałam, pierwsza z wielu. Zaczęłam katalogować nienawiści i ta zajmowała pierwsze miejsce w moim rejestrze; nienawiść stworzenia w pułapce. Czekał za długo. Myślę, że zostawiłby mnie tam, gdyby nie był związany miłością tego miasta do świadczenia usług, do jakich się zobowiązał. Koniec końców taka jest dusza Szadukiamu. Był moim pierwszym dziełem w moim nowym ciele — jednym uderzeniem zabrałam mu głowę i złoto. Nie wolno się nad nim litować. Jaki człowiek ma mi dziecko i skazuje je na stulecia śmierci, która nie jest śmiercią, dla paru rubinów ze stołu kalifa? Był głupcem i żarłokiem.

Powolnym ruchem zaciągnęła kurtynę i odwróciła ku nam jasną twarz.

— Zabijecie mnie teraz czy będziecie czekać na lepszą okazję? Przyznam, że się zastanawiałam, kiedy nastąpi nieuchronna próba. Czy nowi zaprzańcy będą dość śmiali, żeby zadać cios w mojej komnacie, gdy słudzy są tuż za drzwiami, czy też zaczekają, aż zasnę? Jesteście bowiem zaprzańcami, czyż nie? Wasz zakon zakazuje przemocy, a jednak jesteście tutaj. Jakże po nuryjsku — wola bogów jest najwyższa, dopóki papieżyca nie potrzebuje marionetki.

Bartłomiej podszedł do niej bardzo powoli, chyląc głowę z prawdziwym szacunkiem, a kiedy przemówił, jego głos brzmiał na tyle uspokajająco, na ile pozwalają na to nasze pyski i długie języki. Wstrzymaliśmy oddech, gotowi skoczyć mu z pomocą.

— Współczuję ci — rzekł. — Współczuję ci, bo kiedyś byłaś niewinna i młoda, a kalif wykorzystał cię do swoich celów. Współczuję ci, że musiałaś przebyć taką długą drogę, ponieść wielką ofiarę i znosić plugawą magię. Szkoda, że nie pozwolono ci zostać czułą opiekunką żyłastych kóz w słodko pachnących górach. Żałuję, że poznałem twoje dzieje. Ale nie możesz sądzić, że znasz Al-a-Nur, bo kiedyś zginęłaś z jego ręki. Fakt, że nie pojmujesz bezinteresowności Cveti, późniejszej Ghyftany, ani jej litości i miłości, którą musiała do ciebie odczuwać, skoro udzieliła niewierzającej ostatniego sakramentu swojej wiary, mówi mi o tobie tyle, że nie nadajesz się na najniższą nowicjuszkę, co dopiero na papieżycę naszej duchowej menażerii. Nigdy nie mogłabyś zrozumieć, ile cierpimy w imię tego pięknego ogrodu bogów ani dlaczego chcemy splamić własne dusze, żeby inni mogli żyć wolni od grzechu. Przykro mi, ogromnie przykro, że postawiłaś tak wiele dla zemsty, choć wszyscy, którzy cię skrzywdzili, od dawna nie żyją, i że poniesiesz porażkę, zanim zobaczysz iglice Dwunastu Wież chwytające poranne światło i tkające z niego kryształową kaskadę. Zanim będziesz mogła zacząć to, co planowałaś przez wszystkie te lata w swoim flakoniku. Przykro mi, lecz przysięgliśmy, a jesteśmy posłusznymi psami.

Przez cały czas ja i Baltazar przysuwaliśmy się do niej, i kiedy nasz brat cofnął się ze łzami w oczach, skoczyłem i chciałem zacisnąć zęby na jej gardle, ale moje szczęki trzasnęły w pustym powietrzu. Ragnhilda stała już za plecami Baltazara i uśmiechała się słodko jak dziecko z karmelkiem w buzi.

Każdemu z nas się zdawało, że jej twarz unosi się przed nim w całym swoim lodowatym pięknie. Zdawało nam się, że przysuwa usta do naszych dyszących pysków, że jej oddech

pachnie pęczkami fiołków przyciśniętych do piersi martwych dziewczyc, gazą rozpostartą nad szlachetnym profilem i monetami wciśniętymi w oczodoły. Zdawało nam się, że całuje nasze usta, a wówczas chmury czerwieni i czerni zasnuły nam oczy, nasze wnętrzności zadrżały i zawrzały. Opadło nas szaleństwo, gorączka lizała nasze mózgi, brakowało nam tchu, krew zgrzytała w żyłach jak ostrzone miecze.

Ragnhilda stała zupełnie nieruchomo, blada kolumna pod ścianą, gdy pluliśmy i wrzeszczeliśmy, zwracając się jeden przeciwko drugiemu. Łagodnie skłoniła głowę w stronę Barnaby.

Jak mam ci to powiedzieć, siostrzyczko? Jak mam powiedzieć, co zrobiliśmy? My, którzy nie zjadamy mięsa lisa czy zająca? My, którzy kochamy jeden drugiego jak własne ręce i nogi? Jak mam to wyznać? Jak mogę o tym mówić, jakby ten postępek nie był ani lepszy, ani gorszy od innych, których się dopuściłem, jakby nie był największym grzechem mojego serca, mojego języka, moich zębów!

Na jej skinienie rzuciliśmy się na najmniejszego z nas, na Barnabę, naszego słodkiego brata, i pożarliśmy jego ręce, nogi i tułów, czując na językach bogaty, upajający smak krwi. Wyliśmy nad szczątkami jego brzucha, nie w żałobie, ale z głodu i rozkoszy. Kłapaliśmy zębami jeden na drugiego, kłócąc się o najwyborniejsze kąski. Staliśmy się psami, choć ręce, które go trzymały, i pięści, które karały jego krzyż, były rękami ludzi. Straciwszy rozum, radowaliśmy się śmiercią brata.

A Ragnhilda wyszła z komnaty bezszelestnie, jak gdyby jej stopy nie dotykały kryształowej podłogi.

Opowieść tkaczki sieci, ciąg dalszy

Bags żałośnie potrząsnął głową.

— Wciąż czuję smak Barnaby — szepnął, ledwo oddychając.
— Smak jego mięsa, jak popiół i ług. Nigdy się od niego nie uwolnimy. Czarna Papieżyca pozwoliła nam opuścić miasto bez przeszkód — co więcej mogła nam zrobić? Już czarami zmusiła nas do zdrady wiary i naszego brata, już jednym pocałunkiem przekreśliła wszystkie nasze śluby, złamała naszą świętą wolę. Jesteśmy przegrani i nie możemy nawet powiedzieć, że popełniliśmy zbrodnię w imię większego dobra, bo ona żyje i niebezpieczeństwo wciąż podkrada się do Świętego Miasta jak kot w wysokiej trawie.

Bezradnie rozłożył ręce.

— Ona nadchodzi, nadchodzi i wszystkim nam odbierze rozum. Biedny Barnaba, ciąży mi w brzuchu, a ja już nigdy nie usłyszę, jak wychwala słodycz jagód.

— Nadchodzi, tak. — warknął Baltazar, jego głos wybuchnął za mną i przestraszył mnie na równi z Bagsem. — I nie chce zniszczyć Al-a-Nur, chce je upokorzyć. Chce dowieść świata, że wszyscy jesteśmy kłamcami, heretykami i przeniewiercami. Że ona jest święta, a my to demony. Dlatego pozwoliła nam odejść. Jesteśmy jej pierwszym zwycięstwem.

Bez względu na to, kto skrzywdził ją w przeszłości — dodał Bartłomiej — z własnej woli postanowiła popełniać zbrodnie przeciwko nam od chwili, kiedy zbudziła się do nowego życia.

Łatwo wybaczyć pięknej kobiecie, zwłaszcza gdy raczy cię smutną opowieścią jak ocukrzonym daniem. Ale nie zasługujemy na wybaczenie. Musimy powiedzieć Jasznie, że zawiedliśmy, i ponieść należną karę. I musimy zamknąć bramy przed apostatką, bo nie wątpię, że, jak powiadacie, nadchodzi.

Bags strząsnął łzy i odwrócił pysk od braci. Wstyd bił od jego przygarbionych pleców. Kiedy rankiem zwinęliśmy obóz, pochylił się nad moim ramieniem i szepnął:

— Masz we mnie dłużnika. Jeśli jakiś smutek ciąży ci na ramionach, zdejmę go i poniosę za ciebie.

Uśmiechnęłam się tak promiennie, jak tylko mogłam, i skłamałam:

— Jestem za młoda, żeby dźwigać cierpienie na grzbiecie jak tobolek nędzarza.

Z roztargnieniem pokiwał głową.

— W takim razie zwrócę dług, gdy dorośniesz.

Ledwie dwa dni później ujrzeliśmy Al-a-Nur błyszczące w dali jak tuzin rodzących się gwiazd. Mój oddech uwiązł w sieci zdumienia. W końcu ujrzałam na własne oczy Bramę Łososia ze srebra i kwarcu, rzeźbioną w skaczące ryby z onyksowymi oczami i w metaliczne fale, które muskały ich delikatne płetwy. Przybyłam do domu, do najprawdziwszego domu moich kości.

Kręgi Miasta zatłoczone były mnichami i kapłanami. Nosili rozmaite szaty, które najwyraźniej coś dla nich znaczyły, ale dla mnie były tylko jasnymi plamami barw i deseni wijących się jak wesołe węże po pięknych tkaninach. Wielu siedziało w grupkach; pochyleni nad okrągłą planszą, głośno komentowali ruch każdego gracza.

— To Lo Shen, nasza święta gra — wyjaśnił Bartłomiej. Tyleż gra, co modlitwa. Celem jest pokonanie boga przeciwnika,

otoczenie tej najważniejszej figury mniejszymi pionami. Całe miasto gra na jednym czy drugim poziomie. To bardzo skomplikowane, ale się nauczysz.

Bracia, choć ich sprawa nie cierpiała zwłoki, wlekli się niespiesznie przez roziskrzzone miasto, niechętni dotrzeć do centrum. Prowadzili mnie ulicami, z każdym krokiem powoli zbliżając się do najważniejszej wieży. Pogrzebali smutek w pieczarach wilczych serc i zachowywali się radośnie jak reszta mieszkańców Namaszczonego Miasta.

Na targowiskach handlowali ludzie ubrani w żółte stroje, spięte na ramionach bajecznymi broszami, które wyobrażały złotego koguta w walce z pawiem wysadzonym lazurowymi kamieniami. Po każdej sprzedaży, która następowała dopiero po długich i entuzjastycznych targach, kłaniali się nisko i namaszczeni głowę nabywcy wodą — byli, jak się dowiedziałam, kupcami-mnichami z Wieży Koralewej. Baltazar wyjaśnił, że wymiana towarów jest dla nich rytualnym oddawaniem czci najważniejszej bogini, Ge-Sai, Gwieździe Złota, która w pierwszych dniach zrodziła wszystkie cenne rzeczy świata. Każda zarobiona przez nich moneta sprowadza dzieci Ge-Sai pod oko matki. Kogut i paw reprezentują walkę strojności dla samej siebie ze strojnością dla świata — duma pawia jest bowiem pięknem bezużytecznym, podczas gdy kogut codziennie wita słońce, którego barwy wita na swych piórach.

Po ulicach, których zapachy i hałasy przywodziły na myśl trwający bez końca karnawał, paradowali Draghi Celesti w węzowych maskach z kości słoniowej, kapłani i kapłanki Wieży Lodu i Żelaza, strażnicy miasta. Mundury mieli srebrne i błękitne, peleryny ozdobione wijącym się skrzydlatym węzem, który sięgał od ramienia po kostkę. Nie byli wojowniczy,

wydawali się weseli jak gracze w Lo Shen, żartowali i bili się dla zabawy. Zasięgali rady u pulchnych kobiet z Wieży Dziewięciu Gałązek Krwawnika, z których każda była wyrocznią o wielkim talencie. Bags zażartował, że wróżbitki są takie grube, bo biegle odczytują przyszłość z wnętrzości zwierzęcych — po każdym rytuale zostaje mnóstwo mięsa, a ponieważ wierzą, że marnotrawstwo jest grzechem, są zmuszone spożywać wiele obfitych posiłków.

Gdy dotarliśmy do wewnętrznego kręgu miasta, zobaczyłam dom moich towarzyszy, Wieżę Chryzantemy wyrastającą z ziemi jak żywe stworzenie. Rzeczywiście, okrywał ją wielki płaszcz chryzantem, żółtych, czerwonych i pomarańczowych, tłoczących się jak płomień, które liżą wysoką gałąź. Przy wielkich drzwiach, strzeżonych przez dwóch nieskazitelnie wyszczotkowanych kynokefalości uzbrojonych w wielkie nożyce ogrodowe — co godzinę musieli strzyc kwiaty wokół drzwi, bo chętnie rozkwitały, żeby pochłonąć kamień — Bartłomiej, Bags i Baltazar zatrzymali się i z powagą zwrócili w moją stronę. Bags ukląkł i rozciągnął pysk w zębatym uśmiechu.

— Ci, którzy nie poświęcili życia Wieży, nie mają do niej wstępu. Jeśli pragniesz zamieszkać w Al-a-Nur, musisz wybrać Wieżę. Naturalnie, mamy nadzieję, że wybierzesz naszą, ale nie możemy wpływać na twoją decyzję.

— Pamiętaj, że masz pewne braki — dodał Bartłomiej. Nie możesz zostać wyrocznią ani Draghi, bo oni przyjmują kandydatów we wczesnym — dzieciństwie. Nie jesteś wyszkolona, nie przeszłabyś pierwszej z ich prób. Nie możesz wstąpić do Wieży Ojacobójców...

— Dlaczego nie? — zapytałam.

— Nie jesteś mężczyzną. Ojcobójcy są podzieleni na diady złożone z ojca i syna. Ojciec wychowuje syna w tradycjach Wieży, a kiedy potomek osiąga wiek oświecenia, zabija ojca. Zazwyczaj w czasie, gdy syn dojrzeva do odprawienia obrzędu, ojciec jest mocno posunięty w latach. Potem syn rośnie, płodzi własne dzieci z kobietą z innego zakonu, i cykl się powtarza.

— To barbarzyństwo! — krzyknęłam z oburzeniem. Ojciec mnie odumarł, gdy byłam dzieckiem przy piersi, i moja wściekłość skoczyła szybko jak bażant podrywający się z trawy.

— Jest to wynik wielkiej troski i miłości — wyjaśnił Bartłomiej łagodnie — a powaga rytuału wręcz chwyta za serce. Dla nich zabicie ojca jest wyzwoleniem z cienia tego wielkiego człowieka, a śmierć z ręki umiłowanego syna jest najszlachetniejszym sposobem na odejście z tego świata. My nie osądzamy. Nigdy nie osądzamy. A jednak nie jesteś ojcem ani nie masz pierwiastka męskiego, nie możesz więc wejść do tej wieży. Wieża Hermafrodytów też jest przed tobą zamknięta, bo nikomu nie wolno poznać tajemnicy płci, a my wiemy, że jesteś kobietą. Zostaje ci Wieża Słońca i Księżycy — ciągnął Bartłomiej — która wiecznie zwraca oczy w górę, kreśląc na mapach kurs nieba, i zawsze ku ziemi, wypatrując mignięcia związanych z nią Gwiazd. W tej wieży gromadzą sposoby oddawania czci — jedni mówią, że Gwiazdy zostały wygryzione z ciała czarnego konia, drudzy, że z kobiety, której skóra była niebem, inni, że zostały wykłute szydłem w pasie niebios albo wystrzyżone ze stępki przeogromnego statku przez niebiańskie myszy. Wieża kataloguje wszystkie swoje ewangelie. Ale Gwiazdy nie są bogami, mówią, tylko zagubionymi dziećmi, jak my wszyscy. I mówią: Są wśród nas najbardziej starożytni i najbardziej czysti, gdyż ci, którzy są wykształceni i zamożni, mają wyrafinowane

podniebienia i skłaniają się ku bardziej skomplikowanym, barwniejszym wierzeniom.

Wieża Słowika też chętnie cię przyjmie. Ich sposób oddawania czci polega na muzykowaniu i napełnianiu nieba pieśniami, służą bowiem bliźniaczym Gwiazdom Chandra i Anshu, które stworzyły pierwszą muzykę świata swoimi oświeconymi głosami. Są również Wieże Żywych i Umarłych. U Żywych będziesz związana ze stworzeniem: sokołem, żbikiem, wężem lub nawet małą zieloną modliszką, bo wierzą, że boskość mieszka nawet w najmniejszych istotach i że są one głosami nieba. Twój związek ze zwierzęciem będzie absolutny; będziecie polować, żyć i umrzeć jak jedna istota.

W Wieży Umarłych będziesz studiować ciała tych, którzy zmarli w Świętym Mieście poznasz magię krwi, magię limfy, arkana *rigor mortis*. Tam wierzą, że obecne życie jest tylko inicjacją, że śmierć stanowi początek oświecenia. Trup jest naczyniem wiedzy; dusza odchodzi do innych sfer, pozostawiając ciało nasączone sekretami tego świata. W wieży tej czczą Manikarnika, które od dawna nie żyją, a ich ciała zaginęły, i wznoszą ołtarze swym bogom.

— Ale która wiara jest prawdziwa? Którzy są prawdziwi bogowie? Gdzie leży prawda? — zapytałam.

Baltazar uśmiechnął się łagodnie, jakby mówił do głupiutkiego dziecka.

— Nie nam to osądzać. Każdy z nas wierzy w to, co uważa za prawdę, i pozwala innym na podobny luksus. Kto może wiedzieć, co się stało o nikłym brzasku świata? Ledwie możemy zdecydować, co zjeść na śniadanie, bez teologicznej dysputy — prawo nuryjskie dopuszcza grzeczną polemikę. Robimy, co w

naszej mocy, żeby przedstawić innym, jak świat wygląda w naszych własnych oczach.

Bags parsknął i podrapał się za uchem.

— Myślę, że o czymś zapomniałeś, bracie.

— A tak, Wieża Świętej Sigridy — podjął Bartłomiej lekceważącym tonem — choć w zasadzie to nie jest religia. We wszystkim biorą przykład z żeglarki filozofki, Świętej Sigridy z Wrzącego Morza, która nie jest ani Gwiazdą, ani żadnego rodzaju bogiem, i której dokonania zmieniają się za każdym razem, gdy opowiada o nich inna wyznawczyni. Powiadają, że była wielkim nawigatorem. Była boginią morza w dawnych ziemiach. Była skromną wiosłarką. Miała trzy piersi i długą brodę. Kto może wiedzieć? Kobiety z tej wieży są skryte, kursują po nurcie rzeki w statkach z cyprysowego drewna i nikomu nie mówią o swoich obrzędach.

— I nasza Wieża Chryzantemy — powiedział Bags z czułością. — O nas już wiesz; *Księga Konaru* i *Księga Ścierwa*, świętość roślin i wszystkich rosnących rzeczy, które dają nam swoje życie, żebyśmy mogli żyć. — Zmierzył mi włosy jak dziecku. — Oczywiście, wszystkie Wieże mają wyspecjalizowane, ezoteryczne wierzenia; niektóre zachowały wiejską wiarę w Gwiazdy, inne nie. Religia jest surowym daniem, które doprawiamy egzotycznymi przyprawami.

Odetchnęłam głęboko, odurzona różnorodnością wież i ludzi — w mojej wiosce mieszkało nie więcej niż kilkaset dusz i była tam tylko jedna świątynia, mniejsza niż lodowa grota w zboczu góry. Ale nie miałam szczególnego upodobania do ptaków czy kotów, poza ich zjadaniem. Nie mogłabym też śpiewać ani grać na żadnym instrumencie. W końcu zadecydowałam, że przez połowę życia już czciłam niebo — dałam mu dość, aż nadto. I

choć myśl o tym mnie zawstydziała, nie chciałam kłaniać się kwiatom i nigdy więcej nie zjeść przyrządzonej na ostro sarniny. Nie widziałam w tym grzechu, coś takiego nie leżało w mojej naturze. W ten sposób została jedna wieża.

— Nie powiem, że zdecydowałam — tak mało wiem! Ale zaprowadźcie mnie do Wieży Świętej Sigridy...

W ogrodzie

Oczy dziewczynki odbijały księżycową poświatę, srebrzyste smugi rozjaśniały jednolitą czern jej skóry. Jej głos nagle przycichł, ucinając opowieść jak rybak splątaną żyłkę. Spojrzała w dal na rozkołysane śliwy, ich liście na przemian połyskiwały światłem i kryły się w cieniu, gdy wiatr poruszał nimi leniwie. Dalej staw falował jedwabście, woda pluskała wśród pałek wodnych i korzeni pochylonych wierzb. Chłopiec zmienił pozycję, świadom, że przestał być ważny, że dziewczynka snuje opowieść samej nocy i nawet go nie widzi, choć siedzą naprzeciwko siebie. Czy teraz wspiełaby się do okna wieży, żeby siąść obok niego? Bał się odejść, bo mógłby nigdy jej nie odnaleźć w rozległym ogrodzie z labiryntami hibiskusów i jaśminu, ze stadami obłaskawionych ptaków o ogonach lśniących jak skarbiec, z wysokimi cyprysami sięgającymi ku niebu niczym ręce pielgrzymów.

Panował w nim wewnętrzny zamęt, miasto Al-a-Nur rozpościerało się gdzieś w jego brzuchu, rozstawiając swoje wieże w jego drobnym ciele. W transie, w który dziewczynka wprowadzała go z taką łatwością, sennym krokiem błędził po przedziwnych niebieskich ulicach i pełnych dymu zaułkach, skubiąc słodzone jabłko kupione od mnicha w szafranowych szatach i pragnąc zniknąć we własnej wieży.

Nagle dziewczynka skupiła na nim wzrok i serce chłopca skoczyło jak żaba za księżycem.

— Przepraszam... przepraszam, że zostawiłam cię na długi czas. Nie chciałam cię skrzywdzić.

Skryła twarz w cieniach i chłopiec zadrżał.

Dziewczynka uśmiechnęła się, nieśmiała jak zając na polu, i podjęła opowieść na nowo.

Opowieść o bladej dziewczynie, ciąg dalszy

Palce Śniegu były mokre i grube; ledwo czuła w nich szorstkie sznurki sieci. Zawstydzona, odwróciła głowę od Sigridy. Nagle poczuła, jakby była duchem w swoim własnym życiu — ta kobieta też kiedyś była młoda i samotna, ale znalazła drogę do miasta bogów i wilczogłowych przyjaciół, ona zaś nie znalazła niczego prócz zimnego nabrzeża i przekornego przydomku wymawianego tak często, że zapomniała, jak brzmiało jej prawdziwe imię. Niczego nie dokonała. Z wolna przybierała kolor tego mroźnego, bezdusznego miasta i morza, które niszczyło je solą. Zastanawiała się, czy jeszcze krąży w niej krew, czy też może woda i zimno wypełniły ciało.

— Żałuję, że nie jestem taka dzielna i rezolutna jak ty — szepnęła — że nie mogłam pójść do takiego miasta, poznać takich ludzi i dowiedzieć się takich rzeczy.

Sigrida zmarszczyła brwi, wilgoć rozprostowała jej kędzierzawe włosy i oblepiła nimi jej szerokie czoło.

— Wiesz, to zabawne. Przez większość czasu w Al-a-Nur żałowałam, że nie jestem tak dzielna i rezolutna jak Święta Sigrida. Zawsze mamy kogoś, kto według nas świeci jaśniej niż my, i uważamy, że nie jesteśmy nawet księżycem ich słońca, tylko martwym kamieniem unoszącym się w kosmosie obok ich złota i blasku.

Śnieg pochuchała w palce. Ich koniuszki się nie rozgrzały nawet odrobinę. Popatrzyła z ukosa na Sigridę, której policzki

wiatr wysmagał na szkarłat.

— Wtedy myślałam — ciągnęła tkaczka sieci — że wszystko na świecie mnie przyćmiewa, a Bags jest najjaśniejszy ze wszystkiego, dopóki nie spotkałam drugiej po tej, która jest najjaśniejsza ze wszystkich, i następnej...

Opowieść tkaczki sieci, ciąg dalszy

Bags zgodził się zaprowadzić mnie do Wieży Świętej Sigridy, zanim we trzech pójdą do Wieży Papieskiej, żeby zdać relację ze swojej niefortunnej wyprawy. Wszyscy się zgodzili, że nie wypada, abym poszła z nimi — poza tym żadna młoda osoba, która nie wybrała wieży, nie mogła dostąpić zaszczytu audiencji u papieżycy. Pożegnałam się z Baltazarem i Bartłomiejem. W skrytości ducha nie żałowałam rozstania z nimi, dopóki Bags mi towarzyszył — obaj byli tacy żarliwi i poważni. Bags był mi drogi jak szczenie siostrze z miotu, ale jego bracia czasami mnie przerażali swoimi poważnymi żółtymi oczami i pyskami, których uśmiechy zdawały się gasnąć, gdy odwracałam głowę.

Promienie zachodzącego słońca pełgały po jego rdzawej sierści i rozpalały w niej słodkie, wesołe ogniki. Zdawało się, że ciemność Czarnej Papieżycy opadła z Baga jak stare ubranie, gdy przekroczył progi Al-a-Nur, i jego wilcze oblicze rozjaśniał szeroki uśmiech. Zdawało się, że oddycha miastem, gdy szliśmy.

— Wiesz, to dobrze, że nie idziesz z nami. Mogłabyś czuć się... skrępowana. Chryzantemy w większości są podobni do mnie, to kynokefaloł lub inni mieszańcy wszelkiego rodzaju. Sigridy są cudowne, wbrew temu, co mówi Bartłomiej. W przeciwieństwie do większości Wież, my nie mamy swojego bóstwa. Gwiazdom też poświęcamy niewielką uwagę. Boskość jest obecna w ziemi, we wszystkich rosnących rzeczach, w całym życiu i śmierci, i *Konar* wie dzie nas przez życie, a *Ścierwo*

przez śmierć. Mnie to wystarcza. Bartłomiej patrzy na niektórych z góry, bo nie mają żadnej wiary, jak ojcobójcy, albo dlatego że ubóstwiają osobę, która prawdopodobnie nie była lepsza od innych. Ale coś ci powiem: nie spotkałem Sigridy, która nie ruszyłaby swoją łodzią na ratunek, gdybyś ją zawołała, i tak wygląda prawda. — Zaśmiał się, przysłaniając pysk brązową ręką o rozcapierzonych palcach. — Oczywiście, są beznadziejne w La Shen. Nie mogą temu zaradzić, za każdym razem grają swoimi triremami. — Nagle urwał i cień przemknął przez jego oblicze jak skrzydło kormorana. — Zastanawiam się, czy będzie nam wolno znowu wejść do wieży. Nie sądzę, aby w zadanej przez nas śmierci było coś boskiego... Aha, jesteśmy na miejscu.

Wieża Świętej Sigridy była kolosalną iglicą złożoną z wraków okrętów. Dzioby sterczały pod wszelkimi możliwymi kątami, długie stępki i maszty okrywały mury, liny wiły się jak winorośl, a żagle zwisały jak zasłony z przypadkowo rozmieszczonych okien. U wejścia stało ogromne koło sterowe, spaczone i spękane ze starości, rzucając długi cień na zaryglowane drzwi. Straż pełniła muskularna kobieta z byle jak ogoloną głową. Jej szerokie, płaskie zęby połyskiwały jasno. Na jej widok oczy Bagsa zapaliły się jak lampy w noc środka zimy. Ona powitała mego psiego przyjaciela potężnym uciskiem, który zmiażdżyłby kości piźmowołu.

— Bags, stary druhu! Szczeniaku! Już do mnie nie przychodzisz! Boisz się, że dam nauczkę twojemu bogu?

— Nie, dopóki będziesz marnować swoje triremy, jakby dziesięć kosztowało miedziaka. — Poklepał ją po szerokich plecach i radośnie potarł jej ogoloną głowę. — Mam dla ciebie rekruta, Sigrido. Znaleźliśmy ją na bezdrzewnych równinach

Pólnocy. To kochane, chętne maleństwo, ale jeszcze nie wybrało Wieży. Za bardzo lubi boczek na śniadanie, żeby dołączyć do nas. — Mrugnął do mnie, a ja się zarumieniłam mocno zawstydzona jego przenikliwością.

Kobieta oceniała mnie spojrzeniem jak jakąś dziwną zbroję.

— Chuda. I trzeba będzie obciąć włosy.

Bags przewrócił oczami.

— Musi się czegoś dowiedzieć o tej waszej po trzykroć przeklętej Świętej Sigridzie, żeby mogła powziąć decyzję, ty stara morska psino. A ja nie mogę zostać. Papieżyca czeka.

Kobieta zarzuciła słoniowe ramię na moje barki.

— Idź. Wierzę, że wszystko poszło dobrze, inaczej byś nie wrócił. Jesteśmy... jesteśmy wdzięczni za to, co zrobiliście, Bagsie. Powiem tej chudzinie, co musi wiedzieć.

Łzy załśniły w oczach Baga, ale skrył je dobrze jak złodziej wsuwający pierścień do kieszeni. Uściskał mnie mocno niczym niedźwiedź, który trzęsie drzewem, żeby spadły owoce, i wtulił w moją szyję twarz porośniętą sierścią. Cicho szepnął „dziękuję” i odwrócił się do odejścia. Wyciągnęłam rękę, żeby go zatrzymać.

— Czekaj, Bags! Kiedy w wiosce poprosiłam, żebyście mnie zabrali, powiedziałaś swoim braciom coś dziwnego, coś z *Księgi Ścierwa*. Co to było? Powiedz mi!

Bags wyszczerzył zęby, niebywale upodabniając się do kota, i przyłożył palec do nosa.

— „I wilk powiedzie ją na manowce, na brzeg morza, i tam znajdzie Miasto Zagubionych, i tam jej skóra odpadnie, i Bestia ją połknie w całości”. Proroctwo, skarbie. Miejmy nadzieję, że nie dotyczy ciebie.

Gdy odszedł, łyśa kobieta usiadła ciężko na zaśnieżonej ziemi i wytatuowaną ręką wskazała, że powinnam siąść obok.

— Tylko się przekomarza. *Księga Ścierwa* pełna jest bzdur i psiej mowy.

Nie zwracaj uwagi, mniej w tym znaczenia niż w łopocie żagla na sztormowym wietrze. Ja ci powiem, jak się rzeczy mają. Zwę się Sigrida, gdyż wszystkie przybieramy imię naszej wielkiej Pani, na jej cześć. Nie obchodzi mnie ani trochę, jakie nosisz imię. Będzie brzmiało Sigrida, jeśli zechcesz z nami żeglować. Posłuchaj starej żeglarki, a opowiem ci o Wielkiej Nawigatorce...

Opowieść o Świętej Sigridzie

W imię Matki, Potwora i Masztu, amen.

W piętnastym roku drugiego kalifatu, w Błogosławionym Mieście Adżanabh przyszła na świat dziewczynka w rodzinie wędrownych kupców korzennych, których palce stale pachniały cynamonem i kolendrą. Ich barka stała w porcie Adżanabh przez wiele lat, ale nie pochodzili z miasta, które widziało narodziny świętej Sigridy. Dziś już nie wiemy, skąd przybyli. Co więcej, Adżanabh nie uznawało błogosławieństwa nieba i wiele razy próbowało przepędzić ze swej Wielkiej Przystani kupieckie barki, liczne jak stada wróbla na jesiennym niebie, twierdząc, że rodziny sprowadzają z sobą choroby i gnuśność z dalekich, zepsutych krajów.

Dziewczynka dostała na chrzcie imię Sigrida i chlubiła się wielką pięknnością już jako podlotek. Miała oczy koloru lwiej łapy, śniadą skórę o bogatym odcieniu i gęste włosy barwy zmielonych i zmieszanych wszystkich korzeni z zapasów rodziny: ton ciemnego brązu rozjaśniony złotem i czerwienią. Ale urodziła się z dziwną przypadłością, która przygięła sekretnym wstydem grzbiety jej rodziców. Ojciec płakał i oskarżał matkę o spółkowanie z demonem; matka podejrzewała, że bogowie ich rodziny zwrócili się przeciwko nim i dali im córkę z krwią harpii.

Sigrida miała bowiem trzy piersi i gdy urosła, niepodobna było ukryć tej odmienności. Każdego ranka przed zabraniem córki na targ korzenny matka okręcała pasami szorstkiego

płótna jej klatkę piersiową. Każdego ranka policzkowała córkę i dusiła łązy, gdy wiązała płótno.

Gdy Sigrida stała się kobietą, sama odprawiała pokutę, miażdżąc drobne piersi pod pasami skóry z ołowianymi sprzączkami.

Po długim czasie przestała płakać, kiedy to robiła.

Kiedy miała lat szesnaście — jak wiadomo, w tym wieku następują nieoczekiwane katastrofy — banda piratów napadła na pływające miasto portowych barek. Atak nie należał do zdarzeń niepospolitych w Adżanabh, które w owych czasach, było hałaśliwą płataniną zapluskwionych przez opryszków ulic; adżańczyk nigdy nie dotknął sztuki złota, która nie została co najmniej trzykrotnie skradziona w czasie swojego istnienia. Ale barki cieszyły się nietykalnością, gdyż ich mieszkańcy byli dalekimi kuzynami piratów. Kiedy więc „Skarb Panieństwa” pod czerwonymi żaglami, wydętymi jak martwe księżycy, wpłynął do Wielkiej Przystani, kupcy po prostu przewrócili się na drugi bok z myślą, że ich minie i złupi miasto, jak zawsze miały w zwyczaju te omasztowane bestie.

Wbrew tym nadziejom, piraci podpalili łodzie i barki kupców korzennych, włóczęgów, szewców, płatnerzy i garncarzy.

Sigrida, jak jej bracia i rodzice, spała spokojnie w koi, skulona niczym muszelka, z nieskrępowanymi piersiami. Zbudziła się, gdy czyjaś ręka zacisnęła się na jej ustach, i usłyszała w uchu syk wycedzony przez zęby:

— Cicho sza, skarbie. Nie chcesz zbudzić mamy. Pirat chwycił ją za kołnierz jak kotka, która łapie za kark swoje młode. W wirze dymu i płomieni wywlókł ją z rodzinnej barki i tak oto Sigrida opuściła jedną opowieść, która niewątpliwie byłaby pasmem drwin i poniżenia, kończąc się na pachnącym

cynamonem i kolendrą trupie wypchniętym za burtę w Zatoce Adżańskiej.

Wkroczyła do zupełnie innej opowieści, gdy została rzucona przez porywacza na pokład cienistego statku.

Prawdę powiedziawszy, bliscy nie rozpaczali po jej zniknięciu. Nigdy nie nakłoniliby żadnego mężczyzny, żeby ją poślubił, nawet za worki piżmowego szafranu. Uznali, że lepiej hołubić pozostałe piękne dzieci, a kaleka córka niech idzie na spotkanie z losem, jaki zgotowały jej Gwiazdy.

Pirat, który porwał Sigridę zaniósł ją na „Skarb Panieństwa”, i kiedy załoga zakończyła plądrowanie, kradzenie i porywanie, okręt opuścił port z wdziękiem wielmoży wsuwającego miecz do pochwy i rozwinął szkarłatne żagle, by chwycić słony oddech otwartego morza.

Nic się nie równa z chwilą, gdy żagiel chwyta wiatr, ochoczy jak rozchylająca nogi figlarna handlarka rybami. Rozbrzmiewający echem trzask wydymanego płótna, spiętrzona fala i mgiełka drobnych kropelek na zębach zapowiadają początek nowych światów, narodziny spełniających życzenia fok w setkach tajemnych jaskiń, huk nowych rzek wśród gór, które były świadkami pierwszego potopu i chichotały, widząc mokre palce swoich stóp.

Przecucie egzotycznych obietnic napełniło Sigridę jak wino dębową beczkę. Wsparła się na relingu i uśmiechnęła szeroko, zachwycona statkiem, który ją unosił. Armaty miały kształt łbów zwierzęcych, z pyskami rozdziawionymi. Sam statek lśnił głęboką czerwienią — takiego dziwnego drewna dotąd nie widziała. Maszt, masywny i wysoki, zdawał się trącać gwiazdy, a z jego polerowanej powierzchni wyrastały połyskliwe liście i gałęzie wielkości rąk dziecka. Było to drzewo, żywe drzewo

pijące z nieba i z morza, dobrodusznie noszące żagle i liny. Zdawało się, że nie ma nic przeciwko soli ani silnym wiatrom, bo otwierało liście jak pożądlive dłonie. W miejscu, gdzie powinno być bocianie gniazdo, wybuchały konary ciężkie od listowia i pomarańczowych owoców, dość grube, by utrzymać żeglarza. Niosły ten statek żagle ciemnoczerwone, a nie czarne, jak nakazywała mądra tradycja. Relingi były zaokrąglone i misternie rzeźbione w tajemne znaki — inne od wszystkich statków, które Sigrida widziała w Adzanabh, i w odróżnieniu od wszystkich, jak przypuszczała, które pruły ciemne fale morza.

Otaczała ją krzątająca, normalna na żaglowcu wychodzącym w morze, i załoga ignorowała nowego pasażera, jak to zwykle żeglarze. Załoga jednak nie była zwyczajna. Zdawało się, że oprócz typowej zbieraniny nieludzkich stworzeń, galopujących — tak, na pewno widziała satyra i wielce możliwe, że wąskiego w barkach centaury — lub ślizgających się — kobieta zmagająca się z workiem żółtej przyprawy w pewnością była lamią — po pokładzie, na statku nie ma ani jednego przedstawiciela płci męskiej.

— Jak ci się widzi, adżańska sierotko? — Obcy głos znów zabrzmiał za jej plecami, miękki i twardy zarazem, jak złoty młot owinięty w futro. Sigrida odwróciła się i ujrzała Długouchą Tomomo, kapitan dobrego statku zwanego „Skarbem Panieństwa”. Tomomo dziwnie wyglądała w tej części świata, ale nie była brzydka — oczy miała ciemne i żywe, włosy długie i czarne, prostsze niż noga wrony, skórę jak często gładzona kość słoniowa, z odcieniem dawno zatraconym wskutek dotyku wielu palców. Jej strój nie był krzykliwy, jak często bywa u piratów, ale składał się ze spodni i prostej kamizelki z jeleniej skóry, a włosy wiązała w długi warkocz, który muskał uda.

Później Sigrida często słyszała, jak Tomomo odmawia przyjęcia kapitańskiego kapelusza ze złotymi klamerkami i z kiwającymi się pawimi piórami, argumentując, że jeśli ma umrzeć — a w takim nakryciu głowy niewątpliwie przyciągnęłaby uwagę wrogów — to bez tego okropieństwa na głowie, bo bogowie mogliby ją wyśmiać, gdy spotka się z nimi w piekle.

— Pytasz o statek, pani? — Sigrida urwała, niepewna, jak się zwracać do tej istoty. — Panie kapitanie?

— Moje dziewczęta mówią do mnie Tommy, ty też możesz mnie tak nazywać. Tak, statek. — Tommy z plaśnięciem położyła dłonie na relingu i potarła go z uczuciem. — Jest moim łupem, darem od ptaka, drzewa i wiedźmy. Nie ma w nim jednego gwoźdźca; trzyma się w kupie dzięki tchnieniu, krwi i światłu gwiazd.

Sigrida głośno przełknęła ślinę.

— Zapewne będziesz potrzebowała mojej krwi, żeby zapłacić wiedźmie?

Brwi Tommy wygięły się jak naprężone łuki.

— Nie sądzę. Więcej sprzątanina niż to warte.

— W takim razie dlaczego mnie porwałaś, jeśli nie po to, by zabić? Słyszałam, co robią piraci. I poza tym musisz być piratem najgorszego pokroju, skoro przypuściłaś atak na adżańskie barki.

Kapitan uśmiechnęła się i pochyliła ku Sigridzie z miną prawie, ale nie całkiem matczyną.

— W zasadzie nie przestrzegamy tradycji. Doszły nas słuchy, że na barkach mieszka dziewczyna potwór. Gdy pożyjesz na morzu, nauczysz się wierzyć w pogłoski jednego rodzaju, a inne ze śmiechem puszczają mimo ucha. Kiedy Gwiazdy mówią, nadsłuchujesz pilnie. Rozejrzyj się, jesteśmy potworami.

Niełatwo obsadzić statek samymi kobietami, bo w dzisiejszych czasach dziewczęta nie uczą się na żeglarzy. Gdy tylko słyszymy o jakiejś upiornej bestii, porywamy ją czym prędzej.

— Więc to wszystko, pożar i napaść, z mojego powodu?

— Oczywiście, że nie! Skradłyśmy mnóstwo innych rzeczy, tylko nie inne dziewczęta. Teraz należysz do załogi, zostałam wcielona do służby na morzu, moja mała małpeczko.

Sigrida wychyliła się nad relingiem i spojrzała na wodę przemykającą wzdłuż czerwonego kadłuba z chyżością wydr, które pierzchają przed głodnym rekinem. Zadumała się nad stratą rodziny — której zbytnio nie považowała — i nad swoim nowym miejscem potwora wśród potworów. Choć niektórzy marynarze wyglądali na ludzi, zaczęła podejrzewać, że żaden z nich tak naprawdę nie jest człowiekiem. I w tej chwili Tommy pochyliła się obok niej.

Jej odbicie w wodzie nie było odbiciem kobiecego ciała, nie było uśmiechniętą chytrze twarzą. Sigrida ujrzała pysk jasnookiego lisa z ognistą sierścią targaną przez wiatr.

Opowieść o bladej dziewczynie, ciąg dalszy

Śnieg spojrzała w szeroką twarz Sigridy, ostrożnie jak jeleni, który obwąchuje jeżyny.

— Urodziłam się w Adżanabh, wiesz — rzekła cicho.

Sigrida skinęła głową, choć niezupełnie na znak potwierdzenia, że było to jej wiadome.

— W takim razie jesteś błogosławiona jak wiosenne dziecko, choć słyszałam, że z dawnego miasta pozostał nie więcej niż cień. W dzisiejszych czasach wszystkie miasta są cieniami przeszłości. Kiedyś metropolią był nawet Muireann z lodowymi wieżami i królowymi, które siadały na kępkach futra wieloryba, by z pucharów z foczej kości pić owocowe adżańskie wino. Tysiące lat temu Muirrean był stolicą Północy. Dziś jest wioską, przyczółkiem nad wrogim morzem. Tylko Gwiazdy pamiętają jego dawną chwałę.

Zachodzące słońce zrobiło się opasłe i rumiane, pierwsze cienkie pasma zmierzchu czekały za jego obliczem. Sigrida i Śnieg pracowały razem jak skrzypkowie grający smyczkami.

— Najwyraźniej dołączyłaś do Sigrid — zauważyła Śnieg, wbijając oczy w ogromne łokcie przyjaciółki — skoro masz na imię Sigrida.

— Najwyraźniej.

— A jednak... — Śnieg pokraśniała, jej bezbarwna twarz zrobiła się różowa — nie przysięgłaś na Świętą Sigridę,

przysięgłaś na Gwiazdy. Myślę, że droga stamtąd tutaj musiała być dla ciebie bardzo dziwna.

Uśmiech spelzł z twarzy Sigridy jak kot, który wymyka się przez uchylone drzwi. Zamknęła oczy i przez chwilę można było pomyśleć, że się rozpłacze.

— Nie jestem godna przysięgać na jej imię — wychrypiała głosem podobnym rechotaniu setek żab, pogrążonych w żałobie. — Zbyt często sprawiałam zawód i w zbyt poważnych sprawach. Miałam czegoś dokonać, zrobić coś wielkiego, co jak kiedyś myślałam, było mi przeznaczone. Zarzuciłam swój cel, gdy wilki powiodły mnie na manowce i do Miasta Światła. A potem wypuściłam z rąk drugie przeznaczenie, jakby mnie parzyło. Teraz już nie mam przeznaczenia, zostały mi tylko te sieci do wiązania jak sznury pępowiny. — Sigrida wytarła nos i potrząsnęła głową niczym koń odpędzający muchy. — Więc odeszłam. Odeszłam od wiary, którą wyznawałam w młodości żarliwie i z radością, i przysięgłam na Gwiazdy, bo muszę jeszcze wiele zrobić, żeby je obrazić. Z pewnością jest jakiś adżański bóg, do którego ty szepczesz w ciemności?

— Naprawdę nie pamiętam, moi rodzice zmarli, zanim zdążyli dać mi swego boga. Słyszałam, że adżańczycy czczą teraz Gwiazdy, gdy miasto umarło i wszyscy mnisi odeszli, zabierając swoje nowe skomplikowane wierzenia. Ale powiadają również, że adżańczycy jedzą placki z gąsienic, a także latają na skrzydłach z końskiego włosia i płatków róż. Przestałam wierzyć w to, co inni mówią o moim domu. Tak czy siak, nigdy nie słyszałam o świętej urodzonej na barkach.

— Bo ona nie była święta, gdy opuściła Adżanabh. Znacznie później niebiosa dotknęły jej głowę. Miejsca, które nas rodzą, rzadko poznają się na naszej prawdziwej wartości. I nawet te...

— dodała Sigrida z półuśmiechem — które nas adoptują. Ale możesz szeptać do Świętej Sigridy, jeśli chcesz, kiedy jesteś sama i Gwiazdy się nie odzywają. Ona nie będzie miała nic przeciwko temu.

Ujęła białą głowę dziewczyny w duże, stwardniałe dłonie.

— Właśnie doszłam do Tomomo, prawda?

— Tak — szepnęła Śnieg. — Mów dalej.

Opowieść o Świętej Sigridzie, ciąg dalszy

Sigrida z pewnością była zaskoczona, gdy zobaczyła Tomomo z pyskiem i uszami porośniętymi puszystym kremowo-żółtym futrem. Kapitan jednak wyglądała na dość miłą bestię, a jej ręce spoczywały na relingu z gracją jak starannie ułożone kwiaty. Gdy Sigrida oderwała oczy od wody, kapitan wyglądała tak samo jak wcześniej — włosy miała schludnie związane, a uśmiechnięte wesoło drobne usta spierzchnięte jak u każdego żeglarza. Tylko woda ukazywała lisią głowę.

— Ja też jestem potworem. Oczywiście, prawie nigdy się nie zdradzam, najśliczniejsza ze wszystkich barkowych dziewcząt. Tylko morskie zwierciadło ukazuje tę twarz. Mam naturalne przebranie. Ty... — Tomomo znacząco spojrzała na piersi młodej Sigridy — musisz przybrać własne. Tak, moja matka też nie mogła na mnie patrzeć. Nie chciała spoglądać mi w oczy, nawet gdy byłam oseskiem; powtarzała, że widzi coś potwornego za moimi tęczęwkami, coś, co ją obserwuje i nie jest jej córką. Oni lubią nam mówić, Sigrido, że jesteśmy potworni. Dzięki temu czują, że nie możemy zrobić im krzywdy, bo sami są tak świątobliwi, jak my niecni i brudni. Ale oczywiście możemy ich skrzywdzić. Powiem ci, jak odkryłam, że jestem potworem...

Opowieść o dobrej sztuczce

Moja matka wykazywała się wyjątkową sumiennością, przy wiązaniu moich stóp, choć w czasie moich narodzin ten zwyczaj był w naszym kraju stary i niemodny jak kamienne narzędzia. Pewnie myślała, że jeśli do końca swoich usłanych kwiatami dni będę musiała korzystać z lektyki, nie zdołam narobić wielu szkód.

Co noc rozluźniałam więzy i wychodziłam z łóżka, żeby taplać się na golasa w ogrodowym błocie. Jestem pewna, że matka o tym wiedziała, bo przecież rankiem zawsze miałam mokre, pachnące trawą włosy, ale nic nie mówiła. Owijała moje stopy w surowy jedwab, z niemym wyrzutem spoglądając na ubłocone pięty.

Pewnego roku, gdy miałam nie więcej niż dziesięć lat, do stolicy wróciła wróżbiarka Majo. Było to wielkie wydarzenie; wprawdzie nie przyjmowano jej w towarzystwie, ale miała do zaoferowania towary cieszące się dużym wzięciem wśród dam wysokiego rodu. Sprzedawała napoje miłosne, amulety gwarantujące bezpieczne rozwiązanie albo narodziny potomka płci męskiej, talizmany na szczęście i zdrowie, nawet zaklęcia do zmiany pogody z suchej na deszczową. Jej wózek był istnym cudem, miał kształt przenośnego domku obwieszzonego fioletowymi i czerwonymi płachtami, zielonymi firankami i dźwięczącymi srebrnymi dzwoneczkami; skórzane amulety zwisały jak frędzle z miniaturowych okapów, a wewnątrz wypełniały pióra żurawia, kocia sierść i maści w glinianych garnkach. Wszystko to Majo nosiła na grzbiecie z miasta do

miasta, choć była skurczona, koścista i stara, na oko niezdolna sprostać takiemu zadaniu. Kiedy się zatrzymywała, pod spodem domku rozkładały się szczudła, mogła więc zdejmować rzemienie, które ją z nim wiązały, i uprawiać swoje rzemiosło.

Po zmroku wiele dam w uperfumowanych perukach, z ustami pomalowanymi laką, skupiło się w pawilonie jak ptaki na zrębie fontanny, piszcząc z radości i czekając z zapartym tchem na grzechot wózka czarownicy. Mnie przyniesiono w lektyce, spoczywającą na różowych poduszkach, ze skrępowanymi stopami opartymi w taki sposób, żeby odpływała z nich krew.

Pieśń kamyków pod stopami zapowiedziała przybycie Majo z czarami praktycznymi jak sztuka gotowania. Kobiety naparły ze wszystkich stron, wciskając monety w jej ręce, suche jak witki leszczyny i chowając do kieszeni swoje talizmany, życzenia, karteczki do włożenia pod poduszkę, mikstury do zażycia w czasie następnego nowiu.

Wśród szeleszczących szat i chciwych rąk Majo podchwyciła moje spojrzenie swoim świdrującym czarnym okiem. Miała tylko jedno — drugie straciła gdzieś w trakcie podróży. Niektórzy powiadali, że w walce z tygrysem, inni, że w bitwie z czarnoksiężnikiem, a jeszcze inni twierdzili, że oko samo wypadło, gdy nie wyszło jej jakieś zaklęcie. To jedno pozostałe oko wiedźmy ścisnęło mnie jak ręka, a zaślinione usta rozchyliły się w zadowolonym uśmiechu.

— Jak ma na imię twoja córka? — zakrakała Majo. Nie musiała pytać, która z upudrowanych dam jest moja matką.

— Zwie się Tomomo — odparła matka drżącym głosem.

Majo dwa razy klasnęła językiem. Z fałdów spódnicy wyjęła żółtą sakiewkę i lekko podrzuciła ją w rękę.

— Daj mi ją, a ja dam ci kaletkę. Trzymaj ją zawsze przy skórze, a za każdym razem, gdy zapieje kogut, znajdziesz w niej złotą monetę.

Kobiety wstrzymały oddech jak rybak, który wyciąga wyjątkowo tłustego łososa, i zazdrośnie jęły poszeptywać między sobą — kogo obchodził los nikomu niepotrzebnej dziewczynki w obliczu takiego bogactwa?

Moja matka ukradkiem zerkała to na mnie, to na starą wiedźmę. Wreszcie wyraziła zgodę, skwapliwie chwyciła złotą sakiewkę, pocałowała mnie w policzek i rzuciła na odchodnym, że mam na siebie uważać. Czmychnęła do kobiecych pokoi wraz z resztą dam, zachwyconych tym nowym cudem. W jednej chwili Majo i ja zostałyśmy same na dziedzińcu.

Majo bez słowa wyciągnęła z wózka duży miedziany garnek i napełniła go wodą z dzbana tak wielkiego, że ledwo mogłam uwierzyć, iż kryła go w fałdach spódnicy. Kiedy zmarszczki na wodzie się wygładziły i księżyc zajaśniał w garnku jak ziemniak pływający w zupie, dała znać, że powinnam spojrzeć.

Ma się rozumieć, zobaczyłam swoją prawdziwą twarz, smukły pysk, wilgotny czarny nos, uszy strzygące ciekawie na nocnym wietrze. Powinnam się przestraszyć, rude futro, ostre zęby, ale prawdę mówiąc odczułam ulgę — właśnie to matka widziała za moimi oczami. Nie byłam potworna, po prostu byłam potworem.

— Oto ty, Tomomo, moje dziecię. — Majo poklepała mnie po plecach jak gdyby z uznaniem.

— Skąd wiedziałaś? — zapytałam.

— Umiemy się rozpoznawać, wyczuwamy zapach futra pod skórą jak smak cukru rozpuszczonego w herbacie.

Pochyliła się nad moim ramieniem i jej twarz pojawiła się obok mojej na wodzie — parchaty pomarszczony pysk bez jednego oka, z dolną wargą pokrytą bliznami i policzkami obwisłymi niczym sakwy u siodła.

Uśmiechnęliśmy się razem i nasze odbicia obnażyły zęby, jej żółte i stępiałe, moje białe i ostre.

— Należysz teraz do mnie, mała lisia dziewczyno. Gdybym wiedziała wcześniej, porwałabym cię w chwili narodzin i znalazła ci jamę w górach. Teraz to bardziej skomplikowane. Jesteś za duża, żeby dołączyć do swoich kuzynów. Ale tak naprawdę nie ma to większego znaczenia — jeśli będziesz dobrą uczennicą, może zdołasz znaleźć swoje miejsce w świecie jak ja. Lecz zawsze wystrzegaj się wody, bo ona nas zdradza.

Wylała wodę na ziemię i zapakowała garnek do wózka, potem wsunęła szerokie rzemienie na ramiona. Gdy dźwignęła na plecy miniaturowy dom, drewniane nogi zatrzęsły się pod podłogą. Majo powąchała wiatr.

— Lis zawsze musi być bystry i czujny — przykazała surowo. — A teraz, gdy wiesz, że jesteś lisem, lenistwo nie znajdzie żadnego usprawiedliwienia. Mam dość do noszenia bez twojej po trzykroć przeklętej lektyki. Ściągnij z nóg te śmieszne powijaki.

Zdarłam jedwabie z radością, przegryzając grube węzły zębami. Ruszyłam zwinne obok Majo z sercem tak pełnym szczęścia i jasnym, że omal nie parzyło mi żeber.

— Dokąd idziemy? — zapytałam.

— Zabieram cię do miejsca, gdzie będziesz mogła się uczyć. Spałaś na materacach miękkich jak obłoki w jedwabnych poszewkach i jadałaś tłuste jelenie. Ale za terenami pałacu jelenie są zmyślne i trudno je złapać, a materace są za ciężkie,

żeby je nosić. Są inne sposoby życia i w zasadzie przeznaczone są dla lepszych kobiet. Szkoda, że twoja matka nigdy nie spała w jaskini z liśćmi zamiast koców — mam nadzieję, że cieszy się swoją zdobyczą. Rankiem wszystkie koguty w stolicy padną trupem, martwe jak złoto i niechciane córki.

Nie mogłam sobie wyobrazić tylu martwych kogutów ani tego, jak zgarbiona starucha może zostawiać za sobą szlak zaduszonego drobiu. Ale zanim zdążyłam o cokolwiek zapytać, ruszyła w drogę.

Dotrzyłyśmy jej kroku, choć wcale nie bez trudu. Była zaskakująco żwawa jak na swoje lata i zaczęłam rozumieć, jak z taką łatwością wędruje z miasta do miasta. Niedługo później poczułam lekki zapach morza i wilgoć zaczęła ciążyć mi na włosach. Kiedy noc stała się zimna i czysta jak lód na stawie, dotarłyśmy do długiej plaży, bardziej miękkiej pod stopami niżli słodkie ciasto. Majo znowu przemówiła. Jej głos już nie był chrapliwy i jakby parchaty, ale wysoki i ostry, przypominający, szczekanie lisicy nawołującej lisięta.

— Jesteśmy.

— Gdzie? — Przed sobą widziałam tylko spienione grzywacze na szerokim morzu i smukły pomost sięgający w wodę jak palec szkieletu.

Majo przewróciła oczami.

— Lis musi być bystry i samowystarczalny. Skorzystaj ze swojego umysłu i sama to rozgryź. Przyprowadziłam cię tutaj, moja rola skończona. Nie jestem książką, nie możesz szukać odpowiedzi w moim skorowidzu. — Majo przestąpiła z nogi na nogę pod ciężarem domu. Stałam na piasku, zbita z tropu, próbując nie wyglądać jak ostatni głupek. Znowu przewróciła okiem. — Widzisz pomost? Dlaczego nie pójdziesz zobaczyć, czy

ktoś pod nim nie mieszka? A może powinnam robić wszystko za ciebie, jak twoja przygłupia matka?

Majo zdjęła pasy z ramion i postawiła domek na rozłożonych nogach. Po chwili grzebania w chatce wyciągnęła grubą poduszkę. Usiadła, wyjęła z fałd spódnicy kulkę ryżu i żuła ją z zadowoleniem, gestami nagłąc mnie do drogi. Policzki mnie piekły jak wysmagane różgą. Postanowiłam, że nie zachowam się przy niej jak rozkapryszone dziecko. Pobiełam do rozklekotanego pomostu. Kawałeczki muszelek tryskały za moimi bębniącymi piętami.

*

Zmurszałe deski pomostu zapadały się, filary pod nimi obrośnięte były skupiskami alg, omułków i pąkli. Wokół zardzewiałych kubłów na małże walały się stare sieci do połowu krabów. Zasłaniałam usta ręką i niemal się dławiłam, bo większość tych sieci i kubłów zawierała swe ostatnie nieszczęsne ofiary. Nie zobaczyłam nic, co mogłoby Majo zainteresować; nawet wygłodniała mewa nie znalazłaby niczego godnego uwagi. Ale byłam pewna, że Majo się nie myli, że nie może się mylić, i rzeczywiście, nagle za zbutwiałym filarem przemknęło coś ciemnego. Ruszyłam w tamtą stronę, moje bose stopy plaskały w kałużach i na wilgotnym piasku. Chwilę później brnęłam po kolana w słonym morzu, tropiąc w blasku księżycy szybką czarną sylwetkę.

— Zaczekaj! — krzyknęłam i ku mojemu zdumieniu kształt się zatrzymał, odwracając lśniącą głowę i patrząc przez ramię.

Była to duża, spasiona wydra. Przetoczyła się w głębokiej do pasa wodzie i płynęła beztrosko na grzbiecie, pokazując mokry złoty brzuch okolony gładkim ciemnobrązowym futrem. Jej

pyszczek wydawał się dość przyjazny, choć niezupełnie zadowolony. Wąsy miała prawie tak grube jak sum. W łapkach trzymała dużego ślimaka z odłupanym kawałkiem skorupki — zmagala się z nim, patrząc na mnie znad swojej upartej zdobyczy.

— Czego? — zapytała głosem zgrzytliwym jak chrzęst piasku pod suchą stępką.

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Przemoczona i zmarznięta stałam w mule przeciskającym się pomiędzy palcami stóp. W tym błocie niemal tęskniłam za powijakami bandaży. Woda marszczyła się wokół mojej cienkiej sukni, gdy stałam jak dziecko próbujące wyrecytować wiersz, którego nawet nie starało się zapamiętać.

— Majo mnie przysłała. — Wzruszyłam ramionami, próbując wyglądać tak, jakbym codziennie konwersowała z wydrami. — Chyba. To znaczy, chyba mnie przysłała. Kazała mi iść pod pomost, chociaż jest bardzo brudny i myślę, że zmarło tu wiele stworzeń.

— Bezsprzecznie — odparła wydra, wreszcie otwierając muszlę i wydzierając z niej tłustego ślimaka. — I każde smaczniejsze od poprzedniego. Żuła przez chwilę twarde mięso, po czym znowu się odezwała: — Skoro Majo cię przysłała, pewnie czeka nas spotkanie z kudłatym chudym liskiem, prawda? Jestem Rakko, król wydr. Jeśli nie przyniosłaś daniny z krewetek czy małż, zakarbuję cię jako dłużnika.

— Ojej! — Próbowałam się uklonić. — Nie wiedziałam, że jesteś królem.

Z pewnością coś bym przyniosła.

— Hm — mruknął, brodząc obok mnie do jednego z podskakujących na fali zardzewiałych kubłów. Niemal go

wywrócił, gdy z entuzjazmem wyławiał z głębi coś cuchnącego i zielonkawego. — Jestem królem głównie dlatego, że tak powiedziałem, a nikt się nie sprzeciwił. Ale ten pomost jest dobry jak każda sala tronowa, a każda klatka i garnek zawierają istne bogactwa. Oto jak rodzą się królowie, moja ogoniasta dziewczyno — wybierają miejsce, wbijają w nie kijek, nazywają się królami i czekają, żeby zobaczyć, czy kogoś to zgniewa. Nikt jak dotąd się nie zezłościł, co sprawia, że wydrys są moje.

— Rozumiem. — Pokiwałam głową i zastanowiłam się, czy tak właśnie zaczęli królowie w moim kraju. — Nie jestem pewna, co Majo chce, żebym zrobiła...

— W czym dobre są lisy? Majo chce, żebyś coś dla mnie ukradła. To niełatwe. Mam nadzieję, że sprostasz zadaniu. Przysyła mi dziewczęta od czasu do czasu, ale zwykle są za słabe i nie nadają się do złodziejskiego fachu.

Zarumieniłam się lekko, myśląc o swoich maleńkich stopach ukrytych przez morze.

— Co mam dla ciebie zdobyć?

Rakko podniósł głowę znad kubła, jego porośnięty sierścią pyszczek nagle zrobił się spokojny i smutny, woda ściekała z długich wąsów jak deszcz z łodyg pszenicy. Przetarł okrągłe brązowe oczy, jakby nie spał, odkąd morze było kałużą, a księżyc świecił na suchy ląd.

— Nie dla mnie — westchnął — wcale nie dla mnie, ale chcę, żebyś ukradła Gwiazdę...

Opowieść o nurze, wydrze i Gwieździe

Najlepiej ze wszystkiego pamiętam plusk.

Sekka i ja nurkowaliśmy — Sekka jest królową nurów. Nauczyła mnie sztuczki mówienia, że jest się królem czy królową. Ale podczas gdy ja jestem Królem pod Pomostem i nawet smarkule nie przynoszą mi bodaj jeża morskiego w daninie, kiedy Sekka oznajmiła, że jest królową, inne nury zobaczyły, jak czarna jest jej głowa, jakie szerokie są skrzydła — biedna Sekka urodziła się większa niż inne nury i wielce cierpiała z tego powodu, gdy była pisklęciem — jak biały jest jej brzuch, jak donośne jej zawodzenie i krzyki, i natychmiast się zgodziły, że powinna zostać królową i to bez chwili zwłoki. Niestety, jak stwierdziła, to trochę niewygodny sposób zdobywania władzy, ponieważ zwykle oznacza, że do wielu, wielu kubełków przepysznych zgniłych ryb trzeba dodać liczne obowiązki. Ma najgrubsze i najlepiej uwite gniazdo wśród wszystkich morskich ptaków, ale w zamian musi odwiedzać kury w czasie godów i choć bardzo się stara, nieczęsto robi pełen obchód, bo nury niezbyt dobrze latają.

Nie była pora godów, gdy nastąpił plusk. Nury i wydry mają podobne zamiłowanie do nurkowania — wypuszczamy powietrze, spłaszczamy brzuchy i pikujemy w głębokie, zimne prądy, gdzie pływają tłuste ryby. Nie mogłabyś wyobrazić sobie lepszych pływaków niż Sekka i ja, a powinnaś spędzić trochę czasu na wyobrażaniu sobie, jak utalentowanymi jesteśmy nurkami. Ścigaliśmy się, bawiliśmy, łowiliśmy ryby. Była noc,

snopy nikłego niebieskawego światła przeszywały wodę jak haczyki wędkarza. Nad nami po wodzie sunął cień statku.

Właśnie ją wyprzedziłem, żeby oderwać małża od głębokiej skały, gdy nagle morze rozbłysło, jakby księżyc spadł w całości do wody. Prądy rozbłysły kościaną bielą, na ich tle sylwetka Sekki zapłonęła purpurą, światło spowiło mój ogon i zapiekło mnie w oczy. Przetarłem je wściekle, a gdy odsunąłem łapy, blask przygasał. Mały chłopiec pogrążał się w morzu, opadał w głębinę.

Zanurkowaliśmy niczym jedno zwierzę, płuca nas paliły z braku powietrza, gdy jak dwa kamienie opadaliśmy za kreślącym spirale ciałem. Teraz, kiedy wracam do tej chwili myślą, nie wiem, dlaczego uznaliśmy, że ważne jest złapanie tej ledwo żywej istoty, zanim spocznie na dnie oceanu, ale oboje gotowi byliśmy utonąć, byle tylko zatrzymać jej upadek. W końcu Sekka dopędziła chłopca pierwsza i chwyciła w ciemny dziób za kosmyk włosów. Ja złapałem go w talii i razem wyciągnęliśmy dzieciaka na powierzchnię, zwisającego pomiędzy nami jak łosoś — a wiesz, był ciężki, bardzo ciężki, pomyślałem wtedy, że musi być pełen srebrnych odważników.

Kiedy trzy nasze głowy przebiły fale, wciągnąłem go na brzuch jak muszlę przegrzebka. Leżał tam, bezwładny, trzymając się za głowę, a noc rzucała cienie na jego skórę. Wreszcie, po długim milczeniu, podczas gdy Sekka i ja cackaliśmy się z nim jak świeżo upieczeni rodzice, zakaszłał i splunął wodą na moje futro. Jęcząc, podniósł głowę, wciąż zaciśniętą w rękach. Od razu zauważyłem, że przez jego głowę biegnie cienka linia, a z niej sączy się rodzaj mokrej ciemności.

Miał dwie twarze w miejscu, gdzie powinny być uszy, i nic oprócz gładkiej skóry tam, gdzie spodziewałem się spojrzeć mu

w oczy. Ta skóra przecięta była czarną linią.

Trzymał głowę z obu stron, strąki włosów spadały na dłonie, które zakrywały nosy i czoła, widziałem tylko otwarte mokre usta. Kiedy się odezwał, obojgiem ust jednocześnie, jeden głos był wysoki i piskliwy, głos dziecka, drugi niski i poważny, głos mężczyzny.

— Żyję.

— Sprawa dyskusyjna, mały topielcu — gdała Sekka. Już dziobnęła czarną maź z pustego miejsca pomiędzy twarzami i oświadczyła, że jest obrzydliwa. W zasadzie nie była to krew, ale w zasadzie nie była to nie krew.

— Sekko — zapytałem cicho. — Co mamy zrobić? Odstawić go na brzeg?

Rozpostarła długie czarne skrzydła, żeby go okryć, i białe plamy na jej piórach zalśniły jak gwiazdy.

— Zagubione maleństwo. Umiesz pływać? Może jeśli puścisz swoją biedną głowę...

— Nie! — krzyknął chłopiec. Niezdarnie cofnął się przed nią i omal nie wpadł do wody. Obie jego twarze miały zakłopotane miny, gdy wczepił się we mnie łokciami. — Nie, przykro mi, nie mogę puścić.

— Co ci się stało? — zapytała Sekka, gładząc go dziobem po żebrach, jakby był pisklęciem ze złamanym skrzydłem.

— Upadłem — odparł z westchnieniem.

Opowieść o statku, kajaku i tratwie

Nie jestem podobny do innych.

Pragnąłem świata. Nawet po tym, kiedy wszyscy odeszli na wzgórze, pod ziemię, w ciemność, kiedy ludzie otworzyli głębokie kamienne studnie zapomnienia w swoich brzuchach i wszystkie Gwiazdy skoczyły, ja zostałem. Nie inaczej niż w czasach, gdy pierwszy zrobiłem ten krok, ten długi krok w dół z czerni, pragnąłem trawy i soli, twardych, okrągłych serów i domów krytych dachówką, i plaży z niezliczonymi ziarenkami piasku. Byłem tutaj szczęśliwy, nie chciałem naciągnąć jeżyna nad głowę i udawać, że nie słyszę przechodzącego obok świata.

Dotykałem wszystkiego, czego tylko mogłem dosięgnąć, bo chciałem, żeby wszystko spijało ze mnie światło, chciałem w końcu wykrwawić się na tyle, aby uchodzić za coś, co nigdy nie było dziurą w nicości. Dotykałem mężczyzn i kobiet, i dzieci śpiących w modrzewiowych kołyskach, dotykałem kubków, talerzy i buszli róż, dotykałem wozów z sianem i kop siana, i grubych drzwi więziennych, dotykałem trawy, soli i twardych, okrągłych serów, dotykałem domów krytych dachówką i przesiewałem przez palce niezliczone ziarenka piasku, aż moja skóra przestała się jarzyć.

Ale moje twarze, powiecie. Przecież nikt nie wziąłby mnie za człowieka.

Ja zaś powiem, że wszyscy wybieramy tych, którzy są najbardziej podobni do nas, a ja nie mogłem się zdecydować. Patrzyłem na trawę i sól i widziałem, że w niczym mnie nie przypominają. Patrzyłem na twarde, okrągłe sery. Patrzyłem na

kryte dachówką domy i patrzyłem na niezliczone ziarnka piasku na plaży. Nic nie pasowało do mnie jak jeden but do drugiego.

A potem zobaczyłem dzieci, które miały jednakowe twarze, dzieci chodzące parami, i były to bliźnięta; wiedziałem, że ja również chodziłem w parze, choć miałem tylko jedno ciało. Rozszczepiłem swoją twarz i stałem się Bliźniaczą Gwiazdą, i choć chciałem wylać swoje światło na suchą ziemię, by dopasować się do miast ludzi, nie chciałem zmienić swojej natury. Dlaczego miałbym to robić? Miasta zawsze pełne były potworów i mogłem bez trudu być wzięty za jednego z nich. Nazwałem się Itto i zniknąłem w hałaśliwej plątaniu ulic.

Żyłem, jadłem, pracowałem, chodziłem w parze.

Świat zapominał, jak wyglądaliśmy, a potem piętrzył kwiaty na poświęconych nam ołtarzach.

Żyłem, jadłem, pracowałem. Dobrze, uchodziłem za potwora i ludzie mnie nie kochali.

Po długim czasie przyszło mi na myśl, że chciałbym poczuć na skórze wodę oceanu. Postanowiłem zbudować statek i kupiłem wielką ilość drewna w nadmorskim mieście — pięknego drewna, jakiego dotąd nie widziałem, ciemnoczerwonego i lśniącego, ze słojami jak żyły tętniące krwią. Zrobiłem sobie miejsce obok innych szkutników, którzy wybuchli śmiechem, gdy dziwaczne dziecko przyszło z naręczem desek. Nie zwracając na nich uwagi, zrobiłem stępkę młotkiem i własnymi stwardniałymi rękami.

Niedługo później przyszli do mnie i rzekli:

— Itto, to drewno jest za piękne dla kogoś takiego jak ty. Wedle prawa my powinniśmy wziąć je na nasze statki, bo z

pewnością twój statek będzie równie koślawy i ułomny jak ty i tylko zmarnujesz drewno.

Nie chciałem, żeby je zabrali, oczywiście nie chciałem. Ale przytrzymali mnie i wzięli tyle czerwonego drewna, ile chcieli. Co mogłem zrobić? Nie jesteśmy cudowni, nie mamy siły dziesięciu. Kiedy nasze światło się wyczerpie, jesteśmy słabsi nawet od skutnika o sękatej twarzy i oprószonych solą ramionach.

Kiedy odeszli, spojrzałem na to, co zostało, i powiedziałem:

— Dobrze, nie mogę zbudować statku. Zbuduję kajak.

Niedługo później znów przyszedli skutnicy i rzekli:

— Itto, to drewno jest za piękne dla kogoś takiego jak ty. Wedle prawa my powinniśmy wziąć je na nasze statki, bo z pewnością twój kajak będzie równie koślawy i ułomny jak ty i tylko zmarnujesz drewno.

Nie chciałem, żeby je zabrali, oczywiście nie chciałem. Ale przytrzymali mnie i zabrali tyle czerwonego drewna, ile chcieli. Co mogłem zrobić? Wyczerpałem siły na trawie i soli — nie mogłem zniszczyć człowieka spojrzeniem.

Kiedy odeszli, spojrzałem na to, co zostało, i powiedziałem:

— Dobrze, nie mogę zbudować kajaka. Zbuduję tratwę.

Związałem deskę z deską, tyczkę z tyczką, drzazgę z drzazgą. Niedługo później miałem czerwoną tratwę, mocną i niedużą, i ją pokochałem. Była moja własna, zrobiona przeze mnie jak ja przez niebo, nie mniej mi droga niż gdyby była dzieckiem.

Niosła mnie po purpurowych falach jak pustelnik swój tobołek. Z jej skraju łowiłem ryby, a moja koszula była żaglem biedaka. Wydymała się, moje sieci były pełne. Leżałem na szorstkim czerwonym drewnie i wdychałem jego zapach, woń krwi i cynamonu łaskoczącą mnie w nosie. Mówiłem do

drewna i myślałem, będąc samotny, że odpowiadało, i jego głos był gładki i ciemny jak niebo. W nocy naciskało na moje plecy, a ciemność omywała obie moje twarze delikatnymi rękami.

Po powrocie do miasta owinąłem tratwę w długie pasy nasączonego olejem materiału upstrzonego rybią łuską, ale tak miękkiego, na jakie ledwo było mnie stać. Oparłem ją o najmarniejszą ścianę w najmniejszym hangarze dla łodzi na nabrzeżu. I pewnego dnia, gdy przyszedłem rozwinąć moją tratwę i spuścić ją na płycizny, nic się nie opierało o marną ścianę poza brudnym, poplamionym płótnem i jedną złamaną deską szkarłatnego drewna.

I gdy tak stałem, próbując nie płakać, zobaczyłem pryszczatego chudego syna jednego ze szkutników. Odgarnął tłuste włosy z oczu, które śmigają jak ślepia winnego psa pomiędzy mną i tym, co niegdyś było tratwą.

— Itto — szepnął, oblizując usta — to drewno było za dobre dla ciebie.

Wybiegł z hangaru, zostawiając mi pękniętą deskę.

Poniosłem ją daleko od niezliczonych ziaren piasku na plaży, daleko od krytych dachówką domów, daleko od serowarów wyrabiających okrągłe, twarde sery, daleko od miejsc, w których soli się mięso. W końcu dotarłem do lasu szerokich konarów i korzeni, a pośrodku lasu znalazłem skrawek głębokiej ziemi, gdzie pogrzebałem kawałek lśniącego czerwonego drewna jak dziecko z mojego ciała. Zapłakałem nad grobem gorzko jak nad niczym innym, odkąd zstąpiłem z nieba.

Nie wiedziałem, co zrobić. Wróciłem do miasta, do mojej nędznej, krytej gontem chaty. Czekał na mnie chudy chłopak. Jakby na przeprosiny, szurając nogami, skubiąc pryszczę, zaproponował mi miejsce na statku swojego ojca.

— Jeśli chcesz pływać po morzu, łatwiej służyć na cudzym statku niż na zbudowanym samemu, wiesz — powiedział, jakby był doświadczonym żeglarzem.

Moja tratwa przepadła. Jedne deski są podobne do drugich. Wszedłem na pokład statku i tygodniami szorowałem brzydkie brązowe deski, jak mi kazali, cerowałem grube żagle, jak mi kazali, mieszałem smołę w szerokich beczkach, jak mi kazali.

A potem pewnej nocy syn skutnika zatopił wiosło w mojej głowie.

Opowieść o nurze, wydrze i Gwieździe, ciąg dalszy

— Pewnie chciał, żeby ojciec był z niego dumny — jęknął chłopiec, wspierając się ciężko na moim napiętym brzuchu. Prawdę mówiąc, plecy zaczynały mnie boleć z wysiłku, jakiego wymagało unoszenie go nad wodą, ale cierpliwość jest cnotą królów. — Zrobiłem rzecz naturalną: moje ręce frunęły do skroni, gdy ból miotał mną jak sztorm tratwą na morzu, a kiedy syn skutnika oderwał wiosło, jakoś zdołałem zachować głowę w całości. On zobaczył to, zobaczył, że wciąż mogę mówić i stoję chwiejnie na nogach, i że to, co ze mnie wypłynęło, właściwie nie było krwią. Po chwili zylastymi rękami wyrzucił mnie za burtę, a ja trzymałem głowę jak dwie połówki brzoskwini i światło, które we mnie pozostało, wybieliło morze. — Itto odwrócił się niezgrabnie, by spojrzeć na Sekkę oczyma z lewej strony. — Ale rozumiesz, jeśli puszczę z pewnością zginę, i tego się boję. Tak niewielu z nas dotąd umarło. Po prostu się boję.

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Unosiliśmy się jak szczątki wraku.

Księżyc pełgał po jego wątłych plecach.

— Dokąd mamy cię zabrać? Obawiam się, że mój pomost nie bardzo ci się spodoba.

Sekka była bardzo cicha. Jej duże czarne oczy wpijały się w przemoczonego chłopca.

— Chcesz wrócić. Na górę.

— Nie wiem — odparł ze zduszonym szlochem. — Nie mogę wrócić, nawet gdybym chciał. Straciłem całe swoje światło, i jestem taki słaby, że ledwo mogę dźwignąć się na brzuchu wydry. Ale się boję. Nie wiem, co jest tam w górze, czy tam idą zmarli, czy mogę wrócić bez umierania. Nic nie wiem. To bez znaczenia; nie dostanę się tam, podobnie jak mysz nie może marzyć o wejściu na szczyt góry.

Sekka nastroszyła pióra i wydała się jeszcze większa niż zwykle.

— Czy góra wystarczy? — Przekrzywiła łebek jak kogut o brzasku.

Itto nie odpowiedział od razu. Czuję na sobie jego oddech, lekki i szybki jak skrzydełko trzepoczące na moim futrze.

— Może — powiedział. — Może wystarczy.

Opowieść o dobrej sztuczce, ciąg dalszy

Rakko przeciągnął grubymi łapami po brzuchu, jakby rozpamiętywał.

— I co się stało? — zapytałam ciekawie.

— Sekka zabrała go na szczyt góry, długie lata temu, i nie sprowadziła z powrotem. Nie chciał zejść. Biedna Sekka krąży wokół szczytu i krzyczy przeciągle, on jednak jej nie słyszy. Chcę, żebyś sprowadziła go dla mnie. I dla niej. Bądź grzecznym liskiem. Ukradnij go od niego samego. — Król wydr ściągnął brwi. — Nie powinien sam tam przebywać.

Podzielę się z nim swoimi kubłami i siecią. Sekka do końca swoich dni będzie okrywać go skrzydłami i pal licho gniazda jej poddanych. Nie musi być tam sam.

— A jak mam się dostać na wierzchołek góry? Jestem lisem i odkryłam to ledwie przed chwilą. Nie jestem orłem.

Zza odartego z farby filara wyłonił się wielki ptak z czystymi czarnymi oczami i białymi plamami na skrzydłach. Dość duży, pomyślałam, by unieść dziewczę na grzbiecie.

— Powiedział jej, gdzie zagrzebał resztkę tratwy — odezwał się Rakko. Jeśli sprowadzisz go na dół, Sekka ci powie.

— Czemu miałoby mnie obchodzić, gdzie wetknął starą deskę?

— Zadajesz za wiele pytań — zganiła mnie królowa nurów. Jej głos był cichy i smutny, łagodniejszy niż wołanie, które słyszałem, gdy czarno-białe ptaki gromadziły się na stawie

matki. Spojrzałam przez ramię na długi jasny pas plaży, na ciemną sylwetkę Majo i jej domek pośród traw. Wyglądało na to, że Majo śpi smacznie.

Bez jednego pytania wsiadłam na szeroki grzbiet Sekki i objęłam gładką szyję. Jej pióra pachniały muszlami przegrzebków, wodorostami i skorupkami jaj. Dźwignęła nas obie w noc.

Opowieść tkaczki sieci, ciąg dalszy

— Musisz coś zjeść! — powiedziała nagle Sigrida. Przypomniała sobie, że ludzie czasami jedzą.

— Trochę zgłodniałam.

Tęga kobieta dźwignęła się na nogi i znikła w wieży-statku. Zostałam sama w ostatnich promieniach słońca, czując zapachy niedalekiego targowiska: szafran i pieczone mięso, kwaśne barwniki do jedwabiu, pot, olej z beczek i płynny metal zlany do form. Al-a-Nur było ciepłe i żywe, bez śladu śniegu, porostów czy lodu.

Sigrida wróciła z drewnianą tacą, którą bezceremonialnie rzuciła mi pod nogi. Leżało na niej kilka brązowych kwadracików, pasek suszonego mięsa, manierka i pomarańcza.

— Suchary, suszony nornik, rum i owoc, żebyś zachowała zęby w ustach. Jeśli wstąpisz do świętości, tylko to będziesz jadła przez pierwszy rok, więc się w nich rozsmakuj. — Krzywy uśmiech mignął na jej pomarszczonej brązowej twarzy jak blada strona przewracana w podniszczonej książce. — To pierwszorzędne żarcie. Dla mnie wciąż smakuje jak wino w kryształach i gołębice faszerowane jeżynami.

Zjadłam grzecznie. Suchary były twarde, kruche i pozbawione smaku jak łupek. Mięso przypominało solidny pas soli, a rum był gorzki jak żółć. Tylko pomarańcza była słodka i złota.

— Wierzysz w Gwiazdy? — zapytałam nieśmiało.

Jej ramiona podniosły się, po czym osunęły niczym głązy na zboczu góry.

— Gwiazdy są tu i tam, czy w nie wierzymy, czy nie. Mogłabym wierzyć w ciebie albo mówić każdemu przechodniowi, że jesteś wymysłem, lecz nie zmieniłoby to faktu, że tu siedzisz, gnieciesz trawę, jesz moje jedzenie, zajmujesz przestrzeń. Ale Gwiazdy nie działają. Nie dają nam wzorca życia. Niczego nas nie uczą. Pierwsza Sigrida szukała czegoś więcej. Ale to stawianie rufy przed dziobem. Jesteśmy dopiero na początku historii Świętej Sigridy, ale zbliżamy się do końca dziejów Tomomo...

Opowieść o dobrej sztuczce, ciąg dalszy

Pod sobą czułam ciepło królowej nurów. Nade mną noc była zimna jak martwe ręce i ręce te szarpały mnie, szarpały moją cienką nocną szatę i bose, rozwiązane z bandaży stopy. Schowałam twarz w piórach Sekki.

— Już nawet się nie odzywa — powiedziała śpiwnie, gdy chmury muskały jej dziób. — Po prostu siedzi na mrozie i patrzy. Nie sądzę, żebyś czegoś dokonała, ale mam nadzieję. Jest ciężki, jeśli więc będziesz musiała go dźwigać, wędrownka nie będzie lekka.

— Czy na początku dużo mówił?

Sakka spuściła ciemną głowę. Jej błoniaste łapy otworzyły się i zamknęły.

— Rozmawialiśmy przez całą drogę na szczyt góry. Słodkie rzeczy, miękkie rzeczy, wzdychanie i szeptanie, historie o ciemności na początku świata, historie o jajach na początku pory lęgowej. Rakko nie słuchał zbyt dobrze — z wyjątkiem tego, gdy mówiłam, jak być królem — ale Itto słuchał i nie musiałam używać żadnych wybiegów, żeby mi nie przerywał jak ten futrzasty głupek. Zostawiłam go w zimnie na dachu świata, ale wracałam, kiedy kaczory przestawały nawoływać kaczki, i wtedy znów wzdychaliśmy słodko i szeptaliśmy cicho, i opowiadaliśmy historie o ciemności i jajach. Ale po paru sezonach tylko ja mówiłam, a w nim już nic nie było słodkie ani miękkie. Teraz tylko siedzi na skałach, trzyma się za głowę i

spogląda w mrok. Nie byłam tam od czasu, gdy Majo sprowadziła ostatnią dziewczynę, która poddała się ledwie po godzinie.

— Ja się nie poddam — szepnęłam miękko i słodko.

Nie umiem powiedzieć, ile czasu zajął lot na wierzchołek góry, choć wydawało się, że wiele słońc wzeszło i zaszło na mojej smaganej wiatrem skórze. Na szczycie jednak zawsze panowała noc ciemna jak brzuch kawki. Szczyt góry jest mniejszy niż myślisz, ledwo starczyło miejsca dla mnie i dla Itta — był tam bowiem, z kolanami podciągniętymi do piersi, ściskając rękami dwie twarze — by usiąść bok przy boku. Sekka przysiadła na niższej skale i czekała na moją porażkę.

— Witaj — powiedziałam z braku lepszego słowa.

Gwiazda nic nie powiedział.

— Przybyłam, żeby zabrać cię na dół, daleko stąd. Ścięta krew jest cieplejsza niż to miejsce. A Sekka cię potrzebuje.

Gwiazda nic nie powiedział.

Cóż, mówiła, że się nie odezwie. Pociągnęłam go za rękę i spróbowałam zarzucić na ramię — byłam chuda, ale on też, i niewiele większy ode mnie. Nie wątpiłam, że dam radę. Lis nosi szczenię w pysku, prawda? Był jednak znacznie cięższy, niż się wydawało, jak worek żelaznych kulek, i nie mogłam go ruszyć, choć ciągnęłam z całych sił.

Gwiazda nic nie powiedział.

Ja też nie. Usiadłam i spojrzałam tam, gdzie on patrzył. Była to długa przestrzeń czerni, ożywiona siedmioma gwiazdami w zbitym gronie, opierającymi się jedna o drugą. Widok był bardzo nudny.

— Znam pewną sztuczkę, chcesz zobaczyć?

Gwiazda nic nie powiedział, ale jego prawe oczy lekko się przesunęły.

Zebrałam garść śniegu z szarej skały i rozgrzałam go w dłoniach, aż rozpuścił się w wodę. Trzymając wodę między nami, pochyliłam się nad małą kałużą, pokazałam mu swoją lisią twarz z kremowymi kępkami futra na uszach i eleganckim czarnym nosem.

Zaśmiał się cicho. Zabrzmiało to, jakby woda spływała z wysokich kamieni.

— Dobra sztuczka — powiedział głosem chrapliwym od zimna i długotrwałego milczenia. Mówił, jak wspomniał wydra, w unisonie z sobą, jeden głos wysoki i jeden głos niski.

— Dopiero niedawno się jej nauczyłam — wyznałam. — Czy teraz, gdy mówisz, zechcesz łaskawie zejść z góry?

— Najlepszy ze wszystkich sztukmistrzów nie zna sztuczki na tyle dobrej, żeby mnie do tego zmusić. — Westchnął. — Pełnię wartę, a wartownik nie znika tylko dlatego, że palce sinieją mu z zimna.

— Dlaczego tu czuwasz?

— Widzisz tych siedem gwiazd? — zapytał. Widziałam, bo przecież niewiele tam było do oglądania poza tymi lśniącymi cętkami. — Możesz je nazwać moimi kuzynkami. Oczywiście, nie musisz. — Zakaszłał i potarł palcami cztery skronie. — Przeszedłem tutaj, bo się bałem. Bałem się puścić głowę, bałem się umrzeć, choć powinienem być martwy. Przeszedłem tutaj, żeby zobaczyć, czy siedem gwiazd na niebie, będących moimi kuzynkami, które zmarły tak dawno temu, że ledwo je pamiętam, wróciło do domu i nie spotkał ich los gorszy od śmierci. Gdyby były w domu, bezpieczne jak króliki w klatce, wtedy bym się nie bał, wtedy mógłbym puścić głowę i ulecieć do

nieba. Tu jest dach świata i niemal można dotknąć dachówek. Nie miałbym dalekiej drogi.

Spojrzał na moje wciąż mokre ręce, które zaczęły pokrywać się szronem, a ja pomyślałam, czy mógłby, czy chciałby ująć je w swoje dłonie. Sięgnęłam w górę, wyobrażając sobie, że chłopiec tego chce, stanęłam na palcach i sięgnęłam w górę, żeby dotknąć nieba — i dotknęłam go, dotknęłam! Moje palce wsunęły się w czerni, która, och, była podobna do ciała! Czułam skórę, a pod skórą miękką, lśniącą nogę lub brzuch, a głębiej diamentową kość. Nie miałam pojęcia, czyja to może być skóra, ale była ciepła pod moimi przemrożonymi palcami, taka ciepła. I kiedy jej dotknęłam, zobaczyłam siedem gwiazd, jak on musiał je widzieć, i wcale nie były to gwiazdy, tylko siedem koryt wyżłobionych w niebie, bladych jak wybielone przez morze kości.

— Są grobami — szepnął chłopiec — tylko grobami niczym więcej, a ich światło jest tylko nagrobkiem, i ich tam nie ma, wcale, niebo jest grobowcem, a ja nie mogę umrzeć, bo wciąż bardzo się boję. Dokąd mamy iść, jeśli nie tutaj? Boję się i jestem sam, i nic nie kochałem prócz żalösnej połamanej tratwy, i tylko ona kochała mnie.

Zapłakał, wielkie gorące łzy płynęły z jego czworga oczu i zamarzały na policzkach.

Przyklękłam przed Gwiazdą i ujęłam w dłonie jego dużą, zniekształconą głowę. Pogładziłam jego sztywne, ośnieżone włosy i przytuliłam twarz do jego dwóch twarzy. Nuciałam jak ptak, przynajmniej tak myślałam. Nie wiedziałam, jak sprowadzić go na dół, ale przypuszczałam, że w końcu wiem, jak ukraść go jemu samemu.

Zacisnęłam zdrętwiałe palce na jego przegubach i zaczęłam odrywać jego ręce od twarzy. Zesztywniał, skulił się.

— Nie — wydyszał. — Nie mogę!

— Wszystko będzie dobrze — zapewniłam i powtarzałam to bez końca. — Wszystko będzie dobrze. Zraniłeś swoją Sekkę, która cię kocha jak tratwa i wolałaby cię widzieć skulonego pod leśną gliną, bezpiecznego i nieznanego losu gorszego od śmierci, niż samego na górkim szczycie, użalającego się nad sobą. Wszystko będzie dobrze, jestem tutaj i wiem, że boisz się to zrobić, ale ja ci pomogę.

Czułam jego suche usta przy moich ramionach, gdy szarpnęłam go za ręce.

— Ale czy nie mogę tak zostać na zawsze, na mrozie? — Jego podwójny głos był płaczliwy, jak u dziecka, które prosi o słodycze, i jak u mężczyzny, który prosi o coś ukochaną. — Nie, nie mogę tak zostać jestem zmęczony i ręce mnie bolą od trzymania siebie ze sobą.

— Znam dobrą sztuczkę, Itto — szepnęłam — bardzo dobrą sztuczkę.

Przekreślił jedną twarz w moją stronę. Jego duże, ciemne oczy były słodkie i łagodne. Pocałowałam go, bardzo lekko, w każdą twarz. Pod moimi ustami czułam jego wargi spękane jak stary papier. Był to mój pierwszy pocałunek, i drugi, i oba miały smak śniegu.

Pozwolił mi odsunąć swoje ręce od głowy. Złożyłam je na jego kolanach. Przez chwilę był cały, a potem głowa rozpadła się na połowy jak irys, który rozkwita w słońcu. Zalała go czarna ciecz, zimna i brzydka, spłynęła na moje ręce i moją suknię, grudkowata i martwa, zupełnie bez zapachu. Osunął się na mnie i w końcu, gdy byłam przemoczona jego krwią, która

niezupełnie była krwią, wypłynęły z niego dwie maleńkie krople światła. Spadały na moją rękę jak łzy. Zacisnęłam je w palcach.

*

Sekka odwróciła głowę, gdy zobaczyła moją suknię zbryzganą czernią. Wydała długi, niski krzyk, ten dziwny krzyk nura, który sprawia, że księżyc płacze. Wzięła mnie na grzbiet i choć śpiewała żałobną pieśń każdej mijanej chmurze przez dni i noce powrotu z dachu świata, w najcichszych nutach brzmiało swego rodzaju szczęście, ulga słodka i delikatna.

Musiałam dobrze się sprawić, bo tuż przed miękkim lądowaniem na plaży powiedziała mi, gdzie jest zagrzebana tratwa. Majo spała na piasku, dom-tobołek poskrzypywał w rytm jej pochrapywania. W końcu zbudziła się z drgnieniem, zobaczyła poplamioną suknię oblepiającą moje uda i pokiwała głową, tego się spodziewała.

Sekka odeszła chwiejnym krokiem przez plażę do długiego, samotnego pomostu.

*

Nie poszłam do lasu tego ranka, ani następnego. Zostałam z Majo i niemal zapomniałam o desce wbitej w ziemię. Powoli się zestarzałam, ale kiedy pytałam, Majo tylko wzruszała ramionami, mrużąc, że życie każdego stworzenia ma swoją naturalną długość. Wiele się nauczyłam, choć w magii zawsze byłam beznadziejna. Tkałam czary nie lepiej niż koń, który miałby upleść własną derkę. Miałam dar do polowania, pościgów i zabijania. Tego Majo uczyła mnie z przyjemnością i mój talent wielce się rozwinął. Masz w sobie zbyt wiele lisa,

mawiała ze smutkiem przy niezliczonych wieczornych ogniskach. Mogę tworzyć tylko lisią magię, która zawsze była magią podkradania się, znikania w cieniach i porywania ofiary z powietrza. Istnieje wiele rodzajów magii, a rodzaj wiedźmy Majo, magia dokładnego ucierania ziół i wiązania talizmanów w czasie odpowiedniej fazy księżyca, pasował do ludzkiej natury, nie zwierzęcej. Jaki pożytek z lisich łap przy wiązaniu zaklęć o siedmiu supełkach? Lisie łapy znają tylko magię gorącej krwi i szybkiego futra — i są mocne, takie mocne, że nie potrzebują żadnych torebek z liśćmi do pomocy. Lis nie przepada za używaniem narzędzi.

— Możemy być pewne — mawiała Majo ze śmiechem — że byłabyś wielce nudną i tępą kobietą. Lis uchronił cię przed kompletną głupotą.

Było jednak jasne, że Majo nie jest stróżem mojego przeznaczenia. Chciałam, żeby była; chciałam być dobrą wiedźmą, chciałam dźwigać jej wózek po srebrnych polach i grząskich bagnach o wczesnym poranku. Nie mogłabym jednak zrobić niczego więcej poza prostą tynkturą czy kataplazmem na rozcięte ucho. W jej oczach widziałam prawdę: niebawem się rozstaniemy. Majo znajdzie sobie lepszą uczennicę, a ja znajdę życie bez wózków czy podekscytowanych kobiet zebrzących o czary miłosne.

W dniu naszego rozstania nie okazała więcej emocji niż wówczas, gdy się spotkałyśmy; była rozbawiona, dumna z siebie, przebiegła. Zabrała mnie na spacer, co często robiłyśmy, i słońce przyrumieniło mój kark na kolor skórki dojrzałego jabłka. Po niedługim czasie dotarłyśmy do skraju lasu, tego lasu, w którym, jak jej powiedziałam, według Sekki znajdowała się

pogrzebana deska. Zapomniałam o niej, jak lato zapomina o śniegu. Majo uśmiechnęła się szeroko.

— Zawsze byłeś roztrzepany. Spróbuj nad tym popracować.

Postukała palcem w moją prawą rękę i otworzyłam dłoń — leżały na niej dwie krople srebrnego światła, które przecież dawno temu wsiąkły w skórę i znikły. Podniosłam oczy ze zdumieniem wypisanym na twarzy wyraźnie jak tatuaż. Majo zacisnęła moją rękę w swoich zasuszonych szponach i przekrzywiła dłoń tak, że łyzy spadły na ziemię, a potem mnie objęła. Wiedziałam, że zrobiła to po raz ostatni, jak lisek zawsze wie, kiedy nadchodzi czas na samodzielne łapanie myszy, żeby już nie sprawiać lisicy więcej kłopotów.

Dwie łyzy zwilżyły rdzawoczerwoną glebę, zbierając się jak deszcz w rynnie. Ale nie wsiąkły w ziemię, jak kiedyś w moją skórę — zaczęły odpływać ode mnie, coraz szybciej i szybciej. Przez chwilę mocno przytulałam Majo, łyzy zaćmiewały mi ostatni widok jej twarzy podobnej pniu wielkiego drzewa, a potem, już z suchymi oczami, pobiegłam za kropelkami, krzycząc z podniecenia.

W biegu tylko raz spojrzałam przez ramię — a biegłam najszybciej, jak mogłam — i zobaczyłam, że Majo odchodzi ze swoim domem na plecach jak śmieszny żółw, i miałam wrażenie, że snuje się za nią światło, srebrne jak włosy staruszki.

Ale bliźniacze tropy słonych łez już znikwały w dali, a może była to tylko sztuczka słonecznego światła. Goniłam je prawie przez godzinę, skacząc nad korzeniami. Był to cudowny pościg. Wreszcie łyzy zatrzymały się i rozdzieliły, omijając pień niezwykłego drzewa.

Z początku nie zdawałam sobie sprawy, że to było drzewo. Krople światła rosły, aż otoczyły pień głęboką po kolana fosą, falującą w nikłym świetle. Drzewo wznosiło się z wody, która nie była wodą, lecz samo też nie było drzewem, tylko skupiskiem szczątków statku skręconych w pień, konary, korzenie wyginające się łukiem w fosie łez. Dzioby sterczały gniewnie u podstawy, maszty i stępki wiły się wokół siebie, ścigając stery i bomby z drewna, rdzawego i złocistego. Ogromny dębowy forkasztel wisiał z boku drzewa, gładkie białe koła sterowe obracały się leniwie na wietrze. Z gałęzi zwisało tylko kilka ciemnozielonych liści; więcej było lin i takielunku, i żagli na wpół wplątanych w bocianie gniazda, które służyły za najwyższe konary. Leniwe podmuchy na przemian wypełniały płótno i pozwalały mu zwisać bezwładnie. Po lesie niosło się łopotanie żagli i poskrzypywanie drewna. Pośrodku pnia tkwił galion z farbą spłowiałą od słońca i soli: koza morska z zakręconym ogonem, porośniętymi sierścią piersiami i kosmykiem brody pod szczęką, zaparta nogami o płataninę drzewa i statku, z dużymi oczami uniesionymi ku niebu i rozdziawionym pyskiem.

Lśniące drewno miało głęboki czerwony kolor, a słoje przypominały żyły wypełnione krwią.

Gdy wpatrywałam się w statek-drzewo, oczy kozy powoli oderwały się od nieba, jak kamień toczący się z wylotu jaskini, i szczęka się poruszyła.

— To ty? — zapytała cicho szeleszczącym głosem liścia albo żagla.

— Nie — odparłam. — Nie sędzę.

— Och — westchnęło drzewo. — Nigdy nie ty. Już przywykłam. Kiedy byłam młodym drzewkiem, wierzyłam, że

pewnego dnia przyjdzie. Czy to... czy to woda morska? — wstrzymała oddech, jej obłożone deskami ciało zadrżało z zaskoczenia. — Prawdziwa? Z portu pełnego pijaków, złodziei i synów skutników? Spod pomostu pełnego poławiaczy krabów z sieciami jak bransolety olbrzyma? Och, nie?

— Nie, to ostatnia rzecz, którą Gwiazda zostawił po sobie: krew, która nie jest krwią, światło, które nie jest światłem, woda, która nie jest wodą.

Twarz galionu stała się tak łagodna, jak tylko to możliwe w przypadku drewna, i łzy soku spłynęły z oczu po twarzy kozy, która przemówiła do otaczającej ją fosy:

— Itto? Itto? Czy widzisz, jaka jestem potężna i wysoka? Jestem teraz prawdziwym statkiem, nie głupią połamaną tratwą. Musisz być ze mnie dumny?

Pomyślałam wtedy, że zrobiłam, co do mnie należało, i że nikt, kto znał Gwiazdę, nie mógłby mnie prosić o więcej. Odwróciłam się, żeby zostawić płaczący statek-drzewo.

— Och, proszę, proszę, zaczekaj! — Koza wykręciła się w moją stronę i miałam wrażenie, że lada chwila oderwie się od pnia i padnie w moje ramiona. Ale statek-drzewo przesunął się wraz z nią z głośnym poskrzypywaniem zardzewiałego takielunku. Stałam na korzeniu-kilu.

— Jestem tutaj.

Zarumieniła się, jej czerwone drewno stało się jeszcze ciemniejsze, bardziej szkarłatne.

— Dziękuję ci za wodę — powiedziała. — Ja też chciałabym coś ci dać, choć nigdy nie pływałaś na mnie po ciemnej wodzie. Chciałabym zrobić to dla niego, ale mogę zrobić dla ciebie, mogę dać ci owoc, jak wszystkie inne drzewa.

Natychmiast straciłam pewność siebie.

— Jakie masz owoce, Statku?

Uśmiechnęła się, jej jasne policzki zadrżały, gdy z trudem powstrzymywała łzy.

— To mój prezent dla ciebie: największe marzenie samotnej tratwy, wszystko, czym kiedykolwiek chciałam być, gdy spałam owinięta w płótno nasączone olejem.

Statek-drzewo napęczniał, jego jęki wstrząsnęły całym lasem. Żagle się skręcały, liny splatały w pólszytyki i inne węzły, stępki i dzioby grzechotały jak gałęzie stukające w okno. Galion śmiał się coraz głośniejsze i bardziej przenikliwie, aż chciały pęknąć mi uszy. Trzeszczenie i poskrzypywanie drewna przetaczało się nad lasem jak burza, a fosa łez wciąż rosła i pogłębiała się, aż w końcu musiałam pływać desperacko, gdy małe fale chlupotały mi pod brodą. Drzewo było wtedy tak wielkie, że się bałam, iż pochłonie mnie całą, o ile wprawdzie nie utonę.

Z najwyższych gałęzi statku-drzewa zaczęło coś się formować. Dziób, maszt, kliwer, potem kadłub i stępka. Jasne koło sterowe otworzyło się jak rozkwitający słonecznik. Statek, w pełni wyrosnięty, spadł z gałęzi niczym dojrzałe jabłko i osiadł wygodnie na wartkiej teraz rzece łez. Galion uciszył się, wielkim drewnianym kopytem wyłowił mnie za kołnierz ze wciąż wzbierającej wody.

— Nie zniszcz go zbyt szybko — powiedziała koza ze zmartwieniem w głosie i postawiła mnie za sterem nowego statku.

Kiedy moje stopy dotknęły nowo narodzonych desek pokładu, poczułam się nagle jak w domu. Nie miałam wątpliwości, którą linę napiąć ani który żagiel strzymać: smukły szkuner był mi znajomy jak wnętrze mojej dłoni. Statek był mój jak dziecko z mojego łona.

A rzeka łez, teraz głębsza niż kil statku-owocu, płynęła coraz dalej od drzewa, które niegdyś było tratwą, i niosła mnie przez las w ciszy, tylko fale chlupotały o burty, co brzmiało, jakby dziecko całowało matczyne policzki.

I powoli rzeka łez wyniosła mnie z lasu, przez pola dojrzałej pszenicy, wśród łąk i chat wytwórców twardych, okrągłych serów, obok domów krytych dachówką i niezliczonych ziaren piasku na jasnej plaży, a na koniec wzdłuż długiego samotnego pomostu prosto na otwarte morze.

Opowieść o Świętej Sigridzie, ciąg dalszy

Tomomo oblizwała usta, odbicie lisa przeciągnęło różowym językiem po pysku.

— Oto jak zrodził się „Skarb Panieństwa”. Nazwałam go po tym, co dawno temu utraciłam, i żeglowałam na nim. Kto by pomyślał, że lis zostanie wilkiem morskim? Gdy tylko opanowałam statek, zawinęłam do najbliższego portu i zebrałam załogę. Z początku nie szukałam kobiet ani potworów do służby. Ale mężczyźni nie chcieli żeglować pod kapitanem kobietą, a kobiety bez naszych... niezwykłych historii siedziały w domach jak świetliki w szklanym słoju i, co zrozumiałe, nie znały się na marynarskim rzemiośle. Tak oto „Skarb Panieństwa”, ze wszystkimi swoimi dziwnościami, stał się jeszcze dziwniejszy i bardziej cudowny. Jesteśmy szczęśliwe, jesteśmy wolne. I ty też możesz do nas dołączyć.

Sigrida skinęła głową, jej oczy zapłonęły radością jak latarnie na wysokich wzgórzach. Nigdy nie wyobrażała sobie, że w jej życiu zdarzy się coś innego poza ważeniem sproszkowanego cynamonu i prowadzeniem ksiąg ojca. W tej chwili oddała serce czarowniwej Tomomo i była gotowa zrobić wszystko, o co ją poprosi.

Kapitan Tomomo o tym wiedziała; znała światło w oczach Sigridy, znała zapach wyrażany przez jej postawę. Widziała przed sobą wiele dziewcząt równie oczarowanych i nie po raz

pierwszy pomyślała, że magia polowania nie ogranicza się do ścigania myszy na mokrym po deszczu polu.

— Nie znasz się na statkach, dziewczyno z barki. Dopóki się nie nauczysz, będziesz musiała wykazać, że jesteś pożyteczna pod innymi względami. Zejdź pod pokład, znajdziesz tam satyrkę z zielonymi pierścieniami na palcach. Przedstawi cię pasażerom, a ty zadbasz o ich potrzeby.

— Tak jest, Tomomo... Tommy. — Sigrida uśmiechnęła się uśmiechem, który nigdy nie dotknął jej twarzy, najgłębszym uśmiechem, który płynie z brzucha i lśni własnym migotliwym światłem. Odwróciła się, wiedzona instynktem pobiegła do drzwi, które prowadziły do wnętrza szkarłatnego statku, i zamknęła je za sobą z wesołym trzaśnięciem.

W ogrodzie

— Muszę iść — szepnął chłopiec. Jego ręce już oświetlało niebieskożółte światło, które rozlewało się po niebie, przepędzając noc.

Dziewczynka nic nie powiedziała. Patrzyła na swoje ręce, jak gdyby mogła wyczytać z nich tajemny sposób na zatrzymanie wstającego słońca.

— Czy będziesz tu, gdy wrócę? — Chłopiec był pewien, że jej nie będzie, bez względu na to, co usłyszy w odpowiedzi. Wymykała mu się jakoś, jak muślin uciekający z palców. Kiedy siedziała na parapecie, opowiadając mu o śmierci niegodziwego króla i locie ptasiej dziewczyny szukającej swojej jaskini, mógł jej dotknąć, wesprzeć rękę na jej kolanie, czuć jej ciepło jak skrzydło wróbla w słońcu. Teraz wydawała się przejrzysta i bał się, że jeśli wyciągnie rękę, palce przenikną przez jej skórę jak przez wodospad. Mógł myśleć tylko o tym, że chciałby skraść dla niej najwykwintniejsze potrawy, płaszcz z piór czy futra, butelkę wina albo nawet klejnoty z palców Dinarzad, byle tylko znów uśmiechnęła się do niego jak tamtej nocy, jak słońce wstające nad pierwszym morzem świata.

Spojrzał na nią spod ściągniętych brwi, skubiąc grudkę ziemi wypielegnowanymi rękami.

— Spotkaj się ze mną na cyprysowej ścieżce, gdzie kamienie pomalowane są czerwienią. Będę tam, obiecuję.

A wtedy się uśmiechnęła, łagodnie i szeroko jak rzeka płynąca przez tajemny las.

*

Nie zdążył postawić drugiej stopy za łukową bramą, gdy głos Dinarzad przeszył go jak nóż wbity w trzewia.

— Dlaczego krzywdzisz mnie z takim uporem? — Jej rozdrażniony ton był przepojony smutkiem, ale chłopiec znał niebezpieczeństwo, jakie się za nim kryło.

— Siostro — zaczął — ona nie jest taka, jak myślisz...

— Nie obchodzi mnie, jaka jest! Nie złamała praw swego domu — nie ma domu, którego prawa mogłaby łamać! To ty przeciwstawiasz się mnie i sułtanowi, którego żony odchodzą od zmysłów niby głodne ptaki szukające ziarna!

Oczywiście, nic takiego się nie działo. Harem był tak wielki, że mało kto zwracał uwagę na niezliczone kręcące się dzieci. Pod jakim względem ten akurat chłopiec był tak wyjątkowy, że komukolwiek poza Dinarzad, która go nie cierpiała, mogło go brakować? Żony sułtana, wygodne i rozsądne, wylegiwały się w komnatach jak lwice, od czasu do czasu dając klapsa niesfornemu kocięciu. Armia guwernerów, strażników i starszych sióstr na krawędzi zamązpójścia czuwała nad młodymi, i to oni musieli zauważyć jego nocne nieobecności.

— Co tam z nią robisz? Musisz wiedzieć, że jesteś w wieku, gdy przebywanie w nocy z niezamężną dziewczyną jest bardziej niż niestosowne. Dlaczego nie zachowujesz się, jak przystało na syna szlachetnego sułtana? Czy przesiadywanie z drugim dzieckiem pod gwiazdami warte jest utraty dobrego imienia?

Chłopiec spostrzegł szansę na wyjaśnienie jej wszystkiego. Kiedy jednak spróbował opowiedzieć historię dziewczynki i sprawić, by zobaczyła, że serce ciągnie go do ogrodu jak koń, który czuje niedaleką stajnię, wszystko poplątało się w jego

ustach. Choć starał się ze wszystkich sił, wychodziło niepięknie, nie umiał powtórzyć opowieści, którą dziewczynka rozsnuwała przed jego oczyma jak dziwną czarną nić.

— Dinarzad, coś ci opowiem. Była kiedyś dziewczyna, której nikt nie kochał, i zwała się Śnieg. Mieszkała w mieście nad morzem i pewnego dnia inna kobieta, była bardzo gruba, zaprzyjaźniła się z nią, dając jej pomarańczę, bo obie pracowały przy naprawianiu sieci, a Śnieg przybyła z Południa, gdzie rośnie mnóstwo pomarańczy. A może... tak, chyba tak było. Kobieta, która miała na imię Sigrida — wiesz, to ważne — opowiedziała Śniegowi o trzech mężczyznach z psimi głowami, którzy zabrali ją do Świętego Miasta, a potem opowiedzieli jej o strasznej pani zwanej Czarną Papieżycą, która doprowadzała mężczyzn do szaleństwa, tylko ich całując. I papieżycy pocałowała psiogłowych ludzi i kazała im pożreć brata...

— Czyś ty oszalał? Rzuciła na ciebie jakiś czar i mózg ci rozmiękł jak jabłko na deszczu? Nie będę tego słuchać.

Chłopiec protestował, lecz Dinarzad nie słuchała. Chwyciła go za włosy i powlokła przez dziedziniec w promieniach nowego dnia, czystego i jasnego jak wyprane płótno. Nie płakał — a raczej powtarzał sobie, że nie płacze, bo łzy spływały milczącą strugą po jego policzkach. Palce siostry były bardzo cienkie i zakrzywione jak szpony głodnego jastrzębia. Zaciągnęła go do stajni, które cuchnęły końskim potem i łajnem, i rzuciła do stóp starca z wielkimi dłońmi. Chłopiec widział tylko te wielkie ręce, sękaty jak korzenie wiązu, splecione na wysokości jego oczu.

— Traktuj go nie lepiej niż jednego z niemych niewolników, a jeśli ucieknie w nocy, oboje zostaniecie wychłostani — oświadczyła Dinarzad zwięźle. Odwróciła się na nieskazitelnej

pięcie i opuściła stajnię w wirze fiołkowego jedwabiu i czarnych warkoczy.

Chłopiec wstał otrzepał się z drobin siana, które walały się po podłodze i oblepiły mu koszulę. Pilnował się, żeby robić skruszoną minę, choć oczywiście już planował uciezkę, gdy tylko stary podpije sobie wieczorem. Widział teraz jego twarz, brylastą i brzydką, ale niezbyt straszną — nie tyle pysk ogra, ile oblicze gnoma.

— Ona jest smoczyką, nie ma co do tego wątpliwości — mruknął kowal, prostując palce dłoni, czemu towarzyszył taki odgłos, jakby pękały kamienne garnki. — Z pierworodnymi zawsze jest kłopot. Pierwsze dzieci kobiet sułtana powinni porzucać na pastwę losu dla własnego bezpieczeństwa. Gdyby nie to, co ma między nogami, sama chętnie zostałaby sułtanem i bez wątpienia dlatego tak bardzo jej przeszkadzasz.

— Ale ja nie będę sułtanem — zaprotestował chłopiec. — Gdybym był następcą tronu, już by mi powiedzieli! Na pewno nie pozwoliliby biegać po ogrodzie... ani nie wyznaczali do pracy w stajni.

— Posłuchaj, kto wie najwięcej! — zarechotał starzec. — Słudzy dziesięć razy lepiej wiedzą to, co ich pan tylko zgaduje. Zapamiętaj moje słowa, chłopcze, dzisiaj podkujesz konia, na którym jutro pojedziesz.

— Chłopiec wytrzeszczył oczy, zbity z pantałyku. Mógłby szerzej wyjaśnić, że to niemożliwe, by został kimś więcej niż poślednim dworzaninem, ale starzec już zaczął wciskać mu w ramiona zgrzebła, młotki różnej wielkości, podkowy, nowe hufnale, różne haki.

— Zaczniemy od tego karego na końcu, hę? Od rana jest w miarę spokojny. Inne bardziej lubią, gdy człowiek dba o ich

urodę.

Chłopiec ruszył za nim posłusznie, starając się utrzymać narzędzia w drobnych ramionach. Kowal odwrócił się i spojrzał na niego chmurnymi oczami.

— Kiedy słońce zajdzie, znajdziesz drogę do ogrodu przez zagrodę kasztana. Jest tam obluzowana deska i mały przełaz. Jeśli postarasz się wrócić przed świtem, ona cię nie przyłapie. Zabierz dziewczynie trochę mojej strawy, ostatnio jadam niewiele, a ona rośnie.

Oszołomiony chłopiec skinął głową i zniknął w zagrodzie wielkiego karego wałacha, upuszczając kilka gwoździ.

*

Z zaskoczeniem stwierdził, że lubi pracę przy koniach. W większości były cierpliwe jak parafianie, ze znużeniem unosiły kopyta i trącały go chrapami, dopominając się o jabłka. Polubił ich zapach, ich żebra wielkie jak beczka, ich schylone łby, miękkość ich sierści. Polubił rżenie i ich ciche towarzystwo. Czuł się jak członek plemienia wiedźmy Noża opiekujący się końmi na stepach, szykujący się do najazdu na nieprzyjazną wioskę. Teraz opowieść wydawała się dawna, ale znowu się w niej zanurzył i był szczęśliwy.

Kiedy promienie słońca zrobiły się długie i czerwone jak rubinowe języki, zapakował jedzenie zostawione przez kowala i wymknął się przez zagrodę czarnookiego kasztana. Czuł się trochę głupio — oczywiście wszyscy słudzy wiedzieli o dziewczynce. Czy pod licznymi dachami pałacu mógł wybuchnąć skandal, o którym nie wiedziałyby jakiś sługa i nie powiedział innemu? Może nawet jej współczuli i chcieli wziąć ją za córkę, przyuczyć do pieczenia chleba i szycia sukien, ale nie

mogli tego zrobić ze strachu przed sułtanem lub rodzicami dziewczyny, kimkolwiek byli ci obwieszani diamentami wielmoża. Tak czy inaczej, on zaczął uważać ją za swoją sekretną przyjaciółkę, która nie należy do nikogo innego. Niemal żałował, że dziewczynka ma przyjaciół wśród kucharek i kowali.

Przeklinając te małoduszne myśli, odszukał cyprysową ścieżkę, gdzie gęste zielone drzewa wskazywały w niebo jak minarety, sięgając do pierwszych mrugających gwiazd. Ścieżkę tworzyła misterna mozaika ułożona w czasach, gdy był jeszcze oseskiem — kamyki we wszelkich kolorach ilustrowały scenę jednego z wielkich zwycięstw sułtana. Chłopiec znalazł długi na kilka kroków pas czerwieni — krew barbarzyńcy — i zobaczył, że dziewczynka już czeka oparta o cyprys, jakby stała tu od wielu godzin.

— Chciałem ci przynieść coś lepszego, ale siostra zaprowadziła mnie do kowala i nie mogłem się dostać do kuchni. — Miał dla niej grubą skórkę chleba, żółty ser i dużą brzoskwinię.

— Wiesz, że nie musisz mi nic przynosić. Nie musisz płacić kolacją za piosenkę. — Zaśmiała się ze swojego kulawego żartu. Był to szorstki dźwięk, jak chrapnięcie przestraszonego konia.

Chłopiec wzruszył ramionami i rozłożył skromną kolację na kwadracie płótna wśród szkarłatnych kamyków.

— Możesz zajmować pozycję znacznie wyższą niż ja, a w takim wypadku musiałbym ci służyć, to byłby mój obowiązek. Nie mam pojęcia, który z ludzi na dworze jest twoim ojcem, nikt nie chce się przyznać. Mówią o tobie, jakbyś zrodziła się z powietrza niczym dżin! Możesz być moją siostrą! Sułtan ma przecież wiele żon...

Dziewczynka się roześmiała. Twardy śmiech przypominał grzechot talerza po kamiennej podłodze.

— Nie jestem twoją siostrą.

Chłopiec był trochę speszony.

— Chciałem ci przynieść jedzenie, to wszystko.

— Lubisz słuchać moich historii, a kolacja jest zapłata. Szlachetnie urodzony chłopiec nie może myśleć o niczym oprócz kosztów.

Podskoczył, jakby go uderzyła.

— Jesteś zła i ranisz mnie, bo twoje oczy są ciemne, a moje nie, bo ja śpiam w domu, a ty w altanie?

Jej spojrzenie natychmiast złagodniało, przepełnione goryczą, a mroczne cienie jej powiek zdawały się jarzyć srebrem i czernią. Zarzuciła ręce na smukłą szyję chłopca i objęła go po raz pierwszy. Wstrzymał oddech i stali niezdarnie przez chwilę w morzu czerwonych kamyków.

— Nie jestem zła, wcale. Przepraszam. Pozwól, opowiem ci, co Sigrida znalazła pod pokładem pirackiego okrętu...

Opowieść o Świętej Sigridzie, ciąg dalszy

Sigrida schyliła głowę i ostrożnie zeszła po schodkach wiodących pod pokład „Skarbu Panieństwa”. Wnętrze, ciemne jak brzuch, było pełne dziwnych odgłosów — pukania i poskrzypywania, które miała poznać jak bicie własnego serca. Nagle czyjeś oblicze wyłoniło się z ciemnego wiru pyłków kurzu — szerokie z wielkimi rozdętymi nozdrzami i dużymi zielonymi oczami o barwie gęstego lasu. Uśmiechniętą twarz, unoszącą się przed Sigridą niczym latarnia, okalały ciemnobrązowe kędziory, skręcone niemal jak owcze runo lub sierść dzikiego psa. Kudłata grzywa spadała poniżej podbródka.

— Witaj! — krzyknęła nieznajoma istota, złapała Sigridę za rękę i pociągnęła w głąb statku.

Sigrida zrozumiała, że twarz należy do kobiety, którą kazano jej znaleźć kędzierzawe włosy opadały w kucykach i węzłach do pasa, gdzie kończyło się kobiece ciało, a zaczynało kozie. Uda, porośnięte gęstą brązową i czerwoną sierścią, zwęzły się w smukłe łydki z delikatnymi kopytkami wypolerowanymi do błysku. Nieznajoma zatupała nimi po deskach pokładu.

— Jestem satyrką! Z cisowego gaju... ale przecież to nic ci nie mówi. Witaj, mała. Nie masz się czego obawiać. Eszkol ma cię u boku, a Tommy stoi za kołem sterowym. Jesteś bezpieczna jak w skarbcu! Teraz musisz pokazać, że jesteś coś warta i zasłużyć na wikt, a w tej chwili nie nadajesz się do żadnej pracy żeglarza,

dlatego obie będziemy odgrywać rolę nianiek naszych upartych jak osły pasażerów!

Sigrida zgodziła się ochoczo, podziwiając kopytka Eszkol. Lśniły jak lusterka koloru miedzi i najwyraźniej były mocne jak kopyta muła.

— Przyznam, że pucuję je co rano — powiedziała Eszkol ze śmiechem — ale na morzu przywykniesz do drobnych próżności. Wciąż zresztą mogę wykopać dziurę w litym srebrze tymi raciczkami! A teraz posłuchaj, co musisz wiedzieć o pasażerach, płacących czy innych. Wszyscy myślą, że są właścicielami okrętu. Narzekają na to czy na tamto, mają zastrzeżenia do takielunku, materiału żagli albo rodzaju drzewa masztu. Lepiej spełniać ich zachcianki, gdy płacą, lepiej pokazać im deskę, gdy nie płacą. — Kudłata kobieta przystanęła i odwróciła się szybko. — Nie żebyśmy miały deskę do wyrzucania za burtę, rozumiesz. Po prostu trzymamy solidną dechę pod pokładem i mówimy o tym ludziom, żeby ich nastraszyć i mieć trochę spokoju! Gdybyśmy chciały ich zabić, wbiłybyśmy im noże w bebechy, jak przystało na cywilizowaną załogę.

Eszkol prowadziła swą podopieczną przez labirynt korytarzy i schodów tak rozległy, że Sigrida ledwo mogła uwierzyć, iż wciąż są na statku. Wreszcie stanęły przed ciężkimi drzwiami, zza których płynęły charakterystyczne odgłosy posilania się z wilczym apetytem.

— Część zabawy, rozumiesz — wyjaśniła Eszkol. — „Skarb” jest trochę większy pod pokładem niż powyżej. Nie pytam o to, nie jestem skutnikiem, nie moja sprawa. Tę kajutę zajmują ci, którzy od miesiący kierują naszym dziobem, Arimaspanowie. Ich widok może budzić przerażenie i Pan świadkiem, mówiłam

Tommy, że mężczyzna na pokładzie przynosi pecha, ale zapłacili złotem i schodzą nam z drogi, więc można im wiele wybaczyć. Weź to piwo i zadbaj o ich potrzeby, a zobaczymy się wieczorem. Będiesz spać ze mną na rufie.

Eszkol zniknęła równie nagle, jak się pojawiła, i Sigrida została sama przed grubymi drzwiami, trzymając w ręce gliniany dzban pianistego czarnego piwa. Nie miała ochoty stać się dziewczką służebną potworów, jakie czekały po drugiej stronie drzwi, ale żywiła nadzieję, że to tylko na dzisiaj, że rankiem Tommy przydzielili ją do szycia żagli albo jakiegoś innego zajęcia, które przystoi żeglarzowi. Wśliznęła się do kajuty i stanęła jak oniemiała.

Sześciu pasażerów skupiło się za plecami siódmego, wyraźnie przywódcy. Był wielki jak słoń, z ramionami i torsem pęczniejącymi od mięśni, i czarny — nie czerwonawobrazowy, jak lud Sigridy, ale naprawdę czarny, koloru północy i nieoświetlonych pokoi, jak gdyby został wycięty z bloku onyksu. Włosy, zaplecione w misterne warkoczyki i przetykane złotem, spadały mu na plecy jak u kobiety. Rzucił na nią okiem nie mniej czarnym niż ciało — miał tylko jedno prawdziwe oko. Drugie, zrobione ze złota, tkwiło w skórze jak diament w pierścieniu. Było idealnie podobne do tego żywego; Sigrida niemal się spodziewała, że zaraz zamruga. Spostrzegła, że jego towarzysze też są jednoocy, ale ich sztuczne oczy były nie złote, lecz srebrne, brązowe, miedziane i kryształowe. Przekonana, że jej domysł jest trafny, dygnęła przed największym z nich jak przed królem.

— Jam jest Oluwakim, król arimaspijskiego Oculosa. Co to za robak, który przynosi mi picie, jakby się nadawał do usługiwania królowi?

— Jestem... jestem Sigrida, panie. Z Adżanabh.

Król spojrział na nią sceptycznie, jego oko wędrowało po jej smukłym ciele jak ślepiec jastrzębia, który bada topografię mysiego zadka.

— Człowiek? Wyglądasz na ludzką dziewczynę. Nie będę obsługiwany przez ludzi.

Sigrida z determinacją wbiła oczy w podłogę.

— Nie jestem całkiem pewna, panie. Widzę, co ty widzisz, gdy patrzę w lustro, ale mam kalectwo...

— Długoucha Tomomo przysyła kalekich ludzi, żeby nalewali mi piwo?

— Nie, nie, jestem zdrowa, tylko urodziłam się z trzema piersiami zamiast dwóch. Rodzice się mnie wstydzi. Tomomo... Tommy zabrała mnie z adżańskich barek.

Oluwakim zamrugął wielkim okiem — jeden raz, drugi.

— To marna rekomendacja. Przypuszczam, że prowincjonalna skromność powstrzyma cię od pokazania mi tej cudownej piersi, a zatem muszę uwierzyć ci na słowo. Kto śmiałby kłamać w obecności Okularu? Dobrze, uznam cię za w miarę przyzwoitego potwora. Możesz nalewać piwo.

Zajął miejsce u szczytu stołu niczym głaz osiadający na dnie doliny. Jego towarzysze jakby ożyli i zajęli się swoimi sprawami, zupełnie nie zwracając uwagi na Sigridę. Ona naląła piwa królowi i stała w milczeniu z boku, czekając, aż wypije. Osuszył trzy kufle, zanim znów się odezwał.

— Chodź, Sigrido. Siadaj.

Usiadła posłusznie, w bezpiecznej odległości od monarchy.

— Wynajęliśmy „Skarb Panieństwa” na nasze polowanie. Wiesz, co to jest arimaspijskie polowanie, prawda?

— Nie, panie.

— Niedouczona Sigrido, skoro masz służyć królowi, twoja edukacja pozostawia wiele do życzenia. Polujemy na gryfa, na Białą Bestię z Ukrytej Wyspy...

Opowieść o gryfie i królu

Gryfy i Arimaspijanie byli wrogami od narodzin Oka-Świata pośrodku nieba. Dla nich Oko-Świat zamrugało trzy razy: otrzymali siłę orła i lwa, a wielkość słonia. Dla nas Oko-Świat zamrugało cztery razy: dostaliśmy siłę byka, piękno żbika, zwinność pająka i sekret wykuwania Wielkiego Okularu, który jest złotym okiem w mojej czaszce, znakiem króla i klanu Oluwa, magiczną źrenicą; daje władzę wyrastającą nad marzenia małych kalekich dziewczynek. Inne oczy z brązu i srebra są zaledwie modą, naśladowaniem. Tylko Okular zapewnia władzę, tylko Okular jest sercem naszego ludu, który przychodzi na świat jednooki, na podobieństwo Oka-Świata, naszego umiłowanego rodzica.

Gryfy zawsze były zazdrosne o Czwarte Mrugnięcie.

Na przestrzeni wieków nauczyliśmy się prowadzić z nimi cywilizowaną wojnę: na wiosnę gryfy kradły nasze konie na kolację, a zimą my kradliśmy im złoto do zdobienia włosów i wykucia Okularu. Wszystkie gryfy kochają złoto jak własne pisklęta o lwich zadach. Wiją gniazda ze złota, mają dzioby i szpony z litego kruszcu, kąpią się w podziemnych sadzawkach płynnego światła. Ale choć uwielbiają złoto, nie mogą go jeść. Ich ulubiony posiłek stanowią konie, są dla nich jak czekolada i miętówki dla dziecka. Chwyatają zwierzęta za brzuchy i pożerają je w powietrzu. Napaść gryfów to nie lada widowisko, niebo ożywa od wirujących czerwonych i fioletowych skrzydeł, od ostrych żółtych szponów splamionych końską krwią.

Nasze konie były szerokie w piersi i potężne w nogach, istne olbrzymy wśród końskiego rodzaju. Każde z naszych plemion posiadało to, czego pragnęło drugie. I tak to się odbywało, we właściwy sposób, przez długie wieki. Gryfy pilnowały, żeby zostawić nam dość koni, by wiosną nie zabrakło źrebaków; my braliśmy tylko tyle złota, ile potrzebowaliśmy do naszych obrzędów, albowiem dobrze wiadomo, że gdy zniknie złoto gryfa, on sam szeptem z rozpaczą. Ale ojcowie naszych ojców stali się pazerni jak psy przy świńskim korycie. Polowali na gryfy w niewłaściwej porze roku, gdy słońce płonęło wysoko na niebie, zamiast skrywać oblicze pod skrzyżowanymi włóczniami śniegu i zabierali coraz więcej złota z gniazd. Gryfy nie pozostały dłużne — pożerały nasze stada, klacze i ogiery. Wysysały szpik i wypijały oczy naszych najwspanialszych zwierząt. Kiedy w naszym plemienu zabrakło koni, zaczęły porywać piękne dziewczęta, których ciemne ramiona lśniły jak futro kotów, a głosy słodkie były jak jesienne żniwa.

Gdy się urodziłem, na świecie żyło tylko kilka gryfów, ukrytych daleko w górach i w zapomnianych kopalniach, w dolinach zamaskowanych przez płachty lodu i na pustyniach, gdzie wieją palące wichry. Podobnie w Oculosie zostało tylko kilka dziewcząt — i ani jednego konia. Nadszedł czas na rytuał Ob, który uczyni mnie mężczyzną i pozwoli mi zająć miejsce ojca, Oluwatobiego Wiecznie Czujnego, na tronie króla Arimaspanów. Zostały tylko dwa gryfy. Jeden zamieszkał na Ukrytej Wyspie na Wrzącym Morzu, którego wody parują i ciągle bulgoczą. Drugi ukrył się w podniebnym gnieździe na wielkiej Górze Nuru, na rubinowym szczycie, który oślepia każdego, kto się do niego zbliża.

Oluwatobi pozwolił mi wybrać jedno z tych niebezpieczeństw, bo Okular musi być wykuty z gryfiego złota zgodnie ze starożytnym rytuałem, inaczej nie jest niczym więcej jak grudą żużlu wciśniętą do twarzy. Oczywiście uginamy się pod ciężarem winy ojców naszych ojców, którzy pożądali złota, ale nie możemy zarzucić tradycji naszego ludu. Musimy mieć złoto bez względu na koszt poniesiony przez gryfy — to nasze prawo, rozumiesz. Bez Okularu bylibyśmy jak lampart bez głowy. Nie mogłem wyprzeć się rytuału. Ob tak jak nie wyrzeknę się własnych kończyn. I przecież nie mamy już koni; szale się nie wyrównają, dopóki gryfy nie utracą złota. W końcu zdecydowałem się na rubinowe urwiska, bo nie jesteśmy ludem żeglarzy. Z błogosławieństwem ojca przyoblekłem nakrapiane skóry dzikich kotów i włożyłem jasny jak lustro napierśnik synów Oluwy, wykuty ze złota z zapasów pierwszych gryfów. Wyruszyłem z równin Arimaspijanu na poszukiwanie Czerwonej Góry Nuru.

W owych dniach nosiłem w głowie oko z berylu, które jest znakiem następcy tronu, bo gryfy składają berylowe jaja, a złoto ich żółtek jest najczystsze ze wszystkich. Podróżowałem bez przeszkód, ufny w swoje siły, i jadłem mięso jelonków przy wieczornym ogniu. Czerwona Góra leży niedaleko granic Oculosu — błyski szkarłatnego światła można zobaczyć z domu mego ojca, gdy słońce wisi nisko na zimowym niebie i promienie przenikają przez szczyt jak strzały ociekające krwią. Ruszyłem ku Nuru, ale w sercu truchlałem, bo nie wiedziałem, jak ochronić swoje cenne cielesne oko przed parzącymi snopami światła z faset kamieni.

Ale Oko-Świat nie zamyka się przed ulubionymi dziećmi i dziewiątego dnia podróży zobaczyłem jakieś stworzenie

kuśtykające przez pachnące dymem krzaki. Był to jednonogi, przedstawiciel rasy żyjącej jeszcze dalej na wschodzie niż mój lud, z dolną częścią ciała skręconą w jedną wielką łydkę i stopę — sama stopa jest tak wielka, że wedle legendy w minionej epoce floty jednonogich przepływały ocean na tych wielkich, wygiętych podszwach. Ponieważ człek, którego spotkałem, nie miał fal pod stopą, jego chodowi brakowało wdzięku. Podskakiwał i szurał wesoło, odziany w piękną wielobarwną kamizelkę i dziwną spódniczkę, odpowiednią do jego mięsistej kończyny, którą wzbijał wielkie chmury pyłu i pokruszonych liści.

— Witaj, jednonogu! — zawołałem i wyciągnąłem ręce w geście przyjaźni.

— Witaj, cyklopie! — krzyknął w odpowiedzi pokazując niekompletne uzębienie w szerokim uśmiechu. Jego włosy były kędzierzawą szopą przyciemnioną kurzem.

— Mylisz się, Pniakonogi — odparłem z pełną oburzenia dumą. — Cyklopi są wyspiarzami i poza tym pijakami. Te pastuchy nie są nawet kuzynami jednookich ludów, tylko przynoszą im wstyd. Jestem następcą arimaspijskiego Oculosa, Oluwakima z imienia.

Jednonogi popatrzył na mnie przenikliwie, jego niebieskie oczy lśniły jak klejnoty w skarbcu.

— W takim razie zmierzasz do Czerwonej Góry, prawda? Do gniazda Dżina. Nie zdawałem sobie sprawy, że stary Oluwa tak się postarzał.

— Wciąż jest krzepki, ale pokoleń przybywa w zasięgu wzroku Oka i nadszedł czas na powtórzenie rytuału Ob. Moim celem jest czerwony wierzchołek Nuru i tamtejszy gryf, nie znam jego imienia.

— Jednonogi jakby rozważył jakąś osobistą sprawę i powziął decyzję.

— W takim razie dobrze się składa! Zgłaszam się na towarzysza i przewodnika szlachetnego syna Oluwy! Nazywam się Chajim i sam zmierzam do podniebnego gniazda, więc będzie nam po drodze. Z twoim jednym okiem i moją jedną stopą tworzymy prawie pełnego człowieka! Razem na pewno osiągniemy nasze cele. — Poklepał mnie po plecach dłonią i zakołysał się na wielkiej stopie.

Zgodziłem się chętnie i przyznam, że ucieszyło mnie towarzystwo.

— A dlaczego szukasz gryfa? — zapytałem, gdy szliśmy, a raczej gdy ja szedłem, a on podskakiwał.

— Cóż, to nie byle jaka historia, mój młody książę...

Opowieść jednonoga

Urodziłem się daleko stąd w bogatym w srebro mieście Szadukiam, w roku, w którym wzniesiono Różaną Kopułę i ukończono diamentowe iglice w ich idealnym pięknie — wszystko zbudowane za pieniądze z podatków jest piękne; tak musimy myśleć, inaczej oszalejemy. Moja rodzina była skromna. Jak wszystkie szadukiamskie jednonogi mieszkaliśmy w getcie Mchu i Korzenia, na wielkiej otwartej przestrzeni na północnym skraju kopuły. Tam wolno nam żyć wzorem przodków, bez przykrego zamknięcia w ludzkich domach, które niszczymy, będąc niezgrabni, i które kaleczą nasze stopy twardymi narożnikami i krawędziami. W Korzeniu przeżywamy dni na miękkim mchu pod księżycem, który połyskuje jak biała krawędź paznokcia. Kiedy noc wciąga ciemne skarpety, leżymy na plecach, osłaniając głowy zadartymi stopami, chroniąc się w ten sposób przed zimnem i deszczem. Za dnia pracujemy ramię przy ramieniu, wytwarzając słynne Różane Roczniaki, delikatne wina z Szadukiamu, bo jesteśmy wyjątkowo dobrze wyposażeni do miążdżenia maleńkich białych winogron.

Choć po ulicach miasta chodzą potwory i anioły wszelkiego pokroju, Szadukianie są zaniepokojeni obecnością jednonogich. A przecież Hsienowie, którzy mają skrzydła większe niż gryfy i są nie bardziej ludzcy niż my, wzniesli Różaną Kopułę nad ich wieżycami i szczytami dachów. Cóż, jednonodzy przeszkadzają szadukianom bardziej niż inni. Dla nich jesteśmy brzydki i koślawi. Dla nich jesteśmy głupi i leniwi. Dla nich jesteśmy

przebiegli i kosoocy. Trunek, który wyciskamy naszymi wielkimi stopami, przynosi wielkie worki srebra do skarbców miasta, ale ilekroć zdarzy się jakieś nieszczęście, wina spada na nas. Jeśli kręty Varil nie zalewa brzegów albo zalewa je zbyt mocno, musi to znaczyć, że nasza szpetota obraziła takiego czy innego boga. Ostatecznie piękno to najbardziej cenny ze wszystkich towarów, jakie są w Szadukiamie na sprzedaż. Piękno i pieniądze, a nie te diamentowe iglice, są bliźniaczymi filarami, które dźwigają miasto ku niebu.

Godzimy się na swój los. Żyjemy spokojnie w getcie Mchu i Korzenia, nie prosząc o nic więcej. Sypiamy pod naszymi stopami, wiedząc, że jesteśmy cnotliwi, że pewnego dnia zabierzemy nasze beczki z winem i pozeglujemy na południe na naszych statkach-podeszwach do obiecanego królestwa Antypodów, gdzie chodził pierwszy jednonogi i gdzie, jak mówi legenda, wciąż mieszkają całe nasze narody. Ponieważ nie jesteśmy lubiani, nikt nie chciał nam pomóc, gdy Yi pojawili się wśród naszego ludu. Nie podniosły się głosy protestu. Szadukianie wzruszyli ramionami i byli radzi, że Yi upatrzyli sobie kogoś gorszego. Oczyszczą miasto ze szczurów, powiedzieli, i zostawią ser dla pozostałych.

Na rok przed wyprawą do Czerwonej Góry zmarła moja Towa. Koła szadukiańskiego wozu zmiażdżyły jej stopę i pękło ścięgno, które jest dla nas równie ważne jak arteria dla większości stworzeń i kiedy zostaje przecięte, nie ma dla nas nadziei. Towa skonała na łożu z peonii i trawy, jeszcze zdołała wyszeptać, że żałuje, iż się nie pobraliśmy, co mieliśmy w planach po następnym sezonie beczkowania. Wyglądała tragicznie, niezdolna podnieść stopy, z opuchniętą nogą zwisającą bezwładnie i żałośnie jak pęknięty zawias.

Pochowaliśmy ją tej nocy i poprosiliśmy Ścieżki Korzeni, które łączą nas wszystkich, żeby powiodły jej ducha na Antypody, do miejsca wiecznego spoczynku.

Nazajutrz rano zbudziłem się i zobaczyłem, że Towa patrzy na mnie ciekawie, rude warkocze ma schludnie splecione, policzki pyzate i rumiane jak zawsze. Ale w jej oczach nie było mojej Towy. Było tam coś dziwnego i zimnego, coś zębatego. To coś, co nie było Tową, zaśmiało się chrapliwie, co zabrzmiało jak zgrzyt łyżek o kamień, i nie oglądając się za siebie, odeszło w podskokach od mojego splachcia fiołków i morszczyanu.

Oczywiście było jasne dla nas wszystkich, co się stało. Wiedzieliśmy o Yi, ale do tej pory plaga ta nękała wyłącznie szadukian. Tylko oni byli narażeni na makabryczny widok chodzących wśród nich ukochanych zmarłych; tylko oni zmuszeni byli patrzeć, jak ich dzieci noszone są niczym ubranie. Nigdy nie przypuszczaliśmy, że Yi mogą przyjść do nas. Ale powinniśmy się domyślić, że przecież nie mogą zrezygnować z doświadczenia, jakim jest przywdzianie naszych dziwnych ciał.

Starsi nie chcieli widzieć odmienionej Towy. Ignorowali tego stwora, jakby nie chodził po Korzeniu; nie mówili o nim, jakby w ten sposób mogli sprawić, że nas opuści. Ale stwór mieszkający w Towie wydawał się szczęśliwy w getcie. Nie mogliśmy go zmusić do włożenia księżycowych szat, które Szadukiam nakazywał nosić Yi poza naszym terenem. Stwór skakał, gdzie tylko chciał, ciekawy i milczący, tylko śmiał się tym okropnym śmiechem. Błagałem starszych o pozwolenie na złożenia ciała mojej Towy do grobu i zabicie tego, co w nim zamieszkało, ale nie chcieli się zgodzić; nie chcieli zbrukać Korzenia krwią obcego. W końcu nie mogłem dłużej znieść

widoku twarzy mojej ukochanej śmiejącej się ze mnie co rano, jakby stwór w niej wiedział, że mnie kochała, i czerpał wyjątkową radość z mojego bólu. Poszedłem do centrum miasta, by znaleźć sposób na zapewnienie Towie spokoju.

Podobno jeden z Yi miał ludzkiego ucznia, ale nie mogłem ryzykować zasięgnięcia porady u tak zepsutego stworzenia. Zresztą czy Yi ujawniliby człowiekowi sekret swej słabości? Najpewniej ten uczeń udusiłby mnie i dał moje ciało swojemu panu. Nie, musiałem znaleźć głębszą wiedzę, wiedzę starą jak sami Yi.

Ci, którzy nie są w mieście przyjmowani z otwartymi ramionami, często wiedzą więcej o tym, co się dzieje w jego ciemnych zakamarkach, niż ci, którzy siedzą wysoko na wzgórzu i jadają szafirowymi widelcami podzwaniającymi o złote talerze. Tak oto poznałem pustelnicę.

Na centralnym placu Szadukiamu stoi Bazylika Róży i Srebra. Jej iglice słyną w całym świecie z misternych rzeźb, a paskudnie wykrzywione gargulce są przyczyną omdleń wśród niewiast. Drzwi wyrzeźbiono z jednego żywego cedru, którego korzenie sięgają głęboko w ziemię pod świątynią, a konary koronują wieże. Oto co widzą piękni i zamożni szadukianie.

Za bazyliką, za ceglany murem porośniętym wilczą jagodą i innymi trującymi pędami, które się pną i skręcają, jest kobieta przykuta do kościelnej ściany, odziana w suknię utkaną z włosów, które rosną na jej głowie — w miarę jak rosną czarne pasma, suknia się wydłuża. Jej oczy, jasne i dzikie, obracają się w oczodołach niczym wałki ciastkarza. Nie ma ust; jej twarz jest pusta i gładka, tam gdzie powinny być usta. Podobno gryzmoli listy na ziemi, kiedy chce przemówić, a wie wszystko. Z tego powodu została w ukryciu, zakuta w łańcuchy i ukryta za

murem żeby nie zdradziła sekretów szadukian. To widzimy my, którzy jesteśmy znienawidzeni.

Poszedłem do pustelnicy we wczesnych godzinach rannych, zanim w bazylice rozpoczęła się Msza Monet, zanim zbudził się stwór w mojej Towie. Przeskoczyłem przez mur, uważając, żeby nie dotknąć zielonych roślin, które pożądliwie wczepiały się w kamienie, i kucnąłem u boku pozbawionej ust istoty. Przytuliła się do ściany kościoła, z kolanami podciągniętymi do piersi, patrząc na mnie pustymi, szalonymi oczami. Milczała nie mogłem się spodziewać niczego innego.

— Pomóż mi, pustelnico. Jeden z Yi zabrał ciało mojej Towy i nie mogę znieść, jak je nosi, jakby serce mojego serca było modnym kapeluszem. Pomóż mi zabić Yi i złożyć ją do grobu. Błagam cię, święta pustelnico, zdradź mi sekret sprowadzenia śmierci na nieśmiertelnych.

Wyciągnęła chude nogi, sama skóra i kości, i suchymi jak patyki rękami dotknęła mojej łydki, gładząc muskularne mięśnie, jakby wróżyła z ich wzoru. Wreszcie cofnęła się, łańcuchy zagrzechotały niczym kieliszki przy kolacji. Pociągnęła szatę z włosów, rozdzielając splątane pasma na brzuchu i rozsuwając warkocze, jakby były spięte guzikami.

Gęste czarne włosy skrywały mięsisty brzuch, a pośrodku brzucha znajdowały się idealne usta z kompletem zębów.

W zasadzie nie różniły się od każdych innych ust, tyle, że otwierały się pośrodku brzucha i głos, który z nich popłynął, był niższy niż zwykle bywa u kobiety.

— Czy chcesz wydobyć go z jej ciała, czy zabić na amen? W zależności, co jest twoim celem, sposób postępowania jest zupełnie inny. — Ciemnoróżowy język wysunął się z ust i oblizwał wargi.

Spojrzałem ze wstydem na swoją stopę, której niegdyś gęste owłosienie zrzedniało z rozpaczy.

— Chcę go zabić. Unicestwić.

— Dobrze. Nie będę dociekać, czy twoja miłość jest prawdziwa, ani pytać o żadne inne bzdury. Jestem przecież nagą kobietą przykutą do muru nie mnie osądzać kogokolwiek.

— Czy sama wybrałaś to więzienie, pani?

— Nie „paniuj” mi tutaj, kulasie. — Zachichotała, sadowiąc się pod ścianą i skutymi rękami obejmując gadający brzuch jak brzemienna kobieta. — Oczywiście, że tak! Myślisz, że kapłani bazyliki mogliby mnie powstrzymać, gdybym sobie tego nie życzyła?

Wysunęła dłonie z łańcuchów z łatwością, z jaką dziecko zrzuca koszulę przed kąpielą. Przekornie potrząsnęła rękami i wsunęła je z powrotem w okowy.

— Nie jestem tu dla nich. Nic im nie mówię. Nic im nie daję. Szadukiam jest nekropolią, tylko ulice jeszcze nie wiedzą, że umierają. Miłość do srebra, uwielbienie piękna, umiłowanie pozorów to powolna trucizna, która zabija przez całe stulecia. Oligarchowie nie dbają o sprawiedliwość, tylko o to, co wydaje się sprawiedliwe. Nie dbają o miłosierdzie, tylko o to, co wydaje się miłosierne. W ten sposób sprawiedliwość i miłosierdzie zawsze im umykają. Ja jestem wrzodem na ciele tej zdychającej świni. Jestem tutaj dla ciebie i dla innych, którzy mieszkają na obrzeżach Szadukiamu, którzy mogą zostać ocaleni z ruiny. Dzielę się wiedzą z tymi, którzy są traktowani z pozorną życzliwością maskującą wrogość. Kiedy przychodzi do mnie jednonogi, rozchyłam włosy i pokazuję mu swoje prawdziwe usta. Kiedy przychodzą Hsienowie, pozwalam, by okryli mnie skrzydłami, i mówię im tajemnice w chmurze piór. Kiedy

przychodzą kapłani, kiedy przychodzą bankierzy, przewracam oczami i sikam na ich buty wtedy oni myślą, że jestem szalona.

Ukląłem — co jest dla nas niełatwe — i przycisnąłem wargi do tych sekretnych ust, w sakramencie i podziękowaniu. Kiedy się odsunąłem, zobaczyłem lzy lśniące w oczach pustelnicy.

— W takim razie nie mogę w należyty sposób wyrazić wdzięczności I czy ci się podoba to słowo, czy nie, zwać cię będę panią. Powiedz mi, jak zabić Yi.

Usta rozciągnęły się w uśmiechu, w którym litość wzbierała niby strumień po wiosennym deszczu.

— Chcąc unicestwić Yi i przepędzić go do podziemnego świata, chcąc go związać i powstrzymać od zajęcia kolejnego martwego ciała, należy przeszyć oko Yi złotym szponem gryfa. Nie ma innego sposobu.

— W takim razie muszę znaleźć gryfa.

— Ach, przykro mi, mój chłopcze, ale tylko dwa zostały na świecie.

Arimaspijskie hordy wybiły resztę w swojej żądzy złota. Samica zwana Quri mieszka na Wrzącym Morzu, a samiec Dzin na szczycie Czerwonej Góry Nuru, której zbocza oślepią cię, zanim podejdziesz do najniższego wzniesienia. I żadne z nich nie ma w zwyczaju wyrywania sobie pazurów dla rozpaczających kochanków.

— Mimo to pójdę szukać gryfa. Muszę to zrobić dla Towy. Nie mogę jej tak zostawić, nie mogę pozwolić, żeby Yi zużył ją i wyrzucił, kiedy już nawet nie będzie miała twarzy, którą tak dobrze znałem.

— W takim razie sugeruję samca — powiedziała z westchnieniem. — Samica zje twoją wątrobę, zanim zrobisz trzy skoki po jej plaży. Idź, jeśli jesteś zdecydowany Ale idź

teraz; nadchodzą parafianie, a Yi już obraca ciało twojej kobiety w księżycowe kratery.

Pustelnica zasłoniła usta szatą włosów i znowu skuliła się pod murem, lamentując w imponującym pokazie szaleństwa. Tego samego dnia opuściłem Różaną Kopułę, zwracając stopę w kierunku Nuru i jej czerwonych urwisk.

Opowieść o gryfie i królu, ciąg dalszy

Szedłem z Chajimem, który zwolnił kroku, gdy opowiadał tę historię.

— Przykro mi, że mój lud utrudnił ci zadanie. To prawda, polowaliśmy na gryfy i braliśmy więcej, niż nam się należało. Wstydzimy się tego.

— Ale wciąż polujecie na te biedne bestie. I jak możecie brać swoją część z czegoś, co nie należy do was?

— Nie rozumiesz, nie należysz do plemienia Oculosa. Nasz błąd nie polegał na polowaniu na gryfy, ale na zachwianiu równowagi wojny. Złoto gryfów jest nasze; jesteśmy pobłogosławieni Czwartym Mrugnięciem Oka-Świata. Złoto należy do nas prawem i siłą ramienia. Ale powinniśmy zadowolić się światem takim, jaki jest, i nie pragnąć więcej złota, niż potrzebowaliśmy. Bez Okularu jesteśmy niczym. To złote oko czyni nas Arimaspijanami. Jak możemy wyprzeć się tego, kim jesteśmy? Jak gryf śmie odmawiać nam prawa do Okularu, nawet za cenę życia ostatniego ze swego plemienia?

Chajim podrapał się po brudnych włosach.

— Co właściwie robi ten Okular?

— Wykuty zgodnie z rytuałem Ob i wciśnięty w czaszkę króla daje mu siłę dziesięciu ludzi i życie trzy razy dłuższe od naturalnego. Sięga wzrokiem daleko za granice naszego królestwa, do miast i dzikich krajów po drugiej stronie świata. Pozwala władcy przewodzić ludowi, wpływać — na poddanych

i dzielić się z nimi swoją wizją. Król spogląda daleko poza przestrzeń jednego plemienia i daleko poza życie jednego człowieka, bo za swojego żywota trzykrotnie widzi śmierć wszystkich, których kocha. Okular przyciąga spojrzenie Oka Świata i zapewnia przetrwanie naszemu narodowi. Bez niego Oko ześliźnie się z nas i znikniemy z powierzchni ziemi. — Mój głos zadrżał z żarliwości. — To najgłębsza wiara ojców mojego ojca.

— I mając takie możliwości żaden wasz król nie mógł zobaczyć, że linia gryfów wygaśnie, że nie będzie już złota na wasz Okular?

Wzruszyłem ramionami.

— Oko dopomoże. Gryfy pożerały tabuny naszych koni i niewiele o tym myślały. Dlaczego my mielibyśmy uważać się za gorszych?

Chajim pokręcił głową — jak większość cudzoziemców, nie mógł pogodzić się z nadrzędnością naszych roszczeń ani z oczywistą potrzebą podporządkowania gryfów. Nie kryłem zawodu. Ja przecież doskonale rozumiałem jego potrzebę złożenia kobiety do grobu.

— Miałem nadzieję prosić Dżina o dar szponu, ale po takich stratach z pewnością nie odstąpi mi go dobrowolnie. Trzeba będzie szpon ukraść.

Pocieszająco zarzuciłem rękę na ramię towarzysza.

— Zawsze trzeba okradać gryfy. Nie można przemówić im do rozumu. Wszak nie prosisz dzikiej świni o dar, a z gryfami jest nie inaczej.

Przez jakiś czas szliśmy w milczeniu, a czerwony masyw Nuru rósł przed nami niczym żywy płomień. Blask zaczął piec mnie w oko, drapać rzęsy i wyciskać łzy spod powieki. Tarłem

oko, próbując je przeczyścić, I rozgniatąłem łyzy, gdy się rodziły. Widziałem, że Chajim także płacze, z początku odrobinę, potem coraz bardziej, aż w końcu łyzy spłynęły po jego twarzy w słonych rzekach. W końcu obaj nie mogliśmy patrzeć na poszarpane szczyty ani na przenikające przez nie grube czerwono-fioletowe snopy słonecznego światła. Padłem na kolana; Chajim skulił się i legł na boku, oddychając płytko, niezdolny zwrócić głowy w stronę jarzącej się góry.

— To jak zagadka — wysapał, poruszając kosmatą stopą. — Jak człowiek z jedną nogą i człowiek z jednym okiem mogą wspiąć się na górę bez patrzenia?

Moja pierś była napięta jak skóra na obręczy bębna. Rozluźniłem rzemienie napierśnika, próbując złapać oddech. Kiedy ściągnąłem go z siebie, zerknąłem na odbicie góry w wypolerowanej powierzchni i stwierdziłem, że mogę patrzeć na obraz w metalu bez bólu. Z uśmiechem zwróciłem się do jednonoga:

— Napierśnik, Chajimie, napierśnik nas poprowadzi. Poniosę cię na ramionach, a twoja stopa — twoja ogromna, piękna stopa — zasłoni nam obu widok rubinowych zboczy. Trzymaj napierśnik przed sobą jak lustro i kieruj moimi krokami. Wędrówka będzie powolna, ale dotrzemy do gniazda gryfa.

I w ten sposób niezdarna bestia wspięła się na wyżyny Nuru. Chajim nie był bardzo ciężki, a jego wielkie kolano tylko trochę ugniatało moją teraz nagą pierś. Otaczały nas szkarłatne fasety, ja jednak ich nie widziałem, mając przed sobą tylko mięsistą stopę z kłakami gęstymi jak mech na korzeniu sędziwego drzewa. Przyglądałem się wzorom na żółtych paznokciach, liczyłem pory na spękanej od gorąca skórze. Tylko jednonogi

widział piękno tych urwisk, tylko on widział to, czego żaden człowiek nie ujrzał, chyba że za cenę ślepoty.

Nadał mu tego zazdrość.

Po całym dniu i nocy wspinaczki Chajim zawołał, że szczyty już nie są oślepiająco czerwone, że ściemniały w fiolet i nie rzucają blasku, który mógłby nas skrzywdzić, ale zdają się wsysać i gasić światło z nieba, z niższych szczytów i z napierśnika. Mogliśmy patrzeć bez bólu, dopóki nie spoglądaliśmy w dół, w piekło kamieni poniżej.

Zsadziłem Chajima i wspięliśmy się po ostatnich głazach, dziwnych i obcych kamieniach, dziobatych jak purpurowe księżyce. Nic tu nie rosło — góra na tej wysokości była martwa, porysowana i podziurawiona a nad nami rysowała się ostra krawędź omiatanego wiatrem krateru.

W niszy tuż pod krawędzią, tak niepewnie, jakby lada chwila miało runąć w przepaść, tkwiło gniazdo gryfa.

Co dziwne, gniazdo nie skrzyło się ani nie lśniło, czego spodziewałem się po złocie. Było żółtawe, pocętkowane i matowe, wyraźnie ze złota, ale oprószone piórami, zszarzałe wskutek długiego używania. Gryf oczywiście był wspaniały, zgodnie z oczekiwaniami. Jego boki przyjęły brzemień wszystkich odcieni złota, których brakowało gniazdu, ogonem zakończonym płomieniem pomarańczowej sierści miotał jak ognistym wężem. Upierzenie na grzbiecie było turkusowe i zielone, a pod skrzydłami w kolorach morza pobłyskiwał ciemnoczerwony puch. Oblicze miał szerokie, metaliczny dziób ściągnięty w gniewnym grymasie. Wiatr ryczał wokół nas niczym sto smoków, ale głos gryfa jeszcze bardziej ogłuszał.

— Odejdź, Arimaspaninie! Nic dla ciebie nie mam! Twoi małpi dziadowie wybili nas, okradli, rozbili nasze jaja

kolanami. Myślisz, że podzielę na porcje swoje złoto jak sklepikarz? Bodaj zgniłe choroby dopadły wszystkie twoje dzieci!

Byłem przygotowany na obelgi. Ci, którzy nie miłują Oka Świata, zawsze żywią nienawiść do tych, którzy je kochają. Ale jednonogi wpadł w panikę — uznał, jak sądzę, że nie można namówić takiego irracjonalnego stworzenia do podzielenia się kawałkiem siebie. Oczywiście taka jest prawda — nie miałem głupiego zamiaru proszenia o to, czego potrzebowałem. Wyciągnąłem zakrzywiony srebrny nóż i zbliżyłem się do gryfa, który stanął na zadnich łapach i wzbijał dziki wiatr błękitnymi skrzydłami.

— Dżinie, Dżinie! — krzyknął Chajim, z rozpaczą i w strachu padając na kolana. — Posłuchaj mnie, a nie pozwolę, żeby on cię skrzywdził!

Gryf i ja jednocześnie parsknęliśmy śmiechem, obaj rozbawieni pomysłem, że bezradny jednonóg powstrzyma moją rękę albo w jakiś inny sposób ochroni taką bestię. Chajim spojrzał na mnie błagalnie i jego spękane usta wypowiedziały jedno słowo: Towa. Opuściłem nóż, lecz nie schowałem go do pochwy.

— Kto zdradził ci moje imię, jednonogi? — spytała bestia. — Gryfy strzegą swoich imion jak złota!

— Powiedziała mi je pustelnica z Szadukiamu, szlachetny Dżinie. Jestem pewien, że nie chciała wyrządzić ci szkody, wie, że jestem w wielkiej potrzebie.

Gryf złożył skrzydła, na jego nagle złagodniałej twarzy odbiła się ciekawość pisklęcia.

— Giota? Giota cię przysłała?

Zostałem zapomniany. Dwa potwory zainteresowały się sobą i duchem tego trzeciego, którego nie było na górze. Mógłbym wtedy zatopić nóż w szmaragdowym boku gryfa i wziąć jego ciało albo jego gniazdo, żeby zrobić sobie oko. Ale nie zatopiłem; okazałem miłosierdzie, bo byłem, przyznaję, ciekaw.

— Tak, tak, ona mnie przysłała, powiedziała, że mi pomożesz. Proszę, daj mi swój szpon, żebym mógł zabić Yi i ocalić ukochaną.

Gryf nie słuchał. Przywołał Chajima do siebie i pozwolił mu wleźć niezdarnie do gniazda, żeby jednonogi słyszał w ryku wiatru jego podniecony, piskliwy głos, teraz przyciszony ze zdumienia. Przesunąłem się, żeby też słyszeć, a Chajim leżał jak dziecko objęty opalizującymi skrzydłami.

— Mały niezdarny człowieku, Giota wydała na świat moją siostrę...

Opowieść o gryfie i pustelnicy

Była najsłabsza z naszego lęgu — najmniejsze jajo, najpóźniej złożone, biały beryl z prążkami kobaltu i sznurem kwarcu przecinającym krzywiznę jak bryzg mleka. Matka bała się, że nic się nie wykluje, że to martwy kamień. Ale wysiadywała je wraz z trzema innymi jajami, wspanialszymi i większymi od tego białego. Były jej prawdziwą nadzieją — fioletowe, barwy płomienia i ciemnoniebieskie. Przybyła arimaspijska horda, gdy chciwy Oluwa zapragnął następnego buszła złota. Byli zachwyceni, że moja matka zniosła jaja; żółtko naszych agatowych jaj jest najczystszy złotem. Choć krzyczała i cięła ich pazurami przednich łap, ludzie roztrzaskali moje rodzeństwo o skały i zgarnęli bezcenny materiał. Indygowy gryf zakwilił i skonał, na wpół ukształtowany, w kałuży złotego żółtka, a mój płomienisty brat, nawet nie pisnął — pękła mu czaszka, gdy rozbili jajo. Tylko ja przeżyłem, zniesiony jako pierwszy, bo musisz wiedzieć, że nie lęgniemy się jak ptaki; gryfice składają po jednym jajku na raz, w czasie każdego księżyca godowej jesieni. Byłem dość duży, żeby się wykaraskać, piszczący tobołek piór i futra pokryty smugami złota. Arimaspijanowie nie mieli żadnego pożytku z żywych piskląt gryfa; nasze małe dzioby nie dają wiele cennego metalu. Uciekli z pełnymi koszami, choć kilku nie przeżyło spotkania ze szponami matki.

Jajo mojej siostry było tak małe, że nawet go nie zauważyli.

Moja zrozpaczona matka nie mogła się pogodzić, że zginęły wszystkie jej dzieci prócz jednego. Ze mną na grzbiecie i z

niewyklutym jajem w szponach sfrunęła z wyżyn Nuru do Szadukiamu, gdzie znane są wszystkie tajemnice. Podobno w Al-a-Nur przechowywana jest cała mądrość nieba, ale jeśli szukasz czarnej, cuchnącej magii świata podziemnego, jeśli pragniesz prawdziwej władzy, musisz udać się do Szadukiamu. Moja mądra matka poszybowała prosto pod Różaną Kopułę i ulokowała się na dachu bazyliki, wśród falujących gałęzi drzewa-drzwi, gdzie wznosiła żałobne krzyki jak dzwony bijące godziny. I tak minęły pełne dwa tygodnie, i miasto nie mogło spać z powodu jej płaczu.

Tylko Giota, wówczas młoda, okazała się dość dzielna, żeby odpowiedzieć na wołanie mojej matki. Wspięła się na mur bazyliki jak małpka, kołysząc krótkimi warkoczami. W tamtych czasach nie nosiła szaty z włosów, tylko to, w co ubierało się jej plemię, przycinała loki i wiązała je jak pokutnica. Przeczogłała się po kopule pomalowanej w srebrne gwiazdy i kucnęła przed moją matką zasapana. Jej twarz, oczywiście, była gładka od nosa do podbródka, ale zaraz rozchyliła ładną czarną kamizelkę, żeby odsłonić usta na brzuchu, i zawołała:

— Matko gryfico, ucisz swoje krzyki! Giota jest tutaj, uzdrowi twoje jajo.

— Skąd możesz wiedzieć, że cierpię z powodu jaja? — Matka imponująco machnęła różano-złotymi skrzydłami, żeby wzbudzić należyty strach w sercu nielotnego stworzenia. Ćwierknąłem obok niej, gotów pospieszyć z pomocą.

— Giota wiele wie. Słyszysz twój lament i zawsze rozpoznaje rozpacz matki. Daj jajo, ja je wysiedzę.

Matka była zdesperowana i dobrze wiedziała, że nikt inny nie wejdzie po murach katedry.

— Są ostatni, mała Giota. Mój błękitny syn i to karłowate białe jajo. Ostatnie gryfy na świecie. Jednoocy zabili całą resztę i gdy następnym razem któryś z książąt zapragnie oka, zabiją również mnie. Ocal moje jajo, a będziesz miała złota więcej, niż mogłabyś zapragnąć.

Giota ze smutkiem pokręciła głową.

— Tu jest inny Szadukiam, nie ten, który nie dba o nic, co nie przynosi klejnotów i srebra. Zrobię to, bo chcę. Jeśli spotka mnie nagroda, przyjdzie w swoim czasie i na swój własny sposób. Giota nie handluje życiem. Módl się tylko, żeby jajo zawierało kurę.

Moja matka wyciągnęła wielką łapę i przekazała śnieżne jajo w ręce kobiety o dziwnych ustach. Giota trzymała jajo przez chwilę, jakby oceniała ciężar berylu, a potem otworzyła usta w brzuchu i połknęła moją siostrę.

Oboje z matką zawyliśmy wściekle, czując się zdradzeni, i napadliśmy na małą kobietę, niebieskie szczenię i szkarłatna matka. Ale Giota podniosła rękę, jej oczy miały ostrzeżenia, jakich nie mogły wypowiedzieć usta. jajo tłumilo jej głos i wkładała w mówienie wiele wysiłku.

— Nie skrzywdzę jaja! Ono jedno ze wszystkich gryfów urodzi się z kobiety, nie z kury, nie z lwicy. Widzisz? Już zaczyna rosnać! Och, moja szczeka! Nie ma obawy, Giota jest dobrym domem dla twojego dziecka.

Rzeczywiście, jej brzuch napęczniał, usta rozciągnęły się nad małym tobołkiem. Twarda krągłość w kształcie księżyca rosła na naszych oczach, gdy patrzyliśmy ze strachem, ale i z nadzieją. Giota z satysfakcją poklepała wybrzuszenie.

— Giota jest głodna. Musicie nas karmić, dopóki jajo nie będzie gotowe pęknąć.

I tak moja matka codziennie sfruwała z iglic bazyliki, żeby polować dla matki zastępczej, przynosić jej paski bliżej nieokreślonego mięsa i gałęzie uginające się pod ciężarem owoców. Ja wciskałem kawałki mięsa w kąciaki ust Gioty, omijając jajo, prosto do jej gardła. Sącyłem wodę z muszelki do jej spragnionego brzucha. Była nasycona. Od świtu do zmierzchu jadła, rosła i jadła. Po jednym dniu już nie mogła mówić. Po tygodniu nie mogła chodzić. Podczas gdy moja matka przeczesywała miasto w poszukiwaniu przysmaków, Giota i ja bawiliśmy się w tym dziwnym żłobku wśród wielu wież, wielu konarów kościelnego dachu — ona mierzwiła moje futro i szczotkowała pióra, opierając się o iglice, ja wybierałem dziobem muchy z jej włosów. Żałowałem, że nie może się ze mną mocować, lecz brzuch ją męczył, a ja nie chciałem skrzywdzić pisklęcia. Młody gryf nie jest mały — wielkością dorównywałem młodemu koniowi — a niedługo później brzuch Gioty zrobił się taki wielki, że wcale nie mogła się ruszyć. Pęczniejące ciało rozciągnęło jej usta w trwałym grymasie. Ani razu nie zapłakała z bólu i zawsze była gotowa głaskać mnie po ogonie. Żałowałem, że już nie może się bawić. Kładłem się i pozwalałem jej opierać się o mój bok, gdzie pióra mieszają się z sierścią. Taka poufałość nieczęsto ma miejsce między gryfami a ludźmi, nawet ludźmi tak mało ludzkimi jak Giota, ale wtedy nie znałem się na konwenansach. Wiedziałem tylko, że kocham Giotę, która miała w sobie moją siostrę, i chciałem, żeby jej było wygodnie.

Wreszcie nadszedł ten dzień. Brzuch tak zогromniał, że Giota wyglądała jak maleńki ślimak z wielką skorupą. Wydała jedno długie westchnienie i usta wieńczące jej potwornie rozciągnięte łono otworzyły się niewiarygodnie szeroko. Przyznaję, że się

odwróciłem — byłem dzieckiem i ten widok napawał mnie obrzydzeniem. Ale zerknąłem przez pióra i zobaczyłem, że ogromne białe jajo wyłania się z Gioty, idealne i okrągłe, już nie ziemiste i mętne, ale lśniące jak perła, usiane delikatnymi niebieskimi żyłkami kobaltu i ametystu.

Moja matka mruczała i czule trącała jajo, pocierając je własnym ciałem, żeby poznało jej zapach. Gdakała i radośnie stroszyła pióra, a gdy owinęła jajo długimi różowymi skrzydłami, niski trzask zabrzmiał wśród omiatanych wiatrem wież. Czubek jaja pękł jak brzuch Gioty i ukazała się moja siostra Quri, mrużąc czarne oczy w nagłym blasku słońca.

Przebiła skorupę z niemal wykwintnym wdziękiem. Moja matka, widząc, że zniosła córkę i że rasa gryfów przetrwa, zapłakała z ulgi, jej złote łzy spadały na kopułę bazyliki i mieszały się z malowanymi srebrnymi gwiazdami. Quri zatrzepotała jasnymi skrzydłami i wygramoliła się ze skorup jaja w objęcia matki. Mruczając radośnie, dziobem oczyściłem jej pióra z resztek żółtka. Byliśmy szczęśliwą i pełną rodziną.

Giota weszła do gniazda, wyciągnęła rękę i ostrożnie pogładziła futro przybranej córki. Zupełnie o niej zapomnieliśmy, przepełnieni szczęściem. Była cała i zdrowa, tylko brzuch miała zwiotczały i obwisły jak u kobiety zaraz po rozwiązaniu. Jej zmęczone usta się uśmiechnęły.

— Giota dobrze się spisała — oznajmiła szorstko. — Gryfy przetrwają i zachowają swoje złoto. Przynajmniej przez jakiś czas.

Moja matka odwróciła się w stronę małej wiedźmy i zamknęła ją w skrzydłach. Nie widziałem takiego uścisku do nocy, w którą zmarła, obejmując w ten sposób moją siostrę i mnie. Obie matki płakały.

Znacznie później Giota została pustelnicą Szadukiamu i utkała włosianą suknię. Moja siostra była z nią tego dnia, gdy Giota wykuła swój łańcuch, i pomogła jej przymocować go do ściany bazyliki. Kiedy nasza matka zginęła, jak przewidziała, z rąk arimaspijskiego księcia, Giota stała się naszą najdroższą przyjaciółką, choć muszę dodać, że ona i Quri zawsze były sobie bliższe. Dzieliły więź łona, dla mnie nieosiągalną, gdyż jak wszystkie gryfy poza moją siostrą urodziłem się z jaja, nie z ciała.

Giota jedyna wśród nielotnych stworzeń jest ukochana przez gryfy. Tęsknimy za nią, oboje. Bardzo za nią tęsknimy.

Opowieść o gryfie i królu, ciąg dalszy

Nie zrobi! na mnie wrażenia ten pokaz sentymentalizmu gryfa. Ale Chajim miał łzy w oczach i obaj stali się sobie bliscy jak król i jego oko, gdy wspominali wioskową wiedźmę.

— Dżinie, pustelnica musiała wiedzieć, że ją pamiętasz, i chciała, żebyś mi pomógł. Daj mi swój szpon, żebym mógł zabić Yi, który opętał moją ukochaną. Tylko tak zapewnię jej spokój. Błagam cię, wyjmij go z zadniej łapy, nie staniesz się przez to mniej groźny. Daj mi go!

Dżin przekrzywił głowę i przez chwilę wyglądał śmiesznie jak kurczak, który przypatruje się kukurydzy rozsypanej na podwórzu.

— Dlaczego miałbym odrywać kawałek własnego ciała, żeby ci go pożyczyć? Szpon mi nie odrośnie, gdy wyrwę go z łapy. Czyż nie będzie prościej, gdy zaniosę cię na grzbiecie do Szadukiamu? Sam zabiję twojego Yi, wbicie szponu w oko to nietrudna sztuka. I znów zobaczę Giotę — moje serce jest ciekawe, jak długą suknię zdążyła wyhodować.

Jednonogi skoczył na równą nogę i wykrzyczał odpowiedź w wyciu górskiego wichru. Wyglądało na to, że obaj są gotowi do zejścia z góry. Nawet jednej myśli nie poświęcili mnie, choć niosłem samolubnego kulasa przez całą drogę na szczyt! Chrząknąłem głośno, a wówczas obaj durnie spojrzeli w moją stronę i wytrzeszczyli oczy, jakbym nagle pojawił się w kłębach

czarodziejskiego dymu. Przez chwilę wszyscy po prostu staliśmy, mrugając głupawo.

Wreszcie Dżin — skoro znam imię parszywego ptaka, to chyba powinienem go używać — wyciągnął się na całą wysokość i potrząsnął piórami, otrzepując je z drobin złota ze swojego gniazda. Był ogromny, w porównaniu z nim słonie, które zabiłem z towarzyszami łowów, wydawały się małe. Pióra miał tak błękitne, jakby wysały kolor z nieba.

— Weź złoto z gniazda, arimaspijski psie. Weź z gniazda, a ci nie przeszkodzę. Ale przysięgnij, że nigdy nie wrócisz na Czerwoną Górę, że twój lud nigdy więcej nie będzie sprawiał mi kłopotu z powodu złota. Przysięgnij na swój Okular, na swoje kaprawe, śmierdzące Oko-Świat, a będziesz mógł wziąć moje gniazdo.

Uśmiechnąłem się pięknie i moje zęby zabłyśły w słońcu.

— Przysięgam na Okular i Oko-Świat. Ani ja, ani moi ludzie nigdy się do ciebie nie zbliżymy.

Dżin krótko skinął głową, chwycił Chajima za brudny kołnierz kamizelki i zarzucił sobie na grzbiet. Parskając drwiąco, zeskoczył ze szczytu, a ja zostałem sam, słysząc ekstatyczne pożegnania Chajima niesione na dzikim wietrze.

Ukląkłem i zacząłem zbierać lśniąca słomę z gniazda gryfa, ale moja głowa pełna była myśli o Białej Bestii, Quri, i wizji moich synów przybranych w girlandy jej złota.

Opowieść o Świętej Sigridzie, ciąg dalszy

Oluwakiem drapieźnie wyszczerzył zęby.

— Tam kierujemy wasz okręt, do Białej Bestii pośrodku Wrzącego Morza, Palącego Morza, do ostatniego ze wszystkich gryfów. Weźmiemy całe jego złoto. Wykuję nowy Okular dla mojego następcy i wreszcie odniesiemy zwycięstwo nad tymi, których nie pobłogosławiło Oko-Świat.

Sigrida siedziała oszołomiona. Nerwowo skubnęła wystrzępione końce włosów.

— Co się stało z Chajimem? Czy obaj z Dżinem zabili Yi? Słyszałam, że Yi to okropne stworzenia. Nigdy nie przybyły do Adżanabh, dzięki niech będą wszystkim Gwiazdom w niebie.

Król Arimaspiaków niecierpliwie wzruszył ramionami.

— Kiedy wykulem swój Okular w ogniach Ob, zerknąłem w kierunku Szadukiamu i zobaczyłem gnijące zwłoki Towy, bezpieczne w ziemi. Przypuszczam, że dopięli swego. Dżin nie żyje, ujrzałem to wyraźnie z niejaką satysfakcją. Chajimem nie zwracałem sobie głowy. Liczy się tylko Biała Bestia. Tylko złoto.

Bardzo cicho, spuszczać oczy i modląc się, żeby nie rozzłościć króla, Sigrida ośmieliła się szepnąć:

— Z pewnością rozumiesz, że gdy zabijesz tego ostatniego gryfa, nie będzie więcej Okularów dla żadnego z twoich synów. Dlaczego nie pozwolisz, żeby urodziła młode i zapewniła zapas kruszcu dla przyszłych pokoleń?

— Ach! Już złożyła jaja, bystra Sigrido! Dlatego musimy ruszać teraz, żeby je dopaść, zanim się wyklują, i zabrać cenne żółtko! Co do rasy gryfów — ograbili nas z naszych koni! Już nie jesteśmy klanem, który poszerza granice, mknąc jak wicher po stepach na czterech, nie na dwóch nogach. Musimy prosić o żrebaki i kraść je sąsiadom, a są one słabe i chorowite, nie tak rosłe i wspaniałe jak dawniej nasze rumaki! Gryfy zasługują na wytępienie. Och, będziemy dzielić łup zdobyty na Białej Bestii, żeby Okular przetrwał, ale nie darujemy jej życia!

— Czekaj, szlachetny królu, dlaczego szukasz złota gryfa? Jeśli nowy Okular jest przeznaczony dla twojego syna, dlaczego on nie wynajął „Skarbu Panieństwa” i sam nie poluje na Quri?

Na te słowa król ściągnął brwi i mocno się zarumienił; Sigrida nie wiedziała, czy z wściekłości, czy ze wstydu, i w głębi duszy truchlała ze strachu przed ogromnym mężczyzną. Kiedy jednak przemówił, jego głos był cichy i łagodny, niemal zniżony do szeptu.

— Nie mam syna, Sigrido. To hańba mojego domu. Z początku uważaliśmy, że to błogosławieństwo, bo odkąd gryfy zemściły się na naszych kobietach, brakowało wśród nas dziewcząt. Ale od dnia, gdy przysięgłem Dżinowi, że zostawię w spokoju jego przekłete gniazdo, żaden mężczyzna z klanu Oluwa nie spłodził chłopca — tylko dziewczynki, setki córek, każda piękniejsza od drugiej, i żadna z nich nie może nosić Okularu. Teraz rozumiemy, że spadła na nas klątwa, i jeszcze bardziej nienawidzimy gryfów. Nie możemy pozwolić, by władała nami kobieta, to sprzeczne z naszym prawem, z nakazem Oka. Czekaliśmy długo, modląc się i składając woły w ofierze, żeby Oko pozwoliło przynajmniej jakiemuś pomniejszemu Oluwie spłodzić syna ze swoją kobietą. Niestety,

wciąż nie ma synów Oluwy — mężczyźni, których tu widzisz, pochodzą z innych rodzin i choć kulą się w mojej obecności, przejmą władzę królewską, jeśli Oluwa nie dadzą Okularowi dziedzica. Chcąc zachować święte zarządzenie nieba, które wedle prawa należy tylko do mojej krwi, wydałem dekret, że moja najstarsza córka tej zimy dostanie złote oko.

Król wyprostował lśniące plecy i przemówił głośno — jego głos zahuczał w kajucie:

— Nie przystoi jednak, by dziewczynka ruszyła na wyprawę albo zabijała. Zaszczyt ostatniego polowania na gryfy musi należeć do mężczyzny! Dlatego wziąłem na siebie brzemię łowów, wyręczając piękną Oluwafunmike, która będzie królową. W jej imieniu zabiję Białą Bestię i wykuję złote oko, ja jeden spośród wszystkich królów dwukrotnie stawię czoło ogniom Ob!

Otoczający go mężczyźni z wielobarwnymi oczami ukłonili się, uczynili znaki wierności i pochwalili imię Oluwafunmike. Sigrida skryła niesmak i postanowiła w duchu, że w miarę możliwości pomoże biednej gryficy, nawet jeśli Tommy i jej załoga zobowiązały się spełniać wolę pasażera.

— Sigrido, umiesz słuchać — odezwał się król Oluwakim. — To piękna cecha u kobiety, jeśli nawet masz piersi jak krowie wymiona, a twoja skóra jest blada i niezdrowa. Będziesz miała zaszczyt mi usługiwać, dopóki nie dotrzemy do Wrzącego Morza. Jeśli dobrze się spiszesz, zrobię ci śliczną błyskotkę ze złota, które zabierzemy gryfowi. Raduj się, albowiem nielicznym spoza Oculosu wolno się zbliżać do mojej osoby.

Sigrida wiedziała, że nie należy się sprzeczać, i złożyła niski ukłon, choć bunt pęczniał jej w brzuchu. W sercu pomodliła się, żeby Oluwafanmike była mądrzejsza i miłsza od ojca, i posłała

modlitwę do Gwiazd, wiedziała bowiem, że tylko tam mogłaby ją skierować.

— Ale teraz idź spać, dziewczyno, żeby wypocząć przed jutrzejszą pracą — rozkazał władca Adżanabh. Jestem dobrym panem i nie oczekuję po moich sługach pokazów wytrzymałości. Idź i znajdź kobietę-satyra, ona ci wskaże posłanie.

Sigrida z ulgą odeszła sprzed majestatu króla, wciąż bijąc pokłony, gdy zamykała za sobą ciężkie drzwi kajuty.

Opowieść o bladej dziewczynie, ciąg dalszy

Śnieg skończyła na ten dzień pracę. Obok niej wznosił się stos sieci z wilgotnego szarego sznurka. Majster wcisnął jej w dłoń dwie monety — z ledwością miały wystarczyć na napełnienie brzucha przed nocą. Znacznie większa sieć spływała z rąk Sigridy jak srebrna pępowina, ciasne sploty zgrabnych węzełków chwytaly ostatnie promienie. Ona też skończyła pracę i odebrała zapłatę — znacznie więcej monet, i większych, niż dostało dziecko albinos. Śnieg zebrala się na odwagę i spojrzala w pomarszczoną twarz swojej towarzyszki.

— Nie mogę odejść, nie wysłuchawszy końca twojej opowieści! — zawołała. — Pozwól, kupię ci kromkę chleba albo kubek piwa, a ty opowiesz mi resztę.

Sigrida parsknęła śmiechem, jej wielkie ciało trzęsło się jak mors uwięziony na dryfującej krze.

— Dziecko, masz w garści ledwie tyle, żeby nakarmić wróbla! Jasne, wyschłam na wiór od tego gadania, bo gadam i gadam, gdy mi się nie przerywa. Ale nie zabiorę twojej skromnej płacy. Ja stawiam, i ja wybiorę tawernę. Może być?

Śnieg gorliwie pokiwała głową. Gdy szły nabrzeżem wśród migoczących pochodni i ciepłych okien gospód pełnych chrapliwego śmiechu, delikatnie wsunęła szczupłą dłoń w gorącą rękę Sigridy. Miała nadzieję, że tęga kobieta, którą teraz uważała za piękną, nie będzie przeciwna. Sigrida czule ścisnęła jej lodowate palce.

Wreszcie dotarły do krańca muireańskiego nabrzeża. Poszarzałe od soli deski ustąpiły dobrze utrzymanej drodze, a gdy szły, rozgardiasz nadmorskich przybytków stopniowo przycichał. Sigrida zatrzymała się pod zniszczonym szyldem, który kołysał się jak kurek na dachu nad drzwiami tawerny bez okien. Topornie wymalowany szyld przedstawiał umięśnioną rękę zaciśniętą na ogonie tłustej, miotającej się ryby. Poniżej dziwnego malunku widniały słowa: POD RAMIENIEM I PSTRĄGIEM

— Jesteśmy na miejscu, dziewczyno! Najlepszy lokal w mieście, możesz mi wierzyć.

Pchnęła ciężkie dębowe drzwi i razem wsunęły się do tawerny znacznie cichszej niż wszystkie inne, które Śnieg dotąd widziała. Wnętrze było strasznie ciemne i zadymione — wszędzie snuł się dym z fajek. W głównej izbie, która zdawała się mieć więcej niż cztery kąty, stało kilka stołów, a wokół nich siedziały skulone mroczne postacie. Dziewczyna słabo je widziała, ale spostrzegła, że odsunęły się od otwartych drzwi. Szynkwas z podniszczonych desek zapewne wiśniowych, skamieniałych ze starości, był trochę nierówny. Goście musieli przytrzymywać kubki i kufle, żeby nie zsunęły się na podłogę. Za szynkwasem stał ogromny mężczyzna potrząsał grubą ścierką jak mieczem, a zardzewiałe żelazo jego oczu wzywało każdego do zamówienia napitku. Jego włosy miały barwę piaszczystych ławic, które więżą kadłuby statków, a ręce dorównywały sporym baryłkom. Pachniał olejem do lamp i słoną wodą.

Sigrida podeszła do szynkwasu i rzuciła grube monety na poplamione drewno.

— Dobry wieczór, Eyvindzie! Piwo dla mnie, grzane wino dla małej.

Eyvind mruknął coś pod nosem i zajął się nalewaniem napitków, zwrócony tyłem do kobiet. Śnieg spostrzegła, że Sigrida nie odrywa oczu od jego zwalistej postaci, jej oczy wędrowały po potężnych konturach, jakby próbowała wryć je sobie w pamięć. Gdy się odwrócił, spuściła oczy jak złodziej przyłapany z rękami pełnymi zegarków.

Usadowiły się przy małym stoliku w kącie, z którego roztaczał się widok na resztę tawerny. Sigrida pchnęła wino w stronę Śniegu i uśmiechnęła się z satysfakcją, gdy dziewczyna wypila łyk — rozgrzało ją od korzonków bezbarwnych włosów po drżące palce stóp.

— Specjalność zakładu. Do tej tawerny przychodzą ci, którzy, no cóż, trochę nie pasują do Muireannu. Rozejrzyj się, kochana. Otaczają cię same potwory.

Śnieg zobaczyła, że jeden osobnik ma dziób pelikana pod wełnianym kapturem, inny chował pod krzesłem błoniaste łapy. Każdy napitek, jaki podawano w Ramieniu i Pstrągu, przeznaczony był dla jakiejś baśniowej istoty — niektóre czworonożne pod tylną ścianą piły prosto z koryta. Śnieg pomyślała, że w nikłym świetle zardzewiałego kandelabra rozpoznaje kształty co najmniej w połowie zwierzęce, a także paru ludzi na czworakach, chłepczących z zadowoleniem obok swoich zwierzęcych braci. Nie mogła być pewna, czy rzeczywiście widzi dzina siedzącego na poduszce dymu w pobliżu drzwi od podwórza. Niektóre twarze były ludzkie, ale ich oczy kłóciły się z rysami. Nawet Eyvind wydawał się inny, poruszał się nie całkiem jak człowiek. Śnieg nie po raz pierwszy

się zastanowiła, czy jej nowa przyjaciółka naprawdę jest kobietą.

— To jedyne miejsce, gdzie czujemy się jak w domu, jedyne miejsce, które uważamy za swoje. Eyvind tutaj rządzi i nikogo nie odprawia, a to wielka uprzejmość. Muireañczycy zostawiają nas w spokoju, dopóki się ukrywamy. Są dwa Szadukiamy, są dwa Muireanny. Może Al-a-Nur jako jedyne miasto nie ma drugiej połowy, a może jest inaczej. Ale jeszcze nie wróciłyśmy do mojego miasta, prawda? Byłyśmy na „Skarbie Panieństwa”, ze Świętą Sigridą w koi, dzielącą koce z satyrką...

Opowieść o Świętej Sigridzie, ciąg dalszy

Żeglarki ze „Skarbu Panieństwa”, mimo na pozór niezliczonych pomieszczeń pod pokładem, spały w kojach po dwie. Po kajutach hulały przeciągi i śpiącym razem było cieplej — poza tym miały zwyczaj, że starsza kobieta łączy się w parę z mniej doświadczoną dziewczyną, żeby nauczyć ją wszystkiego, co trzeba wiedzieć o kierowaniu okrętem i o pirackim życiu.

Eszkol i Sigrida kuliły się pod kocami w wilgoci i zimnie typowym dla wszystkich łóżek na morzu, choć porośnięta futrem satyrka jakby nie odczuwała niewygód. Sigrida drżała i była niespokojna — statek kołysał się i poskrzypywał znacznie bardziej niż barka, a bezustanny ruch wcale nie niósł ukojenia.

— Przywykniesz. — Eszkol zaśmiała się cicho. — Ja dopiero po wielu miesiącach mogłam zasnąć bez twardej ziemi pod nogami. Niektóre dziewczęta od razu czują się tutaj niczym pszczoły w ulu. Z każdym bywa inaczej.

Sigrida przytrzymała koc nad głową na wyprostowanych palcach, przypatrując się, życzliwej twarzy swojej towarzyszki. Cała Eszkol wydawała się stworzona z odcieni brązu, jak pień drzewa. Jej włosy i sierść miały głęboką barwę ziemi, skóra była jasnobrązowa i płowa, oczy niemalże czarne.

— Kiedy dotrzemy na Wrzące Morze? Domyślam się, że tam będzie znacznie gorzej. Czy „Skarb Panieństwa” przetrwa na takich wodach?

— Och, „Skarb” jest pod każdym względem magiczny. Został zrodzony, nie zbudowany, wiesz? I dostał łązy Gwiazdy. Nie martw się, trochę gorącej słonej wody nawet nie złuszczy farby. Rano powinniśmy dotrzeć do skrajów Wrzącego Morza.

Sigrida westchnęła i spróbowała znaleźć wygodniejszą pozycję na drewnianej koi.

— Jak tu trafiłaś, Eshkol? Czy ciebie też porwano? Przecież kapitan nie może kraść całej swojej załogi, wymagałoby to mnóstwa czasu.

Eshkol znów się zaśmiała, dźwięk przywodził na myśl mokre liście spadające do wartkiego strumienia.

— Nie, nie, weszłam na pokład z własnej woli. Zgłosiłam się na ochotnika. — Podparła się na łokciu. — Ja też nie jestem zmęczona. Nie mam nic przeciwko opowieści, szybciej zleć godzinę do świata...

Opowieść o satyrce i selkie

Byłam ulubioną córką w moim zagajniku — rodzice kochali mnie najbardziej spośród wszystkich moich sióstr czy braci o krzaczastych brodach. Cisowie tworzyli wielką i zamożną rodzinę; mieliśmy dość jedzenia i mnóstwo wina, by wprawiało nas w dobry humor. Byliśmy znani daleko i szeroko ze zdumiewającej liczby potomstwa, które każdy Cis potrafił spłodzić — nasze kobiety rodziły córki i synów jak sosna szyszki. Zazdrościły nam gaje Wierzby i Modrzewia, a biedne Świerki, które jeśli miały szczęście, trafiło im się jedno dziecko na sto lat, dosłownie nas czciły.

Las był naszym odwiecznym domem. Wiedliśmy życie proste, ale wesołe. Ścigaliśmy co ładniejsze fauny i upijaliśmy się, skręcani atakami śmiechu pod rogiem obfitości gwiazd. Jeśli satyr umiera, co zdarza się od czasu do czasu, wyrasta z niego drzewo, które wciąż możemy kochać i z którym rozmawiamy, jakby wuj czy kuzyn wciąż nam towarzyszyli. Od tego pochodzą nazwy naszych gajów — na początku świata, kiedy Las był nowy, pierwsi z nas wysadzili drzewa niezrównanego piękna i wielkości, z gałęzmi wyciągniętymi jak ręce nad łąkami i polanami. Ich potomkowie przyjęli imiona tych bogów wśród drzew i dlatego ja nazywam się Cis, moja przyjaciółka Brzoza, a przyjaciel to Sosna.

I tak się stało, że siedziałam pod nastroszonymi konarami wielkiego Cisu, gdy do Lasu przybył człowiek w skórze sępa.

Byłam jeszcze trochę za młoda, żeby szukać towarzysza, ale fauny już zaczynały gromadzić się wokół naszych drzwi jak

ślimaki po wielkiej ulewie. Jak wszystkie Cisówny, byłam śliczna niczym wiosenne drzewko. Moje policzki były jasne jak dale, mój wysoki głos brzmiał jak świstawka z trawy. Ojciec trzymał mnie blisko siebie, bo satyrowie nie słyną z powściągliwości przy pannie o słodkim buziaku. Ale akurat tego dnia wymknęłam się spod jego czujnego oka, gdy wznosił modły przy cięciu drewna na wieczorne ognisko, i skuliłam się pod ciemnym, sękatym pniem Dziadka Cisa.

Dobre deszcze padały zeszłej zimy, mrucał. Za wiele wiewiórek, ale co począć?

Przepędziłam szyszkami parę świergocących zwierzaczków.

Światło słońca tej wiosny nie mogłoby być lepsze, mrucał. Smakowite jak ciasteczko.

Z uczuciem podrapałam korę za pełnym soku guzem.

— Chciałabyś kupić skórę? — zapytał ktoś za Cisem i na chwilę głosy zmieszały się w moim uchu, splotły jak chwast i róża. Zaraz potem się rozdzieliły i zza mojego dziadka wyszło najdziwniejsze stworzenie pod słońcem.

Przybysz miał naciągniętą na głowę lwią skórę, wystrzępioną i skołtunioną, ze zlepionym futrem i grzywą, która spadała na oczy jak rozczochrane włosy. Chude łapy zwisały mu z ramion, a żałosny ogon plątał się wokół łydek, łuskowatych i czarnych, zakończonych szponami myszołowa. Pod lwią skórą dostrzegłam koniuszki skrzydeł. W rękach trzymał skórzaną torbę, pękatą jak bukłak z winem.

— I co, śliczna kózko? — Skrzywił w uśmiechu szeroką młodą twarz ze spiczastym podbródkiem i krzaczastymi brwiami.

— Skórę, panie? — zapytałam, ciekawa jak wszystkie młode stworzenia.

— Tak, moja miła. Jestem Ghassan, handlarz skór. Skór wszelkiego rodzaju! Skóry za grosz, skóry za strawę, skóry na wymianę i skóry za długi, skóry na wszystkie okazje. Poza szlachetnym lwem, którego widzisz na moich ramionach, mam na sobie wiele pięknych towarów: skóry strzygi i skóry mantykory, i ogony syren, płaszcze z piór harpii i peleryny z katoblepy, wiele ślicznych czerwonych skór leukrotty, bardzo modne, lśniące płaszcze z salamandry i nawet rzadką skórę ducha, skóry ludzkie, skóry yale i jakie ci tylko przyjdą na myśl.

— Co, na miłość Lasu, miałabym zrobić z cudzą skórą? Moja jest bardzo ładna. — Ale już sięgałam do torby.

— Będiesz ją nosić, dziewczyno! Zrobisz piękną spódniczkę na te ponętne biodra albo udrapujesz ją nadobnie na ramionach, gdy mróz zacznie szczytać. Skóry mają tysiąc i jeden zastosowań. Niektóre są magiczne, inne zwyczajne, jedne zmieniają ciebie, drugie zmieniają się w twoich rękach. Skóra jest drzwiami, przejdź przez nie, a zobaczysz, co jest po drugiej stronie. Ja lubię skóry dziewcząt — nie rób takiej zszokowanej miny. Jestem handlarzem, nie poluję ani nie wyprawiam skór. To nie moja sprawa, jak skóra rozstała się ze swoim właścicielem.

— Dziwne. Są tacy, którzy lubią nosić cudzą skórę?

— Nie dziwniejsze niż kaprysy dam dworu, które noszą błękitne szarfy lub pantofelki z nefrytu i szkła. Sam w tej chwili mam na sobie sześć czy siedem skór. Zawsze warto pokazywać towar, dla większego efektu.

Spojrzałam na jego nogi, na skrzydła, na długie srebrne włosy, ale nie mogłam wypatrzeć miejsca połączenia.

— W takim razie... jaki jesteś pod swoimi skórami?

Pochylił się i wyszeptał konfidencjonalnie:

— Nigdy tego nie powiem. Ale dość o mnie! Nie chciałybyś przymierzyć? To lepsze niż błękitna szarfa, zapewniam.

Zarumieniłam się, moje policzki przybrały głęboki odcień różowego adamaszku.

— Nie mam pieniędzy, panie. Mój ojciec uważa, że młodzież powinna poprzestać na żółdziejach i liściach, dopóki nie dorobi się pary rogów na głowie.

— Szkoda, szkoda. Ale człowiek musi jeść, niezależnie w jakiej jest skórze.

Odwrócił się, gotów szukać następnego klienta, który z pewnością ma kopce opali i szmaragdów pod kratą paleniska i kupi całą partię towaru. Musiałam się obejść bez cudzej skóry i bez jednej własnej monety. Sparaliżował mnie ból i widocznie krzyknęłam cicho, na wpół zabeczałam, bo spojrzał na mnie przez ramię.

— Chyba mogę ci dać tę na trochę — mruknął i wyciągnął z torby złożoną wiele razy bardzo dziwną skórę. Była gumowata i szara, matowa i nakrapiana, i ani trochę nie przypominała pięknej szarfy.

A jednak pragnęłam jej jak wiewiórka wiszącego najwyżej orzecha.

— Co mam za to zrobić? — zapytałam, przebierając kopytkami.

— Cóż, nie sędzę, żebyś chciała zamienić się na własną skórę, zresztą w tej chwili nie potrzebuję satyra. Ale przydałoby mi się parę pasów kory z twojego pięknego drzewa. Drzewa-dziadkowie to niezła rzadkość.

— *Co on wygaduje?* — rzekł gderliwie Cis.

Oczywiście Ghassan nic nie usłyszał — krew mówi do krwi, sok do soku, a reszta lasu milczy.

— Och, dziadku, nie będzie ci ich brakować — zapewniłam go — i to wcale cię nie zaboli, obiecuję. I przez całą tegoroczną zimę będę odpędzać od ciebie wiewiórki. — Szybko, zanim zdążył zaprotestować, zdarłam dwa długie pasy czarnej kory i dałam je handlarzowi.

Próbowałam nie słuchać łkania, gdy zdzierałam korę z drzewa.

Ghassan z szerokim uśmiechem na skąpo owłosionej twarzy podał mi gumowatą skórę.

— Przyjemności, śliczne chucherko. Żegnaj! Nie przypuszczam, żebyśmy znów się spotkali. — Schował korę do kieszeni i odszedł po wilgotnej trawie.

Gdy wróciłam do domu, przycisnęłam skórę do serca, wdychałam jej słonawy, wodnisty zapach i schowałam ją pod łóżkiem. Jakże byłam dumna! Kiedy położyłam się spać, wyciągnęłam ją i przytuliłam do piersi, czując jej zimny ciężar na własnej skórze.

Dźwięk był bardzo cichy, gdy myślę o tym teraz. Stuknięcie w szkło, pukanie do okna. Poderwałam się jak wróbel i zobaczyłam dwoje dużych szarych oczu patrzących na mnie przez szybę. Należały do młodego człowieka, nie starszego ode mnie, z ciemnymi włosami i skórą tak bladą, że wydawała się bezkrwista.

— Wpuść mnie, proszę — powiedział.

— Wykluczone — szepnęłam, żeby nie zbudzić ojca, który już tej wiosny podejrzliwie nadśluchiwał pukania zalotników. Ale odsunęłam zasuwkę i odrobinę uchyliłam okno. Młodzieniec popatrzył na skórę, którą tuliłam w moich ramionach.

— Panienko, obawiam się, że masz coś mojego.

— Co takiego?

— Skórę. To moja skóra.

— Widzę mnóstwo skóry na twoich kościach. To moja skóra, kupiłam ją uczciwie.

Młodzieniec ze smutkiem pokręcił głową.

— Kupiłaś ją od bestii i złodzieja, który ukradł mi ją, gdy wylegiwałem się w słońcu na urwistej skale. Jestem selkie, a to moja skóra.

Zacisnęłam kurczowo mały tobolek.

— Ale skaleczyłam za to swego dziadka. Kora odrośnie, wiem, że odrośnie, ale nie powinnam tego robić i jeśli stracę skórę, wyjdzie na to, że zrobiłam mu krzywdę za darmo. Skóra jest jedyną rzeczą, która należy do mnie, a nie do mojego ojca, matki, sióstr czy braci.

— Nie należy do twojego ojca ani matki, sióstr ani braci. Jest moja. Proszę, oddaj mi ją, piękna satyrko, nie mogę wrócić do domu, póki mi jej nie oddasz.

Nie chciałam płakać, ale łzy same zapiekły mnie w oczy. Byłam jednak bystrą dziewczyną i znałam wiele różnych opowieści.

— Zaczekaj chwileczkę. Jak masz na imię?

— Zwą mnie Wanta.

— A mnie Eszkol. Jesteś selkie, a ja mam twoją skórę, co znaczy, że musisz ze mną zostać i być moim kochankiem, dopóki nie odzyskasz skóry, prawda?

Wancie opadły ramiona.

— Tak, właśnie tak świat jest urządony, ale nigdy nie byłem jak inne foki...

Opowieść o skórze

Zawsze uważałem na swoją skórę. Inni rzucali je byle gdzie — tacy już jesteśmy. Kto może zabrać skórę? Do czyjego domu wejdziemy, czyje będziemy jeść sardynki i czarny chleb? Kogo pokochamy? Głównym zadaniem selkie jest doprowadzenie do tego, żeby ktoś skradł mu skórę.

Ja jednak byłem ostrożny. Kochałem morze, kochałem fale, grzywacze i białą pianę. Kochałem zmienny charakter morza, raz wzburzonego i szarego, raz gładkiego jak szkło, jak czoło żony. Kochałem smak wody i bałem się, jak będzie w zamknięciu, w czterech ścianach domu, bez podmuchów wiatru i krzyków mew.

Nie chciałem zasnąć. Opalałem srebrny brzuch na samotnej skale na płyciźnie, pławiąc się w ciepłe odbitym od fiołkowych fal, oddychając powietrzem przepojonym wonią wodorostów. Musiałem na chwilę przymknąć oczy, kiedy się podkradł, cichy jak rybak z ościeniem, i ściągnął skórę z moich pleców z taką łatwością, jakby rozdzierał papier.

Coś takiego nigdy się nie wydarzyło — obłupił mnie ze skóry, tnąc i drąc, wyciągając moje palce z płetw, stopy z ogona, twarz z pyska. Krzyczałem, ale moje siostry z daleka widziały tylko, że ktoś kradnie moją skórę, i świetnie się bawiły. Nie widziały noża. Nie słyszały moich wrzasków. Śmiały się na odległej skale.

Gdy skończył, bez trudu dobrnął do brzegu i zaczął pakować skórę do pękatej sakwy. Ruszyłem za nim, płynąc niezgrabnie w męskim cieple, w którym nigdy dotąd nie mieszkałem. Kiedy

wygramoliliśmy się na piasek, ległem zadyszany, powietrze paliło moje nieprzywykłe płuca.

— Dokąd idziemy? — wykrztusiłem.

Człowiek, Ghassan, jak się później dowiedziałem, przystanął i spojrzał na mnie przez ramię. Był, jak często ma w zwyczaju, odziany w skórę kobiety, staruchy z długimi splątanymi włosami.

— O co ci chodzi, młody nieszczęśniku? — zapytała starucha.

— Masz moją skórę.

— A tak, mam.

— W takim razie należę do ciebie. Do czyjego domu mnie zabierzesz? Jakie ryby i chleb będziemy spożywać? Kogo mam pokochać?

— Nie obchodzi mnie, co zjadasz ani kogo kochasz, foko. Chcę mieć skórę, na sprzedaż. Ty jesteś mało ważny, jak pestka w brzoskwini.

Podniosłem się na drżące nogi, których dotąd nie znałem.

— Ale Taki jestem. Moja skóra została skradziona; muszę do kogoś należeć.

— Nie do mnie, ja ciebie nie chcę — parsknęła starucha, która była Ghassanem.

— W takim razie oddaj mi skórę, jeśli mnie nie chcesz.

— Nie po to zdzierałem ją z ciebie z wielkim trudem — masz uparte kości.

Byłem jak porażony. Ghassan nie zamknie mnie w domu, nie nakarmi, nie pokocha. Kiedy wyszedłem z ciała foki, już nie bałem się zamieszkania w czterech ścianach, ale ich potrzebowałem, potrzebowałem tak bardzo jak kiedyś morza. Wpadłem w panikę; szare jak łupek niebo zrobiło się straszne, ciemne morze budziło we mnie przerażenie. Nie wiedziałem,

dokąd pójść, to ciało wydawało się lękać wszystkiego. Łatwo marzło i zawsze było głodne. Poszedłem za staruchą, bo miała moją skórę. Tak robią selkie.

— Proszę. Kochaj mnie albo oddaj mi skórę — mówiłem. — Krzywdzisz mnie.

— Nie chcę cię — słyszałem w odpowiedzi.

— Proszę! Mogę się przydać. Mogę gotować potrawkę i parzyć herbatę. Polubisz mnie, gdy mnie poznasz. Albo oddaj mi skórę. Ranisz mnie.

— Nie lubię cię, nie chcę cię — słyszałem w odpowiedzi.

— Proszę! Wyszoruję ściany domu i naprawię ogrodzenie, mogę budować kołyski i trzepać chodniki. Pozwól mi być selkie albo oddaj mi skórę. Zabijasz mnie.

— Nie dbam o to — słyszałem w odpowiedzi.

I tak dalej, i dalej, ale nie mogłem przestać. Dowiedziałem się, że wcale nie jest staruchą i na pewno nie zabierze mnie do żadnego domu na jakiejś dalekiej wyspie. Ale nie mogłem przestać. Skóra jest zawiązana w moim brzuchu jak lina żeglarza, i im silniej Ghassan ciągnie, żeby uciec ode mnie, tym ciaśniejszy staje się węzeł i z tym większą desperacją go ścigam.

Straciłem skórę, ale nie należę do nikogo. Nie jestem foką, nie jestem człowiekiem. Skóra mnie woła, lecz ja nie mogę odpowiedzieć. Proszę, oddaj mi ją. Zabijasz mnie.

Opowieść o satyrce i selkie, ciąg dalszy

— Sprzedał ci skórę, żeby się mnie pozbyć. Ganiłem go przez trzy lata, a on nie pozwolił mi jej dotknąć. Sprzedał ją tobie za dwa kawałki kory. Mogą cię drogo kosztować, ale dla niego nic nie znaczą. Są kawałkami skóry, nie skórą. Chciał w ten sposób mi pokazać, jak niewiele warta jest moja skóra. Jestem taki zmęczony! Eszkol, proszę, oddaj mi ją.

Uśmiechnęłam się w gąszczu kręconych włosów. Mój głos był cichy jak sosnowe igły pod nogami.

— Jestem dobra w ukrywaniu rzeczy, selkie. Mógłbyś należeć do mnie. Mogę zamknąć cię w domu, karmić sardynkami i czarnym chlebem, i kochać pod strzelistymi drzewami. I wiesz, jacy jesteśmy my, satyrowie. Mój ojciec mówi, że jestem za młoda, żeby mieć kochanka, ale jesteś bardzo przystojny, a ja nie jestem wcale zmęczona.

Wychyliłam się przez okno i pocałowałam chłopca selkie w blade usta — nie wiem, dlaczego to zrobiłam, lecz światło księżycy było takie jasne, a on nagle wydał mi się piękniejszy od skóry. Wargi miał zimne, słone i słodkie jak morze, i moje usta rozgrzały go jak słońce rozgrzewa rozlewisko. Uśmiechałam się w czasie pocałunku, a on delikatnie położył srebrne ręce na mojej twarzy, jak robią fauny. Przesunęłam skórę za plecy.

— Och, Eszkol — powiedział bez tchu, zawstydzony, gdy odsunęliśmy się od siebie — może znajdę tu spokój.

Wanta spędził ze mną siedem lat i siedem dni. Mój ojciec z wściekłości gotów był łamać konary dębu, gdy znalazł nas rano, morskookiego chłopca obejmującego rękami puszysty kark córki, lecz jego złość przeminęła. Wanta był łagodniejszy i cichszy niż odpływ i jak nieustępliwemu, powolnemu przypluwowi, nikt nie potrafił się mu oprzeć. Nie mogliśmy się nacałować — woda kocha zieloną ziemię, a zielona ziemia kocha wodę, i tacy byliśmy, spleceni jak pnącza w łożysku rzeki, on mi mówił, że smakuje czerwonymi jagodami i światłem słońca na długiej trawie, a ja mu mówiłam, że smakuje małżami, wodorostami i wilgotnym wiatrem. Nauczyłam go sadzić winogrona, on nauczył mnie łowić ryby gołymi rękami. Dorosłam, trochę zmądrzałam, choć w sercu nie stałam się mniej pochojna i radosna, i choć często handlowałam, żaden zakup nie był dla mnie równie cenny jak ta szara nakrapiana skóra.

Jeden tylko smutek, kładł się cieniem na te cętkowane złotem lata.

Dziadek Cis nie odezwał się do mnie od dnia, gdy zerwałam mu skórę — nie chciał ze mną mówić nawet wtedy, kiedy kora dawno odrosła.

Pewnego wieczora Wanta wziął mnie za rękę.

— Eszkol, serce mego serca — powiedział — oddaj mi skórę, proszę.

Zaśmiałam się. Graliśmy w tę grę wiele razy.

— To moja skóra, ukochany, i bardzo ją lubię.

— Nie — rzekł z rozważą i bardzo powoli. — Nie drocę się, nie udaję.

Oddaj mi skórę, jeśli mnie kochasz.

— Wanto, dlaczego? Czy nie jesteśmy szczęśliwi? Czy już nie smakuję czerwonymi jagodami i światłem słońca na długiej trawie?

— Tak, smakujesz ciepłym słońcem i słodkimi jagodami. Ale jestem selkie. Najgorętsze życzenia nie uczynią mnie satyrem. Selkie zostają do czasu odejścia, a nasz instynkt odchodzenia jest potężny, potężniejszy niż umiłowanie morza. Teraz to rozumiem. To nie morze nas wzywa. To, co wzywa, jest silniejsze i bardziej niepowstrzymane niż jakikolwiek prąd morski, niż ocean. Tęsknię za morzem, tak, moja skóra zawsze jest sucha i zawsze jestem spragniony, tęsknię za hukem spienionych czarnych fal, ale jeszcze bardziej pragnę odejść. Jestem niespokojny, a zew odejścia szepcze do mnie po nocach. Mówi, że będzie mi łatwiej oddychać, pośród mgły i krzyków mew, że będzie mi łatwiej oddychać, gdy znajdę się na początku historii, nie na końcu.

Łzy spłynęły na moją brodę.

— Nie, nie, nie oddam ci jej — szepnęłam.

— Eszkoł, nie szukałem swojej skóry przez siedem lat. Nie przetrząsałem strzechy, nie zrywałem desek podłogi. Nie myślałem o tym, nie szukałem w suszarni szarego łachmana. Ale zew odejścia nie da mi spokoju i muszę nań odpowiedzieć. Nie chcę. — Wanta zacisnął pięści. Po raz pierwszy jego blada twarz nabrała koloru, poczerwieniała i skrzywiła się z bólu. — Nie chcę odejść. Chcę zostać z tobą, jeść kasztany i wplatać palce w twoje futro. Ale foka jest silniejsza od mężczyzny, a zew odejścia jest silniejszy od foki. — Bezradnie rozłożył ręce. — Taki jestem.

— Jeśli nie chcesz odejść, nie odchodź! Jestem satyrem, a jednak nie umiem grać na fletni. Jesteśmy czymś więcej niż

tylko naszymi ciałami.

— Nic z tego, najdroższa mi ze wszystkich ciał. Jeśli nie dasz mi skóry, sam ją znajdę i pewnego dnia zbudzisz się, a mnie już nie będzie. Szukałem przez siedem dni i nie znalazłem, ale jesteś tak dobra w ukrywaniu różnych rzeczy, że długo jej nie znajdę. Proszę. Krzywdzisz mnie.

Powoli rozpięłam kamizelkę i pas, sięgnęłam w zanadrze. Wyciągnęłam szarą skórę, ciepłą od mojego ciała.

— Zawsze miałam ją tutaj, słodki chłopcze-foko. Nosłam twoją skórę codziennie.

Wanta sięgnął nad stołem i wziął ją ode mnie — tylko trochę się opierałam. Dotknął jej ze zdumieniem, jakby była utkana ze światła i wysadzana gwiazdami.

— Już nie jestem zmęczony, Eszkol — powiedział głosem cichym jak szmer rzecznego sitowia.

— Och — westchnęłam — cieszę się. Sama jednak jestem zmęczona jak stara, zgięta we dwoje osika.

*

Rankiem odszedł, a ja poszłam po rosie do Dziadka Cisa. Położyłam się przy jego korzeniach i gładziłam je, płosząc wiewiórki. Nie płakałam; nie mogłabym znieść dotyku wody na skórze.

Lubiłem go, zaszumiał Cis. I trochę to przemyślałem — a kora już odrosła.

Opowieść o Świętej Sigridzie, ciąg dalszy

— Wyszłam z lasu i wędrowałam długo. Nie szukałam morza, lecz w końcu żyzna gleba ustąpiła piaskowi, otuliła mnie mgła i słyszałam krzyki mew, i oto stanęłam na brzegu. Żebrak z nabrzeża powiedział mi o statku, który szuka kobiet do załogi, o magicznym statku z czerwonym kadłubem i kapitanem lisem. Zaciągnęłam się szybciej niż lampart chwytającego królika w szczęki — Tommy była rada, że do niej dołączyłam. Wcześniej nie rozumiałam, co Wanta mówił o instynkcie odchodzenia, dopóki nie zobaczyłam statku. Gdy go ujrzałam, nic nie mogło mnie powstrzymać od wejścia na pokład. Usłyszałam zew i poszłam za nim jak mój selkie.

Nie tęsknię za nim jak kiedyś — satyr nie jest stworzony do rozpaczania — ale raz na jakiś czas, gdy morze jest bardzo spokojne, śnię o skórach, o niezliczonych skórach jak łupinki cebuli. Ale jestem tutaj, pomieszczenia pod pokładem „Skarbu” są moim domem, i wcale nie jest źle brać udział w tej historii.

Okręt nagle przechylił się na bok i dziwny syk wypełnił powietrze. Eszkol zeskoczyła z koi, jej kopytka zadudniły na deskach pokładu.

— Wrzące Morze! — krzyknęła. — Sigrido, nie chcesz tego przegapić! Czegoś takiego żadna inna załoga nigdy nie przeżyje!

*

Obie wyszły na pokład, skąd dobiegał tupot i rwetes. Arimaspianowie stłoczyli się na dziobie, nie bacząc, że utrudniają pracę żeglarzom. Jeden z ostatnich sług Oluwakima łypnął okiem na młodą dżinicę, która w odpowiedzi pstryknęła ognistymi palcami i zapaliła mu brodę. Jego towarzysze zawyli z oburzenia i zgasili płomienie.

Tomomo stała spokojnie za kołem sterowym, prowadząc okręt przez Wrzące Morze, które biło w smukły kadłub nie falami, ale wielkimi bąblami i syczącą parą. Ocean, żywy i wściekły, syczał przy burtach, wyrzucał w górę kolumny wrzącej wody, która obryzgała twarz niejednej kobiety parzącym prysznicem. Z początku żeglarki były zafascynowane rozwścieczonym morzem, ale szybko nauczyły się trzymać z daleka od relingów. Panował ogłuszający hałas, jakby wiatr darł dom z papieru, miał ściany i rozrywał krokwie podmuchami.

Sigrida stała na rufie, wiatr smagał jej policzki. Patrzyła na horyzont. Przez chwilę, tylko przez chwilę, w miejscu, gdzie spokojna toń spotyka się z wrzątkiem, widziała szarą głowę foki, która podskakiwała na falach i szczeła cicho, żałośnie.

— Sigrido! Do mnie! — ryknął Oluwakim ze swego miejsca na dziobie. Dziewczyna odwróciła się niechętnie i pobiegła do niego. Stała za plecami jego ludzi, mając nadzieję, że władca nie rozkaże jej zejść pod pokład. Król podniósł w wielkiej czarnej dłoni długą mosiężną lunetę, potrząsając nią jak mieczem.

— Patrz! Ukryta Wyspa! Niezbyt dobrze ukryta, rzecz jasna, ale przecież żaden głupi gryf nie zdoła się schować przed Okularem! — Podał lunetę Sigridzie z gestem, którym jasno dawał do zrozumienia, że wyświadcza jej wielką łaskę.

Podniosła lunetę do oka. Rzeczywiście, w dali połyskiwała smukła linia lądu, coraz większa z każdą mijającą chwilą. „Skarb Panieństwa” ciął wrzącą wodę z niewiarygodną prędkością. Sigrida miała nadzieję, że wiatr ucichnie, że nie zdołają dotrzeć do wyspy i zamordować biednej Quri. Ale zanim się spostrzegła, statek rzucił kotwicę niedaleko brzegu. Arimaspianowie i Długoucha Tomomo wsiedli do szalupy, a Sigrida, choć z wielką niechęcią, musiała im towarzyszyć.

Ukryta Wyspa była marnym spłachciem piasku pośrodku szalejącego morza. Fale przyboju pieniły się na białej plaży, wyrzucały na brzeg kawałki drewna czerwone, jak poparzone ciało. Kiedyś pośrodku wysepki stała wieża, pozostało z niej rumowisko spękanych kamieni. Zachował się fragment muru i łuk, który mógł być oknem, lecz nic poza tym. Stopy przybyszów zadudniły na suchym lądzie. Arimaspianowie ze straszliwym krzykiem natychmiast popędzili przez wydmy, do gniazda Białej Bestii. Sigrida pobiegła za swoją kapitan.

— Zastanawiasz się pewnie, dlaczego wzięłam tych ludzi na pokład, skoro zamierzają wytępić całą rasę gryfów — powiedziała Tomomo cicho. — Myślisz, że to niesprawiedliwe i okrutne, ale na tym polega piractwo. Jesteśmy wolnymi kobietami i nie słuchamy praw, przed którymi wszyscy inni biją pokłony. Złoto, jakie dostaniemy, pozwoli nam załatać żagle i postawić wino na stole. Jeśli to ściska cię w dołku, zostawię cię na tej wyspie i możesz wydostać się stąd na własną rękę.

Sigrida nie odpowiedziała.

Kiedy przybyły do gniazda, Biała Gryfca ryczała jak ranny niedźwiedź i biła skrzydłami, broniąc się przed włóczniami i mieczami Arimaspianów. Walczyła desperacko — jednego z ludzi chwyciła w szczęki i rozdarła mu miękki brzuch, innego

rzuciła na poszarpane ruiny. Pod nią leżały trzy duże jaja, niebiesko-białe jak okruchy nieba.

— Wielce nieudolna taktyka, Oluwo! — wrzasnęła Tommy. Myślałam, że ty i twoje plemię jesteście niezrównanymi myśliwymi! Wyraźnie zostałam źle poinformowana.

Gryfica syknęła strosząc pióra. Była biała od końca ogona po czubek głowy; nawet sierść jej lwiego tułowia lśniła jaśniej niż lodowiec. Tylko szpony i dziób błyszcząły złotem, cała reszta zdawała się wyprana z koloru, czysta jak piaszczysta plaża. Z oczu gryficy wyzierały strach i rozpacz.

Oluwakim przez chwilę jakby się zastanawiał, potem od niechcienia dał znak swoim ludziom. Posłuchali natychmiast, odstępując od wściekłego potwora.

— Co byś zaproponowała, szczurze morski? Pożyczysz nam swoje zwierzoarmaty? Wystarczy jedna salwa całą burtą. My będziemy mieć kolację z gryfa, a ty swoją zapłatę — warknęła.

Dostrzegając okazję, Sigrida przemknęła obok wystrojonych myśliwych i wskoczyła do gniazda. Rozłożyła chude ręce, podejmując żalosną próbę osłonięcia bestii i bezcennych jaj. Oczywiście gryfica piętrzyła się nad nią, zupełnie odsłonięta.

— Nie pozwolę jej zabić! — krzyknęła Sigrida.

Oboje monarchowie, jeden z morza, a drugi z lądu, popatrzyli na nią z pełnym rozbawienia zniecierpliwieniem.

— Jesteś bardzo złą sługą, dziewczynko — zauważył Oluwakim. Był zupełnie spokojny, ani trochę niewzruszony perspektywą zabicia dziecka wraz z bestią.

— Naprawdę myślisz, że stworzenie tej wielkości potrzebuje tarczy? — zapytała Tommy, uśmiechając się szelmowsko.

— Oczywiście, że nie — ryknęła gryfica. Jej głos poszybował nad pustą plażą jak czarny ptak. — Ale gest się liczy. — Szorstko

trąciła Sigridę dziobem, w ten nieco dziwny sposób nagradzając ją za odwagę. — Przybyłeś więc po mnie, Oluwo? Mój brat przepowiedział, że pewnego dnia się zjawisz.

— Przed czy po tym, jak zapłodnił twoje jaja, barbarzyński mieszańcu? Nawet wśród psów brat nie parzy się z siostrą — rzucił król drwiąco.

— Nie próbuj mnie zawstydzać, małpo. Wiem, że w twoim gnieździe nie ma kogutów, więc nie drwij z mojego. Nie mamy prawa, które by tego zabraniało, a gdzie miałam znaleźć innego samca? Przez ciebie on był ostatni.

— Tak był ostatni i już go nie ma — parsknął Arimaspijanin. — Nic mu nie zrobiłem, lecz nie został po nim nawet kawałek ścierwa. — Gryfica drgnęła i spojrzała na króla z taką nienawiścią, że towarzysze odstąpili od niego, spodziewając się wściekłego ataku. — Widziałem to, Quri — dodał kpiącym tonem, postukując ciemnym palcem w złote oko. — Widziałem, jak pożerają twojego błękitnego brata. Oblizali się i urządzili sobie ucztę, a kości rzucili psom. Opowiesz nam o tym? Mamy czas — zabiję cię tak czy inaczej, ale nie muszę w tej chwili. Wysłuchałem ojca, który terkotał jak nakręcana zabawka, mogę okazać tę samą uprzejmość samicy. Wszyscy uwielbiają słuchać opowieści. Powiedz nam, jak twój brat zginął w dniu, w którym użyczył swoich barw twoim jajom.

Quri z żalu pochyliła głowę, patrząc na opalizujące barwami jaja. Kiedy przemówiła, jej głos był gruby z gniewu.

— Nie dla twojej przyjemności, mały królu małego pagórka, ale dla dziecka, które stanęło między tobą a moimi niewyklutymi piskletami...

Opowieść drugiego gryfa

Urodziłam się pod Różaną Kopułą Szadukiamu. Mnie jedną ze wszystkich gryfów kobieta nosiła w brzuchu, jak ludzkie dziecko, i z niej wyskoczyło moje jajo, i z niej się narodziłam. To słynna historia — nie będę jej powtarzać.

Moja matka gryficy zawsze mi mówiła, żebym nie wracała do Szadukiamu. To niegodziwe miasto, mawiała, jak człowiek, który trzyma nóż w ukryciu, podczas gdy inni noszą swoją broń jawnie. Chciałam posłuchać; chciałam być szczęśliwa na wyżynach Nuru, szczęśliwa jak Dżin, ukryta pod skrzydłem naszej matki z poświęcą księżycy na jej modrych piórach.

Ale nie mogłam. Ciągnęło mnie na dół, z powrotem do dziwnego, słodkiego zapachu umierających róż, do pokrytych pleśnią murów, które zwęzły się w diamentowe iglice, do ciemnych rynsztoków napełnionych deszczem. Ciągnęło mnie do Gioty, do jej zapachu, który przypominał mi matkę bardziej niż złota słoma gniazda. Podążałam za tym zapachem, zapachem krwi i fiołków zmiażdżonych pod stopą, zapachem ust Gioty. Nie pamiętam dokładnie czasu, który w niej spędziłam, ale moje serce wiedziało, że kiedyś było pod innym sercem. Podążałam ścieżką pamięci serca po srebrnych ulicach Szadukiamu, przez koronkowe cienie rzucane przez diamentowe iglice, aż ją znalazłam, kobietę, która mnie urodziła, śpiącą na stercie odpadków przed walącą się karczmą. Położyłam się obok niej, okryłam jej ciało skrzydłami, roniąc złote łzy w jej włosy.

Wiele razy szybowałam nad równinami pomiędzy Nuru i miastem. Giota zawsze cieszyła się na mój widok, choć rzadko rozmawiałyśmy. Tuliłyśmy głowy w cieniu szerokich koron drzew, głaskałyśmy się i wyskubywałyśmy liście, ja z jej szybko rosnących włosów, ona z mojej sierści. Nie musiałyśmy mówić, wystarczyło nam potajemne przebywanie razem. Byłyśmy jak matka i córka.

Dżin, który nie rósł w łonie kobiety, oczywiście tego nie rozumiał, ale nigdy mnie nie zdradził. Moja prawdziwa matka uważała mnie za swoją, wyłącznie swoją, do dnia, gdy została zabita i odcięto jej dziób, żeby ozdobił głowę jakiegoś Arimaspanina. Ukrywaliśmy się na oślepiających urwiskach, bo wciąż byliśmy młodzi i nie mogliśmy się bronić przed tak licznymi wrogami. Dżin zasłonił moją twarz skrzydłami, gdy ostatnie krzyki naszej matki niosły się po kryształowym kraterze.

Tego dnia zostawiłam go w gnieździe i poleciałam do Szadukiamu, żeby znaleźć pociechę na piersi Gioty. Nie mogłam zostać pod Różaną Kopułą — byłam zbyt duża — więc zbudowałam sobie gniazdo z cedru i kamfory poza kwitnącym miastem i codziennie jedna z nas chodziła do drugiej, by odprawiać naszą cichą komunię. Byłyśmy razem szczęśliwe... przez jakiś czas.

Płakałam dnia, gdy wykuła łańcuch i wbiła trzpień w ścianę wielkiej bazyliki. Nie rozumiałam. Nie mogłam znieść myśli, że już nigdy nie zasnę przy jej maleńkim sercu bijącym w moim gnieździe z czerwonego drewna.

Próbowała mi powiedzieć, że nic się nie zmieniło, że wciąż mogę do niej przychodzić na ten dziwny przykościelny dziedziniec — tak blisko miejsca, gdzie się narodziłam. Ale

wiedziała, wiedziała, że będzie inaczej, że coś się kończy i nie mogłam temu zapobiec. Spojrzałam na nią przez łyżę.

— Czy ja ci nie wystarczam? — szepnęłam chrapliwie. — Nie mogę dać ci szczęścia?

— Och, skarbie — odparła głosem stłumionym przez pomietę, mokrą suknię. Wsunęła palce w moje pióra. — Zawsze uszczęśliwiałaś Giotę. Ale ja nie jestem gryfem, ciężą na mnie obowiązki, które nie wiążą się ze złotem czy jajem. Muszę je spełnić.

— Nie mam złota do pilnowania. Mam tylko ciebie. — Chciałam przytulić do niej głowę, ale się odwróciła, otwierając ukrytą zakładkę w czarnej sukni, żeby usta w jej brzuchu — usta, które mnie nosiły — mogły mówić swobodnie.

— Quri, będziesz miała lęg jaj i gniazdo ze złota, takie jest przeznaczenie wszystkich gryfów. Każda z nas musi się zająć talizmanami naszego ludu — ty złotem, a Giota murem.

— Nigdy nie zdradziłaś mi nazwy swego ludu. Nie wiem nic o tobie, I twoich zwyczajach i twojej krwi. Jeśli porzucasz mnie nie dla tego muru z łańcucha, przynajmniej powiedz mi dlaczego, powiedz mi, jakie brzemię dźwigasz i dla jakiego plemienia. Powiedz mi, kim jesteś!

Giota stęknęła i oparła się o skruszałą, porośniętą mchem ścianę, trzymając brzuch rękami, jak zawsze w te nieliczne dni, gdy obdarzała mnie słowami, nie tylko czułymi westchnieniami — dni, które teraz pamiętam jak uczy, święta. Zwróciła ku niebu pozbawioną ust twarz i zamknęła czarne oczy, a język w jej brzuchu zaczął snuć opowieść...

Opowieść pustelnicy

Wiem, co myślisz. Że gdzieś na świecie żyje rasa ludzi, którzy mają usta w brzuchach; że gdzieś tam jest plemię, w którym niczym się nie wyróżniam.

To nieprawda.

Jestem zwyczajną kobietą, siostrą kobiet. Niestety, kobiety są rzadkością na dzikich, miodowych równinach moich stron ojczystych, na rozległych trawiastych przestrzeniach nakrapianych drzewami i koźmi. Dlatego moja karawana zawsze była mała. Synowie rodzili się często, przybywało braci, mężowie byli zbyt liczni dla niewielu żon. Każda kobieta miała ich wielu — mężczyźni walczyli o zaszczyt wżenienia się w jej łożę. Kobiety zawsze były potężne, wyrastały na wiedźmy albo wojowniczkę. Narodziny córki świętowano przez trzy noce, zajadając się mięsem chudych jastrzębi i jaszczurek o niebieskich brzuchach. Narodziny bliźniaczek uważano za cud zesłany przez błogosławione Gwiazdy.

Trojaczki zdarzają się raz na pokolenie, kiedy Gwiazda Wąż ustawia się w szeregu z Gwiazdą Harpunem i światło Przebitego Węża pada na żółtą trawę. Takie zrodzone z Gwiazd trojaczki zwane Sorella są symbolem karawany — rozsławiały nas, były bezcenne, bez tych świętych narodzin bylibyśmy zwykłą hołotą wędrującą z miasta do miasta, sprzedającą kurze łapki jako miłosne talizmany.

Ja jestem najmłodsza z trzech, urodziłam się całą minutę po siostrach. Jesteśmy wyjątkowe, jesteście święte. Najstarsza z każdej trójki ma w brzuchu oczy, średnia uszy, a najmłodsza

usta, jakby jakaś bogini przesunęła nam rękę nad twarzami i zmyła nasze oczy, uszy, usta. Byłyśmy Widzącą, Słyszającą i Mówiącą.

Zwałyśmy się Legiota, Magiota i Pangiota. Byłyśmy siostrami i jednomyślnie wytyczałyśmy szlak naszej karawany — Legiota widziała ścieżkę, Magiota słyszała komendy Gwiazd, a ja mówiłam, dokąd zmierzać. Nie mogłyśmy kłamać, nie mogłyśmy błędnie poprowadzić naszych ludzi. Gdy ktoś zasięgał rady Sorelli, tylko ja mogłam udzielić odpowiedzi i musiałam mówić prawdę, opowiedzieć o tym, co jedna siostra widzi, a druga słyszy. Byłyśmy więcej niż cudem — nasze twarze były dolinami, po których stąpali bogowie Gwiazdy. Plotłyśmy z włosów święte habity, gdyż nasze ciała są naczyniami światła Gwiazd, a żadna inna tkanina nie może być bardziej święta. Poszeptywano, że Sorelle są tymi samymi kobietami w każdym pokoleniu, że duchy jednych sióstr wstępują w ciała następnych. Nic mi o tym nie wiadomo — jestem Pangiotą.

Często zazdrościłam siostronom, bo przecież sama tylko przekazywałam co Legiota widziała i co Magiota słyszała. Ja też chciałam zwrócić ku niebu tajemne ucho i słyszeć rozgrzane do białości słowa Gwiazd, lejące się we mnie niczym płonący miód. Ja też chciałam zobaczyć ścieżkę prawdy rozwijającą się od moich powiek jak złota wstążka. Ale mogłam tylko rozsuwać włosy jak kurtynę i pozwalać mówić moim ukrytym ustom. Modliłam się, żeby nam zezwolili zamieniać się mocami, żebym mogła choć raz położyć się pod Gwiazdami i pozwolić, by świeciły na mój nieskalany brzuch.

Dzieci bezmyślnie klepią modlitwy, budują je jak zamki z piasku i zawsze są zaskoczone, gdy nagle zamek staje się

prawdziwy i żelazna brama zamyka się ze szczękiem.

Pewnego dnia, który nie różnił się od innych na stepach, kiedy miodowe ciastka gotowały się w rondlach, a mężczyźni leniwie strzelali do szopów i norników, chudych jak wysuszone kości, Legiota i Magiota zawołały mnie do naszego sekretnego miejsca. Kucnęłyśmy w jaskini czarnej skały ukrytej w zboczu pomarańczowo-białych urwisk, które wyznaczały granice naszych trawiastych równin. Zwykle plusk wody kapiącej z kamiennego stropu sprawiał, że robiłyśmy się senne i spokojne — ale tego dnia moje siostry były czujne i nerwowe jak lisy, które zwęszyły myśliwego. Rozplotły włosy od czubka głowy po pięty i siedziały nagie w jaskini, z brzuchami wystawionymi na pokaz niczym klejnoty.

— Widziałam nową ścieżkę — szepnęła Legiota.

— Słyszałam kroki Gwiazd zbaczających z kursu — dodała Magiota, ściskając moje ręce. Nagle zdałam sobie sprawę, że są przerażone.

— Po nas nie będzie więcej Sorelli. Karawana umiera. Niebawem zaczną rodzić się więcej córek, niż dotąd było nas wszystkich, i matki przestaną się o nie modlić. Nie będzie więcej potrójnych narodzin. Gwiazda Harpun odmówiła wyjmowania oczu, uszu i ust z twarzy innych córek, a Gwiazda Wąż nie umieści ich w innych łonach. W zamian dadzą nam pokolenia córek, lecz wszystkie będą zwyczajne. Nie narodzą się z mocą; będą musiały wydrzeć ją z tej jaskini, która jest głębsza, niż się domyślamy. Popadniemy w zapomnienie, a kiedy ostatnia siwowłosa babka, która nas pamięta, wytoczy w ziemię swoją najczarniejszą krew, karawana będzie głodna i spragniona, i umrze.

Legiota mówiła rzeczowo, jak o zwyczajnym deszczu padającym na równinach.

— Urodził się mężczyzna, którego praprawnuk zamorduje Gwiazdę Wąż. Nie ma już takiej ścieżki, którą Wąż z Nieba mogłaby podążać, aby uniknąć śmierci. Sama mi to powiedziała i oplakuje siebie pod czarnym woalem nocy. Sorelle były jej służkami, gdy żyła; nie możemy służyć jej po śmierci — powiedziała mi, że weźmie inne Gwiazdy za własne, małe węże będą jej płaczkami, i przeniesie się do świątyni leżącej daleko od przekłętego miasta, by czekać na przeznaczenie, które nadejdzie ciężkimi krokami. — Łzy z oczu Magioty spadły na podobne muszelkom uszy na jej brzuchu.

— Pangioto, siostrze, boję się śmierci — szepnęła Legiota chrapliwie.

— Dlaczego się boisz? — zapytałam. — Jeśli to nie nastąpi do czasu dojrzałości wnuka, nie ujrzymy zniknięcia Węża z nieba. Nie zobaczymy, jak nowe służki zajmują nasze miejsce. Jesteśmy bezpieczne, jeśli już nie błogosławione.

Moje siostry wymieniły spojrzenia i Legiota przeciągnęła ręką po gładkiej skórze w miejscu, gdzie powinny być oczy.

— Nie rozumiesz. My dwie jesteśmy jej służkami. Pójdziemy z nią do samotni i damy jej naszą siłę, damy nasz wzrok i nasz słuch małym węzom. Dopiero za pięć pokoleń jej światło będzie na tyle wielkie, by mogła zmartwychwstać po samobójstwie.

Spuściłam oczy, ramiona mi opadły. Z tkliwością i smutkiem dotknęłam brzuchów sióstr.

— A ja nie pójdę z wami.

— Pangioto. — Oczy Legioty złagodniały, w kącikach pojawiły się zmarszczki, gdy próbowała znaleźć delikatne słowa. — Jesteś z nas ostatnia. Gwiazda Wąż nigdy cię nie widziała, nigdy cię

nie dotknęła. Zna cię jedynie jako naszą siostrę. Ty tylko mówisz, a ona nie dba o ludzką mowę. Dla Sorelli jesteś niezbędna; dla Węza nie istniejesz. I Gwiazdy zdecydowały, że Sorelle powinny się rozstać.

Słowa te uderzyły mnie jak ryk gorącej wichury — ale wiedziałam, że wyrażają prawdę. Byłam niczym, tylko tubą, niemą fujarką, w którą płynął oddech moich sióstr. Pokiwałam spuszczoną głową, świadoma, jak jestem przy nich mała. Magiota objęła mnie i przycisnęła trzepoczące uszy do moich ust. Rzadko dzieliłyśmy takie chwile zażyłości, zetknięcie rzęs z ustami i z płatkami ucha.

— Pójdziemy, kochamy naszą boginię równie mocno jak ciebie. Postanowiłyśmy jednak, że nie pozwolimy, aby Sorelle odeszły ze świata. Czuwałyśmy w tej jaskini, szukając ścieżki, która pozwoli nam zostać z tobą, pozostać Sorellami i zrodzić kolejne trzy siostry, aby pamięć o nas przetrwała poza śmierć Gwiazdy. Żadna karawana nie powinna być ślepa i głucha, niema i bezradna. I znalazłyśmy sposób. — Magiota uśmiechnęła się i wyjęła mały nóż z fałd spódnicy, zakrzywione ostrze z kościaną rękojeścią.

— To, co było nasze, będzie twoje, Pangimoto — podjęła Legiota. — Wytniemy nasze oczy i uszy, damy je tobie do przełknięcia. Moc przejdzie na ciebie, wszystkie Sorelle będą w jednym ciele. Odejdiesz od karawany, zostawisz konie, których zapach znasz jak własny, i pójdiesz do miasta okrytego kopułą z róż, i tam będziesz czekać na bestię, która do ciebie zawoła. Już to widziałam; widziałam, jak stąpasz pod białymi płatkami. — Oczy Legioty lśniły w ciemności jak zielone pochodnie.

— Połkniesz dziecko bestii, jak teraz nasze ciało, i będziesz je nosić niczym własną córkę. — Magiota spokojnie pogładziła

swoje uszy. — W ten sposób dwie rasy zostaną ocalone, a my trzy na zawsze będziemy razem, poza śmierć Gwiazdy. Pójdziemy do samotni, ty pójdziesz do niegodziwego miasta i dzięki tobie urodzimy się po raz wtóry.

— Nie rozumiem! — krzyknęłam, nie chcąc pozreć swoich sióstr, przerażona ich dziwnymi słowami.

— Zrozumiesz. Wypełnienie proroctwa jest trudne, lecz wiemy, że nie ma innego sposobu, by Sorelle przetrwały, a my nie odmówimy wołaniu Węża.

Och, jak płakałam! Nagie niczym zwierzęta, na moich oczach przeprowadziły operację: Magiota wbiła ostrze w brzuch — weszło z przyprawiającym o mdłości cmoknięciem, jak palec przesuwany przez płynącą wodę — i powoli wycięła uszy, pocąc się i krzycząc cicho w czasie pracy. Siła się na uśmiech, żeby mnie nie przestraszyć, ale nie mogłam znieść tego widoku; zwymiotowałam w kącie jaskini, słysząc jej pojękiwania. Potem Legiota wycięła oczy bez jednego jęku, lecz jej oddech był poszarpany jak podarta suknia, a ręce lśniły od krwi.

Siostry położyły przede mną żalostne fragmenty swojego ciała jak słudzy, którzy stawiają wyborne ciasto przed swoją panią. Obie wciąż krwawiły, a jednak się uśmiechały, splatając moje włosy z matczyną troską jak wtedy, gdy wszystkie byłyśmy dziewczynkami. Odsunęły na bok długie pasma, objęły mnie i kołysały, gładząc moją twarz lepкими czerwonymi rękami, nakłaniając mnie do przełknięcia, do zamknięcia oczu i zrobienia tego, zanim narządy ostygną i obumrą. Płakałam głośno w ich ramionach, moje krzyki tłukły się echem po skalnej komorze, aż się zdawało, że otacza nas chór wrzeszczących duchów. Siostry uciszały mnie i tuliły, w końcu chwyciłam zakrwawione grudy ciała i wcisnęłam je do ust,

krztusząc się, przełykając i znowu się krztusząc. Wepchnęłam je w głąb brzucha-gardła i moje łyzy mieszały się z ich krwią, aż czułam tylko smak soli.

Później zapadła cisza.

Leżałam na chłodnej skale, a one leżały ze mną, krew ściekała po naszej skórze jak farba. Leżałyśmy niczym kochankowie, splecione w bólu i smutku. Legiota odgarnęła od ucha moje zmierzwione włosy i powiedziała:

— Teraz nigdy się nie rozstaniemy; jesteś nami i będziesz żyć dalej. My odejdziemy z tego świata, ty wejdiesz w jego parujące serce. Ale pamiętaj, na zawsze będziemy Sorellami. Twoim obowiązkiem jest prowadzić karawanę, rozpadający się tabor naszych krewnych, którzy pełzają po powierzchni ziemi, poszukując owoców w glebie, poszukując objawienia w niebiosach. Kiedy bestia odejdzie z miasta, a ty spełnisz swój obowiązek wobec niej, musisz być Sorellą dla wszystkich karawan i służyć im jak my wszystkie. Będą do ciebie przychodzić, a ty musisz dla nich patrzeć, dla nich słuchać, dla nich mówić. Zetnij włosy, gdy wejdiesz do miasta, przywdziej ich tkaninę, nie własną, ale gdy skończy się okres twojego macierzyństwa, gdy będziesz gotowa, spleć je znowu w naszą świętą szatę. Będziemy z tobą, w tobie, i będziemy cię kochać do końca dni tego ciała.

Z tymi słowy Legiota i Magiota położyły ręce na moich piersiach jak córki i zmarły. Ich duchy, ich światło wzniosły się niczym para, by połączyć się z Wężem w samotni.

Płakałam sama w ciemnościach.

Opowieść drugiego gryfa, ciąg dalszy

Oczy Gioty były suche i matowe.

— Nim dotarłam do diamentowych wież Szadukiamu, słyszałam w sobie głosy; słyszałam Gwiazdy śpiewające w chórach i widziałam ścieżkę rozwijającą się przede mną niczym złota wstążka. Już nie byłam Pangiotą; byłam tylko Giotą, każdą z nas i żadną z nas. Trudno to wyjaśnić — czasami mówiłam do nich, czasami do siebie, czasami do martwego powietrza. Spełniłam swój obowiązek wobec bestii, wobec gryfa, teraz muszę spełnić obowiązek wobec sióstr, muszę być Sorellami Szadukiamu, pustelnicą, wyrocznią.

Patrzyłam na nią w osłupieniu, zadziwiona ogromem pokory.

— Ale dlaczego musisz przykuć się do ściany? Możesz być wyrocznią wszędzie, wieże są ich pełne! Możesz zostać w moim gnieździe i lud miasta będzie do ciebie przychodzić.

Giota spojrzała na mnie dzikim wzrokiem, bezbronna jak jagnię w kłach wilka. Choć wiedziałam, że jej usta w brzuchu są wolne i szerokie, gładka skóra w miejscu, gdzie powinny się znajdować, wyglądała tak, jakby kneblowała ją jakaś okropna lina.

— Boję się, Quri. Jeśli nie zrobię teraz tego, nie zostanę. Pójdę z tobą i porzucę swoje siostry. Przez całe życie modliłam się o ich moc, a teraz jestem nią przerażona. Nie zazdrość mi niczego, takie moje przeznaczenie. Jak ty pewnego dnia

będziesz miała złoto i jaja pod opieką, tak ja muszę opiekować się nimi.

Podniosła rękę i pogładziła mnie po twarzy — jej ręka była taka drobna! — a potem ją opuściła, żeby zedrzeć suknię. — Pomóż mi, córko. Pomóż mi zapleść włosy.

Opuściłam głowę do tych długich, szorstkich pasm, a wówczas zalał mnie ich znajomy zapach. Podnosiłam dziobem jedno pasmo po drugim, powoli, niezdarnie, splatając habit do kostek. Moje łzy spadały na tę dziwną tkaninę i zostawiały złote plamy w splotach.

— Matko... — Z tym słowem wezbrana rzeka wylała w moim sercu. — Naprawdę będę miała własne złoto i jaja pod opieką? Nie mogę w to uwierzyć; nie mogę uwierzyć, że rasa gryfów przetrwa. Jeśli teraz jesteś wyrocznią, jeśli jesteś pustelnicą, musisz powiedzieć mi prawdę. Nie możesz krzepić mnie kłamstwami.

— Quri, twój brat żyje, a zatem masz obowiązek do spełnienia, podobnie jak ja. On zapłodni twoje jaja i będziesz miała trzy pisklęta, by ogrzewać je futrem podbrzusza. Idź, wracaj na Czerwoną Górę, i odzyskaj go.

To rzekłszy, Giota zacisnęła łańcuchy na nadgarstkach i zajęła miejsce pod murem. Zostawiłam ją, choć moje kości rozpaczały, i wróciłam na równiny Nuru, by znaleźć mego błękitnego brata i być posłuszną matce, jak robią dobre dzieci.

W ogrodzie

Wciąż było ciemno. Niebo wisiało w górze jak namiot nomady, oświetlone latarniami gwiazd i targane cichym wiatrem. Chłopiec złożył głowę na kolanach dziewczynki — zrazu gratulował sobie odwagi, ona jednak wydawała się zadowolona i mierzwiła jego włosy nerwową ręką.

— Dziś będę sprytny — szepnął — i nie dam się złapać.

Jej śmiech brzmiał jak szmer deszczu ściekającego po palmowych liściach.

— Naprawdę! Nie pozwolę, żeby twoja opowieść zatrzymała mnie do czasu, gdy światło rozłupie niebo jak gliniany dzban! Odejdę teraz, póki gwiazdy wciąż są jasne, i wrócę jutro o wczesnym wieczorze.

Pobiegł radośnie, mijając stateczne rzędy cyprysów, ku minaretom pałacu, które wznosiły się w ciemne niebo jak drugi gaj strzelistych drzew.

Ale następnego wieczora chłopiec nie przemierzał swobodnie ogrodu, tylko kulił się w kącie zagrody nachmurzony. Podciągnął kolana do piersi i leżał tak długo, aż nagle zobaczył, że dziewczynka czołga się ku niemu przez sekretne przejście. Siano zdobiło jej czarne włosy jak złota korona. Chłopiec ochoczymi rękami wciągnął ją do zagrody.

— Nie byłem taki sprytny, jak myślałem — wyznał. — Dinarzad mnie nie przyłapała, ale gruba kucharka widziała, jak

się skradam, i przysięgła, że mnie wyda, jeśli znowu zobaczy, jak wymykam się tymi drzwiami. Nie mogłem się zdecydować, czy wyjść po raz drugi. Próbowałem być dzielny jak Sigrida na pirackim statku, by pójść do mojego gryfa bez względu na wszystko. Ale nie mogłem się zdecydować. — Zarumienił się, choć tego nie cierpiał.

— To nieważne. Łatwo cię znaleźć — szepnęła dziewczynka z lekkim uśmiechem.

Razem usiedli w kącie zagrody, podczas gdy kasztan parskał i cicho przebierał kopytami, trącając chrapami słońą lizawkę.

— Biała gryfca była zrozpaczona długo po tym, jak Giota przykuła się do muru — zaczęła dziewczynka melodyjnym głosem, wznoszącym się i opadającym jak szum sitowia w czasie letniej burzy. — Nie mogła znaleźć pociechy i zataczała kręgi wokół bazyliki, krzycząc z żalu jak albatros. I ten dźwięk, choć mniej przenikliwy niż wrzaski konającej matki, niósł się łagodnie na wietrze ku czerwonym szczytom Nuru, a tam Dżin, niebieski gryf, przez całe lata słyszał echa smutku. Kiedy więc jednonogi wspiał się na jego grzbiet, gotów lecieć do Szadukiamu, Dżin nie krył radości, bo pod kopułą róż miały na niego czekać dwie ostatnie na świecie istoty, które kochał...

Opowieść drugiego gryfa, ciąg dalszy

Nie wiedziałam, że mój brat przybywa, ale coś w moim lwim sercu zbudziło się i zaczęło we mnie krążyć. Coś w moim orlim sercu szeleściło i smakowało powietrze skrzydłami. Czekałam, nie wiedząc, na co czekam, przez wiele dni, zanim niewyraźna turkusowa plamka, zarysowała się na niebie.

A potem się pojawił, niosąc na plecach jednonoga. Stanęliśmy razem przed bazyliką, przed skrzyżowanymi korzeniami wysoko sklepionych drzwi, pomniejszając sylwetki parafian, wyszkolonych, żeby nie patrzeć na potwory w drodze do i ze świątyni. Potwory stanowiły część drugiego Szadukiamu, cienistego miasta, którego symbolem stała się pozbawiona ust istota siedząca w świętym miejscu za kościołem. Pobożni szadukianie byli nadzwyczaj wprawni w ignorowaniu drugiego miasta.

Jednonogi wyplątał się z piór mojego brata i stanął niezdarnie. Dżin przytulił głowę do mojej głowy i witaliśmy się w milczeniu, gładząc szyje dziobami i zamykając oczy, spowici znajomym zapachem. Mruczenie i gruchanie zbudziło się samo w naszych od dawna rozdzielonych piersiach. Jednonogi chrząknął znacząco. Nie patrząc na niego, Dżin warknął:

— Idź! O północy sprowadź do mnie kobietę Yi, a ja zrobię, co trzeba. — Nie oderwał ode mnie oczu, gdy mały człowieczek oddalał się w podskokach.

— Giota już nie jest moją matką — wychrypiałam, smutek wciąż zaciskał mi gardło.

Dżin tylko wzruszył lazurowymi barkami.

— Nigdy naprawdę nie była twoją matką, siostró. Prosiłaś ją o zbyt wiele.

— Nie widziałeś, co sobie zrobiła! Idź do niej i sam zobacz, zobacz, jak nurza się w brudzie i nędzy! Idź i poproś, żeby przepowiedziała nam przyszłość — teraz jest tylko głupią wróżbitką czytającą w Gwiazdach!

Poszliśmy do niej razem. Trudno opowiadać o spotkaniach z bliskimi, bo ważne są jedynie dla tych, którzy się spotykają. Jak opisać delikatny, ostrożny uścisk dwóch olbrzymów i drobnego stworzenia odzianego we własne włosy? Kochaliśmy, wciąż ją kochamy; trzymaliśmy ją między sobą jak dziecko. Giota przewróciła oczami i rozchyliła włosy, żeby przemówić.

— Wiem, że nie chcecie tego słuchać, ale nadszedł czas. Ty, Quri musisz złożyć jaja, a mój śliczny błękitny chłopiec nie przeżyje nocy.

Dżin się nie poruszył, tylko czule gładził Giotę długim, niebieskim jak atrament piórem. Ja drgnęłam zaskoczona.

— Żałuję, Quri, że przybyłem nie tylko po to, żeby się z tobą zobaczyć — szepnął. — Jestem tutaj dla pniakonogiego i zamierzam zabić coś tej nocy. Cokolwiek mordujesz, musisz zapłacić, tak jak płacimy za gryfy, które wymordowały konie Arimaspanów, i jak oni płacą za wybicie gryfów.

— Lećcie już, w niebo! — ponagliła Giota. — Jeśli wasze piskłeta mają być nazwane moimi wnukami, niech tak będzie, ale muszą się narodzić. Wysunęła się z naszych objęć pod omszałą ścianę i odwróciła twarz, gładząc usta i mrucząc po cichu.

Dżin wzbił się w niebo jednym uderzeniem skrzydeł, a ja pospieszyłam za nim. Jak mam opowiedzieć o godach gryfów? Nie jesteśmy ptakami, nie jesteśmy kotami, ale wzbijamy się spiralą do podbrzusza chmur jak ptaki i rzucamy się sobie do gardeł jak koty. Nikt nam nie powiedział, co robić; nikt nam nie powiedział, że tego nie robić. Nasze oczy płonęły złotem i czernią, nasza sierść się zjeżyła, wąsy nastroszyły. Kłapaliśmy na siebie dziobami, w naszych piersiach brzmiało głębokie warczenie, gdy zmagaliśmy się w powietrzu jak anioły. Okrążaliśmy się w oślepiającym błękicie i bieli nieba, i w pewnej chwili on zatopił zęby w moim karku, a ja wydałam dźwięk pękających dzwonów, i oboje płakaliśmy, gdy zesliśmy się pod słońcem i tysiącem róż Szadukiamu.

Potem opadliśmy, gwiazdy rozerwały tkaninę nieba, a my byliśmy skrwawieni i posiniaczeni. Jednonogi czekał przy wielkich drzwiach świątyni z kobietą ze swojego plemienia. Łypała na nas, odsłaniając drobne zęby, poszarpane i ostre. Jej skóra była dziobata i niezdrowo blada, niemal przezroczysta, jak więdnące płatki. Było jasne, że Yi czai się pod tą powłoką.

— Dostanę samca czy korną samicę? — syknął, szczerząc się do nas okropnie.

— Był tylko jeden sposób — rzekł błagalnym tonem pierwszy jednonogi. — Nie chciał przyjść, dopóki nie obiecałem mu ciała.

Yi obliznął popękane wargi.

— Nigdy nie mieliśmy gryfa. Wszyscy zdychacie samotnie na przeklętych plażach wasza krew wysycha na pustyni. Jesteśmy ciekawi, jak to będzie latać z takimi skrzydłami.

Dżin patrzył na mnie przez chwilę i wyszeptał cicho:

— To jak umieranie.

Potem nieznacznie poruszył ciemnymi barkami. Skoczył tak szybko, że widziałam tylko błękitną smugę, i zatopił szpon w oku rozkładającego się Yi. Stwór wrzasnął przeraźliwie, był to straszliwy dźwięk — jak metal trący o metal, a może kwik świń i piszczenie szczurów. Białko oka wokół pazura nabrzmiało i pękło, ściekając na wypolerowany dziedziniec niczym rozlane mleko. Wreszcie został tylko stos na wpół płynnych kości, które jednonogi miłośnie przytulił do piersi i dziękował i płakał.

— Pogrzebię je jak należy, wypowiem nad jej grobem słowa o Wysoko Rosnącym Mchu i będę je powtarzać każdego roku od tego dnia. Dziękuję, Dżinie z Czerwonego Szczytu, dziękuję, dziękuję. Nie wiesz, ile mi dałeś. — Wiele razy zgiął się w niskim ukłonie, podskakując śmiesznie jak zabawka.

Odetchnęłam z ulgą — straszny targ został dobity.

I nagle na dziedzińcu zaroily się białe postacie, stąpające jak stado psów z obnażonymi zębami, wyjące i kłapiące. Nigdy nie widziałam Yi, tylko o nich słyszałam, a ich było tak wielu, i tak wielu w ostatnich dniach posiadania, gdy ciała odzwierciedlają powierzchnię Księżyca — są zielono-białe, pokryte bliznami, napięte i lśniące jak kościane maski. Stracili wszelkie podobieństwo do cywilizowanych istot, które lubili udawać, i stali wśród nas, wyjąc i śliniąc się jak głodne wilki. Klaskali trupimi rękami na znak groźby i radości, kawałki ciała odrywały się z palców, spadając na bruk jak ciasto z łyżek piekarzy.

Ich mowa była okropnym chórem syków i mlaskania, i nie mówili ani razem, ani osobno — zdania płynęły od stwora do stwora, jakby żaden nie mógł skończyć myśli bez swoich braci i sióstr.

— Jak śmiałeś...

- Nas dotknąć? Jesteś...
- Znienawidzony przez Księżyc, jesteście jej najlepszymi...
- Zeżremy ciało...
- Z twoich palców! Kundlu...
- Nie miałeś...
- Prawa!

Dżin odsunął się od nich powoli, jego zadnie łapy grzechotały na kamieniach dziedzińca. Ale śliniący się zamknęli krąg za nim. Jednonogi ciągnął mnie za futro.

— Odejdź, odejdź! — błagał. — Oni już go nie puszczą. Teraz możesz uciec.

— Ale nie mogę pozwolić, żeby zabrali jego ciało... wszystko to dla twojej nieszczęsnej kobiety. Czy podobny los ma spotkać mego brata?

— To nie będzie przejęcie — mruknął ponuro. — Nie zabiorą jego ciała, rozszarpia je na kawałki. Dla nich utrata jednego członka plemienia równa się stracie nogi w kolanie. Wywrą zemstę, a kiedy skończą, nie zostanie nic prócz paru kropel krwi, które jutro rano wierni wytrą butami w drodze do kościoła. Przykro mi, przepraszam, wiedziałem, że to może się zdarzyć, ale musiałem pomóc Towie, musiałem ją uwolnić. Nic nie możesz zrobić. Nawet jeśli zabijesz wszystkie, w ostatnim tchnieniu wezwą rodzeństwo. Następni Yi przybędą z najgłębszych szczelin i zaułków miasta. Ich liczba nie ma granic. Jeśli chcesz żyć, urodzić pisklęta... — zarumienił się lekko i odwrócił wzrok, speszony zapewne, jakąś tradycją obyczajności wobec brzemiennych samic wśród swojego ludu — jedynie wysoko pod niebem znajdziesz bezpieczne schronienie. Leć, znajdź jakąś zapomnianą plażę i ukryj swoje młode. Póki zapach mojej Towy unosi się w powietrzu, będą

szaleni i niepomni twojej obecności. Potem, znów się uspokoją zabiorą twoje ciało. Twoje dzieci urodzą się szare i martwe, ich pierwsze krzyki będą szyderczym śmiechem.

Nienawidziłam jednonogiego, który sprzedał nas tym padlinożernym poczwarom. Chciałam go zabić. Chciałam wrazić mu szpony w oczy. Ale Giota by się za mnie wstydziła. Odwróciłaby się do mnie plecami, wyrzuciła z pamięci moje imię i moje dzieci nigdy by jej nie poznały.

Wiedziała, że Dzin jest bliski śmierci — to musiało coś znaczyć, to musiało być ważniejsze niż wyrównanie szal po morderstwie.

Spojrzałam mu w twarz, a on ani mrugnął. Szybko, jak krawcowa rozpruwająca szwy, przekrzywiłam dziób, oderwałam mu lewe ucho od głowy i wyplułam je na ziemię. Jego gorąca krew, ściekała mi z dzioba, gdy uderzyłam skrzydłami raz, drugi i trzeci, i wzbiłam się w noc.

Krążyłam wysoko nad stadem oszalałych Yi, które dygotały z podniecenia i żądy. Niemożliwe, by brat śledził wzrokiem mój lot, by przed śmiercią zrozumiał, że jestem bezpieczna — los odmówił mu łaski, na którą zezwalają wszystkie historie podobne do naszej. Nam nie było to dane.

Patrzyłam, gdy Yi doskoczyli i zatopili diamentowe zęby w bokach Dżina. Mój brat wrzasnął jak wiatr w pękniętej szybie i wrzeszczał, dopóki jedno z bladych, kościstych stworzeń nie zatrasnęło szczęk na jego pięknej lazururowej szyi, i skonał z chrapliwym, zduszonym szeptem.

Patrzyłam, gdy pożerały go w chorobliwym świetle swojego Księżyca.

Opowieść o Świętej Sigridzie, ciąg dalszy

Quri pogładziła piasek lśniąca łapą.

— Przez całe życie nie poświęciłam jednej myśli Arimaspianom. Wielbiłam ludzką kobietę. Widziałam śmierć Dżina; widziałam, jak stał się karmą dla duchów i upiorów, których krwią było księżycowe światło. Nie myślałam o głupich ludziach, którzy tak kochali złoto, że dla niego unicestwili całą rasę. Przybyłam tutaj; jak jesień długa składałam jaja na suchym skrawku plaży i okrywałam je swym ciałem. Mijały lata — gryfy długo muszą wysiadywać pisklęta. Fale powoli wymywały ziarenka złota, drobiny i grudki. Złoto skrzyło się w piasku, mieszało się z piaskiem. Ta wyspa zrobiona jest ze złota. Nie wiedziałam o tym, kiedy tu przybyłam, szukałam tylko miejsca, gdzie mogłabym odpocząć, gdzie nikt mnie nie znajdzie. Wrzątek miał mnie chronić. Skąd mogłam wiedzieć, że pośrodku wrzących wód złota wyspa wznosi się jak płetwa wieloryba? Z czasem uznałam, że jest piękna, i zebrałam większe kawałki, żeby uwić prawdziwe gniazdo dla piskląt. Powoli zaczęłam dostrzegać w złocie to, co przede mną widziały wszystkie gryfy — kolor słońca, światło, życie i ogień skrzące się tak gwałtownie, że daje spokojne ciepło, które tylko my możemy poczuć. Zaczęłam je kochać. I wciąż nie myślałam o Arimaspianach, o stworzeniach, które zabiły moją matkę, o przyczynie, z jakiej nie możemy gromadzić cennego kruszcu tyle, ile chcemy, bo zabójcy ciągną do niego jak pszczoły do

letniego miodu. Nie myślałam o tym, dopóki nie ujrzałam masztu statku na wrzącym horyzoncie. Wtedy sobie przypomniałam, wtedy zawstydziłam się swojej naiwności. Chciałam tylko pomóc moim pisklętom przebić skorupki i nauczyć je latać; chciałam tylko pod osłoną nocy zaprowadzić do Gioty troje pięknych dzieci, które potrą dziobami jej szyję i przytulą do niej ciepłe głowy. Zapomniałam, że nie jestem gryfem, tylko łowną zwierzyną — ostatnią zwierzyną.

Sigrida miała oczy pełne łez. Oparła się chęci pogładzenia pięknych piór gryfa, lśniących zimno jak śnieg na srebrnym posągu. Z zachwytem patrzyła na baśniowe zwierzę, którego orla głowa rysowała się na tle zasnutego chmurami słońca. Nagle złoto dzioba błysnęło i rzeczywiście, Sigrida ujrzała odpowiadające mu błyski w piasku. Tu i tam, i znowu tutaj drobiny złota zalśniły na plaży.

Głęboki jak huk bębna głos Oluwakima rozerwał jej myśli niczym lotna strzała.

— Ona jest obrazą boską i tchórzem! Myślałem, że znajdziemy prawdziwą bestię, a zamiast tego mamy przed sobą tylko tę biedną stertę śmieci, ostatniego zszarganego gołębia z rasy gołębi.

Wielkie czarne wąsy króla arimaspijskiego Oculosa zadrżały niczym kontynenty dryfujące w nocy. Jego ludzie stali jak zamarznęte kloce. Nietrudno było przeoczyć nagły ruch, ale Sigrida go dostrzegła. Oluwakim sięgnął po smukły sztylet, przez chwilę ścisnął go w garści, a potem rzucił niemal od niechcienia prosto w serce Białego Gryfa.

W tej samej chwili drugi nóż ugrzązł głęboko w jego plecach. Krzyk konającego króla zabrzmiał w harmonii z ostatnim

jękiem Białej Bestii. Oba ciała osunęły się bezwładnie i wylały najczarniejszą krew swoich serc na złoty piasek.

Sigrida krzyknęła, lecz nawet w rozpaczy wypatrywała ręki, która cisnęła drugim nożem. Jej oczy skoczyły na żalospną plażę, szukając skrytobójcy. Wreszcie spojrzęła na czarnowłospą Tomomo, która opierała się nonszalancko o chudy pień wygłodzonej palmy.

Obok niej stała kobieta, która mogłaby być bliźniaczą siostrą martwego króla. Włosy miała długie, przeplecione błyszczącym złotem. Jej skóra barwy cienia w głębokim cieniu przypominała polerowany heban. W miejscu, gdzie król miał złote oko, miała oko z berylu o barwie morskiej zieleni, pożyczkowane bielą. Z jej pasa zwisało kilkanaście noży, wszystkie złote nieruchome jak dzwony bez serc.

Tomomo ujęła dłoń ciemnowłosej kobiety, ucałowała ją z szacunkiem i ruszyła w stronę zwłok Oluwakim z ponurą miną, z wargami tak napiętymi, że nie przesunęłaby się pomiędzy nimi najcieńsza nić. jednym dzikim ruchem postawiła sandał na masywnym ramieniu króla i wyrwała z czaszki złote oko. Arimaspanie zawyli z wściekłości, ale uciszyła ich spojrzeniem. Z powagą wyjęła berylowe oko z własnego oczodołu i zastąpiła je złotym. Krew króla ściekała z oka jak łzy.

— Tommy! — krzyknęła Sigrida, wciąż w wielkim gnieździe, zastygła z szoku i żalu. — Co się dzieje? Coś ty zrobiła?

Kapitan też podeszła do trupa. Uklękła i obejrzała ciało króla, wyskubując parę największych bryłek złota z jego włosów.

— Sigrido, na tym polega piractwo — powiedziała ze smutkiem, wciąż szukając łupu na zwłokach. — Oluwakim dał nam mnóstwo pieniędzy za wytropienie biednego gryfa. Oluwafunmike dała nam więcej. Ukryliśmy ją w ładowni, to

nie trudna sztuka. „Skarb Pannieństwa” jest niezwykle także pod pokładem. Oluwafunmike miała nadzieję, że ojciec zadowolony się jajem i nie zabije gryfa. To smutne, że rodzicom często nie należy ufać. Ale nie nasza rola trzymać czyjąś stronę w sporach dynastycznych, nawet... — z wielkim uczuciem spojrzała w oczy Oluwafunmike — nawet gdy po jednej stronie leży lwia część cnoty.

Księżniczka wyrwała nóż z pleców ojca.

— Nie pozwolimy, żeby cały nasz lud był wysławiany za mordowanie gryfów. Wezmę teraz Okular i założę nową dynastię. To oko, ostatnie ze wszystkich oczu, będzie przechodziło z dziedzica na dziedzica. Nigdy więcej nie wydrzemy złota z piersi niewinnych bestii. Nasza przyszłość była warta zapłaty dla Tomomo, warta znoszenia towarzystwa piratów. Po przyjacielsku trąciła ramię Tommy wielką pięścią.

— Ale właśnie tacy jesteśmy, córko Oluwy — zaprotestował jeden z Arimaspiaków. — Bez polowania na gryfy będziemy tylko nomadami na morzu stepów. Zniszczysz naszego ducha! Oko nas pobłogosławiło!

— Nic nie rozumiesz? Wszystkie gryfy nie żyją. Nie będzie więcej polowań, czy to ogłoszę w edykcji, czy nie. Jeśli zamierzasz się ze mną kłócić albo podważać moje prawo do Okularu, już jesteś martwy i gnijesz jak mój ojciec. Nie obawiałam się zatopić noża w jego plecach, więc możesz mi wierzyć, że nie zawaham się zanurzyć go w twoich. — Mężczyzna popadł w ponure milczenie, a Oluwafunmike ze smutkiem pokręciła głową. — Wszystkie nie żyją, synu Ofira, są martwe jak zima na wielkiej — pustyni. Oko nas pobłogosławiło, tak, ale okazaliśmy się niewarci jego Spojrzenia.

Dał się słyszeć szybki szelest, który narósł w kakofonię trzasków i łoskotu, jakby rozszczepiała drewno srebrną siekierą. Tomomo i księżniczka kręciły głowami jak bażanty na jesiennym polu, próbując zlokalizować źródło tych odgłosów. Arimaspianie nagle się zawstydzili i przelękli, jakby oczekiwali, że przybędzie duch króla i ukarze ich za poddanie się córce. Ale Sigrida natychmiast zrozumiała. Jaja w złotym gnieździe, zaczęły pękać wszystkie naraz, co nie powinno się zdarzyć. Marmurkowe błękitno-białe skorupy pękały jak szafirowe kości, z jaj wyciekły resztki lśniącego złotego żółtka.

Z pokruszonych ruin skorup wzniosły się drżąco trzy maleńkie gryfy dwa granatowe, niemalże czarne i jeden z piórami bielszymi niż pierwszy śnieg pierwszej zimy świata. Były wielkości żbików i siła już falowała pod ich miękką skórą. Wstrząsnęły się jak pisklęta gołębi, ochlapując twarz Sigridy migoczącymi kropelkami żółtka. Cisza zapadła na wietrznej plaży i tylko wiatr szumiał, bijąc w ramiona ludzi, z których żaden nie ośmielił się drgnąć ani odezwać. Cisza była niezmacona, jednolita jak blok obsydianu.

Przerwało ją zawrodozenie. Gryfy zwróciły łebki ku ponuremu niebu i skrzeczały, z ich gardeł płynął straszny krzyk, jakby szpony darły lustro na wstążki. Nikt nie mógł znieść tych głosów — horda Arimaspiaków padła z płaczem na piasek, tłukąc pięściami katowane uszy. Tylko Sigrida nie okazała lęku, a dźwięk, który nawet dla Tomomo i księżniczki był straszny, dla niej brzmiał jak piękny śpiew ptaków w jasnym słońcu. Przysunęła się do wyjących piskląt i ostrożnie wyciągnęła do nich ramiona. Natychmiast się uciszyły i skuliły w jej drobnych brązowych dłoniach, wdychając jej zapach i popiskując cichutko.

Wtedy Sigrida to zobaczyła. Jej usta otworzyły się jak drzwi, rozwarłe przez konsternację i zdumienie.

Gryfy były ułomne. Większy z dwóch ciemnoniebieskich lwioptaków nie miał oczu tam, gdzie powinny błyszczeć — oczy mrugały na porośniętej puchem piersi. W piersi mniejszego granatowego widniały dwie maleńkie dziurki: uszy orła. A biały nie miał dzioba. Sigrida delikatnie dotknęła jasnej ptasiej piersi, w której ludzkie usta otworzyły się i zamknęły słabo. Różowe wargi lśniły od złotych łez.

— Co im się stało? Dlaczego są tak zdeformowane? — zapytała Oluwafunmike, podchodząc bliżej. Tomomo szła za nią ostrożnie.

Sigrida lekko pokręciła głową i przez chwilę wyglądała prawie jak Arimaspianka, bo złote żółtko pokrywało jej długie włosy.

— Są Sorellami — powiedziała cicho jakby zmawiała modlitwę. — Nowymi Sorellami. Nie rozumiesz? Kiedy Giota nosiła w sobie gryfa, musiała przekazać Białej Bestii dar swoich siostr i skrawek siebie. Teraz ostatnie gryfy są związane z ostatnimi Sorellami, gryfy związane są z ludźmi.

Pisklęta, miauczając żałośnie, wspięły się na jej kolana. Granatowe zaczęły skubać jej kamizelkę, pociągając dziobami szorstkie szwy. Wściekle darły materiał i niedługo później Sigrida siedziała w gnieździe martwego gryfa zupełnie naga, okryta tylko pasami, których używała do krępowania piersi. Rozplakała się ze wstydu, łzy ściekały po jej upstrzonej piaskiem twarzy, gdy próbowała rękami osłonić swoje kalectwo. Ale gryfy na tym nie poprzestały. Białe pisklę wepchnęło łebek pod rękę Sigridy cierpliwie, bez przemocy — i jednym ruchem lśniącego szpona przecięło skórzane pasy.

Sigrida stłumiła rozpaczliwy szloch; piersi nagle zostały odsłonięte i wszyscy ujrzeli jej dziwną ułomność. Wszędzie, gdzie spojrzała, napotykała oczy wlepiające się w jej nagie ciało. Na próżno podciągała postrzępione okrycie. Jednak nawet wtedy nie bała się ptaków. Skupiły się bliżej, gruchając czule, nawet mruczając z zadowolenia. Jej piersi nagle zrobiły się ciężkie, a skóra, która nigdy dotąd nie widziała słońca, dziwnie się napięła i napęczniała.

Biała gryficzka wyciągnęła się na Sigridzie, założyła długą szyję na jej kark i trącała łebkiem ucho, gdakając i szczebiocząc cicho. Otworzyła ludzkie usta, żeby ssać prawą pierś. Granatowi bracia szybko wzięli z niej przykład, chwytając dziobami drugi i trzeci sutek. Nieprzywykli do ludzkiej kobiety kaleczyli delikatną skórę głodnymi dziobami.

Sigrida z nabożeństwem objęła maleństwa, łzy płynęły strumieniem mieszając się z krwią puszczoną przez wygłodniałe małe bestie, i wreszcie z mlekiem, które popłynęło z jej ciała, żeby nakarmić ostatnie gryfy.

Cichutko, jak zegar zaczynający wybijać kuranty, Święta Sigrida z Gniazda zaczęła się śmiać.

Opowieść tkaczki sieci, ciąg dalszy

— To był pierwszy cud Świętej Sigridy — powiedziała łysa kobieta, gdy ostatnie czerwone promienie słońca płowiały na horyzoncie jak wysychająca krew. Światło zdawało się ślizgać po jej tatuażach i zbierać w kałużach na szerokiej twarzy. — Dowiesz się o innych, gdy wstąpisz do Wieży. Poznasz cud chleba, cud Morza bez Wody, cud plądrowania Amberabadu.

— Co?! — zawołałam. — Jak możesz opowiedzieć mi tylko część historii? Czy Sigrida została, żeby matkować gryfom, czy też wróciła na okręt z Długouchą Tomomo i wiodła życie pirata? Czy Oluwafunmike zachowała Okular? Czy doszło do wojny? Czy gryfy przeżyły? Słyszałam, że zostały wytępione. Czy skrywają się w jakimś podniebnym gnieździe, którego nie widział żaden człowiek?

— Historie są jak modlitwy — odparła zielonooka Sigrida spokojnie.

Nie ma znaczenia, kiedy zaczynasz ani kiedy kończysz, ważne jest, że klękasz i mówisz słowa. Gdy opowiadamy dzieje Świętej Sigridy, obcujemy z nią, nawet jeśli opowieść zostaje przerwana i podjęta innego dnia. Każdy cud jest strzeżony przez kobiety na jednym piętrze Wieży. Jeśli zdecydujesz się studiować z nami, będziesz wchodzić coraz wyżej, oświetlana przykładem Sigridy. — Łysa kobieta podniosła się i zgasła latarnię na drzwiach wieży.

— Przynajmniej powiedz mi, jak zmarła. Czy zginęła, ratując gryfy albo piratów? O śmierci takiej kobiety wszyscy powinni wiedzieć.

Sigrida parsknęła śmiechem.

— Śmierć kobiety jest jej najcenniejszą własnością. Ale powiem ci, jeśli postanowisz, że nasza wieża będzie twoim domem i twoją matką do końca twoich dni.

— Postanowiłam — odparłam bez tchu. Uznałam, że kobiety, które znają takie opowieści, muszą być najsilniejsze i najmądrzejsze na świecie.

— Święta Sigrida z Gniazda zniknęła w swoim pięćdziesiątym roku. Kapitan Tomomo, choć niezrównana na morzu, nie była niezmordowana. W końcu skończyła z pirackim rzemiosłem i przekazała ster okrętu Sigridzie, swojemu najbardziej ukochanemu potworowi. Parę lat później „Skarb Panieństwa” zaginął na morzu, pożarty przez echeneisa, potwora morskiego, którego rozmiar przechodzi ludzkie pojęcie. Podobno w jego brzuchu mogą zmieścić się całe miasta, a skóra przypomina skorupę żółwia i włócznie się jej nie imają. Bestia ma barwę samego morza, więc może połknąć statek, zanim kapitan zda sobie sprawę z zagrożenia, choć jej ogrom zawstydza nawet gryfa. Ten potwór, pożarł Świętą z Wrzącego Morza. Cała załoga zginęła.

Stałam w błękitnym zmierzchu, nie kryjąc zdumienia. Jak to się stało, że kobieta miary Sigridy zginęła inaczej, niż krzyżując miecza albo w obronie niewinnych?

Byłam bardzo młoda.

Sigrida z zadumą potarła łysą głowę, patrząc na mnie spod zmarszczonych brwi, jakby zmagając się z jakąś tajemnicą.

— Niektóre kobiety z Wieży wierzą w prorocstwo, które nazywamy Herezją Zbłąkanych. Kobiety te mówią, że Sigrida nie zmarła, tylko zaginęła. Nadal żyje w ogromnym brzuchu wieloryba echeneisa. — Zakaszłała, wyraźnie dając do zrozumienia, że te banialuki nie są przeznaczone dla uszu nowicjuszek. — Głupie nadzieje rozbudził fragment starożytnej pieśni przekazywanej z matki na dziecko na północy świata, gdzie zaginął „Skarb Panieństwa”.

Przymknęła oczy i zanuciła:

Śpiewaj o statku z ulistnionym masztem

I o pannie stojącej dzielnie za sterowym kołem!

Powiadają: dawno temu utonęła i zmarła,

Stępka jej czerwonego statku rozpękła się na dwoje.

Ale nie poszła na dno, stare matki wiedzą,

Pewnego dnia znów wyruszy na bezkresne morza,

Znajdzie ją sierota, niedźwiadek ją zwiąże,

A wilk zwiedzie ich wszystkich razem na bezdroża.

Ręka w rękę, pogwizdując, powrócą do domu

Panna, niedźwiedź i dziewczę w szarości kolorze,

Czerwony statek ciął będzie rozszalałe fale,

Błąkając się po wód morskich spienionym bezmiarze,

A wilk powiedzie ich na manowce.

A wilk powiedzie ją na manowce.

Sigrida śpiewała głosem szorstkim i niskim, jak poskrzypywanie wiosła bijącego ciemną wodę. Kiedy otworzyła oczy, migotało w nich dziwne światło, łagodne i smutne. Zrozumiałam wtedy, że ta Sigrida jest w duchu heretyczką. I zaczęłam wierzyć w herezję, a co gorsza, zaczęłam wierzyć, że odnalezienie Świętej jest moim przeznaczeniem — czy *Księga*

Ścierwa nie zawierała tych samych wersetów, czy ludzie-psy nie szeptali ich, jakby chodziło o mnie?

Nic nie sprawiło mi większego bólu niż wiara, która zrodziła się we mnie w owej chwili.

Potem światło zgasło i Sigridę zastąpiła w milczeniu inna kobieta, szczupła i muskularna, ale również łysa. Po zmianie warty wytatuowana Sigrida wzięła moją rękę w swoją potężną dłoń i po raz pierwszy weszłam do Wieży Świętej Sigridy.

Nie opuściłam jej przez siedem lat.

Opowieść o bladej dziewczynie, ciąg dalszy

— I to wszystko, co mogę ci powiedzieć o moich pierwszych latach w Al-a-Nur — oznajmiła Sigrida, muskając palcami ciemne wzory na stole tawerny, gdzie pokolenia kubków zostawiły swoje znaki. — Reszta jest tajemnicą, domeną Sigrid. Nie mogę powiedzieć niewtajemniczonej duszy o radościach i smutkach, jakich doznałam w tych murach, tak jak nie mogłabym opisać głuchej kobiecie szumu morza przed burzą. Zostałam przyjęta do zakonu i otrzymałam imię. Wszystkie jesteśmy Sigridami, ale mamy własne przydomki. Święta, która jest matką nas wszystkich, jest Sigrida z Gniazda. Kobieta, która opowiedziała mi historię na schodach wieży, była Świętą Sigridą Płytkiej Stępki. Ja jestem Świętą Sigridą z Dróg.

— Czekaj! — krzyknęła Śnieg. — To nie może być koniec historii! Co się stało z Czarną Papieżycą? Jak opuściłaś miasto? Czy naprawdę przez siedem lat nie widziałaś Bagdemagusa? Nie możesz zostawić opowieści, jak niedojedzonego posiłku, kiedy tyle zostało do końca! — Omal nie spadła z krzesła, taka była przejęta. Nigdy nie ułożyła tylu słów w jednym rządku, a przy tym wszystkich we własnym interesie.

Sigrida parsknęła powolnym, jakby grubo ciosanym śmiechem.

— Tak, tak, masz rację. To niegrzeczność z mojej strony, w istocie jest jeszcze trochę do opowiedzenia. Kiedy jednak mówię o Matce i Maszcie, zanurzam się w jej dziejach i zapominam o

wszystkich innych. Taka jest religia. Ale Eyvind musi ponownie napełnić nasze kubki i dać nam talerz słodkiego chleba z dżemem porzeczkowym, żeby wzmocnić opowieść. Nie jestem filigranową laleczką, a nizanie historii jak pereł na żyłkę nie jest łatwe o pustym brzuchu.

Eyvind podszedł stąpając lekko, co wydawało się bardzo dziwne, wszak był ogromny i zwalisty. Zaopatrzywszy je w świeże jedzenie i picie, przyciągnął ciężkie krzesło do stołu i usiadł, żeby posłuchać Sigridy, wpatrując się w nią zmęczonymi, nakrytymi ciężkimi powiekami oczyma.

Sigrida zrobiła zaskoczoną minę jak niedźwiedź przyłapany na wybieraniu miodu z ula. Ale napiła się porządnie i przełknęła parę kawałków chleba, po czym, z oczami śmigającymi jak świetliki pomiędzy Eyvindem i Śniegiem, zaczęła na nowo.

— Wedle zwyczaju, nowicjuszek po ścięciu włosów przez całych siedem lat nie opuszczają wieży. Kiedy pierwszy raz wychodzą na zewnątrz, stają nie na miękkiej trawie, ale na pokładzie niewielkiej łodzi. Akolitka przez cztery pory roku orze rzekę dziobem, nie wychodząc na suchą ziemię. Dopiero po tym czasie wolno jej wejść do Śniącego Miasta. Ja jednak spędziłam w odosobnieniu nie więcej niż parę miesięcy, gdy Bags wybłagał dla mnie wyjątek. Nie wolno mu było przestąpić progu wieży, ale mógł przyjść do bramy. Usiadłam naprzeciw niego, ze świeżo ogoloną głową, i rozmawialiśmy jak starzy przyjaciele w potrzebie. Albowiem Czarna Papieżycą weszła w bramy Al-a-Nur...

Opowieść o tkaczki sieci, ciąg dalszy

— Przypuszczam, że teraz jesteś Sigridą, prawda? — zapytał Bags, drapiąc się po wielkim kudłatym uchu.

Siedziałam spokojnie ze skrzyżowanymi nogami, zdecydowana zachowywać się pod każdym względem jak pobożna nowicjuszka.

— Oczywiście — odparłam śpiewnie, siląc się na mądrą minę.

Bags uśmiechnął się do mnie, pokazując zęby w zmarszczonym jedwabistym pysku. Oparł się o próg i szepnął chropawym głosem:

— Zawsze uważaliśmy, że to piękne imię.

Zachichotałam i wyciągnęłam ramiona do niezdarnego uścisku ponad prawym granicznym drzwi, przez które ja nie mogłam wyjść, a on wejść.

Parę razy poklepał mnie po plecach i delikatnie potarł moją ostrzyżoną głowę, którą kiedyś porastały piękne włosy.

— I pasuje do ciebie wygląd wilka morskiego!

— Och, tęskniłam za tobą Bags!

— Dziewczyno, my wszyscy tęskniliśmy za tobą. Wypatrywaliśmy cię w naszej Wieży, ale cieszymy się, że jesteś tutaj — czasami kobieta musi przebywać wśród swoich. Ale nie przyszedłem ci mówić, jak ładnie wyglądasz, ani rozpieszczać cię jak stary wilk, który trąca nosem ulubione szczenię! W Mieście tyle się dzieje, a ty nic nie wiesz, zamknięta w

obwieszanej żaglami wieży. Przyszedłem ci opowiedzieć o papieżycy.

— Czy minęła mnie bitwa? — Byłam wściekła, rzecz jasna.

— W pewnym sensie. — Bags pokiwał głową, tłumiąc chichot.
— Ale nie martw się, szczeniaczku, usłyszysz ode mnie o największym starciu, o pojedynku, który Jaszna stoczyła pośrodku miasta z Ragnhildą.

Opamiętałam się wtedy i zrobiłam krok w znajome cienie wieży.

— Ale dlaczego ja mam o tym wiedzieć, Bags, podczas gdy inne dziewczęta zajmują się nauką i nie są wzywane do drzwi jak księżniczka na spotkanie z konkurentem? — Ściszyłam głos do szeptu. — Jestem dobrą dziewczyną i nie chcę, żeby zmieniły o mnie zdanie.

Brązowe oczy Bagsa błysnęły.

— Jesteś dobrą dziewczyną, Sigrido. Nigdy w to nie wątpiłem. Rozmawiałem z Płytką Stępką i jesteś moja na całe popołudnie. A co do twojego prawa do wiedzy przed innymi dziewczętami — gdybyś była mniej pilną uczennicą, z pewnością już byś wiedziała, bo historia ta rozeszła się po wieży jak pożar po strzechach wioski. Ale zasługujesz na wysłuchanie jej z pierwszej ręki, ponieważ z nami przybyłaś do miasta, na skrzydłach naszego strasznego zadania. Już bierzesz udział w tej historii, a niedługo będziesz uczestniczyć w zakończeniu.

Bags usadowił się w kącie pod drzwiami i ujął moje dłonie. Trącił moją twarz gładkim pyskiem i warknął cicho z zadowoleniem ojca, który widzi, jak rośnie jego młode, jak jest szybkie i silne.

— Słuchaj uważnie, skarbie. Moja opowieść będzie powtarzana w zaułkach Al-a-Nur dopóki Wieże będą ocieniać

ulice...

Opowieść o grze

Oczywiście wiedzieliśmy, że przyjdzie, prędzej czy później. Wiedzieliśmy, że przybędzie na czele wszystkich hord Szadukiamu, wszystkich poczwarnych odmieńców zrodzonych pod Różaną Kopułą. Nie sprawiła nam zawodu, przyjechała na wielkiej czarnej antylopie, której smukłe nogi podkute były ogniem, której złowrogie oczy zdawały się spoglądać we wszystkie strony naraz. Za nią maszerowały jej legiony, dziny z brodami z dymu i z czarami w sakwach, jednonogi wywleczone z getta, ze stopami opancerzonymi i najeżonymi żelaznymi kolcami, centaury i łucznicy o tuzinie ramion, a nawet kilka mantykor wyhodowanych w niewiadomo jak cuchnącej klatce. I ludzie wywrzaskujący bojowe okrzyki jak oszalałe kruki, wszyscy ci ludzie z błyskającymi mieczami, pijani nienawiścią do Złotego Miasta i uwielbieniem dla jasnowłosej papieżycy.

Ale nie wprowadziła swych przeklętej wojsk pomiędzy srebrne pylony Bramy Łososia. Kazała im zatrzymać się na zielonych polach przed pierścieniem wież, i wszyscy się zatrzymali. Ucichli i rozlokowali się na koniczynie jak na wiejskim pikniku — tak pewni byli jej potęgi.

A Ragnhilda, Pierwsza i Druga jej Imienia, Czarna Papieżyca Szadukiamu, samotnie weszła do Świętego Miasta, nawet bez noża u pasa. Weszła jak postulanka, odziana w podartą suknię trzepoczącą na wietrze, z jasnymi włosami powiewającymi za nią jak sztandar bojowy.

Samotnie szła do centrum miasta, do Wieży Papieżycy, i nikt nie śmiał jej powstrzymać. Wszyscy, którzy mogli odłożyć

obowiązki, ciągnęli za nią niczym fala przyływu. Ragnhilda zdawała się sunąć nad niebieskimi kamykami ulic, powoli i bezdźwięcznie, do skromnej wieży z oknami przysłoniętymi jelenią skórą, a gdy tam dotarła, weszła jak do własnego domu, jakby nikt nie mógł odmówić jej tego prawa.

Odbywaliśmy z Jasznią rozmowę na osobności, naradzając się, co często czyniliśmy ostatnimi czasy. Moi bracia i ja natychmiast warknęliśmy z nastroszoną sierścią, gotowi bronić naszej papieżycy przed zimną, wilgotną i cuchnącą magią, jaką Ragnhilda wniosła do tej świętej wieży. Ale apostatka, z twarzą piękną i straszną jak w głębinach naszych snów, podniosła ręce w przyjacielskim geście.

— Pokój, moje dzieci! Nie przyszłam walczyć z wami ani naprzykrzać się waszej biednej Jasznie. Wyładźcie swoje czcigodne futra i ostudźcie krew w żyłach. Przybywam z posłaniem przyjaźni. Poza tym razem widzieliśmy, dzielne pieski, że nie macie władzy nade mną. Więc powiem raz jeszcze: uspokójcie się.

Jaszna nic nie mówiła, tylko uśmiechała się leciutko.

Bartłomiej warknął:

— Posłanie przyjaźni? Z bandą poczwara za plecami?

— Przywiodłam ich dla własnej obrony. Chyba się nie spodziewacie, że wyłamie bramę Al-a-Nur, mając tylko własną skórę do obrony przed Draghi. Zbyt dobrze znam los niewinnych dziewcząt, gdy Wieże wzbierają gniewem. — Uniosła delikatne nadgarstki i potrząsnęła złotymi kajdanami, które wciąż tam wisiały jak bransolety tancerki. Wysoki, cichy dźwięk poniósł się po komnacie.

Baltazar zmrużył oczy w wąskie szczeliny.

— Nie można jej ufać, matko. Musisz wezwać Draghi, zanim rozpęta skrywaną magię.

Ragnhilda się roześmiała, dźwięk przypominał trzask szkła albo lodu, który pęka na ruszającej rzece.

— Chyba nie myślisz, że mogłabym coś ukryć, drogi wilku — powiedziała, wskazując szerokie rozdarcia w fioletowej szacie. — Ale dość, nie przyszłam mówić z tymi, których już przyjmowałam we własnej sali. Przyszłam na rozmowę z moją siostrą, aby zakończyć całe to nieporozumienie.

Jaszna poruszyła się na krześle i spojrzała na Czarną Papieżycę, której uśmiech zdawał się promieniować wybaczeniem i życzliwością.

— Dobrze, moje dziecko. Porozmawiajmy — oznajmiła pewnym, głębokim głosem.

— Kalif ogłosił mnie prawowitą papieżycą nie raz, lecz dwa razy. Ogłosił Al-a-Nur terytorium kalifatu i żąda daniny. Nie możesz odmówić nawet Miasto Niebios musi ukłonić się przed Prawami Ziemi. Co więcej, zostałam namaszczona na długo przed tobą, słodka pani, w dniach, gdy Cveti dopuściła się herezji. Wedle prawa miasto jest moje. Wezmę je siłą, jeśli będzie trzeba, lecz wcale tego nie pragnę. Abdykuj na moją rzecz, a pozwolę ci udać się do samotni w Wieży Umarłych, do twojego domu. Wszystko odbędzie się pokojowo. Z pewnością musisz wiedzieć o ogromnej krzywdzie, która spotkała mnie ze strony Al-a-Nur, i chyba rozumiesz, że nie jestem niegodziwa. Proszę tylko o to, co dostałam z ręki kalifa i z woli nieba.

Jasha wstała, jej żółte szaty zaszeleściły, i wyciągnęła ręce do Ragnhildy, biorąc te smukłe białe przedramiona w swe pomarszczone brązowe dłonie.

— Nikt nie zaprzeczy, że w czasach swojej młodości i niewinności zostałaś okrutnie skrzywdzona nie tylko przez Ghyfranę, ale przez samego kalifa. Znamy twoją smutną opowieść i rozpaczamy nad tamtą łagodną dziewczyną o czystym sercu, nad dziewczyną, którą kiedyś byłaś. Gdybyśmy mogli przywrócić ci dawne życie, uwierz mi zrobilibyśmy to bez chwili wahania. Lecz nie leży to w naszej mocy — nie moglibyśmy nawet przywrócić tego dziwnego, obcego życia, które wzięłaś dla siebie w tym ciele. — Jaszna urwała, litość wezbrała w jej oczach jak woda w studni po burzy. — Ale nie możesz wierzyć, że po prostu oddam ci miasto. W sercu tej obcej wiesz, że to, o co prosisz, jest złe. Wciąż jest w tobie dziecko, które przybyło do Szadukiamu nieświadome snutych wokół knowań, I wie, że nie dam ci tego, czego pragniesz.

Ragnhilda, wciąż uśmiechnięta w swój jasny, zimny sposób, zacisnęła dłonie na ramionach Jaszny.

— W takim razie spalę miasto do gołej ziemi, pozwolę centaurom nasikać na wasze ołtarze i wyleję ich wino na każdy święty tekst w tym zbiorowisku ruder. A kiedy skończę, kalif przyśle swoich ludzi i przewróci kamień po kamieniu w tej wieży padliny, poszukując skarbcza. — Jej uśmiech stał się jeszcze szerszy i słodszy.

— Kalif nie może nas tknąć i tego nie robi. Jak myślisz, dlaczego wysyła małe dziewczynki, zamiast przypuścić bezpośredni atak? Dlaczego nigdy nie ruszył z armią na nasze granice? Dobrze wie, że Draghi, czarujący — i wytworni, są dekadency, i nie stanowią dziesiątej części naszej potęgi. Same niebiosa pękną i wyleją swoją zaprawę na głowy żołnierzy, którzy ośmielą się tknąć kapłankę w tym mieście. Przekonasz się o tym, jeśli twoje potwory wyłamią bramę. Wierz mi, proszę,

nie kłamię, pochodzę z Wieży Umarłych, a Umarli nie potrzebują fantazji. Myślisz, że znaleźliśmy się w impasie, że ulegnę twojemu uśmiechowi albo pocałunkowi, aby uniknąć rozlewu krwi. — Jaszna puściła ręce odstępczyni, jej ciemne oczy błysnęły nagle jak żelazo uderzające o kamień. — Nie jesteśmy w impasie, a Umarli nie dbają o rozlaną krew żywych. Wprowadź swoje wojska w Bramę Łososia, a przysięgam ci na Siedem Trupów Nieba, że gdy wzejdzie księżyc, nie zostanie z nich strzęp skóry.

Uśmiech Ragnhildy zbladł lekko, oczy jakby się skurczyły. Przez chwilę, tylko przez chwilę wdziałem istotę, jaką musiała być, zanim kalif ją posiadł, i było mi jej żal, niechaj Konar się ugnie na znak wybaczenia. Ale chwila szybko przeminęła i anielski uśmiech powrócił, szerszy i jeszcze jaśniejszy.

— Nie wystraszysz mnie przekleństwami Umarłych, stara kobieto. Jestem martwa, jestem upiorem na ziemi. Odeszłam w cienie, podczas gdy ty i twoi kapłani bawiliście się maleńkimi nagrobkami w swej wieży. Nie mów o tym, na czym się nie znasz.

Łagodne spojrzenie Jaszny wróciło jak wiosna w gąszcz sosen.

— Przestań, moja córko. Nie musisz się przede mną chełpić swym rozkładem, wierzę ci. Ale mam rozwiązanie, jeśli chcesz posłuchać. W uznaniu krzywdy, jaka cię spotkała, gdy Ghryfrana okaleczyła twoje pierwsze ciało, dam ci jedną szansę na pokojowe przejęcie papieżstwa.

Ragnhilda pochyliła się ochoczo, wietrząc zwycięstwo.

— Pragniesz władać Śniącym Miastem, musisz więc celować we wszystkich jego zwyczajach. — mówiła dalej Jaszna. — Zagraj ze mną jedną partię Lo Shen. Jeśli mnie pokonasz, odejdę

do samotni, ty zaś wstąpisz do wieży bez najmniejszego sprzeciwu, bez walki. Nikt nie rzuci ci wyzwania, a ty będziesz władać najlepiej, jak potrafisz. Jeśli jednakże przegrasz, rozpuścisz wojska i przyjmiesz śluby jednej z naszych wież, wstąpisz tam jako nowicjuszką i przysięgniesz służyć naszemu miastu do końca swoich dni. Taki jest sposób rozwiązywania sporów w Namaszczonym Mieście. Jeśli chcesz nami rządzić, musisz postępować jak jedna z nas. Dowiedz, że jesteś prawowitą papieżycą. Dowiedz, że przewyższasz nas we wszystkim.

Ragnhilda wyglądała tak, jakby się śmiała, lecz najcichszy dźwięk nie płynął z jej różanych ust. Jej oczy lśniły jak śnieżynki w słońcu.

— Nie mówisz poważnie. Jedna gra ma zdecydować o pięciuset latach historii?

— Gdyby moja poprzedniczka kiedyś cię nie skrzywdziła, zabiłabym cię tam, gdzie stoisz.

Ragnhilda milczała przez długi czas, przypatrując się przeciwniczce.

Ciszę wieży mąciły tylko oddechy, płytkie, szybkie westchnienia nas wszystkich, którzy czekaliśmy na wynik tej walki. Wreszcie Ragnhilda chyba powzięła decyzję, bo pochyliła się, jej migotliwe włosy musnęły nadgarstek Jaszny. Przytuliła dłoń do policzka starszej kobiety, niemal jak siostra, która pociesza rodzeństwo. Przechyliła głowę i przycisnęła usta do suchych warg Jaszny, całując ją mocno, przekazując całą swoją czarną magię do ciała sędziwej papieżycy.

Kiedy pocałunek się skończył, Jaszna wcale się nie zmieniła, może tylko jej uśmiech był trochę smutniejszy, niż wcześniej.

— Obie jesteśmy stworzeniami Śmierci, moja droga. Nie próbujmy się mamić tanimi sztuczkami. To nam nie przystoi. Zagraj w moją grę, jak ja zagrałam w twoją, albo wracaj do swojej armii i przekonaj się, czy wystrojeni Draghi są najgorszą siłą, jaką możemy wezwać, żeby nie wpuścić niewiernych do naszych sal.

Myślałem przez chwilę, że Ragnhilda się rozpłacze. Sam nie wiem, dlaczego chciałem wyobrazić sobie, że ta wyniosła twarz zalewa się łzami, ale chciałem.

— Zagram — rzekła cicho Ragnhilda z wielką godnością, z godnością, ktoś mógłby powiedzieć, papieżycy. Jaszna babcinym gestem ujęła ją pod ramię i zaprowadziła na dziedziniec przed wieżą. Ja razem z braćmi wyniosłem wielką ceremonialną planszę na słońce, gdzie mniszki i mnisi, kapłanki i wyrocznie, bracia i siostry zgromadzili się, żeby śledzić przebieg największej gry w dziejach Al-a-Nur.

*

Jak mogę ci opisać rozwijającą się nic jednej gry Lo Shen, a co dopiero największą grę w annałach Sfer? Mam ci opowiedzieć, jak tłum ucichł niczym trawa w spokojny letni dzień? Jak Kupcy, Wyrocznie i Ojcobójcy skupili się dokoła, jak Żywi i Umarli spoglądali przez ramię, żeby choć w przelocie zobaczyć apostatkę zajmującą miejsce przy planszy? Jak światło zdawało się padać deszczem na włosy Ragnhildy i zbierać w nich w kałuże, aż jej głowę otoczyła aureola blasku? Albo że Jaszna pozostała spokojna, cicha niczym odbicie gwiazdy, z poważną twarzą i siwą głową, która ani razu nie stanęła w płomieniach? Że wszystko wyglądało jak malowidło, nie jak coś, co naprawdę działało się na naszych oczach? Albo czy mam wygłosić mowę o

naturze gry, o jej idealnej złożoności, o suwaniu kamiennych pionów po okrągłej kamiennej tablicy? Co było pierwsze, miasto czy gra? Z pewnością gra, bo jak inaczej wieże i drogi mogłyby zostać rozplanowane we wzorach tysięcy kombinacji Lo Shen? A jednak gra składa się z pionów zwanych wieżami-pagodami, draghi, papieżycami i bogami.

Jeśli miasto było pierwsze, gra jest zwykłym naśladownictwem Al-a-Nur w całej jego szafirowej chwale. Jeśli jednak gra istniała w cienistych latach przed światłem Śniących Wież, to może w ruchach pionów zawarta jest jakaś tajemnica, jakieś proroctwo, które, jeśli zdołamy je odczytać, przepowie nam los wszystkich tych dachów i drzwi. Może papieżyce zostały zmuszone do pokonania jedna drugiej w grze, ponieważ było pisane, że pewnego dnia dwie papieżyce stawiają sobie czoło w tym mieście. Może nasze odwieczne studia gry miały zostać uwieńczone tego ranka, w słońcu jasnym jak wybielone kości.

Nie wiem, mała Sigrido, czy już zaczęli cię uczyć wielu wariantów Lo Shen. Jeśli nie, niebawem to zrobią. Połowę życia poświęcamy na studiowanie gry; z jej pomocą rozwiązujemy wszystkie nasze wewnętrzne spory — bo celem jest obalenie boga przeciwnika: jednego pionu, który stoi pośrodku planszy, otoczony trzynastoma koncentrycznymi sferami, I nie może wykonać ruchu, chyba że w celu zbicia swego odpowiednika po przeciwnej stronie. To jest poezja, to jest polityka.

I tak się stało, że dwie kobiety usiadły, milczące jak mniszki, przy wielkiej niebieskiej planszy wielkości tarczy olbrzyma. Ich ręce pomykały nad pionami niczym skrzydła wrony, jasne triremy i ciemne pagody podnosiły się i opadały, szeregi Draghi wymazywane były jednym ruchem. Skomplikowane manewry wznosiły się jak szklane sieci, papieżyce pasowały do siebie

idealnie jak siostry: *Chang-O* i *T'ien Fei*, *Pa Na* i *Pan Nang*. Przez długi czas nikt nie mógł dostrzec wyraźnej przewagi, piony krążyły po planszy jak jesienne liście porwane przez wodny wir. Włosy wiły się wokół bioder Ragnhildy niczym koci ogon, jej lekki uśmiech ani na chwilę nie przygasł, nawet gdy Jaszna po mistrzowsku wykonała ruch *Mang-Chin-L* zmiatając z planszy jej trzecią papieżycę.

Patrzyłem, jak słońce pełga po pochylonych głowach grających, wycinając jasną ścieżkę na niebie. Walka o miasto toczyła się bez słowa, pomiędzy babką i wnuczką. Ani ja, ani moi bracia, ani szeregi Draghi z błyskającymi srebrnymi hełmami nie mieliśmy wpływu na jeden ruch pagody ze sfery do sfery.

Oczywiście, rola niemych widzów doprowadzała nas do szaleństwa. Moja sierść jeżyła się w ciszy jak postawiona w płomieniu. Ale wszyscy, bez względu na to, z której pochodzimy wieży, jesteśmy przyzwyczajeni do stania z boku, gdy nasze nauczycielki parają się magią.

Wreszcie Jaszna przesunęła triremę szybkim skośnym ruchem — tak jak statek halsuje między podmuchami wiatru, żeby utrzymać się na kursie. Nad tłumem przewaliła się fala zduszonych westchnień. Połyskujący pion, wyrzeźbiony z ciemnoniebieskiego kamienia w kształt statku pod pełnymi żaglami, zakończył ruch *Shan I Fu-Jen*. Wszystkie cztery papieżyce stały wokół środkowej sfery, a jeden pierścień za nimi wznosiła się pagoda-wieża, smukła i lśniąca. To idealny układ, i morskie oczy Ragnhildy rozbłysły z gniewu, widząc to, co widzieliśmy wszyscy: jej bóg znalazł się w potrzasku i nie mogła wykonać żadnego ruchu, żeby go ocalić.

— *Shen Mu*, moja córko. Zabiłam twojego boga.

Jasna uśmiechnęła się po swoim — był to matczyne uśmiech, który kiedyś jaśniał dumą z dziecka, a potem przygasł z żalu nad jego niedostatkami. Wyciągnęła rękę nad obleganą planszą i zdjęła boga apostatki z centralnej sfery. Trzymając w rękach końce skromnej błękitnej kolumny, bladej jak woda w świetle słońca, ukłoniła się rytualnie i przełamała pion. Trzeba wielkiej siły, żeby zakończyć grę w starodawny sposób, jak pierwsi nuryjczycy, których honor i hańba mierzone były liczbą połamanych bogów na ołtarzach.

Ranghilda, co dobrze o niej świadczy, wzięła pęknięte kawałki i odwzajemniła ukłon. Twarz miała pozbawioną wyrazu, ale jej policzki płonęły z wściekłości lub upokorzenia. Trzymała kawałki pionu u boku, zaciskając pięść tak mocno, że krew, gęsta i kleista, pociekła z pokaleczonej dłoni.

Opowieść tkaczki sieci, ciąg dalszy

Bags przeciągnął się na słońcu, gładząc jedwabisty pysk silnymi rękami.

Wokół niego leniwie wirował śnieg spadający z mojej wieży, niewzruszony przez ciepłe światło.

— Czy wojsko wciąż stoi u bram miasta? — zapytałam bez tchu.

Wyszczrzył zęby w szerokim uśmiechu.

— Nie mogę powiedzieć, że ją rozumiem. Moi bracia i ja wraz z oddziałem Draghi zabraliśmy Ragnhildę do bramy, gdzie stała wielka armia, czarne i czerwone sztandary łopotały na wietrze. Myślałem, że rozkaże zrównać miasto z ziemią. Myślałem, że będzie próbowała znowu nas pocałować i ogłupić, żebyśmy do niej dołączyli. Myślałem, że wyczaruje jakiegoś straszego demona, który przemknie po błękitnych ulicach Al-a-Nur niczym ognisty huragan. Czy kobiety jej pokroju dotrzymują danego słowa? Ale nie zrobiła żadnej z tych rzeczy. Patrzyła na wielką czeredę bez jednej łzy w szarych oczach. Powoli rozpięła złote okowy i rzuciła je na suchą ziemię. Jej skóra była czerwona, otarta przez kajdany do żywego mięsa. Na chwilę uniosła białą dłoń, powietrze ponad nią trzasnęło srebrem i bielą jak płonąca śnieżynka. Gdy przekręciła rękę, błyskawica skoczyła ku kajdanom, które natychmiast znikły, nie zostawiła po nich nawet drobin kurzu.

Kynokefalos potrząsnął głową, jakby nie mógł uwierzyć w to, co opisywał.

— W chwili, gdy kajdany znikły, cała armia zamigotała i przepadła wraz z nimi. Przed bramą zostało parę wygłodzonych jaszczurek, dzikich kotów, i jeden koń tak stary i zagłodzony, że żebra mu sterczały jak obręcze na beczce wina. Armia była mirażem.

— Jedną rzeczą — szepnęła Ragnhilda, ledwo tłumiąc gniew — jest cieszyć się miłością i wiernością pod Różaną Kopułą, gdzie za złoto i piękno można kupić każde serce. Inną rzeczą jest poprowadzenie mieszkańców przez równinę i rzucenie ich do walki przeciwko miastu, w którym, jak wierzą, jest pełno wiedźm i mesjaszów. — Jeszcze inną, przewodzenie im w ciele martwej dziewczyny, gdy wiedzą, że je ukradłam, gdy uważają mnie za Yi, których się boją, ale dla których nigdy nie narażą życia. Nikt nie zaryzykuje śmierci w mojej obecności ze strachu, że przejmę ich zwłoki. Nie chcieli przyjść. — Osunęła się na kolana i skubnęła poszarpaną suknię. — Co miałam zrobić? Pięćset lat, a oni nie chcieli przyjść. Musiałam spróbować, prawda? Dla dziecka, którym niegdyś byłam musiałam spróbować.

Bags umilkł. Siedziałam oszołomiona. Wszystko to się stało, gdy ja byłam pogrążona w modlitwie i nauce, skupiona na ikonach Świętej Sigridy i żeglarskich iluminacjach. Nie po raz pierwszy pragnęłam położyć kres kontemplacjom i żałowałam, że nie widziałam na własne oczy tych wielkich wydarzeń — gry, przybycia armii, upadku Czarnej Papieżycy.

Nigdy nie byłam bardzo dobrą uczennicą.

Ale gdy w sercu buntowałam się przeciwko swojej wieży, w dali narosło wielkie zamieszanie. Grupa ludzi szła ścieżką w

kierunku Wieży Świętej Sigridy, wlokąc za sobą tumany pyłu jak statek, który zostawia za rufą spieniony kilwater.

Pośrodku tłumu szła kobieta o jasnozłoty włosach, które układały się nad jej czołem jak korona, ubrana w ciemnofioletową suknię.

Głos uwiązał mi w gardle, gdy stanęłam na drżących nogach, żeby ich powitać. Czarna Papieżyca, już niebędąca papieżycą, nosiła nowe kajdany, matowe i szare. Stała ze spuszczoną głową, chcąc ukryć gniew lub wstyd, nie umiem powiedzieć.

— Miała wybór, jak ty, i wybrała Sigridy — wyjaśnił Bags, sięgając nad progiem, żeby musnąć moje włosy. — Z wdziękiem ponosi karę, którą wymierza jej obsiana ziarnem ziemia. Musisz ją przyjąć.

— Nie! Nie... nie mogę! Jestem tylko nowicjuską. Nie mogę przyjąć nowej Sigridy!

— Nawet nowicjuską wie, że ta, która strzeże drzwi, jest odpowiedzialna za inicjację postulanki, która zjawia się w czasie jej służby. Teraz to twój obowiązek.

Ragnhilda spojrzała na mnie i nie wstydzę się przyznać, że nigdy nie widziałam czegoś równie pięknego jak jej srebrne, chłodne, wyraziste oczy przepełnione smutkiem i tłumioną furią. Wpatrywały się we mnie z dziwną tęsknotą. Kiedy przemówiła, zabrzmiały słowa wyuczone przez tych, którzy ją pojмали, martwe i puste, i padały z przymusu. Jej głos brzmiał szorstko, jak jedwab darty ostrymi diamentami, i wierzyłam, naprawdę wierzyłam, że nie chciała niczego więcej, jak zniknąć w wieży i nigdy więcej z niej nie wyjść.

— Proszę, Święta Sigrido, przygarnij mnie w burzy i naucz płynąć przez ciemności, jestem bowiem zagubiona i nie widzę brzegu.

Stałam w bezruchu przez długą chwilę. Potem powoli wyciągnęłam do niej rękę i szepnęłam:

— Wejź, pani. Zetnę ci włosy.

Jej ręka wsunęła się w moją, twarda i chłodna.

Opowieść o bladej dziewczynie, ciąg dalszy

Sigrida wydawała się pochłonięta wyskubywaniem brudu i kawałeczków sznurka spod paznokci. Wpatrywała się w nie w skupieniu, unikając jasnych oczu Śniegu.

— I tutaj, małe kochanie, przestaję być bohaterką własnej opowieści. Minęło siedem lat, a potem zaczął się mój rok na rzece. Mój czas nie różnił się od czasu innych Świętych — czytałam, modliłam się, studiowałam mapy nieba i mapy morza. Ilustrowałam niezliczone manuskrypty wizerunkami maleńkich złotych gryfów i ich dzieci. Włosy mi odrosły; nie ścierałam ich, jak robiły inne Sigridy, które chciały być skromne przed Gwiazdami i ich sługą, Świętą Sigridą. Wierzyłam, że jestem błogosławiona, wybrana. Wierzyłam... — Gruba kobieta urwała i skrzywiła się, zamykając oczy, jakby żółć zalała jej usta. — Wierzyłam, że jestem sierotą z proroctwa, bo czyż nie byłam sama na świecie? Moja matka żyła, gdy ją zostawiłam, ale może w tym czasie już odeszła i jej ciało leżało zimne na płycie lodu w świątyni, pod opieką moich sióstr. Tak myślałam, głupia. Byłam skłonna chętniej uwierzyć w śmierć rodzonej matki niż w to, że nie o mnie mówi jakaś stara ballada. Pozwoliłam włosom odrosnąć, bo wiedziałam, że wilki zwiody mnie na manowce, że moim przeznaczeniem jest odnalezienie „Skarbu Panieństwa” i jego kapitana.

Eyvind jednym łykiem osuszył kubek i coś mruknął. Sigrida uśmiechnęła się ze smutkiem.

— Gdy tylko mogłam, opuściłam wieżę i Śniące Miasto, i ruszyłam na morze w swoim małym statku — bo ostatnim zadaniem Sigridy jest zbudowanie statku własnymi rękami, udoskonalenie jego lin i żagli, i pokazanie, że nadaje się do żeglowania. W dniu próby mój statek spisał się świetnie, ale zamiast wrócić, żeby otrzymać święcenia, pożeglowałam ku horyzontowi. Przez całe lata tropiłam echeneisa, nasłuchiwałam jakichkolwiek wzmianek na temat potwora. Odwiedziłam wszystkie miejsca spotkań żeglarzy i cuchnące tawerny, szukając kogoś, kto mógłby mi powiedzieć, gdzie pływa to stworzenie. Jak stwór tak ogromny mógł skrywać się przede mną? Nie znalazłam niczego, nawet szeptu o bestii. Większość ludzi, z którymi rozmawiałam, nigdy o niej nie słyszała. Wreszcie zmuszona byłam przyznać, że może jednak się myliłam, że moja matka żyje, albo że po prostu nie jestem kobietą z proroctwa. I kiedy ta prawda osiadła we mnie jak kamień na dnie studni, umarłam. Umarłam dla świata. Ogarnęło mnie przygnębienie i zdjęta rozpaczą popłynęłam w sztorm, którego mój biedny statek nie mógł przetrwać. Został roztrzaskany na kawałki, a mnie, z wodorostami w ustach niebieskich jak szafiry wyciągnęła z morza muireańska łódź. Rybacy wtarli życie w moje członki, wyjęli liście z moich ust i karmili mnie cienkim bulionem, dopóki nie odzyskałam sił. Muireann leży daleko na północy, w ostatniej części świata zaszczyconej przez okręt Świętej Sigridy i jej załogę. Miejsce wydało mi się dość dobre, by zmarnować tu resztę moich dni.

Sigrida popatrzyła na Eyvinda, dziwna chmura przemknęła przez jej szeroką twarz.

— Były też inne powody, by zostać. W sekretnych zakamarkach tego miasta są rzeczy, które uważałam za od

dawna martwe. Ale w poczuciu klęski, we wstydzie i nieposkromionej pysze nie umiałam ich odszukać. Zamiast tego wiązałam oczka sieci w dokach i upijałam się, pogrążając w snach, aż zapomniałam, że kiedyś uważałam się za dziecko przeznaczenia, za heroinę urodzoną do największego zadania, o jakim mogła marzyć każda Sigrida.

Śnieg pomyślała, że widzi łzy wzbierające w zmęczonych oczach swojej towarzyszki, ale nie mogła być tego pewna. Z wahaniem położyła rękę na palcach starszej kobiety, ciepłych i brązowych pod jej lodowatą dłonią.

— Kiedy zmarli moi rodzice — zaczęła cicho — i moje włosy posrebrzały z dnia na dzień, uważałam to za znak. Znak od Gwiazd, że jestem ich wyjątkową córką, że chcą być mi matką i ojcem. Myślałam, że jestem przeznaczona do jakichś wyższych celów, ale nie miałam nawet sieci do naprawy. Szukałam po ulicach kawałków ryby i chleba, przez długie noce spałam głodna w brzuchu na wpół zbudowanego statku. Nie jest to wielkie przeznaczenie, ale jest moje. I bez niego nie poznałabym prawdziwej, żywej świętej.

— Obawiam się, że jestem dla ciebie kiepską świętą, dziewczyno. Może najgorszego rodzaju...

Słowa Sigridy ucięło głośnie dudnienie — drzwi Ramienia i Pstrąga otworzyły się z hukiem, gdy do izby wpadły trzy dziwaczne stworzenia, śmiejące się wrzaskliwie i hałasujące jak stado szopów, które kłócą się o stertę odpadków. Dwaj ogromni mężczyźni, z mięśniami prężącymi się pod wytatuowaną skórą — nie było widać ani skrawka ciała, który nie byłby pokryty kolorowymi ilustracjami bitew na morzu, syrenami z rękami pełnymi wodorostów, warczącymi tygrysami, zapalonymi latarniami morskimi — nieśli pomiędzy sobą wielką drewnianą

wannę pełną wody po brzegi. Woda wylewała się przy każdym ich kroku i nim dotarli do szynkwasu, połowa podłogi została zalana.

W wannie siedziała kobieta z zielonymi skrzelami na szyi, wokół jej głowy płonęło piekło zielonych włosów. Była naga, chorobliwie blada, jak rybi brzuch. Bujne piersi kołysały się ciężko, zwieńczone niebieskimi brodawkami. Od pasa w dół nogi stapiały się w długi, gruby ogon, srebrzyście fioletowy, z przejrzystymi płetwami w miejscu, gdzie powinny być stopy. Biła nim z wielką uciechą, ochlapując morską wodą gości w tawernie.

Śnieg szeroko otworzyła oczy ze zdziwienia.

— Czy to syrena? — szepnęła.

Eyvind odepchnął krzesło z głośnym zgrzytem drewna.

— Gdyby tylko! Syreny są śliczne jak stokrotki, jak dzień długi śpiewają ładne rymowane piosnki i pachną znacznie lepiej niż stos zdechłych małż. To Magyra. Po godzinie picia puści mnie z torbami.

Ruszył ciężkim krokiem ku hałaśliwej trójce gości. Po chwili Sigrida i Śnieg poszły za nim, ciekawe jak kocięta.

— Eyvind! — ryknęła magyra głosem przypominającym huk fali, która wpływa do zatoczki zaśmieconej klekoczącymi muszlami. — Napełnij piwskim moją spragnioną gardziel, a brzuchy moich ludzi cuchnącym chlebem, który wypiekasz na zapleczu! Mam dla ciebie historię! Nigdy w nią nie uwierzysz, nawet w miesiącu cudów!

— Nigdy nie damę wiary twoim opowiastkom, Grog. I pokaż mi monetę, zanim padniesz pijana jak bela.

Magyra przeciągnęła trupią ręką po szmaragdowych włosach, a kiedy ją oderwała, dłoń pełna była chropawych,

brudnych złotych monet, tak starych, że Śnieg dotąd podobnych nie widziała. Zdobilo je niewyraźne, zatarte przez niezliczone ręce i kieszenie wyobrazenie jednego oka. Grog przygryzła jedną z nich z satysfakcją. Sigrida zeszywniała.

— Tak, ta wielka krowa wie, co to takiego! — wrzasnęła Magyra. — Monety arimaspijskiego Oculosa! Wymarli ponad dwieście lat temu, a jednak mam więcej ich pieniędzy niż wszyscy poborcy w Adżanabh! Zapytaj, skąd je mam! Śmiało, pytaj! — Grog piała z zachwytem, z zadowoleniem gładząc lśniące skrzela.

— Skąd je masz? — zapytała Sigrida głosem lodowatym i niskim.

Grog niecierpliwie oblizala błękitnawe usta i chwyciła kufel w wielką rękę. Cienkie błony pomiędzy palcami z mlaśnięciem przylgnęły do metalu.

— Moi ludzie — Chudałyda i Wartogłów i nieważne, który jest który — zabukowali nam miejsca na ślicznym małym szkunerze. Kapitanowała mu bestia, którą żadna matka nie chciałaby straszyć najbardziej rozwrzeszczanych bachorów...

Opowieść magyry

Gdyby dodać dwa palce, miałyby siedem stóp wzrostu, przysięgam na piąty cycek mojej matki. Od szyi w górę jedna słodycz i światło — księżniczka pierwszej wody, z włosami jak roztopione masło i gwiazdzistymi oczami — ale nogi! Nogi jelenia, do samego kopyta, to znaczy, gdyby miała kopyta. Zamiast nich miała wielkie rozcapierzone żabie łapy, a na plecach turkusowe skrzydła, z piórami i tak dalej. Jej skórę pokrywały tygrysie pręgi, a ręce miała puszyste jak wilcze łapy, z wielkimi szczękającymi pazurami. Na dobitkę gruby szary ogon majtał się w rozcięciu jej sukni.

Była istnym potworem, ale żebracy nie mogą wybrzydzać! Umieć pływać pięknie niczym młody rekin, rzecz jasna, lecz biedny Chudałyda nie utrzymałby się na wodzie nawet za cenę życia, a Wartogłów śmiertelnie boi się morza. Tak czy inaczej, wolę podróżować z klasą, z wanną pełną ciepłej wody i kubkami rumu w garściach. Ocean jest zimny niczym łono czarownicy, jeśli chcecie wiedzieć, i nurzanie się w nim tydzień po tygodniu sprawia, że łuszczy mi się ogon. Statek znacznie bardziej odpowiada moim gustom, jeśli nawet Wartogłów rzyga jak brzemienna dziewczka za każdym razem, gdy pokład jest zmywany przez wysoką falę.

Tak się złożyło, że moja najmłodsza siostra złożyła skrzek niespełna dwie niedziele wcześniej, a ja, z natury będąc typem macierzyńskim — praktycznie skrzela mi pękają od matczyńskich uczuć — chciałam zobaczyć siostrzeńców i siostrzenice, gdy wciąż są maleńkimi, wijącymi się kijankami... i

cieszyć się przez miesiąc porcjami ryb i kałamarnicowych pasztecików w gościnie u mojej siostry. Ale morze rozproszyło naszą rodzinę tak daleko, jak sięgają cztery wiatry, i cały miesiąc żeglugi po lodowatym morzu dzieli grootę Halsu od Muireannu. Muireañczycy nie są życzliwi wobec tych, którzy mogą zaświnić koje na ich statkach, dlatego Chudałyda i Wartogłów dopytywali w dokach o najbardziej zdesperowanego kapitana, takiego, który nie kręciłby wybrednym nosem na zapłatę.

I tak oto poznaliśmy Magadin.

Chudałyda i Wartogłów zanieśli moją wannę na jej pomost. Poklepałam burtę statku z pięknej starej akacji, sądząc po kolorze, choć bardziej niż trochę zniszczonego i mającego swoje lata. Zerknęłam na kadłub, gdzie widniała wyrzeźbiona niewprawną ręką nazwa. „Pocałunek Wiedźmy”, oznajmiała światu, acz niezbyt wyraźnie. Właśnie wtedy Magadin wysunęła głowę zza drugiego masztu.

— Szukasz okazji na północ? Starzec Glyndrw powiedział mi, że cię przytargają.

Jej głos był jak grzane wino w zimną noc. Machnęłam ręką, żeby chłopcy mnie postawili.

— Czymże ty jesteś, kobieto? Miejskim zoo?

Chudałyda szczerknął śmiechem z mojego małego żartu, ale ona tylko się uśmiechnęła.

— Raczej nie. Parę lat temu pewien czarnoksiężnik zaszczycił mnie zmianą kostiumu. — Leniwie podrapała szponem czubki błękitnych skrzydeł.

— Zawsze jest jakiś czarnoksiężnik, prawda? Przeklęta zmora, gdybyś była ciekawa mojego zdania. Nikt nie lubi takich jak my odmieńców, ale cała nasza śmierdząca zgraja nigdy nie

sprawiła tylu kłopotów, co jeden czarnoksiężnik w swojej na wieki przeklętej wieży.

Na znak współczucia plasnęłam ogonem, ale Wartogłów łypał na nią wrogo i zgrzytał zębami. Uspokajająco pogładziłam jego łysą głowę — mój Wartogłów jest jak szczeniak, nie może znieść zapachu obcego. Kreśliłam kręgi na malowanej łepetynie, a on pojękiwał z przyjemności.

— Powiedz mi, proszę, pani Menażerio, jak weszłaś w posiadanie tak wielkiego statku? Sama sobie jesteś kapitanem i nikt nie dźgnął cię w serce w środku nocy, żeby go ukraść?

Panna-bestia zeskoczyła lekko z górnego pokładu i wbiła we mnie bursztynowe oczy. Poruszała się zadziwiająco szybko na tych dziwnych nogach, szybciej niż uważałam za możliwe.

— Jeśli coś ci opowiem, czy wykupisz miejsca na moim statku i nie będziesz szukać nikogo innego? Jestem głodna jak szczenię bez matki i zarobek bardzo mnie ucieszy.

Od razu chwyciłam jej rękę, zamknęłam szpony w płetwach — i tak nikt inny nie chciałby nas zabrać.

— Tak, wykupię.

— No to posłuchaj. Tak jak zawsze jest czarnoksiężnik, tak zawsze jest bohater gotów ratować piękną dziewczynę — a niektórzy uważają mnie za piękną, choć może to dziwić. Ale to nieważne. Prawdę mówiąc, moje życie zaczęło się dopiero wtedy, gdy przybyłam do Muireannu...

Opowieść o załodze

Być dziewicą, rozumiesz, to nie dokładnie to samo, co być żywym.

Dziewica przypomina posąg. Jej główna umiejętność polega na staniu w bezruchu i pięknym wyglądaniu. Nawet w niewoli robiłam niewiele więcej nad siedzenie na drewnianym stołku i powstrzymywanie się od płaczu. Byłam nikim. Dopóki nie wjechałam na grzbiecie czerwonej Bestii przez rozklekotaną bramę Muireannu, nigdy nie zrobiłam kroku ani nie wyrzekłam słowa, które nie zostałyby zaplanowane przez ludzi w czarnych szatach — i nie ma większego znaczenia, czy szaty te nosili rodzice, czy czarnoksiężnicy.

Ale Bestia, choć uprzejmy, mógł zrobić niewiele więcej, niż zostawić mnie na nabrzeżu i zasugerować mieszkańcom, że mogę się przydać do łatania żagli albo do szorowania pokładu, jeśli któryś z nich zechce mnie przyjąć. Tłum muireańczyków stał bez ruchu, skamieniały z przerażenia na widok szkarłatnego demona, który mnie do nich przyniósł, i tylko kilka osób tępo skinęło głowami, modląc się, żeby odszedł, bo chcieli jak najprędzej wyrzucić go z pamięci. Bestia z uczuciem skubnął moje ucho i potruchtał z powrotem na bagna, do swojego króla.

Kiedy odszedł, tłum splunął i obalił mnie na ziemię. Muireańczycy przecięli błony pomiędzy moimi palcami i prawie odrąbali mi ogon. Połamaliby mi skrzydła, gdyby mogli, ale nie jestem drozdem w rękach dziecka. Moje kości są silne i wytrzymały. Zostawili mnie w dokach, zalaną krwią i

potłuczoną, a sami poszli ze śmiechem na swoje statki na kolację. Nadchodziła noc. Co miałam począć? Po wszystkich tych latach w wieży wiedziałam tylko, jak stać bardzo spokojnie, żeby ludzie mogli mnie oglądać.

I tak leżałam, zupełnie nieruchomo, pod gwiazdami jak okruchy lodu, dopóki nie przyszli. Musiałam zasnąć na zimnych kamieniach, bo zbudziła mnie ręka zaciśnięta na ustach i wycedzony przez zęby syk w uchu:

— Cicho, bezcenna. Cicho. Ktoś podniósł mnie jak kocica, która łapie za kark swoje kocię. W wirze szurających stóp, cuchnących oddechów i obrzydliwych pomruków zaniecono mnie na poskrzypujący statek i przywiązano do bezanmasztu.

— Cóż, mój mieszańcu, chciałaś służyć na statku. Daję ci słowo, teraz będziesz służyć. — Głos, który w dokach syczał w moim uchu, należał do kapitana o wysoko zarysowanych kościach policzkowych, w kapeluszu przybranym wyskubanymi niebieskimi piórami i wyświechtanym aksamitem. Był przystojny jak książę, tylko że kiedy się uśmiechał, pokazywał spróchniałe zęby, żółte i połamane jak u starego wilka. — Sprzedamy cię w którymś południowym porcie — mówił. — Jeśli waganci cię nie zechcą i handlarze niewolników cię nie zechcą, wezmą cię kuśnierze, a jeśli nie oni, to rzeźnicy. Tymczasem możesz przyłożyć swoje niedopasowane części, żeby wyszorować ten statek drzazga po drzazdze. — Wyszczrzył zęby i przekrzywił kapelusz na bakier. — Czekaj nas długi rejs na południe. Po paru tygodniach wydasz się nawet ponętna, a swoją drogą jesteś całkiem niezła od szyi w górę.

Spojrzałam na niego i zakaszlałam grzecznie, dając mu znać, że chcę przemówić, a on posłusznie wyjął brudną szmatę z

moich ust. Nastroiłam głos na słodkie tony fletu, jak mogłaby zrobić księżniczka.

— Nie musisz mnie sprzedawać. Mogę się przydać i nie będę walczyć z tobą ani z twoimi ludźmi.

Kapitan wzruszył ramionami i wyprostował się, otrzepawszy kolana spodni.

— Na tym polega piractwo. Jeśli weźmiemy cię z twojej własnej woli, cóż to będzie za piractwo? Dla mnie możesz być delikatna i słodka jak pierwsza śmietana na wiosnę, ale dla moich chłopców postaraj się wrzeszczeć. To podnosi morale.

*

Nie mogłam szorować pokładu. Moje nogi łani nie chciały się uginać, a żabie łapy ślizgały się po pokładzie. Potykałam się i przewracałam, zarabiając bolesne kuksańce za niezdarność. Zapomniałam, gdy mijały dni, że jestem dziewczicą, a potem zapomniałam, kto to jest dziewczica. Kapitan mówił mi co rano, że wieczorem spodziewa się mnie w swojej kajucie; co noc mi mówił, że jestem zbyt odrażająca, ale, mniej brzydka niż wczoraj i brzydsza niż jutro".

Pewnej nocy piraci upili się ostatnimi racjami rumu i zaciągnęli mnie do swoich kwater. Pamiętałam, by wrzeszczeć. Śmiejąc się jak szakale, obsypywali mnie klapsami i ciosami, aż jeden z nich wpadł na pomysł, że obcięcie mi włosów będzie pięknym figlem.

— Zrobimy z niej prawdziwego majtka — powiedział, śmiejąc się wrzaskliwie. — Nikt nie wychodzi w morze z głową pełną żółtych kędziorów! Zetnijmy je!

Stanął za mną i złapał garść moich włosów, skrzydełka ważki zatrzepotały w panice na końcach pasm. Wyjął krótki nóż i ciął

żółte loki, a potem cmoknął mnie głośno w odsłoniętą szyję.

Nie wiedziałam, co się stanie, przysięgam. Ściał moje włosy, tak, ale zanim jedwabiste kędziory spadły na podłogę, krew trysnęła z przeciętych końców, jakby dźgnął mnie w serce, a moje skrzydła zabrzęczały tak głośno, że ledwo słyszałam krzyki strachu i odrazy. Mężczyźni odstąpili ode mnie, wytrzeszczając oczy, gdy krew wsiąkała w moją koszulę i przechodzone spodnie, które znaleźli dla mnie w kufrze zabitego żeglarza.

Chwiejnie stanęłam na nogach, czerwona mgła zasnuwała mi oczy. Czułam się bardzo dziwnie, jakby zbudziły się wszystkie stworzenia, które tworzyły moje niekształtne ciało, i teraz szukały oparcia w mojej duszy. Wilk i jelen, tygrys i niedźwiedź, żaba, ważka i ryba — wszystkie ich wielobarwne głosy błagały o wysłuchanie, wcześniej nie będąc nawet szeptem. Przepęłniło mnie wycie i szczekanie, krakanie i skrzeczenie, ryk i pisk, pisk tak przeraźliwy, jakby ktoś ciskał flety na kamienną podłogę.

Wilk skoczył pierwszy, zaraz za nim tygrys. Zacisnęłam pazury na gardłach trzech piratów i odgryzłam ucho następnemu, potem wyłupałam mu oczy. Jeleń kopał czaszki leżących, a niedźwiedź rozdzierał nagie brzuchy. Żaba i ważka pamiętały, żeby wrzeszczeć.

Nie został ani jeden; kajuta była pusta jak więzienna cela. Chciałam się rozchorować. Chciałam subtelnie zwymiotować w kącie albo poczuć się słabo i omdleć z poczucia winy. Ale nie byłam ani chora, ani słaba, a stworzenia we mnie nie posiadały się z radości. Dziewice stoją nieruchomo wszyscy je podziwiają. Wiedźmy nie stoją spokojnie. Nie byłam ani dziewczycą, ani wiedźmą, ale to dobrze, że skłoniłam się na stronę czarów, które otwierają wieże i opróżniają statki.

Łatwo było, gdy powzięłam decyzję, wśliznąć się do kajuty kapitana, a tam do miękkiego łoża. Poduszka chłodziła moją twarz, krew moich włosów zaschła i czerniała na płótnie. Nie czekałam, aż się zbudzi, i nie potrzebowałam ukrytego noża. Niedźwiedź otworzył go jak ul pełen miodu.

*

Pożeglowałam statkiem widmo z powrotem do Muireannu.

Opowieść magyry, ciąg dalszy

Panna-bestia z czułością pogładziła reling szkunera.

— Nikt nie chce tego statku, tak jak nikt nie chciał mnie. Powiadają, że nie używam żagli, tylko przywiązuję do masztu duchy załogi i pozwalam, by księżyc napełniał je niczym wiatr. Statek jest mój. Znam go jak własne ciało i nie żałuję tego, co zrobiłam. Na tym polega piractwo, jak sądzę. Już nie jestem dziewicą i cieszę się, że skończyłam z tym godnym pożałowania stanem. Zmyłam go krwią i falami oceanu. Nikt mi nie wadzi, a ja nikomu nie sprawiam kłopotów.

— Niezły bajer, bez dwóch zdań — zarechotałam. Moi chłopcy parsknęli drwiąco poklepując jeden drugiego po plecach. — Mamy prawdziwego złoczyńcę o czerwonych rękach, chłopcy! Setka chłopa za jednym zamachem!

Magadin uśmiechnęła się cierpliwie.

— Nie złoczyńcę. Nie wiedźmę ani nie dziewicę. Kapitana, który po trosze jest wszystkimi trzema. Ale wiercie, w co chcecie. Kiedy syrena wykpiwa potwora za historię zbyt fantastyczną, by dać wiarę, kto powie, które z nich jest śmieszniejsze?

Spurpurowiałam, nadymając się ze złości jak przejrzała śliwka.

— Nie jestem syreną! Syreny to chude strojnisie z muszelkami do okrywania cycuszków! Syreny nic nie robią, tylko przesiadują na skałach, gapią się w lusterka i wabią statki

ku zgubie. Zupełnie dobre statki! Nawet galeony! Syreny to marnotrawne fajtlapy, każda jedna, nawet gdybyś miała całe plemię na stole operacyjnym, nie ulepiłabyś ze wszystkich połowy mózgu. Jestem magyra. Mogę zmiażdżyć ci czaszkę gołymi rękami. Gdybym chciała sama zabić gromadę marynarzy, zrobiłabym to diabelsko dobrze armatą, szablą i pięścią w zęby, nie trzepotaniem rzęs. Lepiej to zapamiętaj, Maggie, mój skarbie, a jeśli zobaczymy syrenę w drodze przez wzburzone morza, będzie lepiej dla nas wszystkich, gdy obecny tutaj Chudałyda przeszyje strzałą tę rozchichotaną idiotkę.

To rzekłszy, porządnie plasnęłam ogonem i rozkazałam chłopcom, by wnieśli mnie na pokład.

*

Minął tydzień na falach, a Wartogłów co rano wymiotował za burtę, jakby był rybakim, który rzuca przynętę na wieloryby. Nie widziałam niczego niezwykłego: błękit oceanu nie zależy od dnia ani od przyływu, a gdybym kochała tę wielką słoń sadzawkę na tyle, żeby je opisać, kochałabym ją na tyle, żeby w niej pływać, rozumiecie?

Maggie natomiast prowadziła szkuner w sposób, jakiego dotąd nie widziałam. Moi chłopcy nie są wałkoniami, gdy chodzi o pracę na pięknym statku — kupiłam ich po okazyjnej cenie z adżariskiej floty, gdy byli tak biedni, że nie stać ich było na drzazgę. Ona jednak nie chciała słyszeć o pomocy, skacząc po pokładzie jak szalony derwisz. Nie przyszłoby wam na myśl, że ktoś może samodzielnie obsadzić statek tej wielkości, ale Magadin tego dokonała, słowo daję.

Tak się stało, że Wartogłów pierwszy zobaczył potwora, rzucając swoją przynętę o świcie dwudziestego dnia rejsu.

Bełkocząc, przybiegł do mnie jak dziecko, które odkryło, że ma kciuki. Nie bacząc, że wychlapuje moją wodę, ze zgrzytem przeciągnął starą balię po pokładzie, żebym mogła spojrzeć nad relingiem. Zobaczyłam, to straszne, wodę pękającą na skorupie tak ogromnej, że z początku pomyślałam, iż dobiliśmy do lądu.

Trudno było ogarnąć ją okiem, podnosiła się jak żółw, lecz miała kolor morza, więc wyglądała jak fala na rafie, zbyt nieprawdopodobnie ogromna, żeby należeć do żywego stworzenia. Wartogłów krzyczał i bełkotał, że to coś nas pożre, ja jednak nie widziałam głowy. Nic, tylko skorupa wznosząca się coraz wyżej, woda spływała po bokach, po śliskich płytach połyskliwego błękitu, czerni i zieleni, powtarzających się jak układanka. Statek został pochwycony przez kipieli piany, morze pędziło na nas, uciekając od bestii.

— Potwór morski — szepnął Chudałyda i wymamrotał modlitwę, po cichu, żebym nie usłyszała; chłopcy wiedzą, że nie pochwalam ich wiary w zakichane gwiazdy.

Magadin krzyknęła do nas, skacząc z rei na reję, walcząc o utrzymanie statku na równym kilu.

— To echeneis! Nie czytacie ksiązek? Nie widać nawet połowy obwodu! Może nas połknąć i nawet nie poczuje ukłucia masztu w gardzieli. Bierz te liny, Sheap, inaczej nakarmimy potwora.

Chłopcy byli tak radzi z zajęcia, że wpadli na siebie, gdy każdy z nich próbował pierwszy dotrzeć do łopoczącego kliwra. Ja tylko wytrzeszczałam oczy byłam jak zamarznięty poleć foczego mięsa. Stwór wciąż ogromniał, rzucał na nas cień. Zadrżałam w nagłym zimnie, zielonawoniebieska gęsia skórka wystąpiła na moje ramiona. Niebawem nie było wcale morza, tylko ten brzydki czarny kolos rosnący jak martwe słońce.

Pilnie wypatrywałam łba, najmniejszej przerwy w gigantycznej skorupie, szukałam uparcie jak ryba jedzenia w koralu.

Chudałyda wrzasnął — nigdy nie słyszałam wrzasku mojego biednego chłopca, chronię go, żeby nie miał ku temu powodów — gdy rozległo się okropne, przeraźliwe zgrzytanie, jakby żelazo piłowało żelazo, i nagle fale pękły nad głową wieloryba z paszczą, która nie miała końca. Rozciągała się, cała w uśmiechu, dokoła i dokoła, aż w końcu się wydawało, że podzieliła łeb kolosa długimi, żółto-białymi kurtykami fiszbinów o chorobliwym połysku. Oko miało kolor starego trupa. Z paszczy płynął smród zepsutego mięsa i zgniłej kapusty. Gdy tylko woda spłynęła, Wartogłów odczepił z burty harpun o grubym drzewcu i z całej swojej niemałej siły cisnął go w kierunku pyska echeneisa.

Harpun wyrządził szkodę nie większą niż chusteczka do nosa rzucona w żelazne drzwi.

Magadin westchnęła ciężko, jakby tego się spodziewała. Jej żaloszny stateczek przegrywał bitwę z wiatrem i ześlizgiwał się ku czarnej paszczy potwora. Jej twarz, śliczna twarz, naprawdę, pomimo wszystko, skrzywiła się w grymasie rozpaczki, choć pokryte łuską ramiona ani na chwilę nie puściły koła.

Echeneis dopiero rozpoczął długi proces otwierania paszczy. Szara woda przyspieszyła, fala uderzyła z hukiem walących się pałaców i nagle rozdziawiła się ciemna gardziel, wciągając nas do środka. Choć Maggie szybko kręciła kołem, żeby nas obrócić, niezależnie, jak chłopcy szybko trzymowali żagle, podpływalismy coraz bliżej do chlupoczącego żołądka morskiego potwora.

— Chudałyda, kochaneczku! — krzyknęłam. — Twoja pani jest tępą jak stado krów. Przynieś mi harpuny!

Zawsze posłuszny, Sheap wziął ich całe naręcze i wrzucił je do mojej wanny.

— Przysięgam, gdyby moje cycki nie były przykręcone, dziesięć lat temu zostawiłabym je w knajpie. — Uśmiechnęłam się z fałszywą skromnością do jego wytatuowanej facjaty. — Czy widziałeś kiedy moje gruczoły, skarbie? Nie pokazałam ich nikomu, ale czasy są, jakie są...

Podniosłam jedną ciężką pierś i przeciągnęłam po niej ostrym szpicem harpuna. Skóra się rozstąpiła i zielona maź pociekła na mój brzuch magyry, w przeciwieństwie do tych syren, nie są bezbronnymi lalkami. Mamy w piersiach worki trucizny, jak atrament kałamarnicy. Wetknęłam ręce w spieniony szlam, każąc chłopcom i dziewczynie-bestii uczynić to samo. Cała nasza czwórka szybko zanurzyła harpuny w moich olejach i obładowała Wartogłowa ociekającą bronią. On pobiegł na dziób, dosłownie biały od mdłości, i rzucił pierwszy harpun prosto w paszczę echeneisa.

Harpun zniknął, bezużyteczny jak kulawy żeglarz.

Wartogłów spróbował jeszcze raz i harpun znowu zniknął w czerni. Potwór połknął tyle trucizny magyry, że starczyłoby do zabicia tabunu koni, a nic się nie stało. Chudałyda osunął się na pokład i zapłakał.

Ale Magadin — kapitan wśród kapitanów, ona jedna! — chwyciła pęk harpunów i głośno cmoknęła mnie w czoło.

— Dopilnuj, żeby mój statek powrócił do domu — powiedziała i mrugnęła do mnie. — Statek zasługuje na port, zasługuje na przystań, niezależnie od tego, jaki los spotyka jego załogę.

— Czekaj! Jeśli ktoś ma skoczyć za burtę, to dama z ogonem, nie sądzisz? — Nie znaczy to, że paliłam się do skoku w głęboki

błękit, rozumiecie. Ale uznałam, że wypada zaproponować.

Magadin roześmiała się i uderzyła wilczym ogonem o reling.

— Zgadza się! — ryknęła. I z tymi słowy skoczyła za burtę, jej żabie łapy machnęły, jasnozielone w zmętniałej wodzie. Wpłynęła w paszczę potwora szybciej niż woda z lodowca ścieka latem po zboczu, a gdy minęła mur fiszbinów, przekręciła się na fali i cisnęła harpuny w podniebienie.

Echeneis ryknął z wściekłości, co zabrzmiało jak zgrzyt zardzewiałych noży drapiących metalową beczkę. Zatrząsł się i przewalił na bok, skorupa wyduła się jak pełen pęcherz i nagle okropny stwór zwymiotował, rzygnął na pokład statku powodzią złotych moment, które darły drewno jak ostrzał z armaty. Bestia nie przestawała rzygać, zasypując ocean złotem. Widziałam, jak ogon Magadin uniósł się ociężale raz i drugi, a potem nasza kapitan znikła w czerni.

Opowieść o bladej dziewczynie, ciąg dalszy

— Zakichany statek był wówczas pełen dziur, rzecz jasna. Ale też pełen złota! Odpływaliśmy, podczas gdy potwór znów schodził pod wodę i dobrześmy zrobili! Kiedy w końcu zatonął czubek skorupy, morze zalało go jak powódź; wir omal nas nie wessał. Na szczęście moja wanna stała przy kole sterowym, a chłopcy dwoili się i troili przy łataniu dziur, tak więc dotelepaliliśmy się do portu Muireannu z pełnymi kabzami! Nie tylko złota, ale przepięknych staroci! Są warte pięć razy więcej niż zwyczajne złoto. Szkoda mi tylko, że nie zobaczyłam młodych Halsu... i jej pasztecików. — Grog przez chwilę miała zasmuconą minę, ale osuszyła kufel i znów była cała w uśmiechach, wesoło szczerząc żółte zębiska. — To opowieść warta kolacji, Eyvy, nie sądzisz?

Ale twarz Sigridy stała się jednocześnie czarna i biała, pragnienie, nadzieja i rozpacz przemykały po niej jak chmury.

— Widziałaś echeneisa? Potwór pożarł kapitana?

— Ona jest głucha czy upośledzona, Ev? Nie słyszała, co mówiłam? Czy nie ma garści pełnych złota martwych ludzi?

— Pamiętasz, gdzie to było, marynowana flądrowo? — Oczy Sigridy płonęły jak ogień w środku zimy. — Możesz odnaleźć to miejsce?

Grog spojrzała na nią z politowaniem. Przegarnęła rękami szmaragdowe włosy, poprawiając skołtunioną koafiurę.

— Wiem, skarbie, żeś nietutejsza, lecz chyba widzisz ogon, prawda? Czy pojmujesz koncepcje ogona? Rozumiesz, że służy do pływania i tak dalej? Może nie lubię moczyć w oceanie swoich wrażliwych członków, ale nikt nie zna morza jak magyra. Jasne, mogłabym je znaleźć. Ale nie mam zamiaru. Uciekłam z pełnymi kieszeniami, co uważam za prawdziwy łut szczęścia, i nie zamierzam błąkać się po morzu w poszukiwaniu ślicznej wielkiej mordy, ażeby w nią wskoczyć. A teraz napełnij mój kufel, Eyvindzie, i dopilnuj, żeby panowała cisza i spokój, gdy ciało pani będzie wchłaniać trunek.

Śnieg, niezauważona przez nikogo, przysunęła się do wanny ze słoną wodą i chudą ręką ściągnęła nóż z szynkwasu. Jak dziki kot skoczyła na brzeg wanny i chwyciła Grog za ciemnozielone kołtuny.

— Zabierz nas — syknęła. — Zabierz nas do potwora, bo inaczej poderżnę ci gardło.

— Śnieg! — sapnęła Sigrida. — Co w ciebie wstąpiło? Jeśli ktoś ma grozić tej morskiej krowie, to tylko ja.

— Sigrido, widzisz, co się dzieje — powiedziała Śnieg błagalnie. — Przez cały czas opowiadałaś mi o Świętej Sigridzie i myślisz, że przepuszczę okazję znalezienia się w tej historii, wzięcia w niej udziału? Czy nie poświęciłaś ośmiu lat życia w wieży, ponieważ pewna kobieta opowiedziała ci historię, która ci się spodobała? Chcę tylko paru dni na morzu! Wierzysz, że pieśń mówi o tobie — ale czy nie może mówić także o mnie? „Sierota ją znajdzie"! Jestem sierotą, nigdy nie znałaś prawdziwszej. Przez długie lata szukałaś echeneisa i chcesz pozwolić, żeby ta tłusta stara krowa nas powstrzymała? Pozwól mi iść z tobą, pozwól pomóc ją znaleźć i pozwól pochlastać tę

cuchnącą rybę, jeśli nam nie pomoże! — Śnieg przycisnęła nóż do wałków tłuszczu na szyi Grog, która pisnęła bezradnie.

— Fanatycy! — wrzasnęła. — Mówię wam, nie ma na świecie niczego równie groźnego jak fanatycy! Chudałyda! Wartogłów! Brać ją czym prędzej dla pani!

Zwaliści mężczyźni rzucili się ku blademu dziecku, ale Eyvind zatrzymał ich spojrzeniem.

— Tknijcie ją palcem, a rozkwaszę nos pani flaszką rumu — warknął.

Sigrida z wdzięcznością skinęła głową.

— Zgoda! — krzyknął Grog. — W porządku! Zabiorę was tam, śmierdzące psy. Prowadziłeś piękną karczmę, Eyvindzie, lecz spójrz na siebie teraz! Płaszczysz się przed grubą babą i jej bachorem!

Dziewczyna puściła głowę magyry i zwinnie zeskoczyła z wanny. Grog spojrzała na nią wściekle i splunęła zieloną flegmą, która rozbryznięła się na jej plecach. Sigrida z lekkim uśmiechem wytarła plwociny.

— Dziękuję — odparła Śnieg sztywno.

— Pani — rozbrzmiał miękki, wysoki głos. Wartogłów przysunął się do wanny i klęczał, trącając Grog ręką niczym szczeniak łapką. — Tylko nie na morze. Nie na statek. Błagam. Mój żołądek...

— Nie na morze — poparł go Chudałyda. — Mamy dość. On tam jest przyczajony. Zaczekamy na ciebie tutaj, kochamy cię, ale nie chcemy znowu spotkać tego potwora.

Grog przewróciła oczami.

— Kto zatem poniesie moją wannę? Ten cień dziewczyny nie dźwignie kubka rumu!

Eyvind kaszlnął, splunął i pełnym uczucia ruchem przetarł szynkwias szmatą.

— Ja z wami popłynę i poniosę twoją puszkę zupy, stary jesiotrze.

— Ha, miło z twojej strony, skarbie!

— Ale zrobię to dla Sigridy, nie dla ciebie — burknął i wbił nakryte ciężkimi powiekami oczy w starszą kobietę.

— Pięknie. — sapnęła Grog. — Wszyscy są tacy lojalni, że aż cuchnie. Fanatycy przyprawiają mnie o zgałę. Statek Maggie cumuje w porcie. Pamiętaj, żeby mocno chwycić, bo nie chcę zostać wylana na ulicę niczym kubel zgniłych ryb.

I tak oto Sigrida, Śnieg i Eyvind narzucili wełniane okrycia i przygotowali się do wyjścia w morze. Chudołyda i Wartogłów dostali izbę na tyłach tawerny, gdzie mogli spać, a inni klienci zostali delikatnie wyproszeni za drzwi.

— Przynieś beczkę rumu! — wrzasnęła zielonowłosa magyra.
— Będzie nam potrzebna, wspomnisz moje słowa!

W ogrodzie

— Jeśli jesteś sprytna, natychmiast weźmiesz nogi zapas. — Głos kowala zabrzmiał jak syk gorącego żelaza tnącego jedwab nocy.

Dziewczynka poderwała się, przywykła do szybkich uciezek. Ledwo spojrzała na chłopca, omijając końskie nogi i wiaderka, zwinnie wymykając się za drzwi stajni, gdy pierwsze krople światła sączyły się od wschodu.

Ale Dinarzad, choć znalazła brata śpiącego bezpiecznie tam, gdzie go zostawiła, trzymała go przy sobie przez cały dzień, a były to tortury gorsze niż wszystko inne, co dotychczas obmyśliła. Chłopiec musiał robić to samo co ona. Palce mu poczerwieniały i spuchły od szpilek, potem poczerniały od inkaustu, potem zrobiły się niebieskie od kosztownych barwników. Nie umiał niczego zrobić należycie i palił się ze wstydu, karcony przez wiele kobiet. Wieczorem, bez względu na to, jak bardzo pragnął wykraść się do ogrodu, był zmęczony niczym jelen, który o krok wyprzedzał goniące go ogary. Dinarzad uparła się, żeby spał przy niej, i choć raz się jej nie sprzeciwił, tylko padł na łóżko, obolały i zawstydzony.

Po północy zbudził się i zobaczył dwoje ciemnych oczu patrzących spod kamiennego łuku obwieszzonego delikatną fiołkową gazą, cienką jak sekrety. Dinarzad leżała spokojnie na swoim łóżku, okryta białymi futrami, i chłopiec pomyślał, nie po raz pierwszy, że kiedy się nie odzywa, jest piękna. Czarne

włosy płynęły po poduszce jak rzeka cieni, a jasna skóra lśniła w księżycowej poświacie. Jej smukłe, eleganckie dłonie zaciskały się na brązowych kluczach do drzwi sypialni, powolny oddech brzmiał słodko niczym tony fletu.

Chłopiec leżał na mniejszym, skromniejszym łóżku, ciemne włosy miał zmierzwione, jakby wiele razy ze złością przegarniał je palcami. Szeroko otwierał oczy, patrząc w niskie okno na dziewczynę upozowaną niczym łania gotowa do skoku. Bezgłośnie, jak pająk na ścianie, podpełzł do parapetu i odsunął lawendowe woale. Oddech Dinarzad wciąż był spokojny i rytmiczny jak taniec.

— Przyszłaś! — szepnął. — Jak to robisz, że zawsze mnie znajdujesz?

Dziewczynka się uśmiechnęła.

— Magia. Ostatecznie jestem demonem.

— Zawsze przychodzisz do okna, znajdujesz mnie i porywasz — nie tak powinna robić dziewczyna. We wszystkich opowieściach tak postępują książęta.

— To jest zupełnie inna opowieść.

Chłopiec starał się nie zdradzać radości; przypominał królika, który wie, że zostanie złapany, ale nie może się powstrzymać od zjadania marchewki. Gorączkowo pragnął, żeby ją znaleźć i porwać jak prawdziwy książę. Ale ona była jak powietrze przepływające przez jedwab, nie mógł nawet jej dotknąć. Stali przez chwilę, oddzieleni niskim kamiennym parapetem.

— Będę bardzo cicha — szepnęła — żeby nie zbudzić twej siostry.

Usadowiła się pod oknem w wysokiej, zroszonej trawie i zamknęła oczy.

— Kiedy statek panny-bestii przez trzy dni ciął fale dziobem jak pierś lwicy trawy stepu, Grog zajmowała się sterem, gdyż nikt nie chciał przesunąć jej wanny, a Eyvind siedział pod pokładem z Sigridą, szykując skromny posiłek z foczego sadła i twardego chleba. Nie widzieli, jak Śnieg wsunęła się za nimi, chętna słuchać ich rozmowy jak dziecko, które szpieguje rodziców...

Opowieść o bladej dziewczynie, ciąg dalszy

— Mamy teraz cały buszel czasu Sigrido — powiedział Eyvind, sadowiąc się na krześle z westchnieniem. Odciął dla siebie piętki chleba i posmarował je solonym smalcem. — Od prawie dziesięciu lat robisz do mnie słodkie oczy, pijesz moje piwo w Ramieniu i Pstrągu, od prawie dziesięciu lat masz taką minę, jakbyś chciała coś mi powiedzieć, i przez dziesięć lat nic nie powiedziałaś. — Pochylił się, piaskowe włosy spadły mu na czoło jak kępki futra. — Myślę, że dawno temu powinnaś mi wyznać, co trzymasz w zamknięciu za tymi zębami.

Sigrida westchnęła i wbiła wzrok w stół, nie mogąc spojrzeć w oko oberżyscie.

— Eyvindzie — zaczęła, jej głos trzeszczał jak zamarznęta miotła. — Nie jestem pewna, czy powinnam. Był taki czas, jak myślę, zaraz po przybyciu do Muireannu, kiedy mogłabym ci powiedzieć i to byłoby właściwe. Ale teraz... minęło tyle czasu, wydarzyło się tyle rzeczy, więc chyba będzie najlepiej, gdy ta sprawa pozostanie martwa, zamknięta w skrzyni na cztery spusty.

— O czym ty mówisz, kobieto? Dla ciebie zostawiłem tawernę, możesz przestać zachowywać się jak płochy podlotek — dobrze wiem, że nie jesteś tylko tkaczką sieci. Rozmawiasz z tą albinoską, jakby była twoim spowiednikiem, a nie chcesz mi powiedzieć, dlaczego patrzysz na mnie, jakbym miał pomachać ogonem i zawyć do księżyca!

Twarz Sigridy obwisła, gdy podniosła na niego wypłowiałe oczy pełne litości. Wyglądała jak matka witająca w domu dziecko, które zeszło na złą drogę i stało się dla niej kimś obcym.

— Zrozum, proszę, zrozum, że nigdy nie chciałam cię skrzywdzić...

Druga opowieść tkaczki sieci

Kiedy stałam się kobietą, kończyny były dla mnie dziwne jak pierwszy smak wina. Przez wszystkie swoje dni do tego jednego byłam niedźwiedzicą.

Kochałam moją matkę i Gwiazdy, i kochałam młodego niedźwiedzia z ciemnymi oczyma, nawet gdy mnie zostawił. Nigdy nie byłam dziwna, nigdy nie różniłam się od moich sióstr.

Niedźwiedź, którego kochałam, odszedł, i śnieg padał, śnieg zamarzał, lodowce pękły i zmieniały się bez niego. Nie wiedzieliśmy, dokąd poszedł, i po pełnej zmianie pór roku, gdy jego ślady nie przecięły naszego lodu, niedźwiedzie zaczęły łączyć się w pary i przyszyły na świat młode. Życie toczyło się dalej.

Ale pewnego wieczora, gdy niebieskie światła niebios sączyły się przez słupy świątyni, rzucając cienie kobaltu i akwamaryny na moje gęste futro, doznałam widzenia, migoczącego na lodowym ołtarzu z ciężarem i głębią jeziora. Laakea, Gwiazda Harpun, stanął przede mną z diamentową włócznią na ramieniu, ze skórą bielszą niż samo światło. Jego włosy spływały na ołtarz niczym zamarznięta kaskada, a ja zadrżałam w jego obecności, przerażona i pełna uniesienia. Byłam skromną niedźwiedzicą, która niedawno weszła w okres dojrzałości, a wpatrywały się we mnie złote oczy Daleko Latającego Łowcy. Nie mogłam udźwignąć tego zaszczytu.

Powiedział mi, Eyvindzie. Powiedział, że zostałeś przemieniony w człowieka, że szukałeś zemsty za śmierć Gwiazdy Wąż i zostałeś przemieniony, żeby jej nie dopełnić.

Zemsta nie należała do ciebie, powiedział. Powiedział również, że już nigdy nie odzyskasz niedźwiedziej postaci, a przynajmniej nieprędko i za taką cenę, że to będzie warte mniej niż garść popiołu. Powiedział mi, głosem jak śnieg, że nigdy cię nie zobaczę, że nigdy nie powrócisz.

I zapłakałam, ukochany. Płakałam u jego stóp jak dziecko, i nie mogłam unieść oczu, by spojrzeć na jego piękno.

Laakea położył ręce na moich ramionach — popadłam w ekstazę! — i podniósł mnie na nogi. Powiedział, że jeśli chcę, sama mogę stać się kobietą, żeby cię odszukać, znaleźć ciebie, znaleźć nieco szczęścia. Oczywiście, że tego chciałam! Wyrysował mi mapę na lodzie, mapę przez kry do wielkiego lasu na najdalszej północy świata, gdzie, powiedział, wędruje stworzenie, które zna się co nieco na handlu skórą.

I nie dodał nic więcej. Ani jak cię znaleźć, ani jak stać spokojnie, gdy coś rozpruje moje futro i zasznurowuje ludzką skórę.

A jednak wciąż cię kochałam i wierzyłam, że chcesz, abym przyszła.

Nie mogłam znieść myśli, że jesteś nieszczęśliwy, odcięty od swojego plemienia. Dlatego ruszyłam do dalekich północnych dzikich krain, przepłynęłam morza tak niebieskie, że mroziły mi kości, i wędrowałam wśród zamarznionych, spowitych szronem drzew. I przybyłam do lasu większego, niż znałam nawet z opowieści, ciemniejszego w swej bladości niż jaskinie, i głębszego, białego od śniegu i straszego w zimnie.

Wędrowałam, błądziłam. Może minęła godzina, może rok. Może dziesięć lat. W bieli czas jest niczym, a ja znałam tylko zimę, jej zapach. Szłam za zapachem lodu przez sosny, przez ostrokrzewy, szerokimi łapami przeorując zasy. Szłam za nim,

aż natknęłam się na zgarbioną postać w zamrożonym płaszczu sępa, z piórami przemienionymi w kryształ i szron. Podeszłam do srebrzystej garbatej postaci.

— Szukasz Ghassana — powiedział garbus. — Ale ja nim nie jestem. Jestem Umayma, córka Ghassana.

Ściągnęłam brwi, na ile to możliwe u niedźwiedzia.

— Nie wyglądasz na dziewczynę. — I rzeczywiście, przypominała dzikiego jak wilk chłopca z kruczymi szponami. Tupiała nimi w śniegu i zgrzytała perłowymi zębami.

— Cud skór jest taki, że nie trzeba nosić własnej twarzy. Musisz być zmęczona swoją, w przeciwnym wypadku nie przyszłabyś szukać Ghassana.

— Nie zmęczona, nie, ale potrzebuję innej.

— Jakiego rodzaju?

— Ludzkiej dziewczyny.

Umayma ściągnęła usta.

— Towar trudny do zdobycia. Dziewczęta bardzo dobrze strzegą swoich skór. Ale mam jedną. — Z opasłej skórzanej torby wyciągnęła tobolek koloru dobrego miodu i podniosła go uprzejmie.

— Skąd ją masz? — zapytałam z lękiem. — Nie chcę włożyć ciała zamordowanej dziewczyny i nosić go jak suknię.

Umayma uśmiechnęła się i nastroszyła pióra sępa.

— Skóra to skóra, lecz jeśli chcesz wiedzieć...

Opowieść handlarki skór

Pierwszą rzeczą, jaką pamiętam, jest jajo. Moje pióra były bardzo czarne.

Ghassan mi powiedział, zwierzył się tylko mnie jednej ze wszystkich swoich dzieci, jeszcze gdy byłam taka młoda, że żółtko wciąż przywierało do mojego dzioba — powiedział mi, że urodził się ptakiem. Zgarbiona stara wrona, która chciała mieć lepiej, powiedział. Pierwsza zmiana skóry stanowiła dużą niespodziankę — owinął się w skórę zrzuconą przez węża i skóra przylgnęła jak płaszcz, który nagle zrobił się za mały, żeby go zdjąć. Jego pióra zostały w strząśniętym stosie sadzy w środku lasu, a on nigdy nie obejrzał się za siebie.

Po jakimś czasie zaczął szukać skór i niedługo później wyrobił sobie reputację — do śmierci, przez dziesięciolecia, musiałby kraść. Był bogaty w skóry, które są tutaj jedynym bogactwem. Ludzie przychodzili, żeby się wymieniać, i zawsze prowadził ożywione interesy. Jeśli skóra sprawiała kłopoty, zawsze wiedział, jak się jej pozbyć; jeśli była rzadkością, zawsze mógł się o nią wystarać. Niektórzy uważali go za niegodziwca, ale prawdę mówiąc, był niegodziwy ani mniej, ani więcej niż każda inna wrona: rozkochany w nowych błyskotkach i zbyt sprytny, żeby zdobywać je zwyczajnym sposobem.

Nauczył mnie handlu. Większość jego dzieci była zwykłymi wronami, pustymi jak dmuchawce. Jestem podobna do niego, powiedział. Mojemu sercu brakowało skóry i dlatego mogłam mieć każdą skórę, jaką chciałam. Ale nie chciałam ich kraść, jak on, choć uważał złodziejstwo za umiejętność najwyższej wagi,

tak ważną jak czytanie dla księdza. Łajał mnie, mówił, że mam słabą wolę, groził, że wyuczy inne wronie dzieci, jeśli natychmiast nie podkradnę się do oposa i nie obedrę go ze skóry od głowy do ogona. Ale nie chciałam. Skóra jest święta, bliższa niż matka i dziecko, i choć pragnęłam zmiany, choć chciałam się zmienić i być taka jak Ghassan, chciałam również, żeby ten, w którego ciele się zagnieźdźę, pragnął zmiany podobnie jak ja. Szukałam długi czas, wypytyjąc to pazia, to wieśniaka, czy nie chce wyglądać jak wrona, a mój ojciec śmiał się za każdym razem, gdy uciekali ze strachu albo rzucali we mnie kamieniami, albo grzecznie odmawiali jedzenia gąsienic i liści.

Ale pewnego dnia, jak to bywa, spotkałam w lesie dziewczynę dokładnie taką, jaką spotykają w lesie czarne pazurzaste stworzenia — młodą i rumianą, jasnooką i zbyt ciekawą, by podążać zwyczajną ścieżką.

— Witaj — zakrakałam, podskakując na jej ścieżce.

— Witaj, stara wrono — odparła uprzejmie.

— Wcale nie jestem stara. Jestem całkiem młoda, a moje pióra mają śliczny połysk.

— Na pewno.

— Chciałabyś je nosić? — zapytałam, zaprawiając głos gładką słodyczą i łagodnością, z jaką sadzawka bije o zielone brzegi.

Dziewczyna namyślała się przez chwilę, skręcając w palcach brązowe kędziory.

— Chyba chciałabym, i to bardzo — rzekła cicho. — Myślę, że fruwanie byłoby przyjemne, a życie dojarki jest okropnie nudne. Każda zawsze ma nadzieję, że taka okazja nadarzy się w lesie, ale częściej kończą jako stare babki z obwisłymi cyckami i

obwisłym podgardlem, z palcami zdrętwiałymi od ściskania niezliczonych wymion.

Przyskoczyłam bliżej.

— Czy pozwolisz mi w zamian nosić swoją skórę?

Popatrzyła po sobie.

— Ależ tak, jeśli nie uznasz jej za brzydką, skłonną do obwisania i licznych podbródków. Pod tym względem to paskudne ciało. Nie polecam dojenia krów. Strasznie bolą palce.

— Będę o tym pamiętać. — Zaśmiałam się, potem przystąpiłyśmy do zwyczajnej ceremonii szycia i rozpruwania, w czym ona nie miała żadnego — doświadczenia, a ja niewiele większe, więc spaprałyśmy całą procedurę, lecz przecież pierwszy raz zawsze jest trudny, czyż nie?

Była śliczna, od środka pachniała mlekiem i sianem. Zakrakąła radośnie i odleciała w sosny.

A ja zaczęłam handlować, za każdym razem czekając na zgodę nie dlatego, że uważam kradzież za zło — przecież wciąż jestem wroną — ale ponieważ nie mam w pogardzie zwyczajnych sposobów. I tak oto obrałam zawód ojca, gdyż ludzie chcą się wymieniać, sprzedawać i kupować, a gdy z czasem zgromadziłam zapasy, klienci zaczęli mnie szukać. Mam swoje preferencje, jak Ghassan — oboje wolimy kilka skór za jedną, i lubimy zachować trochę naszej wroniej postaci. Zaczęło mnie bawić noszenie chłopięcej skóry, jak Ghassan często nosił kobiece. Różnorodność jest ważna, wiesz, i zawsze się opłaca pokazywać skóry dla większego efektu.

Z tego, co mi wiadomo, Ghassan wciąż żyje na swojej wyspie, na wyspie, gdzie się urodziłam, na wyspie, gdzie udaje syrenę, ale od wielu lat świat go nie widział. Jestem jedyną handlarką skór, o której dziś się mówi, lecz wciąż zwał mnie Ghassanem,

no bo kto może powiedzieć, kto jest kto, kiedy nasze twarze
zmieniają się zimą i z wiosną?

Druga opowieść tkaczki sieci, ciąg dalszy

— To jest skóra tej pierwszej dziewczyny. Nosiłam ją z sobą jako swego rodzaju pamiątkę, ale oddam ją tobie, bo jesteś w potrzebie, mnie zaś bardzo się przyda skóra niedźwiedzicy.

Przegrzebałam łapą śnieg.

— Umaymo, boję się.

— Nie ma czego — zapewniła ciepło, kładąc chudą jak szkielet rękę na moim ramieniu. — Za pierwszym razem zawsze trochę boli, ale potem jest łatwiej.

— To będzie mój jedyny raz — odparłam sztywno.

Umayma podrapała płaszcz z piór.

— Szkoda — westchnęła.

A potem wzięła mnie w chłopięce ramiona. Brak mi słów, żeby opowiedzieć, jak się to odbyło. Czułam się rozrywana, jak orzech w łupinie otwieranej paznokciem, czułam wypływającą krew-cukier. Czułam gwiazdę otwartą w mojej piersi, płonącą i parzącą, rozdzierającą futro i ciało jak gdyby wzdłuż szwu, który pękał z trzaskiem. Krzyknęłam, moje silne nogi ugięły się pode mną, pazury ślizgały się po lodzie. Słyszałam darcie własnej skóry, potem rozległo się wilgotne mlaśnięcie, a po nim nastąpił ból, który zaćmił mi oczy i umysł.

Potem handlarka skór wyciągnęła do mnie rękę, a ja ze zdumieniem wyciągnęłam swoją — nie była to łapa, lecz smukła dziewczęca dłoń z pięcioma palcami i tępymi, niepraktycznymi paznokciami w miejscu moich dumnych

pazurów. Stałam naga przed dziewczyną-sępem w jej chłopięcej skórze, nagle drżąca bez futra. Zimno przypominało dławienie — ścisnęło mnie za gardło i darło pierś pazurami. Nie wyobrażałam sobie czegoś takiego jak ten ziąb, zawsze miałam grube futro do ochrony przed mrozem.

*

I tak poszłam do domu. Matka wrzasnęła i nie chciała ze mną rozmawiać; jej rozpacz zalała dom jak czarny miód. Siostry nie chciały mnie znać i odeszły do świątyni, żeby modlić się za moją duszę, ani przez chwilę nie wierząc, że Laakea kazał mi to zrobić. Gunde zwołał Versammlung, lecz nawet oni nie mogli zdecydować, co ze mną zrobić. Uznali, że mogę zostać — choć jeśli to możliwe, lepiej, żebym odeszła.

Kiedy przybyły wilki, byłam gotowa do drogi. Nie miałam czego szukać na Północy. Uznałam, że jeśli pójdę z nimi na południe, z pewnością usłyszę o tobie albo o Gwieździe Wężu. Czy w mieście takim jak Al-a-Nur jakiś sekret może nie zostać odkryty? Będę mogła nas oboje na powrót uczynić niedźwiedziami; będę mogła cię znaleźć, gdziekolwiek się zagubiłeś. Czy komuś stanie się krzywda, jeśli w czasie poszukiwań zaznam trochę rozrywek i zakosztuję przygody? Wyruszyłam z sercem jasnym jak płomień w palenisku. A kiedy weszłam do Wieży Świętej Sigridy, powiedziałam sobie, bardzo rozsądnie, że to miejsce jest równie dobre jak każde inne, żeby znaleźć w nim wiedzę, opowieści i magię. Ale prawdę mówiąc, byłam rozkochana w Świętej i w Śniącym Mieście, i we wszystkim, co zaszło na świecie, odkąd mnie porzuciłeś. Już stawałeś się dalekim wspomnieniem, dziecięcą miłością. Świat

pękł z trzaskiem i pokazał mi cuda — wiedziałam, że nie mogę na powrót go zamknąć.

Zaczęłam cię zapominać, bo myślałam, że najlepiej zapomnieć. Czekало mnie kolejne przeznaczenie, inne niż tylko rola żony niedźwiedzia łowiącej ryby w przerębli.

Opowieść o bladej dziewczynie, ciąg dalszy

Eyvind wpatrywał się w nią porażony. Ze łzami w oczach miał poplamioną koszulę w ogromnych rękach.

— Tyle się wydarzyło, ukochany. Nosłam tę skórę, aż tak do mnie przywykła, że nie sędzę, bym mogła ją zdjąć, nawet gdybym chciała. Przez długie lata szukałam Świętej, a gdy przybyłam do Muireannu, bez grosza przy duszy, w rozpacz, znalazłam ciebie. Poznałam cię od razu, oczywiście, że cię poznałam.

— W takim razie jak mogłaś zataić to przede mną? — wybuchnął, łzy trysnęły na nowo i staczały się po jego wielkiej twarzy. — Od lat czekałem na zmianę, żeby znów zostać niedźwiedziem i wrócić do lodu, wrócić do ciebie. Tak długo byłaś tutaj i nic nie powiedziałaś? Jesteś zimna, zimna i okrutna, Ulla.

Sigrida przeciągnęła ręką po oczach.

— Nie nazywaj mnie tak. To nie moje imię, już nie. Nie jestem Ullą, jestem Świętą Sigridą Dróg. To jest moje imię, to jest moja twarz. Wyruszyłam, żeby cię odnaleźć, ale tak naprawdę zostałam człowiekiem dla czegoś innego. Dla tego statku żeglującego ku bestii, która połknęła moją boginię. To było celem mojej wyprawy, nie ty. Kiedy cię zobaczyłam, przypominałam sobie o wszystkim, czego nie udało mi się zrobić. Gdybym wtedy przyszła do ciebie i wraz z tobą prowadziła tawernę przez wszystkie te lata, może byłbyś

szczęśliwy, ale w ten sposób zadałabym kłam mojemu szkoleniu, całemu mojemu życiu od czasu, gdy zamieniłam się na ciało z handlarką skór. Taki byłby koniec mojej historii i wyszłoby na to, że zrobiłam to wszystko jedynie dla męża. Nie takiego końca chciałam. Nie jesteś moim celem, Eyvindzie. Jestem strzałą wypuszczoną w kierunku Sigridy i muszę znaleźć swoją tarczę. Wilk sprowadził mnie na manowce, nie rozumiesz? Wilk sprowadził mnie ze ścieżki, która wiała się do ciebie, i zawiódł do miejsca, o którego wysadzanych klejnotami tajemnicach nie mogłabym nawet zacząć ci mówić. Już nie jestem Ullą — jak mogłabym zamieszkać z Eyvindem? Nie jestem też twoim celem.

Oberżysta się skulił, jakby cała krew z niego wyciekła. Wsparł głowę na rękach, z palcami w rzadziejących włosach.

— Moje życie tak się pokrzywiło, że teraz nic już nie jest proste. Król Bagna powiedział, że odzyskam niedźwiedzią postać, gdy dziewica zostanie pożarta, morze obróci się w złoto, a święci polecą na zachód na skrzydłach ptaków wylęgłych z jaj, których żadna kura nie zniosła. Uwierzyłem jak stary bocian, myślałem, że będę czekać parę lat, nic więcej. Czas mijał tak szybko, pewnego dnia zrobiłem się stary i tłusty, a morze wciąż było szare. Kiedyś, wieki temu, opowiedziałem swoje dzieje pewnemu chłopcu, zdaje się. Myślałem, że to pomoże, przyspieszy wydarzenia. Ale ani razu, gdy teraz o tym myślę, nie przyszło mi do głowy, że moja luba może być tuż przy mnie, sącząc piwo w ciemnym kącie. Powinnaś mi powiedzieć, Sigrido. — Wciągnął głęboki, urywany oddech. — Jeśli nie jesteś moim celem, co nim jest?

— Przykro mi, Eyvindzie. Naprawdę. Nie chciałam, żeby tak się stało. Chciałam powitać swoją kapitan młodą i piękną,

chciałam być jej zbawczynią. Teraz mogę tylko kuśtykać w jej stronę na ciekącym statku i mieć nadzieję, że zostało mi dość siły, żeby się rzucić na ścieżkę morskiego stworzenia.

W kącie ładowni Śnieg płakała bezgłośnie, jej łzy wilżyły drewno łagodnie kołyszącego się statku.

*

Przez długie dni i noce pomiędzy Sigridą i Eyvindem zalegało milczenie gęste i ciemne jak ciało węgorza. Śnieg nie cierpiała brzmienia tej ciszy, jej echa w swoich uszach. Odetchnęła z ulgą jak wół, któremu zdejmą jarzmo, gdy Grog odwróciła do góry dnem ostatnią baryłkę, wlała rum w niebieskie usta, beknęła potężnie i ryknęła:

— Skorupa na bakburcie!

Śnieg nie mogła oddychać ze strachu, gdy skorupa rosła, czarna, zielona i niebieska, śliska jak ciało żuka, czarna, zielona i niebieska jak spływające z niej morze. Paciorkowate, złowrogie ślepia wznosiły się nad wodą, mrugając przejrzystymi powiekami w nikłym świetle dnia. Grog robiła znudzoną minę, ale blada dziewczyna widziała, że jej ogon trzęsie się w słonej wodzie. Sigrida krzywiła się ze strachu i uniesienia, gdy z całej siły ścisnęła rękę Eyvinda, czy chcąc go zatrzymać przy sobie, czy zakotwiczyć się do statku, tego Śnieg nie umiała powiedzieć.

— Grog! — zawołała Sigrida głosem wysokim i silnym. — Płyn prosto! Prosto w paszczę!

Magyra wyprostowała się w wannie, młóćąc wodę fioletowym ogonem.

— Odjęło ci rozum, kobieto? Dopłynęłam tak daleko, ale palicho noże, twój pomysł jest głupi jak pusty kufel!

— Wszystko w porządku! — Sigrida wybuchła śmiechem, odrzucając głowę do tyłu. Jej włosy powiewały jak u młodej dziewczyny. — „Ręka w rękę, pogwizdując, powrócą do domu, panna, niedźwiedź i dziewczę w szarości”!

Śnieg poklepała magyrę po ramieniu, które jarzyło się ciemnym turkusem ze strachu.

— Ja to zrobię, Grog. Naprawdę wszystko będzie dobrze. Prawdopodobnie. W każdym razie piosenka tak mówi, a zwykle piosenki nie kłamią. — Jej palce jak miękkie wosk przyłgnęły do koła.

Grog położyła się w wannie, jej szeroka pierś falowała.

— Fanatycy! — mruknęła, potrząsając kudłatą zieloną głową.

Paszczka echeneisa się rozdziawiła, morze wpadło do środka, za las fiszbinów w kolorze kości słoniowej. Niewielki statek wzniósł się na grzywaczu jak zabawka.

*

„Pocałunek Wiedźmy” zniknął w cieniu niczym zgaszona latarnia.

W ogrodzie

— Nie przestawaj! — wydyszał chłopiec. Jego oddech był szybki jak galop żrebaka. Dziewczynka ściągnęła brwi, zmarszczki tworzyły konstelacje w atramentowej przestrzeni jej powiek. Jej oczy śmignęły po komnacie, zatrzymując się na śpiącej Dinarzad, której ręce niespokojnie gładziły brązowe klucze.

— Jeśli mnie przyłapią...

— Obronię cię! Jestem dzielny jak każda Sigrida! Myślisz, że nie obronię?

Dziewczynka przez chwilę taktownie milczała.

— Myślę, że jesteś bardzo dzielny. Ale naprawdę nie rozumiesz. Czyżbyś zapomniał, że kiedyś się mnie bałeś?

Chłopiec poczuł, że pałą go policzki.

— Tylko trochę — wymamrotał, skubiąc kamyki na parapecie, próbując wyobrazić sobie, że są pionami Lo Shen. Noc była czarna jak olej do siodła i tylko ich oczy błyszczały. — Śpi twardo — kusił, leżąc na parapecie, tak blisko dziewczynki, że czuł jej dzikość, przywierającą do niej woń drzew i kamieni. — Opowiedz mi zakończenie.

Opowieść o bladej dziewczynie, ciąg dalszy

Kiedy cień i piana znikły z oczu czterech istot na pokładzie małego statku, świat wokół nich się zmienił.

Trzeba powiedzieć, że to oni weszli do nowego świata. Brzuch potwora morskiego był ogromny, tak wielki, że widzieli tylko najbliższy brzeg i żebra zakrzywione w górze, wyższe niż katedry — drugi bok niknął we mgle, a strop piętrzył się wysoko nad nimi niczym bezgwiazdne niebo. Płyn żółdkowy bestii tworzył wewnętrzne zielono-brązowe morze, z którego buchały trujące opary. Szkuner dryfował po oleistych wodach, odpychając dziobem pływające szczątki. Śmierdziało gnijącymi rybami i wodorostami, a wokół unosiły się szkielety nienazwanych stworzeń, które nigdy nie widziały słońca na powierzchni oceanu. Śnieg patrzyła za burtę na tę potworną zupe.

Sigrida nie oparła się o reling, by wlepić oczy w nagromadzone śmieci życia spędzonego na przemierzaniu morza. Trzymała koło i wzrokiem jastrzębia patrzyła prosto przed siebie, na leżące przed nimi cmentarzysko okrętów.

Było to całe miasto rozbitych statków, każdy podskakiwał we własnym rytmie na morzu żółci. Niektóre, rozpadały się ze starości, trupie ręce wciąż trzymały koła sterowe, czaszki turlały się po pokładzie w hipnotyzującym ruchu. Inne wcale nie były stare; miejscami wciąż jaśniała farba, a postacie zwisające z bocianich gniazd i bukszprytów były spuchnięte i

gniły, oblepione muchami. Szkuner płynął bezszelestnie przez tę nekropolię, załoga stała z szeroko otwartymi ustami. Eyvind wreszcie zakrył oczy, nie mogąc dłużej znieść widoku śmierci.

Sigrida wpatrywała się w niezbyt odległy okręt. Wśród wszystkich tych statków widm tylko na tym jednym wciąż płonęły latarnie i pomarańczowe światło wpadało na słoną wodę, ogień tańczył na tłustych plamach, świadectwie obżarstwa potwora.

I słyhać było głosy — radosne i wrzaskliwe, okrzyki i wiwaty. Serce tłukło się w piersi Śniegu. Gdy z dręczącą powolnością podpływali do tajemniczego okrętu, ośmieliła się mieć nadzieję, że będzie czerwony, czerwony jak stare marzenia. Ale kiedy wreszcie podeszli na tyle blisko, żeby zobaczyć cały galeon — bo był to galeon, piękny jak żaden statek stworzony ręką ludzką czy konarem — okazał się nie czerwony, lecz biały.

Statek — belki, żagle i liny, nawet galion, kobieta z lisią głową, z rękami wyciągniętymi wysoko w powietrze, by trzymać dziób — był obrosnięty pąklami, oblepiony nimi jak kwiat brzemienny w nasiona. Kamienne muszle pokrywały żywy maszt, dławili gałęzie niczym cuchnące śniegi. Tylko tu i ówdzie, gdzie nie przywierały, pobłyskiwały łatki czerwonego drewna. Biała powłoka była niemal jednolita, jak zbroja na rumaku bojowym, i nawet Grog patrzyła z odrazą na masę twardych stworzeń. A jednak na pokładzie statku poruszało się wiele postaci, najwyraźniej całych i zdrowych.

A na dziobie ukazała się kobieta w skórzanych spodniach i powłóczystej białej bluzie, o skórze koloru mirry. Miała jasno brązowe oczy i ciemne włosy, które spadały do talii i lśniły jak drogocenne przyprawy, bo w misterne warkocze miała

wplecione paciorki złota. Tuż za nią stała druga, słabo widoczna, której skóra zdawała się płonąć. Ognistą rękę trzymała na głowicy olbrzymiego miecza. Ale ciemnowłosa uśmiechała się promiennie, z twarzą otwartą i ciepłą. Wsparła dłoń na dziewczęcym biodrze i ze śmiechem powitała przybyłych:

— Witajcie w podziemnym świecie!

Wtedy Sigrida zapłakała. W końcu spotkała się twarzą w twarz ze Świętą Sigridą!

— Dziwna reakcja, jeśli wolno mi zauważyć — stwierdziła Święta Sigrida i ruchem ręki dała znać, by dwie z jej kobiet położyły deskę pomiędzy statkami, żeby przybysze mogli wejść na pokład.

— „Skarb Panieństwa” — szepnęła Sigrida z nabożeństwem, gdy jej stopa stanęła na pokładzie słynnego okrętu pokrytego kamienną bielą.

— Czy to nie interesujące? Musisz być jedną z Sigrid. — Święta spoglądała z umiarkowaną dezaprobatą, jakby na pijanego księdza, którego musi przestąpić, bo leży na jej drodze.

Sigrida zrobiła wielkie oczy.

— Wiesz o Wieży?

— O wieży? Nie, nic nie wiem o żadnej wieży, ale ten drobny kult powstał, zanim zostałam pasażerem w brzuchu tego wałęsającego się wieloryba-żółwia. Co mogę zrobić, żeby wybić to Sigridom z głowy? Ilekroć ktoś robi niezwykłe rzeczy, ktoś inny czuje się zobowiązany do podjęcia próby naśladownictwa. Tak świat jest urządony.

Sigrida miała taką minę, jakby została spoliczkowana.

— Szukałam cię przez całe życie, Świętej Gryfów, Świętej z Wrzącego Morza, z Czerwonego Okrętu. Nigdy nie próbowałam

powtarzać twoich cudów. Dokonywałam własnych. Chciałam być taka jak ty tylko duchem, być dzielna i szlachetna, i znaleźć swoje miejsce w świecie. Znaleźć ciebie.

Święta pochyliła się w jej stronę, okrągliła i rumiana jak w dniu, w którym zniknęła, i przyłożyła palec do nosa, rozciągając usta w konspiracyjnym uśmiechu.

— Bogowie zawsze sprawiają zawód — powiedziała.

Grog hałaśliwie plusnęła ogonem, dopominając się o uwagę jak młode, które przez liczne rodzeństwo nie może się dopchać do cycka matki.

— Naprawdę nie obchodzi mnie, kim jesteś, ty wystrojony wilku morski. Twój okręt wygląda, jakby wpadł dziobem naprzód w beczkę starego sera. Nie nazwałabym tego wzorcowym kapitanowaniem, wiesz, czy jesteś święta, czy nie.

Święta spojrzała lekceważąco na machający ogon magyry.

— Nieszczęśliwe wypadki na morzu są pospolite jak jabłka jesienią...

Opowieść o kapitanie i starusze

Długoucha Tomomo była pierwszym kapitanem tego statku — wyrzeźbiliśmy ten galion, żeby o niej pamiętać — i założę się, że przynajmniej jedno z was już to wie. Była piękną kobietą i bardzo ją kochałam. Ale miejsce lisa nie jest na morzu, nie bardziej niż w pałacu. Po wielu latach spędzonych razem na falach przekazała mi ster, choć wiele kobiet było starszych ode mnie. Powiedziała, że dama zawsze powinna zostawiać swoje dobra doczesne córce, nie ciotce ani nawet siostrze. Gdy zawinęłyśmy do portu dotknęła moich włosów, leciutko, i poszła do lasu z workiem złota pod każdą pachą.

Nigdy więcej jej nie zobaczyłam, a „Skarb Panieństwa” należał do mnie.

I przez jakiś czas nasze życie jaśniało jak odbicie księżyca w czarnej wodzie.

Przypuszczam, że to moja wina. Uwierzyłam, że jesteśmy zaczarowane, że Tommy przed odejściem obdarzyła nas swą lisią magią, że jak sprytny lis o czarnym nosie nigdy nie zostaniemy złapane. Moja pierwsza oficer, Chalud, zawsze była z nas najlepsza, gdy chodziło o znajdowanie skarbów do grabienia, i zwykle starała się dopilnować, żebyśmy zdobyły je nieuczciwie, by potem móc spać spokojnie. To dar dzinów, wyczuwanie złota jak zwierzyny w lesie. Nic dziwnego, że właśnie banda dzinów pod wodzą wielkiego Kaszkasza założyła miasto Szadukiam w całej jego zasypanej klejnotami chwale. Przynajmniej oni tak twierdzą. Ja słyszałam imię Kaszkasza tylko z ust Chalud, która wciąż się na niego zaklina.

Po kolacji z pieczonej wieprzowiny i świeżych jabłek ze spichrzów tego czy innego miejscowego gubernatora, Chalud zabrała mnie na pokład. Stałyśmy w naszym zwyczajnym miejscu i paliłyśmy — ja fajkę z kości wieloryba, a ona małą srebrną, którą przyniosła z sobą z miasta Różanej Kopuły. Wieczorem sprawia niezłe wrażenie, z włosami z dymu i iskier, z ognistą skórą, od której bije blask zadowolenia. Jej oczy nadal parzą mnie jak gorące szczypce — i tak było tamtej nocy, gdy opowiedziała mi o swym ostatnim planie.

— To będzie łatwe, Sigrido. Łatwiejsze niż kradzież kukurydzy wronie.

Nikt tego nie strzeże oprócz kulawej staruchy — nie zdoła nawet kuśtykać za nami! A jakie historie, słyszałam o jej skarbie! Magiczna torba, z wierzchu zwykła skóra, ale w środku zapas złota, który nigdy nie wysycha. Na brodę Kaszkasza! Musimy tę starą odszukać!

Pyknęłam z fajki.

— Chalud, serce mego serca, znam twoją żądzę monet, która nigdy nas nie zawiodła, ale to brzmi jak bajka dla dzieci. Miałyśmy dobry rok. Po co szukać magicznych torebek, skoro nasze własne, prawdziwe, są pełne?

— Wierzysz, że kabza, która dziś się przesypuje, będzie pełna po brzegi na zawsze? Możesz spać słodko, wierząc, że lato trwa? Ale moje poczucie obowiązku nie pozwala mi spocząć i muszę myśleć o naszych kabzach w zimie. A co do magii i dzieci, oto stoimy na statku, którego maszt rodzi pomarańcze i granaty dla naszej przyjemności, a kobieta z ognia rozmawia z matką gryfów.

— Jesteś mądrzejsza ode mnie, moja stara dżinico. Oby Gwiazdy sprawiły, żebyś zawsze tu była, troszcząc się o mnie.

- Na starość robisz się religijna, kapitanie?
- Raczej nie. Czysty nawyk, moja miła, przyzwyczajenie.

*

Tak oto ruszyliśmy na małą wyspę pośrodku posępnej, mglistej zatoki, skalistą i jałową jak wszystkie takie wyspy, zasłaną łupkiem i bazaltem, obwieszoną festonami małż i ciemnoniebieskich muszel, które przywierały do wygładzonych przez morze kamieni. Pośrodku wyspy stała chata i tylko to odróżniało tę skałę od setek innych, martwych. Chalud dała za mapę fiolkę ognia swego serca i gdy zobaczyliśmy tę żalną chałupkę, zawołałyśmy, że mocno przepłaciła. Uznałam, że w zasadzie nie potrzebujemy broni, i zabrałam na brzeg tylko dziniecę. Jakże byłam głupia! Żalną chatę kryła strzecha z trawy i liści, byle jaka strzecha, splątana i nastroszona niczym ptasie gniazdo. Ściany tworzyła plecionka obrzucona gliną, z daleka cuchnąca łajnem. Chata stała na rozcapierzonej nóżce, jakby pelikana czy czapli, i pazury wbijały się w śliskie skały, szukając oparcia.

A w drzwiach siedziała sędziwa kobieta, z podołkiem pełnym klekoczących muszli.

Głowę chyliła tak nisko, że nie widziałyśmy twarzy, gąszcz popielatych włosów spadał po same pięty. Ale poza rękami starucha miała długie czarne skrzydła; na ich czubkach tkwiły małe chwytne szpony, swego rodzaju dłonie, a poniżej łydek widniały skórzaste czarne pazury, swego rodzaju stopy. Pióra lśniły w słońcu i mgiełce morskiej wody. Odzienie miała poszarpane, rozpadające się, ledwie parę pasów zwierzęcego futra zszytych ścięgnem. Stęknęła, kiedy podeszłyśmy,

hałaśliwie wyssała pomarańczowego małża i cisnęła pustą skorupę, która przeleciała tuż przy mojej głowie.

— Starucho! — zawołała Chalud, zanim zdążyłam się odezwać. Często to robiła, żeby, jeśli jakieś nieszczęsne dusze zgniewają się na nas, skoczyły najpierw na nią, zamiast poderżnąć mi gardło. — Przybyłyśmy po torbę. Możesz ją nam dać, a jak nie, możemy ci ją zabrać, ale na płomień Kaszkasza, tak czy siak będziemy ją miały.

Stara rzuciła kolejną muszlę, która uderzyła dzinicę między oczy.

— Pewnie — warknęła. — Chodźcie i splądrujcie dom starszej pani. To bardzo łatwe, czyż nie? Kości ma kruche niczym kurczak, pękną tak słodko, że trzask zabrzmii jak muzyka. — Głęboko w jej gardle narodził się chichot. — Tylko że nie jestem takim łatwym celem, moje piękne pawice, o nie.

Wyprostowała przygarbione plecy, muszelki spadły z podołka i zagrzechotały na skałach. Wstała i poderwała głowę, a wówczas ujrzaliśmy, że jej twarz wcale nie jest pomarszczona ze starości, że z ust nie cieknie ślina — nie była nawet w wieku średnim, a co więcej, należała do zdrowego, uśmiechniętego mężczyzny, w którego oczach błyskało czerń i srebro. Grzywa włosów spływała mu po grzbiecie, sięgając poniżej kolan. Imponująco machnął skrzydłami — na jednym opierzonym ramieniu wisiała opasa skórzana torba, napęczniała jak bukłak z winem.

— Czy tego chcecie? Przybyły dwie dziewczynki bawiące się w piratów, by zabrać ją staremu Ghassanowi, ech, słabemu i bezradnemu? Tak, wy i wielu innych przed wami. Dam ją wam bez walki, jeśli dorównacie mi w picciu przez całą noc. Jestem przecież szlachetnym człowiekiem.

Zastanawiałam się przez chwilę, pewna, że zna więcej sztuczek niż proste przebieranki.

— Przysięgniesz, że torba jest czarodziejska? — zapytałam.

— A jakże! Jest magiczna. Więc albo wchodzisz, i tylko ty, zauważ, bo nie mam zamiaru zakładać się z ognistym demonem, albo wracaj na swój statek, by powiedzieć załodze, że stchórzyłaś przed potulną staruszką. — Szyderczo pomachał torbą zawieszoną na jednym z trójpalczastych szponów i wszedł do chaty.

Chalud spojrzała na mnie z ukosa tymi swoimi oczami-węglami, i wciągnęła maleńki flakonik z za pasa.

— Ogień serca — szepnęła głosem jak ostatnie pasemka dymu ze zgaszonego ogniska. — Dziś rano spuściłam go z nadgarstka. Kropelka do napoju, a padnie jak kamień zrzucony z wieży zamku.

Wzięłam flakonik z ciemnopomarańczowym płynem i wsunęłam go w rękaw. I głupia jak dziewczka, która doi byka, weszłam za Ghassanem do jego cuchnącej chałupy.

*

Na niskim stole stały gliniane kubki i wielki dzban koloru ptasich języków. Ghassan siedział z jednej strony, ze skrzydłami schludnie złożonymi u boków.

— Dobra robota! Siadaj, dziewczyno, i spróbuj mojego najlepszego rocznika. Pędzony z muszli małżów i wątroby. Najlepszy trunek, jaki wyspa ma do zaoferowania.

Uklęłam i skromnie spuściłam oczy.

— Wśród mojego ludu jest w zwyczaju, że kobieta służy. Czy pozwolisz?

Przez chwilę miał podejrzliwą minę i byłam pewna, że odmówi. Ale trudno mężczyźnie nie wierzyć kobiecie, która chce mu usługiwać, więc skinął głową na zgodę. Wzięłam dwa garnczki i napełniłam je kleistą cieczą, która płynęła, jak żółty szlam. Opuszczając lekko rękawy, strąciłam trzy kropelki z flakonika do jego napitku. Wziął kubek w zdeformowaną rękę i wychylił go jednym łykiem.

— Mój apetyt jest sławny na całym świecie — rzekł.

— Jak fakt, że jesteś starą kobietą z krzywymi kolanami — odparłam i wypiliśmy swój małżowy trunek.

Ledwie po trzech kolejkach Ghassan zaczął się zataczać i przewracać oczami. Mnie jeszcze nawet nie kręciło się w głowie, a on wyglądał, jakby miał zwymiotować lub zemdleć, albo jedno i drugie.

— Oszukałaś! — wysapał, trzymając się za brzuch.

Wstałam i parsknęłam śmiechem.

— Nawet śliczne dziewczęta udające piratów wiedzą, jak udawać ich dobrze.

Ghassan stęknął, tocząc ślinę z kącika ust, i legł ciężko na podłodze, powieki mu opadły, pióra zachrzęściły pod jego ciężarem.

— Weź zatem torbę, ty kłamliwa dziewczko. Mam nadzieję, że będziesz się cieszyć jej owocami! — Jego ciało zwiotczało i wielka głowa w koronie zlepionych włosów uderzyła w deski. Chrapanie wypełniło chatę jak sztorm bijący w okna. Pochyliłam się i zdjęłam torbę z jego ramienia, zadowolona z siebie — prosty podstęp, szybkie wykonanie.

Nic nie wiedziałam.

Kiedy wróciłam z Chalud na pokład „Skarbu Panieństwa”, załoga powitała nas okrzykami triumfu. Kobiety tłoczyły się

dokoła, chętnie zobaczyć, jak torba czyni swoją magię. Podniosłam ją nad głowę, żeby wszystkie mogły zobaczyć, potem wsunęłam rękę do środka, po pierwszą garść złota.

Ale kiedy wyjęłam rękę, nie było w niej monety. Gęsta biała maź przywierała do mojej skóry, oblepiała palce jak ciało ślimaka. Wielka bryła wyłoniła się z torby, blady szlam zaczął się przelewać i rozbryzgiwać na deskach pokładu. Szybko wytarłam rękę o koło sterowe, pełna obrzydzenia, bo maź cuchnęła rybami i solą. A potem zobaczyłam — wszystkie zobaczyłyśmy. Szlam twardniał, gdzie tylko spadł, i tryskał z worka jak fontanna. Już pokrył połowę okrętu, gęsty jak śnieg, pęczniejąc w dziwne skorupy podobne do jaj i zastygając w postaci twardych jak skała pąkli.

Czerwony statek przestał być czerwony. Wpadłyśmy w panikę. Rozkazałam dziewczętom oczyścić pokłady, lecz ich wysiłki na nic się nie zdały, choć nawet rąbały skorupę mieczami. Byłyśmy w połowie drogi do ujścia zatoki, gdy Ghassan oprzytomniał — zbyt silny, jak się zdaje, by na długo ulec ogniewi Chalud — i wybiegł z wrzaskiem z chaty.

— Idźcie! Idźcie! Głupie kury! Zanieście je jak najdalej, nieście moje dzieci, które uznają wasz statek za złobek i zapaskudzą go swoim pierwszym łajnem! Głupie! Okradłyście starą kobietę i patrzcie, coście zyskały! Złodziejki! Łajdaczki! Mam nadzieję, że moje dzieci otworzą wam wątroby na swoje pierwsze śniadanie!

Chalud i ja stałyśmy przerażone, na dziobie mojego niegdyś pięknego okrętu i patrzyłyśmy na ptasiego stwora, który krakał i wymachiwał wielkimi czarnymi skrzydłami, szeleszczącymi na silnym wietrze.

Opowieść o bladej dziewczynie, ciąg dalszy

— Niedługo po tym, jak zostawiłyśmy Ghassana, napotkałyśmy echeneisa — nie jest to zbyt interesująca historia, jak wszystkie inne dotyczące potwora morskiego. Statek napotyka potwora i albo zdoła uciec, albo zostaje połknięty. My zostałyśmy połknięte w całości i znalazłyśmy się na tym dziwnym morzu. Ale tutaj czas jest jakoś rozciągnięty, bo zdarzyło się to setki lat temu. Setki lat, a pąkle się nie wykluły, myśmy niewiele się postrzały, nic się nie zmieniło. Żywimy się stworzeniami, które zjada echeneis, a bylibyście zaskoczeni, ile połyka fok i rekinów. Nigdy nie brakowało nam jedzenia. Od czasu do czasu trafiały tu inne statki, lecz ani jeden nas nie szukał, tylko wy.

Niewyraźnie widoczna kobieta przysunęła się do Świętej, nie zdejmując dłoni z rękojeści miecza. Śnieg natychmiast rozpoznała jej ognistą skórę: Chalud.

— Wasze przybycie — zaczęła pierwsza oficer gardłowo, głosem jak falujące płomienie — można nazwać opatrnościowym. Widzicie, że stworzenia poruszają się w jajach? Nadchodzi pora wylęgu, przysięgam na lampę Kaszkasza.

— W istocie. Stanie się to jeszcze dzisiaj, jak sądzę, a mam pewne doświadczenie z wykluwaniem się ptaków. Pąkle nigdy nie były takie duże i widać czerń szamoczącą się wewnątrz. — Święta spojrzała krytycznie na — czworo nieznanomych. —

Musimy podjąć próbę ucieczki. Pomożecie nam czy będziecie przeszkadzać?

Sigrida wyglądała tak, jakby powstrzymywała pragnienie rzucenia się na kolana.

— Zrobię wszystko, co mogę, pani.

Grog beknęła.

— Ha, nie mamy wyboru, prawda?

— Ty stara flądro! — rozległ się spod pokładu głos, i zaraz zjawiała się Magadin, kobieta z wilczym ogonem, udami jelenia i jasnoniebieskimi skrzydłami. Podeszła do wanny magyry, jej szare oczy płonęły. — Czyżbym ci nie powiedziała, że mój statek ma wrócić bezpiecznie do domu? Sprowadziłaś go tutaj, by został pożarty i strawiony! — ryknęła.

— Ta banda mnie porwała! — Grog nerwowo odwróciła oczy, skubiąc łuski fioletowego ogona. — Zamierzałam zabrać go do portu, przysięgam, ale zmusili mnie do powrotu. Powinnaś mi dziękować, że utrzymałam w kupie jego dziób i rufę! Poza tym raczej nie przypuszczałam, że przeżyjesz. A martwe kobiety się nie uskarżają.

Chalud zmarszczyła brwi.

— Wyłowiłyśmy ją z zółci ledwo żywą, ale ratowanie potworów jest świętym obowiązkiem zleconym nam przez starą Tomomo. Wcieliłyśmy ją do służby i teraz jest z nami.

Magadin objęła kosmatym ramieniem dymiącą talię dzinnicy.

— To przyjemne uczucie wchodzić w skład załogi i nie zajmować się samotnie wszystkimi żaglami. Jestem członkiem załogi, nie więźniem, nie dziewczicą, nie ładunkiem. Umarłam w brzuchu wieloryba i zostałam wyrzucona na pokład rajy. To najlepsza śmierć, o jaką mogłam prosić, i mam nadzieję, że

będę martwa jeszcze przez długi czas. — Uśmiechnęła się i zamierdała ogonem. W jej twarzy nie było smutku ani zmęczenia.

— Teraz, gdy już jesteśmy rodziną — mruknął Eyvind — czy nie lepiej zadbać, żeby bestia nas wyrzygała?

— Doskonały pomysł — pochwaliła Święta.

*

W kilka godzin oba żaglowce przeciągnięto przez morze żółci w pobliże paszczy echeneisa. Eyvind i Grog wrócili na pokład statku panny-bestii, podczas gdy Sigrida i Śnieg zostały z piratami. Fiszbiny wisiały w dali jak lśniące drzwi, a gdzieś za nimi szumiało morze.

— Najpierw musimy podnieść potwora — powiedziała Święta ściszym głosem. — Chalud?

Dżinica od brzucha zapaliła strzałę i podniosła ciemny zakrzywiony łuk niemal w kształcie księżyca w pełni. Strzeliła prosto w paszczę wieloryba-żółwia. Strzała bezdźwięcznie rozplynęła się we mgle. Po chwili głuchy grzmot rozbrzmiał echem w paszczy i potwór z jękiem bólu wzniósł się na powierzchnię.

— Skąd możemy mieć pewność, że się wylegną? — szepnęła Śnieg, ściskając rękę Sigridy, żeby uspokoić serce.

Święta miała jednocześnie ponurą i zadowoloną minę, gdy wyjęła sztylet z pochwy przywiązanej do uda.

— Nie pozwolimy im się guzdrać. Jaja powinny być już dość słabe, żeby stworzenia mogły je rozbić od środka, a my nie poskąpimy pomocy. Bierz nóż, dziewczyno.

Grog ryknęła na Eyvinda, żeby przeciągnął ją do burty, i zaczęła rozbijać jaja-pąkle, rzucając harpunami. Wszystkie

istoty na „Skarbie Panieństwa” cięły, darły szponami, tłukły, miażdżyły jaja. Chalud pstrykaniem palców spowijała je w pomarańczowych płomieniach. Przyprawiający o mdłości chrzęst sprawiał, że Śnieg się krztusiła, a smród był jeszcze gorszy niż psującego się mięsa. Z początku szło powoli, tylko parę czarnych piskląt wyskoczyło ze skorupki — ale potem ryk tysięcy skrzydeł wypełnił paszczę echeneisa, podwojony i potrojony przez echa.

Święta pierwsza się roześmiała, po chwili zawtórowała jej dżinica. Zobaczyły, a wkrótce wszyscy inni, wielkie stado wron, które wyskakiwały z rozbitych pąkli. Ich wielkie skrzydła łopotały hałaśliwie jak przewracane stronice. Coraz więcej ptaków rozbijało jaja z własnej inicjatywy. Niezliczone skrzydła biły w ścianę fiszbinów, w sklezione podniebienie, w policzki ich więzienia. Pysk był ich pełen jak beczka cuchnącego wina, i potwór zaczął ryczeć z wściekłości, ogłuszająco, jakby otwierała się ziemia.

I sam się otworzył. Szczęki echeneisa zaskrzypiały i oślepiający promień światła przypiekł oba statki. Promień zogromniał, gdy paszcza się rozdziawiła i wpadło w nią morze, roziskrzane błękitem, szarością i bielą, unosząc statek na falach. Załoga „Skarbu Panieństwa” krzyknęła radośnie i postawiła żagle. Eyvind zмагаł się z takielunkiem drugiego statku. Kiedy morze wypłynęło z pyska, spieniony grzywacz wyniósł ich w słońce i do świata.

Tysiące tysięcy lśniących czarnych wron wyfrunęło z paszczy echeneisa, wyprzedzając statki i ciągnąc za nimi, wylatując z wieloryba jak obłok ciemnych aniołów. Łopot ich skrzydeł brzmiał niczym strzał armatni; słońce omywało ich pióra, które

jarzyły się ciemnym fioletem na tle bladego nieba. Potwór stęknął i zanurzył się, a statki odpłynęły pod pełnymi żaglami.

*

Narodziny skończyły się równie szybko, jak się rozpoczęły. Czerwony statek i brązowy płynęły razem w jasnym świetle dnia. Zostały związane, żeby można się było pożegnać. Kilka spóźnionych wron krążyło nad masztami.

Słońce zachodziło, blask tworzyły jaskrawe plamy na morzu, rozpościerał jak rękawiczka, nadając wodzie idealny odcień złota, jakby dama upuściła swój najpiękniejszy naszyjnik w głębinę. Złote światło zalało pokład „Skarbu Panieństwa” i oczy Eyvinda wypełniły się łzami.

— Dziewica została pożarta — powiedział ze zdumieniem, wskazując czerwony statek — święci polecą na zachód na skrzydłach ptaków wylęgłych z jaj, których żadna kura nie zniosła, a morze — głos mu zadrżał — obróciło się w złoto.

Eyvind jakby zamigotał i zaczął się wić jak dżdżownica na haczyku a potem już nie było Eyvinda. Na pokładzie stał wielki biały niedźwiedź, łzy ciekły mu z oczu. Futro miał gładkie i śnieżne, zalane światłem i spowite mgiełką morskiej wody. Belki zajęczały pod jego ciężarem. Sigrida z krzykiem przebiegła po desce z czerwonego okrętu na „Pocałunek Wiedźmy”, osunęła się na kolana i dotknęła porośniętego futrem pyska.

Niedźwiedź zamknął oczy i ciężko wsparł głowę na kolanach ukochanej.

— Stało się. — Westchnął, odzyskując własny głos, głębszy i chropawy, bardziej podobny warczeniu niż mowie. — Teraz możemy powrócić do domu. Nareszcie możemy wrócić do

domu. Pójdziemy do handlarki i poprosisz ją o swoją skórę, i razem wrócimy na śnieżne pustkowia. Po wszystkim.

Sigrida powoli odsunęła rękę.

— Nie, Eyvindzie. Nie mogę. Nie jestem Ullą, już nigdy nie będę. Pójdę z moją panią, jak zamierzałam. „Panna, niedźwiedź i dziewczę w szarości”. Ty musisz znaleźć własną drogę.

— Nie zostawiaj mnie, żono niedźwiedzia. Wszystko, co zrobiłem, zrobiłem dla ciebie. — Podniósł na nią przejrzyste oczy.

— Wszystko, co zrobiłeś, zrobiłeś dla siebie, żebyś znowu mógł żyć tak, jak wedle siebie powinieneś. Nie mogę uczestniczyć w tym marzeniu — moimi poczynaniami kierował instynkt i pragnienie, wyjąwszy to, co zrobiłam dla niej. Ona jest celem mojej wyprawy i nie mogę go teraz odrzucić. Czuję, jakbym znów rozdzierała się na części, moje skóry walczą jedna z drugą. Ale wybacz mi, ukochany. Niczego nie można odwrócić.

Pogładziła jego szorstką białą głowę i pocałowała go w czoło, jej łzy spłynęły na futro. On daremnie ją błagał i ścisnął niezdarnymi łapami.

— Dokąd pójdę? Co będę robić? — szeptał bezradnie.

Sigrida potrząsnęła głową, nie mogąc udzielić odpowiedzi. Wróciła na czerwony statek zasłany pokruszonymi muszlami. Święta zamknęła ją w uścisku, a gdy otworzyła ramiona, starsza kobieta promieniała niczym panna młoda.

— Chodź, niedźwiedziu — powiedziała Grog z westchnieniem, ochlapując piersi słoną wodą. — Zdaje się, że ty i ja udamy się do domu samotnie. Śniegu, wskakuj do łodzi, dziecko. Nie gustuję w cikliwych pożegnaniach.

Ale Śnieg, z jasnymi włosami chwytającymi resztki światła słońca, cofnęła się w ramiona Sigridy.

— Zostaję — powiedziała niepewnie. — Muireann nie jest moim domem. Nic tam na mnie nie czeka. Jeśli kapitan mnie przyjmie, nazwę ten statek matką i ojcem. Może pewnego ranka zbudzę się, a moje ciało znów będzie ciemne i różowe. — Uśmiechnęła się i uśmiech ogrzał jej twarz jak rozkołysana latarnia.

— Oczywiście, że cię przyjmemy — zapewniła Święta Sigrida. — Tommy przykazała, żeby nigdy nie odtrącać rekruta. Jesteśmy rodziną potworów, a narodziny nowych bestii są powodem do radości. Mamy wiele do zrobienia, morze i wiatr znowu są nasze.

*

Rozwiązano deski i statki rozdzieliły się jak bliźnięta w łonie matki.

„Skarb Panieństwa" pożeglował na zachód, jego żagle płonęły światłem. Grog i Eyvind zostali na rozpadającym się „Pocałunku Wiedźmy", płynąc na wschód, z dala od słońca, w ponury zmierzch. Magyra zatroszczyła się o niedźwiedzia, który stał na fordeku i patrzył na czerwoną plamę malejącego okrętu, opuszczając z żalu potężne ramiona.

— Chodź, kochaneczku — powiedziała, nagle przepełniona dziwną czułością — zabiorę cię do domu.

— Muireann nie jest moim domem. Ale jestem za mało potworem, jak się zdaje, żeby zaoferowano mi miejsce na morzu.

Grog wbiła oczy w pokład, jakby szukała ziarenka piasku, zakłopotana jego rozpaczą.

— W takim razie zabiorę cię na północ, Eyvy — powiedziała pogodnie, głosem gładkim jak rum z masłem. — Do twojego prawdziwego domu. Teraz możesz wrócić i odpocząć wśród swoich, prawda? To już coś, nie sądzisz? Czy nie tęsknisz za gwiazdami, które lśnią na lodowcach jak tysiące świeczek?

Eyvind zwrócił ku niej niedźwiedzią głowę.

— Tęsknię — przyznał.

— W takim razie kurs na północ, stary niedźwiedziu! A kiedy poczujesz śnieg pod łapami, świat wyda się mniej czarny. Przynajmniej tak przypuszczam. Kto może wiedzieć, jak to jest z twoim plemieniem? — Grog przegarnęła ręką zielone włosy.

Biały niedźwiedź podszedł ostrożnie do wanny i usadowił się obok. Złożył głowę na drewnianym zrębie i gdy ostatnie wstążki dnia zwinęły się na niebie, zasnął.

W ogrodzie

Świt zakradał się przez fioletowe zasłony, barwiąc je czerwienią jak krew cielęcia. Dziewczynka siedziała na wilgotnej trawie, z twarzą w aureoli oranżu i złota. Uśmiechała się do chłopca, a on tkwił w oknie, osłonięty przed ciepłem dnia, które wciąż rosło jak grube dziecko.

— To była cudna historia! — zawołał trochę za głośno.

Dziewczynka go uciszyła, podskakując i kładąc palec na jego ustach. Przez chwilę patrzyli na siebie, jej okolone czernią oczy zdawały się go pożerać, aż przestał widzieć wschodzące słońce, zostały tylko te bliźniacze księżycy, pełne cieni i tajemnic.

Odsunęła dłoń od jego twarzy i przeciągnęła się jak młoda lwica.

— Tak, a jutro opowiem ci następną, jeszcze dziwniejszą i cudowniejszą, jeśli wrócisz do ogrodu, do nocy i do mnie...

Odwróciła się i pobiegła cyprysową ścieżką, mijając stajnie, i wpadła pomiędzy przybrane rosą jabłonie, jej szara spódnica wlokła się za nią po trawie.

Chłopiec zadrżał z radości, pokryty gęsią skórką w chłodzie poranka, i wsunął się z powrotem pod futra, by śnić o czerwonym okręcie żeglującym ku słońcu.

Dinarzad nie spała, cicha w łóżku jak śmierć; miała lzy w oczach.

Podziękowania

Krótkie dzięki:

Seanowi Wallace'owi, Nickowi Mamatasowi i Jeffowi VanderMeerowi za wiarę we mnie i nieskąpienie rady.

Doborah Schwartz i Sonyi Taaffe za inspirację i cierpliwe ucho.

Juliet Ulman za bezbłędny instynkt i wskazówki, a Michele Rubin za miłe prowadzenie.

Na koniec Samowi Barrisowi i Melisie i Dmitriemu Zagidulionom, bo bez ich niesłabnącego wsparcia, miłości i wnikliwego krytycyzmu ta książka by nie powstała.